

ŁĄCZNIK RODZINNY

Organ

ZWIĄZKU RODOWEGO
JANOTÓW BZOWSKICH
h. NOWINA

2012

ŁĄCZNIK RODZINNY

Organ
ZWIĄZKU RODOWEGO
JANOTÓW BZOWSKICH
h. NOWINA



2012

Redakcja
Kazimiera Janota Bzowska
(linia Jana z Przemęczan)
Małgorzata Bzowska-Bakalarz
(linia Stanisława – Pierwszego Starosty Rodowego)

Redakcja techniczna
Jacek Czarnigowski

Skład i łamanie
Leszek Boroch

Copyright © 2012 by Kazimiera Janota Bzowska, Małgorzata Bzowska-Bakalarz
– Związek Rodowy Janotów Bzowskich h. Nowina

Copyright © 2012 by Fundacja Innowacji i Nowoczesnych Technologii INOTECH

Wydawnictwo Fundacji INOTECH
Fundacja Innowacji i Nowoczesnych Technologii INOTECH
ul. Pozytywistów 4/29, 20-639 Lublin
e-mail: info@inotech.org.pl

ISBN 978-83-932652-0-6

SPIS TREŚCI

1. Wstęp.....	7
2. Zjazdy rodzinne	9
2.1. Zjazd rodziny Janotów Bzowskich 19.09.2009 r.	9
2.1.1. Powitanie – słowo wstępne Jacka Janoty Bzowskiego z Linii Bobrownickiej.....	12
2.1.2. Ze skrzynki życzeń na zjazd w Drogińskim Dworze w Wygiełzowie	13
2.1.3. Słów kilka na Zjazd	16
2.1.4. Wspomnienia z Drogini.....	17
2.1.5. Relacje i wrażenia ze zjazdu.....	26
Kazimiera Janota Bzowska z Londynu	26
Małgorzata Bzowska-Bakalarz	31
List do Młodzieży i Dzieci Młodzieży	37
2.2. Zjazd rodziny drogińskich potomków Kazimierza Janoty-Bzowskiego 12.06.2010 r.	38
2.3. Zjazd Rodziny Kozierowskich 21.10.2009 r.	43
2.4. Zjazd potomków Aleksandra i Lucyny Janotów Bzowskich 21.05.2011 r.	46
3. Policzmy się	53
3.1. Linia Aleksandra (syna Józefa Felicjana) (1).....	55
3.2. Linia Władysława Pułkownika (2).....	55
3.3. Linia Jana (syna Józefa Felicjana) (3) – (gałąź Anny).....	58
3.4. Linia Hiacynta (syna Józefa Felicjana) (4) – (gałąź Kazimierza z Drogimi i Cypriana).....	58
3.5. Linia Drogińska (5)	63
3.6. Linia Jana z Przemęczan (6).....	79
3.7. Lina Zwiernicka (7).....	112
3.8. Linia Borussowska (8)	116
3.9. Linia Stanisława – Pierwszego Starosty Rodowego (9)	126
3.10. Linia Bobrownicka (10)	146
3.11. Linia Kielecka (11)	163
3.12. Linia Stefana Szczepana (12) Powstańca 1863.....	167
3.13. Inni Bzowscy.....	172
4. Ci co odeszli w ostatnich latach	177
4.1. Linia Aleksandra (1)	177
4.2. Linia Władysława Pułkownika (2).....	177
4.3. Linia Jana – syna Józefa Felicjana (3) (gałąź Anny)	177
4.4. Linia Hiacynta (4) (gałąź Kazimierza z Drogimi i Cypriana)	177
4.5. Linia Drogińska (5)	178

4.6. Linia Jana z Przemęczan (6)	178
4.7. Linia Zwiernicka(7).....	188
4.8. Linia Borussowska (8)	190
4.9. Linia Stanisława – Pierwszego Starosty Rodowego (9)	197
4.10. Linia Bobrownicka (10)	201
4.11. Linia Kielecka (11)	203
4.12. Linia Stefana Szczepana (12) Powstańca 1863.....	204
4.13. Zmarli z innych Bzowskich.....	205
4.14. Połączeni rodzinnie z Janota Bzowskimi.....	205
5. Wspomnienia rodzinne i artykuły	207
5.1. Wspomnienia z wakacji 13-letniego chłopca – Ryszard Janota Bzowski (linia Bobrownicka)	207
5.2. A short Anglo-Pol story – Jerzy Janota Bzowski (linia Jana z Przemęczan)	211
5.3. Wspomnienie o mojej Babcu Marii Bzowskiej z d. Zagórskiej – nauczycielce języka polskiego w Liceum im. Joachima Chreptowicza w Ostrowcu Świętokrzyskim – Małgorzata Bzowska-Bakalarz (linia Stanisława – Pierwszego Starosty Rodowego)	214
5.4. Kto potrzebuje nowego kolana – Jerzy Janota Bzowski (linia Jana z Przemęczan)	218
5.5. Niepewność egzystencji – Marek Janota Bzowski (linia Jana z Przemęczan)	221
5.6. Żabki we frykasie albo smażone – Kazimiera Janota Bzowska (linia Jana z Przemęczan)	222
5.7. Moje poszukiwania genealogiczne – Janusz Bzowski (linia Jana z Przemęczan)	225
5.8. A staż jego... czterdzieści i cztery – Piotr Dzieciolowski.....	229
5.9. Wspomnienie Joanny – Joanna Kiełczewska	237
6. Publikacje związane z historią bądź osobami z Rodziny Janotów Bzowskich	357
7. Podziękowania	361

1. WSTĘP

Oby pamięć nie zaginęła

Wszystkim, którzy tak serdecznie podeszli do naszej pracy nad Zeszytem 4 „Łącznika” wyrażamy wielką wdzięczność. Szczególnie za przekazywane nam informacje o sobie i innych członkach rodziny. Wierzymy, że będą oni nadal zaopatrywać nasze pismo w wiadomości, które je wzbogacą i swoją życzliwością dopomogą do realizowania naszych zamiarów. Po roku doświadczeń i pracy nad „Łącznikiem 4” dziś możemy powiedzieć, że była to wielka rzecz. Wielu członków rodziny odnalazło się. Wielu nawiązało z sobą kontakt. Podjąwszy się pracy nad następnym Zeszytem, mamy nadzieję, że kiedyś, w przyszłości znajdzie się następnca godny naśladowania naszych poprzedników, którzy z wielkim poświęceniem rozpoczęli tak ważne dla rodu Janotów Bzowskich dzieło, a które po tak wielu latach jest inspiracją do podtrzymywania rodzinnych więzów i dalszego wydawnictwa „Łącznika Rodzinnego”.

Jan i Kazimiera Janotowie Bzowscy, Londyn 1979 rok.

Cytat ten wyjęty z naszego zamierzonego Zeszytu 5 jest dowodem, że nie porzucaliśmy na 4 Zeszycie. Nagromadzony materiał nadawał się na następne wydawnictwa. Z braku funduszy realizację naszych nadziei odkładaliśmy na „lepsze czasy”. W międzyczasie Kazimierz Janota Bzowski wydał w 2003 roku Zeszyt 5, który po kilku latach poprawek naniesionych podczas „londyńskich nieprzespanych nocy” przez „ZESPÓŁ W MINIATURZE” – niestrudzoną Małgorzatę Bzowską-Bakalarz z moją pomocą, został zaopatrzony w **Erratę** wydaną w formie elektronicznej. Erratę rozesłaliśmy we wrześniu 2009 roku pocztą elektroniczną na dostępne adresy rodzinne.

„Łącznik Rodzinny nr 5.”, jak i następne Zeszyty, z uwagi na koszty druku, będą się ukazywać własnym sumptem. Najważniejszym dla nas zagadnieniem, jak to zaznaczyliśmy czterdzieści lat temu, jest dostarczanie materiału do dalszego wydawnictwa pisma, które, wierzymy, zostanie pozytywnie przyjęte przez wszystkich członków należących do rodziny Janotów Bzowskich. W tym przekonaniu Małgorzata Bzowska-Bakalarz i ja, Kazimiera Janota Bzowska, tworząc skromny zespół redakcyjny, podjęliśmy się wydania **Zeszytu 6**, poświęconego przede wszystkim pierwszemu, prawdziwie rodzinnemu Zjazdowi w drogińskim dworze-skansenie w 2009 roku w Wygiełzowie, którego głównym organizatorem był Jacek Janota Bzowski, wnuk Józefa z Bobrownik – pierwszego wydawcy przedwojennych Łączników. Przychyłość i życzliwość wszystkich zainteresowanych jest dla nas bodźcem do realizacji naszych zamierzeń.

Echo Zjazdu jeszcze nie przeminęło i nie powinno przeminąć. Niestrudzony Jacek Janota Bzowski, zrealizował marzenia bardzo wielu. A były to dla wielu niedoścignione marzenia, by zwołać Zjazd, prawdziwie rodzinny, zjazd wszystkich linii i gałęzi rodu. Wielka szkoda, że nie wszyscy mogli w nim uczestniczyć. Z wielkim żalem wiadomości o Zjeździe przeżywał Jerzy Janota Bzowski z Vancouver. Za duże odległości i obowiązki pracy zawodowej nie pozwoliły na przyjazd. Zainteresowanie jego rodziną sięga wstecz, gdy jako jedenastoletni chłopiec, zaczął przeglądać przedwojenne „Łączniki Rodzinne”. Urodzony w Anglii, chciał wiedzieć skąd pochodzi jego rodzina. Skąd to nazwisko takie inne od angielskich, którego nie chciał ani teraz ani później zmienić na łatwiejsze do wymówienia przez angielskich szkolnych kolegów. Ślęcząc godzinami nad „Łącznikami”, wypisywał pokolenia od Józefa Felicjana na kartkach wyrwanych z zeszytu i układał wzdłuż całego domu na podłodze, tworząc swoiste „drzewo”. W końcu to on był „architektem” 4 Zeszytu „Łącznika”. To on poddał myśl odnalezienia zagubionych Janotów Bzowskich. Za jego inicjatywą zebrali się londyńscy seniorzy – Jan, Tytus i Józef, którzy ten pomysł podchwycili i „bomba pękła!” Tak się potem w trudach przez kilka lat rodził „Zeszyt 4”. Epizod ten przypominam, jako ten jeden, który każdemu może zapalić iskrę wskrzeszającą nie jeden fenomenalny pomysł. A jest ich wiele. Tylko trzeba chcieć. Tylko trzeba znaleźć chwilę czasu w tym zabieganiu i właśnie w nim oderwać się do bardziej wzniosłego celu.

Co jest naszym celem? Mamy przygotowany Zeszyt 6 „Łącznika Rodzinnego” głównie poświęcony Zjazdowi. Każdy był zaproszony do uczestniczenia w realizowaniu tego przedsięwzięcia własnymi wspomnieniami ze Zjazdu, aby pozostało coś więcej w pamięci niż li tylko udział w spotkaniu. Niech ten Łącznik stanie się jednym ogniwem, który wszystkich zjednoczy i pamięć przekaże pokoleniom. Wszak tak wiele mamy ciekawych tematów do przekazania.

Kazimiera Janota Bzowska,
Londyn 29 września 2009

2. ZJAZDY RODZINNE

2.1. ZJAZD RODZINY JANOTÓW BZOWSKICH 19.09.2009 R.

Wygietzów

Jacek Janota Bzowski z Warszawy (wnuk Józefa z Bobrownik) po uprzedniej naradzie rodzinnej w domu Barbary i Włodzimierza Zychów zwołał Zjazd Rodziny w Dworze z Drogini – przeniesionym do skansenu w Wygietzowie! Biuletyny organizacyjne wysyłane przez Jacka pocztą elektroniczną docierały do adresatów co parę dni i chociaż jeszcze nasz bank adresowy jest niepełny w Zjeździe wzięło udział 49 osób! Każdy z uczestników zjazdu otrzymał od Jacka JB prezent w postaci płyty z zapisem elektronicznym *Kroniki Rodziny Janotów Bzowskich 1936-1976* pióra Zdzisława JB. Należy podkreślić, że Kronika ta została poprawiona i uzupełniona przez Kazimierę JB z Londynu o czym informuje pierwsza strona Kroniki:

„Za zgodą Autora Kronika została przepisana, poprawiona, uzupełniona i opatrzona fotografiami przez Kazimierę Janotę Bzowską w Londynie w roku 1980 w ilości dwudziestu egzemplarzy”

Program Zjazdu

Dzień pierwszy – sobota 19.09.2009

1. Początek spotkania 19 września 2009 o godz. 17.00 przy Dworze Drogińskim
2. Powitanie zebranych przez Pana dyrektora Muzeum Jerzego Motykę
3. Godz. 18 – koncert muzyki poważnej (Robert Marat – fortepian, Beata Witkowska-Glik – sopran), Powitanie – słowo wstępne Jacka Janoty Bzowskiego z Linii Bobrownickiej
4. Kazimiera Janota Bzowska z Londynu, współautorka z Mężem Panem Janem Zesztyu 4 Łącznika Rodzinnego – słowo o rozwinięciu idei Łącznika Rodzinnego
5. Krzysztof Kunachowicz – wnuk Kazimierza Janoty Bzowskiego, ostatniego właściciela Dworu Drogińskiego – Wspomnienie z ostatnich lat Dworu Drogińskiego
6. Uroczysta kolacja w dużej sali konferencyjnej Dworu

Dzień drugi – niedziela 20.09.2009

- godz. 11.00 – Msza św. koncelebrowana – transmisja TVP-religia 2. od 12.00-16.00
 godz. 12.00 – występy zespołu ludowego na scenie przy Skansenie, pokaz rzemiosła ludowego w obiektach Muzeum
 godz. 16.00-17.30 koncert finałowy XIX Festiwalu Muzyki Kameralnej i Organowej.
 Program fortepianowy w wykonaniu Lidii Grychtołówny – Fr. Chopin, Fr. Liszt

Program koncertu w dniu 19.09.2009

Beata Witkowska-Glik – sopran

- Ch. Gounod – walc Julii z opery „Romeo i Julia”
- J. Offenbach – aria Olimpii z operetki „Orfeusz w piekle”
- J. Strauss – aria Adeli z operetki „Zemsta nietoperza”
- L. Delibes – Dziewczyny z Kadyksu
- A.L. Weber – aria z musicalu „Upiór w operze”

Robert Marat – fortepian

- J.S. Bach – Preludium chorałowe
- I.J. Paderewski – Sarabanda
- M.K. Oginski – Polonez
- S. Moniuszko / H. Melcer – Prząśniczka
- F. Chopin – Etiuda 1, 2 op.10,
 - Walce As-dur op.34, cis-moll
 - Polonez As-dur

Wykonawcy:

BEATA WITKOWSKA-GLIK – absolwentka Akademii Muzycznej w Katowicach; w ramach studiów wyjechała na rok do Konserwatorium Muzycznego w Rennes (Francja). Po studiach czynnie uczestniczyła w Kursach Mistrzowskich Techniki i Interpretacji Wokalnej u Teresy Żylis-Gara. Była finalistką II Międzynarodowego Konkursu Wokalnego im. A. Didura w Bytomiu (2008), na którym otrzymała wyróżnienie i trzy nagrody specjalne, w tym nagrodę publiczności. Rok wcześniej była finalistką Międzynarodowego Konkursu Wokalnego w Marmande (Francja). Na scenie operowej zadebiutowała w roku ubiegłym partią Amora („Orfeusz i Eurydyka” Ch. W. Gluck). Koncertuje w Polsce, m. in. z Filharmonią Śląską, Polską Filharmonią Sinfonia Baltica w Słupsku. Współpracuje z Instytucją Upowszechniania Muzyki „Silesia” w Katowicach.

ROBERT MARAT – pianista i pedagog, profesor Akademii Muzycznej im. Karola Szymanowskiego w Katowicach. Wychowanek szkół muzycznych w Białymstoku, które ukończył pod kierunkiem Heleny Frankiewicz (uczennicy Aleksandra Michałowskiego). Dyplom pianistyczny uzyskał w Akademii Muzycznej w Katowicach w klasie prof. Andrzeja Jasińskiego (1988). Studiował również kameralistykę pod kierunkiem prof. Marii Szwajger-Kułakowskiej, a także grę na klawesynie i organach. Jest laureatem konkursów pianistycznych (m.in. Karola Szymanowskiego w Łodzi) oraz wielu nagród w zakresie muzyki kameralnej (m.in. nagrody Polskiego Radia im. Jerzego Lefeldta). Obecnie jest związany pracą pedagogiczną z Akademią Muzyczną w Katowicach. Prowadził również klasę fortepianu na Wydziale Instrumentalno-Pedagogicznym Akademii Muzycznej im. F. Chopina w Białymstoku (2002-2007) i w Liceum Muzycznym w Katowicach. Od 1997 roku współpracuje z Mozarteum w Salzburgu. Prowadzi ożywioną działalność koncertową jako pianista i kameralista w kraju i zagranicą. Występował na prestiżowych festiwalach takich jak „Warszawska Jesień”, „Salzburger Festspiele”. Dokonał wielu nagrań dla Polskiego Radia i Telewizji oraz na płytach CD. Dla wytwórni Selene nagrał po raz pierwszy w historii fonografii utwory Raula Koczańskiego i Aleksandra Michałowskiego, które ukazały się w serii „Wielka polska tradycja chopinowska”.

Wykonanie kopii elektronicznej Kroniki wymagało tytanicznej pracy więc chociaż przy skanowaniu tekstu wkradło się trochę błędów i braków, to jednak dzięki Jackowi każdy z nas może studiować dzieje Rodziny na podstawie dzieła Zdzisława i Kazimiery.



Dwór z Droginii w Skansenie
w Wygiełzowie



Dwór Drogiński
w latach swojej świetności

Pan Dyrektor Muzeum w Chrzanowie, Nadwiślańskiego Parku Etnograficznego w Wygiełzowie-Lipowcu, inspirator przeniesienia do skansenu Dworu z Drogini – **Jerzy Motyka** przywitał Rodzinę Janotów Bzowskich na progu i opowiedział zebrany historię rekonstrukcji Dworu i opisał tytaniczną pracę pozyskiwania funduszy na ten cel. Dwór w latach swojej świetności był wzorem postępu i estetyki, kultury i utrzymania tradycji patriotycznych, przykładem dla okolicznej ludności. Pan Dyrektor wkłada wiele energii w nadanie Dworowi podobnej rangi jaką spełniał kiedyś. Dwór żyje – odbywają się tu koncerty, inscenizacje, wystawy.

Zjazd i wszyscy uczestnicy zostali uwiecznieni przez Alfredę JB z Tarnowa, Janusza Bzowskiego z Krakowa, Elżbietę Sławikowską z Zielonej Góry i Małgorzatę Bzowską-Bakalarz z Lublina na licznych fotografiach. Małgorzata zebrała wszystkie te zdjęcia i w formie prezentacji (program Power Point) przesłała wszystkim Uczestnikom Zjazdu. Uzupełnienie tej dokumentacji fotograficznej stanowią teksty ujmujące nasze wrażenia i wzruszenia. Teksty te drukujemy w porządku chronologicznym.



2.1.1. Powitanie – słowo wstępne Jacka Janoty Bzowskiego z Linii Bobrownickiej



Zacznę od podziękowań.

Pan Dyrektor Jerzy Motyka swoim niezwykłym zaangażowaniem i niespożytą energią umożliwił nam spotkanie w tej nadzwyczajnej oprawie. Nie byłoby to jednak możliwe bez wsparcia Urzędu Marszałkowskiego Województwa Małopolskiego.

Chciałbym, w imieniu naszej Rodziny złożyć jak najserdeczniejsze podziękowania za te, nie przesadzę jeśli powiem – tytaniczne dokonania, na ręce Pana Jerzego, Pana Marszałka oraz wszystkich, którzy przyczynili się do powstania i dbając o utrzymanie, jednego z byłych gniazd Rodziny Janotów Bzowskich.

Z radością i szacunkiem witam w naszym gronie Kazimierę Janotę Bzowską, która w swojej londyńskiej siedzibie, jest od dziesięcioleci siłą napędową pielęgnowania rodzinnych związków i centralnym ośrodkiem informacji o naszej Rodzinie, a która nie bacząc na trudy przybyła z Londynu na nasze spotkanie.

Witam także Małgorzatę Bzowską-Bakalarz, która z ogromną energią i dociekliwością włączyła się w porządkowanie i uzupełnianie danych rodzinnych.

Tradycja

Tradycja z definicji, to przekazywane z pokolenia na pokolenie treści kultury (takie jak: obyczaje, poglądy, wierzenia, sposoby myślenia i zachowania, normy społeczne), uznane przez zbiorowość za społecznie doniosłe dla jej współczesności i przyszłości.

Spustoszeń dokonanych przez sowiecką okupację i brutalne odwrócenie pojęć pod „dyktaturą proletariatu” nie da się już odwrócić. Pozostaje nam pielęgnować to, co udało się zachować. Nie dotyczy to wyłącznie pamiątek materialnych, lecz przede wszystkim pozostałych nam po przodkach przekonań i wartości.

Nie możemy ani na chwilę zapomnieć o obowiązku przekazywania następnym pokoleniom ośmieszanych przez „nowoczesny styl życia”, staromodnych, lecz jakże pięknych pojęć: jak honor, szlachetność, rycerskość czy patriotyzm.

Patriotyzmu nie należy mylić z populistycznym nacjonalizmem. Istotą patriotyzmu jest wykształcona w ciągu stuleci gotowość do ponoszenia ofiar w imię dobra własnego narodu a nie zbijanie politycznego kapitału na niskich emocjach „anty”.

Jestem również przekonany, że gotowość do przejmowania odpowiedzialności oraz uczciwego kierowania sprawami własnymi i współobywateli nie wywodzi się

tylko z wykształcenia i rozmaitych szkoleń, lecz została nam przekazana w genach przez Rodziców oraz ich, pełniących rozliczne funkcje społeczne i państwowe, poprzedników.

Te wartości jest o wiele łatwiej zachować wiedząc, że kilkanaście pokoleń stosowało je, jako swoje podstawowe normy moralne.

Zakończę wyjątkowo trafnym choć nieco smutnym cytatem brazylijskiego pisarza Paolo Coelho:

Tradycje trwają, ale gaśnie stopniowo pragnienie powrotu. Skrywamy je głęboko w sercach, jak nadzieję, którą lubimy się mieć, choć nigdy się nie spełni.

Cieszymy się, zatem z posiadanych wspomnień i korzystajmy z oparcia jakie mnie osobiście, w trudnych sytuacjach życiowych, dała świadomość wielowiekowej kontynuacji tych samych wartości, które stanowiły motyw przewodni w życiu naszych przodków.

Na tym kończę i życzę wszystkim miłego wieczoru.

2.1.2. Ze skrzynki życzeń na zjazd w Drogińskim Dworze w Wygietzowie

19 września 2009 odczytane przez Jerzego JB (wnuka Józefa z Bobrownik)

od Ryszarda syna Jana, wnuka Józefa, linia Bobrownicka:

Kochani.

Od roku 1945 obecne spotkanie jest czwartym spotkaniem rodzinnym. Mam nadzieję że będzie najliczniejszym i najbardziej udanym. Tym razem nie mogę być razem z wami stąd też poprzez Jacka chciałem przekazać parę słów.

Jeżeli myślimy o historii rodziny i możliwości wiedzenia czegokolwiek o niej to poza wyrwykowymi przekazami naszych rodziców podstawową szansą pozyskiwania tej wiedzy jest to że naszym dziadom udało się stworzyć trzy pierwsze Łączniki 1937,38,39 a potem że naszym rodzicom Łączniki te udało się przechować pomimo wojny i wszystkich zaburzeń powojennych.

Pierwsza zrozumiała to Kazimiera i chwala jej za to, że w 1978 r potrafiła doprowadzić do wydania czwartego rocznika, a przecież dokonała tego z Londynu pomimo wielu komplikacji i kłopotów i co ze wstydem trzeba przyznać z bardzo małą pomocą z kraju.

Dlatego choć nie osobiście to tym listem chcę złożyć jej w moim i wszystkich Was obecnych imieniu najserdeczniejsze podziękowania – życząc też zdrowia i wszelkiej pomyślności.

Chwała też wszystkim pozostałym kronikarzom rodzinnym nie mniej palną pierwszeństwa pozostanie w jej ręku.

Wszystkim zebrany życzę miłych wrażeń i nawiązania nowych wspólnych kontaktów rodzinnych.

Jolanta Piotrowska Wiszniewska z Janotów Bzowskich
z linii Bobrownickiej,
Warszawa

Kochany Jacku i cała zebrana Famili!!!!!! Przesyłam dla Wszystkim uści-
ski i pozdrowienia. Żałuję bardzo, że nie mogę być z Wami. Nadal grzecznie
siedzę i czekam na pozwolenie nauki chodzenia. Ciut próbuję, ale niestety boli.
Podziwiam Jacku Ciebie za włożoną pracę w ten zjazd i całuję każdego po ko-
lei. Specjalne całuski dla Kazi, bo Jej zasługi są NIEOCENIONE. !!! Prześlij kilka
fotek z tego spotkania.

Całuję
Jola

od Jerzego Janoty Bzowskiego,
linia Jana z Przemęczan,
Vancouver, Canada. 10 września 2009

Kochani, Jacku i wszyscy zebrani w tym wyjątkowym rodzinnym spotkaniu.
Słów mi brak aby wyrazić moją dumę z naszej rodziny, która po tak wielu
latach od pierwszego Zjazdu w 1923 roku spotyka się znów w tak szeroko zakro-
jonym zakresie obejmującym członków wszystkich gałęzi Janotów Bzowskich.
Cieszy mnie ogromnie wiadomość, że tak wielu bierze udział w tym spotkaniu,
a tym samym sama wiadomość, że chcą podtrzymywać więzi rodzinne, cie-
szy mnie ogromnie. Żałuję tylko, że mnie tam nie będzie, ale na pewno będę
z Wami myślami i chęcią uczestniczenia w następnym Zjeździe. Jako jeden
z członków rodziny, urodzony poza Polską, zawsze byłem zafascynowany na-
szą wspólną historią, pochodzeniem nas wszystkich od Józefa Felicjana i Teo-
fili, a także interesowały mnie losy rodziny po wojnie. Od dziecka studiowałem
„Łączniki” i te moje młodzieńcze zainteresowania na pewno były powodem
powzięcia przez moich rodziców Jana i Kazimierę inicjatywy do wznowienia
pierwszego powojennego „Łącznika Rodzinnego”. Przez tę ich pracę wszyscy
członkowie naszej rodziny zostali odnalezieni tak w Polsce, jak i rozrzućeni po
całym świecie...i zostali umieszczeni w genealogicznym drzewie, którego auto-
rem jest mój młodszy brat Marek. Kronika Rodziny Bzowskich napisana przez
Zdzisława Janotę Bzowskiego jest historycznym dokumentem historii rodu.

Dzisiaj, te same pytania i sprawy rodzinne ciekawią nasze dzieci. Nie
dawno temu dowiedziałem się, że Twoje córki Jacku Julia i Joanna, od dłuższego
czasu bezpośrednio korespondują z naszą córką Kasią przez Internet i Facebo-
ok – w których znalazły wspólne nazwisko. Efekt tej wymiany był elektryzujący,
gdy przez dotarcie do drzewa genealogicznego znalazły wspólne pokrewień-
stwo. Jacku, składam Ci gratulacje za organizowanie tego Zjazdu, za wysiłek
i poświęcenie dla dobra zebranych, i za ten pomysł zgromadzenia tak licznych
członków rodziny. Przypominam sobie, że pierwszy Zjazd był w Bobrownickim

dworze i nie mogę się nacieszyć, że obecny Zjazd odbędzie się w dworze Drogińskim. Od paru lat, oglądałem na Internecie rekonstrukcję tego dworu w Parku Etnograficznym, i lepszego miejsca Zjazdu nie mogłem wybrać. Dwór ten będzie na zawsze reprezentować nie tylko historyczną formę architektoniczną, ale i pamięć dla nas wszystkich skąd pochodzimy.

Wszystkim zebranym życzę wspaniałej zabawy, prawdziwej atmosfery rodzinnej, najlepszych wspomnień wyniesionych z tego Zjazdu, i nowych pomysłów dla podtrzymania tej więzi, która nas łączy z wszystkimi członkami rodziny.

Jerzy Janota Bzowski,
Vancouver, Canada. 10 września 2009

Kasia,
linia Jana z Przemęczan,
życzenia na Zjazd 14.9.2009

Od Kasi Original Message ----- To: Jacek Janota Bzowski, Sent: Sunday, September 13, 2009 10:22 PM Subject: Family Reunion

Dear Uncle Jacek,

My father Jurek Janota-Bzowski has informed me that you have organized a Janota-Bzowski family reunion. I am very impressed with your efforts, this is a wonderful thing which you have put together. I have recently become friends with your daughters Julia and Joanna through Facebook. We talk, and it's nice to keep in touch with my family from Poland. I do believe that you have met my Babcia, Kazimiera Janota-Bzowska. She is a blessing upon our family and has done so much in her lifetime. I am happy to know that we have such dedicated people like you and her. I hope that we can make this reunion a regular tradition because I would love to attend it in the future, (once I have finished university). Have a fun time with the family.

Always,
Kasia Janota-Bzowska

Od Marka Janoty Bzowskiego,
linia Jana z Przemęczan,
Boston Massachusetts USA 3.9.2009

„Życzenia na Zjazd dla Jacka i uczestników. Drogi Jacku i wszyscy zebrani na uroczystym rodzinnym spotkaniu. Podzielał waszą radość z tego pięknego spotkania i żałuję tylko, że nie mogę w nim uczestniczyć. Duże odległości z Ameryki do Polski rozdzielają nas technicznie, ale nie uczuciowo. Myślą i sercem jestem z Wami. Niemal wszystkich Was znam z Łącznika Rodzinnego, kiedy „tworzyłem” Drzewo Rodziny Janotów Bzowskich do 4 Zeszytu. Niektórzy z Was byli jeszcze małymi dziećmi, teraz sami macie własne potomstwo i z nim bierzecie udział w tym pa-

miętnym rodzinnym Zjeździe w Wygielzowie. Jackowi przesyłam należne gratulacje za wielki wkład pracy i energii w zorganizowanie tego spotkania. Wszystkim obecnym życzę dobrej zabawy, wielu miłych wspomnień w rodzinnej atmosferze oraz nowych pomysłów do najbliższego Łącznika, który, jak wiem, jest już w opracowaniu. Wszystkim przesyłam serdeczne pozdrowienia.

Marek Janota Bzowski,
Boston, USA. 19 września 2009

2.1.3. Słów kilka na Zjazd



Jestem Kazimiera Janota Bzowska żona legendarnego pana Jana.

Kochani,

cieszę się, że zebraliśmy się na tym specjalnym Zjeździe, który zawdzięczamy Jackowi. W tym miejscu pragnę, w imieniu wszystkich złożyć mu serdeczne i należne gratulacje. Wysiłek jego owocował w tak liczne przybycie członków wielu linii i gałęzi rodziny Janotów Bzowskich. Dumni z tego jesteśmy.

Głównym celem naszego spotkania jest przede wszystkim utrzymywanie międzyrodzinnej więzi, która nas wszystkich łączy wspólnym pochodzeniem. Czy to w kraju czy za granicą, starajmy się zacieśniać ten kontakt ze sobą, gdyż tylko w ten sposób możemy zapewnić ciągłość wartości przekazywanych nam przez poprzednie pokolenia. A szkoda byłoby zmarnować dorobek naszych przodków, którzy zostawili nam piękną spuściznę rodu, ocaloną od zapomnienia przez przedwojenne Łączniki i tym powojennym numerem 4, który w pewnym sensie zapoczątkował odnalezienie się tak wielu rozrzuconych przez wojnę członków rodziny. Obecnie w dobie komputerów, Internetu, nie potrzebujemy się tak mozolnie odszukiwać, jak to robił Pan Jan, mój mąż, jeżdżąc rzemiennym dyszłem po Polsce w celu odnalezienia pogubionych Janotów Bzowskich.

Myślą przewodnią dzisiejszego spotkania jest włączenie się, obecnych i nieobecnych członków rodziny w dalszy ciąg Łączników Rodziny, by pokolenia po nas nie zapomniały, skąd pochodzą. Im przekazujemy pałeczkę, by oni już teraz stali się heroldami przyszłych Łączników... przyszłej historii rodu, przyszłych spotkań rodzinnych, tworząc rodzaj Sejmików, na których będą omawiane sprawy rodzinno łącznikowe. Dzisiejszy stan rodziny wymaga nowego Drzewa, które powinno być powiększone, tak jak to zrobił mój syn, Marek Janota Bzowski, obecnie w Bostonie w USA. O tym też musimy pomyśleć.

Wszystkim uczestnikom Zjazdu życzę wzajemnego poznania się oraz najlepszych wspomnień z tego wyjątkowego spotkania. Wysięk Jacka, co jeszcze raz pragnę podkreślić, jak widzimy, został nagrodzony wielkim sukcesem. Równocześnie pragnę podkreślić, że dzięki pracowitości Małgorzaty, ostatniej odnalezionej członkini rodu Janotów Bzowskich, (dzięki, tym razem, Internetowi), mamy dziś uporządkowany numer 5 Łącznika rodzinnego, opracowanego przez Kazimierza Janotę Bzowskiego z Warszawy. Jacku, Małgosiu dziękujemy Wam z całego serca.

Kazimiera Janota Bzowska,
Londyn, 19 września 2009

2.1.4. Wspomnienia z Drogini

Krzysztof Kunachowicz, linia Drogińska, z Warszawy,
w skrócie przedstawione na zjeździe rodzinnym JB
19 września 2009 w Wygiełzowie.

Prawie wszyscy tu obecni mamy wspólnego przodka Józefa Felicjana Janotę Bzowskiego żyjącego w czasach na tyle odległych (1704-1769), że zdążyliśmy się w kolejnych pokoleniach szeroko rozsypać i wiedza o liniach i gałęziach rodu stała się ograniczona do najbliższej rodziny. Spotkaliśmy się w drogińskim dworze, więc krótko opowiem o Drogini w okresie kiedy władał nią mój dziadek Kazimierz, ostatni właściciel majątku do czasu reformy rolnej. Droginia położona w dolinie Raby znajduje się ok 30 km na południe od Krakowa (Zakopianką 23 km do Myślenic, a potem 7 km na wschód w kierunku Dobczyc). Właśnie, gdyby nie Raba, nie spotkalibyśmy się tutaj – nie byłoby racji dla rozbiórki i przenoszenia dworu z terenu Zalewu Dobczyckiego. Wieś Droginia należy do bardzo starych osad. Dokumenty wskazują że już w XII wieku była posiadłością Cystersów. Pod koniec XV wieku została przejęta przez Jordanów herbu Trzy Trąby, którzy władali nią przeszło 300 lat. Michał Jordan zbudował dwór w 1730 r. (data widoczna na belce stropowej). W roku 1807 dobra drogińskie nabył Fortunat Dąmbowski herbu Godziemba, po nim dziedziczył syn Dominik, zamordowany w czasie rzezi galicyjskiej (1846). Wówczas majątek po okresie waśni rodzinnych przejęła jego siostra Marianna, żona Kazimierza JB (1792-1862), wnuka Józefa Felicjana. W okresie służby wojskowej, Kazimierz, między innymi, pełnił funkcje adiutanta księcia Józefa Poniatowskiego. Pamiętam, że w bibliotece dworskiej na eksponowanym miejscu w gablocie były zawieszony elementy jego wyposażenia oficerskiego z czasów napoleońskich i kubek, z którego pił ks (Książę) Józef.



Dzisiaj przed południem razem z synem Pawłem w Będkowicach, 30 km stąd, idąc ulicą Bzowskich, doszliśmy za wsią do kopca – grobowca, gdzie pochowani są Kazimierz i jego ojciec Hiacent JB, jako założyciele tej miejscowości.



Kazimierz w 1856 r. otrzymał pełnomocnictwo od swojej żony i majątek przeszedł w ręce rodziny JB na trzy pokolenia: od Kazimierza męża Marianny do Kazimierza (mojego dziadka) ostatniego właściciela do czasu reformy rolnej PRL.

Cztery lata po śmierci Kazimierza, męża Marianny, ich syn Bogusław został dziedzicem dóbr drogińskich. Był dobrym gospodarzem, działaczem społecznym Ziemi Myślenickiej między innymi marszałkiem sejmiku powiatowego, także posłem do sejmu galicyjskiego. W 1854 r. ożenił się z Leonią hr. Stadnicką. Pamiątkowe tablice z ich nazwiskami wmurowane w kościele drogińskim, które co niedziela oglądałem z ławki kolatorskiej, po jego rozebraniu, zostały przeniesione do małego kościółka (utworzonego z części materiału rozebranej świątyni) nad zalewem i można je tam zobaczyć.

Bogusław i Leonia mieli 9-cioro dzieci. Najstarszy syn Kazimierz (1864-1946) został właścicielem dóbr drogińskich w 1897r. Podobnie jak ojciec, był aktywny społecznie i politycznie. Przez wiele lat (17) piastował godność Marszałka Rady Powiatowej w Myślenicach, został wybrany do sejmu galicyjskiego (1912), przewodniczył też Powiatowemu Komitetowi Narodowemu (1914), który werbował ochotników i zbierał środki do ekwipowania powstających Legionów Polskich. Tytuł „marszałek” był powszechnie używany przez interesantów i gości w stosunku do dziadka jeszcze w czasach okupacji, tak że w swoich młodych latach byłem serio przekonany, że jest dwóch marszałków w Polsce: Józef Piłsudski i Kazimierz Janota Bzowski. W 1896 r. ożenił się z Wandą Romerówną herbu Jelita z Zabelcza koło Nowego Sącza.

Dochowali się ośmiorga dzieci: sześciu córek i dwóch synów. Dwie panny wyszły za mąż za ułanów, a trzy wstąpiły do klasztorów, jedna – Maria – niezamężna. Najstarsza z rodzeństwa Helena, moja matka wzięła ślub w 1922 r. w kościele

drogińskim z Andrzejem Kunachowiczem, legionistą, a wówczas rotmistrzem 2-go Pułku Szwoleżerów Rokitniańskich.

Konkury ojca, jak pisze w swoich wspomnieniach, nie były łatwe, ale sława kawalera Orderu Virtuti Militari, który niedawno wrócił ze zwycięskiej wojny z bolszewikami, przyjaźń z sąsiadem drogińskim, właścicielem Osieczan Janem Dunin Brzezińskim, oficerem Legionów, przy patriotycznej postawie rodziny, zrobiły swoje. W tym czasie część 2 pułku szwoleżerów stacjonowała w Bielsku a część w Bochni. Tą ostatnią dowodził ojciec, mając pod swoją komendą rotmistrzów Klemensa Rudnickiego i Henryka Dobrzańskiego (późniejszego Hubala). Oficerowie z Bochni robili wypadki konne do zaprzyjaźnionych rodzin ziemiańskich, do swojego dowódcy z czasów legionowych w Osieczanach i do Drogini, gdzie były panny na wydaniu.

Wesele odbyło się w ścianach tego dworu i choć był tak zwany cichy ślub, to było ludno, bo każde z państwa młodych miało po siedmioro rodzeństwa.

Świadkami ślubu byli: siostra matki Ludwina, przyszła żona oficera 9-tego pułku ułanów Wojciecha Nekanda Trepki i przyjaciel ojca rotmistrz szwoleżerów Klemens Rudnicki, później generał, dowódca polskiej dywizji pancernej w II wojnie światowej.

W okresie międzywojennym do dóbr drogińskich należały grunty rolne i leśne we wsiach Droginica, Zasań, Lipnik i Brzeczowice. Te ostatnie stanowiły wiano babci Wandy i zostały sprzedane w 1936 r. Przygotowując się do ewentualnej ustawy reprivatyzacyjnej, zebraliśmy wypisy z ksiąg wieczystych (prawdopodobnie nie wszystkie) wskazujące na wielkość majątku nieznacznie większą niż 1000 ha, w tym około 900 ha lasu, głównie na górach Kamienniku i Łysinie położonych 14 km od Drogini, w Beskidzie Wyspowym (Kamiennik w całości należał do Drogini, a Łysina w połowie – druga część do ks. Lubomirskiego). Co roku w okresie letnim urządzane były wyprawy z udziałem licznej dzieciarni z biwakiem i spaniem w kopce siana na Suchej Polanie między Kamiennikiem i Łysiną. Nocą wychodziliśmy stromą, leśną drogą do obserwatorium astronomicznego Uniwersytetu Jagiellońskiego pod szczytem Łysiny, żeby oglądać księżyc i planety przez teleskop, a byliśmy życzliwie przyjmowani, bo dziadek ofiarował drzewo z lasu przy budowie tego obserwatorium. Dodatkową atrakcją były oscypki od górali, którym Sucha Polana była wynajmowana na wypas owiec. Do majątku należał tartak w Lipniku położony obok leśniczówki. Lasami i tartakiem zarządzał młodszy syn dziadka Kazimierza wuj Franciszek (Ciszek), absolwent UJ. Mało znany jest fakt, że przy tartaku powstała wytwórnia soków owocowych. Pomysł wziął się z Tymbarku, bo wuj Ciszek ożenił się z Janiną Turską



Helena Kunachowicz
z Janotów Bzowskich

córką właścicielki majątku Tymbark, panią Zofią, współzałożycielką Podhalańskiej Spółdzielni Owocarskiej, protoplastą działających dzisiaj zakładów owocowych „Tymbark”. Soki bezpośrednio spod prasy smakowały nam nadzwyczajnie.

Dwór wzniesiony przez Michała Jordana, został na początku XX wieku (1908 r.) przebudowany. Od strony wschodniej dobudowano piętro z dużą werandą i balkonem, a od frontu kamienny portyk kolumnowy ten, który jest obecnie, nazywany przez nas gankiem. Na niewysokim murku, pomiędzy kolumnami, stały dwie „kule armatnie”, atrakcyjne dla chłopców niewypały z czasu pierwszej wojny. Na ganku w lecie był podawany podwieczorek, często z owocami z lasu – pysznymi poziomkami, malinami i borówkami. Dom stał w parku od południowej strony otoczony trawnikami i niskimi krzewami, dając dalszą perspektywę, a od strony wschodniej był najpierw staw a za nim aleje starodrzewu z kilkoma drzewami, które nazywano by dzisiaj pomnikami przyrody.



Wanda z Romerów
Janotowa Bzowska

Za stawem królowały kort tenisowy i boisko do siatkówki. Młodzież miała przywilej zbierania piłek, walcowania nawierzchni, a po grze starszych, nauki gry na korcie. Przy ważniejszych turniejach tenisowych przenosiliśmy z biblioteki tak zwaną ambonę spełniającą wtedy funkcję wieży sędziowskiej, a przeznaczonej do korzystania z książek w szafkach pod sufitem. Częstoścymi gośćmi na korcie byli wujowie Głazewscy z Chmielowej i ciocia Lili Sławikowska mistrzyni Małopolski. Uprawialiśmy „stumetrówki” dookoła klombu, oraz rzuty oszczepem i dyskiem.

Zimą z zapałem jeździliśmy na pobliskich pagórkach na nartach, a zamrażnięty staw pozwalał na korzystanie z łyżew. Zdarzały się wpadki do przerębli wyrąbanych z uwagi na hodowane karpie, przewidziane dla fernali i domu, na Boże Narodzenie. W tym okresie wydarzeniem były polowania. Zjeżdżali się wtedy synowie i zięciowie dziadka, Konopkowie z Mogilan i Głogoczowa, wuj Tadeusz Bzowski znakomity strzelec z Bobrownik, wuj Leszek Romer z synami z Jodłownika i wielu innych. Nad stawem stała wysoka oranżeria z drzewami cytrynowymi i figami, nigdy nie mogliśmy się doczekać kiedy figi dojrzeją. Od strony zachodniej była oficyna, porządny budynek murowany z mieszkaniem i biurem administracji, na parterze i piętrze z pokojami gościnnymi. Osobnymi budynkami były kuchnia połączona z dworem zadaszonym korytarzem, oraz garaż, stajnia koni cugowych i powozownia z karetą, landem, powozem, bryczką, linijką i parą sanek. Lubiliśmy tam chodzić, bo zabawy w tych pojazdach były doskonałe – szczególnie, że na strychu przechowywano cał-

Zimą z zapałem jeździliśmy na pobliskich pagórkach na nartach, a zamrażnięty staw pozwalał na korzystanie z łyżew. Zdarzały się wpadki do przerębli wyrąbanych z uwagi na hodowane karpie, przewidziane dla fernali i domu, na Boże Narodzenie. W tym okresie wydarzeniem były polowania. Zjeżdżali się wtedy synowie i zięciowie dziadka, Konopkowie z Mogilan i Głogoczowa, wuj Tadeusz Bzowski znakomity strzelec z Bobrownik, wuj Leszek Romer z synami z Jodłownika i wielu innych. Nad stawem stała wysoka oranżeria z drzewami cytrynowymi i figami, nigdy nie mogliśmy się doczekać kiedy figi dojrzeją. Od strony zachodniej była oficyna, porządny budynek murowany z mieszkaniem i biurem administracji, na parterze i piętrze z pokojami gościnnymi. Osobnymi budynkami były kuchnia połączona z dworem zadaszonym korytarzem, oraz garaż, stajnia koni cugowych i powozownia z karetą, landem, powozem, bryczką, linijką i parą sanek. Lubiliśmy tam chodzić, bo zabawy w tych pojazdach były doskonałe – szczególnie, że na strychu przechowywano cał-

kiem smaczny zbiór maku. Starsza młodzież brała udział w zbieraniu maku, w dyżurach przy młócce czy udoju. Z tyłu za dworem płynęła rzeczka Banówka do młyna należącego do majątku, wpadająca dalej do Raby, ulubionej naszej rzeki z kryształową wodą i wspaniałymi miejscami kąpielowymi.

Do zasadniczej części gospodarstwa, nazywanej folwarkiem, dochodziło się przekraczając położoną za parkiem główną drogę – gościniec prowadzący na zachód do Myślenic, a na wschód do Dobczyc. (Gościniec stanowił fragment traktu łączącego stolicę Galicji Lwów z Wiedniem. Według tradycji przebieg gościńca przez Droginię był wynikiem wpływów właścicieli na dworze wiedeńskim). Na folwarku stały: obora, stajnia koni roboczych, chlewnia, stodoła, wozownia, spichlerz, maszyny rolnicze i mieszkania pracowników.

Wakacyjne słodkie życie 1939 r. zostało gwałtownie przerwane we wrześniu. Decyzją starszych młodzież szkolna – Renia, moja siostra, Maciek i Staszek Nekanda Trepkowie, Dodo Cyrus Sobolewski i ja siadamy z ciotką Ludą na wóz drabiniasty zaprzężony w najlepsze konie cugowe i z fornałem Walentym ruszamy na wschód do Zwiernika, majątku brata naszego dziadka Wincentego JB, odległego około 100 km. Dla nas, młodych optymistów przekonanych, że Niemcom damy łupnia wyjazd był dodatkową atrakcją i przedłużeniem wakacji. Ledwo dojechaliśmy na miejsce, widzimy że Zwiernik pakuje w pośpiechu manatki i rusza na wschód. Wobec tego – nie ma jak rozległa rodzina Janotów Bzowskich – jedziemy do Borusowej, majątku drugiego brata dziadka Kazimierza – Jana, tym razem na północ, nad Wisłę. Sytuacja się powtarza. Borusowa na walizkach. Zmieniamy kierunek na wschodni i łądujemy w Trześni w majątku Hippmanów – u ciotki Anki Hippmanowej z domu Bzowskiej, córki Wincentego ze Zwiernika. Zastajemy dom pełen uciekinierów, jesteśmy zyczliwie przyjęci, śpimy pokotem na słomie. W Trześni dopędzają nas Niemcy. Pierwszy „sabotaż” – sypię Niemcom piasek do luf karabinów stojących pod oknem. Czekamy na rozwój sytuacji i wiadomości od rodziny, humory coraz bardziej minorowe, szczególnie po 17 września. Trudności aprowizacyjne rosną. Dobiła do nas moja matka, pokonując na piechotę 30 km z Rzeszowa, do którego dostała się ze swoim ojcem i braćmi samochodem z Drogini. Dziadek Kazimierz nie miał ochoty opuszczać dworu, ale ostatecznie uległ presji synów. Jak się okazało, dojechali do Lwowa i dalej na południe do majątku Chmielowa, należącego do szwagra dziadka – Adama Głazewskiego, a położonego nad Dniestrem 200 km od Lwowa, niedaleko Jazłowca.

W Trześni podejmujemy (matka i ciotka Trepka) decyzję: wracamy do Drogini. Tym samym ekwipażem mijamy wieś i miasteczka wyraźnie zaznaczone piętnem wojny. Nocujemy w dworze pp Marszałkowiczów w Zgłobicach za Tarnowem. Dwór splądrowany. Myślimy: czy Droginia w podobnym stanie, czy w ogóle istnieje jeszcze dwór? W miarę zbliżania się napięcie rośnie, spotykane osoby mają różne zdania. Wreszcie most na Rabie, jeszcze 1 km i widzimy jest, jest nasz kochany dom! Radość nasza krótko trwała, bo zjawia się niemiecki zarządcą Rittmeister (rotmistrz) Rentch,

zabiera klucze informując, że ma wszystkich mieszkańców wyrzucić z domu. Okazuje się, że jest właścicielem majątku w Prusach Wschodnich. Ostatecznie oświadcza, że widząc same kobiety i dzieci, podejmuje rycerską decyzję i zostawia nas we dworze, a sam zamieszka w oficynie. Powoli docierają do nas wieści o rozproszonej zawieruchą rodzinie. Dziadzio Kazimierz i dziadek Adam Głazewski po trudnych przejściach przy pomocy zaprzyjaźnionych z dworem Ukraińców, uchronili się przed aresztowaniem w Chmielowej i są we Lwowie. Tam też najmłodsza ciotka drogińska Marysia spotkała się z ojcem po peregrynacji z Katowic, gdzie pracowała w Roburze. We Lwowie jest też część rodziny Zwiernickiej. Wujowie Bzowscy Jacek i Ciszek przeszli granicę z Rumunią, wuj Nekanda Trepka na Węgrzech, a mój ojciec ciężko ranny leży w szpitalu w Łodzi. Na trzecią z kolei wojnę w siodle wyruszył ze swoim 20 pułkiem ułanów, a w pierwszym tygodniu września przejął dowodzenie Kresowej Brygady Kawalerii w Armii Łódź i niedługo potem zostaje ranny w boju z Niemcami.

Zaczyna się codzienne życie okupacyjne. Trudności z prowadzeniem gospodarstwa i wyżywieniem coraz liczniejszych mieszkańców dworu. Ciotki zorganizowały we dworze tajne nauczanie młodzieży z udziałem profesorów z Myślenic: Stefana Ralskiego i Gorączki. Dziadziowi Kazimierzowi udało się wraz z córką Marysią wyrwać ze Lwowa, pokonać granicę na Sanie i dojechać do Drogini. Do dworu zostaje przyjęta rodzina ziemiańska wysiedlona z Poznańskiego – pani Maria Milewska z dwoma synami. Mąż zginął w Katyniu, starszy syn Kazio po zabawie z niewypałamii pozostałymi po przejściu frontu w Drogini, ranny, umiera w Myślenicach. Młodszy Jurek w późniejszych latach stał się działaczem Solidarności, („Solidarności”) w stanie wojennym szefem Biura Solidarności („Solidarności”) w Brukseli, a potem Szefem Biura Bezpieczeństwa Narodowego (BBN) w randze ministra.

Po nawiązaniu kontaktu z organizacją ziemiańską związaną z AK, o kryptoniach „Uprawa” i „Tarcza” dwór wspomagał zaopatrzeniem żywnościowym i drzewem z tartaku oddziały AK bazujące w lasach majątku na zboczach gór Łysina i Kamiennik. Z polecenia „Tarczy” dwór zakupił i przechowywał część wyposażenia szpitala polowego, środki opatrunkowe i lekarstwa do dyspozycji AK. Informacje o postępach na frontach wojny czerpaliśmy z posiadanych nielegalnych odbiorników radiowych, jeden tylko na fale krótkie zmontowany przeze mnie, drugi „załatwiony” przez Doda Sobolewskiego z zakładów Philipsa w Warszawie, przeznaczony do wyposażenia niemieckich łodzi podwodnych. W przywiezieniu tego sprzętu pomagał nam kierowca Bezirklandwirta, Niemca von Henke. Ten ostatni dostał przydział do Drogini i mieszkał w oficynie. Był antyhitlerowcem i antykomunistą. Zawsze o godzinie 14-tej słuchał wiadomości z frontów nie radia niemieckiego a BBC z Londynu. Po wojnie został zaliczony do „Dziesięciu sprawiedliwych” bo pomagał Polakom (Jan Turnau *Dziesięciu sprawiedliwych*, Biblioteka Więzi, Warszawa 1986).

Lato i jesień 1944 r. to wzmożona aktywność oddziałów partyzanckich, a także band podejrzanego autoramentu. Dwór coraz pełniejszy, są już nasi najmłodszy Hania i Marek Bzowscy, a po powstaniu – ciotka Sobolewska z córką Lidką – świeżym

kapralem z Krzyżem Walecznych, a także okresowo „spaleni” akowcy. W dzień rekwizycje niemieckie, w nocy „wizyty” i rekwizycje nie zawsze prawdziwych partyzantów. Zapamiętałem na długo jak w czasie nocnej wizyty partyzanci sowieccy chcieli Maćka Trepkę i mnie rozstrzelać. Dokuczliwe były też częste kwaterunki, Wermachtu i łapanki do kopania okopów. W sierpniową niedzielę kwaterujące wojsko i policja otoczyło kościół, zabrało wielu chłopów, w tym pracowników dworskich, a naszego proboszcza ks.

Zygmunta Krywułta wywieźli do obozu w Dachau. W intencji zmniejszenia działań represyjnych i dostaw obowiązkowych z jednej strony i zaprzestania ataków partyzantów na okupantów z drugiej, wspomniany von Henke doprowadził do spotkania Niemców z przedstawicielami Dowódcy Inspektoratu AK My-



Trzy pokolenia Janotów Bzowskich: Kazimierz (1864-1946), Bogusław (1821-1911), Jacek (1899-1966)

ślenice płk Wiktora Horodyńskiego pseudonim Kościeszka. Spotkanie odbyło się w Drogini pod naszym kamieniołomem, niedaleko ruin browaru 27 sierpnia, poprzedzone nagłym najściem gestapo na dwór. Część negocjacji prowadzona była na rynku w Dobczycach, nie doprowadzając do zamierzonych rezultatów. Przeciwnie w bliskim Drogini Beskidzie Wyspowym nasiliły się potyczki i bitwy prowadzone ze zmiennym szczęściem, których konsekwencją były krwawe pacyfikacje. Niemcy mordowali ludność cywilną, spalili Glichów, Poznakowice, Wiśniową i Lipnik, z należącymi do majątku leśnictwem i tartakiem. Zginął w walce zaprzyjaźniony z nami, częsty gość w Drogini, Lolek Czech. Oddziały partyzanckie musiały przenieść się w inne rejony, a częściowo się zdemobilizować.

W tym okresie zakończyłem przeszkolenie AK prowadzone przez podchorążego Żaka w niedalekim majątku Zakliczyn należący do pani Iwaszkiewiczowej i zameldowałem się w obozie na Kamienniku, w pododdziale łączności dowodzoną przez Kazimierza Cyrusa Sobolewskiego, pseudonim Vis, właśnie, gdy zapadła decyzja o ewakuacji i częściowym rozformowaniu z powodu bezpośredniego zagrożenia. Wymknąłem się z okrążenia, wynosząc prądnice od polowej radiostacji. W Drogini we dworze była też rewizja, szczęśliwie Niemcy nie znaleźli broni, którą zdobyliśmy razem z Maciejem Nekandą-Trepką (moim bratem ciotecznym, młodszym o dwa lata, rocznik 1929), rozbijając dwóch żołnierzy, niezbyt mądrze, bo za

blisko dworu. Doszła do nas smutna wiadomość, że kuzyn Lolka Henryk Czech de Lindenwald (z Kóz), też bywalec w Drogini poniósł śmierć żołnierską pełniąc służbę w plutonie konnym ochrony sztabu Okręgu Krakowskiego AK. Dowódcą okręgu był wówczas płk Edward Godlewski „Izabelka” „Garda”, przed wojną dowódca słynnego 14 Pułku Ułanów Jazłowieckich, który przejął to stanowisko w 1936 r., po moim ojcu Andrzeju. Smutnych wiadomości napływało więcej: w Warszawie w klasztorze SS Sakramentek na Nowym Mieście zmarła siostra matki ciocia Hania JB, Dodo żołnierz AK zginął w pierwszych dniach Powstania, a jego ojciec, wuj Marek Cyrus Sobolewski został zamordowany na Montelupich w Krakowie.

Wdzieliśmy jednak zbliżający się wreszcie koniec Niemiec hitlerowskich, koniec udręki okupacyjnej, a niepełne informacje o niekorzystnych ustaleniach alianatów odsuwaliśmy na drugi plan. Interesująco i w optymistycznym nastroju minął ostatni sylwester wojenny. Z sąsiedztwa z Osieczan przyjechało sporo gości, między innymi minister Targowski z rodziną (minister pełnomocny RP – ambasador w Japonii), kompozytor prof. Ludomir Różycki, komandor Mieczysław Burhardt z rodziną – wieloletni wilk morski, pływał już we flocie carskiej w wojnie z Japonią, a aktualnie hodował karakuly w Osieczanach, Ewa Wernik akompaniatorka Ady Sari a też Lidka i Medard Konopkowie z Myślenic. Zainscenizowaliśmy zamach na Hitlera w Wilczym Szańcu. „Hitler” siedział pod fortepianem. Później przez posiadane radio, udając BBC „nadawaliśmy” sensacyjne informacje o postępach na froncie zagrożające włóściom pp Targowskich. Goście odwzajemnili się występami artystycznymi na wyższym poziomie, bo po Powstaniu Warszawskim minister dał schronienie w Osieczanach wysiedlonym ze stolicy artystom.

W styczniu ruszyła ofensywa i wkrótce bolszewicy byli pod Droginią. Moja siostra Renia przeżyła dramatyczne momenty, ewakuując materiał sanitarny – depozyt AK. 21 stycznia wywiązała się gwałtowna bitwa, bo Niemcy otoczeni nie mieli gdzie się swobodnie wycofać. Mieszkańcy dworu przesiedzieli w piwnicy w ogrodzie warzywnym dzień i niespokojną noc. Rano pokazali się pierwsi żołnierze sowiecy i rozpoczęła się gehenna codziennego „smotrania” i rabowania, w domu i gospodarstwie przez „towariszczi”. Podobnie było w innych siedzibach ziemiańskich. Przyjechała do Drogini Marysia Konopczanka (później zamężna Potocka z Krzeszowic, której córkę Maryś poznałem w Waszyngtonie w 1997 r. na imieninach p. Zofii Korbońskiej) i opowiadała o przejściach i rabunkach w Głogoczowie i Mogilanach, to samo p. Strzęboszowa z Falkowic. Tymbark też nie został oszczędzony. Na początku lutego delegaci rządu utworzyli komitet folwarczny z Walentym, który nas woził w 1939 r. jako przewodniczącym, fonałem Brasiem – ogrodnikiem, który został sekretarzem z zadaniem pilnowania majątku, już państwowego. Dziesiątego lutego zmarł Kazio Milewski przywieziony wcześniej do szpitala w Myślenicach po swojej niefortunnej zabawie z niewypałami. Dwudziestego trzeciego lutego przyjechała powiatowa komisja reformy rolnej i nakazała opuszczenie majątku w ciągu 3 dni i tylko z osobistymi rzeczami, mówiąc, że tak długi termin to przywilej dlatego,

że służba, pracownicy i mieszkańcy wsi bardzo pozytywnie ocenili swojego „Pana”. Rzeczywiście relacje łączące dwór ze wsią były tradycyjnie dobre. W dużej mierze było to zasługą dziadka, który nie odmawiał pomocy potrzebującym i cieszył się powszechnym szacunkiem.

Życzliwość ze strony mieszkańców, i to nie tylko tych najbliższych, odczuliśmy wyraźnie w tym okresie. Dodatkową trudnością wyjazdu był brak własnych środków transportu i uszkodzone oba mosty na Rabie: na zachód i na wschód. 24 lutego moja matka zabrała do Krakowa swojego ojca Kazimierza JB – ostatniego właściciela Drogini. Dziadzio zmarł rok później w Krakowie w mieszkaniu przy placu Na Groblach pod Wawelem i został pochowany w rodzinnej kaplicy grobowej na cmentarzu rakowickim. W późniejszych latach odwiedzałem Droginię, dwór i park, pokazując żonie i naszym dzieciom Joannie i Pawłowi ulubione miejsca, a jeszcze później zalew, nowy kościół z pamiątkami, a także Suchą Polanę i Kamiennik. Oglądałem elementy rozebranego dworu składowane w Osieczanach pod przewiewną wiatą, widząc postępujące z czasem niszczenie zabytku i brak możliwości realizacji założonej kiedyś koncepcji jego odbudowy. A jednak... dokonał tego Pan Jerzy Motyka, dyrektor skansenu w Wygiełzowie. I stoi nasz dwór, ale nie nasz i pięknieje dzięki wysiłkowi zespołu pracowników skansenu. Doceniając sensowność przedsięwzięcia, starania i osiągnięte efekty – wnuczki i wnuki Kazimierza Janoty Bzowskiego przekazali w tym roku (2009) do Wygiełzowa portrety swoich przodków.



Dwór w Drogimi – malował Stanisław Jankowski 1921 r.

2.1.5. Relacje i wrażenia ze zjazdu

Kazimiera Janota Bzowska z Londynu

Zjazd rodziny Janotów bzowskich w drogińskim dworze w Wygiełzowie 2009

Pierwszy dzień: 19 września 2009

*„Tradycje trwają, ale gaśnie stopniowo pragnienie powrotu.
Skrywamy je głęboko w sercach jak nadzieję, którą lubimy się macić,
choć nigdy się nie spełni!”*

Rozpakowałam się z walizek po powrocie z Polski, ale jeszcze nie z notatek ze Zjazdu w Wygiełzowie. Muszę najpierw ochłoniąć z wrażeń, przeżyć, radości z ujrzenia tak wielu wspaniałych Janotów Bzowskich, którzy się tak dobrze spisali i nie bacząc na odległości, przybyli na to spotkanie. Od chwili powitań do pożegnań każdy moment był jedną wielką uctwą duchową. Otoczona gronem blisko pięćdziesięciu osób, w przeważającej części młodymi ludźmi, zdałam sobie dopiero teraz sprawę jak to od 4 naszego „Łącznika” wydanego w Londynie 1978 roku dwa pokolenia zdążyły już wyrosnąć!

W chwili zasiadania do sprawozdania ze Zjazdu Rodzinnego, jestem jeszcze tak przepełniona wrażeniami, że muszę najpierw rozluźnić swoje emocje, żeby nie popadać w euforię, choć właściwie wszystko jest warte opisanie w superlatywach, podziwianiu, zachwytach, oczarowaniu. Pisząc to sprawozdanie, wróciłam do naszych sporządzanych zapisków do 4 Zeszytu, oznaczanych znakiem zapytania przy przedwojennych imionach Janotów Bzowskich, z którymi przez działania wojenne urwał się kontakt. Wiadomości nadsyłane przez odnajdywanych członków dodawały nam wiary w słuszność naszych zamierzeń, które spotkały się z rzeczywistym sukcesem. Od chwili jego wydania niemal wszyscy zaczęli się odnajdować w tym powojennym zawirowaniu. Teraz, po z górą czterdziestu latach do prawdziwych zwycięstw zaliczyć należy osiągnięty cel Jacka Janoty Bzowskiego z linii bobrownickiej, a więc Zjazd w Drogińskim Dworze w Wygiełzowie. Przypomnieć tu warto, że podczas spotkania w domu Włodzimierza i Barbary z Janotów Bzowskich Zychów w Warszawie, w której udział brali Małgorzata Bzowska-Bakalarz, Jacek Janota Bzowski i Elżbieta Sławikowska, Barbara, wnuczka Kazimierza z Drogini, pierwsza zasugerowała planowany Zjazd nie gdzie indziej, tylko w Wygiełzowie, w nowo odbudowanym drogińskim dworze. Od tej chwili kółka zaczęły się kręcić we właściwym kierunku. Jacek całe przedsięwzięcie zwołania Zjazdu wziął na siebie. Jak potem wspomniął, spotkanie rodzinne w dworze nie odbyło by się bez wsparcia dyrektora Skansenu p. Jerzego Motyki oraz Urzędu Marszałkowskiego Wojewódz-

1 Cytat brazylijskiego pisarza Paolo Coelho – użyty w powitalnym przemówieniu przez Jacka Janotę Bzowskiego na otwarciu Rodzinnego Zjazdu w Wygiełzowie 19 września 2009 roku.

stwa Małopolskiego jak i wielu dobroczyńców. Powiadomienie wszystkich o Zjeździe drogą nowoczesnej techniki, czyli Internetem nasuwało wiele problemów. Czy się uda ta cała inicjatywa ze zgromadzeniem tak wielu z tak daleka? Dylemat nie do pozazdroszczenia. Nadszedł wreszcie upragniony dzień. Wszystko było zapięte na przysłowiowy „ostatni guzik”. Pogoda dopisała w całym blasku słońca i błękicie nieba. Z samochodów przed zajazdem do dworu wysypywali się liczni członkowie rodziny Janotów Bzowskich, wielu pochodzących z różnych linii, spokrewnionych, starszych i z tą najmłodszą generacją z Olsztyna, Krakowa, Lublina, Zielonej Góry, Warszawy, Remiszewa, Podkowy Leśnej, Kielc i z Londynu. Spotkania z dawno nie widzianymi członkami rodziny, wzajemne poznawanie się ułatwione przez identyfikatory z nazwiskiem, imieniem i miejscem pochodzenia stworzyły naturalną atmosferę przyjaźni, prawdziwie rodzinnego ciepła, z lampką szampana na powitanie. Spoglądałam na nowo odbudowany dwór z wizją starego, na stopniach którego zasiedli do pamiątkowej fotografii trzej seniorzy bracia Janotowie Bzowscy, panowie na włościach: Kazimierz z Drogini, Wincenty ze Zwiernika i Jan z Borussowy. Tym razem, 19 września 2009 roku, niekończąca się seria fotografowania indywidualnie i zbiorowo będzie dowodem licznej obecności członków rodu. Splendoru Zjazdu dodał kameralny koncert fortepianowy pianisty i pedagoga, profesora Akademii Muzycznej im. Karola Szymanowskiego w Katowicach Roberta Marata oraz walc i arie z kilku znanych operetek przez sopran Beaty Witkowskiej-Glik, absolwentki Akademii Muzycznej w Katowicach.

Po tej uczcie duchowej Jacek Janota Bzowski, który z urzędu i starszeństwa, powinien był w tym momencie być obwołany **Starostą Rodowym**, powitał wszystkich rozpoczynając od podziękowań: panu Jerzemu Motyce dyrektorowi Muzeum w Chrzanowie za Jego niezwykle zaangażowanie i niespożytą energię w umożliwieniu tego spotkania. „Nie byłoby to jednak możliwe – powiedział – bez wsparcia Urzędu Marszałkowskiego Województwa Małopolskiego”. W imieniu całej rodziny złożył podziękowania Panu Jerzemu, Panu Marszałkowi oraz wszystkim zacnym dobrodziejom, którzy przyczynili się do powstania i dbają o utrzymanie jednego z byłych gniazd Rodziny Janotów Bzowskich. Powitał zgromadzonych. Przypomnił cel tego spotkania, tradycje i przejmowanie obowiązku kontynuacji przez następne pokolenia. Odczytał nadesłane życzenia Janotów Bzowskich nie mogących wziąć udziału z kraju, z Kanady i Stanów Zjednoczonych. Seniorka, Kazimiera Janota Bzowska z Londynu, współautorka z mężem Janem 4 Zeszytu „Łącznika Rodzinnego” odczytała swoje przesłanie, do którego nie jedną myśl dorzucił Jerzy, syn Jana i Kazimierzy, zamieszkały w Vancouver w Kanadzie.

Krzysztof Kunachowicz, jako najdłużej mieszkający w przedwojennym dworze w Drogini, przypomniał okres beztroskiego dzieciństwa przy dziadkach Kazimierzu i jego rodzinie, tradycjach, zwyczajach, normalnym życiu, którego los odmieniły tragedie wojenne 1939 roku. Ostatecznym ciosem dla dworu i rodziny było wywłaszczenie przez nowy powojenny komunistyczny reżym w Polsce z nakazem opuszczenia dworu.

Według obliczeń przed drugą wojną światową było około dwadzieścia jeden tysięcy dworów. Po zniszczeniach przez władze reżymowe pozostało około sześćset. Jakkolwiek dwór niezniszczony został przejęty przez Państwowy Fundusz Ziemi, był on wykorzystywany jako magazyn nawozów sztucznych i sprzętu rolniczego. W późniejszym czasie przekształcony na przedszkole został na krótko przejęty przez Krakowskie Zjednoczenie Wodno-Inżynieryjne. W 1985 roku w miejscu stojącego dworu zaplanowano uruchomienie zbiornika wypełnieniem wodą 10 kilometrowego odcinka doliny Raby. Rozebrane belki z drogińskiego dworu złożono w Osieczanach². Dalsze losy dworu przedstawił dyrektor p. Jerzy Motyka. To dzięki jego inicjatywie powstał nowy dwór z wbudowaną u stropu autentyczną belką ze starego dworu z datą 1730. Opowieść swą opierał na faktach, dokumentach, zabieganiu po urzędach, o pomocy finansowej wielu zainteresowanych odbudową dworu. I jak to ujął „Mam dobre nazwisko Motyka. Więc w sprawie tego dworu nie bałem się porwać z motyką na słońce”. Efektem Jego starań ukazało się pamiątkowe wydawnictwo Małopolskiego Instytutu Kultury w Krakowie 2006 roku „Był dwór. Jest dwór!”, którego autorem jest Barbara Sanocka. Jest w nim zawarta historia dworu z Drogini i jego przeniesienia do Wygiełzowa.

Z dumą więc mógł nas teraz oprowadzać po komnatach na wzór starego dworu z atmosferą tamtych lat, gdzie wiązka zasuszonych ziół leżała, jakby dopiero co pozostawiona przez postaci kobiet na portretach ze zdziwieniem spoglądających na tak liczne grono przybyszów. Tak więc mogliśmy przejść przez dom zamożnej rodziny szlacheckiej, pokazany na okres od połowy XIX wieku do 1945 roku. Obejmuje on wnętrza dworskie, na które składa się pięć sal: salon, pokój pani, pokój rezydentki, sypialnię i gabinet pana. Obecnie część wnętrza dworu w Drogini została zaadaptowana do potrzeb działalności muzealnej i komercyjnej. W jednej z nich staropolskim zwyczajem zastawiono stoły, a z ścian pokrytych pamiątkowymi fotografiami z przeszłości rodu, można było rozpoznawać niektóre twarze z rodzinnych zbiorów. Obecność tych zdjęć, portretów, pamiątek pozwalała wczuć się w tamto życie, w tamten okres historii, która kształtowała tych ludzi, z których tak wielu włączyło się w nurt patriotyzmu o wolność kraju, z którego wyrastali. Nie mógł lepszego miejsca wybrać Jacek na ten Zjazd Rodzinny, który nie tylko zbliżył nas do siebie, ale także przypomniał korzenie, z których Janotowie Bzowscy brali swój początek.

Przytoczony przez Jacka cytat brazylijskiego pisarza Paolo Coelho, że „tradycje trwają, ale gaśnie stopniowo pragnienie powrotu” może właśnie po tym pierwszym spotkaniu nie zgaśnie pragnienie powrotu do niejednego takiego spotkania, jeśli nie w naszym czasie, to w przyszłości inspirowanej przez pamięć pokoleń.


Kazimiera Janota Bzowska,
Londyn, 30 września 2009.

2 Na podstawie „Był dwór. Jest dwór! Historia dworu z Drogini i jego przeniesienia do Wygiełzowa” autor Barbara Sanocka. Nakładem Małopolskiego Instytutu Kultury w Krakowie. 2006

Drugi Dzień Zjazdu: 20 września 2009 roku

Uroczystości odpustowe w zabytkowym Kościele z Ryczowa pod wezwaniem Podwyższenia Krzyża Świętego

Kościół z XVIII w. przeniesiony z Ryczowa do Skansenu w Wygiełzowie. U podnóża góry zamkowej w Wygiełzowie na obszarze blisko 5 ha znajdują się 25 cennych zabytków budownictwa drewnianego, nie licząc małej architektury, gdzie położony jest Nadwiślański Park Etnograficzny. Powstał on w 1968 r. w celu zgromadzenia, zachowania i udostępniania zwiedzającym zabytków budownictwa drewnianego, charakterystycznego dla zachodniej Małopolski. Domy kryte strzechą lub gontem są w pełni wyposażone w sprzęty, jakich używała ludność w XVIII i XIX wieku. Jednym z najciekawszych obiektów skansenu jest kościółek przeniesiony z Ryczowa (XVI w.) i drewniana dzwonnica z Nowej Góry z 1778 roku. Kościół odznacza się wysokimi walorami architektonicznymi. Jest ozdobiony piękną polichromią, wyposażony w zabytkowe organy, których konserwację zakończono w 1990r., co stało się inspiracją do zorganizowania Festiwalu Muzyki Kameralnej i Organowej w tymże kościele. Ciekawy napis widnieje na ścianie wewnątrz kościoła z Ryczowa – „Nie płuć na podłogę” – z czasów, gdy parafianie podczas nabożeństw wypływali przeżuwany tytoń.



Muzeum -
Nadwiślański Park Etnograficzny
w Wygiełzowie i Zamku Lipowiec
Wygiełzów, ul. Podzamcze 1
32-510 Babów
tel/fax 032-622-87-49, 032-646-28-10.
skansen@mpg.pl
www.mpg.pl

Inicjatywa Kultury Województwa Małopolskiego

Dyrektor
Muzeum - Nadwiślańskiego Parku Etnograficznego
w Wygiełzowie i Zamku Lipowiec
ma zaszczyt zaprosić na

**Uroczystości odpustowe
w zabytkowym Kościele z Ryczowa
pod wezwaniem Podwyższenia Krzyża Świętego**

w dniu 20 września 2009 r.
na terenie Nadwiślańskiego Parku Etnograficznego
w Wygiełzowie

W programie:
- Msza Św. odpustowa koncelebrowana - godz. 11:00
- Widowisko plenerowe "Wesele krakowskie z Mogilan" i występy estradowe zespołów regionalnych:
"Mogilanie", "Bolecinianie" - godz. 12:00 - 16:00
- Koncert finałowy XIX Międzynarodowego Festiwalu Muzyki Kameralnej i Organowej - godz. 16:00.

W plenerach Skansenu od godz. 12.00 do 18.00 odbędą się:
- prezentacje dawnych rzemioł
- kiermasz sztuki i rekwizytów ludowego
- zabawy i gry dla dzieci



W całość skansenu wkomponowany dwór drogiński nadaje temu miejscu specyficzną atmosferę. I gdy poprzedniego dnia dwór rozbrzmiewał głosami licznego zgromadzenia członków rodziny Janotów Bzowskich, kościółek dopełniał dziękczyn-

nych modłów za to niebywałe spotkanie. Według listy sporządzonej przez dyrektora Jerzego Motyki we Mszy św. odpustowej 20.09.2009 r. i na obiedzie w Karczmie „Zagroda” na terenie Skansenu uczestniczyli:

1. Ks. Antoni Pitek – proboszcz z Babic – który witał gości,
2. Ks.dr Stefan Dobrzanowski – główny celebrant,
3. Ks. Adam Ogiełło – proboszcz z Ryczowa – który wygłosił kazanie,
4. Janusz Sepioł – Senator RP,
5. Bogusław Mąsior – Radny Sejmiku Województwa Małopolskiego,
6. Krzysztof Markiel – Dyrektor Departamentu Kultury i Dziedzictwa Narodowego Urzędu Marszałkowskiego Województwa Małopolskiego,
7. Dr Andrzej Gaczoł – Przewodniczący Rady Muzeum,
8. Przedstawiciele Rodzinnego Zjazdu Janotów Bzowskich,
9. Ryszard Kosowski – Burmistrz Chrzanowa,
10. Wiesław Pierzchała – V-ce Burmistrz Trzebini,
11. Zespoły Regionalne tj. Mogilanie i Bołęcianie .

Na obiedzie oprócz wymienionych przy Mszy św. uczestniczyli niektórzy sponsorzy XIX Międzynarodowego Festiwalu Muzyki Kameralnej i Organowej. Mam również na płycie nagranie Mszy św. w zabytkowym kościele, ale tego nie można umieszczać w internecie (zastrzeżenie producenta) chociaż płytkę mogę przesłać do użytku wewnętrznego w późniejszym terminie. Miło było także od ołtarza usłyszeć, że w tym samym czasie przypadł Zjazd rodziny Janotów Bzowskich w drogińskim dworze, która obecnie uczestniczy we Mszy św. Pieśni kościelne w wykonaniu kapeli regionalnej z chórem w regionalnych strojach wzruszeniem wciskały się w serce, szczególnie tych z zagranicy, aż oczy kapały się w niepowstrzymanych łzach. Filmowane nabożeństwo i widowisko plenerowe z występami estradowymi zespołów regionalnych z pewnością znajdzie się w archiwach życia wsi polskiej w Nadwiślańskim Parku Etnograficznym w Wygiełzowie. Obiad w „Oberży” był dodatkowo miłym spotkaniem z osobistościami mocno zaangażowanymi w życie kulturalne i społeczne nadwiślańskiego regionu i Muzeum Parku Etnograficznego.

Czas nagiął do odwrotu którym droga do domu daleką była. A tu jeszcze tak wiele się działo! Widowisko plenerowe, występy estradowe, prezentacje dawnych rzemiosł, kiermasz sztuki i rękodzieła ludowego, zabawy i gry dla dzieci, koncert finałowy XIX Międzynarodowego Festiwalu Muzyki Kameralnej i Organowej... Ze smutkiem opuszczałam bajkowy obraz wsi polskiej, ludzi wspaniałych, którym na sercu leży zachowanie dziedzictwa kultury polskiej, bliskich mojemu sercu członków rodziny Janotów Bzowskich... i ten dwór stojący na wzgórku, z daleka widoczny z otwartymi ramionami gotów przytulić wszystkich, którzy w jego gościnne progi wstępują.

Kazimiera Janota Bzowska
Londyn, 1 października 2009 roku

Małgorzata Bzowska-Bakalarz

Lublin, 12 października 2009

Słowo o zjeździe rodzinnym: To było spotkanie!!!

„...aksjomatem, dogmatem nienaruszalnym, jest teza, iż wychowanie w rodzinie jest kluczem do całego wychowania... Pogląd ten szczególnie uzasadniony jest w Polsce, w której od wieków rodzina otoczona była kultem niezwykłym, kult ten zaś musiał wzrosnąć jeszcze więcej wobec faktu, iż w długich latach niewoli stała się ona dla młodych pokoleń niezaprzeczenie jedynym zniczem polskich uczuć narodowych i szczytem ideałów patriotycznych³”

Józef Janota Bzowski

prezes Zarządu Zjednoczenia
Zrzeszeń Rodzicielskich w Polsce

Ten jeden, niewielki cytat z ogromnego dorobku publikacyjnego Józefa Janoty Bzowskiego (1874-1945) – redaktora trzech pierwszych Zeszytów Łącznika Rodzinnego Janotów Bzowskich, przewodniczącego sądów Obywatelskich Związku Ziemiaków, sekretarza Rady Naczelnej Organizacji Ziemiańskich, prezesa Towarzystwa Przyjaciół Polskich Korpusów kadetów, redaktora trzech czasopism – organów Związku Ziemiaków i członka Międzynarodowej Komisji Wychowania Rodzinnego w Brukseli, działacza Zarządu Towarzystwa Edukacji Narodowej dowodzi, że Rodzina Janotów Bzowskich ma nie tylko udokumentowaną historycznie przeszłość, ale i mocne, uzasadnione naukowo podstawy egzystencji.

Pomyślcie – nasze spotkanie jest ciągiem dalszym zjazdu Janotów Bzowskich z 1923 roku!!!!

W dodatku spotykamy się w domu, który ocalał pomimo wojen, reformy rolnej i w końcu, pomimo budowy na terenie Drogini sztucznego zbiornika, który stanowi ujęcie wody pitnej dla Krakowa.

Z relacji Krzysztofa Kunachowicza – wnuka ostatniego właściciela Dworu Kazimierza Janoty Bzowskiego (1864-1946) wiemy, że Dwór Drogiński był świadkiem nie tylko szczęścia rodzinnego, ale także okrutnego poczucia straty i rozłąki.

W trudnych czasach wojennych i powojennych niepokój o dom rodzinny towarzyszył wszystkim jego mieszkańcom – Kazimierzowi JB i dzieciom Kazimierza

³ „Szkoła i rodzina – ich wzajemny stosunek i formy współżycia”. Książnica – Atlas. Lwów-Warszawa 1930.

JB i Wandy Romer (1877-1938); Helenie (1897-1970); Jackowi JB (1899-1966); Teresie (1955-1957); Ludwinie (1902-1962), Annie (1904-1942); Bronisławie (1906-1997); Franciszkowi (1910-1991) oraz Marii (1913-2000). Wyraziła to najlepiej Maria JB (1913-2000) w swoich pamiętnikach:

4 grudnia 1942

Czy nie stracimy Drogini? Nie wiem jak skończy się wojna, czy źle, czy dobrze, wiem tylko że gdybyśmy musieli wyrzec się tej ziemi byli byśmy jak te statki rzucane burzą po morzu, bez kotwicy, bez portu... Nawet nie silę się opisać miłości do miejsc rodzinnych, tylu poetów już to opiewało – zresztą po co? Każdy z nas ma to w duszy, w sercu i zrozumie moją trwozę.

Maria Bzowska
Pamiętnik 1939-1945

Rodziny dzieci Kazimierza i Wandy odczuły także boleśnie trudne i niepewne czasy wojny i zmian po II wojnie światowej, co wstrząsająco przedstawił w swojej relacji wnuk Kazimierza Krzysztof Kunachowicz.



Kazimierz Janota Bzowski – ostatni właściciel Dworu Drogińskiego

Jednak – pomimo, że dawna Droginia zniknęła pod wodami Jeziora Dobczyckiego Dwór odrodził się w Nadwiślańskim Parku Etnograficznym w Wygiełzowie-Lipowcu, dzięki ogromnej pracy ludzi dobrej woli na czele z dyrektorem chrzanowskiego Muzeum Jerzym Motyką, konserwatorem wojewódzkim w Krakowie p. Andrzejem Gaczołem i konserwatorem katowickim Jackiem Owczarkiem oraz pracownikom służb konserwatorskich: Andrzejowi Siwkowi i Oldze Dybie, a także kierownicze skansenu pani Henryce Haduch. Przychylność Marszałka Województwa Małopolskiego dopełniła losy Dworu, który stał się żywym Muzeum, gdzie nie tylko ogląda się sale muzealne, ale uczestniczy w koncertach i wystawach.

Nadwiślański Park Etnograficzny w Wygiełzowie-Lipowcu oferuje wiele atrakcji – 25 zabytkowych obiektów architektury drewnianej chałupy, stodoły, spichlerze, kuźnię i olejarnię, a także zabytkowy kościół z Ryczowa z początku XVII wieku. Na wysokim wzgórzu stoją ruiny średniowiecznego zamku Lipowiec.



**Zjazd założycielski Związku Rodowego Janotów Bzowskich
w Krakowie w 1923 roku**

Siedzą od lewej: z Bzowskich Janina Morawska, Ida z Bzowskich Wincentowa Bzowska, Wanda z Romerów Kazimiersowa Bzowska, Ks. Teofil Bzowski T.J., Celina z Dębickich Aleksandrowa Bzowska, Zofia z Krzyżanowskich Janowa Bzowska, Helena z Jordanów Władysławowa Bzowska.

Stoją od lewej: Henryk Rybicki, Wincenty Bzowski, Kazimierz Rybicki, Władysław Bzowski syn Aleksandra, Henryk Bzowski syn Jana, Kazimierz Bzowski syn Bogusława, płk. Władysław Bzowski syn Zygmunta, Stanisław Bzowski syn Aleksandra (I starosta Związku Rodowego), Stanisław Bzowski syn Aleksandra z Macławic (założyciel archiwum rodowego), Aleksander syn Aleksandra (II starosta Związku Rodowego), Jan Bzowski syn Bogusława, Józef Bzowski syn Konstantego, Konstanty Bzowski syn Stefana (III starosta Związku Rodowego), Lucja Bzowska żona Konstantego, Jacek Bzowski syn Kazimierza.



Chaty i ule w skansenie



Kościół z Ryczowa

Panorama ze wzgórza
w LipowcuPanorama z wieży Zamku
w Lipowcu

W tej malowniczej scenerii stoi Dwór Drogiński wraz z otaczającym go parkiem – cenny zabytek architektury rezydencjalnej.

Dwór Drogiński
w czterech odsłonachOryginalna belka
w suficie z wrytą datą budowy
Dworu Drogińskiego (AD 1730)

**I stoimy tu – na przekór historii, zapomnieniu i rozproszeniu!
19 września 2009 roku w Wygietzowie**



Od lewej, na pierwszym planie: Andrzej JB z córeczkami Karoliną i Natalią, obok Ryszard; I rzęd: Bartek Gwóźdź Sproketowski z synkiem Jerzym, Kasia Gwóźdź Sproketowska, Iwona i Zdzisław JB, Teresa z synem Jackiem JB (organizatorem zjazdu), Kazimiera JB z Londynu, Jacek Gosztyła, dyr. Jerzy Motyka; II rzęd: Piotr Foitzik, Katarzyna JB, Agata Czarnigowska, Agnieszka Perepeczko, Ania Tarnowska, Jan Tarnowski z Helenką, Marta Żdźarska, Janusz JB; III rzęd: Witold Włodarczyk, Małgorzata Bzowska-Bakalarz, Hanna Szydysz Jankowska, Elżbieta Sławikowska; IV rzęd: Ina Gretarsdottir, Tomasz i Alfreda JB, Ewa JB, Ilona Gosztyła, Marta Włodarczyk, Viola Gosztyła, Hanna i Krzysztof Kunachowiczowie, Jacek JB; W ostatnim rzędzie: Jurek JB, Mateusz Włodarczyk.

Trudno wyrazić radosne uniesienie towarzyszące temu spotkaniu – ogromnie cieszy fakt, że jesteśmy w stanie się spotkać i porozumieć! Nasi Przodkowie na pewno byliby z nas dumni – kontynuujemy ideę łączności rodzinnej!

Na ręce Jacka – Inicjatora Zjazdu, Kazimierzy – najwspanialszej Pisarki rodzinnej sagi i Łączniczki wszystkich Linii Rodowych oraz Krzysztofa Kunachowicza, który stawiał dzielnie czoła wspomnieniom – składamy serdeczne podziękowania dla NICH specjalnie i dla wszystkich, którzy dorzucili swoją cegiełkę do jedności rodzinnej (a było nas czterdzieści sześcioro)!!!

Małgorzata Bzowska-Bakalarz,
Lublin

Lista obecności

Lp.	Imię	Nazwisko	Uwagi
LINIA DROGIŃSKA			
1	Krzysztof	Kunachowicz	wnuk Kazimierza JB z Drogini, Warszawa
2	Hanna	Kunachowicz	żona
3	Paweł	Kunachowicz	syn
LINIA JANA Z PRZEMĘCZAN			
4	Kazimiera	Janota Bzowska	żona Pana Jana JB - Londyn i współautorka razem z mężem Zeszytu 4 Łącznika i poprawionej wersji Kroniki Rodziny Bzowskich pióra Zdzisława JB,
5	Janusz	Janota Bzowski	linia Jana z Przemęczan, Kraków
LINIA BOBROWNICKA I BORUSSOWSKA			
6	Teresa	Janota Bzowska	żona Antoniego JB, synowa Józefa z Bobrownik, Warszawa
7	Jerzy	Janota Bzowski	syn Antoniego, JB wnuk Józefa z Bobrownik, Warszawa
8	Ewa	Janota Bzowska	żona
9	Jacek	Janota Bzowski	syn Antoniego JB, wnuk Józefa z Bobrownik, Warszawa
10	Marta	Żdżarska	partnerka
11	Agnieszka	Perepeczko	córka Marii Fitkau JB, wnuczka Józefa z Bobrownik, Warszawa
12	Marta	Włodarczyk	córka Tadeusza JB, wnuczka Józefa z Bobrownik, Tarnów
13	Witold	Włodarczyk	mąż
14	Kasia	Gwóźdź-Sproketowska	córka, Gdańsk
15	Bartosz	Gwóźdź-Sproketowski	zięc
16	Weronika	Gwóźdź-Sproketowska	wnuczka
17	Jerzy	Gwóźdź-Sproketowski	wnuk
18	Mateusz	Włodarczyk	syn, Kraków
19	Juliana	Bolze	partnerka
20	Tomasz	Janota Bzowski	syn Tadeusza JB, wnuk Józefa z Bobrownik, Tarnów
21	Alfreda	Janota Bzowska	żona
22	Ina	Grétarsdóttir	córka Tomasza JB
LINIA STANISŁAWA PIERWSZEGO STAROSTY ZWIĄZKU RODOWEGO			
23	Magdalena	Janota Bzowska	córka Jerzego JB i Zofii ze Skrzyńskich, wnuczka Stanisława Pierwszego Starosty Związku Rodowego, Kraków
24	Janusz	Jankowski	prawnuk Lucyny JB z Kozierowskich i Aleksandra JB, Remiszew
25	Anna	Szydysz Jankowska	prawnuczka Lucyny JB z Kozierowskich i Aleksandra JB, Remiszew,

Lp.	Imię	Nazwisko	Uwagi
26	Małgorzata	Bzowska-Bakalarz	prawnuczka Władysława, brata Stanisława Pierwszego Starosty Związku Rodowego (1862- 1937)
27	Agata	Czarnigowska	córka Małgorzaty, Lublin
28	Elżbieta	Sławikowska	prawnuczka Julii Sławikowskiej z Bzowskich, siostry Kazimierza F.Bzowskiego, właściciela Żerostawic, Zielona Góra
LINIA KIELECKA			
29	Zdzisław	Bzowski	wnuk Tadeusza i Wandy z Niemirków, linia Kielecka, Kielce
30	Iwona	Bzowska	żona
31	Jacek	Bzowski	syn
32	Katarzyna	Bzowska	córka
33	Piotr	Foitzik	partner
34	Ilona	Gosztyła	wnuczka Tadeusza i Wandy z Niemirków JB, Kielce
35	Marek	Gosztyła	mąż
36	Wioletka	Gosztyła	córka
37	Jacek	Gosztyła	syn
38	Ryszard	Janota Bzowski	syn Tadeusza i Wandy z Niemirków, Olsztyn,
39	Andrzej	Janota Bzowski	syn, Gdańsk
40	Karina	Janota Bzowska	synowa
41	Natalia	Janota Bzowska	wnuczka
42	Karolina	Janota Bzowska	wnuczka
43	Zygmunt	Janota Bzowski	syn Tadeusza i Wandy z Niemirków, Kielce, brat Ryszarda
LINIA STEFANA SZCZEPANA,			
44	Anna	Tarnowska	córka Jacka J.B., syna Zdzisława autora Kroniki Rodziny Bzowskich, Podkowa Leśna
45	Jan	Tarnowski	mąż
46	Helenka	Tarnowska	córeczka

List do Młodzieży i Dzieci Młodzieży

[definicja Dzieci i Młodzieży – te szkraby, które jeszcze nie czytają, lub jeszcze nie interesują się życiem rodzinnym, ale po latach... ho, ho]

czyli do: Jacka Gosztyły, Agaty Czarnigowskiej, Kasi, Weroniki, Jerzego Gwóźdź-Sproketowskich, Mateusza Włodarczyka, Iny Grëtarsođttir, Pawła Kunachowicza, córki Ani i Jana Tarnowskich – Heleny, Natalii i Karoliny JB (linia Kielecka), a także naszej Młodzieży i Dzieci, które przyjadą dopiero na następny Zjazd Rodzinny:

Nie martwcie się brakiem orientacji w koligacjach i trudnościami w identyfikacji: kto z jakiej *linii rodzinnej* pochodzi. To nie jest ważne! Powolutku zaczniemy się rozpoznawać! Ważne jest poczucie wspólnoty, nabranie umiejętności porozumiewania się między sobą, przełamanie nieśmielenia (której doświadcza także i „Starszyzna”). Swoboda kontaktów na forum rodzinnym przemienia się z czasem w tak zbawienną w życiu dorosłym swobodę obcowania w każdym środowisku. Taki zjazd

rodziny to nie tylko sentymenty rodzinne, ale i swego rodzaju ćwiczenie obycia wśród ludzi. Byliśmy trochę za krótko ze sobą i nie zdążyliśmy Wam ułatwić nawiązania bliższego, bardziej bezpośredniego porozumienia. Sami, poruszeni spotkaniem i zajęci rozpoznawaniem się nawzajem, przyczyniliśmy się trochę do powstania luki pokoleniowej. Nauczymy się jednak zagarniać Was pod skrzydła rodzinne i ułatwiać wzajemne poznanie. Jak więc widzicie, i starszyzna musi się uczyć (bud-dyjska dewiza: *być wiecznie uczniem*). Bardzo ładnie się wszyscy komponujemy w Rodzinie i niezależnie od tego, czy jesteśmy powiązani więzami krwi *po mieczu czy po kądzieli*, wspaniale jest się spotkać i zanurzyć w różnorodność „człowieczą”. Serdecznie Wam życzymy, żebyście czerpali z takich spotkań pokrzepienie i ciepłe poczucie przynależności

Małgorzata BB,
Lublin, październik 2009

Uwaga: uzupełnieniem relacji ze Zjazdu jest dwuczęściowa prezentacja wykonana przez Małgorzatę w programie Power Point pt. „Zjazd Rodzinny w obiektywie” (cz I „U progu”; cz. II „We Dworze”). Prezentację wykonano w oparciu o zdjęcia Alfre-dy Janoty Bzowskiej z Tarnowa, Janusza Bzowskiego z Krakowa, Elżbiety Sławikow-skiej z Zielonej Góry, Małgorzaty Bzowskiej-Bakalarz z Lublina. Prezentacja została rozesłana pocztą e-mailową. Jeżeli nie dotarła do wszystkich proszę się kontakto-wać z Małgorzatą (malgorzata.bzowska@up.lublin.pl)

2.2. ZJAZD RODZINY DROGIŃSKICH POTOMKÓW KAZIMIERZA JANOTY-BZOWSKIEGO 12.06.2010 R.

Wygietzów

Spotkanie Rodziny gałęzi Drogińskiej 12 czerwca 2010 we Dworze Drogińskim w Wygietzowie było związane z odsłonięciem portretów rodzinnych, które przekazane przez potomków Kazimierza Janotę Bzowskiego z Drogini, po renowacji – wróciły na swoje miejsce we dworze.

Wśród członków zjazdu z 2009 roku chyba niewielu z nas zdawało sobie sprawę jak poruszająca była wizyta potomków Kazimierza JB (1864-1946) w murach tego Dworu. Wiedzieliśmy stanowczo za mało. Poznanie historii domu, ścian, stropów to nie wszystko. Dom to jego Mieszkańcy, a udreka czasów minionych mocno ważyła na Ich losach i jest trudna do uniesienia nawet po tylu latach. Brutalne losy Dworu Drogińskiego nie mogły się nie odbić traumatycznym doświadczeniem na życiu Rodziny. To, że Rodzina Drogińska spotkała się tego roku, w tak licznym gronie ma wspaniałą, optymistyczny i wzruszający wydzwięk – świadczy o trwałości więzów rodzinnych i jest, jak to wyraził Krzysztof Kunachowicz, udzieleniem swego rodzaju absolucji, która jest krokiem ku przyszłości.

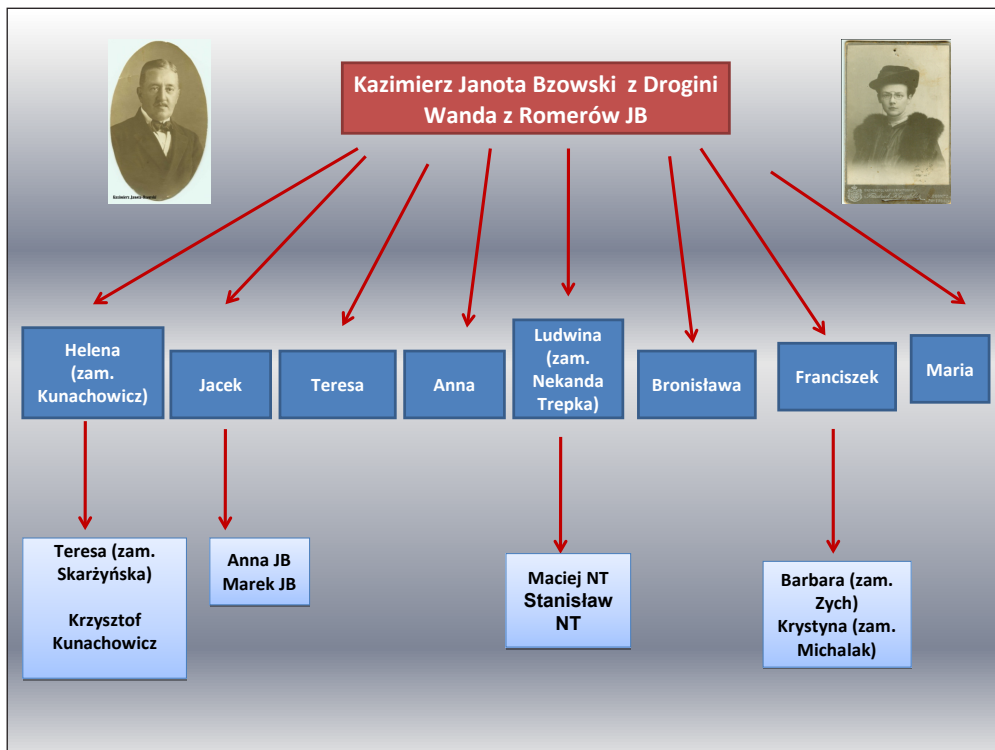
Z listu K. Kunachowicza:

Formułą czerwcowego zdarzenia było spotkanie rodziny Drogińskiej rozumianej jako potomkowie Kazimierza Janoty Bzowskiego... Najstarsi z nas mieszkali we dworze w dzieciństwie, potem w czasie wakacji, a przez okres okupacji to było nasze jedyne schronienie. Chcieliśmy spotkać się, porozmawiać o przeszłości i przy okazji odsłonięcia portretów przybliżyć ją naszym dzieciom i wnukom... Dwór zanim został odrestaurowany został nam ukradziony, obrabowany i zniszczony...

...Tylko spadkobiercy Kazimierza JB mieli prawo udzielić pewnego rodzaju absolucji ze strony rodziny i akceptować istniejącą sytuację. Można chyba powiedzieć, że nasze spotkanie jej dokonało...

Krzysztof Kunachowicz

Warszawa, 19 października 2010



Potomkowie Kazimierza JB i Wandy z Romerów JB

Barbara Bzowska-Zych

Dwunastego czerwca 2010 roku w Wygiełzowie odbyło się spotkanie wyłącznie rodziny drogińskich potomków Kazimierza Janoty-Bzowskiego, ostatniego właściciela Drogini. W spotkaniu wzięło udział 41 osób. Okazją spotkania było przekazanie przez wnuczki i wnuków Kazimierza Janoty-Bzowskiego portretów swoich przodków. Były to portrety:

- I. Kazimierza (ur. 1792 r.) mojego pra-pradziadka
- II. Stefana Bogusława (ur. 1821 r.) mojego pradiadka
- III. Kazimierza (ur. 1864 r.) mojego dziadka

Organizatorami imprezy byli nasi seniorzy Teresa Skarżyńska i Krzysztof Kunachowicz. W dniu spotkania nastąpiło odsłonięcie portretów przez seniorkę rodziny Teresę Skarżyńską, Marka Bzowskiego i panią wicedyrektor skansenu, Henrykę Haduch, oraz złożenie kwiatów pod portretami przez pokolenie najmłodsze, czyli Natalkę, Zosię, Zuzię, Łucję, Ignasia i Benka.

Na uroczystym obiedzie uczestnicy spotkania wspominali rodziców (dziadków), a także opowiedzieli o sobie i swojej rodzinie. Mimo ogromnego, dość męczącego upału, cała atmosfera spotkania była wspaniała i bardzo serdeczna. Niektórzy członkowie rodziny spotkali się tu po wielu latach niewidzenia, gdyż mieszkają w różnych miastach, a nawet jak Hania Bzowska we Francji. Część młodzieży tu się dopiero poznała i zaprzyjaźniła. Najmłodsze pokolenie szalało po pokojach domu i w ogrodzie, na co uroczy Dyrektor skansenu, pan Jerzy Motyka z wyrozumieniem przymykał oko. Po południu część młodzieży wyjechała do pobliskiego jeziora by ochłodzić się w kąpieli. Późnym popołudniem podano kawę i herbatę z domowym pysznym ciastem, umożliwiając kontynuowanie rozmów i dyskusji.

Była to dla nas prawdziwa radość i wzruszenie, że mogliśmy się spotkać w tak pięknym domu i ogrodzie, za co jesteśmy ogromnie wdzięczni panu Jerzemu Motyce i pani Henryce Haduch, oraz organizatorom spotkania.

Barbara Bzowska-Zych

Obecni na spotkaniu Rodziny Drogińskiej w Wygiełzowie 12 czerwca 2010

Zestawienie w kolejności starszeństwa

Gałąź Heleny (1897-1970)

Teresa Skarżyńska

Piotr Skarżyński

Jan Skarżyński

Renata Skarżyńska

Zuzanna Skarżyńska

Zofia Kujalowicz

Jędrzek Kujalowicz

Michał Kujalowicz

Leszek Kujalowicz

Krzysztof Kunachowicz

Hanna Kunachowicz

Paweł Kunachowicz

Joanna Stachura

Piotr Stachura

Ignacy Stachura

Łucja Stachura
 Gałąź Jacka (1899-1966)
Anna Janota Bzowska
Marek J. Bzowski
 Barbara J. Bzowska
 Michał J. Bzowski
 Noemi J. Bzowska
 Natalia J. Bzowska
 Beniamin J. Bzowski
 Magdalena J. Bzowska
 Gałąź Ludwiny (1902-1962)
 Bożena Nekanda Trepka

Iwona Krauze
 Włodzimierz Krauze
 Genia Nekanda Trepka
 Witold Nekanda Trepka
 Hanna Nekanda Trepka
 Gałąź Franciszka (1910-1991)
Barbara Zych
 Włodzimierz Zych
 Piotr Zych
 Beata Radulska
 Zofia Zych

Nie mogli przybyć na Zjazd: z gałęzi Heleny – czworo, z gałęzi Jacka – dwoje, z gałęzi Ludwiny – czworo, z gałęzi Franciszka – troje.

Dokumentacja fotograficzna ze zjazdu Rodziny Drogińskiej Sierpień 1942 rok



Wnuczęta Kazimierza JB przed Dworem w Droginie
 Na pierwszym planie Marek Bzowski, w drugim rzędzie:
 od lewej Hania Bzowska, w środku Dziadek Kazimierz JB, Basia Bzowska
 w trzecim rzędzie od lewej Maciek Nekanda Trepka, Renia Kunachowicz, Krzysztof
 Kunachowicz, Staszek Nekanda Trepka (brak Krysi, która się urodziła 1949 roku)

A oto ważniejsze momenty spotkania w **Wygielzowie 12 czerwca 2010** uwiecznione przez Witolda Nekanda Trepkę i Piotra Zycha



Portrety Kazimierza i Bogusława odsłaniają (od lewej): Marek JB, Teresa Skarzyńska i p. dyr. Henryka Haduch, z prawej Krzysztof Kunachowicz (fot. W. Nekanda Trepka)



Portrety Kazimierza i Bogusława JB, od lewej: Henryka Haduch, Teresa Skrzyńska i dyr. Jerzy Motyka (fot. P. Zych)



Portret Kazimierza Janoty Bzowskiego(1864-1946) – ostatniego właściciela Drogimi (fot. P. Zych)



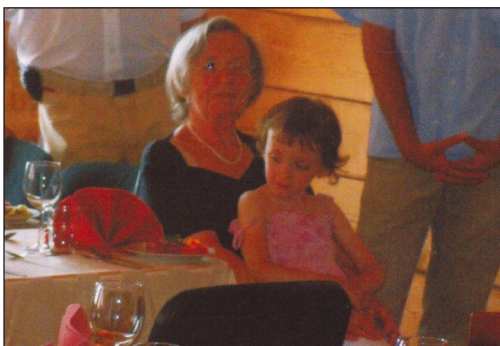
Wspomnienia o Kazimierzu JB przedstawia najstarszy wnuk Krzysztof Kunachowicz, z lewej p. dyr. Jerzy Motyka (fot. W. Nekanda Trepka)



Benicjusz JB składa różę przed portretami swoich Pra... (fot. W. Nekanda Trepka)



Najmłodzi z Rodziny Drogińskiej – od lewej: Zuzanna Skarzyńska, Łucja Stachura, Zosia Zych, Benicjusz Bzowski, Natalia Bzowska (fot. P. Zych)



Seniorka Rodu Teresa Skarzyńska
z praprawnuczką Kazimierza JB
Zosią Zych (fot. P. Zych)



Uczestnicy uroczystości
(fot. W. Nekanda Trepka)



Toast rodzinny (fot. W. Nekanda Trepka)

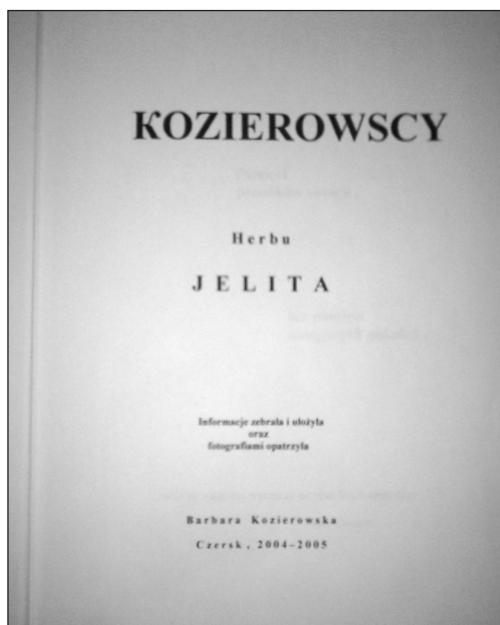
2.3. ZJAZD RODZINY KOZIEROWSKICH 21.10.2009 R.

Spokrewnionych z Rodziną Janotów Bzowskich przez Lucynę Kozierowską
(1841-1911), żonę Aleksandra JB (1830-1899).
Czersk, Karolonin

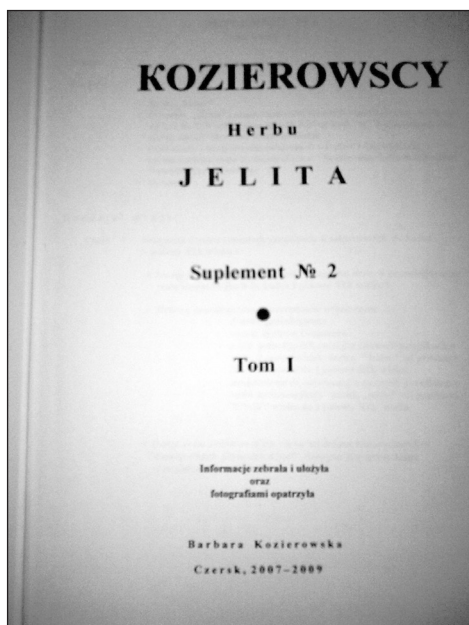
Koligacje po kądzieli i po mieczu Rodziny Kozierowskich bardzo szeroko udokumentowała w 7 tomach Barbara Kozierowska z Czerska, obejmując historię Rodziny od XIV wieku do czasów współczesnych. Pełny lub częściowy zestaw tych opracowań jest w posiadaniu nie tylko Autorki i członków Rodziny Kozierowskich – ale także Kazimierzy JB w Londynie, Małgorzaty BB – Lublin i Janusza B – Kraków. Wszystkie egzemplarze „Księgi Kozierowskich „ zostały także złożone przez Autorkę w Archiwum Państwowym w Kielcach i w Muzeum im. Jacka Malczewskiego w Radomiu.



Siedem tomów historii
Rodu Kozierowskich



3 tomy: Barbara Kozierowska;
Czernik 2004-2005



do t. 1, 2, 3
Czernik 2007-2008, „Dzieje Rodu Kozierowskich
na tle wydarzeń historycznych”: „Pamiętniki dla
moich dzieci” Henryk Kozierowski (1845-1920)

To wyjątkowe opracowanie historii Rodu pióra Barbary, opatrzone ilustracjami i wyjątkowo profesjonalnie udokumentowane (opinia profesorów historii z UMCS w Lublinie), wydane w maszynopisie w latach 2004-2008, zawiera nie tylko informacje genealogiczne, ale jest dokumentem zbierającym dokonania członków Rodziny (*Potomkowie Rodu w przekazach historyczno-biograficznych*). Autorka w oparciu o przekazy rodzinne, publikacje historyczne, mapy posiadłości, herbarze, unikalne dokumenty urzędowe odnalezione w archiwach państwowych i zasobach parafialnych stworzyła imponującą monografię Rodziny. Monografię bogato ilustrowaną – zdjęciami, reprodukcjami dzieł, prac artystycznych i dokumentów.

W tomach tych poczesne miejsce zajmuje *Pamiętnik dla moich dzieci* pióra Henryka Kozierowskiego (1845-1920), w którym autor opisuje dzieje rodu Kozierowskich na tle wydarzeń historycznych. Henryk Kozierowski, powstaniec 1863 roku zmuszony po upadku powstania do emigracji, w Paryżu – sekretarz Sekcji Towarzystwa Demokratycznego Polskiego, uczestnik posiedzeń Towarzystwa Historyczno-Literackiego pod przewodnictwem ks. Wł. Czartoryskiego, żołnierz w wojnie francusko-pruskiej w 1870 r., malarz i rysownik (obrazy w Muzeum im. J. Malczewskiego w Radomiu), od 1885 roku - w kraju pracował jako „zawiaadowca nowych budowli”, walcowni, nauczyciel rachunkowości handlowej, języka francuskiego i rysunków. Pozostawił oprócz bogatego dorobku malarstwa i rysunków wyjątkowy dokument epoki – *Pamiętnik dla moich dzieci*. Pamiętnik ten jest nie tylko źródłem analiz historycznych na tle wydarzeń w Europie, Polsce

i w Rodzinie, ale także zawiera dużo informacji, między innymi, o potomkach Lucyny z Kozierowskich i Aleksandra Janotów Bzowskich, którzy byli rodzicami pierwszego starosty Rodowego – Stanisława JB (1862-1937) oraz jeszcze siedmiorga dzieci (linia Stanisława – Pierwszego Starosty Rodowego).

W tomie 3, na podstawie *Łącznika Rodzinnego Związku Rodowego Janotów Bzowskich* (zeszyt 2) oraz *Pamiętnika Koła Kielczan* (tom VII z roku 1936/1037) Barbara Kozierowska przedstawiła szeroką biografię Stanisława JB – pierwszego starosty Rodowego Rodziny Janotów Bzowskich. W suplemencie do tego tomu przytoczyła artykuł opisujący dom Stanisława JB w Kaliszu (*Portret domu z herbem i rodziną w tle „Życie Kalisza”* – Rocznik Kaliski t. XXX 2004/5) i opatrzyła go współczesnymi fotografiami tej kaliskiej siedziby Janotów Bzowskich. W tomie 3 znalazł się także wyjątkowo obszerny życiorys księdza Teofila Janoty Bzowskiego (1873-1959) opracowany w oparciu o *Przegląd Chyrowski* (Zakł. Wychowawczy OO. Jezuitów 1901), *Słownik Polskich Teologów Kato-*



Zjazd Rodziny Kozierowskich 21 listopada 2009 r. Od lewej:

- I rzqd:* Danusia Beczkowicz – Falkiewicz, Dorota Wyszowska, Bogdan Krzemiński,
Ewa Giostkowska, **Barbara Kozierowska**, Małgorzata Bzowska-Bakalarz,
Wiktoria Czachorowska, Patrycja Chojnacka, Danuta Czachorowska,
II rzqd: Marek Czacharowski, Janusz Jankowski, Bohdan Czachorowski, Maria Sakowicz,
Wanda Bańkowska, Krystyna Ney, Ewa Wyszowska, Piotr Kozierowski.
III rzqd: Beata i Romuald Chojnacki, Jolanta Miszczuk, Barbara Fazan, Zbigniew Fazan,
Julian Kozierowski, Marcin Kozierowski

lickich 1918-1981 (ks. Ludwik Grzebień, Akademia Teologii Katolickiej, Warszawa 1983), książkę *Chyrowiaczy* (ks. Ludwik Grzebień, Kraków 1990) oraz unikalne dokumenty z Archiwum Prowincji Polski Południowej Towarzystwa Jezusowego w Krakowie.

Wyjątkowo cenne w opracowaniach Barbary Kozierowskiej jest rzetelna informacja o źródłach bibliograficznych, co może być wskazówką dla dalszych studiów o rodzinach. Wykaz miejsc pochówku potomków rodziny wraz z fotografiami grobowców umożliwi odnalezienie grobów.

Z inicjatywy Barbary Kozierowskiej odbyły się w Czersku już dwa zjazdy Rodziny Kozierowskich – pierwszy – w 30 kwietnia 2006 w Czersku i drugi – 21 listopada 2009 roku w Karolinie koło Czerska. Mogliśmy nie tylko bliżej się poznać ale zostaliśmy obdarowani przez Barbarę kompletem Jej opracowań. Drzewo genealogiczne Rodziny (po kądzieli i po mieczu!) wymalowane na kartonach zajmowało całą długość Sali jadalnej w Dworku w Karolinie (koło Czerska). W obu zjazdach uczestniczyli potomkowie Lucyny i Aleksandra JB: Janusz Jankowski – prawnuk Aleksandra i Lucyny JB, Małgorzata Bzowska-Bakalarz – praprawnuczka Aleksandra JB i Lucyny JB z Kozierowskich.

Małgorzata BB

2.4. ZJAZD POTOMKÓW ALEKSANDRA I LUCYNY JANOTÓW BZOWSKICH 21.05.2011 R.

W 100-lecie śmierci Lucyny z Kozierowskich Janotowej Bzowskiej
Remiszew, Kalisz

Spotkanie odbyło się w posiadłości Janusza Jankowskiego (linia Pierwszego Starosty Rodowego) w Remiszewie w pobliżu miejscowości Szadek, 21 maja 2011 roku, w setną rocznicę śmierci Lucyny Kozierowskiej spotkali się potomkowie dwóch rodzin – Kozierowskich i Janotów Bzowskich, żeby oddać hołd swojej Prababce, Praprababce i Prapraprabace.

Lucyna Kozierowska (1841-1911) córka Eugeniusza Kozierowskiego (herbu Jelita) i Walerii z Rzezyckich (herbu Janina) urodziła się 11.10.1841 w Rykoszynie (akt chrztu nr 60 z dnia 12.10.1841 roku w parafii Piekoszów). Miała trzech braci (Stanisław Józef Ignacy, Ludwik Wiktor, Karol Eugeniusz) i trzy siostry (Kazimiera Józefa, Józefa Filipina i Maryanna Waleria) [za Barbarą Kozierowską „Kozierowsky herbu Jelita”, tom II, Czersk 2004-2005].



Lucyna Janota Bzowska
z domu Kozierowska

W dniu 4 września 1859 roku, poślubiła Jana Aleksandra Janotę Bzowskiego (herbu Nowina) – (akt ślubu nr 30 z 1858 roku w parafii Pierzchnica) – urodzonego w 1830 roku w Dobrowodzie, syna Teofila Janoty Bzowskiego (1795-1854) dziedzica Przecławic w powiecie jędrzejowskim i Franciszki z Laskowskich.

Małżonkowie Lucyna i Jan Aleksander Janotowie Bzowscy mieszkali w województwie kieleckim w majątkach ziemskich m. in. Kawczyn i Żarczyce. Aleksander JB był dzierżawcą folwarków Kawczyn i Chmielowiec, a następnie majątku w Żarczycach Większych, który w roku 1864 kupił od Hipolita Słojowskiego (akt notarialny nr 195 i 248 z 1864 roku – notariusz A. Mieszkowski) [za Barbarą Kozierowską „Kozierowscy herbu Jelita”, tom II, Czernsk 2004-2005]. Ze związku Lucyny i Jana Aleksandra JB urodziły się dzieci:

Córka (bez nadanego imienia) (1860-1860)

KAZIMIERZ (1861-1862)

STANISŁAW GERWAZY (1862-1937) – późniejszy Pierwszy Starosta Rodu Janotów Bzowskich

WŁADYSŁAW Jan (1864-1929)

BRONISŁAWA Teodora (1865-1944)

ZOFIA Maria (1871-1922)

TEOFIL Bolesław (1873-1959)

MARIAN (1880-1880)

JULIA Joanna (1881-1942)

Jan Aleksander Janota Bzowski zmarł w Kielcach w dniu 16.09.1899 roku w wieku 69 lat (akt zgonu nr 435 z 17.09. 1899 w parafii Katedry w Kielcach). Lucyna Janotowa Bzowska z Kozierowskich zmarła w dniu 20 maja 1911, pochowana na cmentarzu starym w Kaliszu.

Dla uczczenia pamięci Lucyny Kozierowskiej, w sto lat później – w dniu 21 maja 2011 spotkało się osiemnastu członków Rodziny.

Przedstawicielką Rodziny Kozierowskich była Barbara Kozierowska – blisko spokrewniona z Lucyną z Kozierowskich Janotową Bzowską, bo wnuczka Jej rodzonego brata Ludwika. Pozostali uczestnicy Zjazdu wywodzą się z Rodziny Janotów Bzowskich.

Barbara Kozierowska z Czernska – autorka 7 tomów historii Rodu Kozierowskich (po mieczu i po kądzieli),

Prawnuk Lucyny i Aleksandra Janotów Bzowskich a wnuk Zofii JB – Janusz Jankowski, wnuk Zofii Marii JB, Jego żona Grażyna Jankowska, ich synowie Jan Krzysztof Jankowski i Aleksander z żoną Agatą i ich trojgiem dzieci – Cezarym, Jowitą i Blanką,

Mąż prawnuczki Lucyny i Aleksandra Janotów Bzowskich a wnuczki Zofii JB – Ewy z Jankowskich Maliszewskiej – Andrzej Lech Maliszewski,

Praprawnuczka Lucyny i Aleksandra Janotów Bzowskich a prawnuczka Zofii JB – Agnieszka z Maliszewskich Zatorska z mężem Witoldem Zamorskim,

Prawnuk Lucyny i Aleksandra Janotów Bzowskich a wnuk Zofii JB – Andrzej Wojciech Jankowski z żoną Dorotą,
 Prawnuczka Lucyny i Aleksandra Janotów Bzowskich a wnuczka Zofii JB – Anna Zofia z Jankowskich Szydzisz,
 Prawnuk Lucyny i Aleksandra Janotów Bzowskich, a wnuk Julii JB – Edmund Sikorski z Żoną Marią,
 Mąż prawnuczki Lucyny i Aleksandra Janotów Bzowskich, a wnuczki Julii JB – Elżbiety z Sikorskich – Tadeusz Pędrak,
 Praprawnuczka Lucyny i Aleksandra Janotów Bzowskich, a prawnuczka Władysława JB – Małgorzata Bzowska-Bakalarz,

Spotkaliśmy się w gościnnym i malowniczo położonym domu Janusza i Grażyny Jankowskich w Remiszewie.



Od lewej: Janusz Jankowski, Agata Jankowska, Blanka Jankowska w wózek, Aleksander Jankowski i Jowita, Andrzej Jankowski, Małgorzata Bzowska, Barbara Kozierowska, Ania Szydzisz, Grażyna Jankowska, Witold Zatorski, Agnieszka Zatorska i przyjaciel domu p. Igor.

Od lewej: Janusz Jankowski z Jowitą, Małgorzata Bzowska, Andrzej Jankowski, Dorota Jankowska z Cezarym, Barbara Kozierowska, Ania Szydzisz, Witold i Agnieszka Zatorscy

Po królewskim obiedzie, z Remiszewa przedstawiciele rodziny pojechali do Kalisza. Na starym cmentarzu w Kaliszu przy ul. Górnośląskiej zapaliliśmy znicze na grobie Lucyny z Kozierowskich Janotowej Bzowskiej. Msza za duszę Lucyny z Kozierowskich Bzowskiej została odprawiona w kościele Opatrzności Bożej w Kaliszu.

Jadąc do Kalisza, po drodze zatrzymaliśmy się w Kaliszu na ulicy Szkolnej 5, przed szkołą – II Liceum Ogólnokształcącym im. Tadeusza Kościuszki, którą ukończył Jerzy Janota Bzowski – najmłodszy syn Stanisława JB – Pierwszego Starosty Rodowego, wnuk Lucyny i Aleksandra JB. Jerzy JB, absolwent Politechniki Warszawskiej, inżynier Krakowskiej Dyrekcji Kolei Państwowej, podporucznik rezerwy saperów został zamordowany w Katyniu 14.04.1940 r. W ramach programu „Katyń – ocalić od zapomnienia”, przed budynkiem tej szkoły przy ulicy Szkolnej 5 w Kaliszu w dniu 20



Nagrobek Lucyny z Kozierowskich Janotowej Bzowskiej
(grób wzdłuż muru po lewej stronie od wejścia bramą główną)

IV 2011 r. zasadzono dąb pamięci, który będzie przypominał postać **Jerzego Janoty Bzowskiego**. Obchody, związane z 71 rocznicą zbrodni katyńskiej, miały szczególnie uroczysty przebieg, bowiem połączone zostały z posadzeniem „Dębów Pamięci” poświęconych wychowankom szkoły – kapitanom: Jerzemu Bzowskiemu, Janowi Dobrowolskiemu i Edwardowi Sztarkowi. Na uroczystości była obecna **córka Jerzego JB Magdalena Bzowska**. Magdalena jest prawnuczką Lucyny i Aleksandra JB. – Relację z uroczystości sadzenia dębów katyńskich szeroko opisała prasa kaliska a na stronie internetowej II Liceum opisano przebieg uroczystości:

Dzień rozpoczął się od sesji naukowej poświęconej zbrodni katyńskiej i jej ofiarom. Szczegółowej, naukowej analizy okoliczności i przebiegu zdarzeń dokonał Paweł Kowalski – kierownik Referatu Edukacji Historycznej Instytutu Pamięci Narodowej Oddział w Łodzi. Kolejne wystąpienia: „Jeńcy polscy w sowieckiej niewoli – Kozielsk i Starobielsk w świetle wspomnień” autorstwa Tomasza Jeziorskiego oraz prelekcja Wojciecha Dyśko – „Wychowankowie szkoły – ofiary zbrodni katyńskiej” przybliżyły indywidualny, ludzki wymiar tragedii jaka dokonała się w 1940 r.

Kolejne wystąpienia miały szczególny charakter, bowiem przedstawiały sylwetki bohaterów uroczystości widzianych oczami najbliższych, a uzupełnione zdjęciami z rodzinnych albumów, fotokopiami dokumentów i listów z Kozielska były niezapomnianą lekcją historii. Prelegentami byli: Pani Magdalena Bzowska – córka kapitana Jerzego Bzowskiego, Pani Barbara Dworzak – córka kapitana Edwarda Sztarka oraz Pan Witold Korzeniewski reprezentujący rodzinę kapitana Jana Dobrowolskiego.

Po zakończeniu sesji rozpoczęła się główna część obchodów związana z posadzeniem dębów oraz odsłonięciem tablicy pamiątkowej poświęconej pamięci 30 wychowanków szkoły, którzy zostali zamordowani przez NKWD wiosną 1940 r. W części oficjalnej udział wzięli m.in.: prezydent Miasta Kalisza Janusz Pęcherz, wiceprezydent Dariusz Grodziński, naczelnik Wydziału Edukacji Mariusz Witczak, naczelnik Wydziału Spraw Społecznych i Mieszaniowych Robert Lis, prezes stowarzyszenia Rodzina Katyńska w Kaliszu Zofia Stefaniak, przewodniczący Miejskiego Komitetu Ochrony Walk i Męczeństwa Wincenty Pawlaczyk, prezes kaliskiego oddziału Polskiego Towarzystwa Historycznego Tadeusz Krokos, reprezentujący Komendę Hufca ZHP hm. Janusz Sibiński oraz nauczyciele, pracownicy i uczniowie naszej Szkoły.



Dąb katyński Jerzego Janoty Bzowskiego – przy II Liceum im. Tadeusza Kościuszki w Kaliszu

Uroczystość sadzenia „Dębów Pamięci” miała niezwykle podniosły nastrój – pod każdym z drzew rozsypana została garść ziemi przywieziona tydzień wcześniej z Katynia, wiążąc symbolicznie „żywe pomniki” z miejscem kaźni. Aktu posadzenia dokonali obecni na uroczystości członkowie najbliższej Rodziny: Dąb Jerzego Bzowskiego – córka Magdalena Bzowska wraz z kuzynostwem Tadeuszem Padrakiem i Agnieszką Staszak; Dąb Edwarda Sztarka – córka Barbara Dworzak, synowa Wanda Sztark, wnukowie: Agnieszka Sztark-Wilczek, Ewa Murawska i Stefan Dworzak oraz prawnuczka Ewa Dworzak; Dąb Jana Dobrowolskiego syn bratanicy Witold Korzeniewski w asyście harcerzy kaliskiego Hufca ZHP⁴



Na tym samym cmentarzu przy ul. Górnośląskiej w Kaliszu, gdzie pochowana jest Lucyna z Kozierowskich Janotowa Bzowska znajduje się grób rodziny Sikorskich, męża Julii z Bzowskich Sikorskiej (córki Lucyny

Nagrobek Rodziny Sikorskich – cmentarz w Kaliszu (od wejścia głównego alejką do końca, po lewej stronie przy murze) Edmund Sikorski – mąż Julii z Janotów Bzowskiej Władysław, Tadeusz Sikorski – synowie Julii i Edmunda Sikorskich, Jadwiga żona Mieczysława Sikorskiego, Elżbieta z Sikorskich Padrak

4 wg: http://www.2lo.kalisz.pl/joomla/index.php?option=com_content&view=article&id=260:dzien-katyski-w-naszej-szkole&catid=1:latest-news&Itemid=50

i Aleksandra Janotów Bzowskich, czyli wnuków i prawnuków Lucyny) i ich potomków. Na grobach rodziny Sikorskich – rodziny Julii Sikorskiej z domu Janotowej Bzowskiej zapaliliśmy znicze.

A w drodze powrotnej byliśmy we Wróblewie odwiedzając grób Julii Sikorskiej z Janotów Bzowski (córci Lucyny z Kozierowskich Bzowskiej).

Nieopodal kościoła Opatrzności Bożej, gdzie była odprawiona msza za duszę Lucyny JB, przy ul. Widok stoi dom Stanisława JB – Pierwszego Starosty Rodowego, dom z herbem Janotów Bzowski na fasadzie, opisany w *Życiu Kalisza*:



Miejsce spoczynku Julii z Janotów Bzowskich Sikorskiej – Wróblewo



Stanisław JB – Pierwszy Starosta Rodowy

Ukoronowaniem pozycji (Stanisława JB – rejenta, przyp. red.) w mieście była budowa okazałej rezydencji łączące cechy ziemiańskiego pałacu z nowoczesną willą. W 1909 roku od firmy Młynarski i ska zakupił teren znajdujący się przy ulicy Widok. Miejsce było znakomicie dobrane z nielicznymi zabudowaniami wśród pól i ogrodów, stosunkowo bliskie do centrum a jednocześnie dalekie od zgiełku miasta... Prawdopodobnie z racji tego że właściciel 18 lat sprawował funkcje przewodniczącego rady Miejskiej budynek jeszcze dzisiaj nazywany jest „Prezydentówką”.

... W 1933 roku stan zdrowia właściciela pogarsza się, mimo przywiązania do Kalisza (był jego honorowym obywatelem), na stałe opuszcza miasto aby zamieszkać w Krakowie. Umiera w 1936 r. Kaliszanie nie zapominają o swoim dobroczyńcy ich wysłannik, Edmund Sobczyński (brat ks. Jana Nepomucena) nie tylko przypomni zasługi zmarłego ale w duchu epoki stwierdza iż (...) był to mąż spizowy, z sercem anielskim i dusza kryształową, (...) był jednym z pierwszorzędnym obywateli, którzy złotymi zgłoskami zapisali swe imię na wieczystych kartkach historii miasta. Rok później również w Krakowie umiera „melancholijna” Zofia. Wojna przynosi zagładę wielu członków kaliskiej linii Bzowskich i koniec świata ziemiańskiego z którego się wywodzili. Rozrzuceni po całej Polsce teraz zwanej ludową stopniowo wymierają bliźni i dalsi krewni. Pozostają wspomnienia. W 1978 r. odbłask tego świata powraca na kartach pamiętnika Zdzisława Janoty Bzowskiego, bratanka rejenta.⁵

5 „Portret domu z herbem i rodziną w tle – Ulica Widok 17” Roczniku kaliskim (T. XXX, Kalisz 2004/5)



Dom Stanisława i Zofii z Markowskich JB przy ul Widok za czasów świetności.
W 1915 roku odbył się ślub ich córki Kazimiery (1894 – 1961) z Jerzym Bartel de Weydenthal
– na fotografii Para Młoda i goście weselni



Fasada domu z herbem
Janotów Bzowskich



Widok domu Stanisława JB w roku 2009
(przed domem Barbara Kozierowska
i Magdalena Bzowska)

Z Kaliszem – najstarszym miastem Polski związało swe losy wielu członków Rodziny Bzowskich a ich potomkowie ze wzruszeniem oglądali ślady ich bytności w tym pięknym mieście. Pełni wrażeń, wróciliśmy do Remiszewa, w gościnne progi domu Grażyny i Janusza Jankowskich i do późnych godzin nocnych poznawaliśmy się nawzajem, opowiadaliśmy o tych co odeszli, oglądaliśmy pamiątki rodzinne i czuliśmy się wszyscy bardzo rodzinnie – choć poznaliśmy się tak niedawno.

3. POLICZMY SIĘ

Układ informacji rozdziału zawiera kolejno: wykaz członków rodziny z danej linii rodowodowej, biogramy osób lub opis ważnych wydarzeń – chronologicznie, według kolejności jak w liniach rodowodowych. Nie przytaczamy życiorysów opisanych już w poprzednich Zeszytach *Łącznika Rodzinnego*.

Rozdział *Policzmy się* zawiera nie tylko informacje współczesne, ale także archiwalne.

Niektóre biogramy są pisane zwięzłym „faktograficznym” językiem, niektóre potoczyscie i spontanicznie – wszystkie są warte uwagi. Gdyby wkradły się błędy – redaktorki z góry przepraszają i proszą o wyrozumiałość!

Wstęp

Wywiedziono linie rodowodowe (zdefiniowane w tekście poniżej):

Jana (syna Józefa Felicjana, Jana z Przemęczan, Bobrownicką, Kielecką, Władysława Pułkownika, Borussowską, Drogińską, Zwiernicką, Stefana Szczepana, Stanisława – Pierwszego Starosty Rodowego – od Józefa Felicjana. W tabelach podano poprawki do niektórych informacji.

Przyjęto zasadę, że pod liniami rodowymi będą umieszczone krótkie biogramy osób w kolejności zależnej od daty urodzenia (od najstarszego do najmłodszego). Biogram będzie podawany tylko raz dla danej osoby – jeżeli przodek jest uwzględniony w liniach poprzednio omawianych – umieszczamy odsyłacz.

Załącznikiem do tego rozdziału jest płyta z drzewem genealogicznym Rodu Janotów Bzowskich opracowanym przez Andrzeja Janotę Bzowskiego z Gdyni (Linia Kielecka).

Linie rodowodowe od Józefa Felicjana (1704-1770)

W Zeszytach nr 1, 2, 3 *Łącznika Rodzinnego* stosowano podział genealogiczny Rodziny na linie A, B, C. Wywodzą się one od dzieci Józefa Felicjana (1704-1770) i Teofili z Jordanów (1727-1786):

Tabela 1. Podział genealogiczny Rodziny na linie A,B,C stosowany w poprzednich *Łącznikach Rodzinnych*

Potomkowie	Linia
Aleksandra (1748-1803)	A
Hiacynta (Jacka) (1750-1808)	B
Stanisława (1756-1817)	C

Ze względu na to, że Józef Felicjan miał ośmioro dzieci, a w Zeszytach Łącznika Rodzinnego nie uwzględniono linii wszystkich dzieci Józefa Felicjana [tzn. Konstancji (1447-); Jana (1749-1800); Petroneli (1750-?); Pawła (1759-1784/7) i Antoniego (1752-1795) postanowiono zrezygnować ze stosowania nomenklatury „alfabetycznej linii”.

Pierwsze dwie linie (Konstancji i Jana) wyraźnie były po macoszemu potraktowane przez kronikarzy i brak jest informacji o potomkach zwłaszcza po kądzieli.

Dla ułatwienia omawiania pochodzenia (umiejscowienia w czasie i miejscu) poszczególnych członków Rodziny zastosowano terminologię zdefiniowaną w tabeli 2.



Józef Felicjan (1704-1770)

Tabela 2. Podział genealogiczny na 12 linii rodowych zastosowany w Zeszycie 6 Łącznika Rodzinnego

Potomkowie Józefa Felicjana (dzieci)	Nr linii	Wywód linii – nazwa linii
Konstancja (1747-?) mąż Adam Potocki		Bez nazwy (brak potomków)
Aleksander (1748-1803) żona Jadwiga Rudzka	1 2	Linia Aleksandra, z której wywodzi się Linia Władysława Pułkownika
Jan (1749-1800) żona (primo) Katarzyna Przebędowska żona (secundo) Katarzyna Kielczewska	3	Linia Jana - syna Józefa Felicjana
Hiacynt (Jacek) (1750-1808) żona Salomea Zawadzka	4 5 6 7 8	Linia Hiacynta a z niej wywodzi się: Linia Drogińska (od Kazimierza (1864-1946)) Linia Jana z Przemęczan (1835-1879) Linia Zwiernicka (od Wincentego (1867-1943)) Linia Borussowska (od Jana z Borussowej) (1868-1936)
Petronela (1750-?); mąż Maksymilian Zborowski		Bez nazwy (brak potomków)
Antoni (1752-1795) żona Marianna Stadnicka		Bez nazwy (córka? Apolonia? – brak danych)
Stanisław (1756-1817) żona Julia Zborowska (?-1830) mieli 2 dzieci: Krystyna (1791-1851) mąż Walenty Litwiński (1778-1825) Teofil (1794-1853) żona Franciszka Laskowska	9 10 11 12	Bez nazwy (brak danych) Linia Aleksandra (1830-1899) zwana dalej Linią Stanisława (1862-1936) Pierwszego Starosty Rodowego Linia Bobrownicka [od Józefa z Bobrownik (1874-1945)] Linia Kielecka [od Tadeusza ur. w Kielcach (1907-1966)] Linia Stefana Szczepana powstańca 1863 (1839-1926)
Paweł (1759-1784/7 ?)		Bez nazwy (brak potomków)

3.1. LINIA ALEKSANDRA (SYNA JÓZEFA FELICJANA) (1)

Józef Felicjan (1704-1770)

żona Teofila z Jordanów (1727-1786)

Aleksander (1748-1803) żona Jadwiga Rudzka mieli 4 dzieci

Franciszek (?-1809)

Honorata (?) mąż Ignacy Łętowski

Teofila (?) mąż (primo) Franciszek Antkiewicz

mąż (secundo) Służewski

Karol (1777-?)

żona (primo) Salomea Wolska (*ciąg dalszy gałęzi Karola jest podany w linii Władysława Pułkownika*)

mieli syna Erazma (1815-?), żona Konstancja Osiecka (?)

żona (secundo) Marianna Jakubowska) mieli 5 dzieci:

1. Czesław (1821-?)

2. Konstanty (1823-1889)

3. Henryka (?) mąż Adam Kraft (?)

4. Zofia (?) mąż Teofil Terlecki (?)

5. Władysław (1828-1910) żona NN Szumanczowska

Brak danych o potomkach z tej linii rodowej

3.2. LINIA WŁADYSŁAWA PUŁKOWNIKA (2)

Józef Felicjan (1704-1770) żona Teofila z Jordanów (1727-1786)

Aleksander (1748-1803) żona Jadwiga Rudzka

Karol (1777-?)

żona (primo) Salomea Wolska

żona (secundo) Marianna Jakubowska

Erazm (1815-?) żona Konstancja Osiecka mieli 3 dzieci:

Włodzimierz – żonaty ? mieli syna

Erazma – żonaty – bezdzietny – zmarł w Debreczynie

Bolesław (?-1905) żona Helena Horodyńska – bezdzietni

Ambroży Zygmunt (1842-1897) żona Helena Dobór-Muśnicka mieli 4 dzieci

1. Zofia Olimpia (?-1930) – Kanoniczka

2. Teresa Emilia (?-1960) mąż Jan Rozwadowski (?-1940) mieli syna

Paweł Rozwadowski (?-1970)

3. **Henryk (1890-1943)**

4. **Władysław (Pułkownik) (1885-1945)**

żona (primo) Maria Kossak (24.11.1891-9.07.1945) – poetka

żona (secundo) Helena Jordan (1895-4.06.1990) mieli syna

Jerzy (1920-4.06.1994) żona Elizabeth von Rupp (ur. 1919)



HENRYK JANOTA-BZOWSKI (1890-1943)

Zdjęcie dotychczas nie publikowane: (Łącznik II str. 12). Drugi syn Ambrożego Zygmunta i Heleny z Dowbór-Muśnickich. Emerytowany rotmistrz Wojsk Polskich. Znany powszechnie jako „Bzunio”. W 1939 r. brał czynny udział w walkach na ulicach Warszawy. Ranny, został wzięty do niewoli niemieckiej. Według niesprawdzonych relacji kolegów z obozu, w 1943 r. wywieziony z obozu jenieckiego, zginął z rąk Gestapo.

HENRYK (1890-1943) – zdjęcie dotychczas nie publikowane

WŁADYSŁAW JANOTA BZOWSKI (PUŁKOWNIK) (7.04.1885-maj 1945)

Pełny życiorys Władysława JB podano w Zeszytach 4 i 5. Podajemy więc tylko kalendarium biograficzne oraz nie publikowane dotąd zdjęcie płk. Władysława JB (przysłane przez Ryszarda JB – Linia Bobrownicka).

1910-1913 służył w armii austriackiej, uzyskał tytuł szambelana cesarskiego, w tym czasie był, przez pewien czas, adiutantem cesarzowej Austrii

I wojna światowa – oficer zawodowy 1 pułku ułanów austriackich (1915 ciężko ranny)

wykładowca w wyższej Szkole Technicznej w Mödling pod Wiedniem, a następnie do Szkoły Kadetów Kawalerii w Weisskirchen – obecnie Hranice

1916 – małżeństwo z Marią Kossak (Maria Pawlikowska-Jasnorzewska – poetka) zakończony rozwodem

1919 – poślubia Helenę Jordan herbu Trąby (Brzezina)

1918 – był m.in. dowódcą oddziału przybocznego przy szefie Sztabu Generalnego WP

1923-1928 dowódca 8 pułku Ułanów Księcia Józefa Poniatowskiego, którego tradycje sięgają 1784 roku. Ustalił takie zasady szkolenia, które pułkowi przyniosły niezbędną wewnętrzną spójność

1938 – przechodzi w stan spoczynku



Władysław Bzowski, (listopad 1905 r.) (jako elew Wyższej Szkoły Jazdy w Wiedniu)

II wojna światowa – dowódca Armii Krajowej w Małopolsce

1944 – aresztowany przez Gestapo i więziony w obozie koncentracyjnym Gross Rosen

1945 – zmarł w obozie Gross Rosen, pochowany w Lutomierzycach

Odnaczony: dwukrotnie Złoty Krzyż Zasługi, Order Korony Rumuni 3 klasy



ELIZABETH VON RUPP JANOTA BZOWSKA (ur. 1919) – żona Jerzego JB, synowa Władysława JB (pułkownika), utalentowana artystka graficzka. Oto relacja z wystawy jej prac:

Stamp Art – An Exhibition Insight into the Life Work of Elisabeth von Janota-Bzowski

<http://www.felzmann.de/en/buy/125th-auction/exhibition-janota-bzowski.html>

Elisabeth von Janota-Bzowski is skilled in graphic design and had been successfully working in advertising before she became a stamp artist. She had worked for big national and international companies, such as Henkel, Burda and the hotel chain InterContinental. She also made pictorial contributions of well-known politicians for the covers of renowned magazines, such as the American Time Magazine and the German Spiegel. Apart from the German politician Franz Josef Strauss and the first chancellor of FRG, Konrad Adenauer, she also portrayed former US President Ford and US Foreign Minister Kissinger.

Her parents had realized very early that she was interested and talented in art. At the age of ten she had lessons in drawing and painting, as a young 17-year-old teenager she sold her first drawings. Elisabeth von Janota-Bzowski was born in Kiel and lives now in Düsseldorf in Germany and is well-known. She is often just called "the Janota" ...



Johann Wolfgang von Goethe



Biały koń symbolizujący pokój

Najsławniejsze znaczki projektowane przez Elisabeth Von Rupp Janotę Bzowską

...Elisabeth von Janota-Bzowski's career as a stamp artist began in the 70's. The appeal of her portrayals of famous German personalities, such as the writers Johann Wolfgang von Goethe and the brothers Grimm or the composer Johannes Brahms, lies in their fidelity to detail and strong expression. Janota-Bzowski had thereby created unique design...

Still today Elisabeth von Janota-Bzowski is called the Grande Dame of advertising art. She herself has once described her stamp art: "A stamp is a little poster, and a poster is a telegram. The message has to be understood immediately, fast and completely. That's why the job is always the same: To create the topic as catchy as possible." ...

3.3. LINIA JANA (SYNA JÓZEFA FELICJANA) (3) – (GAŁĄŻ ANNY)

Linia Jana była całkowicie pominięta w poprzednich Zeszytach *Łącznika Rodzinnego* oraz w drzewie genealogicznym, a także w *Kronikach Rodziny Janotów Bzowskich*

Józef Felicjan (1704-1770) żona Teofila z Jordanów (1727-1786)

Jan (1749-1800) żona (primo) Katarzyna Przebędowska (?-12.03.1818)

żona (secundo) Katarzyna Kiełczewska

Dzieci:

Józef (1790 ur. w Trzebienicy, zm. 1814)

Anna (1794-?) mąż Erazm Wyczółkowski (1788-1843)

mieli 2 dzieci:

Katarzyna Apolonia Wyczółkowska (13.06.1814-?)

Jan Piotr Ignacy Wyczółkowski (6.08.1815-?) żona Honorata Ujejska (1824-?)

Źródło informacji: od Adama Skurdo z Wrocławia – potomek rodziny Ujejskich (materiały źródłowe znajdują się w Bibliotece im. Ossolińskich we Wrocławiu). **Brak danych o potomkach z tej linii rodowej.**

3.4. LINIA HIACYNTA (SYNA JÓZEFA FELICJANA) (4) – (GAŁĄŻ KAZIMIERZA Z DROGIMI I CYPRIANA)

Józef Felicjan (1704-1770) żona Teofila z Jordanów (1727-1786)

Hiacynt (1750-1808) żona Salomea Zawadzka mieli 4 dzieci:

1. Teofila (?) mąż Colonna-Walewski

2. Andrzej (1794-1804)

3. **Kazimierz (1792-1862)** żona Marianna Dąmbska mieli 9 dzieci:

Eugeniusz (1820-1881)

Bogusław (1821-1911) **(od Bogusława wywodzi się linia Drogińska)**

Aleksander (1823-1871) żona Wiktoria Borowska (?-1914) mieli czworo dzieci:

Stanisław (1864-1913) żona Józefa Obentraut mieli syna

Mikołaja (1909-1944 Oświęcim)

Julia (1865-1935) mąż Kazimierz Piątkowski

Marceli (1868-?)

Aleksander (1870-1938) żona Celina Dębicka (?-1959)

Emilia (1830-1879) mąż Paweł Zieliński (?)

Izydor (1833-1903)

Jan (1835-1879) (linia Jana z Przemęczan)

Jadwiga (1842-1926) mąż Stefan Kamocki (?)

Włodzimierz (?-1840)

Henryk (?-1851)

4. Cyprian (1799-1831) żona Elżbieta Wielogłowska (?) mieli 5 dzieci:

Marianna (1822-1877) mąż Konstanty Wielogłowski

Józef (1824-1873) Katarzyna Wielogłowska (?) mieli 2 synów

Cyprian (1869-1932)

Józefa (1860-1887) mąż Kazimierz Rajski (?)

Wacław (1825-1855)

Paulina (1826-1908) mąż Józef Gostkowski

Aleksander (1830-1881) żona Józefa Stadnicka (?) mieli 5 dzieci

Stefan (1869-1917)

Maria (1863-1935) mąż Ignacy Przechadzki (?)

Zofia (1864-1934) mąż Adam Kozubowski (?)

Stanisław (1868-1925)

Zygmunt (1873-1912) żona Jadwiga Orzechowska (?) mieli 3 dzieci

Anna (1904-?) mąż Zygmunt Niziołowski

Wacław (1907-1926)

Maria (1905-1994) mąż (primo) Zdzisław Zieliński (?-1934) mieli córkę

Elżbieta (?-1990) mąż Zalewski mieli 2 dzieci;

Małgorzatę

Tomasza (zmarł tragicznie)

Mąż (secundo) Bohdanowicz (bez dzieci)

Brak bliższych danych o potomkach z tej linii rodowodowej, jednak z niej wywodzą się linie:

Drogińska (od Kazimierza (1864-1946); Jana z Przemęczan (1835-1879), Zwiernicka (od Wincentego (1867-1943) i Borussowska (od Jana z Borussowej) (1868-1936).

Zamieszczamy parę wiadomości związanych z wydarzeniami dotyczącymi potomków Hiacynta oraz unikalne niepublikowane zdjęcia.

Dwusetna rocznica śmierci Hiacynta Bzowskiego

Jerzy JB z Kanady (Linia Jana z Przemęczan) znalazł w podanym niżej adresie internetowym informację o uroczystości uczczenia dwusetnej rocznicy śmierci Hiacynta oraz o akcie wandalizmu na „Kopcu Bzowskich”.

<http://www.osp-bedkowice.eu/wiadomosc/dwusetna-rocznica-smierci-hiacynta-bzowskiego.html> :

W dniu 19 listopada 2008 roku w Kościele Parafialnym w Będkowicach odbyła się uroczysta msza św. z okazji dwusetnej rocznicy śmierci Hiacynta Bzowskiego.

Na mszę przybyli praprawnuk Hiacynta Pan Kazimierz Bzowski, inicjator zorganizowania uroczystości Pan Leszek Chmura, sołtys wsi Będkowice Pani Marzena Bień, reprezentacja straży w osobach prezesa Jacka Gąski oraz naczelnika Michała Krawczyka, przewodniczący stowarzyszenia „Sokolica” Pan Kazimierz Dobrzański, była też nieliczna grupa mieszkańców. Bogatą historię Hiacynta Bzowskiego i jego rodziny przedstawił Leszek Chmura, mszę odprawił ks. Proboszcz Miłosz Biela. Po mszy św. jej uczestnicy przeszli pod kopiec – miejsce pochówku Bzowskich – gdzie złożono wiązanek kwiatów i zapalono znicze. Po uroczystości w remizie OSP odbyło się miłe, kameralne spotkanie, na którym poznaliśmy się z Panem Kazimierzem Bzowskim.

Utworzona: 2008-11-29 o godz. 19:14

Uwaga! Nie możemy zidentyfikować Kazimierza Bzowskiego i jego koligacji z Hiacyntem.

Na stronie gminy Będkowice znalazła się też fatalna wiadomość:

Grupa młodych ludzi dokonała aktu wandalizmu i zniszczyła, a dokładniej mówiąc, złamała 200-letni krzyż wieńczący mogiłę rodziny Bzowskich w Będkowicach na zabytkowym „Kopcu Bzowskich”. Dodano 2009-04-09 o godz. 21:43.

Dotyczy Kazimierza Janoty Bzowskiego (1792-1862)

Na podstawie materiałów przesłanych przez p. Czesława Anioła do Janusza Bzowskiego (Kraków – linia Jana z Przemęczan). P. Czesław Anioł zaczerpnął poniżej cytowane wiadomości z publikacji (prace magisterskie): „Parafia w Lipnicy Murowanej” (rozdział: „Piórem i obiektywem po Lipnicy i okolicach”) autorstwa księży Banachów pochodzących z Lipnicy, którzy zaczerpnęli te wiadomości z rękopisu (z lat 1936-39) wójta Lipnicy Murowanej St. Piotrowskiego:

„Kazimierz był synem Jacka (Hiacynta), burgrabiego krakowskiego i Salomei Rogala Zawadzkiej. Urodził się 6 marca 1772 roku w Gruszowie. Był wychowankiem Gimnazjum Św. Anny w Krakowie, a następnie oficerem wojsk napoleońskich. W 1817 roku został przyjęty do grona stanów galicyjskich. Dom Bzowskich oddziaływał na całą parafię swym patriotyzmem, a wrażliwość na ludzkie niedole jedynała właścicielowi dominium szacunek i oddanie. Potwierdzeniem tego jest fakt, że w czasie rabacji chłopskiej mieszczanie lipniccy bronili majątku Bzowskich przed

bandami. Kazimierz Bzowski był żonaty z Marianną z Dąmbskich, z tego małżeństwa miał dziewięcioro dzieci. Na krótko przed śmiercią przekazał majątek synowi Izydorowi, a sam przeniósł się do Krakowa. Zmarł 26 maja 1862 roku. Pochowano go na cmentarzu Rakowickim”

Komentarz do zdjęć dotychczas niepublikowanych rodzeństwa Cypriana i Józefy – wnuków Cypriana (1799-1831)

Wnuk Cypriana (1799-1831), syn Józefa JB (1824-1873) i Katarzyny Wielogłowskiej) (wg Kroniki str. 123/124 i Zeszyt 1 Łącznika Rodzinnego:

Cyprian był człowiekiem o wyższej kulturze i wysokim poczuciu honoru i miłych zaletach towarzyskich, które mu jednały wiele przyjaciół... Zawiązywał serdeczne stosunki niemal z całym ówczesnym ziemiaństwem Polski. Wskutek niepomysłnych zwrotów fortuny osiadł na starość u swego kuzyna Kazimierza JB z Drogini, gdzie zmarł w 1932 roku. Zmarł w 63 roku życia, nieżonaty i bezdzietny



Cyprian JB (1869-1932)



Fotografia siostry Cypriana Józefy (1860-1887) z przyjaciółką. Podpis na odwrocie zdjęcia: Józefa z Janotów Bzowskich Kazimierzowa Baronowa Reiska Maria z Strzemieńczyk Chwałibogów Stanisławowa Lubomirska

Komentarz do informacji zawartych na stronie internetowej gminy Raclawice – dawnego majątku Janotów Bzowskich (Gałąź Cypriana)

Strona www Gminy Raclawice – link Historia:

http://www.raclawice.pl/index.php?option=18&action=articles_show&art_id=488&menu_id=442&page=276

W okresie powstania kościuszkowskiego właścicielem dóbr w Raclawicach był Walery Wielogłowski herbu Starykoń. Dwór mieścił się w Raclawicach naprzeciw kościoła, od strony wschodniej. Od 1778 roku stoi tu kościół, a obok niego drewniana dzwonnica, w której wisi dzwon odlany w 1776 roku. Raclawice były wsią niewielką, z 27 dymami i około 200 mieszkańcami. Mieściła się tu wytwórnia siodła, młyn, karczma, cegielnia polowa w Jaworku. Wypalano również gips. Do dóbr tych należał folwark Dziemięrzyce...

Raclawice – siedziba majątku obejmowała 415 morgów, z czego 285 morgów ziemi ornej oraz duży obszar lasów. W majątku mieszkało 112 osób służby dworskiej, 5 właścicieli oraz 5 rodzin żydowskich.

Około 1807 roku dobra raclawickie przeszły od Wielogłowskich w ręce Bzowskich herbu Janota. Po powstaniu styczniowym majątek Bzowskich zbankrutował. Przyczyną bankructwa było wywiezienie włościan Bzowskich na Sybir za udzielenie pomocy powstańcom przechowywanym po bitwie miechowskiej w 1864 roku. Na Sybir wysłano dwóch braci Bzowskich, z których w 1919 roku młodszy wrócił już jako staruszek, a drugi zmarł na zesłaniu.

Dementi: Na podstawie informacji zawartych w Zeszycie 2 Łącznika Rodzinnego (Gałąź Cypriana (str. 18 i 19) nie możemy zidentyfikować braci Janotów Bzowskich, którzy byliby zesłani na Sybir. Jednak rzeczywiście Raclawice należały do Janotów Bzowskich (Elżbieta Wielogłowska wniosła mężowi Cyprianowi JB w wianie, między innymi, wieś Raclawice). Nie można potwierdzić faktów o rzekomym bankructwie i zesłaniu na Sybir któregokolwiek z potomków Cypriana. Aż do 1873 roku rodziły się w Raclawicach dzieci Janotów Bzowskich (Maria 1863, Zofia 1864, Stefan 1869 (patrz informacja niżej), Stanisław 1868, Zygmunt 1873).

Sekretarz gminy Raclawice – Zofia Dziwosz 14.08.2008 r. w odpowiedzi na monity Janusza Bzowskiego (linia Jana z Przemęczan) obiecała nanieść poprawki na stronie internetowej Gminy, jednak do dnia dzisiejszego nie poprawiono oznaczonych kolorem szarym błędów w nazwiskach.

WACŁAW JANOTA BZOWSKI (1825-1831) – syn Cypriana i Elżbiety z Wielogłowskich

Syn właścicieli wsi Słaboszów i Nieszków w powiecie Miechowskim. W 1846 roku potajemnie wyjechał z J. Kochanowskim do Krakowa, by wziąć udział w powstaniu, zabierając ze sobą służących, zgodnie z orzeczeniem KS z 4/16 V 1847 polecono władzom miejscowym aresztować gdyby pojawił się w Królestwie Polskim, majątek zaś zasekwestrowano. Postanowieniem RA820 kwietnia 1855 uznano go za banitę z orzeczeniem konfiskaty majątku.

Informacja z opracowania „Uczestnicy ruchów wolnościowych w latach 1832-1855 (Królestwo Polskie). Przewodnik Biograficzny PAN. Zakład Ossolińskich 1990 r., s. 95.

3.5. LINIA DROGIŃSKA (5)

Józef Felicjan (1704-1770) żona Teofila z Jordanów (1727-1786)

Hiacynt (Jacek) (1750-1808) żona Salomea Zawadzka

Kazimierz (1792-1862) żona Marianna Dąmbska

Bogusław (1821-1911)

Leonia Stadnicka (1838-1919) [patrz: Linia Hiacynta]

Kazimierz (1864-1946) żona Wanda Romer (1877-30.02.1938) mieli 8 dzieci:

1. **Helena** (1897-1970), mąż Andrzej Kunachowicz (6.11.1895-8.11.1980) mieli 2 dzieci:

Terese (ur. 17.09.1925), mąż Jerzy Bończa Skarżyński (1.04.1922-12.05.2010) mają 3 dzieci:

Piotra (ur. 9.12.1953)

Zofię (ur. 23.08.1955)

Jana Mieszko (ur. 1966)

Krzysztofa Kunachowicz (ur. 5.07.1927) żona **Hanna** ze Sławińskich (25.12.1941)

mają dwoje dzieci:

Joannę (ur. 28.05.196), mąż Piotr Stachura mają 3 dzieci:

Agatę Stachura (ur. 07.06.1996)

Ignacego Stachura (ur. 27.11.2001)

Łucję Stachura (ur. 01.07.2008)

Pawła (ur. 5.10.1970)

2. **Jacek** (1899-1966) żona Maria Ciechanowska (1905-1977) mieli 2 dzieci:

Anna Maria (ur. 1935)

Marek Bogusław (ur. 1937) żona **Barbara** Malcher (ur. 1945) mają 2 synów:

Jana Michała (ur. 1972) żona **Noemi** Petneki (ur. 5.06.1978) mają 2 dzieci:

Natalię Fanny (ur. 1.09.2003)

Beniamina Miłosza (ur. 21.08.2007)

Krzysztofa Macieja (ur. 11.07.1976) żona **Magdalena** Dobrzańska (ur. 1978)

mają syna:

Franciszek Jacek (ur. 20.01.2010)

3. Teresa (1900-1957)

4. Ludwina (1902-1962) mąż Wojciech Nekanda-Trepka (?-1974) mieli dwóch synów:

Macieja (23.02.1929-17.07.2000), żona Bożena z d. Kałkus (ur. 1934) mają 2 dzieci:

Iwonę (ur. 1956)

Kazimierza (ur. 1959)

Stanisława (1930-2005), żona Genowefa Maria Lorek (ur. 28.11.1936) mają syna:

Witolda (ur. 1958)

5. Anna (1904-20.12.1942)

6. Bronisława (1906-1997)

7. **Franciszek Leon** (24.03.1910-21.01.1991)

żona (primo) Janina Turska (1913-1936) mieli córkę

Barbara Maria (ur. 1936), mąż **Włodzimierz Zych** (ur. 16.01.1929), mając syna:

Piotr Zych (ur. 1967), żona Beata Radulska (ur. 1971)

mają córkę **Zofię** (ur. 20.06.2006)

żona (secundo) **Julia Kozłowska** (30.11.1914-5.02.1987) mieli córkę

Krystyna (ur. 24.07.1949) mąż **Wojciech** Michałak (ur. 15.02.1946) mając syna:

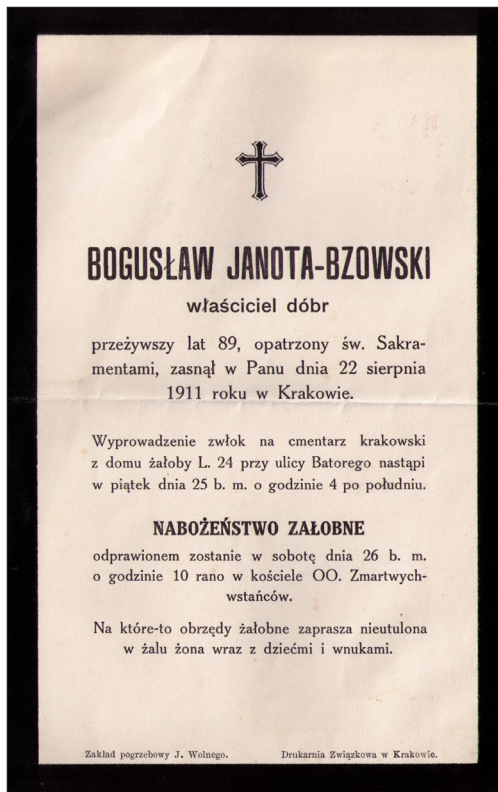
Krzysztofa Dominika (ur. 21.03.1977)

8. Maria (1913-1999)

BOGUSŁAW JANOTA BZOWSKI (1821-1911) – drugi syn Kazimierza JB i Marianny z Dąmbskich, właściciel dóbr Droginia, Radwan i Buk, marszałek Rady Powiatowej w Myślenicach – życiorys opisany w Zeszytcie 2 *Łącznika Rodzinnego* (str. 14)



Bogusław JB (1821-1911) zdjęcie dotychczas niepublikowane



Nekrolog Bogusława JB

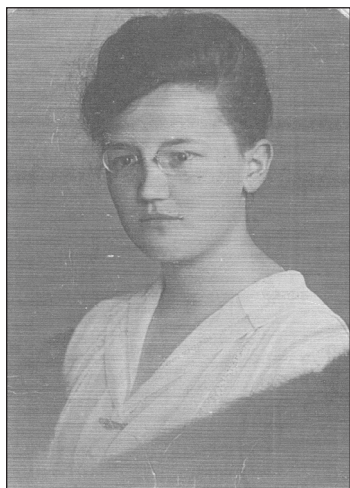


KAZIMIERZ JANOTA BZOWSKI z Drogini (1864-1946)

Biografia Kazimierza jest opisana w Zeszytcie 3 (str. 15) i Zeszytcie 4 (str. 16) *Łącznika Rodzinnego*, a także we wspomnieniach Krzysztofa Kunachowicza (rozdział 2. 1 Zeszytu 6).

Kazimierz z Drogimi (1864-1946)
(zdjęcie dotychczas niepublikowane)

HELENA Z JANOTÓW BZOWSKICH KUNACHOWICZOWA (1897-1970)



Helena z Janotów Bzowskich
Kunachowiczowa (1897-1970)

Najstarsza córka Kazimierza, właściciela Drogini i Wandy z Romerów, moja Matka Helena urodziła się w Drogimi w 1897 r. Dzieciństwo spędziła w rodzinnym domu, wraz z siedmiorgiem rodzeństwa. Rodzice kładli duży nacisk na wychowanie w duchu religijnym i patriotycznym i na ogólne wykształcenie. Hela obdarzona wielorakimi uzdolnieniami szybko się uczyła, opanowała perfekcyjnie język francuski, niemiecki i dobrze angielski, co było ułatwione obecnością zagranicznych guwernantek we dworze. W gimnazjum SS Niepokalanek w Nowym Sączu była prymuską w naukach humanistycznych i ścisłych. Po maturze kontynuowała naukę w szkole ogrodniczej w Wiedniu, a po jej ukończeniu wróciła do Drogimi i zajęła się ogrodem warzywnym i parkiem. Trwała

wtedy pierwsza wojna światowa, a wkrótce potem z bolszewikami. W tym czasie, podobnie jak wiele młodych kobiet, ukończyła w Krakowie szkołę pielęgniarzek z praktyką w szpitalu na oddziale chirurgicznym. Wróciła następnie do Drogini do swojego ukochanego ogrodu. Długo się nim nie nacieszyła, gdyż w 1922 r. wyszła za mąż za rotmistrza 2 Pułku Szwoleżerów Rokitniańskich, Andrzeja Jastrzębca Kunachowicza. Młodzi małżonkowie zamieszkali początkowo w Bielsku, gdzie ja się urodziłam w 1925 r. Wkrótce zostaliśmy przeniesieni do Torunia, tam urodził się Krzysztof. Następne przeniesienie ojca z rodziną miało miejsce do Warszawy, gdzie ukończył on Wyższą Szkołę Wojenną.

Po dłuższym pobycie w Drogini Mama wyjechała do Lwowa, już jako żona podpułkownika, nowego dowódcy sławnego 14. Pułku Ułanów Jazłowieckich. Była bardzo skromna i cicha, musiała jednak przewyciężyć wrodzoną nieśmiałość i przyjąć przewodnictwo Rodziny Wojskowej. Organizowała pogadanki, wygłaszała odczyty na temat historii polskiej, literatury i sztuki, również o najnowszych zdobyczach chemii i lubianej przez siebie astronomii. Rodzice przyjmowali wizyty rodzin oficerskich, a raz do roku wydawali przyjęcie dla całego korpusu oficerskiego. Ważnym wydarzeniem towarzyskim dla śmietanki towarzyskiej Lwowa i ziemiaństwa z województwa był coroczny bal 14. Pułku Ułanów w Hotelu Georga albo Hotelu Krakowskim. Takie uroczystości wymagały od żony dowódcy pułku nie tylko wrodzonego taktu, ale również elegancji i dostosowania się do aktualnej mody, czego Mama szczerze nie cierpiała. Ostatnia dyslokacja służbowa rodziny nastąpiła po mianowaniu ojca dowódcą 20. Pułku Ułanów w Rzeszowie. Ojciec awansował a Mama miała te same obowiązki.

Wszystkie święta Bożego Narodzenia i wakacje spędzała z dziećmi w Drogini. Tam też w 1939 r. zastała nas wojna. Ojciec, ciężko ranny w potyczce swojego pułku z Niemcami, został wzięty do szpitala, a potem do obozu jenieckiego. Mama zajęła się gospodarstwem domowym w Drogini, najpierw sama, a potem z najmłodszą siostrą Marysią. Wyżywienie 20 domowników i 10 stałych pracowników (nie licząc pracowników folwarku) nie było w owym czasie rzeczą łatwą. Organizowała też nauczanie dzieci. Było nas dziewięcioro: dwoje Bzowskich, dwoje Kunachowiczów, dwoje Nekanda Trepków, dwoje Milewskich i jeden Sobolewski; każde w innej klasie od przedszkola do czwartej gimnazjalnej. Umiała stworzyć taką atmosferę, że każdy na złość Niemcom uczył się z zapałem, szczególnie historii, języka polskiego i literatury. W efekcie przez lata okupacji żadne z dzieci nie straciło nawet roku nauczania. W powiązaniu z Kedywem i organizacją ziemianką „Tarcza, Uprawa” organizowała dostawy żywności dla akowców stacjonujących w lasach drogińskich na Kamienniku i Łysinie. Zorganizowała też w Drogini część wyposażenia szpitala polowego przewidzianą do wykorzystania w akcji „Burza”. Wyposażenie to uchronione przed Niemcami wpadło w ręce Rosjan. Gestapo dwukrotnie przyjeżdżało z zamiarem aresztowania Mamy, ale udało się tego uniknąć.

Po przyjeździe Rosjan i zabraniu majątku w ramach reformy rolnej Mama wyjechała z Dziadkiem Kazimierzem i z nami do Krakowa. Ojciec wrócił z oflagu i razem mieszkaliśmy najpierw w Krakowie, potem w Brzegu, w Skawinie i znowu w Krakowie, razem z moim mężem i dziećmi. Mama jakiś czas pracowała w Krakowie i w Gliwicach. Pomagała wychowywać wnuki, kochana i szanowana przez wszystkich, którzy się z nią spotkali.

Zmarła w 1970 r. i została pochowana w grobowcu rodziny Kunachowiczów na cmentarzu Rakowickim w Krakowie.

(Opracowała Teresa Skarżyńska, luty 2010)

TERESA Z KUNACHOWICZÓW SKARŻYŃSKA (ur. 17.09.1925 r.)

Teresa Z Kunachowiczów
Skarżyńska (ur. 17.09.1925 r.)

Moja matka Helena była najstarszą córką Kazimierza Janoty Bzowskiego, ostatniego właściciela Drogini. Mój ojciec Andrzej Kunachowicz był szwoleżerem. Po pierwszej wojnie światowej ożenił się i zamieszkał z mamą w Bielsku, gdzie spędziłam pierwszy rok życia (urodziłam się 17 września 1925 r.). Następnie ojciec został przeniesiony do Torunia, potem do Chełmna, w końcu do Warszawy, gdzie ukończył Wyższą Szkołę Wojskową i jako dyplomowany podpułkownik został dowódcą 14. pułku ułanów we Lwowie.

Razem z Rodzicami i młodszym bratem Krzysztofem przenosiliśmy się z miasta do miasta. Ostatnie 3 lata przed drugą wojną światową Rodzice mieszkali w Rzeszowie. Ojciec w randze pułkownika był tam dowódcą 20. pułku ułanów Króla Jana Sobieskiego. W tym czasie uczyłam się w gimnazjum SS Niepokalanek w Nowym Sączu. Zawsze każde wakacje spędzaliśmy w Drogini, gdzie zastała nas wojna. Całą okupację mieszkalam u Dziadka w Drogini razem z Matką, bratem, ciotecznym rodzeństwem i różnymi ludźmi przygarniętymi przez Dziadka. Przez ten czas udało mi się zaliczyć gimnazjum i liceum, zdając egzaminy na tajnych kompletach, tak że po wojnie została mi tylko ostatnia klasa, którą zrobiłam w X Liceum w Krakowie.

Po maturze zapisałam się na Leśnictwo i po 5-ciu latach uzyskałam tytuł inżyniera nauk leśnych i magistra nauk agrotechnicznych. Po studiach rozpoczęłam pracę w Biurze Urządzania Lasów w Brzegu jako taksator.

W 1952 r. wyszłam za mąż za Jerzego Bończa Skarżyńskiego, mgr inż. budownictwa wodnego, który uczestniczył w budowie zapór, m.in. w Czchowiu, Tresnej, Myczkowcach i przy innych obiektach hydrotechnicznych.

Po przyjściu na świat dwojga dzieci, Piotra i Zosi, zrezygnowałam z pracy i zajmowałam się domem i rodziną. Początkowo mieszkaliśmy w Skawinie, gdzie mąż budował ujęcie wody dla huty aluminium. Potem przenieśliśmy się do Krakowa i dotąd tu mieszkamy.

Mąż nadal pracował na różnych budowach – ostatnio w Algierii przy budowie zapory dla ujęcia wody. Ja przez 19 lat pracowałam w Biurze Projektów Wodnych Melioracji – ostatnio jako kierownik zespołu projektowego. Zajmowałam się głównie przebudową stawów rybnych i modernizacją wałów przeciwpowodziowych Wisły, Dunajca i Raby.

W Krakowie urodził się jeszcze jeden syn Janek. Dzieci pokończyły studia i założyły rodziny. Jestem obecnie babcią dwóch wnuczek i czterech wnuków, którzy już kończą studia. Opowiadam im o Drogini, moim gnieździe rodzinnym i o domu, który przeniesiony i odrestaurowany w skansenie w Wygiełzowie mało przypomina dwór drogiński. Jego dusza została pod taflą zalewu dobczyckiego i w moim sercu.

Opracowanie: Teresa Skarżyńska (marzec 2010)

HANNA KUNACHOWICZ (ur. 25.12.1941 r.)

Urodziła się w Witkowiźnie 25 grudnia 1941 r. z rodziców: Stanisława Sławińskiego i Krystyny z domu Patockiej. Spokrewniona z linią Bobrownicką JB przez pradiadka Pawła Kozieł Poklewskiego i spowinowacana z linią Drogińską poprzez męża.

Krzysztofa Kunachowicza poślubiła w roku 1961, mając dwoje dzieci Joannę i Pawła. Studia na Wydziale Technologii Żywności SGGW w Warszawie ukończyła w 1964 r. Pracę zawodową rozpoczęła w Instytucie Żywności i Żywienia (IŻŻ) i kontynuowała ją przez szereg lat, uzyskując kolejne stopnie naukowe: dr, dr. hab. i prof. zwyczajnego (1997).

W roku 1973 była stypendystką francuskiego instytutu INRA w Clermont-Ferrand i w roku 1983 Katolickiego Uniwersytetu Louvain la Neuve w Belgii. Będąc wieloletnim kierownikiem zakładu zajmującego się badaniem wartości odżywczej żywności w roku 1995 powołana została na stanowisko Dyrektora Naukowego IŻŻ, które pełniła przez 7 lat. Od 2002 r. pracuje w Warszawskim Uniwersytecie Medycznym na stanowisku profesora. Członek Solidarności. Jest autorem kilkunastu podręczników i wielu publikacji przedstawianych na konferencjach krajowych i zagranicznych. Jest członkiem Komitetu Żywności Człowieka PAN, wiceprzewodniczącą Polskiego Towarzystwa Nauk Żywnościowych. Była z ramienia FAO w latach 2000-2004 koordynatorem CEECFood organizacji ds. składu żywności w krajach Europy Środkowej i Wschodniej. Jest koordynatorem na Polskę projektu UE dotyczącego baz danych o składzie żywności EURO-FIR. Jest przedstawicielem Polski do Grupy Roboczej Komisji Europejskiej do spraw wzbogacania i znakowania żywności.



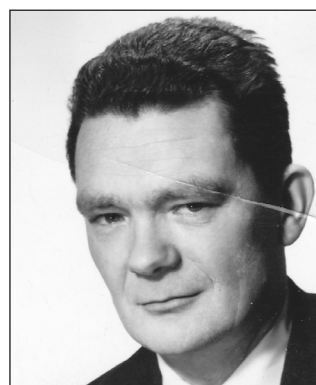
Hanna Kunachowicz
(ur. 25.12.1941 r.)

KRZYSZTOF KUNACHOWICZ (ur. 5.07.1927 r.)

Urodzony 5.07.1927 w Toruniu z rodziców Andrzeja Kunachowicza i Heleny z Janota Bzowskich, najstarszy wnuk Kazimierza JB z Drogini.

W czasie okupacji uczestnik tajnego nauczania i żołnierz AK. Studia wyższe ukończył w 1951 r. na Wydziale Elektrycznym Politechniki Śląskiej w specjalności radiotechnika. W czasie studiów należał do AZS sekcji narciarskiej i żeglarskiej, Klubu Wysokogórskiego i zdelegalizowanej Sodalicii Mariańskiej Akademików.

Pracę zawodową rozpoczął w Warszawie w Zakładach Radiowych Kasprzaka, później przeniesiony został do Państwowych Zakładów Lotniczych (PZL)



Krzysztof Kunachowicz
(ur. 5.07.1927 r.)

w Mielcu; najpierw pracował w Biurze Konstrukcyjnym, potem w Zakładzie Badań w Locie zajmując się wyposażeniem elektronicznym i elektrycznym pierwszych produkowanych w kraju samolotów odrzutowych. Ukończył w tym czasie kursy w Aeroklubie – spadochronowy i pilotażu na samolotach silnikowych.

W 1955 przeniesiony do Instytutu Lotnictwa w Warszawie pracował w zakładzie zajmującym się wyposażeniem samolotów i śmigłowców na stanowisku kierownika pracowni, a w dalszych latach kierownika Zakładu. W Zakładzie były m.in. prowadzone prace badawcze i konstruktorskie, których owocem były urządzenia i przyrządy stosowane w samolotach, śmigłowcach, a także na satelitach wyposażanych w ramach międzynarodowych badawczych programów kosmicznych.

W roku 1981 został powołany na stanowisko Głównego Konstruktora systemów elektrycznych i elektronicznych samolotu szkolno-bojowego „Iryda” i prowadził między innymi integrację nowoczesnego wyposażenia francuskiego na jednym z prototypów.

W 1989 r. zorganizował Zakład Awioniki i Integracji Systemów i został jego kierownikiem. Równolegle w pierwszych latach pracy w Instytucie był asystentem w Zakładzie Osprzętu Lotniczego Wydziału MEL na Politechnice Warszawskiej, a później prowadził na tej uczelni autorskie wykłady z awioniki oraz z osprzętu lotniczego w ART w Olsztynie na kierunku agrolotnictwo. Jest autorem szeregu publikacji z tej dziedziny, przedstawianych także na konferencjach zagranicznych i autorem patentów.

Na emeryturę przeszedł w wieku 71 lat. Członek Solidarności, Sekcji Lotniczej SIMP, wiceprezes Rodziny 14 Pułku Ułanów Jałowieckich. Odznaczony złotym Krzyżem Zasługi i Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski (1991).

Od 1999 r. na zwróconej części rozparcelowanego w ramach reformy rolnej PRL majątku rodzinnego żony prowadzi gospodarstwo rolne z hodowlą strusi.

MAREK BZOWSKI (ur. 2.05.1937 r.) ur. w Krakowie, geograf po UJ, pracował w IMGW, w Zakładzie Ochrony Przyrody PAN, był przez 4 lata kierownikiem stacji IMGW w Lesku, po powrocie do Krakowa pracował w Biurze Rozwoju Krakowa, a przez ostatnie kilkanaście lat do 2008 r. we własnej małej firmie zajmował się m.in. ocenami oddziaływania na środowisko różnych projektowanych inwestycji, współpracując z architektami, geologami, przyrodnikami. Obecnie na emeryturze.

BARBARA BZOWSKA (ur. 28.11.1946 r.), z domu Malcher, żona Marka, urodziła się w Chorzowie, biolog po UJ, pracowała w Instytucie Botaniki PAN, w stacji IMGW w Lesku, w Instytucie Ochrony Przyrody PAN. Od kilku lat na emeryturze.

JAN MICHAŁ BZOWSKI (ur. 6.11.1970 r.), syn Marka i Barbary – urodził się w Krakowie, ukończył geografię na UJ i ekonomię (bez magisterium) w Akademii Ekonomicznej. Pracuje w firmie handlowej angielskiej jako logistyk.

NOEMI PETNEKI (ur. 8.06.1978 r.), żona Jana Michała – urodziła się w Budapeszcie. Jest Węgierką, ukończyła filologię klasyczną i polonistykę na uniwersytecie w Budapeszcie, obroniła doktorat z polonistyki na UJ. Uzyskała obywatelstwo polskie, aby móc brać udział w wyborach naszych rządzących. Zajmuje się tłumaczeniami na język węgierski i z tegoż języka na polski, bierze udział w spotkaniach i konferencjach jako tłumaczka. Ponadto rozwija swoją działalność naukową.

NATALIA FANNY BZOWSKA (ur. 1.09.2003 r.), córka Noemi i Jana Michała, urodziła się w Krakowie, mówi jednakowo dobrze po polsku i węgiersku, obywatelka Polski i Węgier, uzdolniona muzycznie, chodzi do „zerówki” i nic jeszcze nie wiadomo o jej ewentualnych przyszłych sukcesach.

BENIAMIN MIŁOSZ BZOWSKI (ur. 21.08.2007 r.) syn Noemi i Jana Michała – urodził się w Krakowie, również obywatel Polski i Węgier, również rozróżnia mowę polską i węgierską, choć jego wypowiedzi bywają nie do końca zrozumiałe w obu językach. Wykazuje zdecydowane zainteresowanie wszelkimi pojazdami, preferując czerwone auto strażackie.

KRZYSZTOF MACIEJ BZOWSKI (ur. 11.07.1976 r.) syn Marka i Barbary – urodził się w Krakowie, ukończył historię na UJ. Zgodnie ze swoimi niezmiennymi od niepamiętnych czasów zainteresowaniami dużo podróżuje i pisze przewodniki, m.in. po Francji, Ukrainie, Słowenii i Bliskim Wschodzie.

MAGDALENA DOBRZAŃSKA-BZOWSKA (ur. 16.01.1978 r.) żona Krzysztofa – również historyk po UJ, archiwista, zajmowała się archiwistyką, od kilku lat pracuje w Wyższej Szkole Europeistyki im. ks. J. Tischnera. Podróżuje z mężem i często bierze udział w pisaniu z nim przewodników.

MACIEJ NEKANDA TREPKA (23.02.1929-17.07.2000) urodził się w Krakowie jako syn Ludwiny z Janotów Bzowskich oraz Wojciecha Nekanda Treпки. Do siódmego roku życia mieszkał wraz z rodzicami w Trembowli na Podolu.

W 1936 r. wraz z rodzicami przeprowadził się do Zakopanego, gdzie uczęszczał do 3-ciej i 4-tej klasy szkoły powszechnej. W latach 1939-42 mieszkał z Matką w Krakowie, gdzie ukończył 7 klasę. Następnie wyjechał do Drogini. W Myślenicach był praktykantem w nadleśnictwie i ukończył dwie klasy gimnazjum. Potem wrócił do Krakowa, gdzie pracował w aptece jako laborant. W 1946 r. zdał małą maturę. Potem



Maciej Nekanda Trepka
(23.02.1929-17.07.2000)

przeprowadził się z matką i bratem Stanisławem do Wrocławia, gdzie ukończył Liceum Mechaniczne (1947 r.). Był członkiem Wrocławskiego Klubu Ligii Lotniczej. W tym czasie pracował w Biurze Wojskowym i uczęszczał do wieczorowej Szkoły Inżynierskiej. W 1954 r. uzyskał dyplom inżyniera-mechanika. W 1955 r. ożenił się z Bożeną z domu Kałkus. Od 1956 r. pracował w Przedsiębiorstwie Kopalnictwa Rud Miedzi jako główny mechanik. W latach 1974-75 był zatrudniony na budowie w Libii jako kierownik zespołu transportowego. Po ukończeniu 60-tego roku życia przeszedł na emeryturę. Żona Bożena ukończyła Technikum Spółdzielcze i pracowała początkowo w Powiatowym Przedsiębiorstwie Budowlanym, a następnie po dłuższej przerwie na wychowanie dzieci w Domu Towarowym „Feniks”. Maciej i Bożena mieli dwoje dzieci: Iwonę (ur. w 1956 r.) i Kazimierza (ur. 1959 r.). Maciej Nekanda Trepka zmarł po dwuletniej chorobie 17 lipca 2000 r. Jego żona Bożena mieszka we Wrocławiu.

(Biogramy przygotował Krzysztof Kunachowicz)

STANISŁAW NEKANDA-TREPKA (26.08.1930-12.10.2005)

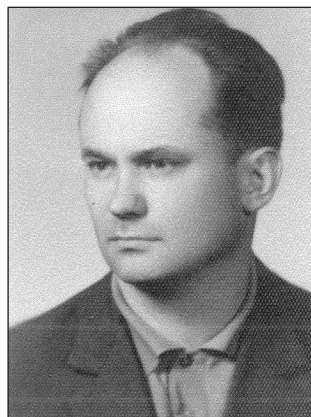
Urodził się w Krakowie. Był synem Wojciecha, Stanisława Nekanda-Trepki i Ludwiny Reginy z Janota-Bzowskich, właścicieli dóbr Droginią koło Myślenic. Stanisław miał starszego o rok brata Macieja Nekanda-Trepkę. Zarówno Maciej, jak i Stanisław używali po wojnie drugiej części nazwiska.

Stanisław dzieciństwo spędził w Trembowli, gdzie jego ojciec służył jako porucznik w 9. Pułku Ułanów Małopolskich. W 1936 r. ojciec Stanisława wystąpił z wojska i wyjechał z całą rodziną początkowo do Sosnowca, gdzie rozpoczął pracę w policji, a następnie do Zakopanego, gdzie awansowany został na komisarza policji tego okręgu.

W Zakopanem Stanisław rozpoczął naukę w 7 klasowej Publicznej Szkole Powszecznej, w której ukończył 1 i 2 klasę. Jedyнным dokumentem z jego pobytu w Zakopanem jest świadectwo szczepienia przeciw ospie.

We wrześniu 1939 r. Ojciec Stanisława musiał opuścić kraj a Matka z synami zamieszkała w Krakowie. Maciej z Matką przebywał w Krakowie do 1942 r. skończył tam 7 klasę szkoły podstawowej, natomiast Staszek wyjechał do Drogini, do dziadka Kazimierza Janoty-Bzowskiego.

W tym czasie we dworze w Drogini znalazła schronienie wysiedlona z poznańskiego pani Milewska z synami (matka Jerzego Milewskiego, Ministra Obrony Narodowej III Rzeczypospolitej), z wykształcenia pedagog, która zorganizowała tam nauczanie na kompletach obejmujących zakres szkoły podstawowej i dwóch klas gimnazjalnych. Stanisław, a od 1942 r. także i Maciej uczęszczał na te zajęcia.



Stanisław Nekanda-Trepka
(26.08.1930-12.10.2005)

W 1945 r. Staszek wraz z Matką i bratem wrócił do Krakowa, gdzie został przyjęty do 3 klasy Państwowego Liceum i Gimnazjum im. Jana Kochanowskiego. W sierpniu 1946 r. przyjechał z Matką i bratem Maćkiem do Wrocławia i tu kontynuował naukę w III Liceum Ogólnokształcącym im. Adama Mickiewicza. Nieraz wspominał, że należał do tej generacji młodzieży, która żeby się uczyć, musiała zakasać rękawy i wziąć się do pracy. Wywożono gruz, sprzątano pomieszczenia, wstawiano szyby. Ekipy młodzieży i nauczyciele wydobywali z ruin miasta krzesła, ławki, stoły i zanosili to wszystko z dumą do szkoły. Z trudem gromadzono książki, aby skompletować bibliotekę szkolną. W 1947 r. do Wrocławia wrócił z wojennej tułaczki ojciec Stanisława – Wojciech.

Maturę Staszek zdał w 1949 r. i rozpoczął studia na Uniwersytecie Wrocławskim na Wydziale Nauk Przyrodniczych. Studia ukończył w 1953 r. z tytułem magistra filozofii, ze specjalizacją w zakresie geologii i paleontologii.

W październiku 1953 r. rozpoczął pracę w Instytucie Geologicznym w Dolnośląskiej Stacji Terenowej we Wrocławiu. Z kolegami ze studiów współtworzył Stowarzyszenie Wychowanków Uniwersytetu Wrocławskiego i przez wiele lat brał czynny udział w zjazdach Stowarzyszenia.

W listopadzie 1956 r. ożenił się z Genowefą Marią Lorek, która również pracowała w Instytucie Geologicznym, jako pomoc techniczna pracowników nauki. W 1958 r. urodził się im syn Witold.

W 1959 r. Stanisław zrezygnował z pracy naukowej i rozpoczął pracę w Przedsiębiorstwie Geologicznym na stanowisku dokumentatora w zakresie hydrogeologii, ochrony środowiska i geologii inżynierskiej. Ceniony za wiedzę, logiczne i kompleksowe rozwiązywanie trudnych zagadnień technicznych i teoretycznych, został powołany w skład Komisji Wojewódzkiej do Oceny Projektów i Dokumentacji Geologicznych.

W latach 1963-1964 został oddelegowany do prac geologicznych dla Mongoljskiej Republiki Ludowej, na jej terenie oraz w kraju. Pracował na stanowisku zastępcy Kierownika Działu Geologiczno-Zdjęciowego. Polska Ekspedycja Geologiczna w Mongolii pracowała w trudnych, a czasami skrajnie ciężkich warunkach. Stanisław, który był bystrym obserwatorem i bardzo sumiennym badaczem, przyczynił się do sukcesów tej wyprawy.

Po powrocie z Mongolii pracował w Przedsiębiorstwie Geologicznym na stanowisku weryfikatora. W 1980 r. za całokształt pracy został odznaczony srebrną odznaką Zasłużony Dla Polskiej Geologii.

W grudniu 1991 r. Stanisław ze względu na stan zdrowia przeszedł na emeryturę. W tym okresie bardzo dużo czytał. Pasjonował się przyrodą, dużo czasu spędzał w Parku Szczytnickim i wędrował po okolicach Wrocławia, gdzie obserwował różne gatunki ptaków.

Mimo leczenia stan zdrowia Stanisława stale się pogarszał (choroba Parkinsona i Alzheimer).

Zmarł 12 października 2005 r. Pogrzeb poprzedziła uroczysta Msza Święta odprawiona w kościele p.w. Matki Bożej Pocieszenia przy ulicy Wittiga we Wrocławiu.

wiu. Został pochowany na cmentarzu parafialnym przy ulicy Smętnej we Wrocławiu, żegnany przez liczne grono koleżanek i kolegów ze studiów i z pracy oraz Rodzinę.

(Biogram Stanisława opracował syn Witold Nekanda-Trepka)

BARBARA BZOWSKA-ZYCH (ur. 19.04.1936 r.)

Urodzona w Krakowie. Matka zmarła przy urodzeniu na skutek nieszczęśliwego wypadku (opis w „Łączniku rodzinnym” z 1937 r.), wychowywana przez Babcie Zofię Turską (z domu Myszkowską) w jej majątku w Tymbarku. Po wojnie i po parcelacji majątku zamieszkała z Babcią we Wrocławiu, gdzie ukończyła studia na Wydziale Zootechnicznym Wyższej Szkoły Rolniczej. W roku 1960 rozpoczęła studia doktoranckie na Politechnice Zurychskiej (Eidgenössische Technische Hochschule, Wydział Rolniczy), gdzie uzyskała doktorat w 1965 roku. W tym też roku wyszła za mąż za Włodzimierza Zycha (wówczas dr. nauk fizycznych, stypendystę Fundacji Forda w CERN i na Uniwersytecie Zurychskim). W 1967 roku urodził się im syn Piotr. Po powrocie do Kraju i Warszawy pracowała w Katedrze Żywnienia Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego (SGGW), następnie w czasie drugiego wyjazdu do Szwajcarii (przez okres dwu lat) w Instytucie Żywnienia ETH, a po powrocie do Kraju w Centralnej Bibliotece Rolniczej w Warszawie. Obecnie na emeryturze zajmuje się tłumaczeniem z języka niemieckiego literatury o tematyce przyrodniczej (ponad 70 książek). Doczekała się uroczej wnuczki Zosi (4 latka).

WŁODZIMIERZ ZYCH (ur. 1929 r.), mąż Barbary z domu Bzowskiej, fizyk, profesor dr hab. na Politechnice Warszawskiej <http://www.if.pw.edu.pl/~zych/>

PIOTR ZYCH (ur. 1967 r.), syn Barbary z JB i Włodzimierza Zychów, absolwent Uniwersytetu Warszawskiego, mgr geografii.

BEATA RADULSKA (ur. 1971 r.), żona Piotra Zycha, mgr inż. architekt, absolwentka Politechniki Warszawskiej.

ZOFIA ZYCH (ur. 20.06.2006 r.), córka Beaty i Piotra, wnuczka Włodzimierza i Barbary z JB Zych, zainteresowania: taniec i nauczanie, właściwość – promienny zapad!



Zofia Zych
(ur. 20.06.2006 r.)



FRANCISZEK JANOTA BZOWSKI (1910-1988)



Franciszek Janota-Bzowski
(ur. 20.06.2006 r.)

Franciszek Leon Gabriel Janota Bzowski urodził się 24.03.1910 r. w Drogini jako syn Kazimierza Janoty Bzowskiego i Wandy z Romerów. W Drogini spędził szczęśliwe dzieciństwo wśród licznych swoich rodzeństwa. Pod opieką guwernantek uczył się języków obcych, co zaowocowało szczególnie znakomitą znajomością języka francuskiego i niemieckiego. W 1928 r. ukończył IV gimnazjum im. H. Sienkiewicza w Krakowie, a następnie Wydział Rolny Uniwersytetu Jagiellońskiego, ze specjalnością zootechniką, uzyskując w 1933 r. tytuł inżyniera rolnika (uprawniający po wojnie do tytułu magistra nauk rolniczych). W latach 1933-1936 zarządzał majątkiem rodzinnym w Brzącowicach, a w latach 1936-1939 – w Lipniku. W 1935 r. zawarł związek małżeński z Janiną z Turskich z Tymbarku. W 1936 r. ze związku tego urodziła się córka Barbara. Żona Janina zmarła w 1936 r. w tragicznych okolicznościach opisanych w jednym z poprzednich zeszytów *Łącznika*.

Po wybuchu II wojny światowej 17 września 1939 Franciszek przedostał się do Rumunii i zapisał jako ochotnik do Armii Polskiej tworzonej we Francji. Ukończył tam Szkołę Podchorążych Piechoty w stopniu kaprala-podchorążego, po czym został przydzielony jako tłumacz do dowódcy polskiej kompanii przeciwzołgowej w 135. pułku francuskim. W czerwcu 1940 r. brał udział w walce z Niemcami pod Paryżem, po czym, po rozbiciu frontu przez Niemców, dostał się do niemieckiej niewoli i kolejne 5 lat spędził w obozie jenieckim w Villingen w Badenii-Wirtembergii (Stalag Vb). W obozie w szpitalu dla jeńców wojennych był tłumaczem dla Polaków, Francuzów, Jugosłowian i Anglików. Po zakończeniu wojny i zdemobilizowaniu przebywał przez krótki czas w Paryżu, a następnie 10 stycznia 1946 r. powrócił do kraju.

W latach 1946-1947 pracował we Wrocławiu, gdzie poznał swoją przyszłą drugą żonę Julię z Kozłowskich. Ich ślub odbył się w 1947 r. w Dobczycach pod Krakowem, skąd pochodziła Julia. W latach 1948-1952 Franciszek i Julia mieszkali w Krakowie, gdzie w 1949 r. przyszła na świat ich córka Krystyna. W Krakowie Franciszek pracował m.in. w Dyrekcji Lasów Państwowych i w Banku Rolnym. Był to okres stalinizmu i „nieodpowiednie” pochodzenie klasowe było dużym utrudnieniem w uzyskaniu pracy, w której Franciszek mógłby spożytkować w pełni swoje zdolności i wysokie kwalifikacje. W mieszkaniu na Groblach, gdzie mieszkał ze swoją rodziną została zakwaterowana para pracowników UB i MO. Życie z nimi pod jednym dachem stało się na tyle nieznośne, że rodzina Bzowskich zdecydowała się na wyjazd do Wrocławia, co w owym czasie wydawało się dość ryzykowne ze względu na niepewny status Ziemi Odzyskanych. Do Wrocławia trafiła również córka Franciszka – Barbara wraz ze swoją babcią Zofią Turską i ciocią Danutą, a także jego siostry: Maria oraz Ludwina z mężem Wojciechem Nekandą Trepką i dwoma synami Maciejem i Sta-

niślawem. Wszyscy wyrwani ze swoich korzeni od nowa budowali swoje życie w zrujnowanym Wrocławiu, podobnie jak wielu innych członków starych polskich rodów wyrzuconych z rodzinnych gniazd. Wrocławską willową dzielnicę Zalesie-Zacisze, w której zamieszkali Bzowscy nazywano wtedy, trochę z przekąsem, dzielnicą „hrabiów”. Mimo trudnych powojennych warunków kwitło tu życie towarzyskie, dorosli grywali w brydża, dziewczęta pobierały nauki tańca lub gry na fortepianie, odbywały się częste spotkania rodzinne.



Franciszek Janota Bzowski (w okularach) w Stalagu Vb w Villingen w czasie II wojny światowej

Po przyjeździe do Wrocławia Franciszek pracował kolejno w kilku instytucjach, przeważnie związanych z rolnictwem, a w 1959 r. powrócił do pracy w Banku Rolnym, w którym pracował aż do emerytury, na którą przeszedł w 1975 r. Przez wiele lat w ramach dodatkowej pracy Franciszek wykonywał liczne tłumaczenia z języka francuskiego, niemieckiego i angielskiego. Był wielkim miłośnikiem ogrodnictwa i z pasją uprawiał dwa ogrody – przydomowy i działkowy. Starsza córka Franciszka – Barbara po skończeniu studiów na Zootechnice w Wyższej Szkole Rolniczej we Wrocławiu wyjechała wraz ze swoją Babcią i Ciocią na kilka lat do Szwajcarii, gdzie obroniła pracę doktorską na Politechnice w Zurychu. W Zurychu poznała też swojego przyszłego męża Włodzimierza Zycha. Po ślubie i powrocie do Polski Barbara i Włodek zamieszkali w Warszawie, gdzie w 1967 r. urodził się ich syn Piotr, pierwszy wnuk Franciszka. Córka Krystyna wyszła za mąż za Wojciecha Michalaka, w 1977 r. urodził się ich syn Krzysztof, drugi wnuk Franciszka.

Franciszek Janota Bzowski był człowiekiem o licznych zdolnościach, szerokiej wiedzy i żywej inteligencji, kochał przyrodę, chętnie przebywał nad morzem, ale uwielbiał również wędrowki po górach. Szczególnie lubił Tatry i Beskidy, które przypominały mu czasy młodości spędzone w okolicach Krakowa. Kochał też sport, który czynnie uprawiał w młodości (narty, tenis), a także polowania. Jeszcze po II wojnie światowej był członkiem Polskiego Związku Łowieckiego. Pomimo ciężkich doświadczeń w młodości i niełatwego życia w powojennej i komunistycznej Polsce, Franciszek zawsze tryskał optymizmem, radością życia i pogodą ducha. Był osobą bardzo towarzyską i powszechnie lubianą. Pogodę ducha zachował do końca swoich dni, nawet wówczas, gdy zmagał się już z ciężką chorobą. Najbliższych zadziwiał wówczas swoją nadzwyczajną wytrzymałością w znoszeniu cierpienia i spokojem, a poprzez swoją postawę przekazał im wielką lekcję męstwa i godności. Na zawsze odszedł wśród bliskich w dniu 21 stycznia 1988 r. Został pochowany na cmentarzu parafialnym Św. Rodziny we Wrocławiu u boku swojej zmarłej rok wcześniej żony Julii.

Opr. Krystyna Michalak

JULIA Z KOZŁOWSKICH JANOTA BZOWSKA, druga żona Franciszka (1914-1987)



Julia z Kozłowskich JB,
druga żona Franciszka

Julia Ewa z Kozłowskich Janota Bzowska urodziła się 30.11.1914 r. w Balassagyarmat na Węgrzech jako córka Konrada Kozłowskiego i Janiny z Leszczyńskich. Ojciec Julii – Konrad był lekarzem. Po wybuchu I wojny światowej został skierowany na front i tym sposobem rodzina Kozłowskich znalazła się najpierw na Węgrzech, gdzie urodziła się Julia, a potem trafiła do Włoch w okolice Rimini. We Włoszech Julia spędziła pierwsze lata swojego życia, całkiem dobrze radziła sobie z językiem włoskim, poznając go w trakcie zabaw z miejscowymi dziećmi. Matka Julii – Janina pochodziła z Kresów Wschodnich ze znanej rodziny Leszczyńskich. Janina nigdy nie pracowała zawodowo, zajmowała się prowadzeniem domu i wy-

chowaniem trójki swoich dzieci: Julii, Konrada i Janiny.

Po powrocie z tułaczki wojennej rodzina Kozłowskich zamieszkała w Dobczycach pod Krakowem. Miasteczko to leży w odległości kilku kilometrów od Drogini, ale Franciszek Janota Bzowski i Julia z Kozłowskich spotkali się po raz pierwszy dopiero po II wojnie światowej we Wrocławiu. Konrad Kozłowski, ojciec Julii był doktorem wszech nauk lekarskich, bardzo cenionym wśród mieszkańców Dobczyc i okolic. Przed wojną udzielał się też społecznie i wspierał lokalną kulturę, m.in. rozwój teatru. Do dzisiaj pozostał w tych okolicach we wdzięcznej pamięci, a w komnatach dobczyckiego zamku można oglądać gablotę jemu poświęconą. Przed wojną Konrad wybudował dla swojej rodziny letni dom w stylu góralskim w przepięknej podgórskiej okolicy we wsi Kornatka, która obecnie niemal przylega do Zalewu Dobczyckiego.

Julia po ukończeniu szkoły powszechnej w Dobczycach kontynuowała naukę jako uczennica-pensjonarka klasztoru ss. Urszulanek w Krakowie, gdzie otrzymała bardzo staranne wykształcenie i zdała maturę. Niedługo przed wybuchem II wojny światowej rozpoczęła studia na Wydziale Prawa Uniwersytetu Jagiellońskiego, studia przerwał jednak wybuch wojny, podczas której Julia prowadziła gospodarstwo w Kornatce, dzięki czemu cała rodzina nie cierpiała głodu. Obydwoje z jej rodzeństwa, Konrad i Janina działali w AK i nierzadko w domu w Kornatce zjawiali się nocami partyzanci, a piwnica stanowiła skład broni. Julii udało się uniknąć aresztowania przez gestapo, które zaczęło interesować się mieszkańcami tego domu. Musiała przez jakiś czas ukrywać się w okolicy, a schronienia udzielali jej mieszkańcy sąsiednich wsi. Ojciec Julii nie przeżył ciężkich stresów wojennych i zmarł nagle na serce w 1943 r. w wieku 59 lat. Pochowany został na cmentarzu w Dobczycach na Górze Zamkowej.

Po wojnie Julia wyjechała do Wrocławia, gdzie poznała swojego męża Franciszka Janotę Bzowskiego. Ich ślub odbył się w Dobczycach w 1947 r. Przez krótki czas Julia i Franciszek pracowali w Szczecinie, a potem przyjechali do Krakowa. Tam

w 1949 r. urodziła się ich córka Krystyna. W 1952 r. rodzina Bzowskich przeniosła się do Wrocławia. Julia początkowo nie pracowała wychowując córkę, zajmując się domem i ogrodem. Wakacje rodzina najczęściej spędzała w Kornatce, gdzie zjeżdżali się też rodziny siostry i brata Julii, a dzieci mogły spędzać czas w nieskażonej, przepięknej okolicy. Kiedy córka Krysia poszła do liceum, Julia znalazła zatrudnienie w Komisji Planowania Przestrzennego Urzędu Wojewódzkiego we Wrocławiu i pracowała tam aż do emerytury, na którą przeszła w 1975 r. Po przyjeździe na świat wnuczka Krzysia w 1977 r., zajmowała się nim z wielkim poświęceniem. Zmarła po długiej chorobie w 1987 r. i została pochowana na cmentarzu Św. Rodziny we Wrocławiu. Matka Julii – Janina przeżyła wszystkie swoje dzieci i zmarła w Krakowie w 1997 r. w wieku 104 lat. Spoczęła na cmentarzu w Dobczycach obok swego zmarłego przeszło pięćdziesiąt lat wcześniej męża Konrada.

Opracowała Krystyna Michalak

KRYSTYNA MICHALAK (ur. 24.07.1949 r.)

Córka Franciszka Janoty-Bzowskiego i Julii (z d. Kozłowskiej) urodziła się w Krakowie. Studia na Wydziale Matematyki, Fizyki i Chemii Uniwersytetu Wrocławskiego, kierunku fizyka doświadczalna, ukończyła w 1973 r. i w tym samym roku rozpoczęła pracę w katedrze biofizyki Akademii Medycznej we Wrocławiu. Początkowo zatrudniona była na stanowisku asystenta, a po uzyskaniu stopnia naukowego doktora nauk przyrodniczych (1984 r.) – na stanowisku adiunkta. W 1997 r. otrzymała stopień naukowy doktora habilitowanego nauk medycznych, w zakresie biologii medycznej. Od 1997 r. do dziś kieruje katedrą i zakładem biofizyki Akademii Medycznej we Wrocławiu. W 2004 r. otrzymała tytuł naukowy profesora nauk medycznych, a w 2006 stanowisko profesora zwyczajnego na Akademii Medycznej we Wrocławiu. W latach 2000-2004 pełniła funkcję prezesa Polskiego Towarzystwa Biofizycznego (2001-2004). Prof. Krystyna Michalak prowadzi badania nad procesami molekularnymi przebiegającymi w błonach komórkowych, ze szczególnym uwzględnieniem zjawiska oporności wielolekowej nowotworów oraz mechanizmów molekularnych odpowiadających za redukcję tej oporności. W zakresie tej tematyki współpracuje z wieloma europejskimi ośrodkami naukowymi, m.in. w ramach programów EU COST, a także z ośrodkami w Japonii. Jest współautorką 170 prac naukowych z dziedziny biofizyki błon komórkowych, w tym ok. 70 prac oryginalnych opublikowanych w międzynarodowych czasopismach z tzw. *Listy Filadelfijskiej*, takich jak: *Journal of Neuroscience*, *Biochimica Biophysica Acta*, *FEBS Letters*, *Blood*, *Molecules and Diseases*, *Molecular Membrane Biology*, *J. Membrane*



Krystyna Michalak
(ur. 24.07.1949 r.)

Biology, Current Drug Targets i innych. Wyniki swoich badań prezentowała na wielu międzynarodowych kongresach, m.in. w: Argentynie, Belgii, Francji, Hiszpanii, Grecji, Niemczech, Portugalii, Turcji, Wielkiej Brytanii, na Węgrzech i we Włoszech. Jest też współautorką podręcznika „*Wybrane zagadnienia z biofizyki*”, wyd. Volumed, 1998. Za osiągnięcia naukowe dwukrotnie otrzymała Nagrodę Ministra Zdrowia i Opieki Społecznej oraz wielokrotnie Nagrodę Rektora Akademii Medycznej we Wrocławiu. W 2001 odznaczona została Złotym Krzyżem Zasługi, a w 2005 r. Medalem Komisji Edukacji Narodowej.

W 1971 r. wyszła za mąż za Wojciecha Michałaka (ur. 15.02.1946 r. w Poznaniu), mając syna Krzysztofa (ur. 21.03.1977 r. we Wrocławiu). Mąż Wojciech jest inżynierem ochrony środowiska i w tej dziedzinie prowadzi własną firmę projektową, a syn Krzysztof jest absolwentem Politechniki Wrocławskiej (Wydział Informatyki i Zarządzania, kierunek Informatyka, w 2010 r. na Politechnice Wrocławskiej uzyskał stopień doktora nauk technicznych w dziedzinie informatyki.

Hobby: turystyka, muzyka klasyczna, historia średniowiecza i najnowsza.

3.6. LINIA JANA Z PRZEMĘCZAN (6)

Podajemy rodowód Jana Janoty Bzowskiego, który wspólnie z żoną Kazimierą był autorem Zeszytu nr 4, od Józefa Felicjana.

Józef Felicjan (1704-1770) żona Teofila z Jordanów (1727-1786)

Hiacynt (1750-1808) żona Salomea Zawadzka

Kazimierz (1792-1862) żona Marianna Dąbmska

Jan z Przemęczan (1835-1879), żona Natalia Wielogłowska (?-20.09.1879) mieli 6-cioro dzieci:

Aniela [nazaretanka Tarsycja] (1866-1949)

Józef (1867-1907)

Janina (1869-30.04.1949), mąż Wiktor Morawski (1854-1893) – grób w Osieczanach

Karol (1873-1937)

Ida (1878-1961)

Michał (1870-1940), żona **Maria Duniewicz** (1890-8.06.1964) mieli 2 synów:

1. **Jan Antoni Michał (24.06.1910-11.05.2001)**, żona Kazimiera Miara (ur. 20.06.1925) – autorzy Zeszytu 4 Łącznika

Jerzy Adam (ur. 12.04.1950 w Londynie), żona Jacqueline Bridget Douglas Glencross (ur. 28.01.1949 w Konrwalii)
córka Katarzyna Aleksandra (ur. 16.01.1991 w Wiktorii)

Marek Aleksander (ur. 24.11.1951)

żona (primo) **Christine Blake** (ur. 8.06.1949)

córka **Annalise** (ur. 5.08.1981)

syn **Adam** (ur. 17.11.1987)

żona (secundo) **Bogusia Wojciechowicz** (1954) Anglia

2. **Andrzej Augustyn (28.08.1911-27.03.1956)**, żona Stanisława Skołuba (1921-1998) mieli dwoje dzieci: Janusza i Krystynę

Janusz (ur. 1946) (współredaktor Zeszytu 5 Łącznika), żona **Anna Szyszko-Bohusz** (ur. 1948), mają dwóch synów: Andrzeja Ziemowita i Lesława Jana

Andrzej Ziemowit (ur. 1975) żona **Agnieszka Kłaniecka** (ur. 14.12.1976), córka

Olga Maria (ur. 16.08.2004)

Lesław Jan (ur. 1986)

Krystyna (ur. 1951), która wyszła za mąż za Toma Nilssona, mają dwoje dzieci:

Natalia, mąż Marcin Aksamit

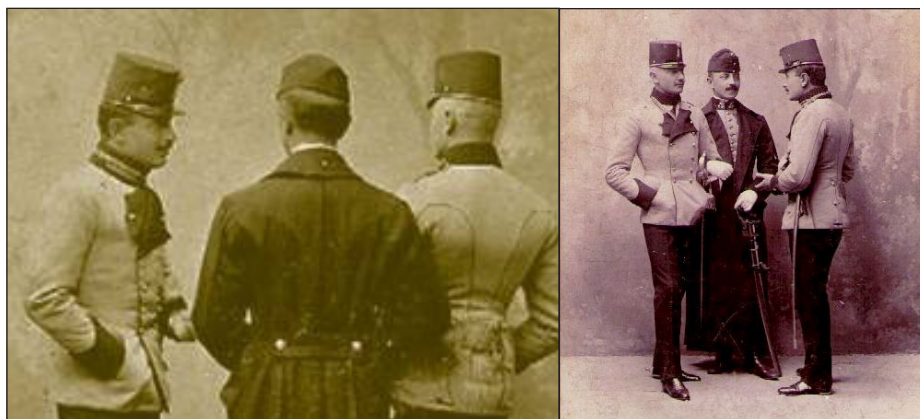
Michał

KAROL JANOTA BZOWSKI (1873-1937) – piąty syn Jana JB z Przemęczan i Natalii Wielogłowskiej (zmarł w szpitalu w Tworkach)



Karol JB (1873-1937)
(zdjęcie niepublikowane)

MICHAŁ JANOTA BZOWSKI (1870-1940), czwarty syn Jana JB z Przemęczan i Natalii Wielogłowskiej, życiorys opisany w Zeszytcie 4 *Łącznika Rodzinnego* (str. 23). Zdjęcia niepublikowane z czasów służby w wojsku austriackim



Michał JB po lewej

MARIA Z DUNIEWICZÓW JANOTA BZOWSKA (1890-1964) – losy Rodziny Michała JB i Marii z Duniewiczów opisane są w Zeszytcie 4 *Łącznika Rodzinnego* (str. 23).



Maria z Duniewiczów JB (1890-1964) – ze starszym synem Janem Antonim Michałem



Andrzej Augustyn (1911-1956) – młodszy syn Marii z Duniewiczów JB i Michała JB

JAN ANTONI MICHAŁ JANOTA BZOWSKI (24.06.1910-11.05.2001) – Pan Jan, syn Michała JB i Marii z Duniewiczów, absolwent Wyższej Szkoły Handlowej w Krakowie, uczestnik walk Polskich Sił Zbrojnych na Bliskim Wschodzie i w kampanii włoskiej. Odznaczony Krzyżem Monte Casino, Africa Star i Italy Star. Po wojnie osiedlił się w Londynie (Zeszyt 4, str. 23); autor, wspólnie z żoną Kazimierą, pierwszego powojennego Zeszytu 4 *Łącznika Rodzinnego*.

KAZIMIERA JANOTA BZOWSKA Z DOMU MIARA (ur. 20.06.1925), żona Pana Jana,



Kazimiera JB odznaczona Krzyżem
Oficerskim Orderu Odrodzenia
Polski 10.11.2011 r.

współautorka wspólnie z mężem pierwszego powojennego Zeszytu 4 *Łącznika Rodzinnego*, autorytet rodzinny, skarbnica wiedzy o koligacjach rodzinnych, autorka wspólnie z Małgorzatą BB erraty Zeszytu 5, inspiratorka i współautorka wydania Zeszytu 6. Sekretarz Zarządu Głównego Związku Karpaczczyków 3. DSK, autorka wielu felietonów i artykułów do polskiej prasy w Londynie („Dziennik Polski”), autorka wielu unikalnych opracowań „do szuflady”.

10 listopada 2011 odznaczona w ambasadzie polskiej w Londynie Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski za 28-letnią pracę dla Związku Karpaczczyków.

Curriculum – Kazimiera Janota Bzowska

ŻYCIE W KALEJDOSKOPIE

Najtrudniejszą rzeczą w życiu jest pisanie własnego życiorysu, który nigdy nie wychodzi tak, jakby go inni napisali. Osoba pisząca kronikę własnego życia, przedstawia siebie albo jako wielkiego bohatera, albo pomniejsza swoje wartości i stylem telegraficznym wypisuje daty urodzenia, jakieś tam nieważne fakty potrzebne do urzędowych dokumentacji. Dla siebie spisuje się ważniejsze, zapamiętane wydarzenia i jakieś tam małe dodatki, żeby wyglądało, że się coś w tym życiu zrobiło, dokonało. Żeby jakieś wspomnienie po nim pozostało.

Na pewno się urodziłam. Niepamiętne to czasy, ale przyszłam na ten świat w Łunińcu na Polesiu, na naszych Kresach Wschodnich, na dzisiejszej Białorusi. Z ojca Franciszka i matki Władysławy Czerniawskiej swoje przyjście na ten świat oznajmiłam krzykiem w poranek, kiedy wiosna łączyła się z latem 20 czerwca 1925 roku. Życie wpisywało w moje białe kartki różne epizody, jak to, że dzieciństwo spędziłam z dala od Polesia w ziemi kieleckiej, gdy mój ojciec, nauczyciel z łuninieckiej szkoły został przeniesiony do Stopnicy koło Buska Zdroju. Tu rozpoczynałam swoje pierwsze nauki w szkole powszechnej w Stopnicy do 1938 roku. Lata te zaliczam do najpiękniejszego okresu swej przeszłości. Są to wspomnienia przede wszystkim

bezpieczeństwa domu rodzinnego, beztroskiego uganiania po łąkach, poznawania przyrody, ludzi. W 1938 roku ojciec ze stopnickiej posady nauczyciela szkoły powszechnej w roli kierownika szkoły powszechnej przeniósł się do Nowego Korczyna. Mnie zaś w tym samym czasie wysłano do prywatnego gimnazjum im. Marszałka Piłsudskiego w Dąbrowie Tarnowskiej. Rok na stacji u pani Sadkowej wdrażał mnie w samodzielne istnienie z dala od domu rodzinnego. Przynależność do Związku Harcerstwa Polskiego, jakkolwiek krótko trwałego, także miało swój wpływ na kształtowanie charakteru, co się potem w miarę zbawiennym okazało.

Rozdzieleni przez historię

27 sierpnia 1939 roku był dniem, który można nazwać „Dniem rozdzielenia przez historię”. Tego dnia pożegnałam się z rodzicami, braćmi, Nowym Korczynem z nadzieją powrotu na Boże Narodzenie. Pod opieką babci Kamili Czerniawskiej wyjechałam do Łunińca na dalsze nauki w państwowym gimnazjum im. Władysława Jagiełły, gdzie jeszcze ławy szkolne pamiętały moją mamę Władysławę, pobierającą nauki aż do 4 klasy, z której to ojciec mój zaofiarował jej, 17-to letniej uczennicy „świełtaną” przyszłość przez wspólną drogę życia. Byłam pierwszym dzieckiem. Potem jeszcze doszło trzech braci – Józek, Tadek i Edek. Tak więc, tego sierpniowego dnia 1939 roku żegnałam tych swoich małych braciszków, 12 letniego Józka, 9 letniego Tadka i najmłodszego 7 letniego Edka. Piękny słoneczny poranek nad Korczynem, nad Wisłą i Nidą żegnał mnie wraz z babcią. Mama odwiozła nas autobusem do Tarnowa. Tam pożegnałyśmy się i pociąg unosił nas przez Lwów do Łunińca, napotykając po drodze na mobilizację robotników, rolników, kolejarzy, młodzież. Zanim mama wróciła do domu, ojciec mój w stopniu porucznika rezerwy został zawezwany do Krakowa. Została więc sama z trzema małoletnimi chłopcami. W cztery dni potem 1 września 1939 roku wybuchła wojna. Na razie powrotu do domu nie miałam. Wszelkie nadzieje na wyjazd z Łunińca spełzyły po wkroczeniu Armii Czerwonej na Kresy Wschodnie.

Wojna

Były to dni szczególnych przeżyć, gdyż z miejsca znikali nasi sąsiedzi, polskie władze miasta Łunińca i oficerowie w stanie spoczynku. Szkoły zostały zamknięte do czasu rozporządzenia przez nowe władze sowieckie. Wkrótce po uroczystościach październikowej rewolucji mogłam rozpocząć naukę w języku polskim, prowadzoną przez kilku pozostałych polskich nauczycieli. Przed Bożym Narodzeniem wysłała nowa ustawa o nauczaniu w języku rosyjskim, co szczególnie dla mnie, z kieleckiego regionu, nauka i akcent nie przychodziły łatwo. Dom babci ze spokojnej życiowej przystani zamienił się w obóz przejściowy dla różnych uciekinierów spod okupacji niemieckiej, żon aresztowanych oficerów polskich, młodzieży szukającej pomocy w przeprawie przez zamarznąjącą rzekę Bug na drugą stronę Polski. Z przysłowio-
wego deszczu pod rynnę, gdzie może łatwiej się było ukryć przed aresztowaniem

sowieckim przychodzili do babci i w jakiś tam sekretny przede mną sposób znikali. Często, niestety wytropieni przez ochroniarские wilczury, ładowali w różnych więzieniach włącznie z łuninieckim.

Próba samodzielności

Po pierwszej wywózce obywateli polskich 10 lutego 1940 roku do Rosji, w marcu moja babcia została aresztowana pod zarzutem wrogiego nastawienia do władzy sowieckiej. Zostałam ze szkoły usunięta jako „wróg narodu sowieckiego” i sama, w pustym domu, ogołoconym przez nocne aresztowanie wszystkich domowników, rozpoczęłam samodzielną egzystencję z babci dobytkiem. Jedna świnka na trzech nogach, para gęsi, para królików, jedna kura, 4 dzikie kaczkę i nasza „żywicielka” koza, jak ją babcia nazwała, z tym, że w noc aresztowania babci przybyło jej małe kozłátko. Z wyjątkiem dzikich kaczek wszystkie stworzenia zostały na mojej łasce, jak i ja na łasce losu. Początki przystosowania się do roli 14 letniej „gospodyni” były nadzwyczaj trudne, biorąc jeszcze i to pod uwagę, że każdego dnia z rana biegłam pod więzienie z paczką dla babci, z lekarstwami zostawionymi podczas aresztowania, ze sztuczną szczęką w szklance wody, ze zmianą bielizny, z jakimś tam upieczonym plackiem, który jeszcze po babci został. Przyjęcia miałam różne: albo odpowiedź, że takiej nie ma, albo że jest, ale nie przyjmę lekarstw, majtek z gumką, a już szczęką wprawiła bojców w serdeczny śmiech, że „babuszka tu, a zęby w domu zostały”. Ot i technika polska, niech to diabli!

Moje niedawne harcerskie zabawy na wycieczkach stały się teraz wielką pomocą w ważnych obowiązkach, jak rozpalać ognia w piecu kuchennym. Ugotowanie ziemniaków dla siebie i wiecznie kwiczącej świni. Zbieranie lebiody i gotowanie z niej zupy z dodatkiem, co „wpadło do garnka w ogóle”. Po takiej diecie zaczęłam popadać w anemię i wrzodami pokrywały mi się nogi i ciało. Wiosną zbierałam chwast dla królików, które ku mojej rozpaczcy mnożyły się bez opamiętania. Kaczki wylatywały rano i wracały wieczorem. Świnka nigdy nie była dość syta. Pilnowałam kurę, gdzie jajka znosi i szybko ciepłe wypijałam, zanim je sąsiedzi znajdą. Kozę z małym przywiązywałam do kołka na pastwisku. Gęś, do której dostępu przez walecznego gąsiora nie miałam, zносиła jajka i wyprowadziła w kwietniu jedenaście żółtych puszystych gąsiołek.

„Uniwersytet życia”

Pilnując je, uczyłam się pod okiem dwóch z Bydgoszczy uciekinierek żydowskich, Marysi po maturze i Janki z 4 gimnazjalnej. Pożyczały mi swoje książki. Pilnowały dokładnie odrobionych lekcji. Zdobywałam wiedzę na pastwisku za gęsiami.

Przydała mi się ta nauka przy ich pasaniu, bo gdy otwarto dla polskich uczniów nowy rodzaj szkoły pod nazwą „Niepełnoletnia Średnia Polska Szkoła”, zgłosiłam się natychmiast. Pod nadzorem władz sowieckich uczyli nas polscy nauczyciele przedmiotów ściśle narzuconych przez ustrój państwa sowieckiego, a więc Konstytu-

tucję przede wszystkim i przedmioty nie wykraczające poza granice sowieckiej indoktrynacji. Na zwoływanych mitingach dokształcano nas w duchu rewolucji, która przyniosła pokój uciśnionym narodom. Naszym polskim klasykom i poetom przypisywano walkę z polską burżuazją, nie szczędząc im słów chwały i propagandy, jako obrońcom ludu uciśnionego przez panów, burżujów, krwiopijców. Pomimo ogromnych trudności z rosyjskim, którego mnie uczył sowiecki żyd Połujko, zdałam małą maturę. Powrót babci po dziewięciu miesiącach więzienia stał się dla mnie nowym koszmarem, bo ze zdrowej kobiety powrócił wrak człowieka z nabytymi chorobami w ciężkich warunkach, z chorymi nogami, z pękającymi wrzodami na piersiach. Z braku lekarzy leczyla się domowym sposobem. Anemię i moje krwawiące dziąsła leczyla wywarem z młodych dębów, i co tylko mogła znaleźć w swojej biednej spiżarni. Pod bandażami moje ropiejące nogi nie chciały się goić. Jedna druga wspomagała jak umiała i mogła w tych warunkach. Babcia szczególnie nie mogła sobie wybaczyć, że nie słuchając głosów o wojnie, zabrała mnie z domu rodziców.

W międzyczasie dowiedziałam się o wzięciu ojca do niewoli niemieckiej we Francji, gdzie do czasu zajęcia Francji przez Niemców przebywał w polskim wojsku w Coetquidan pod dowództwem generała Władysława Sikorskiego. Przebywał w oflagu w Breslau (we Wrocławiu) przierzucany wielokrotnie, aż po Norymbergię.

Nowa okupacja

22 czerwca 1941 roku po napadzie Niemców na Rosję nasze Kresy znalazły się pod okupacją niemiecką. Moje starania na wyjazd do mamy spotykały się z odmową władz niemieckich. Różne były podstawy odmowy, że urodzona na Polesiu, że może Rosjanką jestem, że trzeba sprawdzić wszystkie papiery, adresy mamy, która także musiała zmieniać mieszkania. W ciągle zmieniających się militarnych niemieckich władzach nie było innego wyjścia jak pozostanie w Łunińcu. Szkoły wszystkie zamknięto i przerobiono na przejściowe koszary dla wojska idącego na wschodni front do Rosji. Zaczęły się deportacje młodzieży do Rzeszy. Jako 16toletnia już dziewczyna podpadałam pod kategorię „budowniczych i podnoszenia z gruzów Trzeciej Rzeszy”. Babcia z obawy, że mnie mogą schwytać w łapankach na ulicy i wywieźć, uważała, że będę bezpieczniejsza jako służba w kuchni dla niemieckich kolejarzy przy skrobaniu ziemniaków. Skrobałam je przez 2 lata, ale choć w ten sposób czasowo unikałam deportacji.

Co miało wisieć...

16 maja 1944 roku zostałam aresztowana. Z rana przyszło dwóch żołnierzy pod bronią. Stwierdzili tylko imię i nazwisko, podprowadzili do ogrodu kolejowego i postawili nad świeżo wykopanym dołem. Jaskrawy od słońca poranek po deszczu był prawie przezroczysty i bardzo zimny. Pod płotem i pod ścianami budynków kolejowych siedzieli nieruchomo żołnierze uzbrojeni w granaty i inne żołnierskie wyposażenie. Przez myśl mi tylko przeleciało pytanie – czy będą strzelać z przodu czy

z tyłu? W południe przyszedł niemiecki oficer, kazał granatowemu na niemieckiej służbie polskiemu policjantowi odprowadzić mnie do domu i zabrać trochę chleba na drogę. Do Brześcia. Uprzejmy policjant z miejsca mnie ostrzegł, że transport idzie do Niemiec i mam się zaopatrzyć w trochę ubrania. Pożegnanie z babcią było dramatem samym w sobie.

Zachód w gruzach

Po 10 dniach „podróżowania” pełnym transportem ludzi z Rosji w bydłych zamkniętych wagonach z Łunińca na Pińsk, Brześć, Grajewo, Prusy Wschodnie, zawrócono nas na Białystok, ponownie na Grajewo, stąd na Toruń, Poznań, Frankfurt nad Renem z przeczekaniem bombardowania Berlina. Z Berlina na Wittenberg do Hamburga. Po nocy zatrzymawszy się na jakiejś bocznicy, transport dowłókł się do miejsca przeznaczenia. Tu nas wyrzucono w podmiejskim obozie Mitlerer Landweg pod całkowicie rozbitym przez bombardowania Hamburgiem. Obóz pomieścił ponad tysiąc ludzi przeważnie narodowości rosyjskiej, ukraińskiej, kilku Skandynawów i nas Polaków: Irka Wójcik-Podgórska i ja – czyli dwie Polki i może sześciu Polaków „zasiedziały” starych wyjadaczy” od początku założenia obozu, którzy z miejsca nam przedstawili warunki obozowe, racje żywnościowe, straż pilnującą odrutowanego obozu, kary za wykroczenia. Początkowo nakazano nam Polkom, Irce i mnie, nosić znak z literami OST czyli przynależność do wschodu. W końcu po ciężkiej pracy pozwolono nam nosić liliowego koloru na żółtym tle literę „P” na rękawie.

(Do Niemiec na roboty deportowano 2 miliony 800 tysięcy Polaków).

Prace były różne – od ciężkich do bardzo ciężkich i niebezpiecznych w ciągłym bombardowaniu obiektów, do których nasze ekipy robocze wysyłano. Pod koniec wojny przeniesiono mnie jako sprzątaczkę do głównego budynku kolejowego przy Dworcu Głównym w Hamburgu najbardziej nastawionym na bombardowanie. Szczęśliwie dostawałam listy od mamy i od ojca. Wiedziałam, że żyją.

Wolność i spotkanie z ojcem

W maju 1945 roku obóz nasz został uwolniony przez wojska brytyjskie. Z koleżanką Irką Wójcik szybko na ukradzionym przez nią niemieckim rowerze uciekłyśmy z obozu Mitlerer Landweg do przepelnionego polskiego obozu na Tiefstak. Po dwóch tygodniach Anglicy, nie mogąc pomieścić tysięcy napływających uwolnionych więźniów z różnych hamburskich i podhamburskich obozów, wywieźli nas do obozu w Olsdorf. Poniemieckie koszary w Wendorf pod Hamburgiem nadawały się na tymczasowe pomieszczenie 20,000 wyzwolonych z obozów koncentracyjnych, pracy przymusowej i ferm rolniczych. Tam i mnie z Irką Anglicy przewieźli.

W tym czasie ojciec przierzucany po oflagach od Breslau po Nurnberg i uwolniony przez wojska brytyjskie, został przeniesiony do polskich wojskowych obozów we Francji do Sorgues koło Avignon i następnie do St. Didier. Postanowił mnie odzyskać i w trzy miesiące po wojnie, nie wiem jakim cudem, w tym mrowiu ludzkim

bez ewidencji i spisu odnalazł mnie w Wendorf. Tu pożegnałam się z Irką, gdyż ojciec miał pozwolenie na przewiezienie tylko jednej osoby. Od tej chwili podróżowałam z ojcem na jego bilet jako „Numer 1”. Bez imienia, nazwiska przejechałam z Hamburga przez Munster, Kolonię, polski „Maczków”, przez upchany więźniami z obozów, powstańców warszawskich Nijmegen, Holandię, Belgię do Francji.

Francja i nowa szkoła

Po dwóch miesiącach w St Didier starania o przyjęcie mnie do polskiego gimnazjum w Villard de Lens koło Grenoble, zostało przez szkolne władze pod reżymem komunistycznym odrzucone. Następnym etapem było przeniesienie ojca do ośmiotysięcznego polskiego obozu w La Courtine koło Clermont Ferrand w Masywie Centralnym. Tu się zakotwiczylam w gimnazjum i liceum pod auspicjami 2. Polskiego Korpusu. Z niejaką biedą po wszystkich perypetiach wojennych z leczeniem w szpitalach wojskowych zdobyłam dużą maturę, podpisaną przez wielu profesorów z Paryża, panią Aleksandrowicz także z Paryża, z odwiedzinami znanej polskiej przyjaciółki Rose Bailly. Choć mój Pan Jan wysiłek ten nazywał „kriegsmaturą”, jednakowoż dawał on szansę na dalsze studia, dalszą naukę, którą wielu ukończyło na uniwersytetach francuskich i uczelniach paryskich. Z ojca polecenia zapisałam się na wydział stomatologiczny w Lille z zamieszkaniem w Lannoy, obozie „akaczek” – czyli żołnierzy kobiet biorących udział w Powstaniu Warszawskim. I może bym dobrnęła do tytułu dentystki, gdyby nie zmiana w ojca wojskowej karierze. Z La Courtine, gdzie nauczałam w gimnazjum geografii, ojciec został przeniesiony na funkcję oficera oświatowego do Lille, następnie jako oficer gospodarczy otrzymał pozwolenie wyjazdu do Anglii. W tym czasie przez dwa lata nie wiedziałam jeszcze o losach mojej mamy, braci, rodziny z wyjątkiem ojca brata, ukochanego Stryja Stasia, zmarłego z ran w Białymstoku w pierwszych tygodniach wojny.

Zielona Wyspa Albionu

W obawie, że znów zostanę sama w obcym kraju, mieście, wśród Francuzów nieprzyjaźnie nastawionych do polskiego wojska stacjonującego we Francji, podjęłam decyzję wyjazdu z ojcem do Wielkiej Brytanii. 3 maja 1948 roku statkiem z Calais stanęłam na ziemi brytyjskiej. Z miejsca zostałam rozdzielona z ojcem. Jego, jako żołnierza, wyznaczono do obozu w Blackpool i mnie do rodzinnego obozu w Wheaton Aston blisko Walii. Tu rozpoczynałam nowe życie, w nowych warunkach, w obcym środowisku ludzi napływających z obozów spoza Europy, gdzie uwolnieni z obozów syberyjskich przetrwali wojnę i teraz w tej niesamowitej wędrówce ludów poszukiwali się wzajemnie. Żony z mężami, dzieci z rodzicami, bracia z braćmi. Zwożono ich z Indii, z Afryki Północnej i Południowej, z Rodezji i Meksyku. Z Kenii i Libanu. Z Włoch i z Niemiec. To był prawdziwy exodus, niepowtarzalna wędrówka ludów, pośród których i ja się znalazłam, jako „displaced person”. Osoba bez przydziału! Dipis. Zostałam odnaleziona przez ojca. Trzy lata byłam pod jego opieką i teraz cze-

kałam dalszych dyspozycji władz brytyjskich. Przerzucanej z obozu Wheaton Aston blisko Walii do obozu w Rednal, Shropshire, ojciec na podstawie połączenia się rodzin, wystarał się o pozwolenie połączenia się ojca z córką i zatrzymanie mnie przy sobie w obozie Calveley, w hrabstwie Cheshire.

Przetrwanie

W Calveley, w Polskim Korpusie Przysposobienia i Rozmieszczenia, w obozie o szumnej nazwie PKPR, Anglicy rozplanowali rozmieszczenie przybyłych z frontu włoskiego polskich żołnierzy po różnych obozach, ofiarując im pracę czarnoroboczych w kopalniach, fabrykach, zatykaniu dziur, podczas gdy Anglików zatrudniano na posadach tak zwanych „white collars” czyli pracach biurowych, czystych, dobrze płatnych, czysto urzędowych. Choć ówczesny premier brytyjskiego rządu Bevin namawiał żołnierzy polskich, wiernych aliantów czasów wojny do powrotu do Polski, woleli oni emigrować na cały świat i na wszystkie kontynenty, byle tylko powtórnie nie przejść przez piekło Nieludzkiej Ziemi. Wielu wróciło. O wielu dowiadaliśmy się, że się jakoś urządzają. Wielu przepadło bez wieści. Mój ojciec, jako żołnierz Marszałka Piłsudskiego walczący przeciw bolszewikom pod Grodnem, przypuszczalnie nie przeszedłby bez zauważenia przez reżymowe władze w powojennej Polsce. Moje starania o powrót do mamy rozpoczęte w Lille w 1946 roku zostały zaakceptowane w 1950 roku, gdy już byłam w Londynie.

Panna do wzięcia

W wojskowym obozie Calveley poznałam Pana Jana, mojego przyszłego męża Jana Janotę Bzowskiego. Wybór partnera na życie w tamtych czasach i warunkach byłby może lepiej określony jako szukanie igły w stogu siana. Polek mało, a Angielki niepewnie czuły się w obecności „ludzi z północy”, z kraju, o którym nie miały pojęcia. Nie jedna polsko-angielska miłość rozbiła się o opór angielskich rodziców. Dla nich Polacy byli elementem niepewnym. I to nie wiadomo z jakiego kraju pochodzili. W obozie Calveley w hrabstwie Cheshire poza jeszcze niezdemobilizowanymi żołnierzami 2. Polskiego Korpusu w wydzielonych barakach mieszkały połączone rodziny. Zamężne kobiety, żonaci żołnierze. I ja jedna – panna, młoda dziewczyna z podjęciem ważnej decyzji dalszych studiów w Wielkiej Brytanii. Na listy wysyłane do uniwersytetów w Londynie, Brystolu i pod Szkocją w Durham Londyn odpisał odmownie. Nie było miejsca. Bristol i uniwersytet w Durham nie tylko ofiarował miejsca, ale zaliczał jeden rok studiów we Francji.

W tym właśnie czasie, gdy wszyscy młodzi żołnierze przybyli z frontu włoskiego, zajęci dylematami własnego losu ludzi wyrzuconych za burtę swego planowanego życia i bytu, znalazł się ktoś odważny podjęcia życiowej decyzji. Pan Jan. Przyczaił się i szybko zadziałał, żeby mu kto inny zdobyłczy sprzed nosa nie sprzątnął. Przytulnie zapraszał do tańca, przyjemnie rozmawiał, dopytując o dane nowo poznanej panienki, bezwiednie wyciągając wydarzenia od urodzenia aż po dzień powzięcia

postanowienia. I jak w szybkim filmie odbyły się oświadczyzny, wyprawa do ojca o rękę córki i pozwolenie – z wielkimi trudnościami. Ale słówko się rzekło i w trzy miesiące potem ślub przypieczętował nasze małżeństwo 2 lutego 1949 roku w kościele katolickim w Nantwich, w hrabstwie Cheshire.

Wyjście w wielki i nieznan świat

Obóz Calveley do Londynu opuszczałam z wielkim drżeniem serca. Nie znałam miasta. Nie znałam ludzi, języka, nie miałam znajomych, koleżanek, przyjaciół. Nie znałam swojego dopiero co poślubionego męża. W małym angielskim rodzinnym domeczku, gdzie jako lokator przywiózł swoją przerażoną żonę, przyjął mnie herbatą z rzędem ustawionych słoików z różnymi dżemami, konfiturami i słodyczami, które zdobywał po wywiadzie ze mną o moich upodobaniach smakowych. Miodem mnie, dzikusa, obłaskawiał.

Życie na kartki w powojennych angielskich warunkach stało się nie tylko trudne, ale koszmarem takiej jak ja gospodyni, która nie potrafiła gotować, nie miała pojęcia o kuchni. Jajko gotowała na beton, wodę w czajniku, aż dno odpadło. Tygodniami oszczędzaną wieprzowinkę na Wielkanoc wsadziłam do garnka z wodą, zamiast na pieczeń do pieca. Rozczarowanie nie zakończyło się rozbitym talerzem na biednej głowie żony. Ale nauka nie poszła w las. Pod wprawnym okiem Pana Jana uczeń mistrza przechodził.

Wydarzenia i dylematy

I tak się zaczynało wszystko kleić i klecić. Rodzina zaczęła się powiększać. Najpierw był Jurek, nasz pierworodny ukochany syneczek, wkrótce po nim Mareczek przywędrował z woli Pana Boga. Podrastały dzieciątka w dobrych, szczęśliwych warunkach, które do dziś serdecznie wspominają. Małe jedwabiste rączki trzeba było z czasem wypuścić z rodzinnych twardych rąk do szkoły jednej, drugiej. A gdy brakło dobrych nauczycieli w przykościelnej szkole, za prywatną się trzeba było rozejrzeć. Wysitek finansowy ogromny. Przez 8 lat pracą chałupniczą przy peruczkach dla lalek opłacałam szkoły, mundurki i wszelkie opłaty szkolne. Janka pensja wystarczała na pokrycie kosztów utrzymania. Byliśmy młodzi i pełni entuzjazmu, dobrych nadziei i wiary w siły.

Janek w tym czasie rozpoczynał nową pracę zawodową od początkującego w cywilu zamiataacza podłóg fabrycznych, z awansem na kopiaarkę kartonów z napisami, gdzie sobie przed samym ślubem dłoń na „karton” sprasował. Przełomowa kariera na ogromnym Langstonie, maszynie produkującej papier pakunkowy zakończyła się rozbratem z angielskim robotnikiem, którego plugawy język i wyższość nad foreignerem z jakiegoś tam nieznanego mu kraju nie wytrzymała próby jakiegokolwiek obopólnego porozumienia. Lokator nasz, bardzo uczynny podsunął Jankowi myśl objęcia posady na poczcie. Była to posada państwowa z zastrzeżeniem, że wszystkich można byle nie foreignerów – cudzoziemców, obywateli drugiej

klasy, którzy musieli się meldować w Home Office. Może okres ten sami Anglicy wspominają za ubliżający im, że narzucono inwigilację polskich żołnierzy, którzy nie tak dawno o ich wolność walczyli. W tych warunkach za ujmę poczytywaliśmy sobie przyjmowanie obywatelstwa brytyjskiego. Działo się to, gdy w tym samym czasie reżym komunistyczny w Polsce wyższym oficerom w Anglii odbierał polskie obywatelstwo. Tym razem Janek stawiał czoła angielskiej biurokracji. Nie w jego charakterze leżało poddanie się, by lec z kretesem. Zanim jednak został przyjęty na posadę państwową, musiał się wykazać umiejętnością liczenia angielskiej waluty, od farthingów począwszy, systemem wielce skomplikowanym dla obcokrajowców:

1 farthing

pół pensa

1 pens

3 pensy

6 pensów

1 szyling czyli 12 pensów

2 szylingi czyli 24 pensy

dwa i pół szylinga czyli pół korony czyli 30 pensów

5 szylingów czyli korona czyli 60 pensów

10 szylingów czyli pół funta czyli 120 pensów

20 szylingów czyli 1 funt czyli 240 pensów, jeden funt srebra równał się £1.

21 szylingów czyli jedna gwinea czyli 252 pensy.

To tylko Anglicy potrafili sobie tak skomplikować życie, do którego musieliśmy się dostosować.

I ja starałam się o pracę poza domem w pralni, ale kiedy mi wąsaty okularnik podsunął listę do podliczenia za wyprane poszewki, poszwy, prześcieradła, koszule itd. za każdym razem wychodziły mi inne wyniki. Wąsacz popatrzył tylko z politowaniem na mnie i podziękował. Pamiętam, że za wypranie poszewki płaciło się pół pensa, czyli dwa farthingi. Za prześcieradło 2 pensy. Za butelkę mleka 2 i pół pensa. Bochenek chleba 4p.

Nielatwy orzech do zgryzienia

Dzieci rosły, rachunki rosły, kłopoty sięgały niebios. Moja chałupnicza produkcja peruczek dla lalek nie wystarczała na pokrycie wydatków szkolnych, na mundurki, na dom. Podjęłam się nauki pisania na maszynie. Na starej maszynie Olivetti zaczęłam stukać w wolnych od roboty chwilach. Wiedziałam, że przy „łebkach”, czyli peruczkach nie pozostanę na zawsze. A mężowi pomagać trzeba w wydatkach. Byli lokatorzy. Różni. Dobrzy i nie za dobrzy. Mądrzy i przemądrzali. Każdy z wielkimi aspiracjami do herbów i zasług naukowych. Pani Hanna Peretiatkiewicz, która „popełniła” – Pana Jana określenie – „Indie bez retuszu”, widząc mnie ślęczącą nad Olivetti, wydała opinię, że Polki tu na emigracji nadają się tylko do prac fabrycznych i szorowania garnków w domu. Przymuszczałnie był to dla

mnie dosłowny szok, bo od tej chwili tym więcej waliłam w maszynę, aż w końcu zebrałam się na odwagę i po podrzuceniu dzieci do szkoły biegłam na kurs pisanania i stenografii. Po kilku tygodniach kierowniczka kursu przerzuciła mnie na nauczycielkę Murzynkom uczącym się pisanania. Po kilku miesiącach z braku nowych kandydatek zostałam zwolniona.

Czy to naprawdę moja matka?

W 1957 roku Janek zaprosił swoją matkę, Marię z Duniewiczów. Janka ojciec, Michał, zmarł w styczniu 1940 roku w Krakowie.

W 1958 roku pierwszy raz po wojnie spotkałam się z moją mamą. 19 lat rozłąki zmieniło nas. Żegnałyśmy się 1939 roku, ja jako 14 letnia uczennica szkolna, moja mama młoda jeszcze, piękna 32 letnia kobieta. Teraz obie doszukiwałyśmy się w sobie rozpoznawalnych cech i wyrazów twarzy. Czy to naprawdę była moja mama? Czy aż tak ją wojna i walka o byt swoich dzieci zmieniła? Badałam oczami każdy jej ruch, widziałam napęczniałe żyły na jej szyi. Widoczne ślady jej przeżyć i przeżyć. Wojna, jak traktor przejechała się po nas, szczególnie po mamie, gdy została sama z trojgiem dzieci bez męża, bez środków do życia, z bagażem przeszłości męża w polskim wojsku.

Próby lotu na szerokie wody

Póki nie przenieśliśmy się z Ladbroke Grove na Acton, pod 31 Grasmere Avenue, nie mogłam popuszczać wodzy fantazji, by wydostać się z peruczkowej niewoli. Nie pozwalały na to obowiązki gospodyni domu, odprowadzanie dzieci do szkoły. Teraz, gdy już obaj, Jurek z Markiem uczyli się w jednej szkole im. Cardinal Vaughan, 4 grudnia 1961 roku, w niecałe dwa miesiące po przeprowadzce na nowe osiedlenie domczkowe, wyruszyłam na podbój świata. Z moim początkującym stukaniem w maszynę bez wahania przyjął pierwszą lepszą pracę biurową, aby się tylko zaczepić. Aby się zaczepić! To było takie ważne. To mi dawało szansę dalsze sukcesy. I tak z roku na rok stawałam się coraz bardziej wykwalifikowaną maszynistką, biurolistką zgłębiającą sekrety różnych instytucji i ich wymagania. Po 6 latach pierwszy kierat zmieniałam na lepiej płatny, chociaż na trudniejszy z wykorzystywaniem przez bezwzględego szefa do innych sekretarskich robót.

Dzieci też się na coś przydają

Jurek w tym czasie zdawał maturę. Z świadectwem w kieszeni, zadufany w sobie młody człowiek, mój własny syn zapytał jak długo chcę pracować jako niewolnik pana szefa. Muszę się nauczyć stenografii. Nauka tego przedmiotu w 40 roku życia równała się wybraniu z motyką na słońce, ale mądrzejsze jajo od kury było innego zdania. I nauczyłam się. Nie była to łatwa rzecz. Jurek miał rację. Wierzył we mnie. Przydał się w bardzo odpowiedniej chwili mojego życia. Teraz już nie bałam się żadnego wyzwania. Na pierwszy ogień poszła prywatna firma C.J.Jefferies z despo-

tyczną sekretarką Margaret, Walijką, potem spokojna Addressograph Multigraph, firma samochodowa Joseph Lucas. Cholernie wymagająca The London Pharmaceutical Company przez sześć lat wyciskała wszystkie moje żywotne siły, z szefem, żydem niemieckiego pochodzenia urodzonym w Anglii. Niebem była dla mnie firma Renault z najszlachetniejszym szefem Mr. Kenneth Tuffee. Aż do emerytury przez 27 lat pracowałam jedynie dla firm brytyjskich.

„Ciocia” Deska i nie tylko

W międzyczasie wpadłam w oko sekretarzowi powojkowej organizacji 3 Dywizji Strzelców Karpackich. „Trzeciej Deski”. W jego pojęciu nadawałam się na prowadzenie korespondencji biura, z którym on sam nie mógł sobie dać rady. Dałam się namówić i jak to w przysłowiu: „daj kurze grzędę” z „pomagiera” obwieścili mnie sekretarzem Związku Karpatczyków 3 Dywizji Strzelców Karpackich. Niezapomniany z tej okazji Zbyszek Winogrodzki od tej chwili „Ciocią Deską” mnie nazwał. W 1984 r. został mi nadany Dyplom Uznania „Za wybitną pracę społeczną dla Związku Karpatczyków 3 Dywizji Strzelców Karpackich”. I tak już zostałam do dzisiaj. Przeszło 27 lat sekretarzowania i 45 lat od kiedy rozpoczęłam im tylko pomagać. Od ponad 40 lat jestem korespondentem polskiej codziennej gazety na emigracji, „Dziennik Polski i Dziennik Żołnierza”, która już święciła 70 lat istnienia. Przez lata byłam członkiem i sprawozdawcą Towarzystwa Fundacji Jana Pawła II, członkiem Zjednoczenia Polek na Emigracji, korespondentem prasowym dla parafii polskiej na Ealingu jak również dla wielu innych polskich organizacji. Dla ZHP międzynarodowego Zlotu instruktorów, z którymi jeździłam nad rzekę Wye w 1999 roku, nocowałam przez tydzień w spartańskim komforcie na szpitalnych noszach w chacie bez okien. Niemal wszystkie sprawozdania były notowane na kolanie i w nie za bardzo dogodnych warunkach. Pisywałam do wielu innych pism i gazet włącznie z Ameryką i z Ameryki do Anglii. Wciąż jeszcze jestem korespondentem karpackim, od wielu lat dla licznych organizacji społecznych, 27 lat dla „Gońca Karpackiego”, 15 lat dla Polskiego Oddziału St. John Ambulance, długoletnim korespondentem i kronikarzem polskiej parafii na Ealingu. Tak więc można powiedzieć, że osła imię wszędzie słynie. Ale to dobrze. Bo gdy Pan Jan odszedł 11 maja 2001 roku, praca, pisanie, bywanie na różnych spotkaniach dało mi zajęcie i oderwanie od smutku nad stratą męża, przyjaciela, dobrego towarzysza życia, Pana Jana wspaniałego człowieka, z którym dzieliłam niebo i ziemię przez ponad 52 lata. Pozostały dobre wspomnienia i pamięć, jak raj, z którego mnie nikt nie wyrzuci.

A za wszystkie trudy znoje...

Za te moje wszystkie przyjemności społeczne zostałam odznaczona najpierw jeszcze za panowania naszego prezydenta na Uchodźstwie Ryszarda Kaczorowskiego Srebrnym i Złotym Krzyżem Zasługi.

W 1994 r. nadane uchwałą nr 47/1991 Rady Naczelnej Związku Ziemi Wschodnich RP, którego jestem członkiem, przyznano mi „za wytrwałą obronę przynależności Ziemi Wschodnich do Polski” Dyplom Uznania i Złotą Odznakę

1 października 2000 roku z okazji obchodów 50-lecia Polskiej Parafii na Ealingu w obecności ks. arcybiskupa Szczepana Wesołego, duszpasterza Emigracji, infułat ks. Stanisław Świerczyński, rektor Polskiej Misji Katolickiej w Anglii i Walii uhonorował mnie Złotym Krzyżem Zasługi Polskiej Misji Katolickiej w uznaniu zasług dla Duszpasterstwa Polskiego. Otrzymałam:

- Krzyż Kawalerski Orderu Zasługi R.P.,
- Złotą lilijkę harcerską,
- Medal Zasługi Towarzystwa Fundacji Jana Pawła II W Wielkiej Brytanii – Beneficentia Opera Fundata Ioannis Pauli PP II,
- Srebrny i Złoty Medal Wojska Polskiego.

I inne z okazji przynależności i pracy dla organizacji.

Śmieję się, że nabierało się tych pamiątek i odznaczeń, od których szuflady się uginają i pierś moja lewa pod ciężarem zasług i orderów nieco obwisła.

Najbardziej jednak cenię sobie różaniec z białego kryształu, wręczony mi osobiście przez naszego polskiego papieża świętego Człowieka, błogosławionego Jana Pawła II w Jego osobistej bibliotece 19 listopada 2002 roku.

Epilog

Choć od lat na emeryturze, jestem nadal sekretarzem Zarządu Głównego Związku Karpatczyków 3 DSK. Nadal zajmuję się korespondencją do polskich pism na emigracji i pracą społeczną dla kilku polskich organizacji m.in. Polski Oddział St. John Ambulance. Jestem z Małgorzatą Bzowską Bakalarz współautorem „Łącznika Rodzinnego” Zeszyt 6. Wciąż jeszcze należę i piszę dla „Harcerek i Harcerzy z lat 1945-1990”. Nie chcę zanudzać wymienianiem wszystkich organizacji, które mnie wciąż jeszcze zapraszają do zdawania raportów o ich działalności. Tu nawiasem dodam – wszystko co robię – robię na chwałę ojczyzny i dobra innych. Od nich uczę się historii ich powstawania, ich przeszłości, ich niewzruszonej postawy w pracy z pożytkiem dla wielu. To jest moja szkoła. To jest moja droga do wiedzy o ludziach dobrej woli, o ich prawdziwie bezinteresownej i koleżeńskiej pomocy w potrzebie.

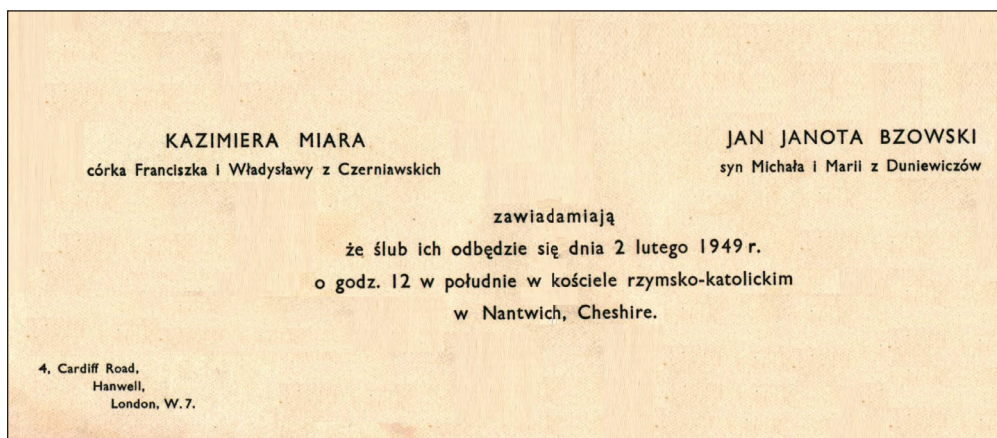
Rozdzielona nasza rodzina przez wojnę 1 września 1939 roku nigdy już nie scaliła się w jeden dom rodzinny.

Z ojcem spotkałam się po 6 latach w Niemczech. Razem z nim byłam 3 lata we Francji. Z mamą spotkałam się w Londynie po 19 latach, gdy przyjechała do mnie do Anglii. Z braćmi spotkałam się po 27 latach w Polsce. Ojciec z mamą spotkali się w Ameryce po 21 latach. Do końca życia przez 25 lat zostali z sobą. Oboje spoczęli w amerykańskiej ziemi w Bloomfield w Stanie New Jersey. Irka Wójcik poznała w obozie Wendorf wypuszczonego z obozu koncentracyjnego zaniego Tadeusza Podgórskiego. Po zamążpójściu jeszcze w Niemczech urodziła córeczkę Terenię. Wkrótce

wuj Tadeusza zamieszkały w Newark stanu New Jersey sprowadził ich do swego domu. Tu urodziła im się druga córka Basia. Pierwszy raz po wojnie przyjechałam do Polski w 1965 roku. Moi synowie, urodzeni i wychowani w Anglii, doskonale sobie radzą w języku polskim. Walka o ich polskość wynagrodziła nam wspólnie wszystkie spory i kary za angielszczyznę w domu, ich brak czasu na zabawy z angielskimi kolegami, nasze fundusze na wysyłanie ich do Polski. Marek skończył architekturę na londyńskim uniwersytecie i mieszka blisko Bostonu w stanie Massachusetts w Ameryce. Jurek ukończył studia inżynierskie na uniwersytecie w Guildford, Surrey. Po 9 latach pracy w Południowej Afryce, mieszka i pracuje w Vancouver, w Kanadzie. Obu synów odwiedzam, szczególnie Jurka. Dzięki niemu poznałam piękną Afrykę Południową, Kanadę „pachnącą żywicą”. Z nim wspólnie łowiłam łososie. Jednego tylko, ale takich trofeów nigdy się nie zapomina. Tak więc dzieci są nam potrzebne, na złe i na dobre, na pierwsze chwile ich życia do ostatnich naszego życia.

Hobby? Kocham podróże, pamiętnikarstwo, tworzenie notatek na podstawie wycinków z prasy p.t. „Żeby pamięć nie zaginęła”, zbieranie materiałów do Łącznika, kolekcjonerstwo wszystkiego, co moim zdaniem jest wartościowe i przydatne do robienia notatek.

ŻYCZENIA? Żeby wszyscy byli bardzo szczęśliwi, dobrzy dla siebie i w sercu zachowywali pamięć o przeszłości, bo tylko ona daje podstawy do tworzenia przyszłości.



DZIENNIK POLSKI 25 marca 1999 r.:

Złote gody na Acton

Nic większego nie dane jest człowiekowi do przeżycia jak doświadczenie Jego miłującej obecności.

(Bronisława, matka przełożona zakonu wizytek w Krakowie –
kuzynka jubilata)

Z okazji 50-lecia małżeństwa Jana i Kazimierzy Janotów Bzowskich, w kościele NMP Matki Kościoła na Ealingu, ks. prałat Józef R. Maj (kuzyn jubilatki) z parafii św. Katarzyny na Służewie wraz z proboszczem ks. Kazimierzem Grzymałą MIC (który wręczył jubilatom błogosławieństwo papieskie) i ks. Andrzejem Maciołkiem z Mrągowo koło Elbląga z parafii Błogosławionej Honoraty, odprawił dziękczynną mszę św. Na tę okazję przyjechał także syn Jerzy z Kanady.

Jan Janota Bzowski, urodzony w Rzeszowie, ukończył studia w Wyższej Szkole Handlowej w Krakowie. Przed wojną pracował w Gdyni. Po wybuchu wojny przedostał się przez Rumunię i Węgry do Francji, a następnie do Szkocji. Stamtąd został odkomenderowany do 2 Korpusu. Przez dwa lata pełnił funkcję oficera kwaterunkowo-transportowego w komendzie miasta Rzymu. W roku 1947 przybył do Anglii i już w następnym, 1948, poznał swą przyszłą żonę Kazimierę, rodem z Polesia, wywiezioną w 1944 r. do obozu pracy przymusowej w Hamburgu. Uwolniona przez brytyjskie wojska została odnaleziona przez ojca, oficera wojsk polskich, jeńca kilku obozów niemieckich, uwolnionego przez brytyjskie wojska i wysłanego na leczenie do Sorques – polskiego obozu we Francji. Razem z ojcem przybyła do Francji i w polskim obozie w La Courtine koło Clermont Ferrand zdała maturę.

Po przyjeździe do Anglii poznała Jana Janotę Bzowskiego. Ślub ich odbył się w Nantwich w hrabstwie Cheshire, po czym zamieszkali w Londynie. Z biegiem czasu Jan dostał posadę na poczcie, następnie jako urzędnik w National Savings Bank, gdzie przepracował aż do emerytury. Kazimiera, po ukończeniu kursu sekretarskiego Pittmana pracowała w biurach angielskich, początkowo jako maszynistka. Z czasem nabrała doświadczenia i dzięki znajomości języków obcych była sekretarką w Renault, skąd przeszła na emeryturę. W międzyczasie pomagała w sekretariacie karpaczyków a w 1987 r. została wybrana sekretarzem Zarządu Głównego Związku Karpaczyków 3 DSK. Funkcję tę pełni do obecnej chwili. Ponadto jest zaangażowana w innych społecznych pracach. Jako reporter pisuje do polskiej prasy.

Państwo Janota Bzowscy mają dwóch synów. Jerzy, po ukończeniu Surrey University, został inżynierem sanitarnym. Po latach pracy w Południowej Afryce, zamieszkał w Vancouver w Kanadzie, gdzie pracuje jako dyrektor firmy inżynieryjno-sanitarnej. Młodszy syn, Marek, po ukończeniu wyższych studiów w Bartlet School of Architecture w Londynie, pracuje jako nauczyciel matematyki. W przeddzień uroczystości jubileuszowych przyjechał prezydent Ryszard Kaczorowski z małżonką, by złożyć jubilatom życzenia i spotkać się z ks. Józefem. W niedzielę odbyło się pierwsze przyjęcie w domu syna Marka. Artystycznie utalentowana synowa, Krystyna, urządziła bankiet na 26 osób. Takiej uczyty nie powstydziliby się sam Lukullus. A wszystko razem było wspaniałe i pięknie podane. Marek częstował „złotą wodą” gdańską, w której pływały złote kruszynki – tak, że wszystko działało się pod kolor złotych godów. Były toasty i przemówienia. Atmosfera prawdziwie szampańska!

Po przyjęciu u syna z rodziną, drugie przyjęcie odbyło się w domu jubilatów, z udziałem wielu karpaczyków i prezesa Józefa Wojteckiego z małżonką. Razem

około 30 osób. Tu też – podobnie jak na pierwszym przyjęciu – stoły były bogato zastawione. Swemu sekretarzowi, pani Kazimierze, wdzięczni karpacczycy zaśpiewali „Karpacką Brygadę”. Jubilaci – z okazji złotego jubileuszu – otrzymali ponad pół setki kart z życzeniami i wiele telefonów z Afryki Południowej, Ameryki, Kanady, Polski, nie licząc samej Anglii. Otrzymali także dużo pięknych i wartościowych prezentów. Życzymy im wiele szczęścia i drugich lat w dobrym zdrowiu – Ad Multos Annos!

Edmund Brzozowski

Kazimiera Janota Bzowska
Londyn 22 stycznia 2011

ŻYCIORYS MAŁŻEŃSTWA EMIGRACYJNEGO

Często, gdy jest przyjęcie, raut czy bankiet,
Czy jakieś specjalne jubileusze
Pan prezes, a nawet królowa sięga za mankiet,
By z niego wyciągnąć przemówień arkusze.

Każde z tych okazji mają to do siebie,
że się od nowa wszystko przypomina,
Lata, dawne chwile, ludzi w potrzebie.
O dobrym pamięta, o złym zapomina.

I właśnie dzisiaj przyszła okazja specjalna,
By przywołać cośkolwiek z przeszłości,
A była ona różna, jak to bywa. Wcale nie banalna,
Szczególnie na nowej drodze życia – pełnej zawikości.

Najpierw było słowo – małe zapytanie –
– Czy zechce pani moją żoną zostać?
– Chyba tak, ale szanowny panie...
I tu mi ćwieka w głowę zabito, bo postać

Owszem, powierzchowność nienaganna z bliska,
W oczach obiecujące duże zaufanie,
Ale ja przecież nie zapamiętałam nazwiska
Tego, co mi zadał to szalone pytanie.

Małżeństwo to nie spacer ścieżkami Calveleju,
Obozu Pekapeeru dla byłych żołnierzy,
Zwłaszcza gdy się miało w głowie tak mało oleju,
że w prawdziwość tego aż trudno uwierzyć.

Ale słowo się rzekło, jak w tym mądrym przysłowiu,
że raz danego – babcia uczyła – cofać nie należy.
Ślub je przypieczętował. I z obozu na odległym pustkowiu
Przywiózł mnie Pan Jan na Londynu obrzeża.

Domek malutki, angielski, jak pałac po barakach.
Zamiast koców na podłodze – dywany.
Mebelki błyszczące, kominek, radio i cisza taka...
I herbata gorąca i stos telegramów do rana czytanych

Od znajomych, dalekich kuzynów i ciotek,
Od ludzi, o których nigdy nie słyszałam.
Słuchałam tych życzeń z serca łomotem
I przyznać muszę, że się strasznie bałam

Tych romantycznych słów o „drodze życia nowej”,
„O szczęściu i wspaniałej razem przyszłości”,
A ja tu mocno zachodziłam w głowę,
Czy nie uciec, już teraz, co byłoby najprościej,

Bo za dużo nagle spadło na mnie tych ludzi,
Tych jakichś Sulimów z Polski, Przyborowskich z Szkocji
Każdy list niepokój we mnie co raz większy budził,
A z nimi drobiazgi klasztornej dewocji.

To ciotka Tarsycja, matka przełożona
Słała różańce, medaliki, książki do nabożeństwa...
Kto są ci wszyscy? pytałam przelekniona,
Nic mi o nich nie mówił w czasach narzeczeństwa.

Siedziałam wtedy jak sowa nadęta
W futrze z królików w kapeluszu na głowie.
Każda żyłka we mnie jak struna napięta
I po plecach zimne przechodziło mrowie.

Oj, wiedział Pan Jan od tej chwili, że te żonę – dzikusa
Trzeba obłaskawiać jak wystraszonego ptaszka.
Dowiedział się, że dla mnie największa pokusa
To marmelady, dżemy, słodkie soki we flaszkiach,

Które na kartki przed ślubem skrzętnie rządami
W równe szeregi w szafie ustawiał.
I teraz na stole, pośród listów z życzeniami
Wyborem słodkości w słoikach zabawiał.

Ale przyjęcie sielsko anielskie
Trwało zbyt krótko. Sny różowe, wymarzone
Prysły wnet w nieznanym bycie angielskim,
Gdy mi przyszło zająć się domem.

Gdy tak stanęłam przy kuchence gazowej,
Przy garnkach pustych, pustej głowie i spiżarni.
Wszystko na kartki. Nie jak w messie obozowej,
Gdzie nie znałam gospodyń młodych męczarni.

Jedno jajko na tydzień, na kartki sera kosteczka,
Mięsa, co kot napłakał, masła na lekarstwo,
Herbaty paczuszka, pół butelki mleczka
I z tym musiałam prowadzić gospodarstwo.

Bez kartek były kury, jabłka i mięso królików,
Więc poprosiłam o „One pound kitchen”.
„Perhaps chicken, ma’m”. Słowo daję, znalazłam w słowniku
A oba te wyrazy nie różniły się niczem.

Mój angielski był bardzo skromniutki.
Coś tam liznęłam na lekcjach w obozowej szkole.
Teraz przyszło mi w kąt rzucić ręczne robótki
I męczyć się nad książką w pocie i mozole.

Kit, Angielka, znajoma Janka
Każdego tygodnia pilnie odwiedzała,
A ja od samego wczesnego poranka
Słówka angielskie na pamięć wkuwałam.

O obowiązkach pani domu tyle wiedziałam
Co malowane cielę o niebieskim firmamencie,
Jajko na beton ciężgle gotowałam,
Dno w czajniku wypadło w tym całym zamęcie.

Nie mając pojęcia o gazowych palnikach,
Obiad na powrót męża zrobić zamierzałam,
Spaliły się ścierki. Ogarnęła mnie panika,
Gdy do kompotu soli nasypałam.

Do ciasta, by jak w domu żółtość pozyskało
Natarłam marchwi. Ta bez kartek była.
Kartki na mięso, które się przez miesiąc składało
Zamiast na pieczeń, do garnka wsadziłam.

Niebo nade mną czuwało i mąż nie nerwowo,
Nie rzucił we mnie garnkiem z kulinarnej rozpaczy.
Szczęście mi dopisało, że nie było teściowej
Ani mamusi, co to na wszystko patrzy inaczej.

Gdyby mi obie moją nieudolność wypominali
I dziurę drążyli, żem się nie przygotowała za młodu,
To byśmy dzisiejszej rocznicy nie doczekali,
Tego pięćdziesięciolecia zasłużonych Godów.

Dziś te chwile wspominam z rozczuleniem.
Choć nie zawsze były wzniosłe. Ale byliśmy młodzi.
Żyliśmy przyszłością i czekaliśmy z utęsknieniem
Kiedy się nasz pierwszy potomek narodzi.

Trzeba było wtedy wyprawkę szykować.
Jakąs koszulkę. Pod głowinę poduszczkę,
Ja z Janka koszuli zaczęłam coś kreować,
Janek z okna zdjęł cieniutką firaneczkę

I siedząc na podłodze, igła nam w palcach migotała,
Gdyśmy tę wyprawkę dla Jureczka szyli,
Aż się Kit, Angielka na głos roześmiała,
że dziecko to nie lalka, i nie czekając chwili,

Wszystkie kumoszki do roboty sprosiła.
Oj, migały im druty w palcach pracowitych.
Jak małego lorda dziecko wystroiła...
Nie zapomnę nigdy tych wrażeń przeżytych.

Drugi potomek od dziecka był już taki uparty,
Że gdy wyprawkę szykowałam w kolorze różowym,
On, mały rebeliant w ostatniej chwili zamiast Marty
„Marek jestem!”
Światu się przedstawił wrzaskiem, silnym a zdrowym.

Ladbroke Grove był dla nich dzieciństwa rajem,
Dla nas przystanią na długie lata.
Dom z lokatorami, gdzie się nawzajem
Los różnych ludzi ze sobą dziwnie splatał.

Tomy nie wystarczą na ich opisanie
O paniach hrabinach, pisarzach, baronowych,
O generałach, o konsulu w Rosji, w Teheranie,
Przez wojnę zepchniętych w warunki nietypowe.

Oficerowie, „Srebrna brygada” w górę od kapitana,
Zaszczytne w tym czasie mieli stanowisko,
Srebro w hotelach czyścili. Pisarze, poeci w roli barmana,
Konsule, jak Pan Albrecht, w ciastka zasilali „Polskie Ognisko”.

Pana Jana po demobilizacji kariera
Też się zaczęła od zmiatania fabryki.
Nie raz brała formana cholera
Gdy o tumany kurzu podnosił głośne krzyki.

Zamienił Pan Jan miotłę na kartonów pakowanie.
Do dwunastu odliczał i sznurkiem zawiązywał.
Dla formana polskie odliczanie
Nie było ważne. Po angielsku nakazywał.

Z miotły i pakowania na drukarnię awansował
I szło mu nieźle, choć maszyna parszywa,
Aż sobie w niej rękę na papier sprasował
I z taką niezdamą przyszło odpoczywać.

A potem awans, nie byle jaki, kochani,
Bo na maszynie „Langston” robotę mu dano,
A przy niej bossa, Harrego, największego z dram
Jakiego tylko w slumsach spotykano.

– „Czekaj ty sobie, jakiś foreignerze”
Tak pewnie myślał, o nowym robotniku.
„Ja ci pokażę, jak się za robotę bierze”
Nie szczędząc przy tym „ef ofów” bez liku.

I tak co słowo, co ruch Pana Jana
Harry dokrapiał „ef ofem” dla animuszu,
Aż wreszcie, niespodzianie jednego rana
Doleciały niecenzuralne „ef ofy” jego uszu.

I to od kogo? Od tego spokojnego foreignera?
Co tak wszystko znosił ze stoickim spokojem?
Bo i takiego wreszcie wzięła cholera,
że się tak odegrał w języku nie swoim,

Lecz Harrego własnym? w takiej samej kolei.
„Ef off, you taki siaki i owaki Harry”
Taki to był koniec fabrycznej epopei
I oderwanie się od tej chamskiej poczwary.

Pomału szczęście uśmiechać się zaczęło
Z czarnoroboczego biały kołnierzyk nałożył,
Na poczcie, jakieś niemrawe chłopisko go przyjęło
I nakazało, by się w ich rachunkowość wdrożył,

Bo u nich wszystko inaczej się liczy
Farthingi, półpeny, penówki, szylingi,
Korony, funtówki, gwineje... Więc ćwiczył
I chodził na liczne angielskie mitingi.

I tak powoli, z biedą, z oporami
Poszedł do banku na posadę państwową.
Wychodził rano, wracał wieczorami,
Gdy ja, zajęta dziećmi, robotą domową

Też chciałam pomóc w domowym budżecie.
Chłopcy w prywatnej szkole, nauka kosztuje,
Więc łatwiej byłoby przy wspólnym duecie
Gdy i ja chałupniczo pracować spróbuję.

Do odważnych – powiadają – świat cały należy,
Więc się szybko za robotą rozejrzałam.
W pralni? Kartka z cyfr szeregiem włos mi na głowie jeży,
Bo farthingów, penów i półpenów zliczyć nie umiałam.

Może przerzucić się na szycie? Koszule, mankiety,
Kołnierzyki, bluzki, biustonosze, hałki koronkowe,
Ale ja nie miałam wprawy, niestety.
A gdy jeszcze usiadłam przy fortecy przemysłowej

I leciutko nacisnęłam nogą maszynę
Ta tylko jak szatan warknęła z chichotem.
Ścieg przeleciał przez całą cieniutką tkaninę.
Pod wzrokiem dobrotliwego bosa zalewałam się potem.

Może szycie letnich sukien. „Że co, proszę?
Zanim się nauczysz – przestanie grzać słońce!”
Markasity, koraliki za dziadowskie grosze
Rzucały blaski wręcz oślepiające.

No to może na ryby nylonowe siatki,
Sto czterdzieści cztery za pół korony.
Zamiast siatek może męskie gatki,
Albo na okna ciężkie zasłony.

Albo lalki wiktoriańskie
Piękna sztuka aż się prosi.
Tu mnie dopadło draństwo chamskie,
– „Pani się tak szykownie nosi,

Tak ubrana ślicznie, z gustem
Pięknej pracy gratuluję.
Po wyglądzie sądząc, przyznać muszę
No, chyba pani pieniędzy nie potrzebuje”.

Lalki schował. Dumą wielką się uniosłam,
Nie prosiłam Polaka o zapłatę,

I od Mr Lee, żyda, przyniosłam
Pudła peruk. Tak to zatem
Przez lat osiem je splatałam
W warkoczyki, loczki, ale skrycie
W międzyczasie rozmyślałam,
Czy tak będzie całe życie?

Moje studia dentystyczne
Na nic tu się w Anglii zdały
A do pracy, do fizycznej
Obowiązki nie puszczały.

Z ogłoszenia czy z gazetki
Siedząc w domu wieczorami
na kupionym Olivetti
Pisać się uczyłam godzinami.

W dzień peruczki, nocą często aż do rana
Tłukłam w Olivetti czcionki czarne.
Wreszcie był kurs u Pitmana.
Potem już za grosze marne

Instruktorcą mnie zrobiono
Dla murzynek kolorowych klanów.
Lecz polska pisarka z miną zdziwioną
Uznała, że nic nie wyjdzie z moich wielkich planów,

Bo jak z jej spostrzeżeń wynika
Polki do biura wcale się nie nadają.
Dla Polki chałupnictwo, najwyżej fabryka
I dom, garnki, przy których zostają.

Może, gdybym tych słów nie słyszała,
Że mi taką przyszłość „dama” wywróżyła
Poleska rogata dusza by we mnie nie zadrżała
I te peruczki bym do końca życia kręciła.

Los mi się w końcu szczęśliwie odmienił
W aktońskiej dzielnicy na Grasmerowie,
Peruczkowe piekło w niebo mi zamienił,
I tak się zaczęły perspektywy nowe.

Z sercem drżą cym jakby u zająca
Szłam na pierwsze z szefem spotkanie.
Ręce mokre, nogi jak galareta drżące...
I o dziwo, w biurze mam już zaangażowanie.

Z dumnego Ladbroke Grove na Notting Hillu
Do skromnego Actonu w Domeczku małym
Bez pretensji i wielkopańskiego stylu
Przenieśliśmy nasz dobytek cały.

Tak się nagle wszystko odmieniało,
Łatwiej było wiązać koniec z końcem.
W nowym, ślicznym Domeczku zamieszkało,
W którym cieszyły promienie jasnego słońca.

Zza kantorku najpierw, do biur lśniących
Przechodziłam wielce zachwycona.
Lecz w jednym z nich wkrótce po miesiącu
Jak w kierat szalony zostałam włączona.

I dostałam w biurze u Jeffrey'a takie wciry,
Jakich nigdy nigdzie jeszcze nie doznałam
Od Małgosi, Walijskiej plugawej w pysku dziry,
Bo tak ją wtedy w sercu nazywałam.

Jurek, syn nasz starszy był już po maturze,
Strasznie pewny siebie i wielki mądrala
– „Jak długo chcesz w tym, Mamo, siedzieć biurze?”
Ucz się, póki czas. Orać sobą nie pozwalaj.

Wyuczone od tej chwili stenografii znaki
Wciąż w powietrzu palcem rysowałam
A ludzie, podejrzliwi na widok taki
Szeptali, pewnie na starość całkiem zwariowała.

Nie wierzyłam wtedy we własne siły
I że ja zdobyć lepszy grosz potrafię.
Sny dopiero się spełniły,
Gdy reszcie poznałam Pitmana stenografię

Teraz mogłam już bez obawy
Zmieniać pracę, miejsce, bosów
Po trudach byt mój stał się już łaskawy,
Z ulgą powitałam uśmiechy losu.

Czas biegł naprzód, w szkole dzieci,
Potem uczelnie, uniwersytety.
Tylko wspomnieć jak ten czas nam szybko leci
Jak ucieka nam każdy dzień, niestety...

Janek szczęśliwy na emeryturze
Lepieniem pierogów się w domu zajmuje.
Siedzi w kuchni w gęstej pary chmurze,
Gdy ja biuralistka, on te pierogi gotuje

Nasze dzieci, to już ludzie.
Każdy chce iść własną drogą.
Każdy w swoją stronę pójdzie,
Nic tu prośby nie pomogą.

Nadszedł więc czas na rozstania
Do Afryki, do Kanady,
Nie pomogą tu błagania,
Ich los, nie nasz, nie da rady.

Dzisiaj obaj już z rodziną,
Żony, dzieci, domy jasne,
A my, jakby przed godziną,
Oglądamy życie własne

Przez ten pryzmat pokolenia
Naszą przeszłość wspominamy
I bogatsi w doświadczenia
Radość wielką odczuwamy,

Że jesteście dzisiaj z nami
Tak przyjaźnie, miło, blisko.
Nie wypowiem już słowami
Tej wdzięczności za to wszystko.

Lata lecą, przemijają.
Tyle się w nich przecież działo,
Jak nic wspomnień odwijają
Czas miniony, przeszłość całą.

Przy tym święcie uroczystym
Tak się myśli nasuwają,
A to takie oczywiste,
Że tak same powracają

Echa melodii dawno zapomnianej,
Słowa piosenki, które przeminęły,
Czas pamięcią dzisiaj przywołany,
Wraca chwile, co jak kłamrą życie spięły.

Za te lata przeżyte razem,
Za Twoją cierpliwość i wyrozumiałość
Panie Janie dziękuję Ci. A zarazem
Muszę w te podziękowania włączyć całość

Wdzięczności naszym Dzieciom za trud zadany.
Krysi, że tak ślicznie wszystko przygotowała.
Markowi za każdą chwilę. Za troskę okazaną,
By ta uroczystość jak najlepiej wyglądała.

Markie – za wyczyny kulinarne i przysmaki,
Którymi nas dzisiaj uroczyście raczy.
Jesteśmy wdzięczni, bo przy szefie takim
Wszystko smakuje wybornie, inaczej.

Jureczkowi, synowi z dalekiej Kanady
Dziękujemy za przyjazd na tę libację.
Gdyby tak jeszcze Brygitka i Kasia, ale nie da rady,
Więc jego tylko wysłały w delegację.

Dziękujemy naszemu kuzynowi Józkowi,
 Że aż z Warszawy do nas tu w ten dzień przyleciał.
 Przy okazji, spóźnione gratulacje Jubilatowi
 Obchodów kapłaństwa dwudziestopięciolecia.

Księdzu Kazimierzowi, z serca Pan Jan i ja dziękuję
 Za błogosławieństwo papieskie dzisiaj nam wręczone.
 Będzie dla nas pamiątką. Marek się nim zaopiekuje,
 Bo zostanie w ramki oprawione.

Naszym wszystkim Przyjaciołom z serca dzięki składamy
 Za zaszczyt Waszego z nami przebywania,
 Za życzenia, prezenty, za przyjaźń Waszą, którą najwięcej doceniamy,
 Za lata które nas łączą od chwili poznania.

I Panu Bogu, czym nas obdarował
 W pacierzu swe dziękczynienie pokornie zanosimy,
 By nas jeszcze w zdrowiu długie lata zachował.
 To jest to, o co jeszcze prosimy.

Kazimiera Janota Bzowska
 na 50-cie wspólnej drogi przez życie 2 lutego 1949-1999
 obchodzone w Londynie 31 stycznia 1999
 w domu Marka i Chrissie Janotów Bzowskich

JERZY ADAM JANOTA BZOWSKI (ur. 12.04.1950), syn Jana JB i Kazimiery JB z Miarórw, żona **Bridget Douglas Glencross**, której rodowód wywodzi się od Władysława Wygnańca (patrz rozdz. 5.2). Jerzy i Bridget mają córkę **Kasię** (Zeszyt 4, str. 24)

Dyplomy Jerzego: B.Sc (hons) Bachelor of Science Surrey University
 M.I.C.E Member of the Institution of Civil Engineers
 UKC.Eng Chartered Engineer UK
 M.A.S.C.E Member of the American Society of Civil Engineers
 PEng (BC) Professional Engineer British Columbia
 PEng (ALB) Professional Engineer Alberta

Relacja Jurka

Wychowałem się w Londynie i studia inżynierskie ukończyłem na Uniwersytecie w Surrey. Po trzech latach pracy w Anglii w najlepszej firmie w Anglii, z powodów ekonomicznych i z nadzieją zniesienia apartheidu wyjechałem z Brygityką w 1975 roku do Południowej Afryki. W następnych siedmiu latach:

A. Pobraliśmy się w Pretorii 13 marca 1976 roku

B. Objechaliśmy cały kraj, zwiedzając Swaziland, Botswanę, Rodezję, Zambię i Lesotho

Mieliśmy wspaniałe wakacje z rodzicami (mama opisała je wszystkie), jak również z rodziną Brygitki. Za każdym razem przybywało nam na liczniku około 4000 kilometrów. Były one pełne przygód i wrażeń. Ostrzegam tylko – że nie wolno pić białego wina za grzybami – (osobliwa historia KJB)

Pracowałem w najlepszej firmie w Pretorii u światowej sławy inżyniera dr. Barnarda, który opracował system oczyszczania ścieków „Bardenpho”.

W porównaniu z pracą w Anglii awansowałem w Afryce błyskawicznie dochodząc do stanowiska „hoofontwerpsingenieur”, czyli naczelnego projektanta.

Brygitka pracowała jako menadżerka w kilku galeriach, zgodnie ze swoim artystycznym wykształceniem.

Przeżywaliliśmy nasz czas w Afryce w stylu „hedonistycznym”. Byliśmy młodzi, mieliśmy służbę w domu, pod gorącym słońcem Afryki jedliśmy nasze wspaniałe „braai”, czyli barbecue. Mieliśmy mnóstwo znajomych. (Wszyscy potem rozjechali się w cztery strony świata). I tak w kółeczko „męczyliśmy się”... braai, zabawa, golf, jazda na wodnych nartach i wakacje. Takie życie zaczęło już, niestety, nudzić. Afryka zaczęła się zmieniać. System apartheidu zaczął się rozlatywać, z czego bardzo się cieszyliśmy. Warunki ekonomiczne pogarszały się i trzeba było szukać nowych terenów i przygód. W 1981 roku opuściliśmy Południową Afrykę i przyjechaliśmy do Kanady jako nowi emigranci. To były trudne dla nas czasy. Trudne warunki ekonomiczne z powodu recesji. Cała kanadyjska ekonomia wywróciła się. Moje wspaniałe oferty pracy w Kanadzie znikły bez odzewu. Nikogo nie znaleźliśmy. Mieszkaliśmy w małym pustym domku w Wankuwerze z psem i trzema kotami sprowadzonymi z Afryki.

Przez następne dwa lata Brygitka znalazła pracę w sklepie, Ja, nigdy nie trzymając czegoś cięższego od pióra, zabrałem się za młot. W szybkim tempie nauczyłem się jak ten młot używać i udając, że znam się na robocie, zacząłem budować domy dla innych. Przez ten czas zbudowałem trzy domy, dostarczałem pocięte kawałki drzewa na opał, zbierałem w lesie ozdobne liście do bukietów kwiatów, konstruowałem betonowe zbiorniki i byłem „aktorem” w filmie kręconym w Gibsons.

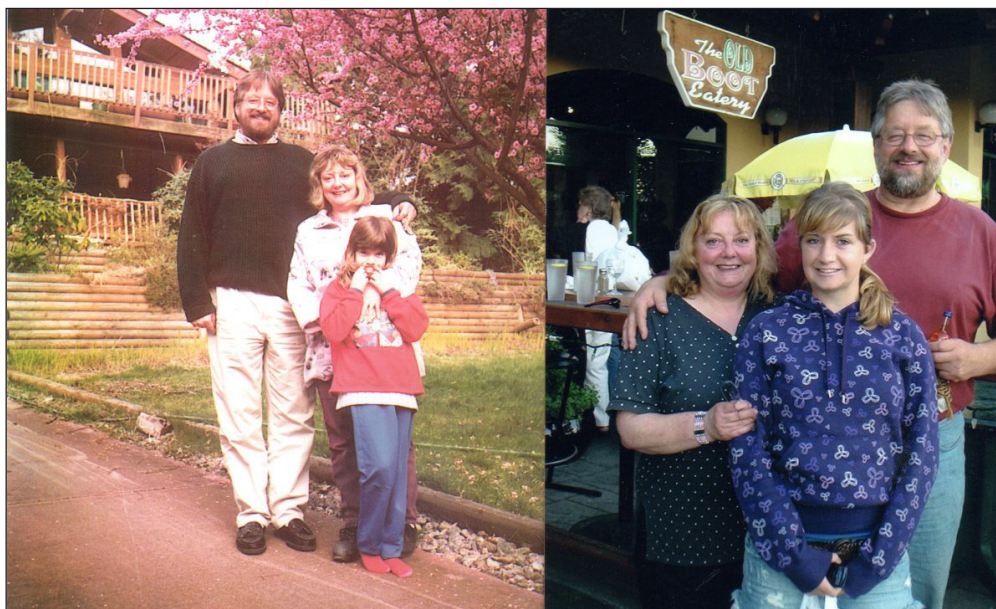
Przez te dwa lata pracowałem fizycznie... i dobrze mi było. Byłem zdrowy, silny i opalony dzięki pracy na świeżym powietrzu. Czułem się bardzo swobodnie w tym nowym kraju. W Kanadzie nikt mnie nie pytał o pochodzenie, o wykształcenie, o wartość materialną. Najważniejsze, że człowiek miał pracę i że się z tej pracy cieszył. Wszyscyśmy czuli się pionierami w młodym, rozwijającym się kraju, i każdy czuł się równy drugiemu. W tym samym okresie zacząłem budować swój własny dom, który do dziś odnawiam i dobudowuję. Jedna z wielu firm, która ofiarowała mi kiedyś pracę zanim przyjechałem z Afryki, podniosła się z recesji i zaprosiła mnie do pracy w zawodzie. I do dziś w niej pracuję. Przez ostatnie 15 lat jestem dyrektorem i współwłaścicielem tej firmy. Cieszę się, że jest ona jedną z dziesięciu największych firm w tej branży w Brytyjskiej Kolumbii i zdobywa największe uznanie w kraju za swoje

prace. Brigitka, po wielu latach pracy, zajmuje się domem. Kasia jest na trzecim roku studiów na uniwersytecie w Wiktorii.

Życie tu jest swobodne, ale nie pozwalamy sobie, żeby nam trawa rosła pod stopami. Pracujemy społecznie i nadal cieszymy się wizytami znajomych, rodziny, a szczególnie mamy. Ostatnia, już szósta jej wizyta we wrześniu tego roku, była z kuzynem Leszkiem ze strony mamy. W ciągu ośmiodniowej wycieczki po południowych obszarach Brytyjskiej Kolumbii przejechaliśmy ponad 3000 kilometrów. Wymoczyliśmy nasze nogi w Pacyfiku (a mama trochę więcej), widzieliśmy góry, lasy, jeziora, wodospady, niedźwiedzie, orły i tak tyle przeróżnych cudownych widoków! Byliśmy na połowach ryb i udało nam się złowić 22 łososie, z których jeden zrewanżował się Mamie i wyrzucił ją na ziemię. (Mama w swojej relacji na pewno o tym nie będzie pisała i poda swoją wersję)

No... to na razie wszystko...

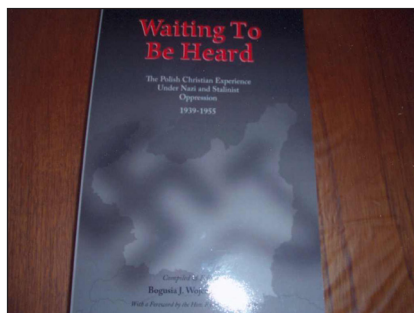
Całuje Jurek z Kanady.



Jerzy, Brigitka i Kasia JB

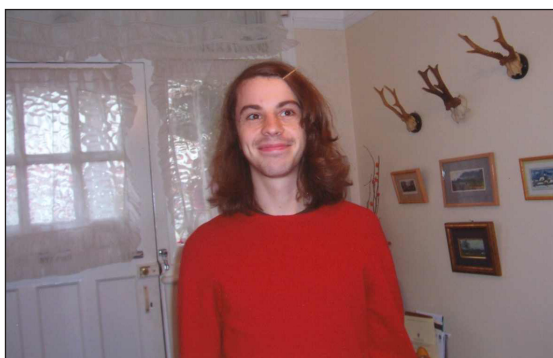
Po lewej Przed domem który sam wybudował (1999); po prawej – w mieście (2007)

MAREK ALEKSANDER JANOTA BZOWSKI (ur. 24.11.1951), syn Jana JB i Kazimierzy JB z Miarów, absolwent wydziału architektury na Uniwersytecie Londyńskim, autor drzewa genealogicznego Rodziny, ojciec Annalize (ur. 5.08.1981) i Adama (ur. 17.11.1987 r.) [Zeszyt 4 str. 24], Druga żona **Bogusia Wojciechowska herbu Korab (ur. 31.05.1954)**. Książka „Waiting to be Heard” Pani Doktor Bogusi Wojciechowskiej, opatrzona wstępem b. Prezydent Rzeczypospolitej Polski na Uchodźstwie Ryszarda Kaczorowskiego traktuje o doświadczeniach Polaków w okresie okupacji niemieckiej i okresu stalinizmu (1939-1945).



Marek JB z Żoną Bogusią Książka pióra Bogusi Wojciechowskiej

Dzieci Marka JB i Christine Blade



Adam JB



Annalize JB

Życiorys Marka Alexandra Janoty Bzowskiego:

Born London, England on 24th November 1951. Educated at University College, London (B.Sc. in Architecture). Educated at Kings College, London (B.Ed. in Mathematics Education). Candidate at University of Massachusetts, Boston for M.Ed. in Instructional Design.

Married 1976 to Christine Blake (born 1949), works as Accounts Manager in London; divorced 2001.

Children:

Annalise, born 5th August 1980 (Royal Holloway College BA in English and Drama) works in London as producer, teacher and manager.

Adam, born 15th November 1987 (Brighton University BA in Digital Music Production) works in London as musician, producer and chef.

Married 2004 to Dr Bogusia Wojciechowska (born 1954), works as College Dean in Boston, MA, and authored "Waiting To Be Heard: The Polish Christian Experience Under Nazi and Stalinist Oppression 1939-1955 (*Author House 2009*)

Formerly resident in London, Marek worked in many fields including interior design, music production, promotion and management, before becoming a secondary school teacher in mathematics in 1987.

Emigrated to United States 2001, to continue working as middle school mathematics teacher, currently involved in Adult Education.

Step-daughters:

Lydia Bucklin, born 22nd December 1989 (continues studies at Franklin Pierce University, NH for BA in Broadcast Journalism)

Hannah Bucklin, born 7th September 1992 (preparing for university studies)

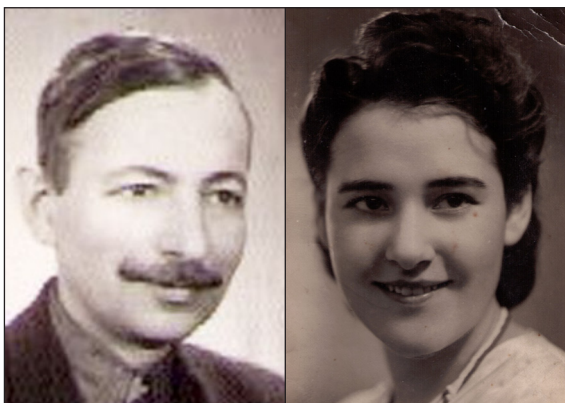
Resident at 33 Ingraham Road, Wellesley MA 02482 United States of America

Telephone (home): 781-489-5901, cell: 617-259-0665

e-mail: marekjanotabzowski@comcast.net

Marek writes poetry and prose, plays Scrabble competitively, enjoys crosswords and Sudoku. Loves to cook and is a strong supporter of Adam's work with Zen Death Squad and Annalise's work with Amanda Redman's Artist Theatre School in Ealing, London. He has Maks, a Polish Lowland Sheepdog (Polski Owczorek Niżynny), and Bucik, an American Cocker Spaniel. Also, Mini, the feral cat, who sleeps in the basement but rules the house.

ANDRZEJ AUGUSTYN JANOTA BZOWSKI (1911-1956), młodszy syn Michała JB i Marii z Duniewiczów [Zeszyt 4. str. 24-25].



Andrzej Augustyn JB

Stanisława JB z domu Skołuba – żona Andrzeja JB

JANUSZ JANOTA BZOWSKI (ur. 1946 r.)

Urodzony 10 grudnia 1946 roku w Krakowie. Rodzicami Janusza byli Andrzej Augustyn Janota Bzowski h. Nowina i Stanisława Skołuba. Wykształcenie zawodowe – technik księgarz. W technikum w roku 1965 skończył kurs komputerowy organizowany przez Akademię Górniczo-Hutniczą i od tego czasu późniejszym zawodem stała się informatyka.

W chwili obecnej pracuje jako informatyk na Politechnice Krakowskiej. Od 37 lat żonaty, żona Anna Józefa z domu Szyszko-Bohusz h. Odyniec, ma dwóch synów: Andrzeja Ziemowita lat 36 i Lesława Jana lat 24.



Janusz Bzowski (ur. 1946 r.)

Jest członkiem i współzałożycielem Związku Szlachty Polskiej oddział w Krakowie, działa w nim w zarządzie od założenia do chwili obecnej. Od początku istnienia oddziału krakowskiego prowadzi dokumentację fotograficzną ze spotkań i imprez prowadzonych przez ZSzP (patrz rozdz. 5.7.)

Jest również współzałożycielem Stowarzyszenia Potomków Sejmu Wielkiego oraz Małopolskiego Towarzystwa Genealogicznego w Krakowie. Zajmuje się od wielu lat heraldyką oraz genealogią rodzinną uzupełniając stale historię rodziny.

ANDRZEJ ZIEMOWIT BZOWSKI (ur. 1975 r.), syn Janusza JB i Anny z domu Szyszko Bohusz, żona Agnieszka z domu Kłanicka. Agnieszka i Andrzej mają córkę Olgę



Andrzej JB z córką Olgą



Żona Andrzeja JB **Agnieszka z d. Kłanicka**
z córką Olgą

LESŁAW (ur. 1986 r.) młodszy syn Janusza JB i Anny z domu Szyszko Bohusz



Lesław JB

NATALIA NILLSON, córka Krystyny z Janotów Bzowskich zawarła związek małżeński z Marinem Aksamitem – w dniu 18.09.2010 r. w kościele św. Marcina w Krzeszowicach (relacja matki Krystyny Nilsson z d. JB):

Miesiąc wcześniej był ślub cywilny w Malmo... Już jako dziecko Natalka wymarzyła sobie ślub w Polsce i do tego w Krzeszowicach. Młodzi wszystko zaplanowali sami. Autobus zabrał rodzinę, gości z kraju i zagranicy z Kluczy do Krzeszowic. Po uroczystości goście zwiedzali Pustynię Błędownską. Młodzi mieli sesję zdjęciową.

3.7. LINA ZWIERNICKA (7)

Józef Felicjan (1704-1770) żona Teofila z Jordanów (1727-1786)

Hiacynt (1750-1808) żona Salomea Zawadzka

Kazimierz (1792-1862) żona Marianna Dąmbska

Bogusław (1821-1911) żona Leonia Stadnicka (1838-1919)

Wincenty (1867-1943) żona Ida Janota Bzowska (1878-1961) mieli 7 dzieci

1. Alina (30.08.1903-22.04.1967) mąż Antoni Paliszewski (1900-?) mieli 3 dzieci

Adam Paliszewski (12.04.1931-28.01.1939)

Teresa z Paliszewskich (4.10.1932) mąż Kazimierz Pagacz mieli 3 dzieci

Janusz (22.08.1954), żona Teresa Koprowska mieli 2 dzieci

Elżbieta (18.05.1982)

Piotr (18.11.1984)

Bogdan (13.07.1957), żona Katarzyna Cieśla mają 3 dzieci

Joanna (21.07.1983)

Wojciech (3.08.1986)

Michała (27.06.1994)

Stanisław Paliszewski (1941), żona Edwarda Krzyworączka mają 2 dzieci:

Donat (10.09.1960), żona Iwona Pędzisz

Córka (26.07.1990)

2. Irena (1904-1980)

3. Urszula (11.04.1906-14.07.1993) mąż Jan Cyrus Sobolewski (1901-1990) mieli 2 dzieci

Andrzej Sobolewski (ur. 28.05.1941) żona Mariola Stodoła (30.10.1944)

Aniela Sobolewska (8.08.1944)

4. Wojciech (20.06.1908-10.1967) żona Krystyna Kaczorowska (1911-8.05.2001) mieli 2 córki:

Zofia (ur. 1941) mąż (ur. 1940) mają 2 dzieci

Magdalena Skrzypek (ur. 1972)

Andrzej Skrzypek (ur. 1975)

Barbara (ur. 1948)

mąż (primo) Maciej Kowalczyk (ur. 1939)

mąż (secundo) Otto Reich mają syna

syn

5. **Julia** (1910-27.11.1996) zmarła w Paryżu, pochowana w Zwierniku

6. Józef (3.05.1911-09.1955) żona Hildegarda Gmyrek (13.08.1918-2006) mieli 3 dzieci

Urszula (ur. 8.02.1950) mąż Wojciech Pietrzyk mają 2 dzieci:

Dominika (?), mąż – mają syna

Mikołaj (2009)

Jakub

Elżbieta (ur. 26.05.1953) mąż Leszek Gruszczyński (ur. 1951) mając córkę
Magdalena

Zygmunt (ur. 31.01.1955) żona Krystyna Łukasik (ur. 1954) mając 2 synów

Artur Daniel (ur. 15.08.1979), żona **Magdalena** z domu Spustek (ur. ?)
mając syna

Zygmunt Filip (ur. 29.08.2008)

Paweł Bartosz (ur. 8.05.1987)

7. Aniela (27.07.1913-6.11.1970)

mąż (primo) Andrzej Hippman (?) mieli córkę

mąż (secundo) Jan Bożek Bzowski (?)

Marta Hippman (?) mąż Andrzej Gleixner (+13.10.1981) mając 2 synów

Maciej Gleixner (26.11.1968)

Mariusz Gleixner (24.06.1975), żona Marcela Kącka (27.11.1981) – ukończyła wydział prawa i administracji uniwersytetu w Opolu



Zwiernik dzisiejszy – znika w otulinie zieleni

JULIA JANOTA BZOWSKA (1910-27.11.1996) – biogram pisany w 1959 roku i wiernie przepisany kopii oryginału podpisany przez Julię (JBzowska) KJB

Dane osobiste – panna, urodzona 23.2.1912 w Krakowie (Polska) narodowości polskiej (podanie o naturalizację francuską złożona w listopadzie 1959); opuściła Polskę we wrześniu 1939 na skutek zarządzonej ewakuacji i do Francji przybyła w grudniu tegoż roku (przez Rumunię) zarejestrowana w IRO-Paryż, a obecnie w Office Francaise de Protection des Refugies – za Nr 1.029839/5097. Mieszka obecnie w Courbevois (Seine) 3 rue Carle Hebert w pokoju z kuchnią wynajętym w „Maison Meuble” za czynsz, wynoszący łącznie z opałem, miesięcznie 200 NF.

Wykształcenie ukończyłam gimnazjum u SS. Niepokalanek w Jarosławiu, szkoła rolnogrodnicza przy Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie oraz szkołę techniczną i szkołę przemysłu artystycznego w Krakowie,

Praca społeczna i zawodowa: Pracowałam podczas wojny w Polskim Czerwonym Krzyżu we Francji, pełniąc kolejno następujące funkcje:

1. Kierowniczką schroniska w Tuluzie,
2. Kierowniczką świetlic w obozach b. kombatantów w Caylus i w Iron,
3. Opiekunką społeczną w ośrodkach uchodźczych Gramot a potem Lourdes,
4. Intendent sanatorium P.C.K. w Hauteville a później w szpitalu b. kombatantów w Aix-les-Bains. Równocześnie byłam Łączniczką tajnego kierownictwa T.O.P. i członkiem Polskiej Organizacji Ruchu poru (P.O.W.N.), odznaczona dwukrotnie francuskim „Croix de Guerre”, „Medaille de Liberation” oraz polskim P.O.W.N., zdemobilizowana w randze Sergent-Chef de F.F.C. Po wojnie i zakończeniu pracy w P.C.K. pracowałam w następujących placówkach:

1. Do roku 1948 jako kierowniczką administracyjną klubu założonego w Paryżu przez Tow. Pomocy Polakom pod nazwą „Club des Relations Intellectuelles Internationales”
2. Od roku 1948 po połowy 1952 jako szef fabrykacji w wytwórni wyrobów plastycznych :Ste SAP-80 rue Gallieni-Boulogne s/Seine, której byłam współzałożycielką;
3. W 1952 r. (przejściowo) jako doradca techniczny w firmie SALPA 116 av. Champs Elysee, w dziale plastycznym.
4. Od 1953 do początku 1956 jako inżynier techniczno-handlowy w firmie Ste Linkrusta, 21 Desrenaudes Paris 17, w departamencie plastyczki,
5. Od połowy 1956 do 1/6 1957 – praca w firmie Vitaplast, 174-178 quai Jemmapes, Paris 19 przy produkcji wyrobów plast. metodą wstrzykiwana.
6. Obecnie pracuję w firmie „Record” – 226 rue St. Denis-Paris 2 jako nadzorczyni-kontrolerka fabrykacji trykotowej, zarabiając miesięcznie 400 NF.

Wobec tego, że muszę stale pomagać w kraju matce, staruszce 83-letniej, oraz bratu prawie niewidomemu (10% widoczności) – pracowałam dodatkowo wieczorami od szeregu lat dla wyrównania mego budżetu we własnym małym warsztacie branży plastycznej (cięcie pasów wyłącznie z powierzonego materiału) założonym do spółki z trzema przyjaciółmi. Niestety, warsztat ten ulega obecni likwidacji z przyczyn od nas niezależnych (główny klient zaniechał zamówień), wobec czego lokal nie może być wykorzystany na inne przedsiębiorstwo (projekt w zbiorowym podaniu o subwencje, złożone przez naszą grupę).

Mając na uwadze moją trudną osobistą sytuację materialną wobec obciążeń rodzinnych i przy bardzo drogim czynszu za mieszkanie oraz ze względu na zły stan mego zdrowia (kamienie w nerce, woreczek żółciowy usunięty w 1952 r) coraz bardziej utrudniający mi wraz ze starszym wiekiem prace w warunkach takich, jakie mam w firmie Record (zajęcie w opozycji stojącej i w ciągłym ruchu), jestem przekonana, że utworzenie projektowanego warsztatu wspólnego, przy mojej znajomości branży wyrobów plastycznych, powinno przyczynić się do trwałego rozwiązania sprawy mojej przyszłej egzystencji oraz mego ostatecznego osiedlenia we Francji.

J. Bzowska (pisane według starej pisowni)

ZYGMUNT JANOTA BZOWSKI – wnuk Wincentego ze Zwiernika, mieszka w Lubiążu, z zawodu inżynier sanitarny

ARTUR DANIEL JANOTA BZOWSKI JB (ur. 15.08.1979) – urodził się w Środzie Śląskiej, mieszka we Wrocławiu. ukończył Akademię Ekonomiczną wydział Zarządzania i Informatyki, kierunek Finanse i Bankowość. Pracuje w prywatnej firmie jako kierownik logistyki, dodatkowo prowadzi własną firmę związaną z transportem. 23 września 2006 roku zawarł związek małżeński z Magdaleną z domu Spustek, a 29 sierpnia 2008 roku urodził się ich pierwszy syn Filip Zygmunt.

MAGDALENA JANOTA BZOWSKA z domu Spustek – żona Artura Daniela, mama Filipa Zygmunta ukończyła Akademię Rolniczą kierunek Ochrona Środowiska, Uniwersytet Wrocławski Wydział Prawa Administracji i Ekonomii, oraz studia podyplomowe z zakresu pedagogiki. Pracuje w dużej międzynarodowej firmie logistycznej – jestem szefem wrocławskiego oddziału tej firmy, w weekendy pracuję jako wykładowca.

BARTOSZ PAWEŁ JANOTA BZOWSKI (ur. 8.05.1987) w Środzie Śląskiej, obecnie studiuje w Wyższej Szkole Bankowej Finanse i Rachunkowość.

3.8. LINIA BORUSSOWSKA (8)

Józef Felicjan (1704-1770) żona Teofila z Jordanów (1727-1786)

Hiacynt (Jacek) (1750-1808) żona Salomea Zawadzka

Kazimierz (1792-1862) żona Marianna Dąmbska

Bogusław (1821-1911) żona Leonia Stadnicka (1838-1919)

Jan (1868-1936)

żona (primo) Maria Dunin-Brzezińska mieli 3 dzieci:

1. Henryk (1897-1958) żona Maria Jarzębowska (?-1955)
2. Stefania (1897- 28.04.1982) mąż Włodzimierz Krzyżanowski (?- 1940 Katyń)
mieli córkę

Halina (ur. 1931) mąż Adam Dobrowolski (1924-2000)

3. Maria (1899-1985) mąż Henryk Sulima-Przyborowski (1897- 3.03.1978) mieli
3 córki;

Anna Sulima-Przyborowska (ur. 1924) mąż Stefan Kurowski mieli 2 dzieci
Magdalena Kurowska

Leszek Kurowski

Barbara Sulima-Przyborowska (ur. 1926)

Aleksandra Sulima-Przyborowska (ur. 1933)

żona (secundo) Zofia Krzyżanowska (1886-1947) mieli 3 dzieci:

1. **Tytus** (1911-7.06.1992) żona Eleonore Todd (1914- 28.02.2000) mieli córkę:
Elissa (ur. 1949) mąż Kenneth Tew mają 2 synów

Leslie (ur. 18.10 1985)

Robert (ur. 19.06.1988)

2. **Janina** (1914-1971) mąż **Tadeusz** Janota Bzowski (Bobrowniki) (1904-
18.02.1983) mieli 3 dzieci:

Tomasz (ur. 1943) żona Alfreda Nalezińska (ur. 1940) mają syna
Marcina (1974-2000)

Marcin Józef (1948-1973)

Marta (ur. 1954) mąż Witold Włodarczyk (ur. 1952) mają 2 dzieci:

Mateusz Włodarczyk (ur. 1975)

Katarzyna Włodarczyk (ur. 1978) mąż Bartosz Gwóźdź-Sproketowski
mają 2 dzieci:

Weronika (ur. 20.12.2006)

Jerzy (ur. 21.01.2009)

3. **Krystyna** (1919-1.10.2006) mąż Ludwik Cyrus Sobolewski (1909-1.09.1993)
mieli 2 dzieci:

Marek Sobolewski (ur. 2.09.1946r), żona Małgorzata Sowińska (Dania)

Zofia (ur. 1948) mąż Bolesław Roźniatowski (ur. 7.10.1946) mają 2 dzieci

Anna (1971) mąż Piotr

Piotr



Dwór w Borusowej (koło Tarnowa)

Wstrząsające wojenne i powojenne losy Dworu w Borusowej opisał zięć Jana z Borusowej **Tadeusz Janota Bzowski z Bobrownik** (syn Józefa JB i Wandy z Kozieliń-Poklewskich), który ożenił się z Janiną z Janotów Bzowskich, drugą córką Jana JB i Zofii Krzyżanowskiej z Borusowej. Wspomnienia te spisał w 1978 i są one wydrukowane w Kronice Rodziny Bzowskich pióra Zdzisława Janoty Bzowskiego i Kazimierzy Janoty Bzowskiej z Londynu.

TYTUS JANOTA BZOWSKI (1911-7.06.1992), pierwszy syn Jana JB z Borusowej i Zofii z Krzyżanowskich



Tytus JB (1990 r.)



Eleonora i Tytus JB
po dekoracji Złotą
Odnznaką 1 Dywizji
Pancernej przez gen.
Klemensa Rudnickiego
(Instytut Polski i Muzeum
gen. Sikorskiego
– Londyn 27.1.1991)

Kazimiera Janota Bzowska WSPOMNIENIE O TYTUSIE JANOCIE BZOWSKIM

Takim Go do dziś pamiętamy.

Tytus był nadzwyczajnym człowiekiem, poniekąd ekscentrykiem przez swoją wrodzoną nieśmiałość. Poznałam Tytusa na początku lat 50-tych, kiedy sami w trudnych warunkach wylądowaliśmy w wielkopańskiej rezydencji przy Ladbroke Grove w londyńskiej dzielnicy Notting Hill Gate. Dzierżawa tego domu była, w moim pojęciu, utopieniem wszystkich oszczędności, jakie Janek, mój mąż, w tym czasie posiadał. Podkuszony namową swego dalekiego kuzyna Zbyszka Jurczyńskiego, który do 1948 roku dzierżawił 10-sypialniową „ladbrodzką” rezydencję i ożeniony z Kanadyjką wyjechał do Montrealu, dał się wciągnąć w obietnicę „dojnej krowy”, podjąwszy się prowadzenia tego nadzwyczaj utopijnego bussinesu. W tym czasie Tytus, zdemobilizowany, ożeniony ze Szkotką Eleonorą Todd, borykał się z kłopotami w Glasgow. Życie nie układało im się zbyt różowo. Trochę grosza, jaki zaoszczędził, utopił w farmie, którą dosłownie zżarły króliki. W tym czasie plaga królików wykończyła wiele gospodarstw nabywanych przez polskich żołnierzy, wierzących w swoje gospodarskie możliwości. Tytus, właściciel majątku w Polsce również uwierzył w odbudowanie angielskiej farmy, zapuszczonej, zdziczałej z plagą milionów koczujących się dzikich królików.

Życiorys Tytusa

Urodził się 20 listopada 1911 roku w Borussowej pow. Dąbrowa Tarnowska, woj. Krakowskie. W roku 1936 po śmierci ojca objął administrację majątku Borussowa. W wybuchem wojny w 1939 roku, zmobilizowany jako ppor. rezerwy broni pancernej. Do 62 dywizjonu pancernego (armia Poznań), z przydziałem do szwadronu czołgów rozpoznawczych na dowódcę plutonu czołgów T.K.S., brał udział w działaniach wojennych. W lutym 1940 roku przedostał się do Francji, gdzie po akcji w brygadzie pancernej gen. Maczka został w ramach części brygady ewakuowany do Wielkiej Brytanii w czerwcu tegoż roku. W Szkocji z 16 brygady pancernej był przydzielony do batalionu pancernego, a następnie w ramach reorganizacji – do utworzonej 1. Dywizji Pancernej, do 2 pułku pancernego (10 brygada kawalerii pancernej) jako dowódca plutonu czołgów Sherman. W lipcu 1944 roku brał udział w lądowaniu 1. Dywizji Pancernej na plażach Aromanche we Francji pod Caen, w dalszym ciągu, w całej kampanii w Dywizji poprzez Francję, Belgię i Holandię aż do zakończenia wojny 5.5.1945 roku pod Wilhelmshaffen w Niemczech.

Po zakończeniu działań wojennych, w ramach 1. Dywizji Pancernej brał przez dwa lata udział w okupacji na terenie północno-zachodnich Niemiec do 1947 roku. Po wycofaniu z końcem 1947 roku do Wielkiej Brytanii zostaje przez polskie władze przeniesiony na bezterminowy urlop. W życiu cywilnym w Wielkiej Brytanii założył rodzinę i pracował w biurze podróży, zaś społecznie był czynny przez 36 lat od 1954

Ladbroke Grove

Mieszkał teraz Tytus w małym pokoju w basemencie, ale nie całkowitej suterenie, bo okno jego pokoju wystawało ponad ziemię z widokiem na zadrzewiony park. Ja, w owym czasie do gospodyń z pojęciem o gotowaniu nie zaliczałam się i stołowanie go u nas nie zaliczało się do rodzinnego obowiązku. Takie określenie nie wchodziło w ogóle w rachubę. Janek za bardzo cenił sobie jego ojca, Stryja Jana, który także był najlepszym przyjacielem Michała, ojca Janka. Z naszej strony była to wielka przyjemność. Tytus z wyrozumiałością tolerował moje kulinarne wyczyny, ale i on sam przypuszczalnie nawet wody nie potrafił zagotować.

Tytusa w tym czasie poznałam jako kruczowłosego, przystojnego o bardzo ładnej twarzy pana, o rok młodszego od Janka, a więc w starszym wieku, ale nadzwyczaj, jak to się dawniej mawiało, układnego, miłego. Z każdego jego ruchu, słowa, wypowiedzi biła szlachetna natura człowieka, który, przez historyczne wydarzenia znalazł się za burtą okrętu wypełnionego jak i my wszyscy – rozbitkami wojennymi, którzy po działaniach wojennych na frontach włoskich, normandzkich, dypisami czyli „ludźmi bez przydziału” do których i ja należałam jako wyzwolenc z obozów pracy przymusowej w Niemczech, którzy nie mieli powrotu do swej ojczyzny.

Pierwszy skok na obczyźnianą drabinę

W warunkach, w jakich znaleźliśmy się, Janek, zamiast pakować gotówkę w kilkuletnią dzierżawę, mógł kupić mały domek na własność. Ale kto się chciał wiązać z domem na obczyźnie, gdy ojczyzna na nas czekała i całe rodziny, którym się udało wojnę przeżyć. Eli także nie była całkiem bez grosza, ale ona jak i Tytus mieli przecież do Borussowej wracać, zamiast zabezpieczać sobie dach nad głową w Szkocji czy na Wyspach Brytyjskich. Z oczekiwaniem na „zielone światło” siedzieliśmy na walizkach w angielskich, zimnych domach ogrzewanych kominkami, borykając się z żywnością, ubraniem na kartki. Tytus na razie z nami dzielił ten los tułaczy, wierząc, że przecież coś się w Polsce unormuje i wrócimy do kraju. Janek już się za czepił o państwową posadę na poczcie, potem w banku, Tytus znalazł sobie pracę w agencji podróźniczej „Fregata” założonej przez kapitana żeglugi Morskiej Kutka w Londynie. Praca wymagająca, dodatkowo byle jak płatna, ale wciąż lepsza od fabrycznej w roli z bożej łaski tokarza. Pracowity i z konieczności oszczędny Tytus stał się nie tylko urzędnikiem, ale sprzątaczem biura przed jego otwarciem.

Wyjeżdżał o godzinę wcześniej do pracy, zakasywał rękawy i brał się do sprzątnia. Przed samym otwarciem biura „Fregaty”, poprawiał mankiety, krawat i zasiadł przy biurku. Nigdy się nie użalał na trud, na kłopoty, na pracę nie w jego zawodzie. Wszystkim się cieszył, z wszystkiego był zadowolony, bardzo przy tym pogodny, dyskretny. I nieśmiały. Na szczęście, nie tylko on swoją drugą karierę życiową rozpoczynał od sprzątnia, bo Janek też to miał za sobą w podlondyńskiej fabryce papieru pakunkowego. Wszyscy musieli od czegoś zaczynać, jeśli nie dali się przez Anglików zepchnąć do walijskich kopalń czy fabryk „czar-

nych płuc” Anglii w Wolverhampton, Manchester, Nottingham, Mansfields, Leeds i innych. Nie obżalowywaliśmy się wzajemnie, bo w naszych powojennych warunkach w Anglii każdy lepiej zarobiony grosz, czy zmiana pracy na lepszą była nadzwyczajnym sukcesem.

Pierwsze mieszkanie z rodziną

Największym szczęściem dla Tytusa była upragniona przeprowadzka z jednopokojowego ladbrodzkiego „apartamentu” do dużego lokatorskiego domu w dzielnicy Clapham. Dwupokojowe mieszkanie, własna kuchnia z łazienką należały do luksusu. Mógł wtenczas sprowadzić żonę i córkę z Glasgow i wreszcie wszyscy zamieszkali razem. Finansowo sprawa przedstawiała się mniej romantycznie, bo pokój za pół darmo przy Ladbroke Grove to nie mieszkanie w domu piekarza, któremu Tytus za opłatą sprzątał piekarnię zanim wyjeżdżał do biura kapitana Kutka. Elissa została wysłana do polskiej szkoły sióstr Nazaretanek w Pitsford. Nie przetrwała długo rozstania z ukochanymi rodzicami. Wielkim nabytkiem dla Tytusa był motorowerek, którym szybciej i taniej dojeżdżał do pracy. Potem nawet nabył motocykl, dzięki któremu poruszał się po Londynie, gdy z czasem włączył się w pracę społeczną w Stowarzyszeniu Polskich Kombatantów oddziału 1. Dywizji Pancerniej. Eli w tym czasie uczyła. Osoba najbardziej krucha jaką znałam, prowadziła dom i poznawała historię rodziny swego męża. Była nadzwyczaj odczytana i kiedy mi czasem przychodziło zapytać o autora jakiegos poematu czy słów do wypowiedzi przy pomnikach poległych, do niej się zwracałam.

Własny dom i problemy

Wielkim wydarzeniem w życiu Tytusa było nabycie własnego domu w dzielnicy Clapham. Zadłużony, nadal ciężko pracował u kapitana Kutka, ale jak to Tytus, zawsze patrzył na tę dobrą stronę medalu. Może w rozmowach poufnych z Jankiem poziali się trochę na dolę-niedolę. Zawsze jednak pokazywał pogodną twarz i godzinami mogliśmy siedzieć przy telefonie, kiedy wspominał czasy borussowskie, ciotki, wujów, krewnych przebywających u nich. Z czasem Tytus zaczynał się przyznawać, że traci wzrok. Nie pomagały szkła powiększające. Lekarze wprost orzekli że to rak. Wkrótce zaczęły się wdawać inne dolegliwości.

Mundur i pamiątki żołnierskie

Nie tyle martwiły Tytusa kłopoty zdrowotne jak jego mundur wojskowy, buty, ordery, które wysłał do muzeum w Polsce, czy te jego najdroższe pamiątki znalazły należne miejsce. Wszak dostawał zapewnienia kustoszy, że otrzymali, że dziękując, że znajdują się w godnym miejscu. Podczas pobytów w Polsce, chodziłam do muzeów, szukałam, zapytywałam i wracałam bez odpowiedzi. W maju 1992 roku wróciłam znów z Polski i za kilka dni odwiedziłam Tytusa w szpitalu. Nie poznałam leżącego na łóżku. On mnie po głosie poznał. Na widok bardzo chorego Tytusa

musiałam się bohatercko trzymać, żeby mi się głos nie załamał. Opowiedziałam mu o pobycie w Polsce. Zapytał o swój mundur, order, czy są widoczne dla publiczności? Z wielkim żalem w sercu kłamałam jak z nut, że tak, widziałam, wszystkie są wyłożone, podpisane, mundur w gablocie wisi z podpisem do kogo należy. Tytus się rozpromienił na te wieści. Dopiero, gdy od niego wyszłam, rozplakałam się serdecznie, z niesamowitym żalem do obsługi, kustoszów w muzeum, którzy nawet nie mieli pojęcia o takim mundurze, o takich bojowych odznaczeniach, za które dziękowali z obietnicami należytej opieki, o człowieku, który walczył o wolną Polskę, żeby oni teraz mogli żyć we własnym kraju. Polska już była wtedy wolna. W 1989 roku odzyskała pełną suwerenność. Nie pokutowała już pod reżymem ustroju komunistycznego narzuconego Polsce w 1945 roku. Nie musieli tego munduru z odznaczeniami bojowymi chować, ukrywać, zaprzepaszcząć w piwnicach muzealnych. Musiałam kłamać. Nie mogłam powiedzieć prawdy Tytusowi, który w ciągu dwóch dni po moich odwiedzinach 7 czerwca 1992 zmarł z tym pocieszającym przeświadczeniem, że nic po jego wiernej służbie Polsce nie zaginęło.

Tytus JB, przez kolegę pancerniaka Edwarda Rymaszewskiego przesłał do Warszawy do Muzeum Wojska Polskiego następujące pamiątki:

Mundur wyjściowy z około 1944 roku por. broni panc. 1. Dywizji Pancerniej Gen.

Maczka (2 pułk pancerny) Tytusa Janoty Bzowskiego.

Ponadto oryginalne: kurtka, spodnie, koszula, krawatka i buty oficera broni pancerniej.

Również namundurzenastępujące odznaczenia, medale i odznaki: Krzyż Walecznych,

Srebrny Krzyż Zasługi z Mieczami, Srebrny Krzyż Zasługi, Krzyż 1. Dywizji Pancerniej,

Kombatancki Krzyż Zasługi (w służbie SPK Wielka Brytania), Odznaka Pamiątkowa

16 Brygady Pancerniej „SMOK”, Odznaka Pamiątkowa 2 Pułku Pancernego.

Brytyjskie: 1939-1945 Star, France and Germany Star, Defense Medal i War Medal

1939-45.

Dar T. Janoty Bzowskiego został przekazany do Muzeum przez kol. Edwarda Rymaszewskiego prezesa Koła Terenowego 1. Dywizji Pancerniej Londyn.

Pokwitowanie daru nr.1659

Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie otrzymało od Pana Tytusa Janoty Bzowskiego wymienione jak powyżej

Warszawa 10.08.1990 Główny inwentyzator Muzeum Wojska Polskiego

podpis dr Zbigniew (nieczytelny) pieczęć orla bez korony

ORAZ

List z podziękowaniem od Dyrektora Muzeum Wojska Polskiego płk dr Andrzeja

Szerauca, datowany 10.08.90. za „ten hojny dar – ofiarowane umundurowanie

oraz odznaczenia i odznaki, które wzbogaciły naszą muzealną kolekcję pamiątek

związanych z 1. Dywizją Pancerną, a które stanowią jednocześnie wyraz głębokiej

więzi łączącej Pana z Krajem Ojczystym. Materiały te stanowią będą ważne

uzupełnienie ofiarowanych pamiątek”

W tym przekonaniu Tytus odchodził z tego świata. Piękne słowa pana pułkownika okazały się puste, nie spełniające dawanych obietnic o wzbogacaniu muzealnej kolekcji. Żał mi tylko, że nie mogłam mu powiedzieć prawdy o zdziwionych oczach na moje zapytania, gdzie się znajduje mundur i odznaczenia Tytusa Janoty Bzowskiego.

Prochy Tytusa, po wielu miesiącach zostały ostatecznie pochowane w rodzinnym grobie w Gręboszowie, gdzie spoczywają jego ojciec Jan, matka Zofia, siostra Nunia z mężem Tadeuszem i synem Marcinem.

Kazimiera Janota Bzowska 28 stycznia 1993

ELISSA TEW Z JANOTÓW BZOWSKICH (ur. 14.02.1949) – córka Eleonore i Tytusa Janotów Bzowskich, wnuczka Jana JB



Od lewej:
Elissa, Kenneth, Leslie,
Robbre Todd (2010 r.)

Urodziłam się 14.2.1949 r. w Szkocji jako Elizabeth Mary Janota Bzowska, ale wszyscy nazywali mnie Elissa. Pod tym imieniem byłam znana od dzieciństwa. Większą część życia spędziłam w Szkocji z moimi rodzicami i dziadkami. W późniejszych latach wraz z rodzicami zamieszkałam w Londynie. Miałam polskie wykształcenie. Spędzałam bardzo miłe wakacje w Szkocji a także w Polsce, odwiedzając z moją mamą rodzinę Ojca. Byliśmy nawet w Bieszczadach, gdzie moja mama jeździła konno.

Zanim poznałam mojego przyszłego męża Keith'a cieszyłam się dobrą pracą kucharza w Domu Dziecka, która dawała mi dużo zadowolenia i satysfakcji. Z Keith'em pobraliśmy się 1 grudnia 1984 roku i zamieszkaliśmy w Pulborough w hrabstwie Sussex. Tu też w tej małej miejscowości dostałam na pół etatu pracę, pomagając w urządzaniu zabaw i gier dla dzieci do czasu założenia własnej rodziny. Leslie, starszy syn urodził się 18.10.1985 r. i młodszy Robert urodził się 19.6.1988 r. Leslie będzie miał w tym roku 26 lat i pracuje jako mechanik samochodowy. Robert jest na drugim roku na uniwersytecie w Bristolu. Studiuje muzykę.

Moi rodzice, zakochani w pięknych okolicach hrabstwa Sussex, często z Londynu do nas przyjeżdżali, my z kolei odwiedzaliśmy ich w Londynie. Niestety, mój Ojciec zmarł w 1992 roku i moja Mama w 2000 roku. Bardzo nam ich brak i tęsknimy za nimi.

W 2001 roku wszyscy razem spędziliśmy wakacje w Szkocji z moimi krewnymi ze strony matki, których Keith i chłopcy dopiero teraz pierwszy raz spotkali i poznawali. W 2003 roku odwiedziliśmy Polskę, będąc gośćmi kuzynów ze strony ojca, u Zosi, siostrzenicy mojego ojca, z jej rodziną w Gliwicach. Odwiedziliśmy także Martę w Słupsku, Fredę i Tomka w Tarnowie. Mam również kuzyna w Danii, którego dawno nie widziałam, Marka Sobolewskiego, syna Krystyny z Janotów Bzowskich z Borussowy. Między odwiedzinami zwiedzaliśmy Polskę. To pierwsze spotkanie z Polską i z mojej strony rodziną zrobiło duże wrażenie na moim mężu Keith i synach. Utrzymuję jeszcze kontakt z Basią Perkowską w Warszawie, córką mojej ciotki Marysi Przyborowskiej, siostry mojego Ojca i jej męża Henryka Przyborowskiego.

W Sussex mieszkamy w bardzo ładnym jednopiętrowym domu, tak zwanym z angielska bungalow, z dużym sadem owocowym i ogrodem, w którym pielęgnujemy własne jarzyny. Nasze gospodarstwo składa się z kilku kur, dwóch kaczek, trzymany tylko dla jaj i jednego psa, którego zabieramy na piękne spacerki w okolicach naszej posiadłości. Keith jak i ja jesteśmy oboje na emeryturze, niemniej dużo czasu poświęcamy doглядaniu domu i ogrodu.

Elissa Tew z Rodziną

JANINA JANOTA BZOWSKA (1914-1971), córka Jana JB i Zofii z Krzyżanowskich – wspomnienie o Janinie (Niusi) pióra córki Marty Włodarczyk z Janotów Bzowskich zamieszczono w Rozdziale 4 „Ci co odeszli”



Janina córka
Jana JB i Zofii
z Krzyżanowskich,
1941 r.



Ślub Tadeusza
Janoty Bzowskiego
z Bobrownik i Janiny
Janoty Bzowskiej
z Borussowej odbył się
3 marca 1943 roku

Biogramy dzieci Janiny i Tadeusza zamieszczono w części rozdziału 3 – poświęconej linii Bobrownickiej

Tomasz JB (ur. 1943)

Marcin JB (1948-1973)

Marta (ur. 1954)

KRYSTYNA z JANOTÓW BZOWSKICH SOBOLEWSKA (1919-30.09.2006) córka Jana i Zofii z Korzeniowskich z Borussowej, żona Ludwika Cyrus-Sobolewskiego. Pochowana w rodzinnym grobowcu w Krakowie.

MAREK CYRUS-SOBOLEWSKI (ur. 02.09.1946) w Chorzowie, mgr inż. architekt, obecnie informatyk. 26.08.1969 zawarł związek małżeński z Małgorzatą Sowińską – od 1969 w Danii

ZOFIA ROŹNIATOWSKA z SOBOLEWSKICH (ur. 12.04.1948 w Gliwicach), mgr inż. elektryk, obecnie na emeryturze. 12.04.1971 zawarła związek małżeński z Bolesławem Roźniatowskim

3.9. LINIA STANISŁAWA – PIERWSZEGO STAROSTY RODOWEGO (9)

W Zeszycie 5 pominięto wiele odgałęzień Rodu, w tym **linię Aleksandra**, z którego wywodzi się syn Aleksandra – **Stanisław (1862-1937)**, pierwszy Starosta Związku Rodowego. Ze względu na specjalne zasługi Stanisława dla skonsolidowania Rodziny, nazwano linię Aleksandra linią Stanisława.

Józef Felicjan (1704-1770) żona Teofila z Jordanów (1727-1786)

Stanisław (1756-1817) żona Julia Zborowska (?-1830)

Teofil (1794-1853) żona Franciszka Laskowska

Aleksander (1830-1899) żona Lucyna Kozierowska (1841-1911) mieli 8 dzieci:

1. Córka bez nadanego imienia (1860-1860) zmarła w Kawczynie
2. Kazimierz Barnaba (1861-1862) zmarł w Kawczynie
3. **Stanisław Gerwazy (1862-1937) Pierwszy Starosta Rodowy** żona **Zofia** Markowska (?-1937) mieli 6 dzieci

Celina urodziła się w Wieluniu w 1891 roku , zmarła tamże w roku 1897

Aleksandra zmarła młodo w Wieluniu

Mieczysław zmarł młodo w Wieluniu

Hanna (?-1941)

Kazimiera (1894-1961) mąż Jerzy Barthel de Weydenthal (1882-1960) mieli 3 dzieci:

Janusz Barthel de Weydenthal (ur. 1918-1944)

Marian Barthel de Weydenthal (ur. 1921-1943)

Teresa Barthel de Weydenthal (ur. 1930) mąż Tadeusz Jarzembowski mają 2 dzieci:

Marek (ur. 1960) żona Barbara mają syna Pawła

Anna (ur. 1968) mąż Daniel Perschy

Jerzy (1903-1940 Katyń) żona Zofia Skrzyńska (1908-17.10.2003) córka

Magdalena (ur. 1939)

4. **Władysław Jan (20.06.1864-14.05.1929)** żona Wincentyna Domańska (1870-25.03.1937) mieli 3 synów:

Stanisław (1893-1920?) żona **Maria Zagórska** (3.01.1899-14.08.1949) mieli syna

Andrzej (21.01.1916-9.07 1949) żona **Jadwiga Krawczyk** (17.01.1918-4.09.2004) mieli 2 dzieci

Krzysztof (1945-1965)

Małgorzata⁶ (ur. 30.06.1949) mąż **Jerzy Bakalarz** (18.11.1945) mają córkę

Agata (ur. 23.12.1973) mąż **Jacek Czarnigowski** (ur. 3.06.1974)

Zygmunt (24.07.1895-1939)

⁶ Małgorzacie w drzewie genealogicznym błędnie podano imię Anna

żona (primo) Olga Werdo (?-1922)

żona (secundo) Wanda Wołosińska

Aleksander (4.12.1899-23.02.1952) żona Longina Białowąs (1900-26.05.1975)

5. **Bronisława Teodora (1865-1944)**

6. **Zofia (12.05.1871-18.05.1922)** mąż **Ludwik Jankowski** (?-1922) mieli 3 dzieci:

Anna Jankowska (1900-1929)

Tadeusz Jankowski (1902-25.08.1920)

Teofil Jankowski (6.10.1904-18.10.1968)

żona (primo) **Maria Podlewska** (8.09.1909-20.04.1948) mieli 2 dzieci:

Ewa Maria (3.11.1937-26.11.1992) mąż Andrzej Lech Maliszewski (ur. 14.12.1936) córka

Agnieszka Maria Maliszewska (ur. 17.04.1966) mąż Witold Zatorski (ur. 11.03.1969)

Janusz Maciej (ur. 14.06.1946) żona **Grażyna Kowalska** (ur. 20.09.1949) mając 3 dzieci:

Joanna Maria Jankowska (ur. 28.08.1971) mąż **Maciej** Duncajski (08.07.1971) mając 2 synów:

Adam Gabriel (ur. 6.07.2000)

Mikołaj (ur. 15.07.2005)

Aleksander Jankowski (ur. 04.02.1978) żona Agata Teresa Oprychał (ur. 26.03.1978) mając 3 dzieci

Cezary (ur. 21.07.2006)

Jowita Ewa (ur. 04.07.2007)

Blanka (ur. 22.04.2010)

Jan Krzysztof Jankowski (ur. 26.06.1982)

żona (secundo) Zofia Podlewska (siostra Marii) (10.04.1920) mając 3 dzieci

Andrzej Wojciech Jankowski (ur. 25.09.1949) żona Dorota Zabost (9.05.1950) mając 2 dzieci

Klara Wiktoria Jankowska (ur. 21.05.1982), mąż Omar Lahlou (ur. 11.11.1985) mając syna

Anouar (ur. 26.09.2011)

Filip Teofil Jankowski (ur. 23.08.1988)

Tadeusz Jankowski (14.09.1951-30.07.1955)

Anna Zofia Jankowska (ur. 20.12.1954) mąż Marek Szydzisz (ur. 11.04.1955)

7. **Teofil (1873-1958)** – Jezuita z Chyrowa

8. **Julia (1882-1941)** mąż Edmund Sikorski (1875-1930) mieli 4 dzieci

Tadeusz Sikorski (27.10.1906-18.01.1964) żona Julia Napieraj (04.01.1906-28.08.1994) mieli córkę

Maria Sikorska (29.03.1935) mąż Stanisław Butrymowicz (14.06.1929) mając syna

- Piotr Butrymowicz** (ur. 07.1960) żona Jolanta Ogrodowczyk (ur. 05.11.1959)
mają 2 córki
- Zuzanna Karolina Butrymowicz** (23.09.1986)
- Anna Butrymowicz** (ur. 23.09.1991)
- Władysław Sikorski** (24.04.1908-19.12.1972) żona Katarzyna Minakowska (ur. 1910-31.12.1935) mieli 2 córki:
- Elżbieta Sikorska** (ur. 31.12.1935) mąż **Tadeusz Padrak** (ur. 27.01.1939)
- Katarzyna Sikorska** (ur. 31.12.1935-1936)
- Mieczysław Sikorski** (1913-06.06.1974) żona Jadwiga Oksza-Zdrowska (ur. 11.10.1919) mieli syna
- Edmund Sikorski** (ur. 15.08.1944) żona Maria Sulska (ur. 07.06.1946) mają 2 córki
- Marta Sikorska** (22.05.1973) mąż **Arkadiusz Zubowicz** mają syna
- Mikołaj Zubowicz** (ur. 07.08.2003)
- Jędrzej Zubowicz** (ur. 5.10.2008)
- Joanna Sikorska** (ur. 23.09.1980) mąż Tomasz Mańczak mają syna
- Maciej Mańczak (ur. 13.03.2010)

Dane genealogiczne z linii Stanisława – pierwszego Starosty Rodowego, zwłaszcza dotyczące potomków Julii i Zofii zostały uzupełnione przy współudziale Barbary Kozierowskiej z wykorzystaniem materiałów zawartych w opracowaniu Jej autorstwa „Kozierowscy herbu Jelita”, tom II, Czernichów 2004-2005 oraz Suplementy do t. 1, 2, 3 Czernichów 2007-2008

STANISŁAW GERWAZY (1862-1937) Pierwszy Starosta Rodowy – życiorys Sta-

nisława i jego żony Zofii z Markowskich podany jest w Zeszycie 1 (str. 26) i Zeszycie 2 na str. 23 oraz we wspomnieniu pośmiertnym na stronie 33 Zeszytu 2. Ukończył Wydział Prawa na Uniwersytecie Warszawskim, od 1899 mianowany jako rejent w Wieluniu a następnie w Kaliszu, inicjator powstania Kasy Przemysłowców w Wieluniu, Tow. Prawniczego, Muzycznego, Prezes Towarzystwa Kredytowego w Kaliszu i Członek Rady Miejskiej Kalisza i Sejmiku Powiatowego. Urodził się 19.06.1862 roku w Stojnowie (akt nr 46 z 01.07.1862 r. w parafii Pierzchnica). Chrzest odbył się w dniu 01.07.1862 r., a rodzicami chrzestnymi byli:

Waleria i Eugeniusz małżonkowie Kozierowscy. W 1890 roku zawarł związek małżeński z Zofią Markowską, córką *Wiktora i Celiny z Czernickich*. Zmarł 02.08.1937 roku w Krakowie.



Stanisław Gerwazy (1862-1937)
Pierwszy Starosta Rodowy



Zofia z Markowskich JB

ZOFIA Z MARKOWSKICH JANOTOWA BZOWSKA

(?-1.03.1937) była jednym z sześciu dzieci Wiktora Markowskiego, urzędnika administracji w guberni kieleckiej, który był zarazem regionalnym historykiem – amatorem, współpracownikiem „Słownika Geograficznego Królestwa Polskiego”. Spośród jej rodzeństwa – brat Bolesław (1862-1936) był politykiem, uczonym, wybitnym prawnikiem i ekonomistą, twórcą szkolnictwa ekonomicznego w regionie świętokrzyskim, założyciel szkoły handlowej w Kielcach. W latach 1921-26 był wiceministrem skarbu, rektorem i prorektorem WSH w Warszawie w latach 1928-1929. W ministerstwie zajmował się m. inn. problematyką podatkową, finansów komunalnych oraz administracji skarbowej. Zofia z Markowskich Bzowska zmarła w dniu 01.03.1937 roku

w Krakowie (Kurier Warszawski z 02.03.1937 r.). Ze związku Stanisława i Zofii Bzowskich urodziły się dzieci: Celina, Aleksandra, Mieczysław, Kazimiera, Hanna i Jerzy.

HANNA BZOWSKA (?-1941) – urodziła się w Wieluniu. Niezamężna. Przebywała stale w zakładzie na Śląsku

KAZIMIERA BARTHEL DE WEYDENTHAL Z JANOTÓW BZOWSKICH – W dniu kwietnia 1917 roku w Kaliszu zawarła związek małżeński z Jerzym Teofilem Bartel de Weydenthal, urodzonym 03.11.1882 roku w Padniewie w woj. poznańskim, synem Zdzisława Anieli z Różańskich, posła polskiego w Szanghaju



Kazimiera (1894-1961) córka Stanisława JB



Hanna (?-1941) córka Stanisława JB

JERZY BARTHEL DE WEYDENTHAL (1882-1960)

Publikacja „Kto był kim w drugiej Rzeczypospolitej” pod redakcją naukową prof. Jacka M. Majchrowskiego przy współpracy Grzegorza Mazura i Kamila Stepana, wydana przez Polską Oficynę Wydawniczą „BGW” zawiera notę biograficzną na str. 89 następującej treści (na podst. opracowania Barbary Kozierowskiej Kozierowski t. 2):

Barthel de Weydenthal Jerzy Teofil urodził się 3 listopada 1882 r. w Padniewie w woj. poznańskim, w rodzinie arystokratycznej. Uczęszczał do Gimnazjum oo. Jezuitów w Chyrowie i Gimnazjum św. Anny w Krakowie; ukończył Wydział Prawa UJ i w 1910 r. Wydział Handlu Uniwersytetu w Birmingham. Od 1914 r. pracował w Namiestnictwie Galicyjskim we Lwowie, a następnie w Sądzie Okręgowym w Kielcach. Walczył w szwadronie W. Beliny-Prażmowskiego w Legionach. W niepodległej Polsce został urzędnikiem Ministerstwa Przemysłu i Handlu, a w kwietniu 1919 r. przeszedł do służby konsularnej MSZ. Przez kilka lat był konsulem generalnym RP w Nowym Jorku (1919), Detroit (1921) i Chicago (1923). 1 III 1926 r. powrócił do pracy w cen-



Jerzy Barthel de Weydenthal
(1882-1960)



Ślub Jerzego Bartha de Weydenthal i Kazimierzy z Janotów Bzowskich JB – Kalisz, kwiecień 1917
W centrum stoją Młoda Para, po prawej Państwa Młodych Zofia JB a po lewej Stanisław JB



Kazimiera (1894-1961) Bartheł de Weydenthał z domu Janota Bzowska

trali jako kierownik referatu w Departamencie Politycznym MSZ. Od 12 IV 1927 do 1 III 1929 r. kierował konsu-
latem polskim w Zagrzebiu. Następnie pracował jako
radca poselstwa i delegat pełnomocny RP w Szangha-
ju (od 1929 r.), a po podniesieniu delegatury do rangi
poselstwa, pełnił funkcję charge ' d'affaires (od 1931 r.)
W dniu 5 VIII 1933 r. został mianowany posłem nadzwyc-
zajnym i ministrem pełnomocnym RP i do 1 IX 1939 r.
kierował placówką w Chinach. W czasie II wojny świa-
towej przebywał na terenie Francji, gdzie po wyzwo-
leniu prowadził akcję weryfikacyjną polskich jeńców
z armii niemieckiej. Pozostał na emigracji; zmarł w Lon-
dynie 16 marca 1960 r.

Małżonkowie Kazimiera i Jerzy mieli dzieci: Janu-
sza, Mariana i Teresę

JANUSZ BARTHEŁ DE WEYDENTHAŁ (1918-1944) – bliższe dane nie są znane. Zgi-
nął w czasie wojny w 1944 roku.

MARIAN BARTHEŁ DE WEYDENTHAŁ (1921-1943) – bliższe dane nie są znane.
Zginął w czasie wojny w 1943 roku.

TERESA JARZEMBOWSKA Z DOMU BARTEŁ DE WEYDENTHAŁ
(ur. 1930 r. w Szanghaju) – córka Jerzego i Kazimieri z JB. Związek
małżeński zawarła w Londynie z Tadeuszem Jarzembowskim. Ze
związku tego urodzili się: syn **Marek** i córka **Anna**



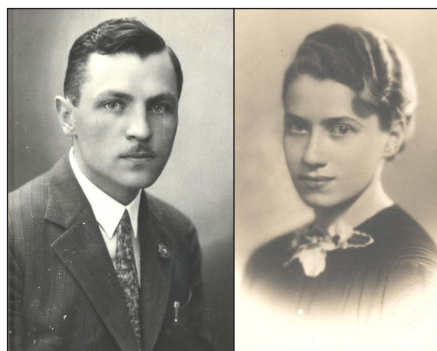
Teresa Jarzębowska z domu
Bartel de Weydenthał (ur. 1930)

MAREK JARZEMBOWSKI – urodził się ok. 1960 roku. Bliższe dane nie są znane.
Związek małżeński zawarł z Barbarą (nazwisko nieznane). Ze związku tego urodził
się syn **Paweł**.

ANNA JARZEMBOWSKA (ur. 1968) – bliższe dane nie są znane. Związek małżeński
zawarła z **Danielem Perschy**.

JERZY BZOWSKI (1903-1940) – urodził się w dniu 03.07.1903 roku w Kaliszu. Absol-
went liceum im. Tadeusza Kościuszki w Kaliszu, a następnie Politechniki Warszaw-
skiej, do roku 1939 pracował jako inżynier w Krakowskiej Dyrekcji Kolei Państwowych.
W dniu 10.04.1937 roku w Krakowie zawarł związek małżeński z **Zofią Skrzyńską**.
Małżonkowie Zofia i Jerzy mają córkę **Magdalenę**. W czasie wojny podporucznik

rezerwy saperów Jerzy Bzowski został osadzony w obozie w Kozielsku. Zamordowany w Katyniu (wywieziony z obozu 14.04.1940 roku). W 2007 roku pośmiertnie awansowany na stopień kapitana. W roku 2011 przed budynkiem szkoły, która ukończył w Kaliszu zasadzono dąb pamięci, który będzie przypominał postać **Jerzego Janoty Bzowskiego** (patrz. Rozdz. 2.4. Zjazd potomków Aleksandra i Lucyny Janotów Bzowskich).



Jerzy i Zofia Janotowie Bzowscy

ZOFIA JANOTOWA BZOWSKA z domu SKRZYŃSKA – urodziła się w dniu 21.11.1908 roku w Krakowie, córka Alfreda i Anny z Finków. Zofia Bzowska zmarła w dniu 17.10.2003 roku w Krakowie

MAGDALENA JANOTA BZOWSKA (ur. 16.06.1939) – córka Jerzego JB i Zofii ze Skrzyńskich, urodziła się w Krakowie. Ukończyła Politechnikę Krakowską, Wydział Budownictwa Lądowego

WŁADYSŁAW JAN JANOTA BZOWSKI (26.06.1864-14.05.1929) – wspomnienie w Zeszyście 1 str. 23, brat Stanisława Pierwszego Starosty Rodowego.



Władysław JB
(1864-1929)

Urodził się w dniu w Żarczycach Większych (akt chrztu nr 41 z 05.07.1864 roku w parafii Złotniki). Rodzicami chrzestnymi byli: Ludwik Kobylański i Eufemia Linowska. Zmarł w Warszawie (Kurier W-wski V, 1929 r.). Uczęszczał do gimnazjum w Kielcach. Na Uniwersytecie w Moskwie studiował farmację. Przez szereg lat prowadził apteki w Rosji. Po powrocie do Polski w roku 1897 wstąpił na służbę do byłego Zarządu aptek dróg żelaznych nadwiślańskich byłego zaboru rosyjskiego. Od 1909 roku właściciel apteki w Kaliszu, a od 1921 roku w Warszawie. W 1892 roku zawarł na Ukrainie związek małżeński z **Wincentyną Domańską**, urodzoną w 1870 roku w Żytomierzu, córką Ottona (zm. 25.03.1902 r.) i Eufemii małżonków Domańskich. Małżonkowie Wincentyna i Władysław Bzowscy mieli trzech synów: Stanisława, Zygmunta i Aleksandra. Wincentyna Bzowska zmarła 27.06.1937 roku w Warszawie (wspomnienie w Zesz. 2. str. 33).

STANISŁAW JANOTA BZOWSKI (1893-1920?) – najstarszy syn Władysława JB i Wincentyny z Domańskich, urodził się w 1893 roku w Rosji. Z zawodu był dziennikarzem. W 1915 roku w Kijowie zawarł związek małżeński z Marią Zagórską, urodzoną w dniu roku w Tałatajach (Wołyń), córką Józefa i Marii z Roźniatowskich. Ze związku

Stanisława i Marii Bzowskich urodził się syn Andrzej. **Stanisław** zaginął w Rosji po rewolucji 1917/1918 roku. Próby odnalezienia informacji o dokładnej dacie śmierci Stanisława JB na podstawie poszukiwań w Państwowym Archiwum Ukrainy i Archiwum Miasta Kijowa niestety się nie powiodły.

Odpowiedź z Archiwum Miasta Kijowa z dnia 5.06.2011 r.: *Informuję, że podczas przeglądu wszystkich przechowywanych w zbiorach archiwum ksiąg metrykalnych kościołów rzymskokatolickich miasta Kijowa z lat 1918-1919 (ksiąg metrykalnych kościołów Kijowa po 1919 r. w zbiorach archiwum nie ma) zapisu nt. śmierci Stanisława (Janoty) Bzowskiego nie znaleziono.*

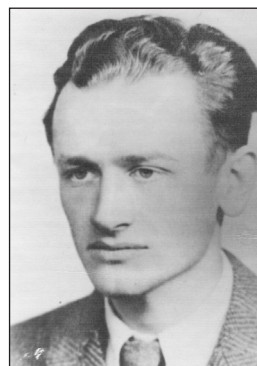


Stanisław JB
(1893-1920?)

MARIA BZOWSKA Z ZAGÓRSKICH – urodzona 02.01.1889 w Tałajach na Wołyniu zmarła 14.03.1949 roku w Żłotym Stoku w powiecie Ząbkowice Śląskie. Była nauczycielką języka polskiego dyplomowaną w 1927 roku przez Ministerstwo Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego. Nauczała w gimnazjach w Równem, Krzemieńcu i Ostrowcu Świętokrzyskim (Wspomnienie o Marii JB z Zagórskich w rozdziale 5.3).

ANDRZEJ JANOTA BZOWSKI (ur. 21.01.1916 w Kijowie zmarł 9.07.1949 w Szczecinie), syn Stanisława i Marii JB, wnuk Władysława JB.

W latach 1926-1935 był uczniem Gimnazjum im. J. Chreptowicza w Ostrowcu Świętokrzyskim (matura 1935 r.). W latach 1935-1939 studiował na Wydziale Leśnym SGGW w Warszawie, w 1938 roku odbył służbę wojskową w Szkole Podchorążych Artylerii we Włodzimierzu. W 1939 odbył kampanię wrześniową (*Jego Pułk został rozbity w Lasach Janowskich*). 13 listopada 1940 roku w Parafii w Ostrowcu Świętokrzyskim poślubił **Jadwigę Krawczyk**. W czasie okupacji w Ostrowcu Św. działał w grupie *Wolność* założonej przez Wacława Zagórskiego (wuj Andrzeja, dowódca oddziału Chrobry II w Powstaniu Warszawskim, późniejszy redaktor Dziennika Polskiego w Londynie) oraz brał udział w akcjach zbrojnych AK. W latach 1940-44 pracował jako leśniczy w lasach majątku Czchów (leśnictwo Gromnik, w tartakach prywatnych jako brakarz, w Bałtowie jako leśniczy ucząc jednocześnie w tajnej szkole w Ostrowcu. Po upaństwowieniu pracował dalej w tych samych lasach jako leśniczy. 8 marca 1947 zdał egzamin magisterski w SGGW. W 1947 pracował w Leśnym Ośrodku Szkoleniowym w Wierzchowiskach k. Lublina, a potem w Ośrodku (Szkoła dla Gajowych) w Żłotym Stoku w powiecie Ząbkowice Śląskie. Zmarł na skutek błędu w czasie operacji w szpitalu w Szczecinie. Pochowany na cmentarzu w Szczecinie przy ul. Ku Słońcu, grób symboliczny w Lublinie na cmentarzu przy ul. Lipowej. Ojciec **Krzysztofa i Małgorzaty**.



Andrzej JB (1916-1949)

JADWIGA BZOWSKA Z DOMU KRAWCZYK

(17.01.1918-4.09.2004), żona Andrzeja JB, urodzona w Solcu nad Wisłą. Pracowała między innymi jako nauczycielka, pracownik poczty, sądu, studiowała psychologię na KUL w Lublinie, długoletnia kierowniczka działu nauczania Politechniki w Lublinie. Matka Krzysztofa i Małgorzaty, Babcia Agaty.

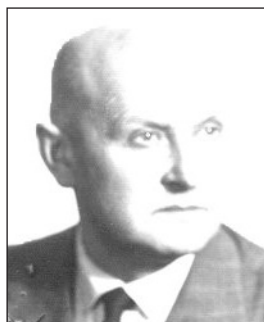
Osobowość utkana z dzielności, delikatności, wrażliwości i empatii. Urocza i bardzo skromna, potrafiąca dostrzegać niedopowiedziane zjawiska i uczucia. Wspaniała słuchaczka – z subtelnym darem zainteresowania losem innych ludzi, nieprzywiązująca wagi do formy, powierzchowności, ludzkich atrybutów zewnętrznych. Całkowicie pozbawiona uprzedzeń, z niepospolitą cierpliwością

i wyrozumiałością ofiarowująca dyskretne wsparcie oczekującym pomocy – *niedomawianiem tkliwym, każdej pracy, każdej prośby*. Utalentowana artystycznie – Jej swetry i suknie robione na drutach i szydełku lub szyte wyróżniały się elegancją i wytwornością, a ozdabiały nie tylko członków rodziny. Erudytką o nietuzinkowych zainteresowaniach (astronomia, językoznawstwo, botanika), znawczyni literatury. Całą swą wiedzę, intuicję i mądrość wykorzystująca na pożytek otaczających ją ludzi (bez wyróżniania i uprzedzeń). Nadzwyczaj skromna, wielkiego serca, słuszności postawy i doskonałości ocen.

W 1964 r. Jadwiga wyszła za mąż za Henryka Lipko-Lipczyńskiego. Mój wyjątkowy Ojczym był przyjacielem mego Taty i uczniem Babci Marii Bzowskiej z d. Zagórskiej. Znali się z Ojcem od wczesnego dzieciństwa w Ostrowcu Świętokrzyskim.



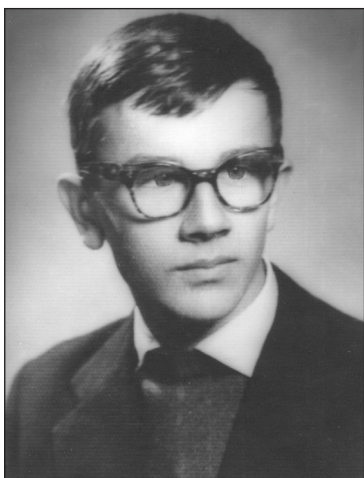
Jadwiga Bzowska-Lipko
(1918-2004)



Henryk Lipko Lipczyński
(1914-2000)

HENRYK LIPKO-LIPCZYŃSKI (1916-2000) – absolwent Wyższej Szkoły im. Wawelberga i Rotwanda, konstruktor, inżynier w Instytucie Wojskowym w Warszawie, Zakładach Mechanicznych w Ostrowcu Św., w Hucie Warszawa, Fabryce Samochodów Ciężarowych w Lublinie. Zmobilizowany w 1939, ranny pod Terespołem w czasie ewakuacji Instytutu Wojskowego przez Rumunię do Grenoble, powrócił do kraju w 1945 r. Malarz, poeta (tomik poezji *Brzozy* wydany w 1943 roku przez Nicejska oficynę Tyszkiewiczów).

KRZYSZTOF JANOTA BZOWSKI (28.08.1943-9.03.1962) – syn Andrzeja JB i Jadwigi z Krawczyków, urodzony w Gorlicach, uczeń klasy maturalnej Liceum Plastycznego w Lublinie. Uzdolniony artystycznie. Zmarł tragicznie 9 marca 1962 roku w Lublinie.



Krzysztof JB (1943-1962)



Jeden z nagrodzonych obrazów Krzysztofa

MAŁGORZATA BZOWSKA-BAKALARZ (ur. 30.06.1949) – (pomyłkowo na drzewie genealogicznym nazwana Anną). W 2003 roku Janusz Bzowski z Krakowa (linia Jana z Przemęczan) – nieoceniony poszukiwacz koligacji rodzinnych odnalazł Małgorzatę składając jej niespodziewanie życzenia noworoczne za pośrednictwem Gadu-Gadu! Radosne zaskoczenie – Małgorzata żyjąca w przeświadczeniu sieroctwa otrzymuje w prezencie noworocznym taką wielką RODZINĘ!

Urodzona w Złotym Stoku, zamieszkała w Lublinie, pracuje w Uniwersytecie Przyrodniczym w Lublinie, w Katedrze Maszynoznawstwa Rolniczego, prof. dr hab. w dyscyplinie inżynieria rolnicza, specjalność naukowa: procesy i techniki produkcji roślinnej, agrofizyka. Pasje pozazawodowe; historia, biografistyka (tę pasję rozbudziła w Małgorzacie Kazimiera JB z Londynu), filozofia codzienności, pływanie.

Współautorka erraty do Zeszytu 5 i Zeszytu 6 *Łącznika Rodzinnego*. Zamężna – mąż Jerzy Bakalarz syna Mieczysława Bakalarza i Marii z Bartkiewiczów. Córka – Agata.



Małgorzata Bzowska-Bakalarz (ur. 1949)



Jerzy Bakalarz (ur. 1945)

JERZY BAKALARZ (ur. 18.11.1945) – dr inż. starszy wykładowca na Uniwersytecie Przyrodniczym w Lublinie, absolwent Vysoká Škola Žemědělská w Pradze, specjalność technika rolnicza, automatyka informatyka.

AGATA CZARNIGOWSKA (23.12.1973) z domu Bakalarz – córka Małgorzaty i Jerzego, wnuczka Jadwigi i Andrzeja JB, urodzona w Lublinie, dr inż. budownictwa, adiunkt Politechniki Lubelskiej, Wydziału Budowlanego. Poślubiła 5 lipca 2003 dr. inż. **Jacka Czarnigowskiego (ur. 3.06.1974)** adiunkta Wydziału Mechanicznego Politechniki



Agata (ur. 1973) i Jacek (ur. 1974) Czarnigowscy

Lubelskiej. Zainteresowania pozazawodowe Agaty – lingwistyka stosowana (niemiecki, angielski), literatura – w tym science fiction (St. Lem), turystyka piesza; **Jacek** – żeglarstwo, malarstwo. Oboje są zaciekawieni geniuszem ludzkim we wszystkich przejawach.

opracowała: Małgorzata

BRONISŁAWA TEODORA BZOWSKA (1865-1944) – urodziła się w dniu 08.11.1865 roku w miejscowości Żarczyce Mniejsze, w woj. Kieleckim (akt chrztu nr 58 z 12.11.1865 roku w parafii Żłotniki. Rodzicami chrzestnymi byli Jan Kupczyk i Zofia Gradowa. Niezamężna. Była nauczycielką w Warszawie i w Kielcach (m.in. na pensji Leonii Rudzkiej w Warszawie).

W Kielcach prowadziła pensjonat dla uczniów. Zmarła w Kielcach w 1944 roku i została pochowana na Cmentarzu Starym – pogrzeb odbył się w dniu 28.07.1944 roku.

ZOFIA MARIA BZOWSKA (1871-1922)

– urodziła się w dniu 12.05.1871 roku w Stojnowie (akt nr 65 w parafii Pierzchnica z 18.05.1871 r.). Rodzicami chrzestnymi byli: Kazimiera Kozierowska i Walery Szyszkowski.

Zmarła w dniu 18.05.1922 roku w Warszawie i została pochowana na cmentarzu na Służewie (nekrolog – Kurier Warszawski z 21.05.1922 roku – w rozdziale 4). Związek małżeński zawarła w Kielcach w dniu 27 czerwca 1898 roku z Ludwikiem Jankowskim (akt ślubu nr 127 z 1898 roku w parafii Kielce-Katedra).



Zofia z Bzowskich i Ludwik Jankowski z dziećmi (od lewej Teofil, Hanna, Tadeusz)

LUDWIK JANKOWSKI (1872-1898) – syn Antoniego i Rozalii małżonków Jankowskich, urodzony w Rudzie Malenieckiej w parafii Końskie zamieszkały w Skarżysku-Kamiennej, zatrudniony jako pomocnik maszynisty Iwanogorodzko-Dąbrowskiej (Dęblin – Dąbrowa Górnicza) Kolei Żelaznej. Zmarł w miesiącu październiku 1922 roku w Częstochowie. Małżeństwo Zofia i Ludwik Jankowscy mieli troje dzieci: **Annę Marię, Tadeusza i Teofila**.

ANNA JANKOWSKA (1899-1929) – urodziła się w Kielcach w dniu 21 czerwca 1899 roku. Na chrzcie otrzymała imiona **Anna Maria**. Rodzicami chrzestnymi byli: Antoni Jankowski i Lucyna Bzowska (akt chrztu nr 495 z 1899 roku w parafii Kielce-Katedra).

TADEUSZ JANKOWSKI – rodził się ok. 1902 roku (informacja pochodzi z Pamiętników Henryka Kozierowskiego), zmarł w dniu 25.08.1920 we Lwowie.



TEOFIL JANKOWSKI (1904-1964) – urodził się 06.10.1904 roku w Warszawie, zmarł w dniu 18.10.1968 roku w Łowiczu (nekrologi w rozdz. 4). W czasie I wojny światowej przebywał w Rosji, jako mały chłopiec przesiedlony tam z rodzicami i rodzeństwem. Był jedynym żywicielem rodziny w czasie rewolucji bolszewickiej – ulicznym sprzedawcą gazet. Po powrocie do kraju wziął udział w wojnie polsko-bolszewickiej 1920 roku, na którą udał się z ławy szkolnej. W 1932 roku ukończył Agronomię Społeczną SGGW w Warszawie. Związek małżeński zawarł w dniu 30.04.1936 roku w Gostyninie z Marią Podlewską.

Kapitan Wojska Polskiego, uczestnik walk pod Bzurą (1939), jeńiec oflagu Ostróde nr 1080 XIA – nieśmiertelnik z oflagu), profesor Technikum Rolniczego w Łowiczu, działacz ruchu spółdzielczego, organizator ruchu turystycznego i wychowawca młodzieży. Po śmierci żony Marii zawiera ponowny związek małżeński z najmłodszą Jej siostrą – Zofią.

MARIA JANKOWSKA Z PODLEWSKICH (1909-1948) – urodzona w dniu 08.09.1909 roku w Trzech Borkach w pow. konińskim, córka Marcina i Heleny z Lewandowskich, ojciec Marii założył OSP w Stefanowie i był właścicielem młyna i cegielni. Absolwentka Agronomii Społecznej w Warszawie.

Przed wojną wraz z mężem pracowała w Instytucie Sadowniczym w Skierniewicach. W czasie okupacji hitlerowskiej działała w organizacji „Społem” – zajmowała się organizowaniem pomocy dla polskich artystów. Pierwsza żona Teofila Jankowskiego. Maria zmarła 20.04.1948 w Warszawie, pochowana w Łowiczu na Cmentarzu Kolegiaty Łowickiej. Małżonkowie Maria i Teofil Jankowscy mieli dwoje dzieci: Ewę i Janusza Macieja.



EWA MARIA JANKOWSKA (1937-1992) – urodziła się w dniu 03.11.1937 roku w Skierniewicach. Zmarła w dniu 26.11.1992 roku w Łodzi. Ukończyła prawo na Uniwersytecie Łódzkim. Mimo uzyskanej aplikacji prokuratorskiej pracowała w Opiece Społecznej, a następnie w Wydziale Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej Urzędu Miasta. W dniu 17.04.1960 roku w Łowiczu zawarła związek małżeński z **Andrzejem Lechem Maliszewskim, urodzonym 14.12.1936 roku** w Łodzi, synem Hila-

rego i Felicji z domu Marszałek. Ze związku Ewy i Andrzeja Maliszewskich urodziła się córka Agnieszka. Ewa Jankowska była człowiekiem prawym, dzielnym, o niezwykłej wrażliwości. Sprawy więzi rodzinnej, pamięci rodu były Jej szczególnie bliskie.

AGNIESZKA MARIA ZATORSKA Z MALISZEWSKICH (ur. 17.04.1966) – ukończyła Uniwersytet Łódzki, filolog i językoznawca, posiada doktorat z filologii polskiej, jest pracownikiem Katedry Sławistyki Południowej na Uniwersytecie Łódzkim. Wyszła za mąż za **Witolda Zatorskiego** z zawodu informatyka programistę. Zainteresowania Agnieszki to turystyka piesza (Beskidy), Skandynawia, Słowenia (bada porównawczo systemy języków polskiego i słoweńskiego), duchowość chrześcijańska (ignacjańska, karmelitańska i kult Miłosierdzia Bożego). Witold Zatorski jest informatykiem o duszy humanisty, interesuje się szczególnie muzyką Gustawa Mahlera



Janusz Jankowski
(ur. 1946)

JANUSZ JANKOWSKI (ur. 14.06.1946 roku w Łowiczu) – w 1970 uzyskał dyplom mgr. inż. Politechniki Łódzkiej, a także uprawnienia instruktora narciarskiego. Pracował w 1970-72 w Wytwórni Kwasu Cytrynowego w Zgierzu, 1972-73 – w palarni kawy w Łodzi, 1973-77 w Ośrodku Badawczo-Rozwojowym w Łodzi, 1977-84 był kierownikiem produkcyjno-handlowym „Bacutilu”(producent pasz) w Łodzi. Od 1981 roku prowadzi własne gospodarstwo rolno-sadownicze w Remiszewie. Jest współzałożycielem w 1967 roku klubu turystycznego „Płazik”(działającego do dziś), był inicjatorem imprezy „Polska biega” w powiecie łaskim i od 2008 roku jest prezesem Lokalnej Grupy Działania „Dolina Rzeki Grabi”, która przyczynia się do propagowania atrakcji turystycznych powiatu. Organizuje spływy kajakowe dla dorosłych, dzieci i młodzieży. Hobby: kajakarstwo, żeglarstwo. Website: www.dolinagrabi.pl

W dniu 21.06.1969 roku zawarł związek małżeński w Łodzi z Grażyną Kowalską.



GRAŻYNA JANKOWSKA Z KOWALSKICH (ur. 20.09.1945 roku w Łodzi) – córka Tadeusza i Janiny z domu Lewy, żona Janusza Jankowskiego, absolwentka Politechniki Łódzkiej. Małżonkowie Grażyna i Janusz Jankowscy mają troje dzieci: **Joannę Marię, Aleksandra i Jana Krzysztofa.**

Grażyna Jankowska (ur. 1945)

JOANNA DUNAJSKA Z JANKOWSKICH (ur. 28.09.1971) – urodziła w Łodzi. Absolwentka Wydziału Lekarskiego Akademii Medycznej w Łodzi. W dniu 12.04.1997 roku zawarła w Oxfordzie związek małżeński z **Maciejem Dunajskim**, urodzonym 08.07.1971 roku w Łodzi, synem Adama i Anny z domu Łabędzkiej. Maciej jest le-

karzem medycyny. Małżonkowie Joanna i Maciej Dunajscy mają 2 synów **Adama i Mikołaja**. Od 1997 r. Mieszkają w Cambridge. Joanna jest lekarzem rodzinnym a Maciej profesorem w Cler Collledge.



Adam Dunajski

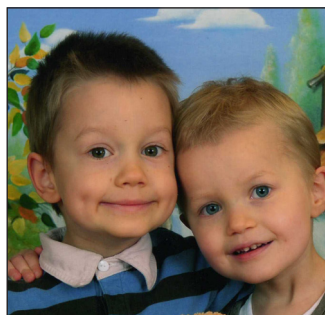


Mikołaj Dunajski

ALEKSANDER JANKOWSKI (ur. 4.02.1978 roku w Łodzi) – w dniu 03.08.2002 roku zawarł w miejscowości Szadek związek małżeński z **Agatą Teresą Opyrchał**, urodzoną w dniu 26.03.1978 roku w Bielsku Białej, córką Jana i Teresy z domu Grzywacz. Jest architektem i prowadzi pracownię projektową architektury wnętrz. Aleksander i Agata mają troje dzieci: **Cezarego, Jowitę Ewę, Blanę**.



Blanka Jankowska (ur. 22.04.2010)



Cezary i Jowita Jankowsky

JAN KRZYSZTOF JANKOWSKI (ur. 26.06.1982 w Łodzi) – absolwent Studium Policjalnego w Wojsławicach, prowadzi gospodarstwo ekologiczne w Remiszewie.

ZOFIA JANKOWSKA Z PODLEWSKICH (10.04.1920-1.04.2011) – Teofil Jankowski zawiera ponowny związek małżeński w dniu 26.12.1948 roku w Racięcicach powiat Koło z Zofią Podlewską, urodzoną 10.04.1920 roku w Stefanowie, córką Marcina i Heleny z Lewandowskich – najmłodszą siostrą Marii. Ze związku Zofii i Teofila Jankowskich urodziły się dzieci: **Andrzej Wojciech, Tadeusz i Anna Zofia**.



ANDRZEJ JANKOWSKI (ur. 8.07.1949) – syn Teofila i Zofii z Podlewskich, urodził się w dniu 08.07.1949 roku w Łowiczu. Związek małżeński zawarł 25.09.1977 roku w Łowiczu z **Dorotą Zabost (ur. 09.05.1950 w Łowiczu)**, córką Henryka i Jadwigi z domu Waldon. Dorota i Andrzej Jankowscy mają córkę **Klarę Wiktorię** i syna **Filipa Teofila**.



Andrzej Jankowski z ojcem Zięcia Omara



Dorota Jankowska z wnukiem Anouarem

KLARA WIKTORIA JANKOWSKA (ur. 20.05.1982 w Łowiczu) – ukończyła językoznawstwo na Sorbonie w Paryżu. Mąż Omar Lahlou (ur. 11.11.1985). Mają syna Anouara (ur. 26.09.2011).



Klary i Omar Lahlou

Anouar Lahlou

Omar Lahlou z synkiem i swoimi Rodzicami



FILIP TEOFIL JANKOWSKI (ur. 23.08.1988 w Skierniewicach) – student kierunku geodezja.

TADEUSZ JANKOWSKI (14.09.1951-30.07.1955) – urodził się w Mieczysławowie w powiecie Kutnowskim. Zmarł w Stefanowie, powiat Koło.

ANNA SZYDZISZ Z JANKOWSKICH (ur. 20.12.1954) – ukończyła studium policealne elektroniczne. W czerwcu 28. 06. 1980 r. poślubiła Marka Szydzisz urodzonego w dniu 11.04.1955 roku w Łodzi syna Jerzego i Janiny z domu Michałak. Małżonkowie Anna i Marek Szydzisz uzyskali rozwód w 1995 roku. Anna pracowała w Niemczech

w gospodarstwie ekologicznym, biodynamicznym. Kilkuletnie doświadczenie w uprawach ekologicznych i zainteresowanie zdrowym naturalnym odżywianiem i dbaniem o zdrową glebę pomogły w podjęciu decyzji otwarcia własnego gospodarstwa agroturystycznego, gdzie używa efektywne mikroorganizmy w celu utrzymania zdrowej gleby, a co z tym się wiąże uzyskuje zdrową żywność (jajka, kozie mleko i ryby z własnych stawów). Propaguje zdrowe odżywianie i utrzymanie zdrowej kondycji do późnych lat.



Rodzina Jankowskich przed domem Janusza i Grażyny w Remiszowie. 2009 r. Od lewej: Grażyna Jankowska, Janusz Bzowski, Magda Bzowska, Zofia Jankowska, Barbara Kozierowska, Janusz Jankowski, Piotr Węgier, Iza Irena Wojtek Szlązakowie. Na dole siedzą: Ania Węgier i ich znajomy

TEOFIL BOLESŁAW ALEKSANDER JANOTA BZOWSKI (16.11.1873-4.01.1959) – syn Lucyny i Aleksandra JB, urodził się w miejscowości Jeżów w woj. kieleckim, chrzest w tymże roku w parafii Białaczów w powiecie końskim. Zmarł w Starej Wsi. Osoba stanu duchownego, jezuita. Nowicjat odbył w Starej Wsi k. Brzozowa. Od 1897 roku pracował w Zakładzie Naukowo – Wychowawczym w Chyrowie (obecnie Ukraina). W 1889 roku przyjął święcenia kapłańskie. Ks. Teofil Bzowski był publicystą, redaktorem oraz biografem zakonu jezuitów.

W publikacji „Chyrowiaczy” pod redakcją Ludwika Grzebienia SJ wydanej w Krakowie w 1990 roku znajduje się biografia str. 104 zatytułowana: **Teofil Bzowski SJ Ojciec Chyrowiaków.**

„Urodził się w rodzinie ziemiańskiej w Jeżowie, ziemi kieleckiej, 16 listopada 1873 roku. Wychowany w religijnej rodzinie od najmłodszych lat marzył o kapłaństwie. Ukończył gimnazjum kieleckie, a następnie rozpoczął studia w Seminarium Duchownym w Kielcach. Dnia 12 maja 1893 roku, na skutek zamknięcia seminarium, przerwał studia seminaryjne i wstąpił do zakonu jezuitów w Starej Wsi koło Brzozowa. Po ukończeniu dwuletniego nowicjatu (1893-1895) odbył jeszcze w Starej Wsi roczny kurs retoryki (1895-1896), a następnie roczny kurs filozofii w Nowym Sączu (1896-1897).

Do Chyrowa przybył w 1897 roku mając pełnić funkcję nauczyciela języka rosyjskiego i wychowawcy młodzieży konwiktowej. Tu w Chyrowie przyjął 10 kwiet-

nia 1899 roku z rąk biskupa Pelczara święcenia kapłańskie i bez reszty oddał się kształceniu i wychowaniu młodego pokolenia. Rozwijał wszechstronną działalność. Przede wszystkim był katechetą, uczył niższe klasy religii i przygotowywał chłopców do pierwszej spowiedzi i komunii świętej. W nauczaniu umiał łączyć dobroć z wiernością wobec głoszonych zasad, od których nie można było odstępować. Sam dawał najlepszy przykład takiego życia. Zasady te wprowadzał konsekwentnie do Kongregacji Aniołów Stróżów dla młodzieży klas niższych oraz do Sodalicji Mariańskiej, która stawała się prawdziwą kuźnią charakterów młodzieży klas wyższych. Jako moderator sodalicyjny prowadził posiedzenia sodalicyjne, odprawiał nabożeństwa kongregacyjne i sodalicyjne, informował na łamach prasy o życiu tych organizacji.



Ks. Teofil JB (1873-1959)

Jako profesor języka rosyjskiego uczył gramatyki i literatury rosyjskiej, kładąc szczególny nacisk na ducha języka i jego piękno. Czytywał z uczniami arcydzieła rosyjskiej literatury jak Gogola, Puszkina, Lermontowa. Umiał zainteresować pięknem rosyjskiego krajobrazu i smakować w dowcipie rosyjskiego ludu.

Formację naukową i wychowawczą rozumiał bardzo nowoczesnie jako akcję stałą, przekraczającą ramy samego konwiktów i gimnazjum.

Stąd chętnie przejął redakcję pisma „Z Chyrowa”, założonego przez o. Władysława Czencza w 1893 roku. Redagował je sam, korzystając jedynie z pomocy konwiktów i wydawał bardzo regularnie, zmieniając tytuł w 1912 roku na „Kwartalnik Chyrowski”, a w 1922 roku na dwumiesięcznik „Przegląd Chyrowski”. Wydał 162 zeszyty tego pisma, podtrzymując więź z byłymi wychowankami i nadal kształtując ich duchowe postawy. Niezależnie od czasopisma, będącego formą oficjalnej korespondencji, prowadził niezwykle bogatą korespondencję prywatną, głównie z byłymi wychowankami, radził, pocieszał, umiejętnie karcił. Wielu wychowanków opuszczających mury konwiktów utożsamiało zakład z ojcem Bzowskim.

Na 25-lecie istnienia konwiktów chyrowskiego w 1911 roku, doczekał się realizacji swoich marzeń. Doszło wówczas do założenia Związku Byłych Chyrowiaków. Hasło: „Deo, Patriae, Amicitiae”, wypisane na sztandarze konwiktowym było tym zawołaniem, pod którym wchodziły w życie zastępy chyrowskich wychowanków. Była to wielka radość kapłana i wychowawcy. Związek miał siedzibę w Chyrowie oraz koła w Krakowie i Lwowie. Po I wojnie powstały koła w Warszawie i Poznaniu. Corocznie na Zielone Świątki odbywały się w Chyrowie walne zjazdy związku.

W 1912 roku w trzechsetną rocznicę śmierci Piotra Skargi powołał o. Bzowski do życia Chyrowskie Koło im. Ks. Skargi, mające na celu nie tylko szerzenie znajo-

mości czynów wielkiego jezuitę i wyniesienie go na ołtarze, ale przede wszystkim szerzenie wśród młodzieży dobrej prasy i książki. Urządzono czytelnie czasopism, ruchome biblioteczki, organizowano odczyty oraz wydawano liczne broszury na bardzo aktualne tematy, rozdawane następnie bezpłatnie wśród młodego pokolenia. W większości wyszły one spod pióra o. Bzowskiego.

Wielką miłość do zakonu i Ojczyzny urzeczywistnił w opracowaniu nekrologów polskich jezuitów, zmarłych po 1820 roku, w staraniach o kanonizację bł. Andrzeja Boboli i beatyfikację ks. Piotra Skargi. Z patriotycznych zapałów powstały „Krzyż Skargowski” na szczycie suszyckim koło Chyrowa, „Aleja Grunwaldzka”, „Kamień Sienkiewiczza” w lesie zakładowym, „Krzyż Andrzeja Boboli” z racji jego kanonizacji i statua Matki Boskiej pod garbem suszyckim.

Druga wojna światowa położyła kres tak owocnej, ponad 40-letniej pracy pedagoga i profesora. Z bólem opuszczał Chyrów, by już więcej do niego nie powrócić. Podczas okupacji czas jakiś przebywał w Krakowie u św. Barbary, by następnie przenieść się do Starej Wsi. Wznowił swoje kontakty z byłymi Chyrowiakami, spieszył im z materialną i duchową pomocą, wydał broszurę „Ku pamięci zmarłych i poległych Chyrowiaków w latach 1939-1946”, redagował biuletyn „Deo – Patriae – Amicitiae”. Niestety nie można było wznowić oficjalnej działalności Związku Byłych Chyrowiaków, poprzestać należało na towarzyskich spotkaniach.

W Starej Wsi obchodził w gronie Chyrowiaków 24 kwietnia 1949 roku złote gody kapłańskie i były to ostatnie radosne promienie jego żywej działalności. W kilka miesięcy później, w lipcu, na polecenie władz bezpieczeństwa przeprowadzono u jubilata i w całym kolegium starowiejskim skrupulatną rewizję, zabierając cenne materiały i korespondencję, nastąpiły szykany, a nawet aresztowania niektórych Chyrowiaków. Smutne, więc były ostatnie lata jego życia. Nawet przemiany październikowe z 1956 roku nie mogły zmienić tej sytuacji. Po krótkiej chorobie odszedł z tego świata 4 stycznia 1959 roku. Chyrowiaci pożegnali swego ojca i opiekuna, ale w pamięci pozostali mu do końca wierni.”

Dokumenty dotyczące osoby o. Teofila Bzowskiego, jak i jego działalności duszpasterkiej, pedagogicznej, wydawniczej są w posiadaniu Archiwum Prowincji Polski Południowej Towarzystwa Jezusowego w Krakowie. Fotokopie wybranych dokumentów otrzymanych z archiwum załącza się na następnych stronach.

JULIA Z JANOTÓW BZOWSKICH SIKORSKA (13.05.1881-21.07.1941) – urodziła się w dniu roku w Kielcach. Rodzicami chrzestnymi byli: Ludwik Linowski i Józefa Szyszkowska (akt chrztu nr 291 z 22.05.1881 r. w parafii Kielce-Katedra). W 1905 roku zawarła w Kaliszu związek małżeński z **Edmundem Sikorskim**. Małżonkowie Julia i Edmund Sikorscy byli właścicielami majątku Edmundów k/Wróblewa. Prowadzeniem i zarządzaniem tym majątkiem zajmowała się Julia. Założyła tam, jak podają kroniki rodzinne Bzowskich „jeden z najpiękniejszych ogrodów owocowych w kali-

skim". Julia Sikorska została wysiedlona z Edmundowa w czasie okupacji. Zmarła w Wróblewie k/Sieradza. Po wojnie majątek wraz z dworkiem został przejęty przez Przedsiębiorstwo „Lasy Państwowe”. Obecnie dworek znajduje się w posiadaniu osoby prywatnej – byłego pracownika P.P. „Lasy Państwowe”.

EDMUND SIKORSKI (1876-9.06.1930) – syn Stanisława i Anny Balbiny z domu Sęp-



Edmund Sikorski

Edmundów – widok 2010 r.

-Szarzyńskiej. Właściciel majątku Edmundów k/Wróblewa w powiecie sieradzkim. Był rejentem w Błaszach i w Kaliszu. Zmarł w Kaliszu.

Małżonkowie Julia i Edmund Sikorscy mieli dzieci: **Tadeusza, Władysława i Mieczysława.**

TADEUSZ SIKORSKI (27.10.1906-18.01.1964) – urodził się w Kaliszu. Zmarł w dniu roku w Gdyni. Tadeusz Sikorski był inżynierem sanitarnym po studiach na Politechnice Warszawskiej. Związek małżeński zawarł w dniu 07.08.1932 roku we Wróblewie (powiat Sieradz) z **Julią Napieraj.**

JULIA SIKORSKA Z DOMU NAPIERAJ (04.01.1906-28.08.1994) – córka Wojciecha i Kazimierzy z domu Rostkowskiej. Urodziła się w Warszawie, zmarła w Gdyni. Ze związku Tadeusza i Julii Sikorskich urodziła się córka **Maria.**

MARIA Z SIKORSKICH BUTRYMOWICZ (ur. 29.03.1935) – urodziła się w Kaliszu. Rodzicami chrzestnymi byli: Jadwiga Szolin i Władysław Sikorski. Maria związek małżeński zawarła w dniu 14.06.1959 roku w Gdyni ze **Stanisławem Butrymowiczem**, urodzonym w dniu 21.06.1929 roku w Pułtusku, synem Leona i Marii z domu Czaplińskiej. Ze związku Marii i Stanisława Butrymowiczów urodził się syn **Piotr.**

PIOTR BUTRYMOWICZ (ur. 02.07.1960) – urodził się w Gdyni. Rodzicami chrzestnymi byli: Bożena Michalik i Andrzej Łyżwa. W dniu 19.04.1986 roku zawarł związek małżeński z **Jolantą Ogrodowczyk**, urodzoną w dniu 05.11.1959 roku w Miłomłynie, córką Władysława i Franciszki z domu Koralewskiej. Małżonkowie Piotr i Jolanta mają dwie córki: **Karolinę Zuzannę i Annę.**

KAROLINA (używa imienia ZUZANNA) BUTRYMOWICZ (ur. 23. 09.1986) – urodziła się w Gdyni. Rodzicami chrzestnymi byli Krzysztof Ogrodowczyk i Iwona Stajniak. Studiuje w Akademii Sztuk Pięknych w Gdańsku, kierunek – architektura wnętrz.

ANNA BUTRYMOWICZ (ur. 23.09.1991) – urodziła się w Gdyni. Rodzicami chrzestnymi byli: Barbara Ogródowczyk i Wojciech Kędzior. Uczennica III Liceum w Gdyni.

WŁADYSŁAW SIKORSKI (24.04.1908-19.12.1972) – syn Julii z Bzowskich Sikorskiej i Edmunda Sikorskiego urodził się w Kaliszu. Ukończył studia rolnicze. Związek małżeński zawarł z **Katarzyną Minakowską** urodzoną w 1910. Katarzyna Sikorska zmarła przy porodzie córek **Elżbiety i Katarzyny** w dniu 31.12.1935. Władysław Sikorski zmarł w Kaliszu w 1972 roku.

ELŻBIETA Z SIKORSKICH PADRAK (31.12.1935-07.09.2008) – urodziła się w Kaliszu. Rodzicami chrzestnymi byli: Julia Bzowska i Tadeusz Sikorski. Ukończyła studia farmaceutyczne. Związek małżeński zawarła w grudniu 1970 roku w Kaliszu z **Tadeuszem Padrak**, urodzonym w dniu 27.01.1939 roku w Starachowicach, synem Mieczysława i Józefy z domu Kuczyńskiej. Małżeństwo bezdzietne. Elżbieta zmarła w 2008 roku w Kaliszu.



Tadeusz i Elżbieta
Padrakowie

KATARZYNA SIKORSKA – urodziła się w dniu 31.12.1935 roku w Kaliszu. Zmarła w marcu 1936 roku w Kaliszu.

MIECZYŚLAW SIKORSKI (1913-06.06.1974) – urodził się i zmarł w Kaliszu. Ukończył studia rolnicze. W 1943 roku zawarł związek małżeński z **Jadwigą Oksza-Zdrowską**, urodzoną w dniu 11.10.1919 roku w Leszkowicach, córką Włodzimierza i Amelii z domu Padamczyk.. Żona Mieczysława Jadwiga zmarła w Kaliszu w dniu 20.07.2006 roku. Ze związku Jadwigi i Mieczysława Sikorskich urodził się syn **Edmund**.

EDMUND SIKORSKI (ur. 15.08.1944) – urodził się w Stoczku Łukowskim. Rodzicami chrzestnymi byli: Danuta Wołodzko i Władysław Sikorski. Ukończył studia na kierunku technologia drewna. Związek małżeński zawarł w dniu 02.07.1971 roku w Gnieźnie z Marią Sulską, urodzoną w dniu 07.06.1946 roku. Małżonkowie Maria i Edmund Sikorscy mają dwie córki: **Martę Katarzynę i Joannę**.

MARTA ZUBOWICZ Z SIKORSKICH (ur. 22.05.1973) – urodziła się roku w Mogilnie. Rodzicami chrzestnymi byli: Halina Wolf i Tadeusz Sikorski. Związek małżeński zawarła w dniu 15.07.2000 roku w Gdańsku z **Arkadiuszem Zubowiczem**. Marta i Arkadiusz Zubowicz mają syna **Mikołaja (ur. w Gdańsku 07.08.2003)**.

JOANNA SIKORSKA (ur. 23.09.1980) – urodziła się w Mogilnie. Rodzicami chrzestnymi byli: Elżbieta Padrak i Zenon Wolf. W dniu 3 sierpnia 2008 roku wyszła za mąż za Tomasza Mańczaka, a 13 marca 2010 roku urodził się im syn Maciej.

3.10. LINIA BOBROWNICKA (10)

Podajemy poniżej, rodowód Józefa Donata z Bobrownik, pierwszego redaktora Łącznika Rodzinnego (Zeszytów nr 1, 2, 3) od Józefa Felicjana do potomków Józefa Donata z Bobrownik i Wandy z Kozieł-Poklewskich.

Józef Felicjan (1704-1770) żona Teofila z Jordanów (1727-1786)

Stanisław (1756-1817) żona Julia Zborowska (zm. 1830)

Teofil (1794-1853) żona Franciszka Laskowska

Konstanty (1828-1878) żona Maria Łaska mieli 4 dzieci:

Felicja (1862-1890)

Konstancja (?-1866)

Maria (1870-1943) mąż Kazimierz Cheliński

Józef Donat (1874-1945) żona Wanda Kozieł-Poklewska (1880-1961) mieli 7 dzieci:

1. **Konstanty** (1902-1903)

2. **Jan Bożydar** (1903-1977)

żona (primo) Irena Czaplicka (1914-1949) mieli 2 dzieci: Ryszard Karol (ur. 1940) i Jolantę (ur. 1942)

żona (secundo) Janina Morawska (bezdzietni)

Ryszard Karol (ur. 15.11.1940) żona Maria Cedro (ur. 5.09.1943) mają 3 dzieci:

Michał Przemysław (ur. 2.02.1969), żona Anna Małgorzata Chuda (ur. 7.10.1971) mają dwoje dzieci:

Barbarę (ur. 8.04.2001)

Jakub Jan (ur. 1.03.2005)

Marek Andrzej (ur. 1.02.1972) żona Magdalena Dorota Kozłowska (ur. 13.02.1971) mają 2 dzieci:

Andrzej Piotr (ur. 17.07.1998),

Urszula Magdalena (ur. 16.10.2002)

Marta Katarzyna (ur. 16.08.1973)

mąż (primo) Marcin Orhan Dziubiński (ur. 1965) mają 2 synów

Artur Orhan Dziubiński (ur. 19.06.2000)

Konrad Antoni Dziubiński (ur. 21.10.2004)

mąż secundo Jakub Czarnecki (4.04.1973) mają córkę

Alicję Marię Czarnecką (ur. 9.11.2009)

Jolanta (ur. 25.03.1942)

mąż (primo) Henryk Piotrowski (ur. 1938) mieli 2 synów:

Roman Piotrowski (ur. 17.06.1967) żona Renata Kania (ur. 7.10.1973)

córka Karolina (ur. 7.06.1995)

Tomasz Piotrowski (ur. 27.02.1970) żona Irena Szot (ur. 22.05.1971)

córka Kamila (ur. 29.05.1994)

mąż (secundo) Jan Wiszniewski (ur. 1940)

3. **Tadeusz Tomasz** (1904-13.02.1983) żona **Janina Janota Bzowska z Borussowej** (1914-15.05.1971) mieli 3 dzieci:
Tomasz (ur. 21.12.1943) żona Alfreda Nalezińska (ur. 30.03.1940) mieli syna Marcina (1974-2000)
Ina Gretarsdottir (ur. 13.06.1985r)
Marcin Józef (28.04.1948-07.1973)
Marta (ur. 12.02.1954) mąż Witold Włodarczyk (ur. 23.10.1952) mają 2 dzieci:
Mateusz Włodarczyk (ur. 18.07.1975)
Katarzyna Włodarczyk (ur. 7.09.1978) mąż Bartosz Gwóźdź Sproketowski mają 2 dzieci:
Weronika (ur. 20.12.2006)
Jerzy (ur. 21.01.2009)
4. **Jerzy (Lotnik)** (1906-1941) żona Zofia Turczyn (ur. 6.10.1906) mieli 2 dzieci
Alicja Renata (ur. 1.01.1938)
mąż (primo) Jerzy Rataj mieli córkę
Lidia Rataj (ur. 2.08.1959), mąż (rozw.) Jacek Bagdach (19.11.1959)
mąż (secundo) Zygfryd Wojciechowski (ur. 1932) mają syna
Michała Wojciechowskiego (ur. 29.03.1972), żona Magdalena
z d. Kolbusz mają syna
Michała (ur. 11.05.2007)
Marek Jerzy (1939-1975) żona Pelagia Rams (ur. 1941) mają syna
Dariusz (ur. 1965) żona Agnieszka Łachwa (ur. 1970) mają syna
Bartosz (ur. 1995)
5. **Antoni** (26.05.1908-24.11.1982) żona Teresa Niwińska (ur. 6.08.1927) mają 2 synów
Jacek (ur. 28.10.1948)
żona (primo) Halina Baltyn (ur. 8.03.1947) mają 2 dzieci:
Jakub (ur. 5.05.1972), żona Małgorzata z d. Wiącek (ur. 6.09.1971)
mają 2 dzieci:
Jeremiasz (ur. 21.08.2007)
Michalinę (ur. 16.05.2010)
Małgorzata (ur. 24.11.1975), mąż Marcin Musiał (ur. 1982) mają 2 córki
Hannę Musiał Bzowską (ur. 24.10.2007)
Janinę Musiał Bzowską (ur. 26.08.2009)
żona (secundo) Jutta Krohne (ur. 8.04.1948) mają dwie córki
Julia (ur. 24.01.1987)
Joanna (ur. 25.12.1988)
- Jerzy** (ur. 21.08.1955) żona Ewa Drożdż (ur. 2.04.1955) mają 3 dzieci
Michał Jacek (ur. 20.03.1982)
Joanna Maria (ur. 9.10.1985) mąż Łukasz Szymerski (ur. 18.02.1986) mają syna
Jakuba ur. 11.12.2009
Barbara Agata (ur. 10.10.1991)

6. **Maria Anna** (31.08.1910-5.04.1999) mąż Edward Fitkau (1903-1985) mieli 2 dzieci
Agnieszka Fitkau (ur. 6.05.1942) mąż Marek Perepeczko (3.04.1942-17.11.2005)
Eryk Fitkau (16.02.1952-28.05.2010)
7. **Teresa** (1914-22.04.1996) mąż Andrzej Jaxa Konarski (1912-2.05.1988) mieli 2 córki
Anna (13.03.1938) mąż Wojciech Komorowski (8.04.1934) mają syna
Paweł Komorowski (ur. 8.07.1960),
żona (primo) Grażyna z d. Tuchalska (ur. 21.01.1959) mają córkę:
Dagmara (ur. 3.02.1978), mąż Arkadiusz Majcher (ur. 21.09.1981)
mają syna
Mateusza (ur. 18.05.2008)
żona (secundo – rozw) Nicki z d. Mainprice (ur. 5.04.1961) mają
3 dzieci
Aleksandra (ur. 18.09.1993)
Anastazja (ur. 17.03.1995)
Wiktoria (22.05.1998)
żona (trio) Kinga Krzywoń mają syna
Oliwier Wojciech(ur. 8.08.2000)
- Joanna** (ur. 27.08.1942) mąż Andrzej Kielczewski mają córkę
Patrycja Kielczewska (ur. 16.07.1969)

JAN BOŻYDAR JANOTA BZOWSKI (1903-1977) – drugi syn Wandy z z Poklewskich Kozielińców i Józefa Donata JB, pierwszego redaktora Zeszytów *Łącznika Rodzinnego*. Urodził się 30 sierpnia w Pasztowej Woli. (Zesz 2 str. 22 i Zesz.3 str. 34). Szwoleżer w wojnie 20 roku (16 letni chłopiec), potem w korpusie kadetów w Modlinie, studia w SGGW Warszawa. W dniu 11.10.1938 r. ożenił się Ireną Czaplicką, ur. 27.06.1914 r., córką Antoniego i Józefy z Piwnickich. W dniu 06.08.1949 r. owdowiał. Był uczestnikiem kampanii wrześniowej w 1939 r., żołnierzem Armii Krajowej. Pseudonim Jata. Inżynier rolnik, plenipotent majątku Lubiec, w czasie wojny dzierżawca gospodarstwa Stasinek – równocześnie dowódca kompanii AK obwód Legionowo-Jabłonna, po wojnie pracował w Banku Rolnym, prześladowany przez UB, cztery lata wilczy bilet. Od 1955 pracownik naukowy Polskiej Akademii Nauk – doktorat z ekonomii rolnictwa. W 1964 r. ożenił się po raz drugi z wdową Janiną Morawską z domu Biernacką dr nauk rolniczych. Po długiej chorobie zmarł 10 lipca 1977. Pochowany obok swej pierwszej żony, Ireny Czaplickiej, w grobie rodzinnym na Powązkach. Nabożeństwo żałobne odbyło się w kościele św. Jakuba przy pl. Narutowicza w Warszawie w dniu 13 lipca. Wartę honorową przy trumnie trzymali byli podwładni Jana Bożydara, żołnierze AK. Nad trumną przemawiali przedstawiciele Akademii Nauk, koledzy ze studiów i z konspiracji. Zastawił dwoje dzieci: Ryszarda i Jolantę.

RYSZARD KAROL JANOTA BZOWSKI (ur. 15.11.1940) – urodził się w miejscowości Łask, mgr inż. rolnik (Szkola Główna Gospodarstwa Wiejskiego Warszawa), 15 lat pracy w gospodarstwach prowadzących zarodową hodowlę zwierząt i Instytucie Zootechniki, 11 lat w Centralnej Stacji Hodowli Zwierząt, zastępca kierownika działu hodowli zwierząt, 9 lat w Agencji Nieruchomości Rolnych, do emerytury dyrektor Regionalnego Centrum Hodowli Zwierząt. Żonaty od 22.10.1966.

MARIA JANOTA BZOWSKA z domu Cedro (ur. 5.09.1943 w Białej Podlaskiej) – żona Ryszarda JB, mgr inż. zootechnik, absolwentka SGGW w Warszawie, 13 lat pracy w gospodarstwach prowadzących zarodową hodowlę zwierząt i Instytucie Zootechniki, potem 25 lat (aż do emerytury) pracowała w Centralnej Stacji Hodowli Zwierząt (ostatnie 8 lat jako kierownik działu hodowli trzody).

Ryszard i Maria JB mają troje dzieci: Michała, Marka i Martę i siedmioro wnuków.



Ryszard i Maria JB

Wnuczęta Marii i Ryszarda JB (2011 r): od lewej od góry: Artur Dziubiński (syn Marty i Marcina Dziubińskiego), Jakub i Basia (dzieci Michała i Anny), przy balustradzie od lewej Urszulka (córka Marka i Magdaleny), obok Alicja Czarnecka (córka Marty i Jakuba), Andrzej Piotr (syn Marka i Magdaleny) i Konrad Dziubiński (syn Marty i Marcina Dziubińskiego)



MICHAŁ JANOTA BZOWSKI (ur. 02.09.1969) – syn Ryszarda i Marii JB, ukończył AWF oraz kierunek zarządzanie w Akademii Leona Koźmińskiego w Warszawie, obecnie prowadzi własną działalność sportowo-rekreacyjną. Drugiego września 1995 wzięł ślub z Anną z domu Chuda. Poznali się w Zespole Pieśni i Tańca Politechniki Warszawskiej, gdzie z sukcesami występowali na scenach polskich i zagranicznych prezentując polski folklor.

ANNA JANOTA BZOWSKI z d. Chuda (ur. 10.07.1971) – żona Michała JB, Ukończyła Wydział Ekonomii Uniwersytetu Warszawskiego. Pracuje w American School of Warsaw jako Accounting Supervisor.

Od lewej: Anna, Barbara, Jakub i Michał



MAREK JANOTA BZOWSKI (ur. 1.02.1972) – syn Ryszarda i Marii JB, absolwent Wydziału Biologii Uniwersytetu Warszawskiego, dr biochemii pracuje w firmie zajmującej się badaniami klinicznymi leków. Członek Stowarzyszenia Dobrej Praktyki Klinicznej GCPpl. Interesuje się ornitologią. Żonaty od 24.06.1995 roku.

Od lewej: Magdalena, Urszula, Andrzej i Marek JB



MAGDALENA JANOTA BZOWSKA (ur. 13.02.1971) z d. Kozłowska – żona Marka JB, absolwentka Uniwersytetu Warszawskiego, historyk sztuki, dr nauk humanistycznych, pracuje jako wykładowca w Instytucie Edukacji Artystycznej Akademii Pedagogiki Specjalnej w Warszawie. Zajmuje się krytyką artystyczną. Marek i Magdalena JB mają dwoje dzieci Andrzeja i Urszulę.

MARTA KATARZYNA DZIUBIŃSKA z d. Janota Bzowska (ur. 16.08.1973) – córka Ryszarda i Marii JB – partnerka Jakuba Czarneckiego, mgr marketingu, pracuje w firmie telekomunikacyjnej, gdzie zajmuje się trade marketingiem. W wolnych chwilach organizuje wyjazdy rodzinne w ciekawe mało znane miejsca Polski. Od 03.2008 w związku z Jakubem Czarneckim. Mama Artura, Konrada Dziubińskich i Alicji Czarneckiej.

Od lewej:

Magdalena, Urszula, Andrzej i Marek JB



JAKUB CZARNECKI (ur. 4.04.1973) – syn Zbigniewa i Teresy Czarneckich, pracuje w firmie zajmującej się posadzkami epoksydowymi. Interesuje się informatyką i fotografią. Od 03.2008 w związku z Martą z d. JB, tata Alicji Czarneckiej.

JOLANTA PIOTROWSKA Z DOMU JANOTA BZOWSKA (ur. 25.03.1942) – córka Jana Bożydara i Ireny JB, wnuczka Józefa JB

Moje 69 lat przeszło i mam teraz jeszcze 31 lat do setki i te lata czekają na mnie. Będzie cudownie!!!!

Kiedy myślę o tym co było, staram się za bardzo w te lata nie zagłębiać. Było trudno, smutno, pracowicie. I tyle.....

Wielkim moim szczęściem było to, że zawodowo robiłam zawsze to, co naprawdę bardzo lubiłam (choć niestety nie przynosiło to dochodów), ale wiem, że praca którą wykonywałam, dała wielu dzieciom poczucie bezpieczeństwa, wiedzy, miłości i zrozumienia. A że losy życiowe przegoniły mnie przez wiele województw (jeździłam ze Śp mężem rolnikiem po różnych PGR-ach), to wszędzie tworzyłam dla tamtejszych dzieci placówki przedszkolne. A było co z tymi często zaniedbanymi dziećmi robić. Zostawiłam więc spuściznę po sobie w olsztyńskim, koszalińskim, toruńskim, skierniewickim. W końcu po kilkunastu latach wędrówek wróciłam do Warszawy i tu też stworzyłam małą placówkę dla dzieci w swoim dwupokojowym mieszkanku. Miało być 3-4 dzieci, a zrobiła się nawet szesnastka. Matki będące w ciąży prosiły, bym zatrzymała dla ich dzieci miejsce. Robiłam z tymi dziećmi cuda. Organizowałam też wakacje, a teraz bywam na różnych uroczych spotkaniach w domach moich dorosłych już przedszkolaków.

Drugą moją pasją od 18 lat to pomoc i wsparcie ludziom, którzy myślą o dobrej kondycji, dobrej sylwetce, a głównie pomoc tym, którzy sami nie mają silnej woli i trzeba ich wspierać. I to właśnie najbardziej lubię. Moim największym sukcesem jest pomoc człowiekowi, który ważył 230 kg. Próbował pomóc sobie w Instytucie Żywienia. Bez efektów. A moje wsparcie i pomoc suplementacyjna dokonała tak wiele, że zdjęliśmy 118 kg, 84 cm w obwodzie brzucha, bez konieczności operacji. Obecnie prowadzę grupy wsparcia, opiekuję się też indywidualnie każdym kto o to prosi, a im bardziej jest sceptyczny, tym większe mam wyzwanie i walczę z nim o jego sukces.

Mam dwóch wspaniałych synów, dwie miłe synowe i dwie udane wnuczki (16 i 17 lat). W dużej mierze chowałam synów sama, ale jestem z nich bardzo dumna, bo wyrosli na porządnymi i uczciwymi ludźmi.

Romek (starszy) niebywały organizator, urodzony menadżer. Im trudniejsze zadania organizacyjne tym lepiej. Tym większe wyzwanie.

Tomek (młodszy) ratownik medyczny, pracuje w Pogotowiu Medikawer, uczy innych ratownictwa, a ponieważ pasjonuje się wraz z bratem samochodami terenowymi, to jeździ na rajdy czasem jako uczestnik, a czasem jako ratownik i też łączy pasję z wiedzą.

Ponadto, ponieważ wyszłam drugi raz za mąż, to do rodziny dołączył Męża syn Rafał, potem jego partnerka Ewa i ich syn Michał.

Przyznaję, że jest mi bardzo miło, że mamy taką liczną rodzinę Janotów-Bzowskich, szkoda tylko, że mało się znamy, że lata wojny i czasy powojenne tak rozpedziły wszystkich po świecie i Polsce, a konieczność utrzymania się na powierzchni nie sprzyjały kontaktom rodzinnym.

Tym bardziej podziwiam Kazię i Pana Jana, że tak bardzo się zaangażowali, dali tak wiele nam wszystkim i jeszcze innych zapalili tą pasją. Dziękuję Wam bardzo za to.

Myszę, że teraz te następne lata, a mam ich do stu jeszcze 31, przeznaczę na miłe rodzinne kontakty.

TADEUSZ JANOTA BZOWSKI (1904-13.02.1983)

– trzeci syn Józefa Donata JB, pierwszego redaktora *Zeszytów Łącznika Rodzinnego*, zięć Jana JB z Borussowej.

Tadeusz JB ur. 28.12.1904 r. w Pasztowej Woli. Ukończył szkołę rolniczą w Bojanowie. Gospodarował najpierw w rodzinnych Bobrownikach a następnie administrował majątkiem Raba Wyżna (pp. Głowińskich) i Biała Waka. Jeszcze przed wojną, w wyniku gorącego romansu, urodziła mu się córka Wanda (mieszka w Wielkiej Brytanii, ma syna Christophera i córkę).

Poszukiwany przez gestapo przyjechał do rodziny do Borusowej, gdzie poznał Janinę (córkę Jana i Zofii z Krzyżanowskich). Ożenił się 3.03.1943 r. W grudniu tego samego roku urodził się im pierwszy syn Tomasz.

Po wojnie aresztowany i przetrzymywany w więzieniu w Tarnowie i Montelupich w Krakowie. Zwolniony z wilczym biletem długo nie mógł znaleźć pracy. Został zatrudniony w okręgowym Zarządzie Lasów Państwowych, który niedługo potem został przeniesiony do Przemyśla. Okręg obejmował tereny dawnego województwa rzeszowskiego, w tym Beskid Niski i Bieszczady. Były to czasy kiedy w tym kierunku dążyły wszystkie wyrzutki społeczne, nie tylko z przyczyn ideologicznych. Teren był zdewastowany po świeżych jeszcze walkach z UPA, dziki, ale wyjątkowo piękny.

Praca Tadeusza polegała na wizytowaniu sposobu sprawowania gospodarki leśnej na terenach mu podległych, a więc ciągłych podróży w niewyobrażalnie trudnych warunkach. W tym czasie jego żona Janina wychowywała samotnie w Tarnowie troje ich dzieci: Tomasza, Marcina i Martę. Jedyne okresy, które mogli spędzać razem, to wakacje, kiedy żona i dzieci przyjeżdżały do któregoś z parków konnych.



Tadeusz JB, 1941 Borussowa

W 1970 r. przeszedł na emeryturę i zaczął nagrywać audycje radiowe, mające słuchaczom przybliżyć Bieszczady ich życie ludzi i specyfikę. Gdy w 1971 zmarła mu żona, mimo poważnej choroby serca zaczął pracować jako przewodnik wycieczek po Bieszczadach. Jego niebywale silny organizm zniósł trudy więzienia, pracę wiążącą się z kilkudniowymi głodówkami, bardzo nieregularnym jedzeniem, przemarzaniem, podróżowaniem po terenie pozbawionym dróg, przez ogromne śniegi, rozkiśnięte mokradła i rzeki pozbawione mostów, zniósł ciężką rozłąkę z rodziną, śmierć ukochanej żony, a dwa lata później syna Marcina. Pozostał uśmiechnięty, ogromnie życzliwy ludziom i niebywale kontaktowy.

Jego ostatnim marzeniem było umrzeć na serce a nie udusić się wskutek choroby płuc. Marzenie to spełniło się 18.02.1983 r. Został pochowany w grobowcu rodzinnym w Gręboszowie obok żony i syna.

Pozostawił bardzo bogaty dorobek pamiętnikarski (w posiadaniu Rodziny).

MARCIN JÓZEF JANOTA BZOWSKI (28.04.1948-07.1973) –

drugi syn Tadeusza i Janiny JB, wnuk Józefa JB (Zesz. 4. s. 27), urodził się w Tarnowie. Szkołę Podstawową i Liceum Ogólnokształcące Nr IV ukończył w Tarnowie. W 1973 r. ukończył studia wyższe na Politechnice Krakowskiej na Wydz. Pojazdów (mgr inż. mechaniki). W czasie wakacji, tuż po zakończeniu studiów, zginął w wypadku motocyklowym pod Skwierzyną na ziemi lubuskiej.



Marcin Józef JB

TOMASZ JANOTA BZOWSKI (ur. 21.12.1943 w Borusowej)

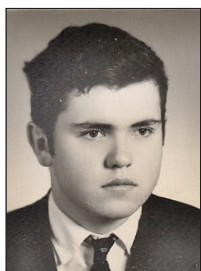
– syn Tadeusza i Janiny.

Po zmuszeniu rodziny, do opuszczenia majątku i dworu w Borusowej, przez 20 lat mieszkał w robotniczej dzielnicy Tarnowa – w Mościcach. Po ukończeniu Szkoły Podstawowej przez pewien czas uczęszczał do Zasadniczej Szkoły Zawodowej w Oświęcimiu, prowadzonej przez Salezjanów, a następnie do Technikum Chemicznego w Tarnowie, na specjalność elektroenergetyka. Technikum ukończył w 1965 uzyskując tytuł technika spec. elektroenergetyka. Pracę rozpoczął w Zakładach Azotowych jako młodociany



Tomasz JB (ur. 1943)

pracownik, pracując na różnych stanowiskach, przy czym przez ostatnie 32 lata na stanowisku elektroenergetyka ds. pomiarów i zabezpieczeń elektrycznych elektrociepłowni. W 1967 r. ożenił się z Alfredą Nalezińską. Miał syna Marcina Pawła ur. w 1974 r., który zginął w wypadku samochodowym w 2000 r. Córka Ina ur. 13.06.1985 r. niezamężna mieszka na stałe w Reykjavíku. W 2002 roku po przepracowaniu 40 lat, przeszedł na emeryturę. Pasją Tomasza jest brydż sportowy – jest członkiem Polskiego Związku Brydża Sportowego.



MARCIN PAWEŁ JANOTA BZOWSKI (10.08.1974-23.04.2000)

– syn Tomasza i Alfredy urodził się w Tarnowie. Uczęszczał do Technikum Chemicznego w Tarnowie na specjalność budowa aparatury chemicznej, a następnie do Technikum Samochodowego w Tarnowie. Zginął w wypadku samochodowym w Tarnowie (był pasażerem).

Marcin JB (ur. 1874)

ALFREDA JANOTA BZOWSKA JB z domu Nalezińska (ur. 30.03.1940) – żona Tomasza JB, syna Tadeusza JB.

Urodzona w Kępie Bogumiłowskiej, w 1958 r. ukończona Technikum Chemiczne w Tarnowie, na specjalności pomiary i automatyka. W 1968 r. ukończony Wydz. Mechaniczny Politechniki Krakowskiej – specjalista budowy aparatury chemicznej. Praca w Zakładach Azotowych w Tarnowie w Zakładzie Elektrociepłowni na stanowiskach wg podanej kolejności: kreślarz w biurze konstrukcyjnym, st. technik do spraw rozliczeń technologicznych, Kier. Oddz. Pomiarów i Automatyki, Specjalista ds. Automatyki, Kierownik Zakładu Remontów Mechanicznych ds. Elektrociepłowni i Energetyki w ZA. Otrzymała Odznakę Zasłużony dla Zakładów Azotowych. Od 2001 r. na emeryturze. Obecnie działa społecznie we Wspólnocie Mieszkańców oraz prezesuje Rodzinnemu Ogrodowi Działkowemu „Narcyz”.



Alfreda Janota Bzowska

MARTA WŁODARCZYK z domu JANOTA BZOWSKA (ur. 23.10.1952) – najmłodsza córka Tadeusza i Janiny Janotów Bzowskich, urodzona w Tarnowie.

Ukończyła w 1976 roku Uniwersytet Jagielloński w Krakowie Wydz. Prawa i Administracji, Kierunek – pravo. W 1974 r. wyszła za mąż za **Witolda Włodarczyka**, mając dwoje dzieci: Mateusza i Katarzynę.



Marta Włodarczyk z d. JB

MATEUSZ WŁODARCZYK (ur. 17.07.1975 w Krakowie) – ukończył ekonomię na Uniwersytecie Europejskim Viadrina – mieszka i pracuje w Heilbronn (Niemcy), kawaler.

KATARZYNA GWÓŹDŹ-SPROKETOWSKA z domu Włodarczyk (ur. 7.09.1978 r. w Gdańsku) – w 2003 roku ukończyła Uniwersytet Europejski Viadrina we Frankfurcie nad Odrą (Niemcy) oraz równolegle Uniwersytet Adama Mickiewicza w Poznaniu na kierunku prawo. Od 2008 roku z przyjemnością wykonuje zawód radcy prawnego. W 2005 roku wyszła za mąż za poznanego jeszcze podczas studiów na Viadrinie Bartosza Gwóźdź-Sproketowskiego, z którym mają dwoje dzieci: Weronikę urodzoną 20.12.2006 roku i Jerzego urodzonego 21.01.2009 roku w Ustce.



Katarzyna Gwóźdź-Sprotekowska i córka Nisia (Weronika)

BARTOSZ GWÓŹDŹ-SPROTEKOWSKI – ukończył Uniwersytet Europejski Viadrina w 2003 roku, na kierunku ekonomia. Od tego też roku z pasją pracuje w Urzędzie Miejskim w Słupsku na stanowisku dyrektora Wydziału Rozwoju Miasta Urzędu Miejskiego w Słupsku. Cała Rodzina mieszka nieopodal Słupska – w Krępie Słupskiej.



Bartosz Gwóźdź-Sprotekowski i syn Jerzy

JERZY JANOTA BZOWSKI (Lotnik) (1906-1941) – porucznik, podczas wojny służył w Royal Air Force w Dywizjonie Bombowym Wielkopolskim 305. Zginął śmiercią pilota w czasie bombardowania Bremen w Niemczech. Pochowany w Hamburgu.

ANTONI JANOTA BZOWSKI (26.05.1908-24.11.1982) – piąty syn Józefa Donata JB, pierwszego redaktora *Zeszytów Łącznika Rodzinnego*. Urodził się Pasztovej Woli, ukończył studia wyższe SGGW Warszawa, właściciel majątku w Bobrownikach, gmina Kluczewsko, później projektant w Biurze Projektów Wodno-Melioracyjnych. Po trudnym dzieciństwie członek Korpusu Kadetów w Modlinie, później absolwent szkoły im. Zamoyskiego w Warszawie, a następnie absolwent SGGW w Warszawie. Po ukończeniu tej uczelni administrował majątkiem w Rusocinach, następnie przejął własność rodzinnego majątku w Bobrownikach. Po wojnie więziony przez UB w Kielcach. Później przez wiele lat pracował jako projektant w Biurze Projektów Wodno-Melioracyjnych w Warszawie. Zmarł w 1982 r.

HALINA TERESA JANOTA BZOWSKA JB (ur. 8.08.1927) z Niwińskich – żona Antoniego JB. Urodzona w Janowej Dolinie. Niedługo po powrocie ze zsyłki w Kazachstanie w 1946 r. wyszła za mąż za Antoniego, pozbawionego własności „obszarnika” i „wroga władzy ludowej”.



Halina Teresa JB (ur. 1927)

JACEK JANOTA BZOWSKI (ur. 28.10.1948) – wnuk Józefa Donata JB, syn Antoniego i Haliny JB, mgr inż. instalacji sanitarnych, po 25 latach w pracy Niemczech wrócił do Polski na stałe i prowadzi biuro projektów instalacji sanitarnych i elektrycznych w Warszawie. Organizator Zjazdu Rodzinnego w Wygiełzowie w 2009 roku.



Jacek JB (ur. 1948)

JULIA JANOTA BZOWSKA (ur. 24.01.1987) – córka Jacka i Jutty JB, studiuje w Trewirze w Niemczech.

Joanna JB (ur. 25.12.1988) – córka Jacka i Jutty JB, studiuje w Granadzie w Hiszpanii.



Jerzy JB (ur. 1988)

JERZY JÓZEF JANOTA BZOWSKI (ur. 21.08.1988) – wnuk Józefa Donata JB, syn Antoniego i Haliny JB, mgr inż. Politechniki Warszawskiej, Wydziału Inżynierii Sanitarnej i Wodnej (dyplom w 1979). Pracował kolejno w Politechnice Warszawskiej, Instytucie Ochrony Środowiska, Ministerstwie Środowiska i EkoFunduszu (od 2007 roku był wiceprezesem, a później prezesem EkoFunduszu).



Ewa JB (ur. 1955)

EWA JOLANTA JANOTA BZOWSKA (ur. 2.04.1955) – z domu Drożdż, żona Jerzego JB, nauczycielka matematyki. Po ukończeniu XXXiX LO w Warszawie ukończyła Wydział Mechaniczno-Technologiczny PW w Warszawie uzyskując w 1979 r. tytuł inżyniera organizatora przemysłu maszynowego. Pracowała kolejno w biurach projektowych i ośrodkach związanych z zarządzaniem produkcją i po krótkim epizodzie w Instytucie Ochrony Środowiska podjęła pracę nauczycielki matematyki w szkołach podstawowych, zgodnie ze swoim pragnieniem i powołaniem.

MICHAŁ JACEK JANOTA BZOWSKI (ur. 20.03.1982) – syn Jerzego i Ewy JB, wykształcenie średnie. Uzyskał maturę w I LO im. gen. Maczka w Warszawie. Po skończeniu szkoły średniej podjął pracę jako serwisant i sprzedawca rowerów (zgodnie ze swoją pasją).



Michał JB (1982)

JOANNA MARIA SZYMERSKA z domu JANOTA BZOWSKA (ur. 9.10.1985) – córka Jerzego i Ewy JB, uzyskała maturę w LO im. gen. Stefana Żeromskiego w Warszawie. Po skończeniu szkoły średniej ukończyła pomaturalną szkołę Wizażu i Charakteryzacji w Warszawie. Wyszła za mąż za Łukasza Szymerskiego i w 2009 roku urodziła Jakuba. Matka dzieciom. Wolny zawód wizażystki i charakteryzatorki.

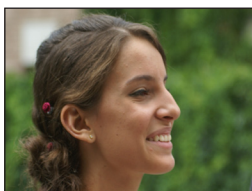


Łukasz Szymerski (1986)

Jakub Jerzy Szymerski (ur. 11.12.2009)

Joanna JB (1985)

ŁUKASZ SZYMERSKI (ur. 18.02.1986) – mąż Joanny z domu JB. Po ukończeniu Szkoły Średniej zdobył licencjat na AWF w zakresie organizacji turystyki. Kontynuuje studia na Uniwersytecie Warszawskim w podobnej kierunku. Obecnie pracuje jako instruktor pływania na basenie na Grochowie w Warszawie.



BARBARA AGATA JANOTA BZOWSKA (ur. 10.10.1991) – córka Jerzego i Ewy JB, ukończył w 2010 r. XIII LO im. płk. Lisa Kuli w Warszawie. Studiuje na SGGW na kierunku ochrony środowiska.

Barbara JB (1991)

AGNIESZKA PEREPECZKO (ur. 6.05.1942) – z d. Fitkau, córka Marii Fitakau z d. JB i Edwarda Fitkau (Zesz. 4. str. 28), wnuczka Józefa JB i Wandy z Kozieł-Poklewskich

Aktorka, felietonistka i pisarka (Zesz. 4. str. 28), aktywna zawodowo, podróżująca między kontynentami. Strona internetowa Agnieszki: <http://www.aperepeczko.pl/>. Autorka wielu książek. Na przykład w „Śniadaniu w łóżku i inne rozkosze” (wyd. Nowy Świat. Warszawa 2006) wspomina także tradycje dworu w Bobrownikach.

Agnieszka Perepeczko



TERESA KONARSKA Z D. JANOTA BZOWSKA (10.03.1914–22.04.1996) – najmłodsza córka Józefa JB i Wandy z Kozieł-Poklewskich (Zesz. 4. str. 28-29). Długie lata pracy zawodowej w Banku Polskim i Narodowym Banku Polskim opisała we „Wspo-

mnieniach Bankowca”, wydanych przez NBP. Pozostawiła imponujący dorobek pamiętnikarski. Nagrodzona w 1994 roku I nagrodą w konkursie „Dzienniki Peerelu”, ogłoszonego przez wydawnictwo „Karta”. Jej dziennik z lat 1979-89 liczy 9 tys. stron. Autorka uznana została przez jury za niezwykłego kronikarza współczesności.

Wspomnienie córki Joanny:

Stary, pożółkły dokument ... napisano ... „Stawił się Józef ... właściciel majątku Bobrowniki... i okazał nam dziecię płci żeńskiej ... urodzone w dniu 10 marca 1914 roku. Dziecięciu temu nadano na Chrzcie Świątym imiona Teresa, Marta Józefa...”

Tereska była malutka, wątlutka. Jej czterej starsi bracia byli mocni jak tury. Siostra Marychna – gruba i radosna. Tereska dorastała pod czułym okiem Niani. Mama Tereski – była niezwykle piękną kobietą. Kiedy wychodziła za Tatę była podobno bardzo w nim zakochana. Jednak coś ciągnęło ją do wielkiego świata, teatrów, poezji i głębokich romantycznych przeżyć. Jak mówiła Niania : „nie zajmowała się dziećmi, tylko siedziała pod gruszą i pletła warkocze”.

Korepetytor chłopców Władek przyjeżdżał konno z pobliskiego mająteczku. Codziennie mijając gruszę, napotykał żarliwe spojrzenie pięknej Pani. Miał lat 18. Ona 36. Wbrew wszelkim regułom zakochali się w sobie bez pamięci. Któregos dnia odjechali. Tata został sam z szóstką opuszczonych dzieci w ukochanych Bobrownikach. A Niania na zawsze porzuciła narzeczonego, żeby opiekować się małą Tereską.

Po dwóch latach przyjechała z krótką wizytą Mama. Tereska nie jadła tylko patrzyła na tę swoją piękną, wymarzoną mamę. „Ależ to francuski piesek z tej Tereski” – powiedziała tylko piękna, obca pani i odjechała. Odtąd Tereska nie chciała Mamy znać. Zamieszkała w starym modrzewiowym dworze – sama z psami. Dwór owiany był legendą o duchach. Nie bała się ich, a one jej nie straszyły. Tylko czasem, zupełnie bez powodu wszystkim psom jednocześnie jeżyła się sierść na karku.

Tereska kochała Bobrowniki, konie, psy i... brata Tadeusza. Tadzio testował charakter Tereski. Mówił „moja Terecha się nie boi” i prowadził ją w czasie burzy na górkę, do lasku brzoźowego – gdzie pioruny waliły najmocniej. Prowokował ją do skoku z urwistego brzegu do rwącej Pilicy. Tereska skakała, mimo że nie umiała pływać, a on przyglądał się jak siostra walczy z żywiołem i w ostatniej chwili wyławił ją ledwo żywą. Był z niej dumny, a ona nauczyła się głęboko ukrywać swoje lęki.

Dzieci podrosły. Tata zabrał całą szóstkę i Nianię do Warszawy. Zamieszkali w dużym mieszkaniu na pierwszym piętrze, na ulicy Żurawiej. Uczyli się. Tereska tęskniła do swoich Bobrownik, koni i psów. Siostra Marychna czuła się w Warszawie znakomicie. Wyrosła na śliczną dziewczynę. Kochała flirty, bale – w domu kręciło się mnóstwo młodych chłopców – kolegów, braci i... adoratorów Marychny.

Tereska była nieśmiała. Niania ostrzegała: „Uważaj Teresko, każdy mężczyzna kłamie jak pies”. Chowała się więc w swoim pokoju i połykała tony książek. Przyszła matura. Tereska była najlepsza z literatury i łaciny. Mogła iść na studia, ale wydawało jej się, że pomoże swojemu ukochanemu ojcu, jeśli pójdzie szybko

do pracy. Skończyła szkołę handlową i zaczęła pracować jako sekretarka dyrektora Banku Polskiego.

Marychna, ku zdziwieniu wszystkich skończyła szkołę pielęgniarską, pracowała z zamiłowaniem w swoim zawodzie. Zakochał się w niej bez pamięci najprzystojniejszy lekarz, za którego wkrótce miała wyjść za mąż. Pozostawiła bez skrępowań licznych adoratorów w nieutulonym żalu.

Jeden z nich, Andrzej, długo cierpiał, aż któregoś dnia zauważył, że Tereska wyrosła, na pannę niezwykle zgrabną, o delikatnej, ładnej twarzy. Była też inteligentna. Wkrótce oświadczył się Teresce i został przyjęty. Tak to nieśmiała Tereska pierwsza z całego rodzeństwa stanęła na ślubnym kobiercu. Wkrótce urodziła się Ania. Zamieszkali w miłej willi na Żoliborzu.

Przyszła wielka wojna. Andrzej walczył, a Tereska z malutką Anią, pojechała autobusem bankowym wywożącym złoto z bankowego skarbcza. Uciekali do Rumunii. Kiedy minęli Zaleszczyki, Tereska zdecydowała zostawić swoich bankowych kolegów i sztaby złota. Wracając do Polski. Bała się Rosjan, bała się Niemców, ale w Warszawie byli jej bliscy. Wynajęła furmankę, którą sama powoziła - i tak od dworu, do dworu wędrowała z innymi uchodźcami. W Lublinie, na ulicy usłyszała znajomy głos: „Tereska??!!”. Był to Andrzej, który także dotarł do Lublina. Udało mu się uciec z niewoli, do której dostał się po bitwie pod Kockiem.

Wrócili do okupowanej Warszawy. Marychna pracowała w szpitalu Maltańskim opatrując tysiące rannych. Jej mąż, lekarz dostał się do niewoli bolszewickiej. Znalazł się w obozie jenieckim w Katyniu. Namawiał wszystkich jeńców, polskich oficerów, aby zorganizować natychmiastową ucieczkę. Znał Rosję sowiecką. Nie miał wątpliwości, że bolszewicy wszystkich zlikwidują. Nikt mu nie uwierzył. Przecież sowieci podpisali konwencję genewską... Wszyscy zginęli, a on samotnie przedarł się cudem przez zieloną granicę. Wrócił do Warszawy.

W 1942 roku mąż Marychny odbierał poród Tereski. Kiedy tuż obok kliniki na Starynkiewicza spadały bomby sowieckie, urodziła się druga córeczka, Joanna. Andrzej był w AK. Wśród gęstego dzikiego wina rosnącego na ich żoliborskim płocie ukryli pociski. Churchill obiecywał, że kiedy liście z drzew opadną wojna się skończy. Tymczasem liście z wina zaczęły opadać... Tereska własnoręcznie zakopywała pociski w skrzynkach w ogrodzie... i wydawała, kiedy chłopcy planowali kolejny zamach.

Któregoś dnia do żoliborskiego domku weszło dwóch gestapowców. Zrobili Andrzejowi propozycję współpracy. Twierdzili, że Niemcy chcą tworzyć wspólnie z Polakami front przeciwko bolszewikom... Andrzej poprosił o dzień do namysłu. O dziwo, zgodzili się. Rano niepostrzeżenie opuścili swój dom. Tereska z Anią pojechała na fałszywych papierach do zaprzyjaźnionego dworu w kieleckim. Malutką Joannę mama Andrzeja zawiozła do brata Tereski. Andrzej, myląc ślady, dotarł po kilku dniach do kieleckiej partyzantki. Zostawili wszystko co mieli. Musieli udawać, że wychodzą na chwilę, jak co dzień.

Tereska do przyścia armii bolszewickiej mieszkała w Olesznie. Organizowała dostawy żywności i ubrań dla kieleckiej partyzantki. Po roku odebrała Joannę. W pociągu jej córeczka płakała żałośnie z tęsknoty za ciocią Irką: „Ja chcę do mojej mamusi”. Pasażerowie pociągu patrzyli na Tereskę podejrzliwie – czyżby ukradła komuś dziecko?.

Skończyła się wojna. Na dalsze życie wybrali Wybrzeże. Mieli piękne mieszkanie w Sopocie. Andrzej założył firmę zajmującą się rybołówstwem. Miał coraz więcej kutrów, chłodnie i przetwornie. Tereska wreszcie była szczęśliwa. Sprowadziła Nianię. Wróciła mama Andrzeja, uratowana z obozu Ravensbrück przez szwedzki Czerwony Krzyż,

Tereska uwielbiała słońce i sopocką plażę. Uszyła sobie z ręcznika biały, dwuczęściowy kostium kąpielowy i robiła furorę na plaży. Była niesamowicie zgrabna i pięknie opalona. Pierwszy raz w życiu flirtowała. Na Wybrzeżu wylądowało mnóstwo ludzi z ich przedwojennego środowiska. Mieli wielu znajomych i przyjaciół.

Jednak szczęście w reżimowym kraju nie mogło trwać długo. Kto nie schowa się „do darni, do korzeni” – jak ostrzegał ją kiedyś w Olesznie gen. Okulicki – ten nie ma w komunistycznym systemie szans przetrwania. A Tereska i Andrzej byli widoczni, zażoźni i radośni. Takich niszczone. W 1949 roku UB zabrało firmę, wydało nakaz komisji z Wybrzeża, a dla podkreślenia swojej mocy Andrzeja zamknęło w więzieniu.

Tereska już nigdy nie zapomniwała bajkowego Sopotu. Zamieszkali w Milanówku, gdzie Marychna znalazła im tymczasowe mieszkanie niedaleko swojego domu. Nie było łazienki. Mieli tylko trzy małe pokoiki. A oprócz Tereski, Andrzeja, Ani, Joanny była też Babcia i Niania. Trwało to 13 lat. Często mawiała beztręsko „*zamienię męża plastyka na mieszkanie w Warszawie*”.

Po długich staraniach Tereska dostała przydział na mieszkanie w bankowym domu na ulicy Lwowskiej w Warszawie. Cieszyła się jak dziecko. Przeprowadzili się natychmiast. I wtedy to nieopatrznie wypowiedane życzenie Tereski sprawdziło się. Miała mieszkanie, ale zabrakło Andrzeja. Odszedł do Izabelli.

Ania wyszła za mąż. Joanna wyjechała do Anglii. Tereska została w swoim ukończonym, wymarzonym mieszkaniu sama z Nianią. Mimo często ogarniających ją smutków znalazła w tym swoim nowym życiu spełnienie. Zaczęła pisać. Najpierw zgłębiała listy carskiej córki, potem spisała wspomnienia własne, i przepisywała na maszynie pamiętniki wielu innych ludzi. Mieszkanie na Lwowskiej nazywała „Herbaciarnią przy gościńcu”. Rzeczywiście wszystkie drogi tam się krzyżowały. Często ktoś nocował. Każdy gość był częstowany świetną mocną, gorącą herbatą. A stara maszyna stukwała w dzień i w nocy.

Kiedy uporczywe pragnienie wolności Polaków przerodziło się w „Solidarność”, Tereska zbierała codziennie wiadomości ze wszelkich możliwych źródeł. Jedno radio było nastawione na Wolną Europę, drugie na Warszawę. Tereska stała się kronikarką PRL. Napisała przez kilka gorących polskich lat 17 grubych tomów „Dzienników”. Została doceniona. Wydawnictwo „Karta” przyznało jej pierwszą nagrodę

w konkursie na „Dzienniki PRL”. Herbaciarnię przy Gościńcu nawiedzali teraz profesorowie i literaci.

Odwiedzał ją też coraz częściej Andrzej. Tęsknił do Tereski. Nie mieszkał już ze swoją damą. Tereska boczyła się jeszcze na niego i na jego psa, którego nazywała „Pomiotem” Izabelli, ale grała z nim wieczorami w szachy, czasem jechali Andrzeja „maluchem” odwiedzić Joannę, chodzili razem do kina i teatru. Tylko finansowej pomocy Andrzeja odmawiała. Była już na emeryturze. Dorabiała przepisywaniem na maszynie prac magisterskich i doktorskich.

Potem Tereska miała czerniaka. Usunięto go w porę... ale... razem z okiem. Mówiła o sobie „Cyklop”, choć miała świetną protezę. Andrzej zamieszkał na Lwowskiej. Opiekował się Tereską. Była mu za to wdzięczna, ale często wypominała mu jego zdradę.

Wkrótce przyszła choroba Andrzeja. Miał chłoniaka. Kolejne chemie. Lepsze i gorsze okresy. Dobrze, że mieszkali razem. Po czterech latach śmierć zabrała Andrzeja na zawsze. Zdażył powiedzieć Joannie: „Dbaj o Mamę – Tereska, to w głębi duszy przestraszona wiewióreczka”

Andrzej odszedł na zawsze. Tereska zamieszkała z Joanną i wnuczką w drewnianym domku w Czarnowie koło Konstancina. Nie było już „Herbaciarni przy gościńcu”. Czasem ktoś przyjeżdżał. Joanna jeździła po Polsce i po świecie. Taką miała pracę. Wnuczka latała jako stewardesa. Tereska miała Wiesię, która była na każde skinienie, ukochane psy i białego kotka, który układał się na stole obok starej maszyny do pisania. Przyjeżdżała Anka. Wiele weekendów spędzała z nią Marychna. Ale Tereska często mawiała, że czuje się „zamknięta w złotej klatce”. Śniła o swojej „herbaciarni przy gościńcu” i zapisywała niewyraźnym pismem liczne zeszyty i kartki. Na ostatnim zdjęciu, siedzi, malutka na czarnowskiej kanapie z ukochanym wilczurem Maksem. W 1996 roku dostała udaru. Anka i Joanna były z nią do końca. Umarła 22 kwietnia w rocznicę swojego ślubu. Jakby chciała zrobić niespodziankę swojemu Andrzejowi.

Kiedy na zawsze odeszła, zostały po niej tysiące napisanych przez nią stron, fotografie i... napis na płycie starego powązkowskiego grobu: „Teresa Konarska, żołnierz AK, kronikarz” ... Nasza Mama ...

ANNA MARIA KOMOROWSKA Z DOMU KONARSKA (ur. 13.03.1938) – córka Teresy i Andrzeja Konarskiego, wnuczka Józefa JB i Wandy z Kozieł-Poklewskich wraz z mężem Wojciechem Komorowskim (+7.09.2011) ukończyli Wydział Rolny SGGW, oboje zajmowali się hodowlą koni i jeździectwem sportowym. Obecnie Anna na emeryturze, lecz posiada uprawnienia instruktora jazdy konnej, co wykorzystuje, ucząc tej sztuki dzieci i młodzież profesjonalnie i z wielkim zamiłowaniem.

W rozdziale 5.8 niniejszego Zeszytu cytujemy artykuł poświęcony karierze zawodowej Anny i Wojciecha Komorowskich, a w rozdziale 4 „Ci co odeszli” podany jest link strony internetowej poświęcony wspomnieniu o Wojciechu Komorowskim.

PAWEŁ KOMOROWSKI (ur. 8.07.1960) – syn Anny i Wojciecha Komorowskiego, wnuk Teresy Konarskiej z d. Janota Bzowskiej. Ojciec czterech córek i syna. Obecnie w Anglii. Prowadzi własną firmę rekrutującą profesjonalnych pracowników polskich w Wielkiej Brytanii.

JOANNA KIEŁCZEWSKA Z DOMU KONARSKA (ur. 27.08.1942) – córka Teresy i Andrzeja Konarskiego, wnuczka Józefa JB i Wandy z Kozieł – Poklewskich. Przez blisko trzydzieści lat była przedstawicielką firm fińskich. Wprowadziła przez te lata wiele nowoczesnych urządzeń, technologii na rynek polski. Ostatnie lata pracy poświęciła na budowę i rozwój fińskiej inwestycji w Polsce, fabryki rur polietylenowych w Bełchatowie, KWH Pipe. Zajmowała się również dostawą kompletnych projektów infrastruktury komunalnej na rynki polskie i zagraniczne. Obecnie na emeryturze, pisze, podróżuje.

Wspomnienia Joanny zamieszczamy w rozdziale 5.9. „Wspomnienia Joanny – Dzidzia”

PATRYCJA KIEŁCZEWSKA (ur. 16.07.1969) – córka Joanny i Andrzeja Kiełczewskiego, wnuczka Teresy Konarskiej z d. Janota Bzowskiej. Przez kilka lat była stewardessą amerykańskich linii lotniczych „DELTA”. Potem pracowała w biurze podróży, a następnie przy produkcji filmów fabularnych, studiując jednocześnie w Łódzkiej Szkole Filmowej na Wydziale Organizacji Produkcji Filmowej i Telewizyjnej. Obecnie absolwentka tego wydziału i kierownik produkcji programu „Mam talent” ukazującego się w komercyjnym kanale telewizyjnym TVN.

3.11. LINIA KIELECKA (11)

Józef Felicjan (1704-1770) żona Teofila z Jordanów (1727-1786)

Stanisław (1756-1817) żona Julia Zborowska (zm. 1830)

Teofil (1794-1853) żona Franciszka Laskowska

Bolesław (1834-1895) żona Stefania Kossowska (1833-?) mieli 5 dzieci:

Żelisław (1860-1922)

Kazimiera (1864-?) mąż Józef Rybicki (?-1930)

Michał (1867-1942/3 ?)

żona (primo) Maria Żakowska (1878-1932) mieli 4 dzieci:

Jadwiga (1903-1982) mąż Edmund Pobóg Malinowski (1896-1956) mieli 2
dzieci:

Marię (ur. 1937) mąż Stanisław Wojtala (ur. 1928), lekarze, (Ostrowiec
Św.) – mają 2 dzieci [

Paweł (ur. 1969)

żona (primo) Marta Dobosz mają córkę Mary

żona (secundo) Anna Nieradka mają 2 synów

Krzysztof (ur. 2003)

Maciej (ur. 2006) – (Sieradz)

Małgorzata (ur. 1973) (mieszka w Łodzi)

Edmund (ur. 1954) żona Jadwiga Bieniasz (mieszkają w Rzepinie) mają
2 córki:

Marzena (ur. 1968) mąż Bogdan Horbas (w Niemczech) mają 2 dzieci

Klaudia (ur. 1991)

Krystyna (ur. 1995)

Jolanta Agnieszka (ur. 1972) mąż Jerzy Wielądek (Rzepin) mają 2
dzieci

Wojciech (ur. 1999)

Kajetan (ur. 2001)

Maria (1906-1984) mąż Wiesław Malik (1905 – zaginął w czasie II wojny)
mieli 2 dzieci

Teresa (1931-1939)

Krystyna (ur. 1937) mąż Stanisław Sternal (ur. 1937) mają 3 dzieci:

Renata (ur. 1964) mąż Zbigniew Kowalewski mają córkę

Barbarę (ur. 1987)

Tomasz (ur. 1965) żona Anna Kamińska mają córkę

Adriannę (ur. 2002)

Ewa (ur. 1976) mąż ... Zborowski mają syna

Jakub Michał (ur. 1998)

Tadeusz (1907-1966) żona Wanda Niemirko (1914-20.06.2006) mieli 6 dzieci:

1. Ryszard Janusz (ur. 25.01.1939) żona **Halina Dogodzka** (ur. 7.04.1941) mając 2 dzieci
 Marta (ur. 26.04.1968) – lek. stomatolog, mąż Piotr Jednaszewski (ur. 3.12.1965)
 Andrzej (ur. 10.03.1972) – żona **Karina Maria Bochenek** (ur. 26.08.1973) mając 2 dzieci
 Natalia (ur. 18.11.2003)
 Karolina Monika (ur. 27.08.2007)
 2. Zbigniew Tadeusz (ur. 1.01.1940), żona **Barbara Jakubiec** (ur. 20.04.1939) – mgr rolnik, mając córkę
 Ilona (ur. 30.09.1967) – mąż Marek Gosztyła (ur. 27.06.1964) – mgr konserwator dzieł sztuki mając 2 dzieci:
 Wioleta (ur. 26.11.1992)
 Jacek (ur. 18.09.1998)
 3. Maria Renata (ur. 13.07.1943) – mgr inż. geolog, mąż Kazimierz Tadeusz Kujda (ur. 30.11.1939) mając 2 dzieci
 Andrzej (ur. 1.03.1972) elektrotechnik, żona Aneta Monika Piecych (ur. 15.03.1977) mając 5 dzieci:
 Michał Łukasz (ur. 9.03.2004)
 Patryk Marcin (ur. 9.03.2006)
 Wiktoria Alicja (ur. 6.05. 2008)
 Kamil Andrzej (ur. 6.05. 2008)
 Hubert Kacper (ur. 25.06. 2010)
 Renata Justyna (ur. 20.03.1973) dypl. wychowawczyni, mąż Volker Thels (ur. 1968) – małżeństwo kościelne unieważnione
 4. Jan Andrzej (ur. 1946) – mgr inż., elektronik, żona Maria Ehrenkreutz (ur. 24.09.1946) mając 2 dzieci:
 Paweł Jerzy (ur. 24.02.1973) – mgr zarządzania, żona Angelika Monika Wyrzykowska (ur. 2.11.1971) – mgr ratownictwa medycznego
 Anna Barbara (ur. 1.11.1977) – mgr politolog, mąż Adam Wiewiorowski (ur. 5.04.1979) – informatyk
 5. Zygmunt Stanisław (ur. 1955), żona Barbara Kaczmarczyk (10.06.1956-23.09.2001) – mgr farmacji mając syna
Albert (ur. 2.02.1983) – fizjoterapeuta
 6. Hanna Jadwiga (ur. 26.02.1955) – nauczycielka wychowania plastycznego, mąż dr Ulrich Cramer von Clausbruch (ur. 1.09.1949)
- Jan Stefan (1910-1968) żona Anastazja Znojek (ur. 1922-2007) mając 2 dzieci:
 Barbara (ur. 1954) mąż Zbigniew Milewski (ur. 25.03.1951), lekarz ortopeda, mając 4 dzieci

Ewa (ur. 30.09.1985) – studentka

Aleksandra (ur. 27.11.1986) – studentka

Paulina (ur. 20.10.1994)

Piotr (ur. 20.10.1994)

Zdzisław (ur. 1956), mgr inż. bud. lądowego, żona Iwona Charabin (ur. 17.06.1960), mgr wychowania. przedszkolnego, mając 2 dzieci

Jacek (ur. 6.04.1984) – absolwent SGH Warszawa

Katarzyna (ur. 28.11.1985) studentka Akademii Ekonomicznej w Krakowie

żona (secundo) Anna Sawicka (1885-1977) – dzieci nie mieli

Jan (1868-1877)

Maria (1879-1930) mąż Medard Dworski (?–1929)

KRYSTYNA MALIK (ur. 1937) – lekarz stomatolog żona Stanisława Sternala, lekarza stomatologa.

RENATA KOWALEWSKA Z D. STERNAL (ur. 1964) – lekarz, żona Zbigniewa Kawalewskiego inżyniera.

BARBARA KOWALEWSKA (ur. 1987) – studentka pedagogiki specjalnej, mieszka w Buczkowicach k. Bielska.

TOMASZ STERNAL (ur. 1965) – lekarz okulista ożeniony z Anną Kamińską, mając córkę Adriannę (ur. 2002), mieszkają w Ostrowcu Świętokrzyskim

EWA STERNAL ZBOROWSKA (ur. 1976) – filolog anglistyki ma syna Jakuba Michała, mieszka w Ostrowcu Świętokrzyskim.

RYSZARD JANUSZ JANOTA BZOWSKI JB (ur. 25.01.1939)

– pierwszy syn Tadeusza i Wandy JB, mgr inż. budownictwa lądowego, żona Halina d. Dogodzka. Mieszkają w Olsztynie. Zauroczeni swoimi wnuczkami: Natalią i Karoliną.



Ryszard JB z Natalią i Karoliną (2010 r.)

HALINA JANOTA BZOWSKI z domu Dogodzka (ur. 7.04.1941) – żona Ryszarda, mgr filologii polskiej. Babcia Natalii i Karoliny.

ANDRZEJ JANOTA BZOWSKI JB (ur. 10.03.1972) – syn Haliny i Ryszarda JB, mgr inż. budownictwa lądowego, autor najnowszego drzewa genealogicznego Rodziny. Absolwent Politechniki Gdańskiej (kierunek budownictwo). Pracuje w polsko –szwedzkiej firmie budowlanej, ojciec dwóch uroczych, uzdolnionych muzycznie córeczek – Natalii i Karoliny.

KARINA MARIA BZOWSKA Z DOMU BOCHENEK (ur. 26.08.1973 w Gdyni) – mgr prawa. Matka Kariny Jadwiga zd. Garzombke, ur. 27.11.1946 w Kielnie, ojciec Zygmunt Bochenek, ur. 12.05.1942 w Katowicach, siostra Beata Urbanek, ur. 25.01.1967 w Rumii; Karina pracuje w sądzie, zainteresowania: muzyka, taniec, narciarstwo, pływanie.

NATALIA BZOWSKA (ur. 18.11.2003 w Gdyni) – córka Kariny i Andrzeja JB, wspólnie śpiewa i gra na flecie prostym. Ulubione powiedzenie Natalii wykorzystywane w obliczu przeciwności: „*Takie jest życie*”.

KAROLINA MONIKA (ur. 27.08.2007 w Pucku) – córka Kariny i Andrzeja JB.

ALBERT JANOTA BZOWSKI (ur. 02.02.1983) – syn Zygmunta JB, wnuk Tadeusza i Wandy JB. Wykształcenie: licencjat fizjoterapii, stan cywilny – na zawsze wolny. Zajęcie: niespełniony piłkarz. „Urodziłem się, studio- wałem, grałem w piłkę nożną na poziomie Mistrzostw Polski Juniorów w Kielcach. Pracowałem w służbie zdrowia w Anglii, Szkocji, USA i obecnie w Kanadzie. Jeszcze nie pracowałem w swojej ojczyźnie, ale bardzo za nią nie tęsknie (żartuję). W życiu szukam kontaktu z ludźmi uczciwymi, nie zawistnymi, żartobliwymi i chętnymi poświęcać czas biednym i potrzebującym, nie materialistami.



3.12. LINIA STEFANA SZCZEPANA (12) POWSTAŃCA 1863

– żona Emilia Hempel

Józef Felicjan (1704-1770) żona Teofila z Jordanów (1727-1786)

Stanisław (1756-1817) żona Julia Zborowska (?-1830)

Teofil (1794-1853) żona Franciszka Laskowska mieli 6 dzieci:

Joanna (1826-?) mąż Ludwik Kobyliński

Eufemia (?-1904) mąż Ludwik Linowski

Konstanty (1828-1878) Maria Łaska – *ciąg dalszy gałęzi podany jest w Linii Bobrownickiej*

Aleksander (1830-1899) żona Lucyna Kozierowska (1841-1911) – *ciąg dalszy gałęzi podany jest w Linii Stanisława Pierwszego Starosty Rodowego*

Bolesław (1834-1895) żona Stefania Kossowska (1833-?) *ciąg dalszy gałęzi podany jest w Linii Kieleckiej*

Stefan Szczepan (1839-1926) żona Emilia Hempel (1851-1929) mieli 5 dzieci

1. Kazimierz (Sędzia) (1875-1858)

żona (primo) Małgorzata Stanek (1883-1953) mieli 5 dzieci

Maria (1906-1944)

Jadwiga (1908-1944)

Wanda (1912-1944)

Józef (ur. 1919) żona Marguerite Gacon (1919-2005) mieli 6 dzieci:

Wanda (ur. 1945) mąż Michael Hawkins (ur. 5.05.1945) mają syna
Anthony Hawkins (ur. 27.10.1973)

Jadwiga (ur. 22.03.1948-19.08.2009)

Marek (ur. 3.01.1952) żona Joan Rice (ur. 1953) mają 3 dzieci

Józef (ur. 8.10.1986)

Alicja (ur. 17. 03.1988)

Jack (ur. 9.06.1992)

Paweł (ur. 30.04.1955) żona Leslie Willis (ur. 1955) mają 2 dzieci

Daniel (ur. 28.02.1987)

Emma (ur. 23.08.1991)

Maria (ur. 25.07.1957) mąż Philip Mills (ur. 1959)

Anna (ur. 24.07.1959)

Kazimierz Autor Zeszytu 5 Łącznika (1925-6.07.2005) żona Regina Jagielska (ur. 1929)

żona (secundo) Maria Juda (1879-1976)

2. Wanda Siostra Miłosierdzia (1877-1937)

3. **Konstanty (Trzeci Starosta Rodowy)** (1878-1960) żona Łucja Seydel (1883-1977)

4. Henryk (1879-1915)

5. **Włodzimierz** (1881-1942) żona Maria Steckiewicz (1882-1974) mieli syna **Zdzisława (1910-1.07.1985)**. Autor Kroniki Rodziny Janotów Bzowskich
 żona (primo) Hanna Paszkiewicz (ur. 1911-2007) syn
Jacek (ur. 15.02.1939) żona **Dorota Kochanowska** (ur. 12.04.1951)
 mając córkę
Annę (ur. 24.03.1979) mąż **Jan Michał Tarnowski** (ur. 18.11.1970)
 mając 2 dzieci:
 Helena Gabriela Maria (ur. 28.10.2008)
 Antoni (ur. 5.01.2011)
 żona (secundo) Ludwika Retyńska (1921-1960)
 żona (tertio) Jadwiga Rudnicka

STEFAN SZCZEPAN JANOTA BZOWSKI (1839-1926) – powstaniec 1863 roku, ziemianin, radca Towarzystwa Kredytowego – Jego życiorys przedstawiono w Zeszyście 2 Łącznika 25-26, oraz w Zeszyście 5. (forma elektroniczna autorstwa Kazimierza i Janusza JB). Pozostawił 5-cioro dzieci: **Kazimierz** – sędzia Sądu Najwyższego w Warszawie, **Maria** – wizytatorka sióstr Miłosierdzia, **Konstanty** – wizytator szkół średnich, **Henryk** – inżynier zginął w czasie wojny 1915 r., **Włodzimierz** – ziemianin, poseł. Biografie dzieci Stefana Szczepana zamieszczone są w Zeszyście 4 (str. 33 i 34) i w Zeszyście 5 (w formie elektronicznej) Łącznika Rodzinnego. Poniżej zamieszczamy wspomnienia i materiały dotychczas niedrukowane.

JÓZEF JANOTA BZOWSKI (ur. 1919) – wnuk Stefana Szczepana, absolwent Szkoły Marynarki Handlowej (kurs kapitański w 1945 r.), w czasie wojny służył w Polskiej Marynarce Handlowej w Anglii, odznaczony Krzyżem Walecznych. W 1945 ożenił się Marguerite Gacon i osiedlił w Anglii. Ojciec sześciorga dzieci (Zesz. 4 str. 34 i Zesz. 5). Zamiłowany filatelista i szachista. Pomimo poważnych kłopotów z chorobą oczu, wspinała pamięć i piękny polski język pozwalała Mu komunikować się z wieloma członkami Rodziny. Żona Józefa Marguerite Gacon zmarła w 2005 roku, a córka Jadwiga w 2010 r.

JADWIGA JANOTA BZOWSKA (22.03.1948-19.08.2009) – córka Józefa i Marguerite Gacon, prawnuczka Stefana Szczepana JB.

Urodziła się w Croydon, Surrey, zmarła w Sydney. Wykształcenie: szkoła baletowa, artystyczne zamiłowania, koncerty, podróżowanie, wędrownictwo, fotografia. Niezameżna.

5.7.1972 Jadzia wypłynęła z Southampton na statku SS Fairstar do Australii z postojem w Freemantle i około 20.8.1972 przyплыła do Sydney, które stało się jej życiową przystanią na 37 lat. Jadzia pracowała, udzielając porad prawnych w Double Bay, następnie jako sekretarka w biurze adwokackim. Po latach pracy przez dwa lata zaangażowała się w podróż, zwiedzając Indie i Nepal. Poza pracę brała udział w podróżach przez australijskie busze. Jej największym hobby

była fotografika. Jako jedna z założycieli Primrose Park Photography Group, brała udział w grupie klubu fotograficznego w „Kirribilli Camera Club”, współpracującego z Radą Północnego Sydney, które w 1991 roku otwarło Centrum sztuki i rękodzielnicstwa. Kochała zwierzęta. Około 20 maja 2009 r. odkryto u niej raka, który ją zniszczył w przeciągu trzech miesięcy. W młodszych latach często przebywała u swoich francuskich krewnych po matce na Wyspie Guernsey. Miała trzy siostry, dwóch braci oraz licznych kuzynów. Matka Jadzi, Marguerite zmarła w 2005 roku. Ojciec Józef ma w tej chwili ponad 90 lat. Wśród swoich przyjaciół i znajomych była znana jako osoba bardzo uczynna, uczuciowa, lojalna, na której można było polegać. Była ceniona w pracy i w stowarzyszeniach, w których brała czynny udział. Miała dobre wyniki w fotografii. Ochotniczo brała czynny udział w Czerwonym Krzyżu. Ponadto była honorowym sekretarzem i skarbnikiem w Zrzeszeniu Australijsko-Tybetańskim. Odwiedziła Tybet i Chiny. Kilka razy brała udział w wędrowkach w Himalajach i w 1995 roku ze swym ojcem i siostrą Anną odwiedziła Polskę. Podczas nabożeństwa pogrzebowego odegrano dla niej z płyty Gounoda Ave Maria, śpiewaną przez Damę Janet Baker, pieśń bardzo lubianą i śpiewaną przez jej matkę Margot. Przez długie miesiące Anna i Maria, siostry Jadzi, opiekowały się nią, aż do ostatnich chwil jej życia 19 sierpnia 2009 roku. Ojciec Jadzi, nie mogąc przyjechać na pogrzeb córki, w imieniu własnym, córki Wandy i synów Marka i Pawła złożył serdeczne podziękowania wszystkim obecnym na pogrzebowej uroczystości. Prochy Jadzi zostaną przewiezione do Londynu i pochowane w rodzinnym grobie.

Spisała Kazimiera Janota Bzowska na podstawie wspomnienia Marysi Janoty Bzowskiej, siostry Jadzi. 6. września 2009 r.

KAZIMIERZ BZOWSKI (1925-6.07.2005) – wnuk Stefana Szczepana JB, autor Zeszytu 5 Łącznika Rodzinnego. Pomimo ciężkiej choroby niestrudzony kronikarz historii Rodziny. Znany szeroko jako specjalista od zjawisk alternatywnych. Felietonista i pisarz.



Kazimierz B (1925-2005)

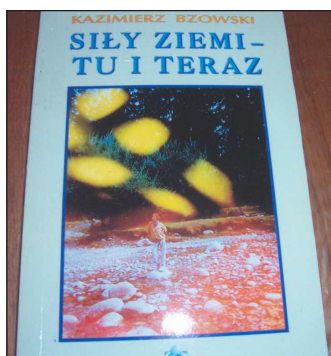
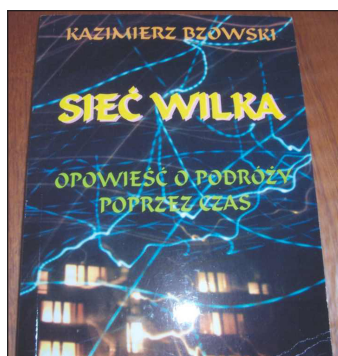
NIEZNANY ŚWIAT nr 9 (177) 2005 r., str. 26, pisze Zespół Redakcyjny:

Mahasmahdi⁷ Pana Kazimierza. Odszedł Kazimierz Bzowski. Był naszym współpracownikiem niemal od początku istnienia Nieznanego Świata. Napisał kilka książek, a jego publikacje znali wszyscy, którzy interesują się problematyką zjawisk alternatywnych, w tym zwłaszcza fenomenu UFO, gdyż swoje artykuły drukował w licznych gazetach i czasopismach. Ten niegdysiejszy żołnierz Armii Krajowej i uczestnik Powstania Warszawskiego należał bez wątpienia do autorów kontrowersyjnych, ale chętnie czytanych. Z zawodu technik chemik-analityk, od blisko 30 lat

⁷ Mahasmahdi – świadome, ostateczne połączenie z Bogiem

zajmował się badaniem zjawiska NOL-i w jego aspekcie fizykalnym oraz duchowym. Niektóre opisywane przez K. Bzowskiego przypadki, w szczególności związane z tzw. wzięciami oraz przenikaniem innych obiektów do naszej rzeczywistości z nadprzestrzeni, charakteryzowały się tak znaczącym stopniem dziwności, że redakcje, którym oferował teksty na ten temat, włącznie z naszą, nie zdecydowały się na ich druk. On sam był dogłębnie przekonany, że rejestruje wydarzenia oraz fakty od początku do końca prawdziwe, a jedynie odbiorcy nie zawsze jeszcze są przygotowani na ich akceptację. Ostatnie lata ciężko chorował i praktycznie nie wychodził z domu, spędzając dni i noce przy komputerze, za pośrednictwem którego, poprzez internet utrzymywał kontakt z całym światem. Wskutek drastycznie zmniejszonej – do granic możliwości – pojemności płuc korzystał w tym okresie z aparatury wspomagającej oddychanie. Swoje rychłe odejście przewidywał, mówiąc o nim w prowadzonych telefonicznych rozmowach, jak i wysyłanych do przyjaciół i współpracowników e-mailach. Będąc z wykształcenia chemikiem nie, żywił złudzeń co do możliwości pokonania schorzenia z jakim się zmagał. Ale jednocześnie nie miał żadnych wątpliwości, i przejście na tamtą stronę jest kontynuacją życia. Dziś, gdy Pan Kazimierz od nas odszedł, możemy już ujawnić, że to on był autorem poruszającej relacji Kolejny powrót Nieuchwytnej Siły zamieszczonej w nr. 5 NS z bieżącego roku, w rubryce Dotknięcie Nieznanego. W tamtym momencie, ze względu na fakt, że sprawa ta wiązała się z jego kolejnymi pobytami w szpitalu, w dodatku tak szczególnym (chodziło – przypomnijmy – o Szpital Czerniakowski w Warszawie, gdzie przed dwunastu laty doszło do pamiętnych wydarzeń związanych z efektami kinematycznymi) autor wolał ukryć swoją tożsamość. Jednocześnie jednak, gdy zaczął zbliżać się do kresu swojej drogi, po raz pierwszy publicznie ujawnił, że od najmłodszych lat bliska mu jest filozofia jogi, z którą związane są ważne duchowe aspekty jego życia, z czym wcześniej, poza wąskim gronem przyjaciół, nie zdradzał się. Swoje fizyczne ciało opuścił 6 lipca 2005, mając 80 lat, my zaś liczymy, że będzie życzliwie sekundował naszym poczynaniom już w innym wymiarze.

Zespół Nieznanego Świata.



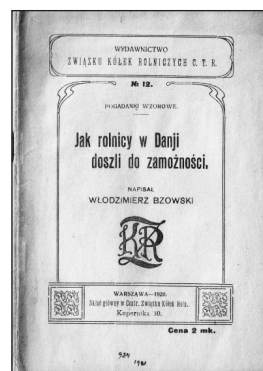
Niektóre książki Kazimierza: *Sieć Wilka*, *Siły ziemi tu i teraz*, i ostatnia wydana nakładem wyd. LOKA-RYBNIK w 2011 roku ostatnia książka *Z pamiętnika urologa*

KONSTANTY JANOTA BZOWSKI (1878-15.04.1960) – trzeci (ostatni) Starosta Rodowy – wybitny absolwent gimnazjum w Kielcach, w 1902 roku uzyskał tytuł kandydata nauk na Uniwersytecie w Petersburgu, nauczyciel i metodyk geografii, autor 88 publikacji, w tym 8 monografii i sławnych do dziś podręczników do geografii oraz podręczników do nauki o Polsce Współczesnej. Jego opracowania dydaktyczne i metodyczne są do dziś aktualne. Kurator Okręgu Szkolnego w Krakowie. Przez całe życie zajmował się pracą społeczną – był założycielem i pierwszym prezesem Towarzystwa Krajoznawczego, działał w Towarzystwie Przyrodniczym i Geograficznym



Konstanty JB (1878-1960)
III Starosta Rodowy

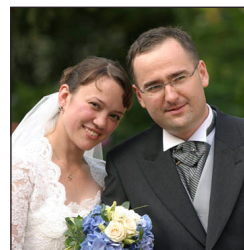
WŁODZIMIERZ JANOTA BZOWSKI (1881-1942) – ukończył studia w Dublinach, poseł na sejm, ziemianin, inżynier rolnik, ziemianin, organizator kas oszczędnościowo-pożyczkowych w powiecie wołkowyskim, prezes Wojewódzkiego Związku Towarzystw i Kółek Rolniczych w Białymstoku, członek Sekretariatu Generalnego BBWR. Poseł III kadencji 1930-1935. Aresztowany 23.11.1939 w Cholewiczach przez NKWD, 1.7.1941 skazany na 8 lat łagru, przewieziony do Uzbekistanu, zwolniony 6.9.1941. W 1942 r. dotarł do Buchary (Uzbecka SRR), gdzie zmarł z wycieńczenia. Bibliografia: *Posłowie na Sejm II RP. Ofiary wojny i okupacji 1939-1945*, Wyd. Sejmowe, Warszawa 2005 (<http://genealogia.okiem.pl/forum/viewtopic.php?f=36&t=6753&p=11779&hilit=JANOTA.BZOWSKI#p11779>). Włodzimierz JB był ojcem **Zdzisława Janoty Bzowskiego (1910-1985)** – autora **Kroniki Rodziny Janotów Bzowskich**.



Jedna z licznych publikacji
Włodzimierza JB

JACEK JANOTA BZOWSKI – wnuk Włodzimierz JB, syn Zdzisława JB. Adiunkt Politechniki Warszawskiej – obecnie na emeryturze. W 1973 roku zawarł związek małżeński z Dorotą Kochanowską, która jest prof. nadzw. dr hab. Politechniki Warszawskiej. Dorota i Jacek są szczęśliwymi rodzicami Ani (ur. 1979) i dziadkami Helenki (ur. 2008) i Antoniego (ur. 2011).

ANNA TARNOWSKA z domu Janota Bzowska – wnuczka Zdzisława JB, córka Jacka JB, matka Helenki i Antoniego. Jest doktorem chemii i pracuje na Politechnice Warszawskiej. W 2006 r. wyszła za mąż za Jana Michała hr. Tarnowskiego z Chorzelowa (ur. 1970), syna Marii i Karola Tarnowskich (prof. filozofii) z Chorzelowa. Janek pracuje w finansach.



Ania i Jan Tarnowscy

3.13. INNI BZOWSCY

BZOWSCY z Żerosławic – W Kronice Rodziny Bzowskich pióra Zdzisława JB, poprawionej przez Kazimierę Janotę Bzowską z Londynu, na stronie 355 – jest wzmianka o BZOWSKICH z Żerosławic, nie używających członu nazwiska Janota, ale pieczętujących się herbem Nowina. Bzowscy z Żerosławic utrzymywali przyjazne stosunki z Janotami Bzowskimi z Drogini. Zgodnie z ich sugestią byli spokrewnieni w linii żeńskiej. W książce „W czasach C.K. Monarchii i później” opracowanej przez Elżbietę Sławikowską (wspomnienie Jej ciotki Lilly Sławikowskiej, jest wiele wzmianek o Janotach Bzowskich z Drogini i Bzowskich z Żerosławic. Potwierdziła te związki obu rodzin **Elżbieta Bzowska córka Adama Bzowskiego z Żerosławic.**

Dotyczy STEFANA BZOWSKIEGO (ur. 1876 r. zmarł ?)

Na stronie internetowej http://www.nac.gov.pl/dar_bukar (witryna NAC dn. 21.01.2011) Janusz Bzowski (Kraków) znalazł informację poniższą informację:

Trzy wyjątkowe albumy w darze dla NAC:

Pan Andrzej Bukar przekazał do Narodowego Archiwum Cyfrowego trzy albumy fotograficzne z okresu I wojny światowej (łącznie 520 zdjęć). Jest to dokumentacja służby dziadka darczyńcy, **Stefana Bzowskiego** w 3 Armii Rosyjskiej.

„Zdjęcia, które otrzymaliśmy w darze to unikaty. O ich wyjątkowości stanowi fakt, że jest to fotograficzny zapis osobistej historii człowieka na tle wielkich wydarzeń historycznych. Wątki z prywatnego życia Stefana Bzowskiego (spotkania towarzyskie, widoki miejscowości, w których przebywał) przeplatają się ze zdjęciami dokumentującymi codzienną egzystencję żołnierza carskiego wojska (miejsca stacjonowania, kuchnie polowe, posiłki, odpoczynek) oraz dokumentacją.



Album Stefana Bzowskiego

Albumy są cenne również z powodu szczegółowych opisów, które poczynił autor zdjęć. Od ręczne notatki, które znajdują się na marginesach albumów, oprócz dat podają także osoby i miejsca widoczne na fotografiach, co stanowi ogromną pomoc przy opracowaniu oraz podnosi poziom rzetelności opisów. „Warto podkreślić, że nie tylko same fotografie mają znaczenie, ale również zna-

jomość całego kontekstu historycznego. Połączenie tych dwóch czynników powoduje, że o albumach przekazanych przez Pana Andrzeja Bukara możemy powiedzieć, że dokumentują historię”.

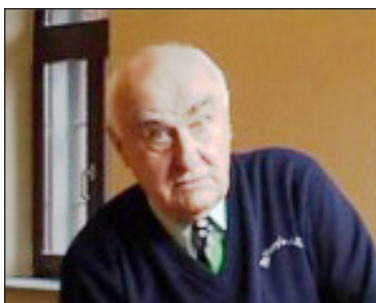
Zdjęcia Stefana Bzowskiego to kolejny z darów przekazanych przez osoby prywatne Narodowego Archiwum Cyfrowego. „Czujemy się zaszczytzeni, gdy otrzymujemy w darze fotografie lub nagrania, które niejednokrotnie mają olbrzymią wartość sentymentalną dla darczyńców” – podkreśla dr Wojciech Woźniak, Zastępca Dyrektora Narodowego Archiwum Cyfrowego.

Dzięki współpracy z profesjonalnym konserwatorem unikatowy album z fotografiami z okresu I wojny światowej podarowany Narodowemu Archiwum Cyfrowemu przez p. Andrzeja Bukara został poddany konserwacji. Prawie stuletni album, którego dokumentacja fotograficzna jest wzbogacona o ręcznie malowane dekoracje wymagał szeregu prac konserwatorskich. Wykonano między innymi takie zabiegi, jak: odkwaszenie, czyszczenie powierzchniowe na sucho i na mokro, uzupełnienie ubytków. Wszystkie wykonane czynności zawiera towarzysząca dokumentacja tekstowa i fotograficzna konserwacji. W najbliższym czasie album zostanie także poddany digitalizacji.



Fotografia z albumu
– Stefan w Bobrownikach na Wołyniu

Na dzień dzisiejszy jest nam wiadome o Panu **Andrzeju Bukarze wnuku Stefana Bzowskiego (?)**: (z wywiadu 3.03.2005) opublikowanego na stronie internetowej Muzeum Powstania Warszawskiego http://ahm.1944.pl/Andrzej_Bukar/3 (witryna Muzeum dn. 21.01.2011).



Andrzej Bukar (ur. 1927)
– wnuk Stefana Bzowskiego

Andrzej Bukar (ur. 1927) – żołnierz Powstania Warszawskiego, pseudonim „Krótki”. podporucznik, formacja „Baszta”, dzielnica Sadyba. Ma siostrę. Po 1945 roku:

Znalazłem się na Ziemiach Odzyskanych. Dziadek mój został pełnomocnikiem wojewody śląsko-dąbrowskiego do odbierania majątków poniemieckich od władz rosyjskich na ziemiach odzyskanych, bo dziadek mój perfekt mówił po niemiecku, po rosyjsku.

Najpierw w 1946 zająłem się kulturą i oświatą wsi w niemodlińskim powiecie, i zajmowałem się organizacją pracy kulturalno-oświatowej na wsi, takiej jak świetlice, biblioteki, bo tam przecież przyjechało masę repatriantów ze wschodu, którzy byli analfabetami zupełnymi. Dla nich kursy były języka polskiego, uczyć ich pisać i czytać trzeba było. Potem dostałem do się do Państwowego Centrum Wyszkolenia Morskiego, w 1947 roku wyjechałem do Łeby, do Gdyni i przez pół roku byłem w Państwowym Centrum Wyszkolenia Morskiego, ukończyłem to państwowe centrum w ośrodku w Łebie.

W *Kronice Rodziny Bzowskich (1376-1976)* Zdzisława Janoty Bzowskiego, poprawionej i uzupełnionej przez Kazimierę JB – w 1980 roku na stronie 357 napisano:

W okresie międzywojennym żyła dość liczna rodzina Bzowskich z tzw. linii częstochowskiej. Wysłane przez Józefa Janotę Bzowskiego (autor 1 Zeszytu Łącznika Ro-

dzinnego – 1923) kwestionariusze do członków tej rodziny znajdują się w posiadaniu autora. Nie wychodzą one wstecz dalej jak II połowa XIX wieku. Nie jest wiadomo czy nie znajdowały się w ich rękach dokumenty starsze. Autor tej Kroniki pamięta z czasów swojej młodości, iż pieczętowali się oni herbem Ostoja i mogli pochodzić z odgałęzienia rodziny Bzowskich z XVII wieku od Marcjana Janoty Bzowskiego, który porwał Teresę Janowiankę Bzowską i ożenił się z nią. Boniecki w swoim herbarzu przypuszczał, że ich potomkowie posiadali w XVIII wieku dobra pod Połańcem. Z braku heraldycznych i metrykalnych dowodów hipoteza ta już przed wojną była tylko luźnym przypuszczeniem.

W okresie międzywojennym należeli do tej rodziny między innymi Stefan, ożeniony z Marią Łaszczyńską, właściciel Sulmierzyc w Radomskowskim; Czesław, podpułkownik wojsk polskich, dowódca szkoły artylerii w Toruniu. Zmarł w 1937 roku. Jakie było pokrewieństwo ze Stefanem z Sulmierzyc z kwestionariusza nie wynika.

Z tej linii Stanisław Bzowski, urodzony 14 listopada 1889 roku w Ząbkowicach, jak wynika z kwestionariusza kuzyn Stefana Bzowskiego z Sulmierzy, był przed wojną adiunktem w Biurze Finansowym Dyrekcji Kolei w Warszawie. W swoim kwestionariuszu podał, że jest herbu Nowina, nie przedstawiając żadnych dowodów heraldycznych. Ten Stanisław z żony Marii z Zawadzkich miał syna Tadeusza, urodzonego w 1923 roku w Pruszkowie – jak przypuszcza autor tej kroniki – obecnie profesora Politechniki warszawskiej – jednego z twórców polskiej telewizji kolorowej.

W wyniku rozmowy z Panem Andrzejem Bukarem (w dniu 26 stycznia 2011) ustaliłam (Małgorzata BB) następując koligacje:

Przodkowie Stefana Bzowskiego:

JÓZEF FELICJAN (1704-1770), żona Teofila z Jordanów (1772-1786) (tu potrzeba uzupełnienia – pokrewieństwie Piotra z Józefem Felicjanem)

PIOTR BZOWSKI (1775-1846), żona Francuzka z d. Ponect de la Riwer mieli 3 synów i 2 córki:

1. **Władysław** (...), żona Imię ? Olędzką mieli dzieci?
2. **Tadeusz** (ur. ...? zm. 3.03.1894), żona Kazimiera Topolska mieli 3 dzieci:

Tadeusz

Stefan (ur. ok. 1876, zm. 25.01.1951), żona Maria Dewerbno-Łaszczyńska (ur. 10.12.1876 zm. 19.02. 1963) mieli dwie córki

Maria (ur. 22.11.1904) wyszła za Karola Bukara – mieli syna

Andrzeja Bukara (ur. 1927)

Barbara (1907)

Maria mąż Stefan Sikorski h. Zawisza mieli 2 dzieci

Stefania Sikorska

Andrzej (ur. 1927)

3. córka

4. córka

5. córka

PIOTR BZOWSKI (1775-1846) – właściciel ziemski – Proszowice, Sadowniki, Kąpiołki, oficer napoleoński, walczył pod Saragossą, w 1808-09 odznaczony orderem „Santa Helena”. Uczestnik Powstania Listopadowego. Za udział w powstaniu władze carskie konfiskują Proszowice.

WŁADYSŁAW BZOWSKI – pierwszy syn Piotra, gen artylerii, walczył pod Sewastopolem 1854r, ożeniony z wnuczką Sułkowskiego Olędzka.

TADEUSZ BZOWSKI – drugi syn Piotra, ożeniony z Kazimiera Topolską, w latach 1800-1094 mieszkał w miejscowości Biała pow. Częstochowa. Ojciec Stefana Bzowskiego. Osiedlił się w Makowie pod Skierniewicami, pracował na Kolei Wiedeńskiej w Warszawie (?), zmarł 3.03.1894 pochowany w Częstochowie na cmentarzu „Na kulach” obok żony.

STEFAN BZOWSKI (ur. 1876, zmarł 1951) – urodzony prawdopodobnie w Makowie koło Skierniewic, ukończył szkołę Hutniczą w Dąbrowie Górniczej, wcielony do carskiego wojska, w 1904 roku w wieku 28 lat ożenił się z Marią Dewerbnolą Łaszczyńską, która wniosła w wianie majątek Sulmierzyce pow. Radomsko. Zmarła w 1963 w Zbrosławicach, gdzie jest pochowana. Przez ożenek mógł przejść do cywila, jednak w 1914 wcielony z powrotem, był pułkownikiem, dowódcą sotni Kozaków ubezpieczających sztab Armii Podpułkownik W.P. (macierzysty 6. pułk Ułanów Kaniowskich), odznaczony krzyżem Virtuti Militari i Orderem Polonia Restituta i Krzyżem Walecznych z Mieczami i Francuskim Medalem Wojennym. Artysta malarz.

Obie córki Stefana Maria i Barbara studiowały w Zbilitowskiej Górze w Zakładzie Zakonnicy dla „Panien z dobrych domów”. W czasie okupacji cała rodzina mieszkała w Pławnie pow. Radomsko. W 1946 dostał posadę pełnomocnika wojewody śląsko-opolskiego ds. odzyskiwania majątków ziemskich ponemieckich na ziemiach zachodnich. Zamieszkał z rodziną w Niemodlinie.

KAROL BUKAR – mąż córki (Marii) Stefana, ojciec p. **ANDRZEJA BUKARA** – pochodził z Wołynia, ułan w szwadronie kawalerii pod dowództwem gen. Dowbór Muśnickiego, zaprzyjaźniony ze Stefanem (podwładny Stefana?)

ALAIN MAURICE VICTOR BZOWSKI (ur. 12.1.1947 w Paryżu) – Jeanne Rose-Marie Bzowska z d. Bach. Kazimiera JB wspólnie z Alain Bzowskim, poszukującym korzeni w Polsce, ustalili następujące koligacje rodziny Alaina (dane wymagające wyjaśnienia):

- 1) Albert Bzowski i Elżbieta Niedziałkowska – brak daty urodzenia
- 2) **Jean Jules Bzowski (ur. 24.6.1809 w Mniszewie)** – żona Maria Valet ur. 12.7.1819 ślub 21.4.1837 – brak daty śmierci
- 3) **Victor Bzowski (ur. w Paryżu)** – data nieczytelna, ożeniony z Yvonne Anna Fritsch mieli dwoje dzieci:
 - 4) (1) **Georges Victor Eugene Bzowski (ur. 28.7.1911 w Paryżu, zm. 17.11.1990 w Remis)** ślub 4.6.1935 – żona jego Marie-Rose Delorge Maurice Henri Delorge Cordeline Sophie Belot (zm. 25.1.1953 w Remis).
(2) nie podano drugiego dziecka syna czy córki?
Suzanne (God mother czy stepmother) (ur. w Paryżu, zm. 23.12 2009 w Clamart).
Czy to była druga żona Georga Victora, ojca Alaina czy chrzestna matka?
 - (5) (1) **Alain Maurice Victor Bzowski (ur. 12.1.1947 w Paryżu)** ożeniony z Jeanne Rose-Marie Bach, (ur. 2.8.1950 w Strasburgu). Ślub 10.4.1971 (dwoje dzieci)
 - (6) (1) syn Alaina Thomas Bzowski (ur. 21.12.1971) (brak żony nazwiska i daty urodzenia) dwoje dzieci
 - (2) córka Alaina Karine Bzowski (ur. 25.4.1981) mąż Nicolas Clavel
 - (7) wnuk Alaina (1) Noe Bzowski (ur. 21.9.2003 w Remis)
 - (2) Francoise Georgette Bzowska (ur. 27.7.1950 w Reims zm. 10.9.2003 w Remis)

Teraz trzeba zgadnąć skąd się wziął Albert z Mniszewa koło Warszawy i jakim cudem dostał się do Francji?

BZOWSKI JEAN JULES – zajmował się farbciarstwem. Zamieszkały w Chenerailles, urodzony w Mniszewie koło Warszawy, Polska, 24 czerwca 1809 (101 lat przed Tatą też 24.6 i też na imię miał Jan) syn Alberta Bzowskiego i Elżbiety Niedziałkowskiej herbu Rawicz. Żona jego Marie Valet, krawcowa zamieszkała w Chenerailles ur. w Gueret 12.7.1819 (10 lat młodsza od Jana Juliana), córka Leonarda Valet, właściciela posiadłości i Marie Valet właścicielki karczmy. Ślub odbył się w Chenerailles 21.4.1847, gdy Jan Julian miał 28 lat. Świadcami na ślubie byli: Gilbert Vinturoux 24 lata właściciel sklepu, Antonie Piboube, 28 lat, szewc, Pierre Francis Bouchon, 55 lat, piekarz.

4. CI CO ODESZLI W OSTATNICH LATACH

(część poniższych danych jest uzupełnieniem informacji zawartych w Zeszytcie 4 *Łącznika Rodzinnego*. Informacje podajemy chronologicznie, liniami rodzinnymi według kolejności jak w liniach rodowodowych – czyli zgodnie z zasadą przyjętą w rozdziale 3 *Policzmy się*. Szersze informacje o ś.p. zmarłych można znaleźć w rozdziale 3 *Policzmy się*).

4.1. LINIA ALEKSANDRA (1)

brak danych (ostatnie informacje z roku 1910)

4.2. LINIA WŁADYSŁAWA PUŁKOWNIKA (2)

- + **Władysław JB (7.04.1885-1945)** (Pułkownik) – syn Ambrożego Zygmunta i Heleny z Dobór-Muśnickich, ur. we Lwowie, mąż Heleny z Jordanów, więzień obozu koncentracyjnego w Gross Rosen).
- + **Helena JB (1895-4.06.1990)** z Jordanów – żona, Władysława Pułkownika, więźniarka obozu koncentracyjnego w Ravensbrück, zmarła 4 czerwca 1990 w Alicante, Hiszpania, pochowana na cmentarzu Rakowickim w Krakowie.
- + **Jerzy JB (1920-4.06.1994)** – syn Władysława pułkownika i Heleny z Jordanów więzień obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu, zmarł w Alicante, Hiszpania. Pochowany na cmentarzu Rakowickim w Krakowie.
- + **Henryk JB (1890-1943)** – syn Ambrożego Zygmunta i Heleny z Dowbór-Muśnickich, według niesprawdzonych relacji kolegów z obozu jenieckiego, w 1943 roku wywieziony z obozu jenieckiego zginął z rąk Gestapo.

4.3. LINIA JANA – SYNA JÓZEFA FELICJANA (3) (GAŁĄZ ANNY)

brak danych (ostatnie dane z roku 1843)

Linia Jana była całkowicie pominięta w poprzednich Zeszytach *Łącznika Rodzinnego* oraz w drzewie genealogicznym, a także w Kronikach Rodzinnych Janotów Bzowskich.

4.4. LINIA HIACYNTA (4) (GAŁĄZ KAZIMIERZA Z DROGIMI I CYPRIANA)

brak uaktualnionych danych

- + **Maria JB (1905–1994)**, primo voto Zielińska, secundo voto Bohdanowicz – córka Jadwigi z Orzechowskich i Zygmunta JB, prawnuczka Cypriana i Elżbiety z Wielogłowskich, zmarła w Warszawie – na Solcu i tam pochowana.

- + **Zdzisław Zieliński (?-1934)** – pierwszy mąż Marii z JB.
- + **Elżbieta Zielińska (?-1990)** – córka Marii z JB Zielińskiej. Miała dwoje dzieci – syn zmarł tragicznie, córka przypuszczalnie jest za granicami kraju.

4.5. LINIA DROGIŃSKA (5)

- + **Jacek JB (1899-22.07.1966)** – syn Kazimierza JB z Drogini i Wandy z Romerów, doktor praw ożeniony z Marią Ciechanowską, zmarł w Krakowie.
- + **Maria z Ciechanowskich JB (1905-1977)** – żona Jacka, zmarła w Krakowie.
- + **Helena z JB Kunachowiczowa (1897-1970)**, córka Kazimierza JB z Drogini i Wandy z Romerów (patrz rozdz. 3 *Policzmy się*)
- + **Franciszek JB (1910-1988)** – syn Kazimierza z Drogini i Wandy z Romerów zmarł we Wrocławiu i tam pochowany.
- + **Julia z Kozłowskich JB (1914-1987)** – druga żona Franciszka, zmarła we Wrocławiu i tam pochowana.
- + **Bronisława JB (1906-1997)** – córka Kazimierza z Drogini i Wandy z Romerów przełożona klasztoru Wizytek w Krakowie.
- + **Maria JB (1905-1999)** – córka Kazimierza z Drogini i Wandy z Romerów zmarła we Wrocławiu i tam pochowana.
- + **Maciej Nekanda Trepka (23.02.1929-17.07.2000)** – syn Ludwiny z JB z Drogini zamężnej za Wojciechem Nekandą Trepką, pochowany we Wrocławiu (patrz rozdz. 3 *Policzmy się*).
- + **Stanisław Nekanda Trepka (1930-2005)** – młodszy syn Ludwiny z JB z Drogini zamężnej za Wojciechem Nekandą Trepką, pochowany we Wrocławiu (patrz rozdz. 3 *Policzmy się*).

4.6. LINIA JANA Z PRZEMĘCZAN (6)

- + **Andrzej JB (1911-1956)** – syn Michała i Marii z Duniewiczów JB, zmarł w Krakowie. Pochowany w rodzinnym grobowcu Janotów Bzowskich w Krakowie
- + **Maria z Duniewiczów JB (1890-8.06.1964)** – córka Edwarda Duniewicza i Zofii z Kraftów, żona Michała, matka Jana i Andrzeja JB, pochowana na cmentarzu we Wrocławiu.
- + **Józef Duniewicz (?-1990) (Zinek)** – bratanek Marii z Duniewiczów JB, zmarł w Szczecinie w latach 1990-tych – wiadomość od żony Aleksandry Duniewicz ze Szczecina.
- + **John Glenerss (?-24.04.1979)** – ojciec Brygity Jacqueline Janoty Bzowskiej, żony Jerzego Janoty Bzowskiego zmarł w Liskeard i tam pochowany.
- + **Stanisława JB ze Skołubów (1921-15.09.1998)** – secundo voto Koba, zachorowała i nagle zmarła w Krakowie. Pochowana w rodzinnym grobowcu Janotów Bzowskich na cmentarzu Rakowickim.

- + **Wiktor Morawski (1854-1893)** – mąż Janiny JB, córki Jana z Przemęczan i Natalii Wielogłowskiej – pochowany w Osieczanach – grób odnaleziony przez Kazi-
mierę JB.
- + **Jan Antoni Michał JB (24.06.1910-11.05.2001)** – oficer Wojsk Polskich na Zachodzie pod dowództwem gen. Władysława Andersa we Włoszech, syn Michała i Marii z Duniewiczów, ur. w Rzeszowie zmarł w Londynie. Pochowany w Warszawie na cmentarzu na Służewie w rodzinnym grobowcu rodziny Majów, krewnych jego żony Kazimiery.

POŻEGNANIE

Pamiętaj, jestem zawsze przy Tobie...

Za krótko byliśmy z sobą, by się nacieszyć do syta.

Za mało chwil nam było, by się o wszystko zapytać.

Czas, jaki nam dano, przeleciał jak błyskawica na niebie.

Dni nam wciąż było za mało, choć przywykliśmy do siebie.

Nie odszedłem. Wciąż jestem przy Tobie. Twoje kroki jak zawsze śledzę.

Nie myśl, że mnie nie ma. Jestem, gdzie byłem. Tam, gdzie zawsze, siedzę

I za Tobą oczyma, jak zawsze czujnie wodzę.

Nie myśl, że byłem. Ja jestem. Od Ciebie nie odchodzę

I nie opuszczam Cię. Jak zawsze Cię otaczam opieką.

Więc nie płacz. Pamiętaj, że jestem tak bardzo niedaleko,

Tak blisko, że tylko wspomnieniem dobrym po mnie sięgnij.

Tak wiele ich w życiu naszym było, więc mi teraz przysięgnij,

I mnie i sobie, że choć smutek nie raz Twe serce otoczy,

Spojrzyj na mnie, ale nie przez zapłakane oczy,

Bo mnie wtedy Ciebie żal i niewidoczną dłonią włosy Twoje głaszczę,

I jak dawniej, okrywam Cię mojej miłości płaszczem,

Pod którym znalazłaś krocie spokoju, bezpieczeństwa, radości.

Otrzyj łzy. Myśl o mnie serdecznie w godzinie samotności

I pamiętaj, jestem przy Tobie. Słów moich nie zapomnij, przestrogi pamiętaj.

Zmów pacierz. Idź śmiało naprzód. Życia się nie lękaj.

Nie bój się. Jak zawsze za rękę Cię poprowadzę, moja miła.

I chcę Ci zaufać, że będziesz odważna, jaką zawsze byłaś.

Kazimiera Janota Bzowska,

20 maja 2001 r.

CZY NAPRAWDĘ?

*Nie chcę wierzyć, że odszedłeś w krainę cieni.
Trudno się z myślą pogodzić, że ucichły Twe kroki na ziemi,
Bo wciąż spoglądam w miejsca tak dobrze mi znane.
Krzesło w kuchni, fotel w pokoju wysiedziany.*

*Tam moje oczy za Tobą biegną z przyzwyczajenia,
Pragnę, by nigdy nie zgasły we mnie wspomnienia.
Głosu Twego nie chcę zapomnieć. Tyle w nim było ciepła.
Nie chcę, by się dźwięk jego rozplynął, by pamięć po nim uciekła.*

*Dziś tak bardzo za nim tęsknię, tak tęsknię, mój miły, po Tobie,
Po wszystkim, co jak w skarbcu kryło się w Twojej osobie,
W Twoim sercu, w Twoich oczach jak aksamit miękkich.
Za miłość, jak rękawiczka ciepłą nie starczy podziękii.*

*I za wszystko. Za każdy dzień przeżyty przez długie, wspólne lata.
Za słowa Twoje dobre. Te w modlitwę moją wplątam,
By mi dodawały wiary, by przez życie prowadziły.
Bym w nich znajdowała Ciebie, z ich mądrości czerpała siły.*

Kazimiera Janota Bzowska,
29 maja 2001

I tylko wspomnienia pozostały...

*Tyle ich po drodze naszego życia było.
I wszystko przeminało. Wszystko się prześniło.
Byliśmy wszyscy piękni. Młodość w nas kipiła.
Chcieliśmy wynagrodzić to, co nam wojna zabrała,
Co nam zabrały obozy, nieludzkie cierpienia.*

*Przez te wszystkie lata tak wierzyłam szczerze,
że mi tej radości życia nic już nie odbierze,*

*Nie wplecie w me życie z najbliższym rozstania.
Wspomnieniem sięgam do pierwszych chwil niewinnych,*

*Do rozmów bez treści, do flirtów dziecinnych.
Do tych róż pachnących, w pudła pakowanych
„Dla Panny Kazi”, aż z Londynu słanych.
Dziś iza mi tamten obraz przesłania.*

*Westchnieniem tylko do nich powrócić mogę,
Do wspomnień, jak róże, którymi słałeś życia mego drogę.
I nie brakło w nim miejsca na Twe dobre słowa,
Choć z przekory nie zawsze ich byłam słuchać gotowa,
Ze zwykłej niewieściej przekory i pychy.*

*Dzisiaj spoglądam we wszystkie miejsca tak mi bardzo znane,
Wsluchuję się w Twoje słowa, tak nagle dobrze zrozumiane.
Z Twojej mądrości siły pragnę czerpać, jak wodę ze źródła.
Twoich słucham słów, co jak pieśni duszę koją,
Troskliwych, jak trwać bez Ciebie w życiu tak nagle – niezaradnym, cichym.*

Kazimiera Janota Bzowska,
11 czerwca 2001

Urywek mowy pogrzebowej księdza Kazimierza Grzymały MIC 21 maja 2001 w kościele NMP Matki Kościoła na Ealingu nad trumną Jana Janoty Bzowskiego:

Suche słowa wypisane w nekrologu tak mało mówią o człowieku, którego żegnamy. Każdy go znał jako Pana Jana. Pan Jan, przez swój wspaniały wiek, był dla nas wszystkich instytucją i takiego będziemy zawsze pamiętali. Często powtarzał, że jest dla niego rzeczą pewną, że już młodo nie umrze i tego przyrzeczenia dotrzymał, bo do 91 lat brakowało mu tylko 44 dni.

Jan Antoni Michał Janota Bzowski był przede wszystkim człowiekiem bardzo szlachetnym, dobrym mężem, ojcem, dziadkiem. Znany był z niewyczerpanej ilości kawałów na każdą okazję i sypał nimi jak z rękawa. Nimi wstawił się i teraz może rozwesela aniołków i świętego Piotra w niebie. Opuścił ten padół ziemski tak szczęśliwie, jak szczęśliwie układało mu się całe jego życie. Zmarł w domu, pod opieką żony, Kazi, która pielęgnowała go do końca. Pozostawił po sobie lukę nie do zastąpienia wśród rodziny, przyjaciół, młodzieży, dla której przez swój bystry umysł nigdy starym człowiekiem nie był. Wszyscy,

k którzy go znali, szanowali go i kochali. Bo taki był Pan Jan i taki w naszej pamięci pozostanie.

Nie wszystko umiera, pozostały dobre, serdeczne po nim wspomnienia. A pozostawił ich bardzo dużo. Obdarowani nimi jesteście wszyscy.

Cześć Jego pamięci!

Ks. Kazimierz Grzymała MIC,
21 maja 2001.

Pożegnanie Jana Janoty Bzowskiego przez Jego syna Marka Janotę Bzowskiego w kościele NMP Matki Kościoła na Ealingu

On Pop (1910-2001)

So, Pop made it to 90. That's the longest any man from the family has lived and it's a testament to the love and care given by his wife. But Pop was not just old. He was wise, humorous, and had his wits about him until the very end. He was the kind of man who carried the traditions and values of a world long gone, a man of honour and integrity – a real gentleman.

He was a man who had unspoken codes of conduct, a father who set the highest standards for achievement. As a son, I found myself constantly falling short on both counts. I wonder if I've spent my life trying to please him – subconsciously, we do that... we try to emulate those we admire... we hide when we're found wanting.

I made my peace with Pop before he died; I brought a smile to his face; I let him know I'd got a few things right. But it was the differences of opinion that separated us. And it was the difference in approach and method that made Pop special and worth emulating.

I think that's what it was – I was conscious, even envious, of his inherent goodness and of his diplomacy, his subtlety and his restraint. And I think that's what we all remember of him – he was a high-minded, gentle man.

See you, Pop. Goodbye.

Marek Janota Bzowski,
21 May 2000.

Przemówienie, które zostało wygłoszone przez syna Jana, Jurka JB w kościele NMP Matki Kościoła na Ealingu w Londynie podczas mszy św. nad trumną Jana Janoty Bzowskiego

A SON'S FAREWELL

Dear Friends,

Today, all of us have come together, from around the country, and from across the seas, to share our grief, and to say farewell to my father. I know that Dad would have been very surprised to see so many people here, because, after all, he was a very humble, and unassuming person. He would have wan-

ted to know what the fuss was all about. Nevertheless, it's very comforting for our family, to know that Dad was so well loved, and so well respected – and that he touched so many peoples' lives. I have a special place in my heart for my dad, and he will always be there to guide me. Today, he would not want us to be so sad; he would prefer that we celebrate his life, by thinking of happier times. I am really, very fortunate to have so many fond memories of my dad, many of which go back to my childhood days.

I remember my dad, taking me by the hand, to my first day at school, and then, horror of horrors, promptly introducing me to the prettiest girl in the playground. I still remember her, she had long blonde hair, all tied up, in a pretty red bow.

I remember Christmases at home, They were always full of surprises... One Christmas, Dad bought me a brand new bike. Another Christmas he nearly burned down the house when one of those clip-on candles he put on, fell into the tree.

I remember weekend outings, and going to the local forests, to pick mushrooms – but sorry, Dad would never let me tell you where that was.

I remember rainy days, when Dad entertained us with endless card tricks. I didn't know, until much later, that he was a member of the Polish Magic Circle – well, at least that's what he told me – and I believed him.

Dad taught me many things; he taught me how to play bridge, kierki, and chess. He was very good, especially at chess. He would always check-mate me in four moves, until, finally, he put me out of my misery, and showed me the counter moves.

I remember getting a spanking once, but it was Marek's fault; it always was.

I have so many happy memories of my dad.

It was only much later on in life – now that I have my own family, my own home, and my own responsibilities – that I can properly reflect on, and appreciate, the sacrifices my mother and my father must have made, to make Marek and me feel so special, so wanted, and so loved, even though we really didn't do anything to deserve it.

My dad worked very hard to support his family, and to care for, and educate his children. The post-war years were very difficult for him, as they must have been for so many of his generation. His circumstances had changed virtually overnight – he had been born into a proud and noble family in Poland, where he led a life of privilege, and gentility. Then the war broke out, and all of a sudden, his way of life changed forever. My dad didn't dwell on the war, he was an officer and a gentleman, and he had done his duty. He would often shrug his shoulders, and say in Polish – „było, stało się” and then, he'd just get on with life.

Despite all the early setbacks, he always managed to keep his sense of humour, and boundless optimism. It wasn't long, before he was able to provide a home, full of warmth, joy, and happiness, steeped in Polish tradition and culture, and always open to family, friends, and guests.

Mój Ojciec był prawdziwym Polakiem, kochał Polskę, i wszystko co polskie. Stale nam dzieciom mówił:

*że Polska jest najpiękniejszym krajem na świecie,
że polska literatura, sztuka i muzyka jest najbogatsza,
że Polacy są kulturalnymi i mądrymi ludźmi,
że Polki są najzgrabniejsze i najładniejsze.*

Tato był również wielkim smakoszem. Uważał, że polska kuchnia jest lepsza od francuskiej, i nie dał się przekonać inaczej. Dla niego, nawet polskie ziemniaki lepiej smakowały. Ale taki był mój Tato.

Tato był bardzo gościnny, i bardzo lubił zabawiać gości. Pamiętam jak opowiadał kawały, wspominał anegdoty, i zadawał zagadki, a goście śmiali się do łez. Miał do tego talent.

Jest nam teraz bardzo żal, bo już go nie ma, ale żył długo, i szczęśliwie. Będę pamiętał na zawsze, nasze rozmowy, które zawsze zaczynały się identycznie.

„Tato, jak się czujesz?”

A on odpowiadał – „po japońsku, Jureczku, no wiesz, jako-tako”.

Gdy przymrużę oczy, wyobrażam sobie, że Tato jest w niebie, siedzi w dużym, wygodnym fotelu, z resztą, tak jak u siebie w domu, a anioły dokoła śmieją się, bo Tato jeszcze raz opowiada kawały. Niedaleko, jest stół, pokryty zielonym sukniem, z jednej strony siedzi pan Witek, po drugiej pan Adam, i czekają na czwartego ochotnika do brydża.

My father was a kind and gentle person, a patient father, a proud grandfather, a loving husband, and a true and valued friend. He lived his life according to the highest ideals of chivalry, family tradition, and moral obligation. He demanded only the highest standards from his children, challenged us to meet them, and set an example for us to follow. My father had a very long, and fulfilling life, and at the end, he was ready for its passing. We shall all miss him. May each and every memory of dear Pop, be a comfort to us, and bring us peace.

Tatusiu kochany – śpij dobrze.

Jerzy Janota Bzowski,
Londyn 21 maja 2000

Na drogę wieczną prochom Janka – w dzień pogrzebu w Warszawie

*Może się Twoje marzenie spełniło,
żeś w ziemi ojczystej mógł odpocząć sobie.
Może Ci się nigdy nawet nie przyśniło,*

*że w polskiej ziemi, nie w angielskim grobie
 Otoczy Cię miłość tak wielu Ci bliskich.
 Zamiast angielskiej gliniastej ziemi,
 Z utartym życzeniem "niech Ci lekką będzie",
 Grudkę wygłaskaną rękami własnymi
 Kładę Ci tu obok. Inną niż te, jaką sypią wszędzie.
 Bo jest ona z Twojego ogrodu, który był Ci wszystkim,
 Częścią Twego bytu, częścią domu Twojego,
 W którym znalazłeś spokój po latach tułaczycy.
 W tym domu doczekałeś wieku sędziwego,
 Był Ci on wpisany w Księgę Twoich Przeznaczeń.
 W nim zostawiłeś ślady swojego istnienia.
 Do garstki tej dodam szczyptę piasku poleskiego,
 Z krainy, która zawsze miłą sercu memu zostanie.
 Obie grudki, jedna z Anglii, druga z Polesia dalekiego
 Złączyły nas na długie życia szczęśliwe przetrwanie,
 Za które Bogu składam słowa dziękczynienia.
 Śpij spokojnie Janku mój, kochany.
 Niech ta grudka polesko-angielska złączy się z ziemią ojczystą.
 Odchodzisz tylko ciałem, duchem pozostajesz z nami.
 Pamięć o Tobie na zawsze pozostanie mi bliską.*

Kazimiera Janota Bzowska,
 Londyn – Warszawa 21 czerwca 2001

Jan Antoni Michał Janota Bzowski, był szlachetnym, dobrym człowiekiem. Dobrym mężem, ojcem, dziadkiem. Opuścił ten padół ziemski tak szczęśliwie jak szczęśliwie układało mu się całe Jego życie. Jeżeli to prawda, że tylko bogom jest dana najszczęśliwsza śmierć we śnie, to i on chyba tego zaszczytu dostąpił, bo we śnie zasnął we własnym domu, pod opieką żony, która pielęgnowała Go do końca.

Jeden z Jego kuzynów, mąż Barbary z Janotów Bzowskich z Linii Drogińskiej Włodzimierz Zych, nad urną z Jego prochami, na cmentarzu na Służewie w Warszawie, gdzie został na wieczne odpoczywanie przewieziony z Londynu, tak przemówił:

Żegnamy Go jako przedstawiciela odchodzącego wspaniałego pokolenia dwudziestolecia, które umiało żyć i pracować nie tylko dla siebie, ale przede wszystkim dla ukochanej ojczyzny. Pozostawił po sobie lukę nie do zastąpienia wśród rodziny, przyjaciół, młodzieży, dla której przez swój bystry umysł nigdy nie był starym człowiekiem.

Po trudach wojennych zatrzymał się na ziemi angielskiej, gdzie tak wielu musiało, często w trudnych warunkach czekać na powrót do upragnionej ojczyzny. Jan miał jednak szczęście, bo niedługo będąc w Anglii, w kantine oficerskiej zobaczył młodą, urodziwą dziewczynę – Kazię, która tak go zafascynowała, że niewiele zastanawiał się, aby spytać ją, czy zechce być jego żoną. I tak się zaczął okres szczęśliwego, choć nieraz trudnego życia. Rodzina powiększyła się wkrótce o dwóch synów, Jurka i Marka, którym trzeba było zapewnić godne warunki życia, wykształcić, nie zapominając o tym, z jakiego domu pochodzą. Dom ten, na Grasmere Avenue był oazą polskiej tradycji, tej wzruszającej kresowej atmosfery, którą Kazia tak pięknie kultywowała. W tym domu odczuwało się serdeczną gościnność i każdy pobyt zapadał w pamięć u wszystkich, którzy tam spędzili, choć krótki czas. Wszyscy też ze wzruszeniem wspominali dyskusje przy wieczornej herbacie i opowiadaniach Jana o przeżyciach wojennych, albo wspomnieniach kawalerskich z przedwojennych czasów. Kazia dyskretnie ustawiała magnetofon, aby potem utrwalić na papierze te opowiadania. **Kochał wszystko co polskie, wpajał w nas tę polskość** – powiedział syn Jego, Jerzy z Kanady, wspominając ojca takiego, jakiego zawsze pamiętał. **Polska kultura jest najpiękniejsza, Polacy są bardzo zdolni, i to trzeba szanować. Polskie dziewczyny są najpiękniejsze, polska kuchnia jest najsmaczniejsza, nawet polskie ziemniaki są lepsze od wszystkich na świecie.** Trzeba było to wszystko tak mocno pokochać, jak on pokochał to co polskie, tak serdecznie i na zawsze.

Droga Kaziu, łączymy się z Tobą w żalu po odejściu Twójego męża Janka, ale proszę pamiętać, że jesteśmy przy Tobie. W Jego imieniu możemy powiedzieć – Nie wszystko umiera. Pozostają wspomnienia.

21 czerwca 2001,
dzień złożenia prochów Jana
na cmentarzu służewskim, w Warszawie.
Włodzimierz Zych,
Spisała z taśmy Kazimiera Janota
Bzowska 2001



21 czerwca 2001,
dzień złożenia
prochów Pana Jana
na cmentarzu służewskim

Na 10-tą rocznicę odejścia Pana Jana 11 maja 2011:

*Mogę uronić łzę, że odszedłeś na wieki,
Albo uśmiechnąć się, że byłeś wśród nas.
Mogę zamknąć oczy i wierzyć, że wrócisz z drogi dalekiej,
Albo z otwartymi oczami spojrzeć, co pozostawił czas.
Może mi serce oziębło, bo nie widzę Cię więcej
Albo napełni się ono od nowa wspólnie dzieloną miłością.
Mogę odwrócić się od jutra i żyć tylko przeszłością,
Albo pamięcią o przeszłości cieszyć się jutrem goręcej.
Mogę Cię pamiętać, choć odszedłeś w krainę cienia
Albo zachować wspomnienia o Tobie i nimi tylko żyć.
Mogę płakać, myśl odsunąć, odwrócić i w pustkę się skryć,
Albo spełnić Twoje serdeczne pragnienia:*

*„Uśmiechnij się. Otwórz oczy szeroko w zachwycie.
Kochaj, patrz w przeszłość i odważnie idź przez życie”.*

Kazimiera Janota Bzowska
11 maja 2001-2011



Grób Pana Jana i rodziny Majów – Cmentarz na Służewie,
ul. Fosa, od głównej alei pierwsza w lewo, grób 11 po prawej

4.7. LINIA ZWIERNICKA(7)

- + **Józef JB (1911-1955)** – ożeniony z Hildegardą Gmyrek, ojciec trojga dzieci.
- + **Aniela (Anna) z JB (1913-1970)** – primo voto Hippman, secundo voto Bożek, córka Wincentego i Idy z Janotów Bzowskich, zmarła w Opolu i tam pochowana.
- + **Andrzej Hippman (1907-1985)** – rozwiedziony mąż Anieli.
- + **Irena JB (1904-21.04.1980)** – córka Wincentego i Idy z Janotów Bzowskich zmarła w szpitalu w Krakowie. Chorowała na astmę, potem na zapalenie płuc. Została pochowana w rodzinnym grobowcu w Zwierniku.
- + **Andrzej Gleixner (11.1.1941-13.10.1981)** – mąż Marty (Tuni) – wnuczki Idy i Wincentego Janotów Bzowskich zmarł w Opolu i tam pochowany.
- + **Jan (Jach) Sobolewski (1901-1990)** – mąż Urszuli, córki Wincentego i Idy z Janotów Bzowskich zmarł w Mościcach koło Tarnowa.
- + **Urszula JB (1906-1993)** – córka Wincentego i Idy z Janotów Bzowskich, żona Jana (Jacha) Sobolewskiego zmarła w Mościcach koło Tarnowa.
- + **Ludwik Sobolewski (1909-1993)** – mąż Krystyny z JB z Borusowy, zmarł w Gliwicach. Pochowany na cmentarzu Rakowickim w Krakowie.
- + **Julia (1910-27.11.1996)** – pochowana w Paryżu.

Wspomnienie pisane przez Renię Jakubowską (synową plk dypl. Józefa) nad trumną Julii w Paryżu.

Z nadesłanej przez Tunię Bzowską z Opola kopii przepisała Kazimiera Janota Bzowska w Londynie 26.1.2011 roku.

Zwracam się w imieniu rodziny do zebranych uczestników pogrzebu świętej pamięci Julii Bzowskiej z prośbą o wystuchanie wspomnień z życia zmarłej, które dla niektórych z państwa nie są znane.

Świętej Pamięci Julia ur. 1910 r. w Krakowie, córka Wincentego, który w tym czasie sprzedał swój majątek na Węgrzech t.j. lasy i tartaki w miejscowości Dretoma koło Debreczyna, a w 1911 kupił majątek Zwiernik. Tak więc Julia spędziła tu całe dzieciństwo i młodość, kształcąc się w tym czasie, między innymi studiowała malarstwo w Rzymie, a potem pracowała w województwie poznańskim. W 1939 r. podczas agresji hitlerowskiej na Polskę, uciekając na wschód z rodzicami, mając wówczas 29 lat, dołączyła się do Wojska Polskiego, wycofując się wraz z nim do Rumunii, skąd przedostała się do Francji do Paryża, angażując się w walkę przeciw Niemcom. Po zagarnięciu Francji przez Niemców w 1949 r. brała czynny udział we Francuskim Ruchu Oporu (Maquis). Przyniła się do odnalezienia miejsca uwięzienia Prymasa Polski kardynała Hłonda.

Julia służyła w wydziale F-2 jako agent łączności P2 pod pseudonimem „TOPOLA”. Jako łączniczka podejmowała najtrudniejsze i najmniej bezpieczne zadania, których nie chcieli się podjąć nawet zawodowi żołnierze (np. przewożąc radiostację przez most strzeżony z dwu stron

przez Niemców). Podczas jednej z takich akcji została złapana przez Niemców, następnie uwięziona i skazana na karę śmierci, która miała być wykonana następnego dnia. Też same nocy zaczęto zwozić rannych niemieckich żołnierzy z pobliskich walk. Korzystając z zamieszania, Julia wyskoczyła z okna na I piętrze i uciekła w góry, zacierając za sobą ślady. Obdarta, bosa, poraniona dobiegła na najbliższej stacji kolejowej, dzięki czemu ocalała. Działając nadal w partyzantce, niosła również pomoc prześladowanym żydom.

Posiada dyplomy i odznaczenia:

1. Dyplom Krzyża Polskiego Ruchu Oporu we Francji
2. Dyplom Republiki Francuskiej Chwały Ojczyzny dla żołnierza bez uniformu, Trwałości Francuskich Kombatantów.
3. Dyplom Dowództwa Polskiego wydział F2 za zasługi odwagi i prawości
4. Medal Pamiątkowy wojny 1939-1945 z baretką Liberation.
- 5 Order Pułku Krzyża Wojny z gwiazdą srebrną Republiki Francuskiej, rozkaz 132 Ministerstwo Armii Lądowej Republiki Francuskiej zaświadcza, że Julia służyła w oddziale F2 misja piątej klasy, która odpowiada stopniowi starszego sierżanta i została zdemobilizowana w tym stopniu dopiero w dniu 14 lutego 1947 r., oraz że podane dane odnośnie zasług Julii są prawdziwe. Dokument w/w odznaczonej i inne są w posiadaniu rodziny. Opracowane wspomnienia są zaczerpnięte z Łącznika Rodziny Bzowskich.

Po okresie wojny do 70 roku życia Julia pracowała zawodowo, ostatnie 15 lat w Księgarni Polskiej w Paryżu wielce ceniona za zasługi na rzecz Polonii Francuskiej

Należy jeszcze nadmienić, że przez cały czas pobytu za granicą Julia w miarę swoich możliwości finansowych wspomagała rodzinę w kraju, przede wszystkim swoją matkę, która w 1945 roku została bez środków do życia, wypędzona ze swojego domu i majątku w Zwierniku. Po śmierci matki pomagała swojemu bratu Wojciechowi, który w ostatnich latach życia tracił wzrok, następnie siostrze Irenie, która żyła na skraju ubóstwa, w końcu zaadoptowała córkę swojej siostry Anieli Martę, która owdowiała i pozostała z 2 małymi dziećmi. Ponadto Julia cały czas wspomagała wielu bliższych i dalszych członków rodziny, działając charytatywnie w kraju i we Francji. Do końca pozostała wierną Bogu i Ojczyźnie.

Dzisiaj Julia powraca do swoich rodziców, do których nie mogła wrócić za ich życia, ponieważ za swoją działalność dysydencką była poszukiwana przez Służbę Bezpieczeństwa i gdyby przyjechała do Polski, czekało ją więzienie.

Żegnamy ją z głębokim żalem i szacunkiem.

Odeszła do Pana Boga dnia 27 listopada 1996 roku po długich i ciężkich cierpieniach ze szpitala Bry-sur-Marne pod Paryżem.

Renia Jakubowska

- + **Krystyna z JB Sobolewska (1919-30.09.2006)** – żona Ludwika, zmarła w Gliwicach, córka Jana i Zofii z Krzyżanowskich z Borussowy. Pochowana w Krakowie, obok męża Ludwika 5 października 2006. Wiadomość tę podała Kazimierze JB jej córka Zosia Roźniatowska. Krystyna zmarła nagle. Rano była w kościele. Przyszła do domu. Zasnęła i zmarła. Szybko i bezboleśnie, jak powiedziała Zosia.
- + **Julia JB (1910-27.11.1996)** – córka Wincentego i Idy z Janotów Bzowskich zamieszkała w Paryżu, zmarła 27 listopada 1996 w Paryżu, prochy zostały przewiezione do Polski i złożone w rodzinnym grobie w Zwierniku.
- + **Krystyna z Kaczorowskich JB (1911-8.05.2001)** – żona Wojciecha JB (1908-1967) – syna Wincentego i Idy z JB ze Zwiernika, zmarła w Krakowie i tam pochowana.
- + **Hildegarda z domu Gmyrek JB (1918-29.11.2006)** – żona Józefa JB (1911-1955) zamordowanego w 1955 roku, zmarła w Wołowie koło Wrocławia.

4.8. LINIA BORUSSOWSKA (8)

- + **Tytus JB (1911-7.06.1992)** – syn Jana i Zofii z Krzyżanowskich JB, oficer Wojsk Polskich na Zachodzie z 1. Dywizji Pancерnej pod dowództwem gen. Maczka, ożeniony z Eleanor Todd, zamieszkały w Londynie przy 122 Emmanuel Road, London SW12. Zmarł na raka płuc w szpitalu w Londynie. Spopieleny. Prochy zostały częściowo przewiezione do rodzinnego grobowca w Gręboszowie obok Borussowy, częściowo pochowane w West Burton, gdzie mieszka jego córka Elissa Tew z mężem Keith i dwoma synami.

TYTUS JANOTA BZOWSKI

Ukochany Mąż, Ojciec i Dziadek

Kpt. 1. Dywizji Pancерnej, odznaczony wieloma medalami polskimi i brytyjskimi, ur. 20 listopada 1911 r. w maj. Borussowa, koło Tarnowa, po długiej chorobie zmarł w Londynie 7 czerwca 1992 r. Msza św. żałobna zostanie odprawiona w kościele Chrystusa Króla na Balham, SW17 w poniedziałek 15 czerwca 1992 r. o godz. 10 rano, po czym nastąpi spopielenie w South London Krematorium, przy Rowan Road. Prochy zostaną przewiezione do Polski i złożone w rodzinnym grobowcu w Gręboszowie.

O bolesnej stracie zawiadamiając pogrążeni w żałobie:

Żona, córka, zięć i wnuki, rodzina w Anglii, Polsce i w Danii

TYTUS JANOTA BZOWSKI

Urodzony 20 listopada 1911 r. w maj. Borussowa,
zmarł w Londynie 7 czerwca 1992 r.

Msza św. żałobna zostanie odprawiona w kościele Chrystusa Króla na Balham, SW17 w poniedziałek 15 czerwca 1992 r. o godz. 10 rano.

Kochanego Kuzyna i najbardziej szlachetnego człowieka żegnamy z głębokim żalem, łącząc się z jego żoną Eli, córką Elissą, zięciem i wnukami w żałobie po Jego stracie.

**Jan i Kazimiera Janotowie Bzowscy
z synami Markiem z rodziną w Anglii
i Jerzym z rodziną w Kanadzie**

TYTUS JANOTA BZOWSKI

Kapitan Broni Pancерnej

Długoletni członek Koła SPK nr 122 1. Dywizji Pancерnej pełniący obowiązki sekretarza przez okres 36 lat, odznaczony Złotym Krzyżem Zasługi, Srebrną i Złotą Odznaką Honorową SPK, Kombatanckim Krzyżem Zasługi i Złotą Odznaką 1. Dyw. Panc. Po ciężkiej chorobie zmarł w 81 roku życia 7 czerwca 1992 r.

Uroczystości pogrzebowe odbyły się w dniu 15 czerwca 1992 r. w kościele Chrystusa Króla na Balham.

Cześć Jego Pamięci

Prezisi i członkowie Koła SPK nr. 122 1. Dywizji Pancерnej

TYTUS JANOTA BZOWSKI

Kapitan 2 Pułku Pancерnego

Uczestnik walk 1. Dywizji Pancерnej 1944-45.

Odnaczony Krzyżem Walecznych i innymi odznaczeniami polskimi i zagranicznymi

Drogiego Kolegę i szlachetnego Człowieka żegnają

Przyjaciele z 2. Pułku Pancерnego

TYTUS JANOTA BZOWSKI

Zasłużony Chyrowiak

Urodzony 20 listopada 1911 r. zasnął w Panu 7 czerwca 1992 r. w Londynie.

Msza św. żałobna zostanie odprawiona w kościele Chrystusa Króla na Balham, SW17 w poniedziałek 15 czerwca 1992 r. o godz. 10 rano.

Żegnamy Drogiego Kolegę

CHYROWIACY

Przemówienie Bronisława Webera, prezesa Koła SPK Nr 122/1. Dywizja Pancерna nad trumną Tytusa Janoty Bzowskiego podczas mszy św. żałobnej w kościele Chrystusa Króla na Balham 15 czerwca 1992 roku.

Drogi Tytusie, Przyjacielu i Towarzyszu w pracy społecznej Stowarzyszenia Polskich Kombatantów.

Przyszło mi Ciebie pożegnać w imieniu własnym i członków Stowarzyszenia Polskich Kombatantów Nr. 122 1. Dywizji Pancерnej, któremu poświęciłeś 36 długich

lat swojego życia na stanowisku sekretarza. Żegnam Cię również imieniu prezesa Koła SPK – spadochroniarzy 1. Dywizji Pancерnej kolegi Zbigniewa Gąsowskiego.

Byłeś zawsze wierny zasadom pracy społecznej dla Stowarzyszenia Polskich Kombatantów i chwały 1. Dywizji Pancерnej, w której odbyłeś kampanię wojenną na Zachodzie od Normandii do Wilhelmshaven.

Za pracę społeczną zostałeś odznaczony Złotym Krzyżem Zasługi, jak również Srebrną i Złotą Honorową Odznaką Stowarzyszenia Polskich Kombatantów i Kombatancim Krzyżem Zasługi.

Związek Kół 1. Dywizji Pancерnej wyróżnił Ciebie, nadając Ci Złotą odznakę 1. Dywizji Pancерnej.

Te wyróżnienia chyba najlepiej oceniają Twoją osobowość i charakter prawdziwego żołnierza – obywatela naszej Ojczyzny.

W imieniu Organizacji Kombatanciej dziękuję Ci za lata pracy i trud włożony w rozwój i dorobek.

Żegnaj mój Drogi Przyjacielu. Swoją pracą dobrze zasłużyłeś się sprawie polskiej.

Bronisław Weber, 65 Rydal Garden, Wembley, Middlesex

Podziękowanie prezesowi Bronisławowi Weberowi wysłane 17 czerwca 1992 roku:

Niech mi wolno będzie w imieniu Męża i własnym podziękować Panu za słowa wypowiedziane w dniu pożegnania naszego drogiego Kuzyna Tytusa. Oddają one treść Jego poświęcenia pracy społecznej i tę niezachwianą wiarę, że wszystko co robił, robił dla dobra wytyczonego celu. I bardzo się cieszył, kiedy go osiągał. Był prawdziwie dobrym żołnierzem swojej Dywizji, dobrym obywatelem swojej ojczyzny i ponad wszystko – szlachetnym człowiekiem. Takim Go będziemy pamiętać.

Kazimiera Janota Bzowska

- + **Eleonora Janota Bzowska z domu Todd (1914-28.02.2000)** z pochodzenia Szkotka, żona Tytusa JB, syna Jana i Zofii z Krzyżanowskich z Borussowej. Chorowała na raka piersi. Zmarła w domu córki Elissy w West Burton. Spopiелona w krematorium w Findon blisko Worthing. Prochy zostały pochowane na cmentarzu West Burton.
- + **Edward Bogusz (?-10.07.1986)** – wuj Tytusa Janoty Bzowskiego, zmarł w Londynie. Jedyna jego córka Jadwiga z Boguszów Bajorek zmarła 2008 roku w Londynie. Brat Edwarda był pierwszym mężem Stefani Janoty Bzowskiej, córki Jana i Marii Dunin Brzezińskiej z Borussowy.
- + **Janina (Nunia) z Janotów Bzowskich (1914-1971)** – córka Jana i Zofii z Krzyżanowskich Borussowy, żona Tadeusza Janoty Bzowskiego. Zmarła nagle na skutek komplikacji złamania stawu biodrowego. Pochowana w rodzinnym grobowcu w Gręboszowie.

Wspomnienie o matce Janinie (Nunusi) JB z Janotów Bzowskich

Zawsze pozostanie w mej pamięci malutka, ogromnie zaradna, bardzo serdeczna dla ludzi postać.

Nie miała lekkiego życia: wychowana w szkole klasztornej młoda panienka, gdy wybuchła wojna, została główną zarządzającą majątkiem Borusowa w miejsce brata Tytusa, który poszedł na wojnę. Jej ojciec wtedy już nie żył, a przyrodni, niepełnosprawny brat Henryk niewiele mógł pomóc.

W 1943 r. wyszła za mąż za Tadeusza JB (z linii Bobrownickiej) pięknego, choć o sławie pożeracza serc niewieścich i lekkoducha-mężczyznę, który w dodatku był wtedy biedny jak przysłowiowa mysz kościelna.

Rodzina dotrwała w Borusowej do chwili wkroczenia wojsk radzieckich, a potem z majątkiem mieszczącym się na jednej furmance i malutkim synkiem wyjechała do Tarnowa.

Nie uchroniło ich to przed więzieniem i prześladowaniami, czego skutkiem było przedwczesne urodzenie się córeczki Marii, która żyła tylko kilka godzin.

Po wyjściu z więzienia ojciec nie mógł z przyczyn ideologicznych dostać pracy, więc by utrzymać rodzinę wyjechał do Przemyśla, gdzie został zatrudniony jako inspektor lasów państwowych, co jednak wiązało się z ciągłym przebywaniem poza domem. Mama została więc sama z trójką dzieci w mieszkaniu stanowiącym część willi należącej do kobiety, przebywającej w czasie wojny w obozie. Gdy kobieta ta wróciła zastała swój dom pełen lokatorów. Nietrudno się domyślić, że nie była z tego powodu zachwycona. Swoją frustrację z tego powodu dawała odczuć wszystkim, w tym nam dzieciom, lecz my mogliśmy się schronić do mamy, ona nie miała do kogo.

Do tego dołączyły się problemy finansowe. Ojciec nie zarabiał wiele a trójka żarłocznych dzieci potrzebowała coraz więcej. Tak dziwnie się składało, że ile razy było w domu coś specjalnie smacznego mama nie miała apetytu albo jej to szkodziło. Ubrania dla dzieci szyla sama (najczęściej z kawałków własnej garderoby) albo przerabiała z ubrań przesłanych przez jej siostrę po jej dzieciach. Uprawiała kawałek ogrodu stąd mieliśmy zawsze trochę swoich warzyw.

Szczególnie ciężkie czasy zaczęły się dla niej, gdy właścicielka domu postanowiła go sprzedać (a nie mogła tego skutecznie z lokatorami). Do jej codziennych szyskan dołączyła się świadomość i poczucie winy dawnej właścicielki, że jej ciemnozycielka ma moralne prawo dysponować swą własnością.

W efekcie, nie mając jeszcze przyznanego mieszkania, wyprowadziliśmy się do sąsiadki, która (samotna w ogromnej willi) odstąpiła nam jeden pokój chyba tylko dlatego, by bezkarnie dręczyć mamę, która zносиła wszystko z niebywałą cierpliwością, próbując załagodzić wszystkie pojawiające się problemy.

Nie prowadziła życia towarzyskiego, jako bardzo kosztownego, gdy otrzymała prezent wpadała niemal w panikę nie widząc sposobu rewanżu.

Dopiero w 1968 roku ojcu wreszcie udało się załatwić mieszkanie w Tarnowie. W 1970 przeszedł na emeryturę i wrócił na łono rodziny, dzieci podrosły (syn

Tomek był już żonaty) i wydawało się, że mama wreszcie zazna trochę poczucia bezpieczeństwa i spokoju w rodzinie, której dała wszystko lecz otrzymała niewiele. Los zrzędził inaczej. W maju 1971r w Krakowie, dokąd pojechała załatwić sprawy majątkowe brata, przewróciła się łamiąc szyjkę kości udowej. Nieprawdopodobnie dzielna jak zawsze, zdołała sama wrócić pociągami do Tarnowa, a z dworca przyniósł ją na rękach jeden z pasażerów. Tydzień później zmarła nagle wskutek zatoru w ramionach ukochanego męża i córki.

W moich oczach, lecz chyba nie tylko, była jedną z ostatnich heroin, walczących do ostatka o dobro swych najbliższych bez oglądania się na siebie i własne potrzeby. Nigdy też nie pałała nienawiścią do sprawców swego ciężkiego losu. Zawsze cicha i pogodna bezgranicznie wierna swym bliskim i swej wizji świata.

Marta Włodarczyk z Janotów Bzowskich, 11. 02. 2011

- + **Tadeusz JB (1904-18.02.1983)** – „Hrabia Bieszczad”, syn Józefa i Wandy z Koziełł Poklewskich z Bobrownik, mąż Janiny z Janotów Bzowskich, córki Jana i Zofii z Krzyżanowskich z Borussowej, zmarł w Tarnowie.
- + **Marcin Józef JB (1948-28.07.1973)** – syn Janiny z JB i Tadeusza Janotów Bzowskich, zmarł tragicznie w wypadku drogowym.
- + **Marcin JB (1974-1999)** – syn Tomasza JB i Alfredy z Nalezińskich JB, wnuk Janiny i Tadeusza JB z Borussowej, zmarł tragicznie w wypadku drogowym.
- + **Maria Przyborowska z Janotów Bzowskich (1899-1985)** – córka Jana i Marii Dunin Brzezińskiej z Borussowej, żona Henryka Przyborowskiego, zmarła w Krakowie.
- + **Henryk Przyborowski (1897-3.03.1978)** – oficer Wojsk Polskich na Zachodzie, w Szkocji, profesor uniwersytetu w Glasgow, mąż Marii Janoty Bzowskiej, córki Jana i Marii Dunin Brzezińskiej z Borussowy, zmarł w Londynie w Polskim Domu w Antokolu, Chislehurst. Prochy zostały złożone w grobowcu rodzinnym w Połajewie, koło Poznania.

Wspomnienie o Henryku Przyborowskim – Kazimierzy Janoty Bzowskiej:

Rodzina w Polsce, szczególnie rodzina Marysi Janoty Bzowskiej, córki Jana z Borussowy, zamężnej za Henrykiem Przyborowskim, którego wojna przerzuciła na emigrację, wyobrażała go sobie jako krezusa opływającego w złoto i bogactwa, tym bardziej, że mieszkał w Sao Paulo w Brazylii. My natomiast w Londynie znaleźliśmy tę smutniejszą stronę medalu. Otrzymywaliśmy listy od jego drugiej żony, Peggy z Sao Pulo. Donosiła nam o faktycznym stanie zdrowia Henia, człowieka o niepospolitej inteligencji i wyobraźni.

W 1950 roku wyjeżdżając ze Szkocji na stałe do Brazylii, przyjechał Henio do nas do Londynu, jako chrzestny ojciec naszego syna Jurka. Żegnając się z nami, nie omieszkał zaprosić nas do siebie, gdy się tylko urządzi w nowym kraju. Karczowanie brazylijskiej puszczy, nie było po jego myśli, ale ostatecznie, wyobrażał sobie,

że jako gospodarz majątku w Połajewie koło Poznania, tu na harendzie w Brazylii potrafi sobie dać radę z wyrębem lasów. Niestety, w 1964 roku Henio dostał udaru mózgu. Dzięki Peggy odzyskał częściowo mowę, pamięć i sprawność w ręce. Peggy, w tym wielkim nieszczęściu była jego aniołem stróżem. Marysia, jego pierwsza żona, jakkolwiek zacna osoba, nie dałaby rady opiekować się tak bardzo chorym, niezdatnym do życia mężem, jak to robiła jego druga, szkocka żona.

Zachowały się niektóre listy z tego okresu, które warto przytoczyć dla samego faktu, jak to życie naprawdę wyglądało. Pisała Peggy:

Sao Paulo 2 lutego 1965 roku. Otrzymałam Wasz list i życzenia na Boże Narodzenie, za co dziękuję, jak również za fotografie Waszych synów. Jak ten czas ucieka! Malutkimi dziećmi ich pamiętam. Zdrowie Henia bardzo powoli się poprawia. Nie może zostać sam, bez opieki, gdyż nie utrzyma się bez pomocy na słabych nogach. Jego lewa ręka jest bezwładna, lecz w tych ostatnich dwóch tygodniach dało się w niej widzieć małą poprawę. Może nią trochę ruszać i ledwo cokolwiek utrzymać. Nie ma w tej ręce władzy i czucia. Biedny Heniek. Jest strasznie chudy, słaby i wciąż jeszcze odczuwa bóle w nodze. Co prawda, doktor jest zadowolony z poprawy, choć mówi, że to nie jest choroba, którą szybko da się wyleczyć. W każdym razie siedem i pół miesiąca wydaje się ogromnie długo i dla Heńka jest to ogromnie długie czekanie. Ważne jest to, że może już teraz stopniowo czytać gazety, ale nie może pisać ani długo koncentrować się na jakiegokolwiek rzeczy. Obawialiśmy się o całkowite sparaliżowanie mózgu, ale, chwalić Boga, to się nie stało. Może przedyskutować niektóre sprawy, odpowiedzieć na normalnie pytania, ale to wszystko bardzo go męczy. Doktor zabronił mu pisać. Może kiedyś zajdzie poprawa.

To wszystko stało się tak nagle, właśnie wtenczas, gdy Henryk miał wysłać swoje artykuły do druku i nagrywał je na taśmę dla Radia Wolnej Europy w Niemczech. Tym sposobem chciał zarobić sobie trochę dolarów, gdyż chciał odwiedzić Polskę. Razem wtedy pojechalibyśmy. Jego współpraca z Radio Wolna Europa układała się dobrze, był zaakceptowany i chwalony przez zespół. Wysyłał dwa różne programy do radia, które spotkały się z wielkim sukcesem, gdy nagle ta rzecz się stała. Co prawda, pieniądze, jakie dostawał, przydały się. Za nie opłacałam szpital, lekarza. Wszystkie oszczędności, jakie mieliśmy, zostały zjedzone przez koszty leczenia. Wciąż jeszcze płacimy rachunki lekarzom, którzy odwiedzają Henryka, za medykamenty, które są tu potwornie kosztowne. Dobrze, że jakoś jeszcze nie popadliśmy w długi, co nie znaczy, że mamy z czego żyć. Kupuje się najkonieczniejsze rzeczy. Co raz to koszty utrzymania idą w górę i to bez żadnego uprzedzenia. Trudno jest robić porównania kosztów utrzymania tutaj w przeliczeniu na Funty. Podczas, gdy nasza miesięczna pensja wynosi 164.000 cruiserów, koszt jedzenia, oświetlenia, gazu, opłaty za mieszkanie, lekarstw, służącej wynosi 130,240 cruiserów. Henryk dostaje 84,000 cr. emerytury i moja miesięczna gaża wynosi 80,000 cr.. Z tego widać, że nie stać nas na żadne dodatkowe wydatki, bo zawsze czegoś w domu potrzeba, czy to nową piżamę

dla Henryka, owoce. Nie możemy sobie pozwolić na żadne rozrywki. W ostatnim roku ani raz nie byłam w kinie i nic na siebie nie wydałam.

Najważniejszą rzeczą jest jeszcze trochę dłużej poświęcić się dla Henryka, żeby wyzdrowiał i wtedy może pozwolę sobie na mały odpoczynek. W Boże Narodzenie przypadł mi czterotygodniowy urlop, który spędziłam w domu. Raz tylko wyszłam na pół dnia do sklepów. I tak, widzisz, wygląda moje życie. Będę Was informować o stanie zdrowia Henryka i proszę, piszcie do nas.

Gdybym nawet chciała ten list Peggy przytoczyć tym wszystkim, którzy byli tak bardzo zainteresowani bogactwem Henryka, nie bardzo chcieliby uwierzyć w prawdziwość tego, co Peggy donosiła. Sam fakt, że Henio był w Brazylii, w tak pięknym i egzotycznym kraju, pomniejszał prawdę o jego stanie zdrowia i niedostatku, w jakim się oboje znaleźli. W późniejszych listach Peggy donosiła o wysprzedaniu się z wszystkiej biżuterii na koszt lekarstw dla Henryka.

Czy mi uwierzyła najbardziej przejęta Nunia, siostra Marysi, gdy jej przedstawiłam faktyczny stan zdrowia Henryka Przyborowskiego?

Po jako takim polepszeniu się stanu zdrowia Henryka oboje przyjechali w 1966 roku do Londynu. Dzień był okrutnie zimny, jesienny, gdy Janek z Jurkiem pojechali do doków, by ze statku zabrać leżącego na noszach Henryka. Nie poznałam go, gdy wróciłam z pracy do domu. Henryk Przyborowski, przystojny, dumny pan zamienił się w łyszego pacjenta, nie mogącego sobie z niczym dać rady. Peggy była jego karmicielką, myła go, ubierała, rozbierała, prowadziła do ubikacji, goliła mu twarz i czesała ostatnie kosmyki jego siwych włosów. Zamieszkali u nas kilka tygodni aż do wyjazdu do Szkocji, gdzie czekało na nich mieszkanie Peggy w Glasgow. W bardzo krótkim czasie Henio uciekł ze Szkocji. Nie mógł znieść klimatu, samotności, oddalenia od Polaków. Wrócili i zamieszkali w domu Pisarza Polskiego na Finchley Road w Londynie. Stamtąd został przeniesiony do Antokolu, domu dla Zasłużonych Polaków Oak House 45, Holbrok Lane, Chislehurst, Kent. Odwiedzałam go i podziwiałam śliczny dom, położony w obszernym parku. Często i Janek jeździł ze mną w odwiedziny. Henio doszedł do tak dobrej kondycji, że mógł jedną ręką pisać na maszynie i jego poczytne artykuły przez długie jeszcze lata były drukowane w naszej emigracyjnej gazecie - Dzienniku Polskim i Dzienniku Żołnierza ciesząc się ogromnym uznaniem. Aż do „bomby” zatytułowanej „Niemcy dokończyli dzieło Polaków”, czyli wszystko to, co zrobili Niemcy Żydom, mieli wcześniej rozpocząć Polacy. Podniosła się burza wśród emigracyjnych kół, pisarzy, czytelników. Nikt nie wchodził w to, że Henia umysł - po prostu wysiadł. Zwyczajnie przestał racjonalnie funkcjonować. Henio był chory. Nikt z redaktorów nie przypuszczał, że nadesłany przez Henia artykuł nie nadawał się do druku. Wierząc w jego dobre pióro, przez długie lata nikt ich nie czytał i nie sprawdzał, nie przypuszczał, że autor tego felietonu jest poważnie chory. Demencja? Alzheimer? Czy następstwa wylewu 14 lat temu?

Henryk Przyborowski zmarł 3 marca 1978 roku w Chislehurst. Został spopieleny. Prochy przewiezione do Polski, spoczęły w Połajewie w grobie, obok matki. Całym

tym ceremoniałem zajął się Tytus Janota Bzowski, przyrodni brat Marysi, pierwszej żony Henryka. Z natury smutne pogrzeby czasem powodują komiczne sytuacje. A to grób wykopany za krótko, ciasno i trumna się nie mieści, albo grób wodą podejdzie, szczególnie w grząskim i gliniastym podłożu cmentarzy londyńskich. Od kiedy stało się modne spopielenie i przewożenie prochów do kraju pochodzenia zmarłego, dla uniknięcia wydatków i ciężkich kosztów z załatwianiem legalnego przewozu, ładowano prochy do słoików po kawie i odbiorcy nie zawsze uprzedzeni doświadczali makabrycznych eksperymentów.

Po spopieleniu Henia Przyborowskiego, Tytus na jego życzenie zajął się odtransportowaniem prochów do Połajewa. W dniu kiedy odebrał urnę z krematorium, wsadził ją do torby po zakupach, a że było strasznie zimno i padał deszcz, udał się do kawiarni na mały posiłek. Nie chcąc mieć obok siebie towarzystwa prochów Henia, zostawił je z parasolem w hallu Wychodząc, w roztargnieniu zabrał parasol, Henio został. Nagle w domu Tytus przypomniał sobie torbę pod stolikiem w hallu. Konsternacja była niczym w porównaniu z paniką, jaka go ogarnęła. Rozdzwięczały się telefony do restauracji, po taksówkę, która w tłoku deszczowego londyńskiego wieczoru wlokła się niemiłosiernie długo. Po drodze milion myśli dręczyło biedną głowę Tytusa. Co będzie, jeśli ktoś torbę ukradł? Albo służba na śmietnik wyrzuciła? Gdy dopadł restauracji, wyjęta z torby czarna urna z prochami Henia stała na stoliku. Nie tknięta. Bo kto by to chciał połakomić się na prochy nieboszczyka?

Nawet po śmierci, tak jak i za życia, trzymały się Henia różne kawały. A kawalarzem był niezrównanym.

Kazimiera Janota Bzowska.
Londyn 1979 r.

- + **Stefania (Stefcia) Krzyżanowska z Janotów Bzowskich (1897-24.04.1982)** – córka Jana Marii Dunin Brzezińskiej z Borussowej, wdowa po Włodzimierzu zamordowanym w Katyniu 1940 roku, zmarła w Krakowie.
- + **Włodzimierz Krzyżanowski (?-1940 Katyń)** z Cudzynowic – mąż Stefanii Janoty Bzowskiej, córki Jana i Marii Dunin Brzezińskiej z Borussowej, zamordowany w Katyniu.
- + **Henryk JB (1897-1958)** – syn Jana i Marii Dunin Brzezińskiej z Borussowej, ożeniony z Marią Jarzębowskią (zm. 1955 r.).
- + **Krystyna z JB Sobolewska (1919-1.10.2006)** – córka Jana i Zofii Krzyżanowskiej, żona Ludwika Sobolewskiego (1909-1993), miała dwoje dzieci: Marka ur. 1946 r. i Zofię ur. 1948 r. Krystyna jest pochowana na cmentarzu Rakowickim w Krakowie.

4.9. LINIA STANISŁAWA – PIERWSZEGO STAROSTY RODOWEGO (9)

- + **Zofia JB z domu Skrzyńska (1908-17.10.2003)** – żona Jerzego JB (1903-1940 Katyń), zmarła w Krakowie i tam pochowana.

- + **Andrzej JB (21.01.1916-9.07.1949)** – wnuk Władysława JB, brata Stanisława Pierwszego Starosty Rodowego, ojciec Krzysztofa i Małgorzaty, urodził się w Kijowie, zmarł w Szczecinie i tam pochowany (cmentarz przy ul. Ku Słońcu), symboliczny grób w Lublinie na cmentarzu przy ul. Lipowej (kwatery 22aII 6).
- + **Maria Bzowska z Zagórkich (2.01.1889-14.08.1949)** – żona Stanisława JB, matka Andrzeja JB, zmarła w Złotym Stoku z żalu po śmierci syna, pochowana na cmentarzu w Złotym Stoku, grób symboliczny w Lublinie na cmentarzu przy ul. Lipowej (kwatery 22aII 6) – patrz wspomnienie o Marii i Jej synu Andrzeju, w rozdziale 5.3).
- + **Krzysztof JB (28.07.1943-09.03.1962)** – syn Andrzeja JB i Jadwigi z Krawczyków Bzowskiej, prawnuk Władysława JB, urodził się w Gorlicach, zmarł śmiercią tragiczną w Lublinie, pochowany w Lublinie na cmentarzu przy ul. Lipowej (kwatery 22aII 6).
- + **Jadwiga (17.01.1918-4.09.2004)** – primo voto Bzowska, secundo voto Lipko – żona Andrzeja JB, matka Krzysztofa JB i Małgorzaty Bzowskiej-Bakalarz, zmarła w Maszkach k/Lublina, pochowana w Lublinie na cmentarzu przy ul. Lipowej (kwatery 22aII 6).
- + **Henryk Lipko-Lipczyński (7.01.1914-17.07.2000)** – drugi mąż Jadwigi Bzowskiej z Krawczyków, przyjaciel Andrzeja JB, uczeń Marii Bzowskiej, wyjątkowy Ojczym Małgorzaty BB, inżynier konstruktor, pochowany w Lublinie na cmentarzu przy ul. Męczenników Majdanka (S4K116).
- + **Zofia z Bzowskich Jankowska (12.05.1871-18.05.1922).**

Kurier Warszawski 21.V.1922 Nekrologi

Zofia z Bzowskich Jankowska opatrzona świętymi sakramentami po długich i ciężkich cierpieniach zasnęła w Bogu 18 V 1922 przeżywszy lat 50. Nabożeństwo żałobne odprawione będzie w dniu 22 V 1922 o godz. 10 rano w kościele w Królikarni (Mokotów). Wyprowadzenie zwłok nastąpi po nabożeństwie na cmentarz na Służewie.

O czym zawiadamiają krewnych, przyjaciół i znajomych pogrążeni
w głębokim smutku
Mąż, Córka, Syn i Rodzina

- + **Teofil Jankowski (6.10.1904-18.10.1968)** – syn Zofii z Janotów Bzowskiej Jankowskiej i Ludwika Jankowskiego.

W dniu 18 października 1968 r. zmarł nagle inż. Teofil Jankowski.

Zasłużony działacz samorządowy spółdzielczości ogrodniczej, długoletni przewodniczący Rady Spółdzielczości Ogrodniczo-Pszczelarskiej w Łowiczu, członek rady Okręgu CSO, wybitny działacz oświatowy i wychowawca młodzieży, wielokrotnie odznaczony za działalność społeczną.

Wyrazy serdecznego współczucia Żonie i Rodzinie z powodu tak
bolesnej straty
Okręg CSO w Łodzi oraz Rada I Zarząd i Pracownicy Spółdzielni
Ogrodniczo-Pszczelarskiej w Łodzi.

Dnia 18 października 1968 zmarł inż. Teofil Jankowski
Kapitan WP w stanie spoczynku, uczestnik walk pod Bzurą w 1939 r, jeniec oflagi,
wieloletni profesor Technikum Rolniczego w Blichu, wychowawca i przyjaciel młodzieży.
Rodzinie Zmarłego wyrazy głębokiego współczucia składają
absolwenci Technikum w Blichu.

W dniu 18 X zmarł nagle przeżywszy 65 lat
S. + P. inż. Teofil Jankowski
Przyjaciel i wychowawca młodzieży, organizator turystyki odznaczony srebrną
odznaką PTTK, działacz ruchu spółdzielczego, krzewiciel oświaty rolniczej, były je-
niece oflagi Osterode, Najukochańszy Mąż, Tatuś, Dziadek.
Wyprowadzenie zwłok z Kolegiaty łowickiej nastąpi 22 bm. o godz. 16.
Zawiadamicją o tym pograżeni w głębokim smutku
Żona, Dzieci i Rodzina.

+ **Zofia z Podlewskich Jankowska (10.04.1920-1.04.2011)** – druga żona Teofila Jan-
kowskiego.

Słowa córki Anny odczytane przez księdza na Mszy św. pogrzebowej Zofii Jankowskiej

Mama Zofia była taką osobą, której nie da się zapomnieć. **Silna i dzielna** – potrafiła wiele zrobić. **Kochana** – to każdy z nas odczuwał. Zawsze chętnie udzielała innym rad. **Rodzinna** – to zawsze dawało się z przyjemnością odczuwać. A przy tym była bardzo skromna. Stąd Jej strata jest i będzie bardzo odczuwalna. Pielgrzymowała do Częstochowy, Lichenia, Ostrej Bramy, Lourdes, Rzymu i Jerozolimy. Ta pielgrzymka jest Jej ostatnią na Ziemi i my podążamy z Nią.

Z głębokim smutkiem zawiadamiamy, że w dniu 1 kwietnia 2011 r. zmarła w wieku 91 lat.

**ZOFIA
JANKOWSKA**

Msza Św. żałobna zostanie odprawiona w środę 6 kwietnia 2011 r.
o godz. 11⁰⁰ w parafii katedralnej w Kościele Św. Leonarda,
po której nastąpi odprowadzenie do grobu na Cmentarz Katedralny.
Wystawienie Ciała w Kościele od godz. 10³⁰

O czym zawiadamiają pograżeni w żałobie
Córka i Synowie z Rodzinami.

ZBIÓR PAROCHIALNY BRZOSKI ROBINIAJ
ŁOWICZ, ul. Łódzka 4 A tel./fax 46 837-53-85, 0601 375 385



Wykaz miejsc pochówku zmarłych potomków rodu Janotów Bzowskich i członków ich rodzin w linii po Aleksandrze i Lucynie JB

CMENTARZ w Kaliszu ul. Górnośląska

- 1911 rok Lucyna Bzowska z d. Kozierowska od głównego wejścia po schodkach ok. 25 m, grób w alejce wzdłuż muru po prawej stronie.
1930 rok Edmund Sikorski grób rodziny Sikorskich: alejką od wejścia głównego do końca, alejka po lewej stronie przy murze.
1935 rok Katarzyna Sikorska z d. Minakowska (jak wyżej).
1972 rok Władysław Sikorski (jak wyżej).
1974 rok Mieczysław Sikorski (jak wyżej).

CMENTARZ na Salwatorze w Krakowie

- 1937 rok Stanisław Bzowski II-gi rząd po lewej stronie głównej alei od strony głównego wejścia na cmentarz.
1937 rok Zofia Bzowska z d. Markowska (jak wyżej).
2003 rok Zofia Bzowska z d. Skrzyńska (jak wyżej).

CMENTARZ POWĄŻKOWSKI w Warszawie ul. Powązkowska 14

- 1929 rok Władysław Bzowski kw. 87 rząd 1 grób 8.
1937 rok Wincentyna Bzowska z d. Domańska kw. 87 rząd 1 grób 8.
1952 rok Aleksander Bzowski kw. 87 rząd 1 grób 8.
1975 rok Longina Bzowska z d. Białowa kw. 38 rząd 6 grób 22/23.

CMENTARZ we Wróblewie k. Sieradza

- 1941 rok Julia Sikorska z d. Bzowska od wejścia głównego do końca alejki po lewej stronie.

CMENTARZ Witomino w Gdyni ul. Witomińska

- 1964 rok Sikorski Tadeusz kw. 1002/7.
1994 rok Sikorska Julia z d. Napieraj kw. 1002/7.

CMENTARZ KOLEGIACKI w Łowiczu

- 1948 rok Maria Jankowska z d. Podlewska od wejścia głównego w lewo, a następnie w I-szą alejkę w prawo, ok. 50 m po lewej stronie.
1968 rok Teofil Jankowski (jak wyżej).

CMENTARZ STARY w Kielcach

- 1944 rok Bronisława Bzowska grób obecnie nie istnieje, był usytuowany w kwaterze 7a w rzędzie 2.

CMENTARZ w Szczecinie ul. Ku słońcu

1949 rok Andrzej Bzowski sektor 5 B rząd 3 gr. 1 (obecnie na miejscu tym stoi grobowiec marynarza Miedzianowskiego – symboliczny grób Andrzeja JB jest w Lublinie na cmentarzu przy ul. Lipowej).

CMENTARZ w Lublinie ul. Lipowa

1949 rok Maria Bzowska z d. Zagórska sektor 22 α, rząd II gr. 6 (tablica symboliczna) (pochowana na cmentarzu w Złotym Stoku).

1949 rok Andrzej Bzowski sektor 22 α, rząd II gr. 6 (tablica symboliczna) pochowany na cmentarzu w Szczecinie.

1962 rok Krzysztof Bzowski sektor 22 α, rząd II gr. 6.

2004 rok Jadwiga Bzowska-Lipko (z d. Krawczyk) sektor 22 α, rząd II gr. 6.

CMENTARZ w KATYNIU

1940 rok Jerzy Bzowski.

4.10. LINIA BOBROWNICKA (10)

- + **Józef Donat (1874-1945)** – autor pierwszych trzech zeszytów Łącznika Rodzinnego Janotów Bzowskich.
- + **Wanda Kozieli-Poklewska (1880-1961)** żona Józefa Donata JB.
- + **Jerzy JB (1906-1941)** – Lotnik, czwarty syn Wandy z Kozieli-Poklewskich i Józefa Donata JB, walczył jako lotnik w Polsce, we Francji i Anglii, Odznaczony: Srebrnym Krzyżem Virtuti Militari i czterokrotnie Krzyżem Walecznych, zestrzelony nad Bremen 14. 07.1941 r., pochowany na cmentarzu lotników alianckich w Soltau, przy autostradzie prowadzącej z Hanoweru do Hamburga.
- + **Zofia Turczyn (Sonia) Janota Bzowska** – żona Jerzego Lotnika.
- + **Marek JB (7.03.1939-1975)** – syn Jerzego zmarł tragicznie w wypadku w kopalni w Katowicach.
- + **Jan Bożydar (1903-1977)**
- + **Irena z Czaplickich JB (1914-1949)** – pierwsza żona Jana Bożydara, pochowana na Starym Cmentarzu Powązkowskim, kwatery 242 rząd II grób 12.
- + **Janina (?-?) z Biernackich Morawska** (I voto) Janota Bzowska – druga żona Jana Bożydara.
- + **Antoni JB (1908-24.11.1982)** – piąty syn Wandy z Kozieli-Poklewskich i Józefa Donata JB z Bobrownik, zamieszkały w Warszawie, zmarł w Warszawie i pochowany na Cmentarzu Północnym w Warszawie.
- + **Tadeusz JB (1904-18.02.1983)** – trzeci syn Józefa i syn Wandy z Kozieli-Poklewskich i Józefa Donata JB z Bobrownik, zamieszkały w Tarnowie, zmarł w Tarnowie i pochowany w grobowcu rodzinnym w Gręboszowie.

- + **Janina JB (1914-1971)** – żona Tadeusza JB, pochowana w grobowcu rodzinnym w Gręboszowie.
- + **Marcin JB (1948-1973)** – syn Tadeusza, zginął tragicznie.
- + **Teresa z Janotów Bzowskich Jaxa Konarska (1914-22.04.1996)** – córka Józefa z Bobrownik i Wandy z Kozieli-Poklewskich, zamieszkała ostatnio przy córce Joannie w Skolimowie koło Warszawy, zmarła w Warszawie i pochowana na Starych Powązkach.
- + **Andrzej Jaxa Konarski (1912-2.05.1988)** – mąż Teresy z JB, zmarł w Warszawie i pochowany na Starych Powązkach.
- + **Maria Anna z Janotów Bzowskich Fitkau (1910-5.04.1999)** – córka Józefa z Bobrownik i Wandy z Kozieli-Poklewskich, zamieszkała w Warszawie, zmarła w Warszawie i pochowana na Starych Powązkach.
- + **Edward Fitkau (1903-07.1985)** – mąż Marii Anny Janoty Bzowskiej, córki Józefa z Bobrownik i Wandy z Kozieli-Poklewskich, zmarł w Warszawie i pochowany na Starych Powązkach.
- + **Marek Perepeczko (3.04.1942-17.11.2005)** – mąż Agnieszki z domu Fitkau, wnuczki Wandy z Kozieli-Poklewskich i Józefa Donata JB z Bobrownik, urodzony w Warszawie, pochowany na Starych Powązkach w Warszawie.

21 listopada 2005 Dziennik Polski i Dziennik Żołnierza wydawany w Londynie zamieścił wiadomość o śmierci Marka Perepeczko męża Agnieszki Fitkau, córki Marii z Janotów Bzowskich z Bobrownik:

W czwartek 17 listopada 2005 w Częstochowie zmarł wieku 62 lat, na zawał serca, znany aktor teatralny i filmowy Marek Perepeczko. Niezapomnianą kreację stworzył grając tytułową rolę w serialu „Janosik”, ale na swoim koncie miał wiele innych ról filmowych i teatralnych. Grał m.in. Michała w „Brzezynie”, Adama Nowowiejskiego w „Panu Wołodyjowskim”, Malutkiego w „Kolumbach” i Jaśka w „Weselu”. W latach 60. występował w Studiu Poetyckim Andrzeja Konica w TVP i w Teatrze Klasycznym w Warszawie. Lata 80. spędził za granicą. Po powrocie do Polski – w latach 90. – wrócił też na ekrany. Zagrał m.in. w „Sarze” oraz w serialu komediowym „13 Posterunek”. Od 1998 roku przez pięć lat był dyrektorem częstochowskiego Teatru im. Mickiewicza.

Ukończył w 1965 r. studia w warszawskiej Państwowej Wyższej Szkole Teatralnej. W latach 1998-2003 był dyrektorem Teatru im. Adama Mickiewicza w Częstochowie.

- + **Eryk Fitkau (16.02.1952-28.05.2010)** –wnuk Józefa Donata z Bobrownik, syn Marii i Edwarda Fitkau, zmarł w Australii.
- + **Wojciech Komorowski (8.04.1934-8.09.2011 Lublin)**

Z przykrością pragniemy zawiadomić, że dnia 08.09.2011 r. umarł nasz Ojciec, Wojciech Komorowski w Szpitalu w Lublinie. Nabożeństwo odbędzie się w kościele

Św. Karola Boromeusza w czwartek 15-go Września o godzinie 13-iej na Cmentarzu Powązkowskim w Warszawie.

<http://www.warsawtour.pl/en/tourist-attractions/powazki-cemetery-cmentarz-powazkowski-3487.html>

Wspomnienie: In remembrance

<http://www.youtube.com/watch?v=nPQEYAQ7V-k>

Synowie: Sons: Włodek i Paweł Komorowski

W rozdziale 5.8. drukujemy artykuł o Wojciechu Komorowskim.

4.11. LINIA KIELECKA (11)

- + **Tadeusz (1908-1966) JB** – syn Michała JB 1867-1942 i Marii Żakowskiej.
- + **Wanda z domu Niemirko JB (1914-20.06.2006)** – żona Tadeusza JB, zmarła w Kielcach i tam pochowana.

Wspomnienie o Wandzie JB z Niemirków

Każdy człowiek jest niepowtarzalny, ale są ludzie wyjątkowi i do nich należy Wanda Janota Bzowska, seniorka z linii kieleckiej.

Przed drugą wojną światową ukończyła studia w Szkole Głównej Gospodarstwa Wiejskiego w Warszawie na Wydziale Ogrodnictwa. Miała predyspozycje naukowe oraz umiejętności językowe, znała łacinę i doskonale posługiwała się językiem francuskim. Nie skorzystała jednak z możliwości zrobienia kariery. Z poczuciem odpowiedzialności i obowiązku zajęła się rodziną. Wychowała sześcioro dzieci.

Gdy wybrała się na zjazd absolwentów swojej uczelni, koleżankom posiadającym tytuły profesorów skromnie pokazywała zdjęcia swojej gromadki, między innymi z absolutorium z wyższych uczelni. Nie narzekała na trudy dnia codziennego, których dostarczało życie ani na dolegliwości zdrowotne. Utrzymywała korespondencyjny kontakt z liczną rodziną w kraju i za granicą, w ten sposób rekompensowała brak możliwości odbywania podróży. Kiedy dzieci zaczęły opuszczać gniazdo rodzinne, z zapałem poszerzała swoją wiedzę na Uniwersytecie Trzeciego Wieku w Kielcach, a także rozpoczęła wędrowki turystyczne, skrzętnie robiąc notatki z odwiedzanych miejsc.

Dla całej rodziny Seniorka rodu jest przykładem, jak dzięki cierpliwości i uporowi można wykonywać trudne obowiązki, nie rezygnując ze swoich pasji oraz zainteresowań.

Ryszard Janota Bzowski, syn Tadeusza i Wandy

- + **Barbara JB z domu Kaczmarczyk (10.06.1956-23.09.2001)** – żona Zygmunta JB, syna Tadeusza i Wandy z Niemirków.
- + **Anastazja z domu Znojek (1922-2006)** – żona Jana Stefana JB, syna Marii z Żakowskich i Michała JB.

- + **Barbara JB z domu Jakubiec (20.04.1939-20.03.2011)** – pochowana na cmentarzu Batowickim w Krakowie dn. 24 marca 2011 r. o godz. 13.40.



4.12. LINIA STEFANA SZCZEPANA (12) POWSTAŃCA 1863

- + **Kazimierz JB Sędzia (1875-1958)** – syn Stefana JB i Emilii z domu Hempel.
 + **Maria Juda (1879-1976)** – żona Kazimierza JB.
 + **Małgorzata JB z domu Stanek (1883-1953)** – pierwsza żona Kazimierza JB.

Córki Kazimierza Sędziego i Małgorzaty ze Stanków, zaangażowane w pracę konspiracyjną zginęły w Powstaniu Warszawskim:

- + **Maria (1906-1944)**
 + **Jadwiga (1908-1944)**
 + **Wanda (1912-1944)**
 + **Kazimierz (4.03.1925-6.07.2005)** – syn Kazimierza JB Sędziego, autor Zeszytu 5 Łącznika Rodzinnego, pochowany w Warszawie na Cmentarzu Bródzieńskim (24L-2-22). Zmarł po długiej chorobie, nie ustając w pracy nad Zeszytem 5 Łącznika oraz publikując prace z dziedziny ufologii. Uważany za nestora polskiej ufologii. Zmarłego żegnała Rodzina, Przyjaciele i Zespoły Redakcyjne miesięczników *Niezanego Świata* oraz *Gwiazdy mówią*, gdzie Kazimierz publikował wyniki swoich badań.

GWIAZDY MÓWIĄ nr 30 – 24.07.2005 r. str. 3:

Pożegnanie

Kazimierz Bzowski nie żyje.

6 lipca 2005 roku po ciężkiej chorobie, w wieku 80 lat odszedł nestor polskiej ufologii, założyciel nieformalnej warszawskiej Grupy Badań UFO. W czasach siermiężnego polskiego socjalizmu odważył się patrzeć w niebo i marzyć. Czytelnicy

„Gwiazdy mówią” znają go z wielu publikacji, w których dzielił się wynikami swoich poszukiwań prawdy o otaczającym nas świecie. Niestrudzony badacz, obdarzony wyobraźnią i umysłem otwartym na najdziwniejsze koncepcje był tym, który przedstawił światu niezwykle odkrycie radiestety Mirosława Wilka – słynną już dziś, nawet poza granicami Polski, teorię „sieci Wilka”, wedle której całą Ziemię otacza pajęczyna niewidzialnych tuneli energetycznych, którymi według obu badaczy, mogą poruszać się pojazdy Obcych. Kazimierz Bzowski miał rozległe zainteresowania. Od ponad 20 lat zgłębiał tajniki jogi. To ona pozwoliła Mu pod koniec życia zajrzeć na Drugą Stronę. Pod koniec czerwca, gdy już wiedział, że jego czas nadchodzi, opisał to niezwykle doświadczenie, chcąc się nim podzielić z innymi. Nie zdążyliśmy wydrukować tej opowieści za jego życia – czynimy to teraz. Niech będzie pożegnaniem Kazimierza Bzowskiego z Czytelnikami i naszym z Nim.

Redakcja

- + **Marguerite Gacon (22.12.1919-08.07.2005)** – żona Józefa JB, syna Kazimierza JB Sędziego, pochowana w Londynie na cmentarzu Putney Vale.
- + **Jadwiga (22.03.1948-19.08.2009)** – córka Józefa JB i Marguerite Gacon, urodzona w Croydon, Surrey, obie siostry Jadwigi – Maria i Anna na zmianę przez 8 tygodni pielęgnowały chorą do ostatniej chwili będąc przy Niej. Wiadomość o śmierci córki podał Józef Janota Bzowski, zmarła w Sydney, prochy Jadzi zostaną przewiezione do Londynu i pochowane w rodzinnym grobie (wspomnienie o Jadwidze zamieszczono w rozdziale 3 *Policzmy się*).
- + **Zdzisław JB (1910-1.07.1985)** – syn Włodzimierza JB (1881-1942) i Marii Steckiewicz (1882-1974), autor *Kroniki Rodu Janotów Bzowskich 1378-1978*, zamieszkały w Warszawie, zmarł w Warszawie.
- + **Hanna z domu Paszkowicz JB (1911-30.1.2006)** – żona Zdzisława Janoty Bzowskiego.

4.13. ZMARLI Z INNYCH BZOWSKICH

- + **Anna Bzowska z domu Wiśniowska (?-2000)** – wdowa po Adamie Bzowskim z Żerosławic, zmarła w Tel Avivie w Izraelu.
- + **Józef Bzowski (Janota)** – aktor Scen Polskich Zagranicznych, zmarł w Londynie. Pochowany w Kwaterze Zasłużonych w Londynie, na cmentarzu North Sheen.

4.14. POŁĄCZENI RODZINIE Z JANOTA BZOWSKIMI

- + **Edward Bogusz (?-10.7.1986)** – brat Edwarda, był pierwszym mężem Stefanii Janoty Bzowskiej córki Jana z Borussowy i Zofii z Krzyżanowskich. Jedyna córka Edwarda Jadwiga Bajorek zmarła w Londynie 2008 roku.
- + **Maximilian Hahn (1918-1961)** – przyszywany wujcio rodziny Duniewiczów i Janotów Bzowskich, pochodzący z Sudetów, zmarł w Urberach, Niemcy.

5. WSPOMNIENIA RODZINNE I ARTYKUŁY

Rozdział ten ma być w zamyśle swego rodzaju forum rodzinnym, czyli: trochę wspomnień, trochę refleksji i doświadczeń i trochę humoru a także treningu w języku angielskim.

5.1. WSPOMNIENIA Z WAKACJI 13-LETNIEGO CHŁOPCA – RYSZARD JANOTA BZOWSKI (LINIA BOBROWNICKA)

Najpierw parę informacji, które nie znającym historii naszej gałęzi rodzinnej, mogą wyjaśnić sytuacje tamtych czasów. Mój Stryj Tadeusz był jednym z sześciorga dzieci Józefa z Bobrownik. W czasie wojny gospodarował wraz ze swoją żoną Janiną z Janotów Bzowskich, córką Jana i Zofii z Krzyżanowskich w majątku Borussowa, położonym przy ujściu Sanu do Wisły. Jak większość ziemian, brał udział we współpracy z Armią Krajową. W okolicy był bardzo znany i poważany. W związku z reformą rolną zmuszony był w 1945 roku lub nawet pod koniec 1944 roku przenieść się do Tarnowa z żoną i synem, gdzie osiadł i tam też urodziła się jeszcze dwójka dzieci: Marcin i Marta. Ze względu na niewyparzony język i brak całkowitych zahamowań w wyrażaniu swoich myśli o panującym ustroju w Polsce, bardzo szybko wylądował w kryminale i na przesłuchaniach UB. W próby wyciągnięcia go z kryminału zaangażowanych było wiele znanych osób tak z Krakowa jak i Warszawy, niestety z miernym skutkiem. Stryj przesiedział praktycznie rok lub dłużej, a pobyt w kryminale spowodował że został całkowicie „spalony” dla ówczesnych władz. Efekt był prosty – mógł dostać tylko bardzo podrzędną posadę i to oczywiście nie w rolnictwie. Dodatkowym utrudnieniem w ówczesnych czasach dla znalezienia pracy przez Stryja było to, że w Małopolsce był bardzo znany i ciągle popularny. Stryj miał prawie dwa metry wzrostu, ubierał się jak na tamte czasy bardzo oryginalnie (kapelusz, mundur leśnika, ale bez oznak, wysokie buty, w zimie płaszcz podszyty futrem, typowa czapka myśliwska – wyglądał jak typowy ziemianin z dawnych portretów).

Po wielkich trudach z pomocą wielu życzliwych ludzi, został zatrudniony w Lasach Państwowych jako inspektor „parków końskich”. Dokładnej oficjalnej nazwy tej firmy nie pamiętam. W tamtych czasach, w terenach górskich drzewo z lasów było wyciągane, a potem wywożone końmi. Sytuacja ta spowodowała utworzenie na terenie obecnej Małopolski i Podkarpacia jednostek państwowych zwanych parkami, w których utrzymywanych było po 30-40 koni. Końmi tymi pracowali wozacy, typy o bardzo różnych i bardzo poplątanych życiorysach. Na czele każdego parku stał brygadzysta, często mający poważne problemy z pisaniem, a żadnych trudności z „łaciną”. Stryj świetnie umiał dogadywać się z tym bardzo trudnym elementem, a że znał się na koniach, więc jego zadaniem był zakup nowych koni do parków oraz

nadzór nad prawidłowością ich utrzymania i eksploatacji w lasach. Sytuacja ta powodowała, że stryj wyjeżdżał z Tarnowa koło 4 każdego miesiąca, wizytował kolejne parki i wracał do domu koło 27 lub 29. Dla jego rodziny sytuacja ta była dość trudna. Stryj, jak się okazało, swoją pracę bardzo lubił i mógł na ten temat opowiadać godzinami, a gawędziarzem był świetnym. Ponieważ jego praca wymagała sporej odwagi, hartu ducha, znajomości ludzi i koni, a była niezbyt dobrze płatna, dlatego na jego stanowisko nie było chętnych, stąd nawet niektóre jego oceny stroju Polski uchodziły mu na sucho, a trzeba przyznać, lubił szokować słuchaczy.

Stryj w podróży był praktycznie ciągle. Na taki jeden objazd udało mi się pojechać bezpośrednio po ukończeniu szkoły podstawowej w 1954 roku. W tamtych czasach pociągi chodziły tak samo niepunktualnie jak obecnie, dlatego do Mościsk (Tarnów Zachodni) dojechałem z dużymi kłopotami z trzygodzinnym opóźnieniem. Szczęśliwie Stryj czekał na stacji, ale moim pierwszym zdziwieniem było to, że nie pojechaliśmy do domu, ale do Tarnowa do zawiadowcy stacji, aby podziękować mu za postawienie całej stacji na bacznosc, bo Stryj zabezpieczał tam mój ewentualny dojazd. Ten dowód wdzięczności (bez ironii) kosztował nas dodatkowe półtorej godziny. W domu u Stryjenki byliśmy po jedenastej wieczór i tu kolejne moje zdziwienie. Pierwszą rzeczą, którą stryj zrobił, było włączenie Radia Wolna Europa. Przez całą kolację nie wolno było rozmawiać, bo Stryj słuchał. Dopiero po wiadomościach rozpoczęły się rozmowy. Kolejne dwa dni umknęły z pamięci. Po prostu bawiłem się z Tomkiem i Marcinem. Około 3 lipca w trójkę, Stryj, Tomek i ja mieliśmy jechać w teren Beskidu Niskiego i Bieszczad. Trzeba tu podkreślić, że ja wtedy miałem lat 13 i pół, a Tomek 10 i pół roku. Wczesnym ranem podjechała ciężarówka. Stryj wsiadł do szoferki, a my na snopek słomy czy siana na skrzynię. Skrzynia oczywiście była bez plandeki. Kto wtedy myślał o pasach lub innych zabezpieczeniach? O jakości drogi i szybkości ciężarówki może zaświadczyć fakt, że z Tarnowa (Mościsk) do Górlie jechaliśmy cały dzień. Musieliśmy dojechać dobrze obici, bo noclegu ani jedzenia nie pamiętam. Rano Stryj coś załatwił i koło południa pojechaliśmy do Krępnej (ok. 50 km), gdzie był duży park koński. Tam dojechaliśmy późnym wieczorem. Pracownicy parku już spali. Nie zapomnę, jak uzgadniał Stryj nocleg. Po prostu brygadzysta z żoną oddali Stryjowi swoje łóżko (jeszcze ciepłe – oczywiście bez zmiany pościeli), sami poszli spać gdzieś indziej, a my w tej samej izbie co Stryj na jakichś materacach. W Krępnej Stryj załatwił swoje sprawy, my bawiliśmy się w pobliżu. Krępna była dużym parkiem, stąd Stryj miał tam dużo spraw do załatwienia. Takiego szacunku pracowników i brygadzystów do Stryja tak w Krępnej i innych parkach nie spotkałem już potem nigdy w życiu, a przecież na wsi pracowałem 15 lat. Ci ludzie trzeźwi czy pijani, zawsze uznawali zdanie Stryja jako wyrocznię i to nie tylko w sprawach dotyczących pracy końmi, ale często w swoich sprawach rodzinnych.

Trzeciego dnia pobytu w Krępnej Stryj zaproponował nam wycieczkę, jak wtedy mówił „w stronę przełęczu dukielskiej” (może myślę, bo stamtąd do przełęczu to kawał drogi). W czasie spaceru Stryj dokładnie tłumaczył jak jeden batalion niemiecki

praktycznie zniszczył jedną z armii ukraińskich i całe ugrupowanie czeskie. Stryj nie liczył się ze słowami i wyraźnie określał głupotę doktryny rosyjskiej. Idąc po tych wersepach, przejęci opowiadaniem Stryja o liczbie zabitych i pochowanych w tamtym rejonie żołnierzy, nagle usłyszeliśmy jakiś trzask (może wybuch). Stryj kazał biec do przodu, sam mając dwa metry z łatwością przechodził przez płoty czy zwały drutu kolczastego. Ja i Tomek musieliśmy się po nich drapać. Tomkowi nic się nie stało. Pode mną pękł jeden z drutów kolczastych, w efekcie czego powstały dwie dość głębokie olbrzymie szramy, mocno krwawiące na lewej łydce. Szybko wróciliśmy do parku, aby tę nogę opatrzyć. Pierwszą rzeczą, o którą brygadzista zapytał i to całkiem poważnie czy rany zostały dobrze obsikane i bardzo się zmartwił że nie. Pomimo tego dość szokującego pytania, rana została prawidłowo zdezynfekowana wodą i prawidłowo zabandażowana. Nawet końce bandaża przyklejono plastrem. Noga była więc idealnie opatrzona. Tego samego dnia późnym popołudniem wozacy wrócili ze zrywki czy transportu drzewa, oczyścili konie, poczym konie były puszczane wolno do rzeki do wodopoju. Brygadzista zaproponował, abyśmy z Tomkiem wsiedli na te konie i pojechali je napić (to, że noga obandażowana i boląca, nikt na to nie zwracał uwagi). Brygadzista i Stryj pomogli nam usadowić się na koniach. Szliśmy drogą do rzeczki – to było wspaniałe. Konie napiły się po czym, jak tradycja nakazywała, poszły w kierunku stajni, ale przez krzaki. My jednak ani wodzów ani przygotowania nie mieliśmy, więc konie szły jak chciały swoją drogą, a krzaki były gęste. Z plastrów i bandażu nie wiele zostało. Noga musiała wyglądać nie najlepiej, ale zostałem pochwalony za to, że nie spadłem, nie krzyczałem i nie płakałem. Pomimo prawidłowego kolejnego opatrunku noga goiła się aż do mojego powrotu do Warszawy. Blizny pozostały do dzisiaj.

Następnego dnia był znów przejazd przez Nowy Żmigród do Dukli. Upał był straszny, ciężarówka się psuła, dziury okropne. W końcu gdzieś między Żmigrodem a Duklą Stryj się zlitował, gdyż bardzo chciało nam się pić i stanęliśmy przy jakimś wiejskim sklepiku. Do jedzenia nic. Jak się okazało, szans na jakąś wodę, oranżadę czy inny napój nie było żadnych (to naprawdę nie żarty). Stryj zdecydował kupić butelkę tzw. wina owocowego. Obaj z Tomkiem dostaliśmy to do picia. Pić bardzo nam się chciało, a było ono słodkokwaśne, więc tę butelkę prawie całą wypiliśmy od razu. Do Dukli jeszcze jakoś dojechaliśmy. Tam dopiero miałem sensacje przez dobre dwie godziny. Biedny Tomek całą noc. Szans na dalszą drogę następnego dnia nie było już żadnych. Kolejne dni przejazdów do poszczególnych parków odbywaliśmy albo wozami a czasem jakimiś ciężarówkami lub nawet traktorem. We wszystkich parkach sytuacja się powtarzała. Brygadziści normalnie straszliwie klnący w rozmowie ze Stryjem, klątw używali czasami jako przerywniki i zawsze zaraz przepaszali. Mój podziw budził nieklamany szacunek z jakim brygadziści i wozacy zwracali się do Stryja. Nie była to czolobitność, ale głębokie uznanie do „Pana Inspektora”.

Trasa wiodła coraz bardziej w Bieszczady, przez Moszczaniec, Wiśłok, Komańczę. Trasa od Gorlic aż w Bieszczady była całkowicie pusta. Teren, przez który jechaliśmy, to teren „Akcji Wisła” realizowanej w 1949 r. Ludność wysiedlono w 100%

na ziemię zachodnie. Budynek popalono i zrujnowano. Po drodze pozostały widoczne ślady po wsiach, resztki sadów, pojedyncze kominy, rozszabrowane cmentarze, drogi w strasznym stanie. Praktycznie były tu tylko Nadleśnictwa, Leśnictwa i Parki Konne. Żadnej ludności miejscowej. Dla chłopca wychowywanego w Warszawie był to zupełnie nieznan świat. Dzikie Pola. Dość powiedzieć, że z reguły śniadanie było zjadane w parku u brygadzysty i zabieraliśmy pająkę chleba. Kolejny posiłek był dopiero w kolejnym parku, często późnym wieczorem. Po prostu przejazd to kierujący Stryj i my, a w koło las lub nieużytki i żadnej żywej duszy. W Komańczy zajechaliśmy do klasztoru, gdzie Stryj miał z siostrami bardzo dobre kontakty. Musiało to być jednak jeszcze przed pobytem tam prymasa Stefana Wyszyńskiego, bo nic nie pamiętam żeby na ten temat była mowa. Wiem, że Stryj znalazł prymasa, więc musiał poznać go później. Z Komańczy pamiętam tylko to, że siostry dały nam świetny obiad. Przejazd z Komańczy do Baligrodu nie zostawił żadnych wspomnień poza tym, że zobaczyłem gigantyczne składowisko pni drzew i olbrzymie tartaki – w tamtych czasach był to największy zakład drzewny w rejonie Rzepedź.

W Baligrodzie nocowaliśmy u kogoś ważnego. Stryj bardzo długo z nim rozmawiał i opowiadał o stosunkach w okresie „Akcji Wisła” między Ukraińcami a Polakami. Panowie bardzo cieszyli się, gdy Stryj swoim głosem gawędziarza opowiadał, że kiedyś prowadził gdzieś jakiegoś miejscowego partyjnego dostojnika. Zmęczeni przysiedli na kamieniach, gdy z lasu wyszło dwóch z karabinami na ramionach. Typowi z UPA. Podeszli do obu panów z nic dobrego wróżącymi minami. Dostojnik podobno zmartwił i zbladł jak papier. Nagle jeden z podchodzących poklepał Stryja po ramieniu, „to swój” powiedział i odeszli. W tym momencie Stryj opowiadał, że się znów zobaczył w celi na Montelupich. Szczęśliwie nie było żadnych konsekwencji. W Baligrodzie czekała na Stryja znana nam ciężarówka, którą już dalej podróżowaliśmy przez Jabłonki, Dołżycę do Cisnej i Wetliny. Choć dziś to duże wsie, wtedy były tam tylko parki konne i po parę słabo zaludnionych chałup. Z Wetliny wracaliśmy już tą samą drogą przez Lesko Zagórz do Sanoka i potem przez Krosno do Tarnowa. Aby nie było wątpliwości, drogi od Baligrodu w stronę Wetliny to drogi leśne. Od Baligrodu do Sanoka była już droga bita. W miarę dobra droga prowadziła dopiero od Sanoka. Choć w pamięci nie pozostało wiele, pamiętam jednak, że Stryj w każdym parku oglądał wszystkie konie, sprawdzał jakieś raporty. Był obecny przy oprzęganiu nowych koni. Czasami wzywał jakichś wozaków. Po rozmowach z nimi wychodzili z czapkami w rękach, ale mnie chłopakowi było bardzo miło, że wszędzie, gdzie zajężdżaliśmy, Stryja witano z radością. W drodze powrotnej z Wetliny Stryj nie mógł się oprzeć, żeby nie zatrzymać się w Jabłonkach, aby obu chłopcom wytłumaczyć, jak to dokładnie było ze śmiercią gen. Świerczewskiego. Według opowiadania Stryja musiało to być w dużym stopniu sprowokowane przez Bieruta. Zresztą układ terenu i położenie oddziałów według Stryja wskazywało, że Świerczewski został zastrzelony przez kogoś z jego własnej obstawy. Widocznym znakiem, że z tej wyprawy wjeżdżamy w świat cywilizowany, był widok z góry za Zagórzem na domy Sanoka.

Na zakończenie nie chciałbym, by brak troski Stryja o nas źle był zrozumiany, że woził nas na skrzyni ciężarówce, czy nieodpowiednio karmił. Takie wówczas były warunki. Dla mnie to było doświadczenie i jako takie zapamiętałem. Działo się to sześćdziesiąt lat temu. To były zupełnie inne czasy. W latach 1957-58, a więc w 3-4 lata później, ja sam, osobiście, prowadząc obozy harcerskie, wozilem całe drużyny odkrytymi ciężarówkami. Autobusy czy inne pojazdy pokazały się tam dopiero w latach sześćdziesiątych.

Ryszard Janota Bzowski,
Warszawa 9. stycznia 2010

5.2. A SHORT ANGLO-POL STORY – JERZY JANOTA BZOWSKI (LINIA JANA Z PRZEMĘCZAN)

Przodkiem Brygitki jest polski król Władysław Wygnaniec!!! Pasjonujący wywód genealogiczny!

Marek and I were born to a Polish family only a few years after the end of the second world war. Our upbringing was typical of the time, with parents struggling to find work, learning a new language, and coping with the violent upheavals of the war and displacement from their homeland. Their lot in life was shared by so many fellow Poles who found it difficult to assimilate into the English culture. Instead, they found comfort and a sense of kinship through the Polish church and the myriad of Polish clubs that seemed to sprout up all over London.

Out of this chaos, a clear structure seemed to develop where Polish culture and Polish tradition could continue to thrive. It seemed that all Poles were making life as bearable as possible in this foreign land, and biding their time in preparation for an eventual return to Poland. A government-in-exile was in place, ready to restore its authority at a moment's notice. We, the first generation Poles, fluent in both Polish and English, studied our language, geography, arts and history in Saturday schools. We danced in traditional Polish costumes, and went to Polish scouts and youth clubs. We hung out with our fellow compatriots, and spurred each other to excel in all life's challenges. We were ready to return to Poland, and if that wasn't possible, we had the tools to maintain our Polish culture and traditions for as long as was needed. Our history reminded us that Poles had done this before, when Poland was partitioned and ceased to exist for a hundred and fifty years.

Our lives had been shaped without fully realizing how this occurred. Most of my peers continued on to university and took engineering or medicine. Why? I suppose that subliminally we had learnt that these professions were much more transferable, than say, law or home economics. We had seen how pre-war Polish high court judges and economists were only suited to menial work in England. We were going to be prepared!!

Our parents took us to Polish balls so that we could find suitable Polish partners. We were so often reminded that everything Polish was the best. The food was second

to none, our culture was most superior, the polish countryside was stupendous, and of course, polish girls were the prettiest in the world.

I suppose that as soon as we left home, our absolute sense of purpose seemed to unravel. Spread out to universities all over the country, we found that in reality, we had assimilated into two cultures, both Polish and English. We realized that both cultures had so many positive and negative aspects to them. We were able to benefit from our exposure to both, and knew that we were better for it. We could remain completely Polish at heart, yet fit into both worlds. As time went by however, we became preoccupied with holding down our new jobs, trying to make ends meet under the crushing weight of income taxes, coping with the high cost of living, and of course, chasing girls, drinking beer, and going to parties.

So many of us became disenchanting with our circumstances, assessed our future in England, and decided to become economic refugees. I had met my future wife Brigitka in High Wycombe where I worked, introduced her to my parents, and made plans to start a new life in South Africa. We left England in 1975, degrees and diplomas in hand, full of great anticipation of what lay before us, and armed with that boundless youthful enthusiasm and energy that would ensure our success – no matter what. This was a very worrying time for my parents. We would be so far away. Would they ever see us again. Would we survive. They were powerless to help us.

As we prepared to leave, something else was worrying me. It was never really discussed at home, but there was a sense of guilt and betrayal of everything that my parents had hoped for. You see, ... Brigitka was English! Yes, she was as pretty as any Polish girl, could cook, and came from an upper class family with estates in Cornwall. It was not enough. She wasn't Polish. I couldn't change that.

To their everlasting credit, my parents begrudgingly accepted the fact, and over time, grew to love her dearly. We spent seven wonderful years in South Africa, and enjoyed many fabulous family holidays together. In 1982, we emigrated to Canada, and adapted yet again to different circumstances, and yes, we thrived. But the guilt lived on, and no matter how hard I tried, I still couldn't change the fact that Brigitka was English.

We are now well into our fifties. Kasha, our daughter is seventeen and keeps us young-at-heart. She has dragged us kicking and screaming into the computer age, and across the ocean, Mother is just as adept. One of the fun aspects of computers is the vast amount of information on genealogy. And so, playing one day, we looked into Brigitka's family, and this is what we found... Brigitka's father, John Glencross, was a landowner in Cornwall, and styled as the lord of the manor of Rosecraddoc. His mother was...

Dorothy Fetherstonhaugh, and her mother was...

Dora Frances Carew whose family goes back to Anglo-Saxon times. She died in 1942, and her father was...

Rev. Robert Baker Carew 1823-1899 who was the rector of Bickley in Devon. His father was...

Rev. Thomas Carew 1788-1848 who was also the rector of Bickley in Devon. His father was...

Sir Thomas Carew 1755-1805 6th Baronet Carew of Haccombe Devon. His father was...

Sir John Carew 1726-1773 5th Baronet Carew of Haccombe Devon. His father was...

Sir Thomas Carew 1692-1746 4th Baronet Carew of Haccombe Devon. He was sheriff of Devon in 1731. His father was...

Sir Henry Carew 1654-1695 2nd Baronet Carew of Haccombe Devon. His father was...

Sir Thomas Carew 1632-1673 1st Baronet Carew of Haccombe Devon. He was MP for Tiverton in Devon from 1661-1673. His mother was...

Anne Clifford who died in 1656. Her father was...

Rev Thomas Clifford 1579-1634 who inherited Ugbrooke Park in Devon. His mother was...

Anne Courtenay 1534-1604. Her father was... Sir Peter Courtenay 1507-1552. He was sheriff of Devon. His father was....Sir William Courtenay 1477-1535 known as 'the great'. His father was....

Sir William Courtenay 1451-1512. His father was...

Sir William Courtenay 1402-1485. He was High Sheriff of Devon. His father was...

Sir Phillip Courtenay 1384-1463. His father was...

Sir John Courtenay 1364-1446. His father was...

Sir Phillip Courtenay 1340-1406. He was Lord Lieutenant of Ireland from 1383 to 1393. His father was...

Hugh Courtenay 1303-1377 2nd Earl of Devon and married to Margaret de Bohun 1311-1391. Her father was...

Humphrey de Bohun 1276-1320 4th Earl of Hereford and 3rd Earl of Essex and married to Elizabeth Plantagenet 1282-1316. Her father was...

Edward I King of England 1239-1307. His father was...

Henry III King of England 1207-1272 and married to Eleanor of Provence 1223-1291. Her father was...

Ramon Berenguer IV 1195-1245 Count of Provence. His father was...

Alfonso II Count of Provence who died in 1209. His father was ...

Alfonso II of Aragon 1152-1196 and married to Sancha of Castille 1155-1208. Her father was...

Alfonso VII King of Castille and Leon 1105-1157 and married Ryksa of Poland 1140-1185. Her father was...

Wladyslaw II Wygnaniec 1105-1159, King of Poland from 1138-1146.

So, there you are. Brigitka is Polish after all. Life is good!!!

Jerzy Janota Bzowski Vancouver 2007.

5.3. WSPOMNIENIE O MOJEJ BABCI MARII BZOWSKIEJ

Z D. ZAGÓRSKIEJ – NAUCZYCIELCE JĘZYKA POLSKIEGO W LICEUM IM. JOACHIMA CHREPTOWICZA W OSTROWCU ŚWIĘTOKRZYSKIM – MAŁGORZATA BZOWSKA-BAKALARZ (LINIA STANISŁAWA – PIERWSZEGO STAROSTY RODOWEGO)

Pięćdziesiąt dziewięć lat po śmierci mojej Babci daję świadectwo Jej trudnej drogi życiowej, która przypadła na czasy wojen, rewolucji i odzyskania przez Polskę niepodległości. Najpiękniejsze lata Jej pracy pedagogicznej były poświęcone uczniom Gimnazjum im. Joachima Chreptowicza w Ostrowcu Świętokrzyskim. Wśród tych uczniów był także Jej syn, a mój Ojciec – Andrzej Janota Bzowski (1914-1949), który zdał tam egzamin maturalny w roku 1935.

Maria Zagórska – moja Babcia – urodziła się 3 stycznia 1889 r. we wsi Tałalaje w Guberni Wołyńskiej. W zachowanym ręcznym wypisie z księgi metrykalnej parafii Pohrebyszcze ksiądz Adam Mickiewicz, administrator kościoła z całym ceremoniałem oświadczył o chrzcie szlachcianki Marii Zagórskiej w dniu 11 maja 1884. Potwierdza ten akt także wyciąg z tejże księgi metrykalnej, wykonany w 1912 roku, z pieczętką Komendy Policji Guberni Podolskiej Powiatu Jampolskiego. Wykształcenie zdobywała w Kijowskim Żeńskim Gimnazjum, które ukończyła – nagrodzona złotym medalem – w 1906 roku i uzyskała tytuł *nauczycielki domowej* uprawniający do nauczania przedmiotów: historii, historii starożytnej, geografii, rosyjskiego, religii, retoryki, matematyki, fizyki, pedagogiki, prac ręcznych, i francuskiego w guberniach kijowskiej, podolskiej i wołyńskiej. Wszystkie świadectwa Marii, wypisywane ręcznie na dużych arkuszach urzędowych, i oczywiście w języku rosyjskim (poddana *Rossijskoj Imperii*) się zachowały i są w moim posiadaniu.

Zaledwie 18-letnia Maria ukończyła jeszcze roczny kurs pedagogiczny (w 1907 r.) i na podstawie zdanych egzaminów uzyskała specjalizację z matematyki. Na odwrocie świadectwa wypisane są prawa i obowiązki nauczycielki domowej podkreślające konieczność meldowania się nauczycielki w urzędzie okręgu i najbliższej szkole od miejsca przyszłej pracy.

W rodzinnym domu Babci Marii wszystkie dzieci były wychowywane patriotycznie i w duchu buntu przeciw carskiej władzy. Wacław Zagórski (bratanek Babci, dziennikarz, żołnierz ZWZ AK na Wileńszczyźnie, w Warszawie i na Kielecczyźnie, uczestnik Powstania Warszawskiego) w swojej książce „Wolność w niewoli”⁸, wspomina swoją stryjenkę Marię, a moją Babcie, która była więziona na Łukjanówce –



Maria JB z Zagórskich
z synem Andrzejem

⁸ Zagórski Wacław 1971. *Wolność w niewoli*. wyd. nakładem autora i czytelników. Londyn

w carskim więzieniu za udział w ruchu rewolucyjnym 1905 roku. Wydarzenie to – jak pisze Wacław Zagórski – w tradycji rodzinnej zajmowało poczesne miejsce. Także obaj bracia Babci Marii – Tadeusz i Ignacy – a później, ich synowie (Wacław i Jerzy Zagórscy) – byli czynnie zaangażowani w walkę o wolność i niepodległość kraju.

Jak wynika z przekazów rodzinnych, Maria pracowała zawodowo aż do momentu ślubu. Pierwszego lutego 1915 roku wyszła za mąż za Stanisława Janotę Bzowskiego, pierworodnego syna Władysława i Wincentyny z Domańskich (wyciąg aktu ślubu Kijowskiego Kościoła Rzymskokatolickiego pod wezwaniem Św. Aleksandra – spisany ręcznie w języku rosyjskim): (...) w obecności wiernych zgromadzonych na mszy świętej (...) ślubu udzielił i połączył węzłem małżeńskim (...) szlachcica Stanisława Janotę Bzowskiego, kawalera lat 22, parafianina kościoła Św. Mikołaja w Kijowie z córką szlachcica Marią Zagórską, panną lat 25, parafianką kościoła Św. Aleksandry, oboje wyznania rzymskokatolickiego (...). Stanisław Janota Bzowski był dziennikarzem. W 1916 roku, 21 stycznia przyszedł na świat ich syn – Andrzej – późniejszy maturzysta Państwowego Gimnazjum im. Joachima Chreptowicza (świadectwo dojrzałości z dnia 21 czerwca 1935 roku).

Z przekazu potwierdzonego notarialnie w 1912 roku wynika, że Babcia pracowała od września 1917 roku do czerwca 1921 w Gimnazjum Żeńskim Towarzystwa Popierania Szkoły Średniej (Kijów, ul. Rylskiego 10) mając od 18 do 25 godzin lekcji i wychowawstwo. W 1921 roku w ramach utworzenia władz szkolnych na obszarze ziem objętych umową o *preliminaryjnym pokoju i rozejmie* podpisanym w Rydze dn. 12 października 1920 r. Maria Bzowska została mianowana na stanowisko etatowej nauczycielki Państwowego Gimnazjum im. Tadeusza Kościuszki w Równem (akt mianowania podpisał Delegat Ministra Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego na Okręg Wołyński – K. Juszcukowski).

W 1923 roku Maria Bzowska złożyła dowody, że jest pochodzenia polskiego i wydano Jej *Akt Uznania Obywatelstwa* i tym samym została obywatelką Państwa Polskiego, co zapisano we właściwym rejestrze dnia 20 kwietnia 1923 r. pod numerem 1890. Z dniem 1 września 1923 roku decyzją Kuratorium Warszawskiego Okręgu Szkolnego przeniesiono Ją z dotychczas zajmowanej posady na stanowisko etatowej nauczycielki Państwowego Gimnazjum Męskiego w Ostrowcu Świętokrzyskim i tu Babcia Maria przyjechała wraz z 7 letnim synem Andrzejem.

Mąż Marii – a mój Dziadek Stanisław Janota Bzowski – w zawierusze rewolucyjnej i wojennej lat 1918-1922 zaginął bez wieści. Oprócz zdjęć nie zachowały się żadne dokumenty dotyczące mojego Dziadka. Natomiast z bogatej dokumentacji rodzinnej Janotów Bzowskich wiadomo, że Teśc Marii – Władysław Janota Bzowski, urodzony w Kaliszu, absolwent gimnazjum w Kielcach ukończył farmację na uniwersytecie w Moskwie, był właścicielem aptek, najpierw w Kaliszu, a potem w Kijowie a także w Warszawie i odwiedzał w Ostrowcu Świętokrzyskim Wnuka i Synową.

W latach 1922, 1923 i 1925 Babcia Maria studiowała na kursach dla nauczycieli szkół średnich zorganizowanych przez Ministerstwo Wyznań Religijnych i Oświe-



Od lewej siedzi Stanisław JB, a obok w białym kapeluszu
Maria JB z Zagórskich

twierdzić. Przyrostki tworzące rzeczowniki od rzeczowników; b) *Mickiewicz na emigracji. Fr. Kniazin i jego działalność literacka. Rozwój komedii polskiej. „Balladyna” Słowackiego*; c) *Mianownik liczby mnogiej rzeczowników męskich. Rozbiór zdania*. Na tej podstawie otrzymała Dyplom nauczyciela szkół średnich (wydany 22 listopada 1927 r.) stwierdzający, że *Maria Bzowska ma kwalifikacje do nauczania języka polskiego w szkołach średnich ogólnokształcących i w seminariach nauczycielskich z językiem wykładowym polskim*. W 1929 roku Kuratorium Okręgu Szkolnego Krakowskiego w uznaniu zasług na polu oświaty i działalności niepodległościowej przyznało Marii medal Dziesięciolecia Odzyskania Niepodległości.

Maria pracowała w Gimnazjum im. J. Chreptowicza nieprzerwanie od 1923 roku do 1938. W tym czasie, a dokładanie w 1926 roku Jej syn Andrzej rozpoczął naukę w tymże Gimnazjum i skończył ją zdaniem egzaminu maturalnego w 1935. W archiwach rodzinnych zachowały się zdjęcia z tamtych lat: grona profesorskiego, z wycieczek szkolnych do Zaleszczyk, Ujazdu, Opatowa, Krzemionek, obozów harcerskich w Zaleszczykach (1932), Jabłonce (1931), Iłży, wycieczki harcerskiej na Św. Krzyż, wycieczki Szkolnego Kółka Krajoznawczego przez Łysogóry, szkolnego kursu narciarskiego w Zakopanem (1932), a nawet szkolny rowerowy pochód na rozpoczęcie tygodnia propagandy.

Sądząc po wymaganiach, jakie stawiała uczniom Maria Bzowska (z przekazu Henryka Lipko-Lipczyńskiego) nie łatwo było zaskarbić sobie Jej uznanie i zdobyć dobry stopień. Listy mego Taty Andrzeja, sposób wysławiania się i twórczości Henryka Lipko-Lipczyńskiego (oba uczniowie Marii), a także opowiadania mojej Mamy Jadwigi potwierdzają, że Babcia znana była z wysokich wymagań stawianych sobie i swoim podopiecznym.

Z niewiadomych bliżej powodów, w 1938 roku Babcia została przeniesiona na stanowisko nauczycielki do Państwowego Liceum i Gimnazjum im Tadeusza Kościuszki w Równem. Miała wówczas prawie 50 lat i duże problemy zdrowotne.

cenia Publicznego w Toruniu, Krzemieńcu, Cieszynie. Po napisaniu pracy klauzurowej na temat *Charakterystyka twórczości Wacława Potockiego* zostaje dopuszczona do egzaminu i odpowiada – z wynikiem bardzo dobrym – na pytania: a) *Opis fonetyczny spółgłoski ch. Opis wymowy wyrazu sens. Oboczność twardej –*

Trudne lata młodości przypadające na czas rewolucji (carskie więzienie), wojny światowej i wojny 1920 roku, dni pełne napięć, niepewności i ciężkiej pracy, samotne wychowywanie Syna musiało odcisnąć swoje piętno. Babcia Maria wyjechała sama do Równego a Syn Andrzej rozpoczął studia na Wydziale Leśnym w SGGW w Warszawie. W 1939 roku Maria Bzowska otrzymała Brązowy Medal za Długoletnią Służbę. Z dokumentów wynika, że Maria pracowała w Liceum im. Tadeusza Kościuszki w Równem na etacie bibliotekarki. W 1940 roku ciężka choroba uniemożliwiła Jej dalszą pracę.

Syn (podchorąży w Pułku Artylerii Lekkiej) po kampanii wrześniowej 1939, którą zakończył w Lasach Janowskich, zimą, na piechotę przedostał się do Równego, ale nie mógł zabrać Matki do siebie – do Ostrowca. Dopiero w kwietniu 1940 udaje się im razem zamieszkać na Kielecczyźnie, w Krzemionkach. Lata okupacji spędzili Oboje wraz z Synową Jadwigą prawie cały czas razem. Z racji działalności mego Ojca Andrzeja w AK na terenie Ostrowca Świętokrzyskiego i Kielecczyny (w grupie „Wolność” zorganizowanej między innymi przez Wacława Zagórskiego⁹ – wuja Andrzeja), i jego pracy w prywatnych firmach drzewnych często zmieniają miejsce pobytu. Czasy okupacji, pełne grozy, mogą być przedmiotem oddzielnego opowiadania. W 1943 roku przychodzi na świat wnuk Marii – Krzysztof, który będzie później Jej ulubionym uczniem. Koniec wojny był obietnicą normalnego życia. Trudności życia codziennego, choroby, powojenna bieda nie ominęła i naszej rodziny. Jednak są też wielkie radości. W 1948 roku mój Ojciec zdał końcowe egzaminy w SGGW i obronił pracę magisterską, uzyskując dyplom magistra inżyniera leśnictwa. Babcia Maria, mimo choroby Parkinsona, uczyła Krzysia pierwszych liter. Wspólnie z Babcią Krzys próbował pierwszych improwizacji poetyckich, co skrzętnie zapisywała Jego Mama Jadwiga:

Śmierć bliska

I polskie domy poburzone

I potem, gdy kwiaty będą rósć w ogrodzie

I Polska znów zakwitnie życiem

I półki i domy nie będą zwalone

Przyjdzie już poczta nowa jak afisz

I przyjdą zabawki dla dzieci

I przyjdzie wiosna i później zima okryje drzewa pierzyną

I wojna się skończy niedługo

(improwizacja Krzysztofa podczas wieczornego karmienia, między jedną łyżką marchewki a drugą 16.X.1948 – archiwum rodzinne)

⁹ Brociek Waldemar Ryszard. 1998. *Konspiracyjna działalność wydawnicza na terenie Ostrowca Św. w okresie II wojny światowej*. Rocznik Muzeum Historyczno-Archeologicznego w Ostrowcu Świętokrzyskim. nr. 1. s. 103

Ojciec, po studiach, pracował w Dyrekcji Lasów Państwowych w Wierchowskich koło Lublina, a w 1948 roku otrzymał etat wykładowcy w Państwowym Liceum Leśnym w Żłotym Stoku w Sudetach. Moja Mama – Jadwiga – uczyła także w tej szkole języka polskiego i francuskiego. Babcia Maria krótko cieszyła się nadchodzącym spokojem i bezpieczeństwem rodziny. W czerwcu 1949 roku Ojciec musiał poddać się niewielkiej operacji, która na skutek błędu lekarskiego zakończyła się Jego śmiercią. Osierocił swoją Mamę, Żonę, siedmioletniego Syna i czterodniową Córkę Małgorzatę. Ja nie zdążyłam już poznać ani Taty, ani Babci. Babcia Maria nie mogąc unieść bólu po stracie ukochanego Syna, odchodzi – umiera w dwa miesiące później.

Jestem w tej chwili prawie w wieku mojej Babci i chociaż znam Ją tylko ze zdjęć i serdecznych wspomnień Mamy – myślę, że w jakiś sensie mi towarzyszy. Jedyne gest, jaki mogłam zrobić, żeby dać Jej ten dowód swojej pamięci.

Małgorzata Bzowska-Bakalarz (wnuczka Marii Bzowskiej)

5.4. KTO POTRZEBUJE NOWEGO KOLANA – JERZY JANOTA BZOWSKI (LINIA JANA Z PRZEMĘCZAN)



Kto by się spodziewał, że na cztery miesiące przed moimi 60 urodzinnymi będą mi potrzebne nowe kolana? Chciałbym to przypisać jakiejś egzotycznej eskapadzie, na przykład „ranom wojennym”, albo może lepiej rozpustnemu życiu, coś w rodzaju Casanovy, który przed zazdrosnymi mężami musiał skakać z balkonu z drugiego piętra. Ale nic z tych rzeczy!

Bardziej przyziemne powody w połączeniu z ambicją wieloletniego współuczestnictwa w wyczynach sportowych stały się moją udręką. Dzisiaj nie odczuwam już tej samej dumy, jak wtedy gdy w mistrzostwach zdobywania szkolnych medali, brałem udział w długodystansowych skokach i trójskokach. W następnych latach gra w rugby, kierownictwo drużyny piłki nożnej nic już nie miały z tej dawnej świetności, ale wydaje mi się też niesprawiedliwością, że dwadzieścia lat temu wysiadło mi kolano, gdy grałem w siatkówkę. Wtenczas dopiero przestałem się fascynować sportowymi wyczynami. Może żywot kanapowego leniucha nie dostarcza fascynujących wrażeń, ale przynajmniej nie zagraża życiu.

Po przejściu czterech operacji z usunięciem zniszczonej chrząstki, z odtworzeniem nowego kolana przez związanie ścięgien, i wreszcie dwa ostatnie lata kuśtykania z praktycznie całkiem zniszczoną chrząstką, z dodatkiem artretyzmu kości, nadeszła pora, że trzeba było podjąć decyzję. Cierpieć dalej, czy zastąpić kolana

proteżami. Odkładałem tę decyzję przez lata, po prostu dlatego, że byłem za młody na wymianę kolan, których wówczas żywot był obliczony na 20 lat i po tym czasie, w sile wieku, byłbym skazany na wózek inwalidzki. Moje za bardzo aktywne życie nie pozwalało mi jeszcze na podjęcie takiej decyzji. W końcu jednak, gdy zdałem sobie sprawę z trudności poruszania się, a ból stawał się coraz dotkliwszy, wybrałem się do swojego lekarza, który mi zasugerował swojego specjalistę. „Nie – za – protestowałem, ja żądam specjalisty z mojego wyboru, doktora Sabistona. Na to mój lekarz wyjaśnił mi, że dr Sabiston jest w swoim zawodzie tak wielkim specjalistą w Kanadzie, że nowych pacjentów nie przyjmuje. Przekonywałem go wtedy, że nie jestem nowym” pacjentem, raczej starym, i dr Sabiston na pewno będzie zainteresowany obejrzeniem wyniku dawnych, przeprowadzonych przez niego operacji, które tak dobrze do tego czasu zdawały egzamin. W kilka tygodni potem dr Sabiston przysłał mi list, że mnie z przyjemnością zobaczy. Uzgodniliśmy datę. W międzyczasie przeszedłem konieczne rentgeny, ciśnienie krwi, sprawność fizyczną itd. i w październiku 2009 spotkałem się z dr. Sabistonem. Jak przypuszczałem, doktor był zainteresowany dotychczasowym stanem moich kolan, zapoznając mnie jednocześnie z zaawansowaną technologią wymiany kolan w ostatnich kilku latach. Dzisiejsza metoda wymiany kolan, wyjaśniał, jest medycznie opracowana na tworzywie tytanu i plastyku, którego trwałość jest obliczona na ponad dwadzieścia pięć lat i może być jeszcze raz wymieniana. Ponadto, możliwości protezowe zostały tak ulepszone, że można przeprowadzić częściową lub całkowitą wymianę kolana. Są również możliwości użycia cementu do przymocowania protezy do kości, albo i bez niego. Moje zniszczone prawe kolano nadawało się do pełnej wymiany metodą bezcementową. To jednak wymagało oczyszczenia i przygotowania kości do przyjęcia chropowatego tytanowego kolana. Tą metodą metal będzie wrastać w tkankę kostną, zapewniając stabilność nogi.

Operacji tej spodziewałem się w marcu 2010, dlatego też byłem wielce zaskoczony, gdy mi doktor powiedział, że ją przeprowadzi 8 grudnia 2009. Z jednej strony byłem szczerze uradowany, że nadarza się szansa szybkiego wyleczenia jednej nogi i poddania się zaraz na drugi zabieg, przed planowanym wyjazdem do Londynu na 85 urodziny mojej mamy. Z drugiej zaś strony ta nagła decyzja kolidowała z moim rozpałanym domem, w którym nie dokończyłem dobudówki. Podobno zima tego roku nie zapowiada się zbyt groźnie, więc robota może poczekać. Na kilka dni przed operacją przejrzałem przygotowaną listę koniecznego sprzętu dla mojej rekonwalescencji. A więc: kule, balkonik, podnoszony sedes, podnoszony taboret w łazience, specjalnie przystosowany prysznic, włącznie z łyżką do butów. Wszystko to było bezpłatnie przygotowane, przywiezione, zainstalowane w moim domu przez lokalny szpital. Brygitki sprawą było usunięcie z drogi wszystkich kłopotów, bambetli (włącznie z kurzem), żeby nigdzie nie było zatorów, zahamowania w koniecznych warunkach mojego poruszania się po domu, a także dla niej w podawaniu mi jedzenia, pigułek, smarowideł, worków z lodem. Wszystkiego, co mi

było w tym czasie potrzebne. Na drugi dzień, wieczorem wyjechałem do Vancouver z zatrzymaniem się na noc w hotelu. O 6.30 rano zgłosiłem się w szpitalnej recepcji, gdzie zaczęto mnie przygotowywać do operacji. Tu spotkałem mojego anestetyka, który miał mi zaaplikować zastrzyk w plecy i wreszcie spotkałem się z moim chirurgiem. Na sali, gdzie mnie przyprowadzono, panowała profesjonalna atmosfera. Światła ostro świeciły, w blasku których ujrzałem na stołach instrumenty, które raczej przypominały jakiś warsztat mechaniczny. Świdry, pilniki, piły i inne przerażające obiekty. Dr Sabiston zapytał grzecznie, czy dobrze spałem, na co również grzecznie odpowiedziałem, że to nieważne jak ja spałem. Ważne jest to, czy pan doktor miał spokojną noc? Uśmiechnął się. Po godzinie i 45 minutach zadzwonił do Brygitki, że operacja się udała. A ja, pacjent, obudziłem się na sali regeneracyjnej, sztywny od pasa w dół. Od klatki piersiowej nie czułem nic. Takie to było działanie zastrzyku w plecy. Pamiętam pielęgniarkę, która weszła na salę, pytając czy tu ktoś mówi po polsku. Z miejsca zgłosiłem się na ochotnika, gdy w tym momencie przypominałam sobie nieszczęśliwą śmierć na kanadyjskim lotnisku Polaka Roberta Dziekańskiego, który nie zmarłby, gdyby znalazł się polski tłumacz w tym szczególnym czasie, dlatego z miejsca się zaangażowałem. Ale jej potrzebny był facet na chodzie, nie taki w pozycji leżącej. Trzy dni leżałem w szpitalu. Byłem cudownie doglądany przez najmiłsze pielęgniarki, dostając równocześnie najobrzydliwsze szpitalne jedło. Chyba ono sprawiło, że szybko uczyłem się posługiwać kulami i balonikiem. W tym czasie dr Sabiston odwiedził mnie dwa razy. Z operacji na mnie przeprowadzonej był bardzo zadowolony. Z satysfakcją też stwierdził, że poprzednie jego operacje na moich kolanach były nadzwyczaj udane, i szkoda mu teraz było niszczyć taką robotę, ale *c'est la vie* – dodał. Fizjoterapeuci ze zdumieniem patrzyli jak szybko odzyskiwałem władzę.

Wreszcie trzeciego dnia Brygitka z Lucette zabrały mnie do domu. Był to dla mnie najszczęśliwszy dzień mojego życia. W ciągu tygodnia odzyskałem pełną władzę w nodze, co według fizjoterapeutów taki postęp normalnie następuje w trzy tygodnie po operacji. Teraz rozpoczyna się proces gojenia, a ten wymaga sporo wypoczynku i odprężenia. Przez dziesięć dni sam sobie wstrzykiwałem podobną do trutki na szczury substancję przeciwskrzepową. To wszystko jednak nie odstraszyło mnie, tak jak nieprzygotowanie do procesu wyciągania spinaczy z gojącej się rany. Dzięki Bogu, wszystko najgorsze jest poza mną. Teraz muszę wygrzebać się, wydobrzeć, nabrać sił. Mam nadzieję, że po dwóch tygodniach stanę na nodze z nowym kolanem i w tydzień później zasiądę za kierownicą.

Szczerze mówiąc, jestem wielkim szczęściarzem, że tak szybko goją się moje rany, ale jeszcze większym, że mam przy sobie opiekuńczą żonę, znoszącą wszystkie moje zachcianki, potrzebę jej pomocy, skargi, gderania, narzekania cierpienia, bóle, moje kaprysy, które można by zwalić na karb przyjmowania morfiny z niestety, ubocznym działaniem. Teraz, kiedy powoli odstawiam te narkotyki, spostrzegam, jak łatwo stają się one nawykiem. Tak czy inaczej, pierwszy etap mojej rekonwale-

scencji jest już prawie za mną. Teraz naprawdę przeżywam radosne uczucie ulgi i nadziei na lepsze.

Jerzy Janota Bzowski Vancouver 3 stycznia 2010. W miesiąc po operacji 6 stycznia pacjent o kulach siadł za kierownicę i pojechał do swego biura w Vancouver.

KJB

5.5. NIEPEWNOŚĆ EGZYSTENCJI – MAREK JANOTA BZOWSKI (LINIA JANA Z PRZEMĘCZAN)

Z nastaniem Bożego Narodzenia, od czterech miesięcy stałem się bezrobotny. Cztery miesiące bez stałego zarobku stały się czterema miesiącami coraz głębszego zadłużenia. Taki kryzys raz już przeżywałem, i jakoś z niego wydzwigałem się. Obecnie, wszystkie luksusy są zdecydowanie wyłączone z mojego życia. Wszystkie frywolności pozostają poza mną. Jakiegokolwiek pozory wysokiego mniemania o sobie, zostały wyeliminowane. Wszystko muszę zaczynać od początku i tylko zastanawiam się jak sztukować egzystencję z tygodniowej garstki dolarów wypłacanej przez bezrobocie. Dochodzi się wtedy do przekonania, że oszczędność staje się łatwiejsza, gdy się nie ma z czego odkładać.

Osiągnięcie wysokich kwalifikacji jest nadzieją na wysokie uposażenie, ale w dobie kryzysu ekonomicznego standardy się zmieniają. Tak więc znalazłem się w sytuacji szukania pracy w roli robotnika przy kopaniu dziur na drogach, w sortowni ziemniaków i kamieni do różnych kontenerów, śmieciarza, czym mógłbym zarabiać całkiem sporo sumkę. Szukając takiego zajęcia trudno jest zapomnieć jak dochodziłem do stopni naukowych, szkolnych dyplomów. Za dużo wiedzy oznacza szybkie znudzenie i narzekanie na taką robotę. Kto to powiedział, że kształcąc proletariata zasiewasz ziarno rewolucji? Marks jest i na zawsze pozostanie zniechęconym słowem w Stanach Zjednoczonych. Na swoje dyplomy zasłużyłem ciężką pracą i nie łatwo jest o tym zapomnieć... ale chleb na stole musi się znaleźć. Może, jeśli zapiszę się na kurs dokształcający w dobie kryzysu?

Chleb, istotnie, choć skromny, znalazł się na moim stole. Wiem, że mogę przeżyć, mając mniej niż się tego spodziewałem. Bezrobocie płaci mi o połowę mniej od tego, do czego byłem przyzwyczajony, na co zasłużyłem. Mamy marzenia i wszyscy chcielibyśmy spędzić wakacje gdzieś na południu, gdzie jest gorąco. Choć nigdy nie brałem pod uwagę wakacji na południu, ale i to stało się nieosiągalnym marzeniem. Inną miarką swój byt obecnie mierzę. Wakacje letnie czy zimowe są w pewnym sensie sprawdzianem komfortu. Osobiście zawsze wolałbym oderwać się od ostrych zim Nowej Anglii albo całkowicie zmienić miejsce swojego osiedlenia.

W tym tygodniu sprawy mojej egzystencji zaczęły się trochę rozjaśniać przez otrzymanie kilku kontraktów na nauczyciela wieczorami i w weekendy w lokalnych szkołach wyższych. Z tym zatrudnieniem kończą się wypłaty dla bezrobotnego. Nie narzekam, gdyż w tej sytuacji wolę zarabiać pieniądze niż czekać na coś, co mi

się należy bez wielkiego wysiłku. Otrzymałem także zawiadomienie o przyznaniu mi miejsca na dwuletni kurs dokształcający, po którym mógłbym objąć posadę nauczyciela na uniwersytecie. Szczęśliwie się składa, że dobre uposażenie mojej żony wpłynęło na niższą opłat za moje kursy. Z podjęciem takiej decyzji wiąże się ewentualne przejście na bezrobocie, ale ja najpierw muszę w coś zainwestować. Muszę się zdecydować na mniejsze zarobki przez najbliższe dwa lata, by w przyszłości zaliczyć się do lepiej kwalifikowanych sił nauczycielskich. Tego wymaga ustawa tego kraju. Był czas, że byłem jednym z nich, dziś role się zmieniły i doszedłem do przekonania, że muszę podjąć taką a nie inną decyzję. Wysokie stanowisko, o jakim marzyłem pozostanie w strefie marzeń. Podjęcie jej jest bolesnym wyzwaniem, ale realnym i muszę temu sprostać, by móc żyć z uczuciem, że zdobyłem się na ważny krok w życiu, zrobiłem coś doniosłego, choć bez wielkiej sławy, ale ze spokojem ducha. I to jest wspaniałe uczucie ulgi.

Marek Janota Bzowski

27. stycznia 2010, Boston Massachusetts

5.6. ŻABKI WE FRYKASIE ALBO SMAŻONE – KAZIMIERA JANOTA BZOWSKA (LINIA JANA Z PRZEMĘCZAN)

Po przeczytaniu w Dzienniku Polskim 31 stycznia 2011 o literaturze kulinarnej z 1682 roku i tłumaczeniu ze starej polszczyzny na nowoczesną przepisów „Sekretów kuchmistrzowskich Stanisława Czernieckiego”, przypomniały mi się moje pierwsze nieudolne kroki w zakresie sztuki kulinarnej. Przysposabiałam się wypisywaniem porad z Dziennika Polskiego w 1946 latach we Francji, nie mając pojęcia o życiu w Anglii na kartki, o wydzielaniu artykułów żywnościowych na uncje. Nie mając żadnego przygotowania w tej dziedzinie, wszystkie przepisy połączone z kartkową angielską rzeczywistością stawały się czarną magią. W kilka lat później mąż widząc moją nieudolność, pomagał mi dobrymi radami i pierwszym moim prezentem imiennym była „Kuchnia Polska” Disslowej, z której czerpałam zalety dobrej gospodyni, ale niedoskonalej gosposi z kartkowymi racjami o jednym jajku na tydzień. Za żart brałam przepisy rozpoczynające się od „weź kopę jaj i tęgą dziewczkę”, ale i Dissłowa też od tuzina rozpoczynała swoje przepisy na magiczne baby, torty i serniki. Dawno to było. Czasy się zmieniły i książki kucharskie, które mnie straszły gimnastyką umysłu jak zrobić i skąd zdobyć, stały się dla mnie bardzo ciekawą lekturą. Dostawałam je w prezencie, kupowałam, przepisywałam, kopiowałam jak tę od Danieli Szydłowej „Kuchnia Polska czyli o dokładnej i długiej praktyce wypróbowanej nauki sporządzania potraw tudzież przysposabiania rozmaitych zasobów spiżarni” Józefa Schmidta, drukowanej w Przemysłu nakładem Braci Jeleni 1860 roku. A więc o ponad 200 lat późniejszej od „Sekretów kuchmistrzowskich”. Czego tam nie ma? Można się w niej zaczytywać od zwykłych potraw z kaszy i ziemniaków do „królewskich sztufad”, „sztuki mięsa odbijanej”, „pasztecików w kabzlach papierowych”,

„majonezów francuzkich bitych z różnych szczątków zwierzyny, sarny, zająca itp.”, „pasztecików z łyżki srebrnej smażone”. Tyle tylko na początek, bo dalej o mniej zażytych nazwach potrawy proszą się o podanie na stół, jak: ozór grylowany czyli odpiekany z rozmaitościami, kapłony, pulardy lub kury z różną z szampionami, kwisze kapłonie, kurczęta z rakami, sznyce wiedeńskie z sardelowem masłem, tak zwane „Klopfisie”, flaczki bydlęce w ronczie. Po nich następują garnitury do jarzyn lub innych potraw i leguminy gorące i zimne, jak „Sztrudel ze śpinakiem”, „łazanki jezuickie z szynką z pieca”, „szmorn z bułek z rodzynekami”, „szarlot wypiekany z jabłkami z rądelką”, „auflauf z maki”, „precliki drożdżowe z cebulą”, „pirożki mięsne z grzybkami w ronczie”... aż się mój internet denerwuje i poprawia dawną pisownię, biorąc ją za błędy gramatyczne. I tak można wylapywać z setek potraw dania o nieznanym nam nazwach i określeniach nie zawsze istniejących w słownikach. Czy kto zna „ślimaki po prostu do chrzanu”, czy karpia w łusce na zimno z kornbulionem? Do tych przepisów konieczny jest dodatkowy słownik i przelicznik, szczególnie w „Jedynych praktycznych przepisach” Lucyny Ćwierczakiewiczowej z 1885 roku z jednostkami miar takich, jak: łuty, funty, garniec, kwarta, kwaterka.

Przepis Braci Jeleni na żabki smażone jest prosty: „Takowych możesz używać tylko w Maju i to owych, które są zielone, a nałapawszy, poobcinaj z nich przodki i odrzuć, z tyłków zaś zdejm skóreczkę; a gdy już masz tyle ile ci potrzeba, posól na kwadrans miążką solą, potem wyduś w serwecie z wody, uwalaj dobrze w mące i smaż na rozpalonym tłuszczu albo maśle, lecz szybko abyś nie wysuszył: wtedy ułóż na półmisku, posyp zieloną przysmażoną pietruszką i wydaj”. Następne strony kuszą „rakami w śmietanie dane”, „ostrygami faszzerowanymi”, „łososiem w papilotach”... Tak gotowali przed 156 laty.

W „Kuchni Litewskiej” Wincenty Zawadzkiej z 1987 r. przedmówca Wacław Odyniec wspomina pana Stanisława Czernieckiego urodzonego w 1682 roku, który krótko przed wyprawą wiedeńską wydał w Krakowie „Compedium ferculorum” „Ad Usum Publicum napisane” Przerabiane, uzupełniane, nazwane „Kucharzem doskonałym” zawędrowało pod gonty i dachówki, trafiło do literatury. Ileż to jest poezji w tych księgach, od znanych gawędziarzy jak Władysław Syrokomla, który na nagrobku w 1861 roku wykpiwał apetyt szlachecki: „Zjadł na śniadanie udo baranie i witych w cieście kołdunów dwieście. Ale i „Kuchnia Litewska” dogadzała obfitością, jak i jakością potraw, mierząc żółtka i śmietanę na szklanki, mięsiwa na kilogramy, ryby na sztuki, lub kołduny zaczynające się od 1 kilo mięsa wołowego, pół kilo łoju wołowego, garść majranu. I wyborne kisielki na deser.

Doskonałą lekturą są: „Pyszna opowieść o naszym biesiadowaniu: tradycje, obyczaje i przepisy” i „Przy polskim stole” napisane przez Krystynę Bockenheim. Nakładem Wydawnictwa Dolnośląskiego, Wrocław 1999r książka jest pięknie ilustrowana historią nie tylko biesiad, ale naczyńiami w dawnym użyciu, przepisami kuchni staropolskiej z dziwactwami kulinarnymi jak pawie podawane w pierzu i dziłki pieczone w całości.

Najbliższą jednak mojemu sercu jest „Kuchnia Kresowa” Andrzeja Fiedoruka wydana w 2008 roku w Warszawie. Od pierwszych słów już się wchodzi w krainę mitów i legend zabarwionych nutką nostalgii za rajem, a może młodością utraconą – przypomina autor. Przeplata się tu historia Kresów z kulturą naniesioną przez różnorodne tradycje i napływy wschodnie, a więc i kuchnia kresowa kształtowała się na smakach grup etnicznych zamieszkujących tereny wschodnie. W zależności od stanu i majątku jadało się chrapy łosiowe w galarecie albo łapy niedźwiedzia. Rejowe „ćwikiełki” to nasze kwaszone buraki, podstawa barszczu i chłodników. I tu w „Kuchni Kresowej” pośród przepisów, nie zawsze znanych, podawano „kapłona piezonego, aby ze stołu nie zleciał”, litewskie kindziuki, wciąż do nabycia w polskich sklepach, cepeliny nadziewane mięsem, łatwe w wykonaniu, ale strasznie sycące, babki ziemniaczane, korowaje, bliny gryczane. A lwowskie? Kartofle ze śledziem, pyzy i leguminy kakaowe. Nie brakowało niczego w przepisach tak bliskich naszym polskim smakom, a które wciąż jeszcze znajdują się na naszych stołach, jak kołduny i kielbasy, pierogi z przeróżnym nadzieniem, bliny i kulebiaki, kuropatwy, które tu można w Anglii nabyć, swojskie bigosy i pasztety. Pyszności te u niektórych wzbudzają lęk przed nadmiarem tłuszczu, cholesterolu i nadwagą. Ale kto się im oprze? Czytam i wybieram. Co lepsze bitki w śmietanie czy sztuka mięsa z ozora wołowego? A może schab po lwowsku albo szpundra z wieprzowiny z burakami ćwikłowymi. Omijam płucka i nóżki cielęce w cieście smażone, choć to przysmak dla smakoszy! Mam jeszcze do wyboru szczupaka faszerowanego albo jesiotra piezonego z sosem pieczarkowym. A może węgorz z rakami w galarecie lub karp duszony po żydowsku?

Samym czytaniem można się nasycić. Gdzie są dzisiaj tacy sztukmistrze kuliarni, którzy dogodzą podniebieniu wyczarowanymi wspaniałościami dawnej sztuki? Jak porównać te szpajsy i pirożki, jesiotry i kapłony pijane, kuropatwy duszone, kołdunki tyszkiewiczowskie, cymesy z marchwi i jabłek z nowoczesnym gotowaniem pokazywanym w telewizyjnych programach? Jak porównać pachnące połędwice i ozorki, zrazy z pieca ze śmietaną z talerzem wysmarowanym szpinakiem z dekoracyjnie ułożonym stożkiem imagacji kucharza nowoczesnego.

Czytam więc te książki zawierające wieloletnie doświadczenia w gotowaniu, umiejętność łączenia smaku z wystawą. Bracia Jelenie z 30 grudnia 1854 roku tak swoje myśli wyrażają: „Jak zdrowie jest podstawą działań człowieka, tak też głównym warunkiem zdrowia, a oraz przyjemności życia jest stosowna i dobrze urządzona kuchnia. Jest to jedna z najpierwszych i najpowszechniejszych potrzeb rodu ludzkiego, która chociaż czysto materialnej strony jego tyczy się, nie może być jednak lekceważona, albowiem najmniejsze w niej zaniedbanie, nie tylko pozbawia nas istotnych przyjemności życia, ale sprowadza zarazem smutne następstwa w zatrudnieniach czysto duchowych, odejmując umysłowi ową świeżość i krzepkość, jakimi nas tylko zupełny stan zdrowia obdarza. Ztąd też od dawna już powtarzano tę prawdę, że tylko w zdrowem ciele rodzić się może myśl zdrowa”.

Kazimiera Janota Bzowska, 5 lutego 2011 r.

5.7. MOJE POSZUKIWANIA GENEALOGICZNE – JANUSZ BZOWSKI (LINIA JANA Z PRZEMĘCHAN)

Kim jestem

Wykształcenie zawodowe technik księgarz. W Technikum Poligraficzno-Księgarskim w roku 1965 skończyłem kurs komputerowy organizowany przez Akademię Górniczo-Hutniczą i od tego czasu późniejszym zawodem stała się informatyka. Obecnie pracuję jako informatyk na Politechnice Krakowskiej. Od 37 lat żonaty, żona Anna Józefa z domu Szyszko-Bohusz h. Odyniec, mam dwóch synów: Andrzeja Ziemowita lat 36 ożenionego z Agnieszką z d. Kłaniecka i wnuczkę Olgę Marię oraz młodszego syna Lesława Jana lat 24. Moimi rodzicami byli Andrzej Augustyn J.Bzowski (młodszy syn pułk. Michała J.B) i matka Stanisława z d. Skołuba. Ojciec Andrzej dla mnie zrobił radio na tzw. „kryształkach” odbierane przez słuchawki. Potrafił wszystko naprawić nawet zegarki. Moja matka w tych ciężkich czasach wojennych dorabiała wykonując na zamówienie swetry z włóczki, firanki, serwety i chusteczki koronkowe szydełkowe z kordonku. Przed Bożym Narodzeniem robiła piękne ozdoby choinkowe z bibuły na sprzedaż: łańcuchy, języki, baletnice, aniołki a nawet diabełki.

Po śmierci mojego ojca matka ponownie wyszła za mąż za Zbigniewa Kobę. Miałem to szczęście, że ojczymem był tylko z nazwy. „Kobuś”, jak Go pieszczotliwie w rodzinie nazywaliśmy, był dla mnie i mojej młodszej siostry Krystyny bardzo dobrym i kochającym Ojcem. Uczył w szkole średniej języków obcych. Był wybitnie lingwistycznie uzdolniony. Znał biegle języki obce w mowie i piśmie: niemiecki, francuski, włoski, hiszpański, portugalski i angielski. Później nauczył się rosyjskiego i rumuńskiego oraz stenografii polskiej i angielskiej. W ostatnich latach przed śmiercią uczył się idish, arabskiego i chińskiego.

Genealogią rodzinną zajmuję się od kilku lat.

Jestem jednym z współzałożycieli Małopolskiego Towarzystwa Genealogicznego, Stowarzyszenia Potomków Sejmu Wielkiego oraz Krakowskiego Oddziału Związku Szlachty Polskiej i działam w Zarządzie od założenia do chwili obecnej. Od początku istnienia Oddziału Krakowskiego prowadzę dokumentację fotograficzną ze spotkań i imprez prowadzonych przez ZSzP, jak i z Małopolskiego Towarzystwa Genealogicznego.


Zajmuję się od wielu lat heraldyką oraz genealogią rodzinną, uzupełniając stale historię rodziny. Na portalu aukcyjnym Allegro zdobyłem wiele oryginalnych dokumentów rodzinnych: świadec-

*„KŁADZĄ Z SOBĄ NA PRZODKÓW
NIE KŁADZĄ JEDYNAKO NICH WŁE...”*

Janusz Janota Bzowski zaprasza w sobotę 18.02.2011
o godz. 16 do kaplicy szpitalnej na spotkanie
pt.

**„GENEALOGIA RODZINNA
- POSZUKIWANIE PRZODKÓW”**

Na spotkanie zapraszają:
Małopolskie Towarzystwo Genealogiczne
OBYWATELKA SZPITALA m. J. Działo
Kierownik sekcji
Włodzisław Święty-Eliasz



two szkolne Stefani J. Bzowskiej, Pełnomocnictwo notarialne z 1826 i wiele innych cennych pozycji książkowych napisanych przez ks. Teofila Bzowskiego.

Dość często wygłaszam pogadanki na tematy genealogiczne i heraldyczne. Na majowym spotkaniu w 2011 r. Małopolskiego Towarzystwa Genealogicznego w Krakowie prezentowałem drzewa genealogiczne mojej rodziny: J. Bzowskich, Szyszko-Bohuszów oraz mojego dziadka macierzystego Ignacego Skołuby w dużym formacie A0 utworzonego przy pomocy programu genealogicznego Ahnenblatt (<http://www.ahnenblatt.com/download.html>)



Janusz Janota Bzowski

Andrzej Augustyn
Janota BzowskiStanisława Janota
Bzowska z d. Skołuba

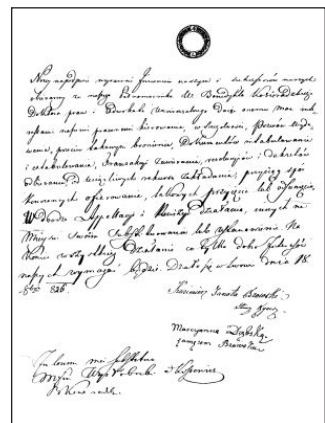
Zbigniew Koba

Dziadek macierzysty Ignacy Skołuba pochodził z Wielopola Skrzyńskiego i był organistą w kościele św. Bartłomieja w Mogile, gdzie się ożenił z miejscową parafianką. Potem hrabina Potocka zaproponowała mu pracę w kościele św. Marcina w Krzeszowicach k. Krakowa. Działal w Tajnych Kompletach w AK. Miał 10 dzieci. Pierwsza piątka dzieci z pierwszego małżeństwa z Salomeą Piwowar (moja mama Stanisława była 3-cim dzieckiem) oraz pięcioro z drugiego małżeństwa z Jadwigą Świętoń. Większość z rodziny mieszka w okolicy Krakowa i jest z zawodu nauczycielami.

Również na tym spotkaniu prezentowałem olbrzymie drzewo genealogiczne rodziny Bohuszów-Szyszków (Szyszko-Bohuszów) obejmujące lata 1410-2004 autorstwa Pani Elżbiety Eaton z Afryki Południowej również w dużym formacie A0.

W chwili obecnej zrobiłem drzewo genealogiczne mojej żony Anny z Szyszko-Bohuszów i całej linii z Buzska-Zdroju uzupełnienie i uaktualnienie danych, które nie znalazły się w poprzednim wydaniu Pani Elżbiety.

Na Allegro udało mi się kupić oryginał przedwojennego Zeszytu nr 3. Związku Rodowego Janotów Bzowskich, Pełnomocnictwo z 1826 roku Kazimierza J. Bzowskiego i Jego żony Marcjanny z Dąbskich i wiele innych dokumentów, który również prezentowałem na tym spotkaniu.



Dość często prowadzę wykłady i pogadanki na tematy genealogiczne w Domach Kultury i w Wolontariacie dla chorych w szpitalu J. Dietla w Krakowie.

W niedzielę 26 czerwca 2011 wyjechałem razem z teściami mojego starszego syna Andrzeja Ziemowita, Państwem Kłanieckimi: Wandą i Stanisławem do Będkovic k. Krakowa. Jest tam kurhan dawnych właścicieli tej wsi – Janotów Bzowskich, o którym wiele lat temu słyszałem, ale nie miałem okazji być w tej miejscowości.

W Będkowicach koło kościoła skręcamy w ulicę Ogrodową, potem następną ulicą można dojechać w pobliże tego kopca-kurhanu. Na bramie wjazdowej do dużej rezydencji niedaleko kopca znajduje się nazwa tej ulicy „ul. Bzowskich” (sic!).

Było to dla mnie niezapomniane przeżycie zobaczyć na własne oczy ulicę z naszym nazwiskiem, kurhan, tablicę pamiątkową oraz piękne widoki ze szczytu kopca.

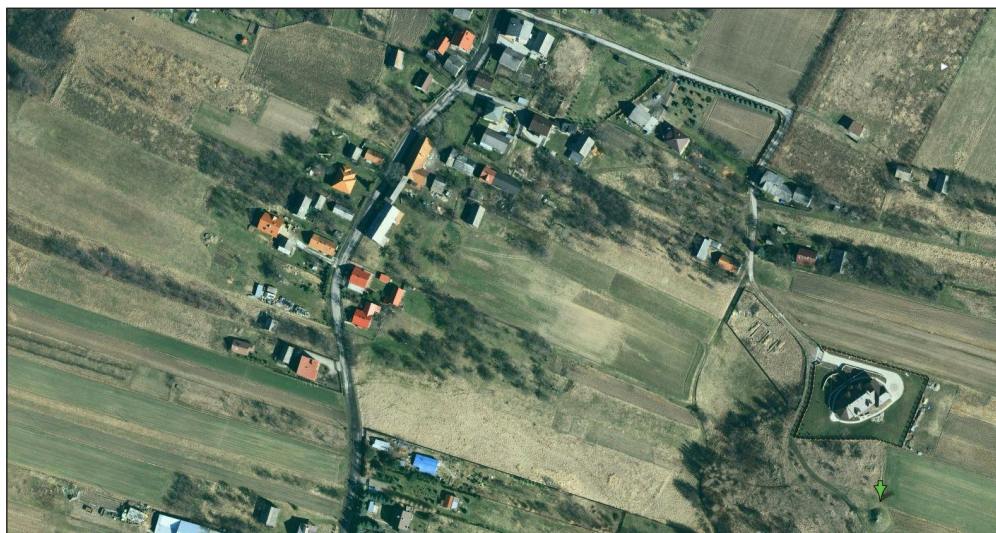
Kim był dla mnie Hiacynt (Jacek) J. Bzowski właściciel Będkovic? Był moim 4x pradziadkiem.

Na drzewie z 1978 r. Hiacynt → Kazimierz → Jan → Michał → Andrzej → Janusz.

Współrzędne kurhanu J. Bzowskich w Będkowicach k. Krakowa, kurhan zaznaczony zieloną strzałką po prawej stronie na dole (<http://www.zumi.pl/,,19.75445239999998,50.1645052,2,1,namapie.html?userMapPointText=Kopiec+Janotow+Bzowskich&userMapPointX=19.7549&userMapPointY=50.163932>).



Ulica Bzowskich na bramie wjazdowej rezydencji



Do moich genealogicznych poszukiwań zakończonych pełnym powodzeniem jest znalezienie w Internecie na portalu Gadu-Gadu zaginionej od dziesiątków lat rodziny naszej kuzynki z Lublina Małgorzaty Bzowskiej-Bakalarz. Jest Ona wnuczką Stanisława JB i Marii z d. Zagórskiej, błędnie zapisanej na drzewie genealogicznym z roku 1978 w Zeszytcie nr 4. jako Anna. Ale to już inna barwna historia.



Kurhan w Będkowicach



Krzyż i tablica pamiątkowa



Widok tablicy



Widok z kurhanu na wieś Będkowice

O genealogii

„Kiedy maoryjski wódz Tamarau stawiał się przed komisją ziemską Nowej Zelandii, aby wykazać prawo swego ludu do pewnych ziem, przez ponad trzy dni recytował rodowody obejmujące 34 pokolenia i ponad 1400 osób. Również w kontaktach prywatnych, spotykając kogoś po raz pierwszy, Polinezyjczycy rozpoczynają znajomość od ustalenia swego pokrewieństwa. Na niektórych wyspach genealogie obejmują jedynie kilkanaście pokoleń, podczas gdy na innych kilkadziesiąt. Przykładowo około roku 1900 (...) mieszkańcy Rarotongi podawali 92 pokolenia swych przodków, a na Markizach aż 159”.

Rafał T. Prinke,

Poradnik genealoga amatora, Warszawa 1992

KĄCIK HUMORU GENEALOGICZNEGO :-)

„Poznałem młodą wdowę, posiadającą dorosłą pasierbicę. Z wdową ożeniłem się wkrótce ja, z pasierbicą mój ojciec. W ten sposób moja żona została świekrą swego teścia, moja pasierbica moją macochą, mój ojciec moim pasierbem. Macocha moja, pasierbica mojej żony, powiła syna. Przybył mi zatem brat jako syn mego ojca i macochy, ale ponieważ był on jednocześnie synem mojej pasierbicy, żona moja została babką, a ja dziadkiem mego przyrodniego brata. Ponieważ i mnie wkrótce urodził się syn, macocha moja, przyrodnia siostra tego chłopca została nadto jego babką, gdyż był on synem jej pasierba, a ojciec nasz został szwagrem naszego dziecka, jako mąż jego siostry. Jestem przeto: bratem mego własnego syna i szwagrem mojej matki. Moja żona jest ciotką własnego syna, a ja swoim własnym dziadkiem”.

Julian Tuwim – Galimatias rodzinny

Zamieszanie w rodzinie

Rozmawiając o rodzinie z którymś z naszych dalekich przodków nie połapaliśmy się na pewno. Było wtedy o wiele więcej nazw na określenie poszczególnych członków rodziny. Nie wiedzielibyśmy na przykład, czego dotyczą pytania o:

- żelwę (siostrę męża),
- jątrew (żonę brata męża)
- snechę czy też sneszkę (rodzina męża nazywali tak swoją synową).

Niewiele osób wie dziś również, że:

- ścieża był to dawniej ojciec męża,
- świołka – to siostra żony.

Natomiast słowem starek określano dawniej dziadka. Egzotycznie brzmiałoby pytanie o zdrowie niecia i nieściory (kuzyna oraz kuzynki).

Niektóre nazwy – jak np. pociot (mąż ciotki) – brzmią dziś śmiesznie i mają inne znaczenie niż dawniej.

Znalezione w internecie

O genealogii i heraldyce można by mówić dość długo, ale łamy tego opracowania nie wytrzymały by nawału tych informacji.

Janusz J. Bzowski
Kraków

5.8. A STAŻ JEGO... CZTERDZIEŚCI I CZTERY – PIOTR DZIĘCIOŁOWSKI

przedruk „Koń Polski” nr 3/10

Wojciech Komorowski: hodowca, dwukrotny uczestnik mistrzostw Polski w WKKW i ujeżdżeniu, zootechnik, założyciel kilku jeździeckich sekcji sportowych, wieloletni prezes Okręgowego Związku Jeździeckiego w Olsztynie. Jak własną kieszeń zna stada ogierów w Bogusławicach i Białym Borze, stadniny: walewicką i w Liskach. Na koncie ma nie tylko zawodowe sukcesy, także... zniszczony portret Stalina.

W latach 80. zimy były tak srogie, jak tegoroczna, a może nawet sroższe. Obfite opady śniegu i trzaskający mróz dawały się ostro we znaki. **Wojciech Komorowski**, ówczesny dyrektor Stadniny Koni w Liskach wpadł więc na pomysł, by zamiast posyłać dzieci pracowników na lekcje religii autobusem do oddalonego Sępopola, zajęcia organizować na miejscu. Dogadał się z proboszczem i za jego aprobatą



Wojciech Komorowski w czasach pracy w państwowych stadach i stadninach...
(fot. z arch. A. i W. Komorowskich) ...i obecnie (fot. Piotr Dziędołowski)

wygospodarował w Liskach niewielką salę w nieużywanym baraku. Rozwiązanie zadowoliło wszystkich, nawet... lokalnego współpracownika bezpieczeństwa, który znów miał powód, by donieść na swojego szefa. Tym razem poinformował zwierzchników, że Komorowski „toleruje praktyki sakralne w socjalistycznym przedsiębiorstwie”. Niestety, donosów tegoż autora uzbierało się tak wiele, że bezpartyjny dyrektor, do tego członek „Solidarności” musiał odejść. Wraz z nim, na znak poparcia, pożegnało się z Liskami sporo osób, m.in. **Wanda i Krzysztof Ferensteinowie**.

– Spędziłem w tej firmie 12 lat – mówi Wojciech Komorowski – z przyjemnością pracowałbym tam drugie tyle, do samej emerytury. Wyszło inaczej...

Stadninę w Liskach objął w 1976 roku; nie prosperowała wtedy najlepiej. Deficyt, brak paszy, zaniedbane pola i łąki, kiepskie wyniki hodowlane. Do zakładów treningowych trafiało rocznie zaledwie 6-7 ogierów, podczas gdy proporcjonalnie do liczby stacjonujących tam 180 matek, powinno 18-20.

– Zacząłem od zmniejszenia stanu do 160 matek, zaostrzyłem selekcję, poprawiłem żywienie. Wspierało mnie w tych działaniach wielu ludzi, m.in. znany jeździec, niegdyś czynny zawodnik, **Roman Sycz** – mój późniejszy zastępca; co prawda nie miał przygotowania teoretycznego, ale był znakomitym praktykiem. Znał się na robocie lepiej od niejednego magistrza; taki wyjątek od reguły. Przeszedł w stadninie wszystkie szczeble – od masztalera, koniuszego, kierownika gospodarstwa, po zastępcę dyrektora, był przy tym typem twardziela nad twardzielami, nawet... zęby usuwał bez znieczulenia. Dentysta z wrażenia mdał, a on ani pisnął.

W Liskach Komorowski zastał też **Stanisława Grodzickiego**, związanego ze stadniną od lat 50. Ten był już na emeryturze, ale nadal trenował jeźdźców LKJ Liski, m.in. swojego syna, **Stefana**.

– Stanisław pomagał mi w agrotechnice, ze Stefanem natomiast pracowałem wszystkiego niecały rok. Zmarł w wyniku obrażeń odniesionych w wypadku samochodowym. Wracał ze zdanego egzaminu dyplomowego w olsztyńskiej Akademii Rolniczo-Technicznej i zasnął za kierownicą. Straciliśmy wybitnego jeźdźcę, olimpijczyka, zwycięzcę blisko 200 konkursów, mistrza Polski w ujeżdżeniu i wielokrotnego medalistę w skokach.

Młody Grodzicki zaczął odnosić sukcesy m.in. na *Kobryniu*, tym samym, na którym w moskiewskich Igrzyskach Olimpijskich miał pojechać **Marian Kozicki**, ale wobec kontuzji wierzchowca, plany wzięły w łeb dwa dni przed startem.



CHIO Olsztyn 1977, pierwszy z prawej Wojciech Komorowski - współorganizator oraz oficjele: z lewej Eryk Brabec - sekretarz generalny PZJ, w środku Andrzej Osadziński (fot. z arch. A. i W. Komorowskich)

– To był świetny koń, w Liskach zresztą sporo takich było – i tych sportowych, i reproduktorów. Wymienię choćby kilka zasłużonych ogierów z czasów mojej tam bytności: *Kondeusz*, *Poprad*, *Parysów xx*, *Aspirant*, *Kerman*, *Aragonit*, *Cross xx* i *Dziwisz xx*. Dobre konie i dobrzy zawodnicy dawali nam w krajowym rankingu ośrodków sportowych miejsce w pierwszej piątce. Czołowym zawodnikiem klubu był Krzysztof Ferenstein, dosiadający przede wszystkim Kobrynia i *Costy*. Z czasem zaczęliśmy zdobywać też plusy w powożeniu czwórką *Andrzeja Szewczyka*, który trzykrotnie zdobywał medale w mistrzostwach Polski.

Po odejściu Komorowskiego z Lisek odszedł i Szewczyk, ale kiedy tylko dowiedział się, że dyrektor objął ośrodek hodowli zarodowej w Grabowie, zaraz się zameldował gotów do treningów. Szkopuł był jednak w tym, że w gospodarstwie hodowano bydło. Komorowski, co prawda, ściągnął kilka koni pod wierzch, ale te w żadnym razie nie nadawały się do czwórkowego zaprzęgu. Na miejscu nie było zresztą nawet jednej bryczki.

– Miałem kłopot, ale dla chcącego... Po prośbie poszedłem do Stada Ogierów w Bogusławicach, pożyczyłem stamtąd brek, wydzierżawiłem dwa słązaki, kilka dokupiłem ze stadniny w Plękitach, kupiłem też szory. Andrzej znów mógł rywalizować z najlepszymi w kraju.

O ileż łatwiej byłoby Komorowskiemu dobierać konie, formować zaprzęgi, gdyby zamiast dyrektorskiego stołka w „bezkonnym” Grabowie przyjął propozycję kierowania Stadem Ogierów w Białce – dostał takową zaraz po odejściu z Lisek, ale nie przyjął!

– Funkcjonująca przy stadzie stadnina arabska w Białce składała się z dwóch obiektów: Białki i Żółkiewki. Pierwsza prezentowała się znakomicie – zadbana, nowoczesna. Druga... własnym oczom nie mogłem uwierzyć: bida z nędzą, XVIII wiek, ludzie żyjący na glinobitce, krowy zaniedbane, remontu wymagał każdy kąt. Dobrze wiedziałem, ile na takie przedsięwzięcie trzeba sił i pieniędzy, jak wiele kosztuje wyrzeczeń. Już raz przecież „wskrzeszałem” ruinę – Państwowy Ośrodek Hodowli Zarodowej w Świelinie w Koszalińskim.

Aż dziw, że gdy po raz pierwszy tam przyjechał, nie przeraził się tym, co zastał. Ogromne zadłużenie, budynki wymagające remontów, słabe ziemie, kiepskie i wychudzone bydło.

– Porywałem się z motyką na słońce, wiem, ale właśnie świadomość, że stoję przed tak trudnym wyzwaniem, dodawała mi sił i wiary w przedsięwzięcie. Dostałem oczywiście ze Zjednoczenia Hodowli Zwierząt Zarodowych środki na inwestycje, skompletowałem starą-nową załogę, przez dwa lata pracowali też u mnie darmo więźniowie, każdego dnia około 30 ludzi. W błyskawicznym tempie udało się więc wybudować dużą fermę zarodową trzody chlewnej, która szybko zaczęła przynosić znaczne dochody. Wprowadzone przeze mnie zmiany w hodowli bydła, zakupy jakościowo dobrych jałówek, odpowiednie żywienie – wszystko to przynosiło efekty. Jak duże, niech świadczy choćby reakcja Karola Słupskiego, naczelnika Wydziału

Hodowli Bydła w warszawskim Zjednoczeniu, autorytetu w branży, znającego Świelino z wcześniejszego okresu. Kiedy zobaczył nasze „odrestaurowane” krowy, wystrzył wzrok, rzucił czapkę o ziemię i zapytał:

– Co wyście z nimi zrobili?

– Nic – odrzekłem – daliśmy jeść!

Sukces zawodowy, dobra atmosfera sprawiły, że państwo Komorowscy po dziś dzień wspominają Świelino jako jedno z tych najwspanialszych, najbardziej urokliwych miejsc na Ziemi, w którym przyszło im żyć, pracować i... dosiadać koni. Wojciech Komorowski nawet tam zorganizował sekcję jeździecką. Nie byłby zresztą sobą, gdyby tego nie uczynił; bez wierzchowców nigdy nie potrafił funkcjonować.

Wilczy bilet

Pierwszy kontakt z końmi miał u dziadków w Grzmiącej nad Pilicą. Co prawda dziadek z racji wieku już nie jeździł; każdą wolną chwilę w siodle spędzał za to ojciec Wojciecha – **Julian**. Mało tego, nawet służbę wojskową pełnił w 1. Dywizjonie Artylerii Konnej im. Józefa Bema w Warszawie. Później dosiadał koni, gdzie popadło, także w cyrku u swoich dobrych znajomych, słynnych braci **Staniewskich**.

– Myślę, że ojciec związałby swoją przyszłość z końmi, gdyby nie dziadek, który wyznaczył mu zupełnie inne zadanie, przekazując w spadku fabrykę odlewów mosiężnych i ozdób z brązu (lampy z tego zakładu oświetlały gmach ambasady Szwecji w Warszawie). Siłą rzeczy tata musiał więc jeździectwo traktować jedynie hobbystycznie. Pasji oddawał się do końca życia. Poległ na samym początku wojny, 9 września 1939 roku pod Małkinią nad Bugiem.

Okupację Wojciech spędził w Grzmiącej. Po wojnie losy rzuciły go do Stargardu Szczecińskiego, gdzie kształcił się w technikum rolniczym. To właśnie tam, w 1952 roku, na kilka miesięcy przed maturą dokonał dewastacji portretu „Słoneczka”, czyli **Józefa Stalina** i zerwania czerwonych flag. Przetrzymany i przesłuchiwany przez bezpiekę trzy doby, w końcu został zwolniony, ale... z wilczym biletem. W praktyce oznaczało to, że nie ma najmniejszych szans dostać się do jakiegokolwiek szkoły i w terminie zdać maturę. Szczęście w nieszczęściu, że 18-letniego Wojtka przygarnął wówczas jego stryj, **Tadeusz Komorowski**, dyrektor zespołu PGR w Reszlu i zatrudnił w charakterze młodszego zootechnika. Wojciech zamieszkał w Lężanach, gdzie zlokalizowany był punkt kopulacyjny ogierów z Braniewa. Młodzian zaprzyjaźnił się z tamtejszym masztalerzem, który pozwalał mu dosiadać koni... oczywiście tylko wtedy, gdy te nie miały nic ciekawszego do roboty. Wojciech radził sobie w siodle, radził też sobie coraz lepiej w robocie. Już po roku zaproponowano mu etat głównego zootechnika w zespole PGR Tolki koło Bartoszczy. Tam najeździł się wierzchem, jak nigdy wcześniej; gospodarstwo składało się bowiem aż z 12 filii zlokalizowanych na terenie trzech powiatów; docierało się do nich przede wszystkim konno. Komorowskiemu jednak i tak było mało, zamarzyła mu się najprawdziwsza sekcja jeździecka. O pomoc w jej organizacji poprosił rotmistrza **Wiktora Ołędzkiego**, który

wówczas był trenerem w pobliskich Liskach. Ten nie tylko pomógł, ale udzielał zootechnikowi pierwszych profesjonalnych lekcji jazdy konnej. Jak bardzo się przydały, miało okazać się w niedalekiej przyszłości. Na razie jednak nastął październik 1956 roku i chłopak mógł wreszcie zrobić coś ze swoim wykształceniem, przede wszystkim zdać nieszczęsną maturę. Dowiedział się, że technikum hodowlane w Krzelowie pod Jędrzejowem organizuje egzamin dojrzałości dla tych, którym z jakichś powodów nie udało się go zaliczyć w terminie.

Miał zaledwie pół roku na przygotowanie... z 14 przedmiotów – aż tyle musiał zdać w trybie eksternistycznym. Zaliczył je bez trudu i przystąpił do walki o indeks SGGW, na wydziale zootechnicznym, gdzie o jedno miejsce ubiegało się 3 kandydatów. Został przyjęty. Ani jednak myślał spędzać czas wyłącznie na wertowaniu akademickich podręczników. Ledwie zamieszkał w Chylicach, a już pojechał na Służewiec, by zacząć się w Warszawskim Klubie Jeździeckim prowadzonym przez mjr. **Henryka Leliwę-Roycewicza**. Co prawda nie miał żadnej protekcji, ale wystarczyło, że pochwalili się owymi lekcjami u rotmistrza Ołędzkiego i zademonstrował, co potrafi. Z tygodnia na tydzień jeździł zresztą sprawniej, dostawał coraz lepsze konie, startował w zawodach. W 1958 r. rywalizował w mistrzostwach Polski w ujeżdżeniu (na *Cugu*) i WKKW (na wał. *E-Dur*, oba z SK Pruchna).

Na wyścigach zobaczył też po raz pierwszy **Annę Konarską** – jak się okazało koleżankę z roku, której dotąd z uczelni nie znał. Wpadła mu w oko, polubili się od pierwszego wejrzenia, ale... ich przyjaźń stanęła pod dużym znakiem zapytania.

– Kiedy mjr. Roycewicz zabrał jej ulubionego *Falkira* i dał mi go na któreś zawody, Anka tak się na mnie obraziła, jakby to była moja wina! Przestała się odzywać i za karę, jako jedyne go spośród bliższych znajomych, nie zaprosiła na imieniny! Na szczęście w końcu jej przeszło i... już tylko mnie zapraszała (śmiech).

Gorące uczucie zaprowadziło Annę i Wojciecha na ślubny kobierzec. Z racji swoich nowych rodzinnych ról przerwali studia, choć te szły im zupełnie dobrze (dyplomy uzyskali zaocznie po paroletniej przerwie). Za chlebem przenieśli się do Jarząbkowic, filii stadniny w Pruchnej. I znowu, jedną z pierwszych rzeczy, którą zajął się Komorowski, było zorganizowanie sportowej sekcji jeździeckiej.

Ledwie zadomowił się w Pruchnej, a już po roku zaproponowano mu posadę zootechnika w Państwowym Ośrodku Hodowli Zarodowej w Koszęcinie. Tu wytrwał dłużej, całe trzy lata, po których za namową serdecznego przyjaciela, dyrektora **Andrzeja Osadzińskiego**, został jego zastępcą w Stadzie Ogierów w Bogusławicach. Z taką masą koni nigdy wcześniej nie pracował; zdobywał więc nowe doświadczenia, korzystał z ogromnej wiedzy i praktyki swojego szefa.

– Andrzej dbał nie tylko o Stado, za jego sprawą, dla dobra całej krajowej hodowli organizowano w Bogusławicach kursy dla hodowców, koniuszych, masztalcerzy. Popularyzował też rekreacyjne jeździectwo: w Bogusławicach odbyły się np. pierwsze studenckie wczasy w siodle; był też entuzjastą sportu. Znakomitą reklamę robili przedsiębiorstwu klubowi jeźdźcy, sportowcy z najwyższej półki, choćby **Zbi-**

gniew Madejczyk, który wygrał mistrzostwa Polski w WKKW. Akurat jego wspominać nie bez kozery. Podpadł mojej Ance, jak ja kiedyś, bo startował na „jej” wierzchowcu, ogierze angloarabskim *Demon Schagya*.

– Znowu ktoś mi zabrał konia – pointuje pani Anna.

Szlachcic w staniku i...

Bogusławice wpisały się też na trwałe w historię rodzimej kinematografii. Ileż w Stadzie i okolicy zarejestrowano konnych scen – nikt chyba nie zliczy. W wielu filmach, w charakterze statystów, występowali też pracownicy, wśród nich Anna i Wojciech Komorowski.

Podczas kręcenia „Panienci z okienka” (1964 r.) pani Anna wcieliła się w szlachcica. Dokleiono jej wąsy, przebrano; wyglądał, jak żywy. Odtwórczyni postaci doskwierał jednak pewien drobiazg damskiej garderoby. Zwróciła się więc do **Marii Kaniewskiej**: – *Pani reżyser, co ma zrobić szlachcic, któremu opada ramiączko stanika?*

Nie zawsze było do śmiechu: w „Popiołach” (1965 r.) **Andrzeja Wajdy**, w scenie kręconej na lotnisku pod Tomaszowem Mazowieckim, w której Komorowska powoziła trojką, niewiele brakowało, a doszłoby do wypadku.

– Jeden z koni przy moich saniach miał doświadczenie z wyścigów. Gdy zorientował się, że szóstkowy zaprzęg wyprzedza nas, włączył dodatkowe moce i ruszył przed siebie na łeb, na szyję. Kiedy przyspieszył, orczyki zaczęły uderzać konie w nogi. Zwierzaki gnały więc coraz szybciej, śnieg walił spod kopyt, widoczność niemal zerowa. Nagle spostrzegłam, że pędzimy wprost na ogromny lotniskowy wykop pod zbiornik na paliwo, ostro więc skręciłam, zostawiając przeszkodę dosłownie pół metra od płóz zaprzęgu. Konie jednak ani myślały zwolnić; galopowały, niczym oszalałe. Wtem, jak spod ziemi, wyrosła przed nami siatka odgradzająca samoloty. Musiałam wykonać kolejny niebezpieczny manewr – cud, że sanie się nie wywróciły. W końcu zaprzęg zatrzymałam. Ledwie żywa odwróciłam się, by zapytać moich pasażerów-aktorów o samopoczucie... ale za plecami nie miałam nikogo. Przerażeni artyści opuścili mnie w trakcie „podróży”.

Mrożącą krew w żyłach przygodę miał też w tym samym filmie Wojciech Komorowski, który wcielił się w postać pułkownika **Jana Kozińskiego** (1781-1821), dowódcy szwadronu polskich szwoleżerów gwardii **Napoleona**. W scenie szarzy pod Somosierrą, pirotechnik zbyt późno odpalił ładunki, niemal przed samym łbem konia.

– Prowadziłem natarcie, za mną galopowało ponad sto ogierów. W momencie wybuchu, mój wierzchowiec w tumanach dymu przestał cokolwiek widzieć i nadział się piersią na armatnią lufę, mnie wyrzuciło z siodła. Dałem więc susa pod działo i w ten sposób uratowałem się przed stratowaniem. Stałem się jednak obiektem dowcipów wielu osób, z Andrzejem Osadzińskim na czele. Anna, choć była świadkiem zdarzenia, do dziś nie może uwierzyć, że człowiek jest zdolny cwałować na własnych kolanach. Otóż jeśli walczy o życie, jest zdolny do niewyobrażalnych wyczynów.



Wojciech Komorowski jako adiutant Napoleona w filmie „Marysia i Napoleon”
(fot. z arch. A. i W. Komorowskich)

W „Popiołach” nie brakowało sytuacji dramatycznych, jedna zakończyła się tragicznie. Podczas zdjęć uległ wypadkowi mjr Adam Królikiewicz, zmarł kilka miesięcy później.

– Jeźdźcy-statystyci tak się wystraszyli – wspomina Komorowski – że zaczęli odmawiać udziału w „upadkach na zawołanie”. Uspokoił ich dopiero **Daniel Olbrychski**, zgłaszając się do owych scen na ochotnika – pewnie gdyby nie on, trzeba by nawet wstrzymać zdjęcia.

Dla Komorowskich spotkania z filmem były odskocznią od codzienności (jak dla ojca Wojciecha, Juliana, który statystował w „Wiernej rzece”; 1936 r.). Filmowe przygody Anny i Wojciecha skończyły się z chwilą przenosin do stadniny w Walewicach.

Toast Moczara

– Zostałem tam głównym hodowcą. Ale w stadninie hodowano nie tylko konie, także bydło i świny, prowadzono również zamknięty obwód łowiecki. Polowania, owszem, organizowano, ale wyłącznie rządowe. Przyjeżdżała cała wierchuszka; najniższym rangą był I sekretarz KW PZPR w Łodzi, niejaki **Stefan Jędryszczak**, którego koledzy w randze co najmniej ministrów, posyłali po papierosy. Gościem specjalnym bywał Borys **Iwanowicz Aristow**, **ambasador** ZSRR w Polsce – świetnie strzelał i dużo mógł wypić. Bez niczyjej pomocy zostawał królem polowań, choć prikaz, by nim zostawał, przychodził odgórnie.

W polowaniach uczestniczyli m.in. **Piotr Jaroszewicz**, **Mieczysław Jagielski**, **Mieczysław Moczar**, **Marian Spsychalski**, **Franciszek Szlachcic**, **Ignacy Loga-Sowiński...**



Anna Komorowska jako szlachcic w filmie „Panienka z okienka” (fot. z arch. A. i W. Komorowskich)

– Kiedyś Moczar zwymyślał Jaroszewicza, że ten przyjechał do Walewic bez szofera, a teraz nie może pić:
– *Następnym razem macie być z kierowcą!*

– *Tak jest* – odrzekł zmieszany (wówczas) wicepremier.

W 1968 roku, jeden jedyny raz, towarzysze przywieźli ze sobą na polowanie profesora **Stanisława Turskiego**, rektora Uniwersytetu Warszawskiego, który w pamiętnym marcu własnoręcznie skreślił z listy kilkudziesięciu studentów. Podczas wieczornej kolacji Moczar wznosił toast za zdrowie „przyjaciela polskiej młodzieży”. Anna Komorowska ostentacyjnie odstawiła kieliszek. Zaległa cisza, przerwał ją Moczar pytając:
– *Nie chce pani wypić za profesora? Sytuację rozładował Bronisław Stępniaak, dyrektor stadniny: – O, u Komorowskich znowu będą chrzciny!*

Towarzystwo kupiło bajkę, parsknęło śmiechem, a pani Anna wróciła z dalekiej podróży... bardzo dalekiej. Za taki afront w owym czasie mogła trafić nawet do więzienia...

Chrzciny oczywiście Komorowscy też wyprawiali, tyle że w innych terminach. Mają dwóch synów, siedmioro wnuków, trzech prawnuków. W sumie rodzinka liczy 14 osób, z czego aż 8 jeździ konno – przeszło 50 procent, znakomity wynik!

Dziś Komorowscy są już na emeryturze. Pan Wojciech przeszedł na nią po 44 latach pracy. Z przyjemnością i satysfakcją wspomina dawne dzieje, zawodowe sukcesy, zwracając uwagę, jak to drzewiej bywało, jak szefowie stad i stadnin rywalizowali między sobą, jak zależało im na wynikach, jak dochodzili do sukcesów.

– Dziś – mówi – żał patrzeć na to, co się dzieje w hodowli, ileż znakomitych, świetnie niegdyś prosperujących stad i stadnin zniknęło już z naszej „końskiej” mapy, będą znikać kolejne. Wolę o tym nie myśleć...

Szczęśliwie nie musi! Głowę zaprzęta sobie pracą społeczną w Stowarzyszeniu „Wspólnota Polska” – organizacji pozarządowej powołanej z inicjatywy i zorganizowanej przez nieżyjącego już marszałka Senatu, prof. **Andrzeja Stelmachowskiego**, a wspierającej naszych rodaków za granicą, zwłaszcza za wschodnią.

Piotr Dzięciołowski

Koń Polski 3/10

5.9. WSPOMNIENIE JOANNY – JOANNA KIEŁCZEWSKA

Anglia. Lato 2008. Mały, znaleziony w szpargałach notatnik. Rzucam na papier słowa. Na początku byłam Dzięzią albo Jo. W Sopocie i w Milanówku została tylko Dzięzia... Kiedy dorosłam stałam się Joanną, Joasią, Joąską, Joasieńką. W Anglii Jo czyli Dżo. A potem Johana wymawiane na sposób skandynawski Juana. I... Dżoasia... imię dane od Eli. Imię z duszą.

Motto

*„Mózg ma swojego osobistego reżysera. To taki David Lynch, który z docierających do niego wrażeń montuje film, pełen ekspresji, ale niezbyt wiernie odzwierciedlający rzeczywistość. W tym celu stosuje trzy podstawowe triki. Po pierwsze: w zapisie pamięciowym zmienia rangę niektórych wydarzeń, jednym dodaje znaczenia, innym ujmuje. Po drugie: wbija nam do głowy coś, czego nie było. Po trzecie: zacierą pamięć, jeśli wydarzenie nie pasuje do całości obrazu. Kiedy wspomnienia zostaną wydobyte z czeluści pamięci, mózg samoistnie je koryguje. Stare zapisy przechodzą wtedy przez sito naszych aktualnych opinii. Nowe doświadczenia nie tyle są dodawane do wspomnień, co je zmieniają, tworząc nową wersję dawniej zapamiętanych zdarzeń. I tak wracając w myślach do przeszłości, nieustannie ją zmieniamy...
Poprawione wspomnienia od nowa przebywają całą drogę związaną z zapamiętywaniem (...) kiedy po raz drugi trafiają do jej pamięci długotrwałej, magazynów, istotnie różnią się od jej pierwotnej wersji...” – dodaje prof. Vettulani¹⁰*

Nadlatuje mała dziewczynka:

Kiedy wreszcie zapadła decyzja ucieleśnienia jej w ziemskim świecie, przeszła – jak wszyscy – przyjętą procedurę. Intuicyjnie wybrała tematy lekcji na czas następnej próby, którą trzeba przejść, aby wdrapać się na kolejny stopień rozwoju i wtajemniczenia. Droga ta bywa długa i mozolna. Czy będzie już tą ostatnią upragnioną drogą? Była realistką. Nie wątpiła, że przed nią jeszcze wiele nauki, bólu, cierpienia, olśnienia, radości i rozczarowań. Pocięchą była świadomość, że wszystkie doznania prowadzą do ostatecznego celu, który majaczył w oddali.. Świetlista nirwana... Niewiadoma...

¹⁰ Artykuł: „GRZECHY PAMIĘCI”; Autor: Joanna Chyłkiewicz; NEWSWEEK, 14.10.2007

Wciąż mocno pragnęła ziemskich doznań i fascynacji. Wolała przechodzić swoją drogę powoli. Poznać dogłębnie ogrom uczuć, nauczyć się rozumieć sens lekcji. Była – jak mawiano na ziemi – jeszcze zielona. Szczególnie doskwierał brak wytrwałości. Dotychczasowe lekcje uczyły perfidnie, jak nie zauważać uczuć swoich i innych. Żeby jak najmniej bolało. Tym razem miało być inaczej. Wiedziała, że przyjdzie jej przełamać wiele barier. Ma napotkać na swojej drodze ludzi trudnych i obojętnych, czasem wrogich manipulatorów. W ich jednak tle ukazą się nauczyciele serca. Pomogą otworzyć się na miłość, odnaleźć choć przeblysk sensu istnienia, pojąć zasady wielkiego systemu. Zdawała sobie sprawę, że przy wielkiej, ale rozproszonej ciekawości – niepopartej wytrwałością – pozostanie jeszcze sporo do dokonania. Przejdzie wiele lekcji życia, zanim stanie u tej drogi kresu.

Zaakceptowała rodziców i starszą siostrę. Tuż za ich plecami widziała świetlisty punkt. Czuła, że ktoś związany blisko z tatą będzie dla niej ważny. Babcia, jego matka. A jej własna mama była cała zbudowana z supełków. Na twarzy, oprócz lęku, gościł jednak często ciepły uśmiech. Tata wirował radośnie, starając się – przeważnie bezskutecznie – rozwiązać któryś z supełków mamy. Po każdej nieudanej próbie oddalał się bezszelестnie do bardziej otwartego świata. Istniała jednak jakaś mocna więź między mamą i tatą. Byli oboje błyskotliwi i bardzo urodziwi.

Procedura zakładała życie płodowe – czas medytacji i dostosowania. Świat w trzewiach mamy był malutki, mroczny, przewidywalny i kojący. Na zewnątrz hulała zawierucha wojenna. Królowały uczucia lęku i nienawiści. Na ziemię leciały bomby, siejąc śmierć i zniszczenie. Kolejna ziemska apokalipsa, którą ludzie sobie sami zgotowali.

Wyzwolona z bólu, okrzykiem triumfu powitała swoje nowe życie. Błoga cisza ... ale już po chwili zawyły syreny. Przejmujący dzwiek alarmu, a po chwili niesamowity huk bomb. Okna szpitala wylatywały z framugami ze ścian. Matki chwyciły swoje maleństwa i pędziły, po zasypanej rozbitym szkłem podłodze. W popłochu dopadały do schodów prowadzących do piwnicy. Mama pobiegła do pokoju swojej siostry, Marychny, mieszkającej z mężem Edziem, lekarzem, na terenie szpitala. Ułożyła delikatnie małą w łóżeczku trzymiesięcznej siostrzenicy Anisi. Poczowała pierwszy w życiu lęk. O dziwo! Nie obawiała się huku bomb, tylko tego wielkiego niemowlaka, który miał nią w przyszłości zawładnąć. O, nieomylna intuicjo!.. Skuliła się, kwiląc cichutko. Nie mogła się doczekać chwili, kiedy mama zabierze ją z tej przerażającej klatki, tak groźnego dla niej stworzenia. Tata Anisi przyjmował Joannę na ten świat. To jego piękne czarne oczy spojrzały na nią pierwsze. I to on oznajmił mamie, że może wziąć w ramiona swoją małą córeczkę.

Samoloty odleciały. Nastąpiła cisza. Mama wzięła córeczkę na ręce. Kochała dotyk maminych rąk. Cała czułość, którą mama tak głęboko skrywała, kondensowała się w jej dłoniach. Gładkość skóry, idealna, kojąca temperatura i dotknięcie czułe, ale jednocześnie mocne i zdecydowane.

Żoliborz

Dzwoniąca cisza. Tylko serce mamy biło rytmicznie. Bezpieczeństwo. Przyjechał tata i zabrał je obie do domu. Siostra Anulka była nieco rozczarowana. Obiecywano jej malutkiego braciszka. Tuż za Anulką stała babcia – mama taty. Najważniejsze spotkanie jej życia. Poczwała płynącą od babci wielką miłość – taką jednocześnie ziemską i nieziemską. Czwała, że babcia jest nauczycielem, będącym daleko na swojej drodze do zrozumienia i odczucia sensu. Emanowała spokojem i wewnętrzną pogodą. Poczwała na policzku miłe, wilgotne ciepło. To Sim, płowy bokser, polizał ją po pomarszczonej buzi. Od razu pokochał malucha tą największą z miłości, jaka może płynąć tylko z psiego serca. Na całe swoje psie życie. Był z nią odtąd zawsze – wierny, niezawodny przyjaciel. W chwilach dobrych, a także podczas tułaczki i wielkiego opuszczenia.

Dom w willowej dzielnicy miasta był przestronny, jasny. Zdobiły go skrzętnie dobierane przez rodziców śliczne sprzęty i obrazy. Po domu kręciły się dwie młode dziewczyny w zabawnych fartuszkach. Służąca Pelcia i Ebusia – niania Anulki – mała z burzą gęstych, mocno skręconych włosów. Zafascynowana maleństwem – zdradziła swoją Anulkę. Nachylała się nad nowym intruzem, cmokając i sepleniąc. Gadała dziecinnym językiem jakieś niedorzeczności. Uśmiechała się do małej głupio rozanielona. Anulka była bezsilna. Czwała, że traci swoją ukochaną nianię. Dobrze, że mama kochała ją dalej tak samo mocno. Chyba mocniej niż Joannę.

Rozdawała tysiące uśmiechów zaskarbiając sobie sympatię wszystkich wokół. Czyżby tak miało wyglądać całe ziemskie życie? Była zbyt wielką optymistką zadając sobie to pytanie. Dobrze zapamiętała przykre uczucie lęku i bezradności, które ogarnęło ją w łóżeczku Anisi. Wzdrygała się za każdym razem, kiedy o tym pomyślała.

Dni w domku na przedmieściu płynęły miło. Czasem tylko wojna przybliżała się hukiem bomb, które spadały z sowieckich samolotów na sam środek miasta.

Dodatkową groźbę stanowiły naloty radzieckie. Syreny alarmowe odzywały się coraz częściej. Nigdy nie było wiadomo, czy to tylko przeloty samolotów sowieckich, czy skończy się to zrzutem bomb i to w okolicach nie mających nic wspólnego z obiektami wojskowymi. Nigdy nie było pewności czy dzielnice mieszkalne nie padną ich ofiarą. Do dziś nie mogę zrozumieć, czy przyczyną tej przypadkowości w zrzucaaniu bomb była nieudolność ich zlokalizowania, czy celowa przestroga dla niesfornych mieszkańców „Priwiślańskiego kraju”, który ośmielał się marzyć o niepodległym byciu. W każdym razie, sowieckie bomby zrobiły więcej krzywdy mieszkańcom Warszawy niż niemieckim obiektom wojskowym.¹¹

Wyczuwała niepokój mamy, będący znaczącą cechą jej natury. Mama wciąż przewidywała nieszczęścia, które mogły spotkać jej najbliższych. Tę kasandryczną wyobraźnię i lęki odziedziczyła po rodzinie swojej matki. Mimo nieustających obaw o swoich bliskich była bardzo odważna. Jak mocno stukowało mamine serce, w dniu,

11 Mama, Teresa Konarska, Wspomnienia

gdy szukała zakopanych w ogrodzie zapalników od pocisków. Do końca lata wisały, ukryte bezpiecznie, w gęstym dzikim winie pnącym się po płocie. Angielski premier Churchill, zapowiadał zakończenie wojny „nim liście z drzew opadną”. Tymczasem opadające liście odśłaniały pociski. Pospiesznie zakopano je więc w ściśle oznaczonym miejscu w ogrodzie. Przyszedł rozkaz. Tata miał dostarczyć pociski partyzantom, aby mogli dokonać zamachu na wroga. Mama zabrała się do kopania. Trefny towar jakby się ulotnił. Tata telefonował co chwilę, popędzając mamę, bo wybrany przez partyzantów Niemiec miał natychmiast w strzępach wyfrunąć do miejsca wiecznego przeznaczenia. Długo trwało, zanim wreszcie łopata stuknęła w metalową skrzynkę. Ukryto ją wśród kartonów z perfumami, produkowanymi przez taty fabryczkę. Samochód ruszył. Zatrzymał go niemiecki patrol. Po latach tata opowiadał, że do najpiękniejszej dziewczyny nigdy tak się nie wdzięczzył jak do tych Niemców. Kontrola była łaskawa, a pociski powędrowały w ręce partyzantów. Wkrótce przeniosły w zaświaty kilku okupantów.

Tymczasem nadeszła wiadomość o śmierci generała Sikorskiego. Wszyscy wokół mówili o gibraltarskiej katastrofie. Anulka pocieszała mamę – „...na pewno był potrzebny Panu Bogu w niebie. Teraz nosi Matce Boskiej i Panu Jezusowi wodę...”

Życie niemowlaka toczyło się radośnie i spokojnie w swojskiej i przyjaznej, rodzinnej atmosferze. Kiedy zapadła na poważne zapalenie płuc, wpompowali w nią krew taty. Może to więzy krwi stworzyły między nimi niezwykle silne porozumienie dusz na resztę życia.

Groza wojny wdarła się brutalnie w życie Joanny i jej rodziny, gdy do drzwi zapukało gestapo. Zaproponowali tacie współpracę w niszczeniu wspólnego wroga Niemców i Polaków – nadciągających nieubłagane ze wschodu Sowieci. Tata wybrnął z sytuacji, mówiąc, że tak poważna decyzja wymaga zastanowienia. Jakże mogliby traktować go serio, gdyby zgodził się natychmiast, bez uprzedniego rozważenia otrzymanej propozycji. Poprosił o czas do namysłu.

Zdawał sobie sprawę, że odmowa równałaby się natychmiastowemu aresztowaniu lub nawet śmierci. Domyślał się, że jeden z jego aresztowanych partyzanckich kolegów nie wytrzymał tortur gestapo i zaczął sypać. Zbyt dużo wiedzieli. Obawiał się o rodzinę. O małą Joannę, Anulkę i żonę Tereskę. O dziwo Niemcy zgodzili się na zwłokę. Do następnego dnia. Do południa miał zgłosić się na gestapo, by poinformować ostatecznie o swojej decyzji. Tata ani przez moment nie brał pod uwagę proponowanej współpracy. Próbował tylko zyskać na czasie, żeby zorganizować ucieczkę całej rodziny i przestrzec AK przed informatorem donoszącym na Gestapo. Cały wieczór naradzali się z mamą. Czasu było mało. Dom był obserwowany. Postanowili pozornie zachowywać się jak co dzień. Rano pierwsza wyszła mama z Anulką. Bez żadnego bagażu. Przecież szły tylko na poranny spacer. Później babcia z Joanną i Simem, pchając wózek, jak gdyby nigdy nic. Sim podskakiwał radośnie. Ostatni wyszedł tata. Śledzili go. Udało mu się zgubić pościg. Jeszcze jakiś czas kluczył po mieście, dopóki

nie upewnił się, że nikt go nie śledzi. Na szczęście Ebusia i Pelcia miały wolne. Po powrocie, nie zastały nikogo...

Mama z Anulką, pod przybranym nazwiskiem, pojechały pociągiem do zaprzyjawnionego majątku, Oleszna. Babcia zostawiła Joannę u jej chrzestnej matki. Po kilku dniach przewieziono małą do Stasinka, podwarszawskiego mająteczku brata mamy. Tata miał dołączyć do żony i Anulki, po upewnieniu się, że dotarły do celu bezpiecznie. Udało mu się niepostrzeżenie umknąć z Warszawy. Dojechał do Oleszna, by natychmiast wstąpić do kieleckiej partyzantki. Naprędce wymyślony scenariusz ucieczki sprawdził się. Wszyscy byli w miarę bezpieczni. Tylko babcia ucierpiała. Najpierw dotarła jadąc okrężnymi drogami do Oleszna. Nie zabawiła tam długo. Postanowiła wrócić do Warszawy. Została wkrótce aresztowana w mieszkaniu swojego dowódcy z AK. Siedziała na Pawiaku, skąd została przewieziona do kobiecego obozu koncentracyjnego w Ravensbruck.

Stasinek

Joanna miała szczęście w nieszczęściu. Ciocia Irka zajęła się nią z całą troskliwością. Mała spychała z kolan jej własne dzieci, wołając nie znośnym sprzeciwu głosem – mnie kochaj mamusiu, mnie! Po czym tryumfalnie zdobywała upragnione miejsce i przytulała się mocno do przybranej mamy. Wszystko dla Joanny było nowe. Miała niecałe dwa lata. W jednym momencie straciła to, co dotąd знаła. Jedyńą więzią z dawnym życiem był Sim.

Lubili wędrować razem po podwórzu. Turlali się na trawniku w ogrodzie. Sim sypiał tuż obok Łóżeczka Joanny. Prawie jej nie odstępował. I jemu z dawnego życia została tylko Joanna. Mała opuszczona dziewczynka nie płakała. Zrobiła się samodzielna. Zajmowała się sobą i swoimi sprawami. Uwielbiała penetrować nowe miejsca. Znajdowano ją w ciemnej piwnicy, w kurniku, stajni czy w oborze. Pierwszym miejscem, w którym jej szukano, były okolice klatek pełnych królików. Kochała zwierzęta. Bawiła się świetnie sama, ale nie najlepiej z innymi dziećmi. Kiedy ciocia pokazywała jej fotografie prawdziwej mamy, nadymała usta i mówiła – Gufia Tereska. Poszła sobie. Warszawę kojarzyła z hukami bomb. Pozornie przystosowała się do nowego życia. Błyskawicznie i znakomicie. Jedyńą oznaką protestu było nieustanne zlewanie się w majtki. W dzień i w nocy. Do czasu kolejnej zmiany. Rodzina wuja została wypędzona z majątku przez cofających się Niemców. Tułaczka trwała dość długo. Spali wszyscy na wiejskich barłogach, byli brudni i głodni. A Joanna wstawała rano sucha i radosna. Jakby chciała nową rodzinę nagrodzić. Za to, że jej nie opuścili. Że byli w tej biedzie razem.

Uczyła się cały czas. Tracić i zyskiwać. Straciła najbliższych, dom – bezpieczny kokon. Poznała nieznaną. Zrozumiała i zapamiętała na całe życie, że jedyne trwałe towarzystwo – to ona sama. Stała się sama dla siebie zabawną i opiekuńczą. Musiała też zaskarbić sobie miłość nowej mamy. Takiej dla niej dobrej. Może nawet lepszej mamy od jej własnej, tej która odeszła. Walczyła o miłość cioci Irki z jej wła-

snymi dziećmi. Mama Irka była wyraźnie zauroczona. Pokochała małą, opuszczoną sierotkę, która kokietowała ją coraz to nowymi śmiesznymi powiedzonkami, pełnymi wdzięku minkami i tą niezwykłą niezależnością i ciekawością nieznanego.

Ciocia opisywała dla prawdziwej mamy wszystko o Joannie. W brązowym zeszycie. Prawie każdego dnia. Nawet w czasach tułaczki. Jak tylko mogła, przytulała małą do serca, chcąc zastąpić jej tę, która odeszła. Nieważna była przyczyna odejścia prawdziwej mamy. Nie była ze swoją córeczką. Historia powtarzała się. Mamę też zostawiła jej mama, kiedy Tereska miała zaledwie dwa lata. Odeszła na zawsze z młodocianym kochankiem. Tereska została jednak w swoim domu z tatą, siostrą, braćmi i ukochaną nianią, Natalą, która trwała przy swojej ukochanej Tereni do końca swojego życia.

W czasie tułaczki Joanna poniosła następną wielką stratę. Pod kołami niemieckiego samochodu zginął jej ukochany towarzysz, płowy bokser Sim. Długo tuliła się do jego martwego ciała i płakała niepokieszona. Czy wszystko co bliskie będzie już Joannę opuszczać? Taka miała to być lekcja? Czyż miała się nauczyć, że to co pokochamy nie jest trwałe i za wszelką cenę trzeba znajdować siły i pociechę w sobie samej? A może bezpieczniej jest uciekać przed miłością. Żeby nie bolało, gdy nie przetrwa...

Po dziewięciu miesiącach wyrwano ją z ramion nowej mamy. To dawna mama przyjechała po Joannę. *„...Joanna siedziała na nocniku. Irka schylając się do niej powiedziała: „Dzidziuniu, mamusia przyjechała”. Podniosła na mnie szaro – niebieskie ślepek i stwierdziła poważnie: „To nie mamusia – to pani!”...*

Znów zmuszona była opuścić kochanych ludzi, miejsca. Odciągnięta została od ulubionych zakamarków podwórza i domu, od znanych zwierząt, z którymi czuła się bezpiecznie – królików, psów, od ogrodu pełnego kolorowych kwiatów i brzęczących owadów. W pociągu płakała żałośnie lub tupotała gniewnie, wołając – Ja chcę do mojej mamusi! – Prawdziwa mama rozglądała się bezradnie widząc naganę w oczach współpasażerów. Słyszała jak szepczą – pewnie ukradła dziecko.

Oleszno

Dojechały do Oleszna. Po jakimś czasie Joanna przyzwyczaiła się do nowych rodziców i starszej siostry. Jednak żyła swoim odrębnym życiem. Dobrze wiedziała, że warto jest zaskarbić sobie miłość i przyjaźń ludzi, ale tak naprawdę wolała własne towarzystwo i czuła się ze sobą najlepiej. Był jeden wyjątek. Joanna nadal kochała zwierzęta. Rozmawiała z nimi, wtulała się w ich ciepłe futerka. To była bezpieczna miłość. Istniała sama w sobie – lekka, urocza – najbardziej naturalna na świecie.

Nie było jej trudno zaskarbić sobie przyjaciół. Po prostu miała wdzięk. Ciągłe ktoś uśmiechał się do niej i wesoło zagadywał. Nawet rosyjski żołdak rozczulił się do łez widząc roześmianą dziewczynkę w kąpielni. A tuż przedtem wkroczył z kompanami do oleszyńskiego salonu, patrzył z nienawiścią na zgromadzonych tam „burżujów”. Kazał im odebrać wszystkie zegarki, a potem skierował się prosto do

starej pięknej serwantki, wypełnionej najcenniejszą porcelaną. Stał przez chwilę nieruchomo. Potem wyciągnął brudną łapę i przewrócił serwantkę rozbijając jej zawartość w drobny mak. Wracał do drzwi bardzo wolno. Z widocznym zadowoleniem gruchotał wielkimi buciorami resztki porcelany. Patrzył wokół triumfalnym wzrokiem, jak marny aktor na swoją zawiedzioną publiczność. A tu stanął jak wryty w drzwiach i uśmiechnął się przez łyzy. Szepnął najczulszym głosem – Detyna ty moja, detyna... – Tak to mała Joanna zatrzymała na moment wojenną bestię, budząc w niej czułość i wzruszenie.

Nie pokochała Oleszna. Poznała co to tęsknota. Śniła jej się ukochana mama Irka. Ta mama, która zapewniała jej swobodę, pozwalała penetrować nowe, nieznanne miejsca. Obserwowała ją tylko uważnie, ciesząc się niezależnością dziecka. Tu było inaczej. Anulka świata nie widziała poza Kundziem, gospodarzem domu, który zabierał ją ze sobą wszędzie. Dosiadali razem ogromnego, karego Bałaguły i jeździli po łąkach i lasach. Zabawna była to para. Ona, szczuplutka, nieśmiała dziewczynka trzymała ogromnego, grubego przyjaciela za rękę i tak maszerowali przez podwórze, ku ucieście wszystkich.

Mama pomagała partyzantom. Toczyła wraz z innymi gośćmi rozliczne dyskusje na tematy wojennych losów i powojennych planów. Była trochę skrępowana obecnością Joanny. Wydawało jej się, że to jedyne w domu dziecko, przeszkadza licznym mieszkańcom i uciekinierom. Starła się trzymać ją na uboczu. Nie znała swojego dziecka dobrze. Straciła kawał jej dzieciństwa i... czuła się winna. Tłumaczyła sobie, że nie mogło być inaczej. Dla bezpieczeństwa Joanny. Anulka była z mamą zawsze. Dobrze ułożona, posłuszna, przewidywalna. A Joanna...?

Nauczyła się żyć swoim życiem. Pozbawiona ukochanej swobody, jaką miała u ciotki Irki. Mama, jak wiadomo, cierpiała na kasandryczną wyobraźnię. Przewidywała najczarniejsze scenariusze. W jej wizjach trupy najbliższych stały się gęsto. Tata mógł zginąć w partyzantce, Anulka spaść z Bałaguły, a Joannę mógł zabić jakiś zwierzak. Jeden z tych, do których tak lgnęła.

Czuło się już nadchodzący koniec wojny. Tymczasem jedno zło miało zmienić się w inne. Krajem zawładnęła na długie lata tłuszcza sowiecka. Niemcy wycofali się. Sprzymierzeńcy oddali Polskę we władanie Stalinowi. Podczas wojny wszyscy żyli nadzieją. Teraz kraj czekała tylko beznadziejna sowiecka obłuda i niewola. Czy kiedykolwiek miała się skończyć?

Po wojnie

Ostatnie pożegnania gościnnego, oleszyńskiego dworu. Pierzchają z lasu partyzanci. Niezliczone aresztowania właścicieli ziemskich i członków Armii Krajowej. Konfiskaty majątków. Rodzina zaprzęga do wozu konia „Tupka” i rusza przed siebie. Joanna z mamą i Anusią zatrzymują się u siostr w Częstochowie. Mała czuje się uwielbiana przez te kobiety, tak stęsknione za bliskością dziecka. To chyba z klasztoru było jej najwcześniejsze wspomnienie – maleńkie, żółte kurczątka drepczące

ścieżką pomiędzy drewnianą ławką przymocowaną do białej ściany domu, a barwną kwiatną rabatą. Jasne, letnie słońce... Wspomnienie, pełne ciepła, miękkości, pastelowe w kolorach. Bezpieczne i miłe. Bo taki był pewnie w tym momencie jej świat. Takim też bywał później, niezliczoną ilość razy. Zamknięty w krótkich chwilach, kiedy to odczuwa się przyjazną ciepłą i bezpieczną przestrzeń wokół siebie. To ten szczęśliwy świat, który nas otacza – czasem i przez chwilę. Możemy to wrażenie odtworzyć w pamięci, kiedy tylko zapagniemy. Takie niezapomniane chwile szczęścia stwarza najczęściej przyroda, bliskość kochanego człowieka, zwierzęcia, przeżycie wzruszenia, szczególnie niespodziewana życzliwość, ciepło własnego domu, nastrojowe piękno, poczucie samotnej wolności, a nawet sen. Taki jak sen Joanny, trzydzieści lat później z niesamowicie błękitnym niebem i dźwięczną, czystą muzyką...

Nieraz, po latach, zastanawiała się, czy takie chwile przeżywamy częściej w dzieciństwie, czy są one niezależne od wieku. Chyba przychodzą, kiedy do tego dopuszczamy, jesteśmy wewnątrznie oczyszczeni i otwarci, a zdarza się to rzadko bo przyciśnięci własnymi lękami, bombardowani przez zło i brzydotę, wyczuci z uczuć przez gonitwę spraw i codziennych myśli zamykamy oczy na świat. Udajemy, że rozwiązujemy niesłychanie ważne, zewsząd nas ogarniające problemy. Walczymy z własnym lenistwem i niezdolnością. Babrzemy się w myślach, rozważając krzywdy, które nas spotkały. A przecież wystarczy zatrzymać się, dać pojąć, odczuć i wchłonąć ten moment błogostanu, by za chwilę oczyszczonym, mocniejszym, odpornym na prawdziwe i wymaginowane ciosy móc wrócić do życia, zapominając o swoich – najczęściej wydumanych – lękach...

Tata sprzedał Tupka i wóz. Za uzyskane pieniądze pojechał do Warszawy. Joanna poszła do kaplicy, uklękła i przeżegnała się. Zachwycone Siostry spytały – O co się modlisz? – odpowiedź padła natychmiast: – Żeby Tatusz prędko psyjechał, psywiózł wielkiego samochodu i zabrał do niego wszystkie siostry. Trzymała odtąd Siostry w swojej maleńkiej garści. Robiła z nimi co chciała. Była coraz bardziej pewna siebie i nieposłuszna. Wkrótce tata wrócił bez „dużego samochodu”. Nie mieli już nic. Wszystkie meble, kolekcjonerskie drobiazgi, ukochane książki, zostały rozkradzione. Tata nie bał się zaczynać życia od nowa. Nie chciał tylko zamieszkać na gruzach Warszawy, ani w najbliższych okolicach miasta. Rozważali dokąd się udać. Wkrótce cała rodzina wyjechała do Łodzi.

„Pożegnanie z siostrami było niezwykle wzruszające i serdeczne. Dorożkę, która czekała pod klasztorem, aby nas zawieźć na stację kolejową, otoczył ciasno tłum zakonnic. Obie moje dziewczynki przechodziły z ramion w ramiona, wycelowane, pobłogosławione i polecane Boskiej Opiece. Andrzej szeptał mi na ucho: „Jedźmy już, bo to zakrawa na demonstrację!” Wsiadliśmy do dorożki. Woźnica cmoknął na chudego konia. Ruszyliśmy. Dziewczynki długo machały na pożegnanie stojącym przed klasztorną bramą Siostram, które też podnosiły ręce błogosławiącym je gestem...”¹²

Zatrzymali się w „Grand Hotelu”. Tata pojechał dalej. Najpierw do Zakopanego. Marzył o górach, które dają człowiekowi moc. Nic z tego. Mama bała się gór. Tata wybrał więc jej ukochane morze...

Sopot

„Miałam w sercu sporo obawy co też nam los przyniesie na nowym miejscu? Wszystko było nieznanne i niepewne, chwiał się ten okrutny powojenny świat jak rozkołysane morze, które po długotrwałym sztormie nie może się uspokoić. Ciągle miałam uczucie, że jesteśmy zawieszani w powietrzu. Przetrzyliśmy długie pięć lat okupacji hitlerowskiej, podtrzymywała nas wiara w ostateczną klęskę Niemiec, a także ogromna zwartość i solidarność naszego społeczeństwa. Teraz – byliśmy po wojnie. Gdzie jednak podziła się wiara?.. Co stało się z solidarnością naszego narodu. Nie było strzałów, nie padały bomby. Ale – ludzie, bardziej niż poprzednio ściszczeni głos rozmawiając na ulicy czy w kawiarni, bacznie obserwując czy nikt nie słucha. Więzienia – opróżnione z dawnych więźniów – szybko zapełniały się nowymi. Inny był ich zarząd, ale nadal trafiali tam ludzie wartościowi, odważni, oddani Polsce. Przeżyli gehennę nocy okupacyjnej, czy przeżyją poranek wyzwolenia?.. Ileż niezasłużonej krzywdy wszędzie! Jak szczury z nor wyszli ludzie szukający w obecnym chaosie niespodziewanych zmian – własnych zysków i kariery. Tymczasem trzeba było jednak pchać dalej chwiejącą się życiową taczka i w miarę możliwości próbować odbudować sobie jakieś nowe, inne życie.

Ku temu nowemu życiu uniósł nas następnego dnia samolot startujący z warszawskiego lotniska – do Gdańska. Pogoda była ciepła i słoneczna. Samolot płynął spokojnie wśród drobnych białych obłoczków... Anulka biegała po samolocie – starała się wyglądać przez małe okrągłe okienka. Nie bała się nic, choć w pewnej chwili zauważyła rzeczowo: „Ale – gdybyśmy spadli, to zostałaby z nas tylko mokra plama!” Joannę ukołysał chyba jednostajny warkot silników, bo zasnęła na moich kolanach. Obudziłam ją dopiero wtedy, gdy zobaczyłam, że samolot zniżył lot, zataczając szerokie koła nad niebieską w słońcu taflą morza. Po niedługiej chwili lekkie stuknięcie zwiastowało nam, że koła podwozia dotknęły ziemi. Nie znałam właściwie Wybrzeża. Byłam nad morzem tylko z raz, ze szkolną, kilkudniową wycieczką. Teraz miałam tu zamieszkać”¹³

Tata wyczuł, że nad morzem są możliwości i otwarta przestrzeń. Znalazł piękne, ponemieckie mieszkanie w starej kamienicy, na króciutkiej ulicy. Sopot. Krótka 4. To tam byli szczęśliwi. Tata wydobyl całe swoje zdolności organizacyjne i stworzył własną firmę. Przesłanki były logiczne. Wzdłuż wybrzeża walały się zniszczone kutry. Wiele z nich leżało głęboko na dnie morza. Tata kazał je wylawiać i remontować. Utworzył z nich pokazną flotę rybacką. Po jakimś czasie doszły magazyny, chłodnie, transport. Zakontraktowano kutry rybackie do połowu i dostaw. Na Helu wkrótce powstała wędzarnia ryb, a potem solarnia, w której zatrudnionych było kilkadziesiąt kobiet. Rodzina miała zapewniony byt.

„Na początku dopuszczano pewien margines prywatnej przedsiębiorczości w ramach nep-u (nowąją ekonomiczeskaja polityka) systemu wymyślonego przez Lenina w 1921 roku. Celem jego było przyspieszenie odbudowy kraju po zniszczeniach wojennych w Związku Radzieckim. Ludzie z inicjatywą i energią stwarzali prywatne firmy, które i tak były skazane na zagładę – przejęcie przez państwo i szybsze, lub wolniejsze, zniszczenie tego „przeżytku kapitalizmu”...¹⁴

Tata, nie bacząc na „krakania” mamy nadal tworzył własną firmę, która rokowała nadzieję na duży rozwój. W wolnych chwilach grał w tenisa, był też duszą spotkań towarzyskich w sopockim „Grand Hotelu”. Ze szczególnym upodobaniem zabawiał najpiękniejsze panie. Mama paradowała po plaży, w białym, dwuczęściowym kostiumie kąpielowym, uszytym z ręcznika. Robiła furorę. Była niesłychanie zgrabna. Jej opalone ciało, kontrastowało z bielą kostiumu. Wysmukłe, kształtne nogi przyciągały wzrok wszystkich panów. Po raz pierwszy w życiu czuła, że jest piękna. Anulka i Joanna biegały po plaży. Budowały zamki z piasku i pluskały się z lubością. Miały być tylko grzeczne i nie odzywać się bez pozwolenia. Najgrzeczniejsze dzieci Sopotu. Mama nie zastanawiała się, że coś pozostawało na długo zablokowane w ich umysłach. Joanna radziła sobie z tym lepiej chodząc własnymi drogami. Anulka zbyt mocno kochała mamę, żeby jej zrobić jakąkolwiek przykrość, lub zawieść jej nadzieję. Była zawsze posłuszna. Ostro strofowała Joannę, gdy ta umykała spod kurateli mamy.

Po plaży wstępowało się na lody do „Włocha”. Czasem mama spotykała się z kimś na tarasie kawiarni. Wtedy dziewczynki miały być niezauważalne. Siedziały cichutko – nie mówiąc, bez pozwolenia mamy, ani słowa. Na głowach miały kokardy, lub śmieszny lok, tzw. kocubaj. W nagrodę dostawały „kanarka” – czubatą łyżeczkę cukru, zanurzoną w maminiej kawie. Ach, jak to smakowało. Żaden cukierek nie mógł się równać pysznemu kanarkowi. Wszyscy zachwycali się maminymi lalczkami. Po latach wspominała, jak bardzo czuła się z nich wtedy dumna.

Po południu wracali do domu. Na nakrytym stole w obszernym stołowym pokoju niania podawała pyszne, gorące dania. Sama jadła w kuchni. Nianię ściągnięto z Bobrownik, natychmiast po śmierci ojca mamy. Niania kochała Tereskę. Ta miłość przeszła na jej córki. Mieszkanie było wysprzątane, pościel i ubrania pachnące świeżością. Joanna uwielbiała kuchnię. Zaglądała w każdy kąt. Musiała wsadzić nos we wszystkie potrawy szykowane przez Nianię. Któregoś dnia Niania tarła chrzan do wielkiej glinianej misy. Joanna, jak zwykle wypytywała ciekawie, co też jest w tej misie. Niania spojrzała na nią i odpowiedziała: – Chcesz wiedzieć, to powąchaj. – Przybliżyła twarz do białej masy i z całej siły pociągnęła małym noskiem. O mało nie umarła. To był świeżo utarty, aromatyczny chrzan. Joannę kompletnie zatkało. Próbowwała złapać powietrze. Z oczu tryskały łzy. Buzia była czerwona i spuchnięta. Nie wiadomo, czy bardziej była tym eksperymentem wystraszona Joanna, czy Niania.

Niedługo po przyjeździe niani, do Polski wróciła babcia Ninka. Z obozu Ravensbrück. W kwietniu 1945 roku, jeszcze przed końcem wojny, Niemcy wydali Szwedom ok. 4 600 polskich więźniarek i kilka Francuzek. Stało się to dzięki pertraktacjom prowadzonym przez międzynarodowy i szwedzki Czerwony Krzyż, za pośrednictwem hr Folke Bernardott'a. Kobiety zostały wywiezione do Szwecji. Babcia znalazła się w polskim obozie w miejscowości Vrikstadt. Szwedzi dbali o te wraki ludzkie wspaniale.

Po wojnie niektóre więźniarki zdecydowały się wracać do Polski, inne wolały zostać na Zachodzie. Babcia chciała ściągnąć syna z całą rodziną do Szwecji. Istniało spore ryzyko, jednak ucieczki kutrami udawały się. Mama była temu zdecydowanie przeciwna. Tata też nie palił się do wyjazdu. Było tak dobrze. Jakby ich rodziny polityczna niewola nie dotyczyła. Babcia chcąc nie chcąc zdecydowała się wracać.

Jak malutka, chorowita babcia przetrwała obóz? Opowiadała, że przeżyła chyba tylko dzięki Boskiej Opatrzności. Wiele razy była w sytuacjach ekstremalnych i zawsze jakoś, dziwnym trafem, udawało jej się wywinąć śmierci lub uniknąć katowania. Któregoś dnia wygnano więźniarki do ciężkich robót. Małeńka babcia usiłowała pchać ciężką taczkę, ale ta wysuwała jej się z rąk. Zauważyła wzrok pilnującego Niemca. Oczekiwała uderzenia i krzyku. Niemiec zbliżył się. Łagodnym, opiekuńczym ruchem odsunął ją od taczki. Mówiła dobrze po niemiecku. Nie wiadomo czy wykszusiła słowa podziękowania. Pewnie wystarczyło tylko wyraziste spojrzenie jej ciepłych, jasno niebieskich oczu, aby i on poczuł się przez chwilę człowiekiem. Babcia, z wielkim przekonaniem mówiła też, że przeżyła, gdyż obiecała sobie, nie umrzeć, by nie zrobić Niemcom przyjemności. Na złość! Babcia była drobinką o żelaznym duchu.

Statek przybił do portu. Nowe władze powiesiły transparent z napisem: „Więźniarki Ravensbrück witają Polskę Ludową”. Czyż nie powinno być odwrotnie! Joanna kazała sobie zawiązać wielką kokardę na głowie, aby godnie przywitać zapomnianą babcię. Nasza podróżniczka była żywym dowodem wielkiej gościnności i troski Szwedów. Elegancko ubrana, w pięknym flauszowym beżowym kostiumie, z walizkami suto wyposażonymi. Opowiadała o Szwecji ze wzruszeniem i miłością. Nieraz mawiała, że jest to jej druga ojczyzna, gdzie narodziła się na nowo. Babcia znała 5 języków, w tym doskonale angielski. Przed wojną pracowała w Polskiej Ambasadzie w Hadze. Wyszlifowała tam języki nauczone w dzieciństwie, w kijowskim domu, gdzie zatrudniano dla niej zagraniczne guwernantki. Nie miała więc żadnych trudności w porozumiewaniu się ze Szwedami. Opowiadała, że w szwedzkim ośrodku nie było ani jednego lustra. Zobaczywszy te wynędzniałe szkielety ludzkie, opiekunowie pragnęli oszczędzić więźniarkom szoku. Babci udało się jednak przejrzeć w szybie. Zobaczyła stworzenie wyglądające jak kupka kosteczek z napuchniętym brzuchem – omal na swój widok nie zemdląta. Nigdy nie zapomniała tego swojego ówczesnego upiornego wizerunku. Szwedzki lekarz, widząc w jej oczach przerażenie, czule ją objął, odsunął od okna i pocieszył, że to wkrótce minie. Kiedy kobiety nabrały znów sił, mogły wracać do domu. Babcia przez resztę życia uwielbiała Szwedów i może to po niej Joanna odziedziczyła przywiązanie do narodów skandynawskich.

Kim byłaby Joanna bez babci? To jej zawdzięczała najwspanialsze chwile dzieciństwa. To ona wpoiliła jej tolerancję i nauczyła czerpać radość z życia. Babcia była ostoją, mądrością, miłością. Była najmilszą towarzyszką. To była jedyna osoba, z którą samotnica Joanna lubiła długo przebywać. Chodziły na ogromne spacery. Babcia opowiadała bajki, poruszając wyobraźnię dziecka. Głęboko w lesie krył się w gąszczu domek na kurzej łapce. Wokół domku kręciły się dzieci. Jaś i Małgosia. Niekiedy otwierały się drzwi. Stawała w nich Baba Jaga w długiej kolorowej spódnicy i niebieskim serdaczku. Niewyobrażalne zło malowało się na jej twarzy, kiedy spoglądała na dzieci. Joanna stała zafascynowana. Mogła przysiąc na wszystko, że to naprawdę widzi. Tak sugestywne były słowa babci. A jednocześnie czuła się bezpieczna. Jakby ukryta przed złymi mocami pod nieprzekraczalnym dla zła babcinym parasolem. Kiedy po kilkudziesięciu latach weszła do lasu, spojrzała na znajomy gąszcz... znów zobaczyła to wszystko. Jak w dzieciństwie. Dziękowała dobremu Bogu, że postawił na jej drodze taką cudowną nauczycielkę, która nie hamowała myśli i słów dziecka.

Na całym Wybrzeżu przybywało Polaków, a ubywało Niemców. Odchodziły transporty repatriacyjne do Niemiec. Mężczyzn było niewiele, natomiast mnóstwo kobiet. Wyjechała też służąca Hilda, która żegnała się z rodziną ze łzami w oczach. Szczególnie z Joanną, którą nazywała pieśczołliwie – meine süsse Didia. Obie z Anulką nauczyły się od Hildy trochę niemieckiego, a ona od nich nieco polskiego. Wraz z nią wyjechała właścicielka mieszkania, frau Gerick. Po zakończeniu wojny zamieszkała wraz z ósemką dzieci i innymi Niemcami w mieszkaniu na parterze. Woleli mieszkać w większej grupie. Obawiała się, gdyż jej mąż był bardzo wczesnym członkiem hitlerowskiej partii. Rodzice znaleźli, w jednej z książek znajdujących się w starej szafie bibliotecznej, jego legitymację partyjną z bardzo niskim numerem. Mama wspominała, że to dzieci pani Gerick pozbawiły ją krwiożerczych uczuć wobec członków narodu okupantów. Kiedy na balkonie karmiła swoje dziewczynki, spojrzała na dół i spostrzegła głód i smutek w niebieskich oczach sześciolatnich bliźniaczek pani Gerick. Tego samego dnia powędrował podwieczorek dla małej Helgi i Renaty. Później mama kupowała dla nich codziennie mleko i inne wiktuały. Kiedy Frau Gerick opuszczała Sopot z kolejnym transportem repatriacyjnym, przyniosła zabawki i przekazała mamie tajniki opornego pieca centralnego ogrzewania, aby prawidłowo działał. Miała w oczach łzy dziękując za pomoc dla jej dzieci.

Wkrótce mama poszła do pracy w banku, pozostawiając dziewczynki pod opieką babci i niani. Anulka tęskniła za mamą. Joanna nie zauważała jej nieobecności. Wróciła swoboda. Jak u cioci Irki. Mogła biegać po króciutkiej ulicy. Chodzić sama do sklepu, po różowy, cukierkowy gwizdek, który kosztował całe dwa złote. A najważniejsze, że mogła swobodnie wyrażać swoje myśli i pragnienia. Babcia była cierpliwa, mądra i kochała Joannę głęboką miłością. Chyba tak mocno jak tatę – swojego jedyne go syna. Może to dzięki tym kroplom krwi taty, które, od czasu dziecięcej choroby, płynęły w żyłach Joanny. Anulka chodziła do szkoły, na rytmikę, grała

na pianinie. Miała nowe koleżanki. Babcia uczyła ją francuskiego. Joanna w czasie tych lekcji siedziała pod stołem i chłonęła ile się dało. Nie wiadomo, dlaczego nie wyciągnięto jej z pod stołu żeby dołączyła do lekcji Anulki. Pewnie wtedy myślano, że takiego małego dziecka nie powinno się jeszcze uczyć. Takie czasy. Do końca życia Joanna miała to babci za złe. Chyba tylko to jedno.

Spacer w wyobraźnię były przerywnikiem codziennego, stworzonego przez babcię i nianię, spokojnego rytmu domowych zajęć, posiłków i zabaw. Dzieci czuły się bezpiecznie nie musząc dokonywać nieustających wyborów co zrobić z własnym czasem. Dobra, prawdziwa opieka polegała chyba właśnie na tym, żeby umieć i chcieć wypełnić mądrze codzienne życie dziewczynek poprzez zachowanie powtarzalnego rytmu wspólnych posiłków, a także różnorodnych zabaw i małych obowiązków. Nie stwarzały rygorystycznie napiętego czasu, lecz swoistą rutynę, która dawała trwałe poczucie bezpiecznej stabilizacji. Babcia i niania były wartością stałą wśród zmiennego, ukierunkowanego na zewnątrz życia reszty dorosłych domowników.

Wszystkie działania Joanny, wykonywane pod łypiącym z nad okularów figlarzym okiem babci, musiały zawierać dozę własnej inicjatywy. Babcia wymyślała mnóstwo samodzielnych zadań wymagających wyobraźni, odwagi, czasem sprytu, a także umiejętności podejmowania decyzji i poczucia odpowiedzialności. Niezwykle ważną częścią babcinego wychowania były relacje międzyludzkie. Nie mówiąc o przestrzeganiu podstawowych zasad dekalogu oraz dzielnych próbach unikania grzechów głównych – które wydawały się być traktowane przez babcię, jako naturalne ludzkie przywary, z lekkim przymrużeniem oka – wymagane było przyswajanie i stosowanie przyjętych w środowisku dobrych manier, wstrzymywanie się, w miarę możliwości od dość naturalnych, ale zdecydowanie nagannych, odruchów egoistycznych. Każdy człowiek miał być oceniany sprawiedliwie i należało mu zawsze dać szansę obrony. Bardzo wysoko cenione było mówienie prawdy i odważne przyznawanie się do winy. Dziewczynki często słyszały ulubioną maksymę babci: „Wszystko można, co nie można, tylko z wolna i z ostrożna”.

Plotkarstwo i intrygantwo jako działania typowo parweniuszowskie tępione było bezwzględnie w zarodku, nie tylko przez Babcię, ale i rodziców. Nie wspierała ich w tym niania, tak więc czasem w kuchni udawało się Joannie usłyszeć jakąś niezwykle ciekawą plotkę, której jednak nie śmiała przekazać nikomu. Tylko tam mogła czasem obserwować – zwykle nieudane, pokrętne – próby pozbycia się jakiejś osoby, którą niania uważała za intruza. Może dzięki temu udało się Joannie po kilkadziesiąt lat przeżyć szokującą intrygę, której stała się niestety przedmiotem. Wdzięczna była Nianiusi za tę małą dawkę intryganckiej szczepionki.

W domu na Krótkiej pojawiła się jeszcze jedna lokatorka. Mała czarno – biała, kudłata suczka, Unrra. Historia jej była wzruszająca. Mama spacerowała wzdłuż plaży. Na piasku siedział młody marynarz, który tulił w ramionach pieska. Łzy lały się ciurkiem po jego twarzy. Mama zatrzymała się, przejęta. Marynarz podniósł na nią zapłakane oczy. Na pytający wzrok mamy odpowiedział: muszę utopić moją

suczkę, bo nie chcą jej wziąć na statek. Lepiej, żeby umarła, niż tułała się samotnie... – Mama wzięła delikatnie suczkę z jego rąk. Obiecała, że będzie ją zawsze kochała. Tak to Unrusia, wyjątkowo urocze stworzenie, znalazło się w rodzinie. Dano jej mało wdzięczne imię, na cześć pierwszego właściciela, który zaokrętował się na unrowskim statku, przywożącym do Polski żywność i wiele innych dóbr z Ameryki.

Tata spędzał w domu niewiele czasu. Mama nie pozwalała mu zabierać dzieci. Joanna nieraz słyszała, jak mama gniewnie parskła „dzieci są moje, nie dam ich zmarnować”. A tata chciał tylko uczyć córki gry w tenisa, pływania, jazdy na nartach. Sam to uwielbiał i pewnie pragnął nauczyć swoje dzieci czerpania w ten sposób przyjemności. Mama bała się, że jej „laleczki” narażone będą na jakieś ogromne niebezpieczeństwo. Na całe życie Joanna zapamiętała wyprawę z tatą na sopocki tor saneczkowy. Czula rozkoszny pęd powietrza. Miała w uszach świst wiatru. I te karkołomne zakręty! Nieraz potem zastanawiała się, jak tacie udało się wyrwać córki spod kuratelii mamy. Tata pojawiał się jednak w jej sopockich wspomnieniach rzadko. Obraz taty z sopockich czasów stworzyła sobie raczej z opowieści rodzinnych.

Któregoś dnia przyszedł do taty marynarz. Joanna zabawiała go, bo niania i babcia były zajęte. Marynarz chciał być miły dla dziecka, spytał więc czy zna jakiś wierszyk, czy piosenkę. Wyprostowała się jak struna i zaśpiewała – Jestem sobie Krakowianka, mam fartuszek po kolanka, jeszcze drugi sobie kupię, gdy zarobię na swej dupie... – Aplauzu nie było, tylko nieśmiałe pytanie – Dziecinko, a kto cię tego nauczył? – Odpowiedź padła krótka. – Tatuś. Marynarz był zdruzgotany, a Joanna widząc jego zgorzsną minę obróciła się na pięcie i poszła do swojego pokoju. Nie spełniły się słowa piosenki. Ciężko pracowała, żeby zarobić na fartuszki i inne fatalaszki. Na pewno nie miała szczęścia do szczodrych mężczyzn.

Suczka Unrusia była łagodna, spokojna i czuła, ale życie miała pełne przygód. Wyskoczyła z okna pierwszego piętra, gdyż zapragnęła zaznać miłości. Którejś nocy weszła na wysokie schody taszcząc na poranionej nodze ciężki, żelazny potrzask, w który wpadła w pobliskim lesie. Na oczach Joanny łapana była przez hycła specjalną pętlą. Joanna krzyczała rozpaczliwie, bijąc pięściami hycła. Suczce za każdym razem udawało się wyskoczyć z pętli, zanim zdążyła się jej na szyi zacisnąć. Na szczęście mama usłyszała wołanie Joanny. Wyrwała Unrę z rąk bezlitosnego oprawcy, który na oczach małej dziewczynki śmiał łapać jej ukochanego psa. Czasem pojawiały się maleńkie czarno białe szczeniaczki. Uwielbiała przytulać do twarzy aksamitne, pachnące mlekiem maluchy. Unrusia skończyła długie życie w Milanówku. Ciężko chorą na raka trzeba było uspić. Rodzice pojechali do weterynarza. Joanna siedziała w swoim pokoju zdruzgotana. Babcia nachyliła się nad nią, mówiąc, że już po wszystkim. Chciała Joannie ulżyć. Wkrótce drzwi do pokoju uchylły się delikatnie. Unrusia patrzyła tak smutno. Jakby przepraszała, że żyje. Joanna osłupiała. Myślała, że przyszedł do niej duch ukochanej suczki. Okazało się, że weterynarz nie mógł znaleźć żyły. Pies bardzo cierpiał. Tata umówił się ze znajomym myśliwym. Poszli na spacer w ulubione miejsce. Dostała przysmaki. Odeszła

w sekundę – szczęśliwa. Tata wrócił zmieniony na twarzy. Całą noc siedział przy raj-zbrecie szkicując na setkach kartek małeńkie Unrusie. Ale to było wiele lat później.

Tymczasem Joanna została zaprowadzona do przedszkola i pozostawiona tam na cały dzień. Cóż to była za radość, wspaniała zabawa z chmarą dzieci. Świadomość, że nowe cudowne życie będzie kontynuowane. Jednak złożyło się tak nie-szczęśliwie, że Joanna już nigdy do przedszkola nie wróciła. I to na własną prośbę. Jedną z zabaw polegała na jeździe konnej. Joanna była jeźdźcem, a jakiś chłopiec koniem. Kiedy Joanna wiedziona kawaleryjskim genem przysiadła go mocniej, chłopiec zaczął wić się z bólu na podłodze i rozpaczliwie płakać. Mały dziecinny móz-dzek wyobraził sobie, że „złamała” chłopca. Jak mogła wrócić na miejsce zbrodni, gdzie zapewne miała spotkać ją sroga kara! Następnego ranka tak strasznie darła się i zapierała, że gremium rodzinne postanowiło uwolnić biedną Joannę na zawsze od znieawidzonego przedszkola. A ona przecież płakała z rozpacz, że nie może pójść do tego dziecinnego raj. Był to wyłącznie strach. Pewnie jej kość do rana zapomniał o bólu, a ona na zawsze straciła szansę nauczania się współżycia z innymi dziećmi. Kiedy po kilkunastu latach powiedziała o tym mamie, ta omal się nie roz-płakała. Nic nie wiedziała o przedszkolnej przygodzie Joanny.

Życie toczyło się głównie wśród dorosłych. Uciekała w wyobraźnię. Urządziła sobie skrytkę na szafie, gdzie zabierała zabawki i książki. Była dziwnym dzieckiem szukającym samotności i własnego kąta. Czasem dołączała do dzieci bawiących się w klasy lub zjeżdżających na sankach z pobliskiej górki. Była niesłychanie dumna, kiedy pozwolono jej pójść samej wieczorem do znajomych mieszkających na drugim końcu króciutkiej ulicy. Miała pożyczyć mąkę, potrzebną do upieczenia drożdżowego wigilijnego ciasta. Maszerowała rozglądając się wokół. Czuła się taka odważna. Prawie jak dorosła, choć miała tylko sześć lat.

Mieszkanie w Sopocie było duże i gościnne. Lubiła otwierać drzwi gościom. Kiedy dzwonił dzwonek, biegła szybko i witała przybyłych serdecznie. Gdy w drzwiach stawał ktoś obcy Joanna dygała z wdziękiem i mówiła, tak grzecznie jak służąca Hilda: – Ein moment bitte –. Goście byli zde gustowani. Jak można pozwalać dziecku mówić w języku wroga???! Tak to nie udało się Joannie skorzystać z lekkiej i przyjemnej nauki niemieckiego rozmawiając z śliczną i wesołą Niemką, zanim ta nie wyjechała do Faterlandu.

Kocioł

Drzwi do mieszkania były bardzo piękne z kolorowymi witrażami. Przez te drzwi wdarło się, po pięciu szczęśliwych latach, zło zwiastujące koniec sopockiego życia. Wcieleniem tego zła byli ubowcy, którzy zorganizowali w mieszkaniu rewizję i kilkudniowy kocioł.

„Otwieram drzwi kluczem. W drzwiach stoi obcy mężczyzna. Za nim – drugi, trzeci. Widzę za ich plecami babcię z okrągłymi z przerażenia oczami. „ A panowie co tu robią?” – pytam. „ A pani kto?” – odpowiada pytaniem jeden z nieproszonych

gości. Wchodzę. Krok za mną idą obcy. „Gdzie mąż?” – „Wyjechał do Warszawy.” – odpowiadam. W głowie kłębią mi się myśli – co robić? ... „Będziemy na niego czekać”. A więc – kocioł. Taki sam, jaki stosowali w czasie okupacji Niemcy. Metoda znana, tylko wykonawcy inni. Wpuszcza się wszystkich, nie wypuszcza nikogo. W domu prócz Babci, Niani, dzieci i mnie jest jeszcze krawcowa – stara autochtonka – Niemka, której źródłem utrzymania było szycie po domach drobiazgow ubranio-wych, nazywana przez dzieci „wroną”, ze względu na zawsze czarne suknie. Jest przestraszona, bodaj jeszcze więcej niż my.

Wieczorem – telefon. Każą mi odebrać. Stoją nade mną, bacznie łapiąc każde słowo. Dzwoni Andrzej z Warszawy. Syczącym szeptem każą mi powiedzieć, że dziecko chore i ma natychmiast przyjechać. Mówię drewnianym głosem „...dziecko chore, musisz przyjechać”. Używam przy tym zdrobnienia jego imienia z lat dzieciennych, nigdy przeze mnie nie używanego – Pantaś. Zorientował się. „Jest ktoś?” – pyta. „Tak, dziecko chore.” – odpowiadam. A więc – już wie co jest. Mówię jeszcze coś nie bardzo do rzeczy, głosem nieswoim, obcym nawet dla mnie. Koniec rozmowy. Kładę słuchawkę na widełki. Moi „stróże” nie są zadowoleni. Niższy z nich mówi: „Trzeba było najpierw dolać trochę babie, żeby lepiej mówiła!” Powiedziałam im, że „mój mąż przyjedzie, jak tylko załatwi swoje sprawy w Warszawie”.

Cóż robić – mamy więc trzech nowych „domowników”: czeka nas z pewnością kilka dni w tym przymusowym towarzystwie. Wiem, że od ich ustosunkowania może w pewnym stopniu zależeć los Andrzeja, o którego lęk przepelnia nasze serca. Dają im kolację. Potem jeden z nich wychodzi, pozostaje dwóch. W środkowym pokoju szykuję im posłania, sama przenoszę się do jadalnego razem z babcią. W ten sposób odgradzamy dzieci w pokoju dzieciennym, do którego prowadzą drzwi z jadalnego. Na werandzie przygotowuję spanie dla biednej przestraszonej „wrony”, która płacze, gdyż nie może wrócić do swojego domu. Noc spędzamy z babcią bezsennie, wymieniając słowa niedosłyszalnym szeptem. Wstaje rano. „Stróże” czują się jak w domu. Łączą po całym mieszkaniu, myją się w łazience, zjadają ze smakiem podane im śniadanie. Co z obiadem? Muszę przecież nakarmić czymś intruzów, a w domu nie mam żadnych zapasów. Mówię, że jeden z nich musi wyjść i załatwić sprawunki. Oczywiście dają na nie pieniądze. Dołączam kartkę z wykazem rzeczy, które mają kupić i przynieść. Wkładam jednemu w łapę siatki na sprawunki. Niższy z nich wychodzi posłusznie. Drugi z nich zostaje, aby nas pilnować. Trzeci, ten właśnie, który doradzał aby „mi dolać” – wyszedł wieczorem. Sprawunki zostają dostarczone. Niania, trzaskając z furii garnkami, bierze się do gotowania obiadu. W oczekiwaniu na posiłek wyższy z funkcjonariuszy siada w fotelu i zasypia. Obiad poprawia naszym stróżom humor. Próbują z nami rozmawiać. Ten, który spał z otwartymi oczami mówi, że jest repatriantem z Francji. Pokazuje – dla rozpędzenia nudy – jakieś sztuczki cyfrowe, polegające na obliczeniu z różnych układów cyfr, mojego wieku. Mówię z gryźliwie: „Nie byłby pan tym czym pan jest, żeby nie znał pan mojego wieku”¹⁵

Joanna na zawsze zapamiętała tego ubeka. Nie bardzo rozumiała co się dzieje w ich domu, ale wyczuwała grozę sytuacji. Pamięta, jak weszła do salonu i zobaczyła rewolwer na kolanach śpiącego smacznie na wygodnym fotelu intruza. Postanowiła uratować rodzinę. Wyciągnęła małą rączkę po broń, ale jeszcze raz spojrzała na twarz mężczyzny. Ręka opadła. Miał otwarte oczy. Całkiem białe. Joanna zamarła z przerażenia. Jeszcze nigdy takich oczu nie widziała. Zadawała sobie pytanie „Czy te białe oczy mnie widzą?”. Odpowiedzi nie знаła. W końcu odeszła, nie zabierając rewolweru. Długo płakała ze wstydu, że przelękła się tych dziwnych oczu. Kiedy dorosła, zastanawiała się jak zachowałby się ubek, gdyby spojrzał na małą dziewczynkę uciekającą z jego rewolwerem.

„Mija jeden dzień, drugi, trzeci. Każę im codziennie robić zakupy – wyżywienie takiej ilości osób to nie bagatela. Ąpetyty mają doskonałe. Któregoś dnia przynoszą mi żywego kurczaka. Mówię, że u nas nikt kurczaka nie zarżnie, ale „panom to chyba żadnej różnicy nie robi...”. Rzeczywiście – jeden z nich robi to z wprawą, a może i satysfakcją.

„Wronę” drugiego, czy trzeciego dnia wypuszczają, wiążąc ją tysiącami przykazań, aby nikomu słowa o niczym nie powiedziała. A więc – o jednego stołownika mniej.

Na trzeci dzień – stukanie. Poznają od razu po sposobie stukania, że to Lili. Nasz stróż zmierza do drzwi – chce otworzyć. Łapię go za rękaw, nalegając żeby nie otwierał. „Teraz wpuścicie tę panią, potem przyjdzie jej narzeczony, a ja już nie mam pieniędzy na żywienie wszystkich!”. Argument skutkuje. Stukanie umilkło. Stoimy cicho w przedpokoju słysząc odgłos schodzenia po schodach. Oddycham. Udało mi się uratować Lili od tej całej historii.

Tego samego wieczora (chyba w piątek) zatelefonował znowu Andrzej, oznajmiając że przyjedzie w poniedziałek. Czekamy. A każda godzina czekania na to co się stanie – to wiek...

Po paru dniach nasi „goście” są już zupełnie „oswojeni”. Ten najwyższy zaczyna zdradzać wyraźną sympatię do mamy, o której mówi, a nawet czasem zwraca się do niej „babciu”. Winszuję potem mamie takiego „wnuka”! Po obiedzie, chyba w sobotę – coś tam mówią do siebie, jeden z nich wychodzi. Po chwili zjawia się... z butelką wina! To ma być „rewanż” za żywienie ich. Zapraszają, żebyśmy to wino z nimi wypily. Obie z mamą tłumaczymy, że żadna z nas nie pije, bo nam „doktor zabronił”. Picie wina z takimi typami – to za wiele!

W tę właśnie sobotę rano – dostąpiłam zaszczytu, że wysyłany, jak codziennie, po zakupy brunet proponuje, żebyśmy sama wyszła kupić co potrzeba, oczywiście w jego towarzystwie. Nie uśmiecha mi się spacer w takim tandemie, myślę jednak, że może spotkam kogoś i uda mi się go posłać na dworzec w poniedziałek rano, na spotkanie Andrzeja, aby go nieco więcej poinformować co się dzieje. Biorę na smycz kudłatą Unrę i wychodzimy. Na ulicy mijam znajomych z kamienną twarzą – i tak, idąc z funkcjonariuszem UB nie mogłabym nic powiedzieć, a nie chcę nikogo narazić. Już na dole, pod sklepem na ulicy Rokossowskiego wtlaczam mojemu towarzyszkowi smycz psią do ręki. Wchodzę do sklepu sama. W sklepie od razu

kątem oka widzę znajomą, kupującą coś przy ladzie sklepowej. Stanąwszy przy niej powiedziałam jej co i jak i poprosiłam, żeby ktoś popilotował Andrzeja, kiedy przyjedzie porannym pociągami z Warszawy. Skinęła głową na znak, że rozumie o co chodzi. Na oczach patrzącego na mnie przez szybę cerbera kupiłam jakieś spożywcze artykuły i wyszłam. Odebrałam smycz psa i szybkim krokiem ruszyłam do domu, starając się na nikogo nie patrzeć. Za mną – krok w krok – siedł mój opiekun.

Nadeszła niedziela. Nazajutrz miał przyjechać Andrzej. Nie łudziłyśmy się, że go od razu zabiorą. Szykowałyśmy dla niego jakieś jedzenie, a także podręczne drobiazgi ubraniowe. Nasi opiekunowie nudzili się. Jeden z nich wyszedł, został ten główny – repatriant z Francji, ten o szczególnej umiejętności spania z otwartymi oczami. Łaził po domu, trochę drzemał, ale widać było, że nudzi się niepomrotnie. W pewnej chwili nieoczekiwanie zapytał mnie z pewnym zażenowaniem: „Czy nie dałoby się zrobić, żebyście same mogły przez godzinę pozostać?... Bardzo chciałbym trochę wyjść...” Sytuacja paradoksalna! Nasz cerber pyta czy może wyjść! I jeszcze większy paradoks – ja odmawiam stanowczo. Powiedziałam, że na to absolutnie zgodzić się nie mogę. Kociół – to kociół! Przyjdzie ktoś na kontrolę i możemy mieć z tego dodatkowe kłopoty... Stropił się. Widocznie sam obawiał się, że mogą go złapać na niedostatecznej „opiece” nad nami. Po chwili przyszedł do mnie znowu: „Czy mógłbym tu może przyprowadzić swoją dziewczynę?”. „O, co to, to nie! Na to się nie zgadzam!” odpowiadam stanowczym głosem. Zrezygnował.

Noc z niedzieli na poniedziałek spędziłyśmy z babcią bezsenność. „Opiekunowie” spali jeszcze smacznie, kiedy cichutko brzęknął dzwonek u drzwi. Andrzej!! Wpuściłam go bezszelestnie. Pił już herbatę kiedy obudził się jeden stróż, potem drugi. Ten drugi wyszedł, prawdopodobnie zgłaszając gdzieś fakt przyjazdu Andrzeja. Niebawem zjawili się jeszcze dwóch – nowych. Nasz „oswojony” zachowywał się uprzejmie, prawie życzliwie. Powiedział do mnie: „Lepiej niech teraz babcia wyjdzie, bo będziemy przeprowadzać rewizję, to byłoby jej przykro”. Wyprawiłam mamę. Rozpoczęła się rewizja, dość zresztą pobieżna. Andrzej siedział w jadalnym pokoju z jednym z nich. „Nasz” grzebał coś w papierach. W pewnej chwili wyszedł do kuchni. Przez uchylone drzwi dostrzegłam, że zapala zapałkę i wrzuca do kuchennego pieca palący się cienki papierek. Z niedopalonych resztek stwierdziłyśmy później z mamą, że był to przywieziony przez mamę obozowy wiersz, którego początek brzmiał: „Witamy ciebie czerwona zarazo...”. Coś jednak ludzkiego pozostało widać w tym dziwnym francuskim repatriancie. W czasie rewizji nie znaleziono nic takiego, co mogłoby ich interesować. Z papierów wzięli tylko leżącą na szafie paczkę dziewiętnastowiecznych listów, które Andrzej dostał w prezencie od pijanego marynarza.

Pozwolili Andrzejowi skończyć śniadanie i dać mu przygotowaną paczkę z jedzeniem. Potem – wyprowadzili go do czekającego na ulicy Kopernika samochodu. Zawarczał motor. Zobaczyłyśmy samochód znikający za rogami ulicy... Pustka, rozpacza, straszliwy niepokój...

Tego samego dnia byłam u najlepszego i podobno bardzo ustosunkowanego adwokata – mec. Dąbrowskiego. Codziennie dowiadywałam się, jakie wiadomości uzyskał. Nie wiedział nic. Po paru dniach powiedział mi, że Andrzej jest w więzieniu w Gdańsku. Wiadomości, które otrzymywał okazały się później fałszywe, ponieważ Andrzeja przewieziono do Warszawy. Trzymano go tam kilka dni, wzywając na długie przesłuchania. Nikt właściwie nie wiedział o co chodzi, chyba i oni sami nie bardzo wiedzieli. Sprawa domniemanej łapówki nie była przecież tak istotna dla czynników bezpieczeństwa. Więcej obchodziła ich sprawa AK-owskiej przeszłości Andrzeja. W zasadzie i tego nie mogli się czepiać, ponieważ się ujawnił. W tych czasach nie można było być pewnym niczego.

W Warszawie, w gmachu na rogu Alei Ujazdowskich i Koszykowej trzymali Andrzeja, w okropnych zresztą warunkach, chyba tydzień. Widocznie jednak stwierdzili, że jego osoba nie jest dla nich pod względem politycznym specjalnie interesująca... i pewnego dnia wypuścili go. Dowiedzieliśmy się o tym z nagłego telefonu Andrzeja z Warszawy. Powiedział, że następnego dnia przyjeżdża. Tym razem była to radość, która nie pozwoliła nam na zaśnięcie tej nocy... Rzeczywiście na drugi dzień zjawił się Andrzej – wymizerowany, wychudły, ale zdrowy. Trzymał nawet w rękę pakiet zabranych przy rewizji listów z XIX wieku!...

Andrzej wrócił do swojej pracy, która stawała się coraz trudniejsza i coraz bardziej denerwująca. Już i on zaczął stwierdzać, że prowadzenie firmy staje się niemożliwe.(...)

(...) Mogło się wydawać, że po powrocie Andrzeja z więzienia w Warszawie nic mu już nie grozi. Złudzenia rozwiały się, gdy jesienią, przyszedł pewnego wieczoru milicjant z zawiadomieniem, że Andrzej został skazany na cztery tygodnie obozu pracy w Mielęcinnie, koło Włocławka. Powiązali to z tą nieszczęsną łapówką. Mielęcinnie – to był rodzaj koncentracyjnego obozu – za rzekome „przestępstwa gospodarcze”. Praca i głód – głód i praca. Warunki okropne! Kiedy przyjechałam do Andrzeja po dwóch tygodniach – prawie go nie poznałam, tak był wynędzniały. Przełom listopada i grudnia, zimno, deszcze, do tego skłonność Andrzeja do ciężkich bronchitów – wszystko to napawało mnie takim niepokojem, że spędzałam bezsenne noce. Wrócił po czterech tygodniach – cień człowieka. Ubyło mu ni mniej ni więcej, tylko czternaście kilogramów!

Obóz w Mielęcinnie niedługo potem zdecydowano się zlikwidować – zbyt mocno przypominał radzieckie lagry! Więzienie natomiast było wciąż pełne. (...)

W tym czasie władze przystąpiły w sposób bezwzględny i szybki do likwidacji zniechęconej przez nie inicjatywy prywatnej, między innymi do unicestwienia przedsiębiorstw rybnych. Przejmowane było wszystko przez państwo. Właścicielom zostawiano tylko pamiątkę w formie... niebosiężnych domiarów podatkowych. Cztery lata ciężkiej pracy, ogromnego wysiłku i zapłać – poszło na marne. „Murzyn zrobił swoje, Murzyn może odejść”...

Trzeba było rozejrzeć się za inną pracą. Andrzej przyjął pracę w Spółdzielni Leśnych Użytków Niedrzewnych „Las”, na stanowisku zastępcy dyrektora oddzia-

lu działającego na terenach zachodnich – Szczecinek, Piła, Krzyż itd. Przedmiotem działalności była eksploatacja użytków leśnych – skup jagód, grzybów itd. (...) Andrzej był zadowolony ze swojej pracy. Dobrał sobie współpracowników m.in. Mietka Ledóchowskiego, Kazika Hallera, Józia Niemojewskiego. Miał trochę kłopotów ze swoim bezpośrednim szefem – nałogowym alkoholikiem, tak, że ciężar zarządzania firmą spadł na Andrzeja. Żyli i mieszkali raczej prymitywnie, ale powietrze było doskonałe, lasy dookoła, praca ruchliwa, więc się nie skarżyli. I tak życie płynęło dalej... Wydawało się, że może nareszcie dadzą nam żyć spokojnie. Ale – w tamtej rzeczywistości było to raczej utopią. A może właśnie ... zamierzonym celem było to, żeby ludzie żyć w spokoju nie mogli.

Władzom widocznie sprzykrzyło się tolerować duże skupienie – na Wybrzeżu, a w Sopocie szczególnie – dużej ilości ludzi o „niedobrym” pochodzeniu socjalnym, ludzi niewygodnych, nie przejawiających bałwochwalczego zachwyty dla istniejącego reżimu. W końcu 1949 roku postanowili zadać tej sytuacji ostateczny cios. Cały szereg mieszkańców otrzymało decyzje wysiedleńcze i to z krótkimi stosunkowo terminami. Oczywiście była inicjatywa prywatna była brana pod uwagę.(...) I nam któregoś dnia przyniesiono taki złowieszczy papierek. Złożyliśmy odwołanie od tej krzywdzącej decyzji. Interweniował mój bank i inni wpływowi ludzie. Rzekomo mieli decyzję odnośnie nas anulować, takie przynajmniej mieliśmy sygnały. Na razie jedynie nam ją odroczone. Można było czekać.¹⁶

Tata chciał przeczekać, jednak mama obawiała się kolejnych represji... Tłumaczyła swój upór odpowiedzialnością za rodzinę. Cała rodzina bolała nad decyzją mamy. Po latach Joanna oceniała to jako wielki błąd, mimo że rozumiała jej strach. A to właśnie mama do końca swoich dni twierdziła, że tylko w Sopocie były – oprócz dzieciństwa w Bobrownikach – jedyne szczęśliwe lata jej życia. Tata ugiął się i wykonał jeszcze jedną próbę zamieszkania w ciekawym miejscu. Pojechał do Zakopanego, gdzie znalazł mieszkanie na Jaszczurówce. Mama odrzuciła i to rozwiązanie. Wykonała ruch, którego i ona, i reszta rodziny zawsze żałowała.

W początkach 1950 roku starsza siostra mamy, Marychna, mieszkająca od końca wojny w Milanówku poinformowała ją o możliwości wynajęcia mieszkania kilka kroków od willi w której mieszkali. Podobno mama miała nadzieję, że wkrótce znajdą coś w Warszawie. Tata bardzo niechętnie przystał na propozycję swojej „przestraszonej wiewióreczki”.

Świat rozwoju, bezpieczeństwa, przyjaznej rutyny zniknął jak za dotknięciem różdżki złej czarownicy. Rozpoczął się Milanówek i diametralna zmiana kierunku rozwoju Joanny – wszystko stało się nieustającym konfliktem. Jej, dopiero pączkująca i chyba czarująca osobowość, legła wkrótce w gruzach. Pomieszały się wartości. Opanowały ją wątpliwości na sprzeczne, przeciwne sobie poglądy, zrodzone w dwóch tak różnych i tak jednocześnie bliskich jej domach wywierających piętno, które zaważyło na całym przyszłym życiu

Zaczęły się psychologiczne schody. Udało się Joannie przez te skomplikowane lata przebrnąć. Nie świadczyły one najlepiej o jej charakterze. Dominowały słabość i chwiejność – absorbowanie czyichś opinii i doświadczeń. Po prostu zaprzeczenie jej własnego ja. Został tylko powtarzający się sen – sopocki dom na tle zachodzącego na złoto – czerwono słońca. W dole chodzą majestatycznie karmazynowe kury... spokój...

Po latach Joanna błogosławiła swoje dzieciństwo sopockie. Uważała, że wszystko co pozostało w niej dobrego i spokojnego było spuścizną tych lat i czarodziejskiego babcinego parasola. Kiedy po kilkudziesięciu latach sprawiła sobie popołudnie wspomnień, wędrując śladami dzieciństwa, niemal jak wtedy odczuwała te miejsca, odtwarzała wspomnienia. Zerknęła ciekawie na znajomy gąszcz leśny, mając nadzieję, że znów w jej wyobraźni zamajaczy chatka Baby Jagi. Objęła stare drzewo szukając w nim siły... tej dziecięcej sprzed lat. Miała przekonanie, że gdzieś wysoko w niebie babcia jeszcze raz rozpostarła nad nią swój czarodziejski parasol.

Milanówek to chyba najbardziej pogmatwany okres życia Joanny, który tak mocno i negatywnie rzutował na całą resztę jej życia. Wydawało jej się, że wcale nie chce przypomnieć sobie dokładnie tamtych czasów. Nie chce przyznać się przed nikim, a przede wszystkim przed sobą, jak słabym stworzeniem wtedy była i jak łatwo poddawała się wpływom – zmienna jak chorągiewka. Może za wszelką cenę chciała sobie zaskarbić miłość, przyjaźń czy też po prostu akceptację wszystkich napotkanych ludzi. Skąd brała się u tak małej dziewczynki ta pazerność na pozytywny odzew każdego człowieka na własną osobę. Czy była dla siebie tak ważną postacią, czy też wręcz przeciwnie wydawała się sobie w Milanówku niezauważalną, nierozpoznawalną i nikomu nieprzydatną. Tak zaciekle walczyła o ludzkie uznanie i znalezienie stabilnego miejsca w otaczającym ją świecie. Zupełnie inaczej niż w Sopocie. Tam czuła się pewnie. Na swoim miejscu. W równowadze.

Wyjazd z Sopotu umknął z jej pamięci. Została wywieziona do cioci Marychny do Milanówka, pewnie, aby uniknęła bólu przeprowadzki, pożegnań z ażylem bezpieczeństwa, znajomymi zakamarkami, ukochanym morzem i czarnym wielkim fortepianem, który na zawsze miał zniknąć z ich życia z prozaicznego powodu. Przeprowadzali się z ogromnego mieszkania do klitek w domku na peryferiach Milanówka.

Pierwszą noc w domu cioci na ulicy Zacisznej Joanna przepłakała. Spała na wielkim tapczanie w pokoju jadalnym. Patrzyła na łagodne światło przeświecające poprzez wytłaczaną szybę z korytarza. Czuła się tak strasznie samotna i mała. Na pewno wyczuwała całym swoim jestestwem nieuchronność i nieodwracalność sytuacji. Przeżyła ubecki kocioł, odbierała groźbę sytuacji i musiała sobie zdawać sprawę, że dom sopocki w pełnym tego słowa znaczeniu skończył się na zawsze. Nie miała pojęcia, co ją czeka. Leżała struchlęta z lęku przed niewiadomym.

Znała Ciocię i jej córkę Anisję, jej równolatkę. Przyjeżdżały na wakacje, do Sopotu. Nie pamiętała jakie były ich relacje z Anisją w Sopocie, bo w pamięci Joanny jej wizyta utrwaliła się jedynie dzięki zdjęciom. Nie zapamiętała jej również ze swo-

jego pierwszego pobytu w Milanówku. Jak długo tam była? Wspominała jedynie ten wieczorny płacz. Poczucie zawieszenia w próżni pomiędzy bezpiecznym znanym a przerażającym nieznanym.

Następne wspomnienie to Tata. Szli we dwoje przez piaskową górkę w Milanówku. Tata stawiał wielkie kroki, a Joanna podskakiwała radośnie trzymając go za rękę. Szli obejrzeć ich nowy dom. Tata zażartował wskazując na drewnianą rudere przypominającą raczej szałas – to będzie nasz dom. Joannie było wszystko jedno jaki ten dom będzie, byle tylko wreszcie był. Pewnie chcąc dogodzić odzyskanemu tatusiowi uśmiechnęła się szeroko i odpowiedziała – ładny. Nie była wcale przerażona. Wspomnienie pozostało radosne.

Na tej samej ulicy, parę domów dalej stała willa „Barbarka”. Typowy podmiejski biały domek ze spadzistym dachem, zielonym balkonem i winem pnącym się po drewnianych kratkach. Ogród był duży, na froncie kwiatowe rabaty, jabłonka papierówka. W rogu wielka biała czereśnia. Tuż pod oknami – wygodna, drewniana ławka stojąca na szerokiej wygrabionej ścieżce. Za domem duży sad. Dalej ciągnęły się już tylko łąki. Było słonecznie i jasno. Nic więcej z tego dnia nie zapamiętała, ale potem myślała, że to musiał być jeden z jej najszcześniejszych, beztrudnych dni w Milanówku. Mieli znowu dom.

Nie zapamiętała przeprowadzki ani pierwszych milanowskich dni. Dom należał do zatwardziałego starego komunisty i jego w połowie rosyjskiej żony. Na pierwszym piętrze mieszkała ich córka Basia z mężem i córką Ewą. Komunista był przeciwnikiem idei, w którą wierzył. Jeśli nie udało mu się sprzedać truskawek, nie dawał ich dzieciom mieszkającym w jego domu. Zaorywał pole pełne krzaczków obsypanych dorodnymi owocami. Niania fanatyczna katoliczka toczyła z nim spory na temat życia pozagrobowego. – Zobaczysz bezbożniku, że po śmierci piekło cię pochłonie – mówiła wygrażając pięścią. – A ty kobieto nic nie zobaczysz, bo Boga nie ma, a ciebie zjedzą robaki. Często groził, że zastrzeli Unrę. Kiedyś wycelował już strzelbę. Joanna obłądnie przerażona chwyciła suczkę na ręce i uciekała jak najdalej. Dobiegła zziębnięta i mokra od łez do cioci. Sytuacja nigdy się już nie powtórzyła dzięki temu co usłyszał od rozwścieczonej kuzynki Alisi. Zawsze Babcia mówiła, że poznać chama po tym, że staje się uniżony, gdy podnieść na niego głos. Natomiast prawdziwie rzewne łzy lały się z oczu tych fałszywych komunistów, kiedy umarł ich ukochany batuszka Stalin. Zamienili sobie Boga na Stalina. Miał być nieśmiertelny, a tu szczęśliwie jak każdy śmiertelnik. Pozostał na zawsze w pamięci ludzkiej jako jeden z trzech największych morderców ludzkości. W strasznym piekle nianiusi najwspanialszą komnatę dzielił z Hitlerem. Potem dotarł do nich Mao ze swoją czerwoną księgą.

Anulka i Joanna umawiały się z Ewą o świcie na potajemne oglądanie wschodu słońca. One wychodziły oknem, a Ewa zjeżdżała ze swojego balkonu po linie. Stawały na łące i wpatrywały się w rozjarzone niebo.

Rodzina Joanny zajmowała połowę parteru. Trzy niewielkie pokoje i kuchnię. Rozkład mieszkania był fatalny. Kuchnia, jadalnia, dziecinny i salon wkoło, jedno

za drugim. Rodzice mieszkali w salonie, Joanna z Anulką w pokoju pomiędzy salonem a jadalnym, w którym to umościła się babcia. Z pokoju jadalnego prowadziły drzwi do kuchni, gdzie obok kuchni węglowej stało łóżko niani. Łazienki nie było. Myło się jak w chałupie w miednicach, a ubikacja była na dworze. Piękny hipek zbudowany z porządnego drewna, miejsce tajemnych panięskich rozmów, a także przedmiot nieustannych ataków głupiego Wiesia, który zniecacka, z za płotu bombardował kamieniami drzwi hipka. Nigdy nie próbował trafić nikogo. Na Anię się wołał – Ciocia Jajca – W szkole ku obrzydzeniu dzieci zjadał strupy z własnych kolan. Kiedy trochę podrośł pokazywał swoje gołe klejnoty krzycząc dumnie: – zobacz co ja mam! – Parę lat później zaczął gwałcić kobiety. W przerwie między pobytami w więzieniu zwierzył się tacie, że znacznie przyjemniej gwałcić dojrzałe kobiety niż młode dziewczyny, które walczą i wrzeszczą. Było jeszcze dwóch sąsiadów – wdowa z dwoma synami, której Tata w miarę swoich skromnych możliwości pomagał, a od strony czereśni – podupadłe gospodarstwo. Gospodarz zajmował się głównie piciem. Po odpowiedniej dawce wody gonił swoją babę po podwórzu z siekierą. Ona darła się wniebogłosy wzywając pomocy, lecz kiedy któregoś dnia tata w chwili słabości rzeczywiście wezwał milicję, baba obroniła swojego kata, a Tatę zwymyślała. Po jakimś czasie wszyscy przywykli do tych scen i nikt już na nie zwracał uwagi.

Joannie nie przeszkadzał na początku brak wygód i ciasnota, ale reszta rodziny musiała być mocno przygnębiona nową sytuacją. Przyzwyczajeni do znakomitych warunków sopockich, nie mogli pogodzić się z tak drastyczną zmianą. Ciocia twierdziła, że nie mogła niczego lepszego znaleźć w Milanówku. Wynajęła więc mieszkanie na Podleśnej, odnowiła je za własne pieniądze i pomagała jak mogła.

Anulka została pozbawiona pianina, przyjaciół. Trudno zrozumieć, dlaczego tego właśnie mebla nie można było zmieścić. Przecież Anulka chodziła do szkoły muzycznej. Była bardzo utalentowana. Joanna, zapewne też nauczyłaby się grać. Choćby dla własnej przyjemności. Tak lubiła, kiedy mama w Sopocie siadała przy pianinie. Grała ze słuchu przeróżne melodie. Często były to przedwojenne piosenki, których słowa znała na pamięć. Lubiała śpiewać. W każdą Wigilię Bożego Narodzenia – po zjedzeniu wili i rozdaniu prezentów – śpiewała swoim dźwięcznym, przyjemnym głosem kolędy. Jak można było zostawić właśnie ten kawałek kultury? Anulka przez jakiś czas chodziła ćwiczyć na fortepianie u mieszkającej niedaleko starszej pani, ale wkrótce straciła do grania ochotę.

Joanna uwielbiała chodzić z nianią do magla. Był niedaleko. Na tej samej ulicy. Drewniany dom z malowanymi okienkami. Wchodziło się z kwietnego ogrodu do dużego pomieszczenia z surową drewnianą podłogą i bielonymi ścianami. Na środku stał magiel. Wokół sporo miejsca na przygotowania. Bieliznę przed maglowaniem musiała być starannie naciągnięta. Bardzo lubiła łapać za dwa rogi prześcieradła i ciągnąć z całej siły. Pod ścianami izby stały stoły do składania gotowej pościeli i drewniane ławy dla oczekujących kobiet.

Maszynaria maglowa była wspaniała. Błat, wielkości prześcieradła. Na nim układało się z dużą dokładnością, każdą kolejną sztukę białizny. Obsługa urządzenia była ręczna. Powoli kręciło się korbą. Koła zębate wprawiały w ruch ogromne, drewniane walce. Drewno było gładziutkie – wypolerowane wskutek częstego używania. Pościel w tych czasach była przeważnie biała, mocno krochmalona. Po zmaglowaniu – gładka i sztywna. Pachniała świeżością.

Naciąganie, maglowanie i składanie białizny zajmowało sporo czasu. Tworzył się więc w maglu specyficzny krąg towarzyski. Przeważnie gosposie i praczki. W wielu domach nie było bieżącej wody, więc instytucja dochodzącej praczki była bardzo popularna. Obok domu znajdowało się specjalne pomieszczenie do prania. Była tam wielka balia, tarcza, szare mydło „Jeleń” i węglowa kuchnia, na której w wielkich cynowych kotłach gotowało się białiznę. Praczka miała największe piersi, jakie w życiu widziała. Z zachwytem przyglądała się jak lekko wychylona do tyłu siada ciężko na fotelu i stawia sobie – podany przez nianię talerz z gorącym bigosem na piersiach. Nie potrzebowała stołu. Niania twierdziła, że to zwyczajna rzecz. Po prostu kobiety stojące godzinami przy balii i tarze mają „pracze piersi”.

Tematów w maglu było mnóstwo. Najczęściej kobiety opowiadały o swoich pryncypałach i sąsiadach. Opowieści były frapujące. W domu wszelkie plotki i intrygi były wykluczone, a tu sensacyjne informacje same wpadały do uszu. A jak smacznie były podawane i jakie prawdziwe emocje budziły. O ileż to opowieści z magła podawane w naturalnej scenerii były ciekawsze, niż nudne plotki krążące później na wytwornych warszawskich spotkaniach towarzyskich. Dotyczyły one ludzi, których znała, a nie twarzy migających z ekranu telewizora lub stron kolorowych piśmideł. Osób, które tak naprawdę nikogo nie obchodzą.

Tata zaczął pracować w przedsiębiorstwie budowlanym jako urzędnik. Przyzwyczajony do własnej firmy, bardzo przyjemnego i luksusowego trybu życia w Sopocie musiał czuć się zniewolony i upokorzony. W wolnych od pracy chwilach zaczął wyrabiać z wygotowanych kości wołowych broszki malowane i wypalane, które sprzedawał nieźle w CEPeLiA. Zaczął rysować. W pokoju rodziców pojawił się rajzbret z farbami i pędzlami. Przesiadywał nad nim z lubością. Pracował dalej. Awansował do Zjednoczenia, ale jego życiem był już rysunek. Zaczął jeździć do pracowni swego dawnego kolegi, zdolnego plastyka. Pomagał mu, ucząc się jednocześnie. Potem zaczął współpracować z innymi plastykami i architektami. Przygotowywali wystawy, projektowali wnętrza. Wreszcie tata postanowił na dobre rzucić pracę urzędniczą. Nie miał za sobą wyższych studiów plastycznych – jedynie naukę w przedwojennej prywatnej szkole swojego wuja profesora Tadeusza Marczewskiego, bardzo zdolnego malarza i ciekawego człowieka. Po latach otworzył z przyjacielem, Andrzejem Mierzejewskim, pracownię tkacką, gdzie kilka dziewczyn wykonywało tkaniny według ich projektów. Większość tkanin kupowały szwedzkie galerie. Szczególnym powodzeniem cieszyły się tkaninowe kopie znanych obrazów. Tata był zdolny i bardzo pragnął wyzwolić się od biurowej pracy, pozbawiającej absolutnie w tych czasach

ludzi inteligentnych i ambitnych możliwości kreatywnego myślenia. Potrzebował wyzwań, pożytki intelektualnej, ciekawego towarzystwa.

Milanowski dom stał się smutny, mama kompletnie pozbawiona radości życia. Twierdziła, że chodzi w kieracie. Z tego kieratu zaspokajania codziennych potrzeb nie dawała się ani na chwile wyciągnąć. Małżeństwo rodziców podupadło. Joanna często słyszała rozżalony głos mamy i zirytowany taty. On nie chciał za żadną cenę wpaść w przygnębiającą codzienność. Ona, zrezygnowana, brała na siebie całą odpowiedzialność, której nienawidziła. Z natury obarczona mnóstwem kompleksów, brakiem poczucia własnej wartości – cierpiała przez całe 13 milanowskich lat. Czuła się oszukana przez wszystkich. Winiła swoich najbliższych – tatę i ciocię. Nienawidziła domu, ciasnoty, noszenia wody ze studni, banku w Pruszkowie, znajomych cioci, kostycznych uwag wujca, chorej przyjaźni Joanny z Anisią, koszmarne sąsiedztwa, ubogiego płaszczyka Anulki, a przede wszystkim biedy i pospólstwa. Po latach w swoich pamiętnikach wspominała milanowskie lata:

...ciężki był to okres mojego życia. Nie lubię do niego wracać myślą i wspomnieniem. Lata spędzone na Wybrzeżu, to była mieszanina słońca, burzy, deszczu czy piorunów – było dobrze, było źle, był śmiech, były łzy, ale tam – zapuściłam korzenie, tam – żyłam. Te trzynaście lat w Milanówku to była tylko wegetacja, to był... jeden chmurny dzień, w którym nie było słońca...

Wyglądało na to, że babcia i niania łatwiej godziły się z sytuacją. Babcia targana przez losy historii – Kijów, rosyjska rewolucja, polska ambasada w Holandii, wojna, obóz Ravensbruck – miała nabytą zdolność przyjmowania niespodzianek zgotowanych przez los. Tak naprawdę to babcia i niania zajmowały się domem. Niania gotowała, sprzątała, prała i prasowała, Babcia zajmowała się dziećmi – czerowała, wychowywała, pomagała odrabiać lekcje, zabawiała jak mogła. Przekazywała dziewczynkom różne mądrości życiowe, które miały pomniejszyć niszczący wpływ biedy i zapiekłych rozczarowań rodziców. Pokazywała im te lepsze strony życia, które istniały niezależnie od biedy, a nawet jej wbrew. Były to zarówno zabawy i liczne przyjemności doczesne, jak i wartości duchowe i intelektualne. Mama robiła zakupy, czego nie znosiła. Wracała zmęczona kolejkami i noszeniem siatek. Mówiła – dajcie mi odparować. Dziećmi zajmowała się od święta. Jeździła z nimi na wakacje do Czorsztyna. W letnie niedziele siadała z dziewczynkami na ławce pod jabłonią i czytała im Trylogię. Opuszczała drastyczne opisy – wbijania na pal Azji czy utopienia się konia Baški pod lodem. Opiekowała się sekcją gimnastyczną, w której obie jej córki trenowały, a później jeździła z klasą Joanny na obozy wędrownicze. Imieniny dziewczynek urządzone były hucznie. Niania piekła ciasta. Solenizantka siedziała na fotelu przyozdobionym kwiatami. Były gry, zabawy, wierszyki i donośne „Sto lat”. Obie dziewczynki obchodziły swoje święto w lecie. Przyjęcia mogły się odbywać w ogrodzie.

Nastroje w domu były marne. Rodzice ciągle się kłócili, babcia była smutna, niania zrzędliva, Anulka czuła się odpowiedzialna za mamę, która nieustająco na-

rzekała na swój los. Była jej absolutnie podległa. Joannę strofowała za każde odstąpienie od opinii i zakazów mamy. A ta uciekała na Zaciszną lub w samotność. Podobno wieczorami opowiadała starszej siostrze wymyślane przez siebie bajki. Anulka słuchała ich co wieczór z ciekawością. Kiedy dorosły Joanna nie pamiętała samego faktu, a Anulka treści ani jednej z bajek.

Utrwaliły się natomiast w Joannie pamięci pewne rekolekcje. Miała 10-12 lat. Ksiądz postanowił zagrzemieć z ambony i uzmysłować małym dzieciom, jak straszne kary czekają na grzeszników. I to nie za życia, tylko po śmierci. I nie gdzieś daleko na Sądzie Bożym, tylko jeszcze tu, na ziemi miały być ukarane zwłoki. Straszyl bardzo dobitnie. Opowiadał, jak to z grobu małego dziecka ciągle ukazywała się jego mała rączka. Trwało to długo. Matka w rozpaczę pytała z jakiego powodu tak się dzieje. Odpowiedź nadeszła z góry – Dziewczynka zgrzeszyła nieposłuszeństwem i nie została ukarana. Teraz prosi, żeby matka ją ukarała, uderzając małą rączkę. Kiedy matka szlochając zrobiła to co nakazał głos, mała rączka zniknęła, a zmarłe dziecko mogło zasnąć w spokoju. Jeszcze była opowieść o kobiecie, która budziła się w trumnie z letargu. Też za karę. Kiedy Joanna wróciła z kościoła do domu, pobiegła prosto do mamy wołając: – Mamusiu obiecaj mi, obiecaj! – Co córeczko? – Obiecaj mi zaraz, że jeśli umrę, to wyniesiesz mi serce...! Dziwne, że mama nie poszła do samego kardynała ze skargą na głupiego i okrutnego księdza...

Joanna nigdy nie przeboleła, że w dzieciństwie była odsuwana od taty. Nie była jednak całkiem pewna czy on palił się do spędzania czasu z dziećmi. Raz tylko udało się jej pojechać z tatą na jezioro Augustowskie. Mama zawiozła ją do słynnego dr Rydigerę, żeby uzyskać od niego podparty argumentami medycznymi absolutny zakaz wyjazdu Joanny z tatą na wakacje. Biedaczka zapłaciła słono za prywatną wizytę. Pan doktor zbadał dziewczynkę starannie, a potem zerknął na nią z uśmiechem i zapytał: – A ty bardzo chcesz jechać z tatusiem? – Spojrzała mu głęboko w oczy i odpowiedziała rozmarzona: – taaak, baaardzo! – To możesz jechać. Cieszysz się? – odpowiedział dobry doktor.

Dzięki mądrości doktora mając dwanaście lat Joanna spędziła z tatą niezapomniane wakacje. Przepłynęli kajakiem jezioro Wigry, Czarną Hańczę, jezioro Augustowskie, a małą rzeczką Blizną wrócili na Wigry. Nocowali w chałupach i stodołach chłopskich. Ogromna męska koszula nocna ochraniała ją na wodzie od stad komarów, miała kleszcza w samym pępku. Ku przerażeniu taty przepłynęła ponad sto metrów sama do wyspy. Przeżyli na kajaku potężną burzę na środku jeziora. Była brudna i szczęśliwa. Miała tylko jeden problem. W tym czasie ukazały się zaczątki piersi, które skrzętnie ukrywała pod stanikiem typu płachta. Zdejmowała go, kiedy byli tylko z tatą. O zgrozo, kiedy spotkali kuzynów taty, Joanna przez całą godzinę gadała z nimi, zanim dotarło do niej, że nie ma na sobie stanika. Pewnie, oni w ogóle tych małych pączków nie zauważyli, ale Joanna nagle umknęła do namiotu purpurowa ze wstydu. Kiedy była całkiem dorosła opalała się topless na wielu obcych plażach bez cienia skrzepowania.

Anulka miała chyba lepszy kontakt z mamą. Joanna oczywiście kochała ją bardzo, ale była za mała, żeby zrozumieć i akceptować widoczne na co dzień rozgoryczenie i gwałtowność reakcji. Uciekała na Zaciszną – wygodną, zamożną i bezproblemową. Tak jej się w każdym razie wtedy wydawało. Wuj zarabiał znakomicie. Był wziętym ginekologiem. Spędzał tydzień w szpitalu i swoim gabinecie na Kruczej, a w niedzielę zjeżdżał do domu. Gospośnia Lucia gotowała znakomite obiady – zupa rakowa, zupa nic, gruszki pod beszamelem, różne kremowo-owocowe desery, pieczone kurczaki i mnóstwo innych przysmaków. Joanna był zawsze mile widziana, głównie jako najukochańsza zabawka Anisi. Któregoś dnia postanowiły sprawdzić jak smakuje papieros. Poszły do kiosku, wspięły się na palce i poprosiły o „jedną Nysę”. Zaciągnęły się, krztusząc się oczywiście i wrzuciły niedopałek do miski klozetowej. Spuściły starannie wodę, ale nie przewidziały, że papierowy ustnik był niezatapiający. Ślad zbrodni został zauważony przez gospośnię, która poinformowała obie mamy. Ciocia, jako osoba niepaląca była oburzona. Zrobiła z tego wielką aferę włączając do sprawy najwyższy autorytet lekarski, wujka Edwarda.. Mama była raczej ubawiona.

W lecie, w ogrodach podawane były na starej porcelanie słynne milanowskie podwieczorki z truskawkami, przeciwstawiane po latach w piosence Agnieszki Osieckiej „kalarepie z Wołomina”. Wszyscy, którzy kiedykolwiek uczestniczyli w milanowskich elitarnych podwieczorkach spędzanych w gronie ludzi z innej epoki, mówiących jeszcze pięknym językiem, nie poddających się poniżeniom i chamstwu panoszącego się wokół komunizmu, rozumieją znaczenie tego porównania. Taki sam nastrój panował w tych czasach w innych oprócz Milanówka podwarszawskich enklawach ziemiaństwa – Skolimowie i Podkowie Leśnej. We wszystkich tych miejscowościach zachowało się coś ulotnego z przedwojennych czasów. Stare wille z nastrojowymi werandami, zdziczałe duże ogrody. Była w tych miejscach, pokryta patyną czasu, lecz w jakiś nieuchwytny sposób zachowana elegancja i wdzięk ludzi tych lat, którzy z uporem bronili starego, pogodnego, uczciwego i patriotycznego świata, piękna, wartości intelektualnych. Było nie do pomyślenia aby w tym towarzystwie pojawił się ktokolwiek związany z reżimem. Ludzie partyjni nie byli przyjmowani. Chyba nikt, tak jak byli ziemianie, nie bojkotował w sposób oczywisty i naturalny wszystkiego co miało związek ze zniechędzonym systemem. Nieraz Joanna zastanawiała się dlaczego tak było. Na pewno wiele stracili, ale jakoś z tym się godzili. Siła wyższa zmiotła ich domy, parki i ukochane rozległe ziemie. Nie runęły na kolana. Zachowali godność i pogodę.

Ziemiaństwo było przed wojną bardzo zwartą grupą, spotykali się na balach, dzieci uczyły się w tych samych prywatnych szkołach, mnóstwo ludzi było spokrewnionych. Ziemianie utrzymywali ściśle towarzyskie stosunki sąsiedzkie. Kiedy po latach Joanna jeździła samochodem przez Polskę z ciotką lub mamą, obie często wskazywały pozostałe po dworskich parkach kępy drzew w tysiącach miejscowości i mówiły – to był majątek iksińskich. Znały setki ziemian z całej Polski. To był swo-

isty fenomen. Tradycja powstań, samoistnego buntu przeciwko wszelkiej przemocy, wpajane przez wieki pragnienie wolności i niezależności – to wszystko miało wpływ na wspaniałą postawę ziemiaństwa polskiego. Była też swoista kontrola środowiska – czarna owca wdająca się w jakiegokolwiek konszachty z komuną była automatycznie wyłączana z towarzystwa. Joanna wspominała nieraz jak wstydliwie i z oburzeniem mówiła mama o swoim kuzynie, który się „ześwinił”. Po prostu przestał istnieć.

Po latach podziękowała mamie (taty już nie było). Wychowali ją w taki sposób, że nie miała nigdy wątpliwości jak zareagować, kiedy jakiś reżimowiec próbował kokietować ją do jakiegokolwiek współpracy. Było oczywistym, że nigdy nie umoczy w tym rąk. Dzięki takiemu wychowaniu nietrudno, a wręcz naturalnie, można było pozostać przyzwoitym człowiekiem. Podziwiała tych, którym wbrew wychowaniu w atmosferze komunistycznego zakłamania nie brakło odwagi. To dopiero byli wspaniali ludzie!

Wkrótce po przyjeździe do Milanówka Joanna z Anisią zaczęły się uczyć na prywatnych kompletach.. Potem był egzamin do szkoły podstawowej. Na kompletach przerabiany był program pierwszej klasy, więc zdawały do klasy drugiej. Egzamin odbywał się w powojennej siedzibie szkoły, tuż za górką. Pan dyrektor egzaminował osobiście. Zadawał mnóstwo pytań. Zapamiętała jedno – Przez jakie u pisze się kózka? – Odpowiedź była prawidłowa, tak jak zapewne i inne. Dyrektor zaproponował żeby Joanna poszła od razu do trzeciej klasy. Taki werdykt spotkał się z jej ostrym sprzeciwem. Wbrew zdrowemu rozsądkowi i własnemu dobru postanowiła zostać w drugiej klasie razem z Anisią, której dyrektor nie zaproponował skoku do klasy trzeciej. Czy rodzina Joanny musiała się zawsze zgadzać na jej głupie wybory? Pewnie cioci zależało na tym, żeby Joanna nie była lepsza od Anisi, a mama nie wykorzystała nadarzającej się okazji, żeby oddzielić Joannę od kuzynki, choć czuła intuicyjnie, że to nie jest dla Joanny dobra przyjaźń.

Odtąd życie Joanny przez kilkanaście lat pozostało ściśle związane z Anisią. Nie wiadomo jak jej życie potoczyłoby się bez tego znaczącego wpływu, ale na pewno byłabym kimś innym. Niekoniecznie lepszym lub mądrzejszym, ale na pewno innym.

Milanówek zamieszkiwała w większości przedwojenna inteligencja warszawska. W szkole dawało się zauważyć wyraźny podział na dzieci z domów inteligentnych i na grupę mocno zawoszonych chłopskich dzieci z okolic wiejskich. Oprócz tego był Leonek – syn warszawskiego tapicera. To on był zakałą klasy tępioną przez nauczycieli, wzbudzającą głupawe chichoty klasy w trakcie lekcji. To on za karę pocałował Joannę na śnieżnej górcie w policzek. Pocałunek był mocny i bardzo obślizniony. Joanna, okropnie oburzona, pędziła do domu, żeby jak najprędzej zmyć z twarzy nienawistny, mokry ślad.

W marcu 1953 roku, kiedy była w czwartej klasie, zmarł Stalin. W szkole została ogłoszona cisza na cześć znienawidzonego przez Polaków okrutnego wodza. O zgrozo, Leonek zaśmiewając się głośno i pokrzykując skakał przez ławki, a struchlała ze strachu wychowawczyni gnadała za nim krzycząc: – Aj Aj Aj Leonku siadaj,

Ajajaj! co mi zrobią! – Aż wypadła biedaczce na podłogę sztuczna szczeka. Wywołało to donośny wybuch śmiechu całej klasy. W drzwiach stanął Dyrektor. Zaległa cisza. Wyznaczony czas żalobnej ciszy po sowieckim wodzu został wyraźnie zbeszczeszczony. Miecz nieubłaganej kary zawisł nad głową biednej pani. Na szczęście dyrektor był niesłuchanie przyzwoitym człowiekiem. Pani była bezpieczna. Nikt się nie dowiedział. Jak w każdej szkole i instytucji była i w tej komunistyczna wtyka – towarzyszka Oglińska – tleniona rosła blondyna z gładko zaczesanymi do tyłu włosami i nisko upiętym kokiem z plecionych warkoczy. Miała rysy Rosjanki i pewnie nią była. Zajmowała się drużyną pseudoharcerską, czyli tzw. organizacją harcerską OH. Tylko Joanna i Anisia nie należały do tego komunistycznego tworu, tak jak Anulka nie wstąpiła tym samym czasie do gimnazjalnego ZMP. W szkole odbywały się apele i „akademie na cześć” z przemówieniami i pokazami. Joanna chodziła na lekcje rytmiki. Grupa tańczyła ludowe tańce. Na jedną z akademii przygotowano skecz. Joanna była przebrana za starą siwą ciotkę. Miała przypudrowany mąką staromodny kok, staromodną czarną suknię z żabotem, czarne rękawiczki i binokle. Starsze klasy nie mogły uniknąć występów politycznych. Najbardziej upamiętnił się dzień, kiedy drużyna gimnastyczna wykonywała ćwiczenia akrobatyczne. Najlepsza z gimnastyczek, Basia, miała w takt muzyki powiedzieć jakiś wierszowany pean na temat Stalina. Słuchacze zamarli kiedy Basia kończyła każdą zwrotkę wznosząc obie ręce w górę. Skandowała przerażająco wyraźnie: „*Niech żyje SRALIN! SRALIN! SRALIN!*”. Rodzice siedzieli struchlali z lęku o Basię i jej rodzinę. I to jakoś uszło na sucho. Mogło się to zdarzyć chyba tylko w reakcyjnym Milanówku, w szkole prowadzonej przez wspaniałego dyrektora Uniejowskiego.

Nowa, obszerna i wygodna szkoła znajdowała się na ulicy Literackiej. Nosiła imię prezydenta ludowej Polski, Bieruta. Joanna i Anisia nie spędzały wiele czasu na lekcjach. Trzeba było przejść wszystkie choroby zakaźne i długie po nich okresy rekonwalescencji spędzane głównie na pochłanianiu mnóstwa ciekawych książek. Było też wiele angin i przeziębień, szczególnie po wiosennym pływaniu na krach lub zbieraniu kaczeńców. Wracały do domu z kompletnie mokrymi nogami. Babcia zdejmowała mokre buty i skarpetki. Nalewała gorącej wody do miednicy by jak najszybciej rozgrzać ich przemarznięte stopy. Kiedy były duże mrozy szkołę zamykano. A zimy zdarzały się wtedy siarczyste. Trudno zliczyć ile usprawiedliwień rocznie pisali rodzice, ale dziewczynki miały mnóstwo czasu na znakomite zabawy o każdej porze roku. Późną wiosną przyjeżdżały na Zaciszną stare nauczycielki na swoich starych rowerach, żeby wbić im do głowy cały materiał przed końcem roku. Oceny były znakomite, a zabawy jeszcze lepsze.

Kiedy Joanna miała dwanaście lat pojechały z Anulką i z mamą na wakacje do Czorsztyna. Były tam dwie dziewczynki w odpowiednim wieku. Jednak największą atrakcją był film. W zamkach Czorsztyńskim i Niedzickim kręcono „Podhale w ogniu”. Film był o Kostce Napierskim „przywódcy ludowym” chyba z XVII wieku. Były – jako kuzynki oryginalnego Kostki, nieślubnego syna króla Władysława

i pra pra ciotki mamy, Bzowskiej – mile widziane na planie. Anulka miała adoratora, asystenta operatora, a Joannę ulubił sobie aktor Maciej Maciejewski. Mówił, że przypomina mu jego żonę i ściskał ją czule. Któregoś dnia kręcono scenę szturm na zamek czorsztyński. Atakowali żołnierze na koniach z lancami postawionymi na sztorc. Z zamku na szarżujące wojsko zrzucano tekturowe kamienie. Kiedy nakręcono już scenę, mama nieśmiało zwróciła uwagę reżyserowi, że widziała jak wielkie głazy nabijały się na lance, a chłopcy galopowali dalej. Scenę powtórzono.

Chodziły na wyprawy w Pieniny. Na Sokolicę i Trzy Korony. Jeździły do Krościenka i pobliskiej Szczawnicy. Pływały w Dunajcu, grały w siatkówkę, a z nimi grał wesoły ksiądz... przyszedł papież... Któregoś dnia nad Dunajcem spotkały się z pięknym bratem mamy i jego rodziną. Joanna stała zamyślona nad brzegiem spienionej rzeki, kiedy nagle wyłoniła się na chwilę z wody dziecinną pięta. Błyskawicznie schyliła się i wyciągnęła za nogę krztuszące się dziecko. Była to pięcioletnia córka wuja, Marta, która niecauważalnie podeszła do skarpy i wpadła do rwącej wody. Wujostwo z płaczem tuliło małą, cudem uratowaną córeczkę, i jej wybawicielkę.

W tym samym roku Joanna dołączyła do sekcji gimnastycznej. Były z równolatką Joską najmłodszymi dziewczynkami. Pupilkami wszystkich. Jośka była szalenie zdolna. Mała, krępa, mocna i uparta. Ćwiczyła znakomicie. Joanna ćwiczyła dla przyjemności. Była wysoka i szczupła, miała długie, patykowate nogi i chwytną rękę. Uwielbiała ćwiczenia na przyrządach – poręczach, kółkach i drążku. Skoki, ćwiczenia wolne i na równoważni też były przyjemne, ale Joanna nie była giętka, a szpagat też nie był jej najmocniejszą stroną. Natomiast uwielbiała zawody i ćwiczenie przed publicznością. Jak zwykle chciała się podobać. Nie miała tremy. Ćwiczyła dużo lepiej niż na treningach. Trener Józio był zachwycony. Dostawała znakomite noty, lepsze niż dłużej ćwiczące od niej koleżanki. Rzadko bywała pierwsza, ale dyplomów za miejsce drugie i trzecie miała wiele. Mama, która jako opiekunka sekcji i matka dwóch zawodniczek jeździła z gimnastyczkami na zawody i obozy, zapytała sędziinę, dlaczego tak się dzieje. Wyjaśnienie było następujące – Ona ma wdzięk, jest ładna i wygląda jakby sobie koncertowo gwizdała, zamiast stresować się jak większość zawodników. Zawsze będzie dostawała wyższe noty, niż na to naprawdę zasługuje. – Coś z tego chyba zostało. Kiedy Joanna pracowała, robiła często prezentacje na seminariach. Spotykała się zwykle z aplauzem słuchaczy. Zastanawiała się, czy to co mówiła było naprawdę tak interesujące, czy też dostaje nadal wyższe noty za sposób bycia – za wdzięk?

Bardzo miłe były wyjazdy na obozy sportowe. Jechało się pociągami, nocą, oczywiście trzecią klasą. Jośka i Joanna, jako najmłodsze w grupie, zajmowały najlepsze miejsca do spania, czyli górne półki na bagaże. Nie wiadomo jakim cudem nie spały nigdy we śnie na starsze koleżanki, gniotące się na siedzeniach i podłodze przedziału. Uroczy był letni obóz w Giżycku. W Bielsku spały w szkole, która graniczyła ze spacerowym ogródkiem więziennym. Przez dwa tygodnie dziewczynki rzucały przez okno więźniom papierosy podkradane mamie i innym osobom. Dziewczynki

domyślały się, że mama specjalnie kupowała ich znacznie więcej niż zwykle i zostawiała je na widocznych miejscach. Więzienia w tych czasach nie były tylko karą dla przestępców. Siedziało w nich wielu przywoitych ludzi – więźniów politycznych.

Gimnastyczki stanowiły zgraną, zróżnicowaną wiekiem grupę, zaprzyjaźnioną i lojalną wobec siebie nawzajem, trenera Józia i mamy. Mama zajmowała się grupą od początku i uwielbiała to. W czerwcu 1956 roku mama z Anulką pojechały na zawody do Szczecina. Pociąg stał długo na poznańskim dworcu. Mama truchlała ze strachu o powierzone jej dziewczynki. W Poznaniu było prawdziwe powstanie. Widziały czołgi. Słyszały strzały. Pasażerowie pociągu obserwowali przez okna podniecony, rozbiegany tłum. Można sobie wyobrazić jak wielką ochotę miała mama, by wysiąść i dołączyć do tych wspaniałych ludzi, skorzystać z okazji. Przeżyć z nimi te chwile grozy i dumy. Polska znów walczyła, a Oni się bali – nareszcie, po tylu latach przeciągającej się w nieskończoność próby zniewolenia kochającego wolność narodu. Ale cóż, musiała biedna mama zostać w wagonie i jak przestraszona kwocka strzec pod swoimi skrzydłami kilkanaście dziewczynek. Po latach wspominała:

„Miałam pod opieką kilkanaście dziewczynek. Jechała z nami grupa chłopców z sekcji „Start”, ich opiekun i oczywiście trener Józio. Nie było z nami Joanny i Jośki, bo nie skończyły jeszcze, obowiązujących na zawodach, 14 lat. Pierwszym sygnałem były wypowiedzi starszego małżeństwa... rano mieli lecieć do Poznania samolotem, ale na Okęciu powiadomiono ich o odwołaniu lotów, bez podania przyczyny. Pogoda była ładna. Targi Poznańskie w toku. Zaczęło się ściemniać. Pociąg zatrzymał się na jakiejś małej stacyjce przed Poznaniem. Postój przeciągał się niepokojąco. Zapytany kolejarz odparł „A jak jechać bez lokomotywy?”. „Nie chcą jechać, to się nie pojedzie”.

Zrobiło się ciemno. Dziewczynki drzemały na ławkach, półkach, walizkach i kocach rozstawionych na korytarzu... Urywki rozmów... Coś się dzieje w Poznaniu. Pantoflowa poczta działała... Zdobywane wiadomości trąciły sensacją... niebezpieczną. Po dwóch godzinach pociąg drgnął – przyczepiono lokomotywę. Ruszyliśmy wolniutko, przystając jeszcze kilka razy, zanim pociąg wjechał na poznański dworzec. ... Z obu stron peronów słychać było strzelaninę. Przez magnetofon stacyjny nadawano komunikaty: „Pasażerów przybywających do Poznania wzywa się do pozostania w budynku dworcowym: pasażerowie przejeżdżający przez Poznań do innych miast obowiązani są do pozostania w pociągu.” Dziewczynki spały. Tylko jedna spytała sennym głosem „Kto to strzela?” Powiedziałam coś uspokajającym tonem i wysłałam na korytarz. Po chwili wysunęły się z przedziału dwie dziewczynki. Stanowczym głosem powiedziałam sucho: „Wejdźcie do przedziału i połóżcie się spać!”. Miałam jakieś przekonanie, że w pozycji leżącej będą mniej narażone na jakieś zbłąkane kule. Zastanawialiśmy się czy wysiąść i pozostać na dworcu, czy jechać dalej do Szczecina. To co widziało się z okien, nie zachęcało do wyjścia. Jakieś grupy biegnących ludzi, krzyki, nawoływania. Postanowiliśmy czekać. Wyszłam cicho do przedziału i przycupnęłam w kącie. Myśli kłębiły mi się w głowie. Dziewczynki budziły się – strzały i hałas na dworcu przestraszyły je. Uspokajałam,

tłumacząc, że nic im nie grozi. Nie pozwoliłam im wychodzić z przedziałów. Bałam się kul, ale bardziej ich nieopatrznych słów, które mógł ktoś niepowołany usłyszeć.

Staliśmy na dworcu całą noc. Około 9 rano pociąg ruszył. Dojechaliśmy do Szczecina... wyczuwało się ogólne zdenerwowanie. Wkrótce wiedziałam co się stało w Poznaniu. Kupiłam dziewczynkom kartki pocztowe, polecając skreślenie kilku słów do rodziców. Zaznaczyłam, że nie wolno wspominać o nocnych przeżyciach... nie wiedziałam kiedy uda nam się dotrzeć do domu. Chciałam, żeby rodzice wiedzieli, że są bezpieczne. Zawody odbyły się. Kartki dotarły do Milanówka tego samego dnia co dziewczynki”.

Joanna w tym czasie siedziała z babcią i tatą przy radiu PIONIER słuchając bez przerwy Wolnej Europy. Ach, co to były za chwile podniecenia, radości i poczucia solidarności z poznaniakami. Niepokoili się o podróżniczki, ale kiedy po powrocie opowiadały o swoich przeżyciach. zazdrościła im tej wielkiej przygody. Były tak blisko. Historia działa się na ich oczach. Miały okazję otrzeć się o prawdziwe niebezpieczeństwo i prawie dotknąć bohaterów wydarzeń. A Joanna nie... to takie dziwne pożądanie doznania chwili grozy, która zamieniona we wspomnienie pozostaje na zawsze przedmiotem ciekawych opowieści, których słucha się z wypiekami na twarzy. Przez chwilę, przez Polskę i przez Węgry przemknął powiew wolności... Niezapomniany...

Na zawsze pozostał jej w uszach głos płynący z radia Wolna Europa kiedy wybuchło powstanie na Węgrzech. Płakała, gdy wkroczyły tam radzieckie wojska. Zabijali. Potem proces wspaniałego Imre Nogy?. Rozpacz, kiedy został stracony. Nadzieja przysła. Jednak te pierwsze zwiastuny buntu zasiały w ludzkich sercach wizję wolności. Zawsze już odtąd tkwiło przekonanie, że kiedyś się uda wyrwać z niewoli. Wiedziała już, że ten kolos opiera się tylko na sile czołgów i kłamstwach.

Właśnie w czerwcu 1956 roku Joanna skończyła szkołę podstawową. Rok tak pamiętny dla polskiej historii. Nie było już na świecie Stalina. Na wiecu po Pałacu Kultury tłumy wiwatowały na cześć Gomułki. Cały świat podziwiał bohaterskich Węgrów, rozumiejąc nareszcie, że ten destrukcyjny system był narodem, na wskroś europejskim, narzucony siłą. Że nie było w tym krzty chęci ani zgody mieszkańców zniewolonych krajów. Tyle lat Zachód dla spokoju własnego sumienia okłamywał się tłumacząc swoją akceptację zaanektowania przez Związek Radziecki tych krajów obietnicą przeprowadzenia w nich wolnych wyborów. Były one faktycznie jednym wielkim oszustwem. Zabito wielu członków partii Mikołajczyka, a jego samego wywieziono za granicę. Nie dano żadnej szansy. Teraz wszystkim wydawało się, że czarna chmura komunizmu nareszcie odpłynie. Mamy brat co prawda wypowiedział się na temat nadziei Polaków dość sceptycznie – stara spółka... plus Gomułka. Faktem jednak było, że tysiące ludzi więzionych w kazamatkach, w celach śmierci, ludzi skatowanych i wyniszczonych – wyszło na świat. Nastąpiły „rehabilitacje”, zdarzały się nawet symboliczne wypłaty pieniężnych odszkodowań za doznane krzywdy. Tak jakby można wyrównać taki rachunek marnymi pieniędzmi! Otworzyły się nieco ludziom usta, zamknięte dotąd terrorem. I to już było dużo.

Mama wspominała, że jej partyjni „koledzy” z banku stali się służalczy i starali się przypodchlebiać mamie, jakby „zabezpieczali sobie tyły”. Delegacje pracowników wybrały się do KC na „otwarte dyskusje”. Kiedy zebrało się więcej osób wszystkich zaproszono do sali. Jeden z oficerów z wojskowej delegacji spytał o wyjaśnienia w sprawie aresztowania i stracenia 19 generałów. Starszy pan pytał o los tych, którzy nie wrócili z lagrów sowieckich. Był tam jego syn. – Za co? – pytał. – Za to, że był w armii polskiej, którą nazwano bękartem traktatu wersalskiego – padła odpowiedź. Pytań było wiele, odpowiedzi enigmatyczne. Towarzysze wili się w zakłopotaniu i lęku. Ktoś spytał czy Gomułka pojedzie do Moskwy, bo może być to dla niego ryzykowne. Partyjny dyrektor mamy banku chciał się zasłużyć. Wyjąkał – niech lepiej nie jedzie, niech nie jedzie. Odpowiedź była piękna – Towarzysze, ja wiem o co wam chodzi... ale zapewniam, że towarzysz Bierut naprawdę był chory! – Dziwnym trafem wrócił z ZSRR, któremu bałwochwalczo służył – w drewnianej trumnie. Nikt nie miał wątpliwości, kto maczał w tym palce. Naród za nim sobie oczu nie wyplakiwał. Wiadomo było, że w Moskwie wykańczano bez skrupułów i swoich, gdy stawali się zbędni.

Noce i zajęcia gimnastyczne były właściwie jedynymi okresami, których Joanna nie spędzała z Anisią. Coś ciągnęło ją z wielką mocą do kuzynki mimo, że czuła wyraźny opór wewnętrzny przed jej dominacją. Cieszyły Joannę z nią zabawy i tysiące wspólnych spraw i sekretów. Jednocześnie odczuwała silne pragnienie wyzwolenia, powiększające się z wiekiem. Pewnego dnia, jeszcze w szkole podstawowej Anisia obraziła się na kilka dni, bo Joanna próbowała zaprzyjaźnić się z inną dziewczynką. To były wspaniałe chwile. Była wolna! Mogła rozmawiać i bawić się z kim chciała. Mogła odwiedzać inne koleżanki. Mogła być sobą – odrębną, samodzielną postacią. Uczucie było niezapomniane. Jakby zrzuciła z siebie balast. Wkrótce wróciły normalne układy między nimi. Joanna mogła należeć tylko do Anisi, być tylko jej echem. I była ukochana. Anisia nie wyobrażała sobie życia bez Joanny. Była jej siostrą, przyjaciółką, najbardziej lojalnym i wiernym stworzeniem, na które zawsze mogła liczyć. Od chwili przyjazdu do Milanówka Anisia wzięła ją na własność, kazała się kochać bezapelacyjnie. Nie miała być sobą, tylko Anisiowym cieniem. Na tle Joanny miała błyszczeć i rosnąć w siłę. Była jak magnes od którego Joanna nie potrafiła się oderwać. Ciocia wspierała ten związek, czując, że jej córka stawiała się szczęśliwa, bezpieczna i coraz mocniejsza. Anisia czerpała z tej przyjaźni siłę i poczucie własnej wartości. Te tak ważne cechy, które, swoją zachłannością jakby z Joanny wyssała na długie lata.

Anisia miała nieujarzmione poczucie własności w stosunku do najbliższych sobie osób. Zagryzłaby jak wilczyca każdego, kto śmiałby spróbować naruszyć jej święte prawo własności do tych osób. Kiedy tylko Joanna próbowała od niej odejść, mówiła z rozpaczą w oczach: „Nie kochasz mnie?”. Joanna pełna rezygnacji, wzdychając ciężko, szepotała: „kocham” i wracała do Anisi pełna skruchy i wielkiego smutku. Był to wielki szantaż emocjonalny. Joannie wydawało się, że ją kocha, a kochanych ludzi nie można zdradzać ani ranić. Podległość nie leżała w naturze Joanny.

Była jednak jak zaczarowana i powoli traciła osobowość i odrębność. Szła znów, jak zwykle, krok za przyjaciółką kompletnie unicestwiona.

Musiła być partnerką do wyśmiewania się ze wszystkich, a przede wszystkim miała stanowić bezbarwne tło na którym miała błyszczeć Anisia. Nie było mowy, żeby to na Joannę spojrzął jakiś chłopiec lub żeby zaprzyjaźniła się z kimś innym – choć na chwile.. To przez to Joanna nie lubiła szkoły, uczyła się niechętnie, gdyż nie mogła mieć lepszych od kuzynki stopni, co nie było zresztą trudne do osiągnięcia. Wszelkie ambitne pomysły były krytkowane lub wyśmiewane.

Å z kolei w domu wyśmiewano jej podległość. Anka wołała – służka, służka, wyjdź spod łóżka! – Nigdzie nie czuła się pewnie i dlatego coraz częściej uciekała w samotność i wyobraźnię. Szła daleko na łąki, siadała w lasku olszynowym i puszczała wodze swoim własnym myślom. Nawet tak kochana w dzieciństwie babcia nie potrafiła jej pomóc, gdyż tak jak cała rodzina była deprecjonowana w Joanny oczach przez ciocię, wuję i Anisję. Nazywali ją „Babcia sówka”, a babcia była wspaniałą bajką, niezrozumiałą dla prozaicznej rodziny z Zacisznej i niestety też dla domowników. Tak bardzo żał dzieciństwa, którego nie zniszczyła bieda, ale źle umiejscowiona przyjaźń. Ciocia zawsze mówiła – jak ja je lubię razem – a mama – jak ja je lubię osobno.

Któregoś dnia robiły kawały telefoniczne. Pomysłów było mnóstwo. Kiedy Rosjanie wysłali na księżyc pierwszego astronautę zadzwoniły do bardzo skromnego, pobożnego i nieśmiałego ojca koleżanki szkolnej i jej dwóch małych sióstr. Powiedziały – Chcesz się cieszyć dzielnym synem, pokryj żonę Gagarinem – Biedaczek zmarł z oburzenia. Kawały skończyły się w momencie kiedy jakąś pani powiedziała – Dzieci, wy sumienia nie macie, ten człowiek wczoraj umarł –. Były zdruzgotane... telefony wybierały na chybił trafił...

Joanna uczyła się uciekać od problemów. Z domu rodzinnego na Zaciszną, do Anisi i cioci, która dziewczynkom pozwalała na wiele swobody i cieszyła się z ich przyjaźni. Od Anisi umykała do domu. Najczęściej jednak uciekała od obydwu rodzin w samotność. Miała skrytkę w ogrodzie, miała ogromną czereśnię, gdzie mogła się ukryć wysoko na grubym konarze. Czasem wędrowała samotnie po polach, które ciągnęły się tuż za ich ogrodem. Nieraz wtulała się w ciepłe futerko suczki Unrusi i płakała, wylewając milczącej powiernicy swoje smutki. Presję czuła ogromną. Nie była pewna czyja prawda jest właściwa. Filozofia matki Polki, której hołdowała mama, czy uroki materialnego lekkiego życia na Zacisznej, pod okiem zabawowej cioci. Zapomniała, że prawda, która stała się jej w późnym, dorosłym życiu najbliższa to świat wolności myśli, tolerancji, piękna duszy, natury i sztuki wyznawane przez babcię i tatę. Była tuż obok! Ale tata i babcia byli traktowani przez ciocię i mamę, wychowane nieco zaściankowej polskiej tradycji, jak lekkoduchy. Myśli ich były zbyt lekkie i swobodne jak na polskie zaściankowe zwyczaje i ciężką atmosferę przynębiającego komunizmu. Babcia robiła co mogła. To od niej sączyło się jednak do umysłu Joanny nieodparte pragnienie wolności, nie liczenie się z konwensami, akceptacja tego co inne, ciekawość świata i ludzi. Tata śmiał się z Joanny

żartów. Mieli podobne poczucie humoru. Uczył ją dostrzegania piękna, podsuwał lekturę myślicieli starożytności i przełomu 19 i 20 wieku. Mama lubiła polską klasykę Sienkiewicza i pozytywistów. Takie książki Joanna też czytała. Ciocia polecała lekką literaturę współczesną. Z Anisią dobierały się do podręczników medycznych wuja z zakresu ginekologii. Jako podlotki zdobyły „Małżeństwo doskonałe” Van der Vel-da (?). Zostały nakryte przez mamę. Niezwykle oburzona krzyczała histerycznie na ciocię, która zaśmiewała się, wyraźnie bagatelizując całą sprawę. Rzeczywiście po lekturze podręcznika medycyny sądowej starannie studiowanego przez dziewczynki „Małżeństwo doskonałe” było tylko niewinną lekturą.

Kiedy pojawiła się telewizja, mama zabierała córki do znajomych by oglądać poniedziałkowy teatr telewizji, a czasem czwartkową „Kobrę”. Śmieszne to były czasy, kiedy istniał tylko jeden program telewizyjny. Wszyscy oglądali zawsze to samo. Miało to pewien urok. Na drugi dzień wszędzie toczyły się dyskusje o oglądanych filmach i programach. To była pożywka wspólna. Wielu wspaniałych ludzi robiło wszystko, żeby przemyć do ówczesnych mediów jak najwięcej wartościowych przekazów. Robili to wbrew nakazom komunistycznych władz, cenzorów i sprzedajnych telewizyjnych i radiowych szefów. Naród zyskał jeden wyjątkowy dar. Umiejętność czytania między wierszami. Polacy stali się prawdziwymi w tym mistrzami. Wśród wylewającego się zewsząd fałszu wylapywało się perełki słów prawdziwych. I to o tym głównie dyskutowało się w domach, biurach szkołach i pociągach. Naród stawał się papierkiem lakmusowym prawdy i kłamstwa.

W domu Joanny nikt nie ukrywał prawdziwej historii zniewolenia narodu przez reżim sowiecki. Obie z Anisią wiedziały o zbrodni katyńskiej, o zatrzymaniu się Czerwonej Armii na prawym brzegu Wisły, gdzie Rosjanie w bezruchu wyczekiwali na wymordowanie rękami niemieckimi najwspanialszych Polaków i ostateczne zniszczenia miasta. Znały losy wojenne rodziny i znajomych. Wuj Edward jako lekarz wojskowy znalazł się w katyńskim obozie. Spędził jako chłopiec wiele lat w Rosji, gdyż jego dziadek budował kolej transsyberyjską. Zdawał sobie sprawę, że oficerowie zostaną zamordowani. Chodził od jednego do drugiego i proponował im natychmiastową ucieczkę. Nikt mu nie uwierzył. Oficerowie twierdzili, że Rosja podpisała konwencję genewską i nikt nie tknie wojennych jeńców. Nic nie mógł wskórać. Uciekł przez zieloną granicę do Warszawy, a tysiące oficerów pozostało w zbiorowych mogiłach z przestrzelonymi czaszkami. Wiedziały o Syberii, gułagach, zawłaszczanie majątków. Joanna, jak przez mgłę pamiętała czerwone napisy „Trzy razy tak” przed pierwszymi po wojnie wyborami, które miast uzgodnionych w Jałcie wolnych wyborów stały się farsą i fałszem, na który zachodni alianci przymknęli oko. Poznała grozę ubeckiego kotła i eksmisji z ukochanego Sopotu. Kiedy pisała szkolne wypracowania, często pytała czy dane wydarzenie było prawdziwe, czy to wersja „do szkoły”. Wielu nauczycieli było wspaniałych. Starali się za wszelką cenę, przekazać dzieciom najlepiej pojętą wiedzę, ale kontrola była silna i bezwzględna. Musieli bardzo uważać na to co dzieci piszą w swoich zeszytach i na klasówkach.

Anusia zdała maturę w tym samym roku kiedy Joanna i Anisia rozpoczęły naukę w gimnazjum. Gimnazjum milanowskie było szkołą o bardzo dobrej renomie. Uczyło tam wielu świetnych pedagogów. Szkoła mieściła się w starym budynku. Klasy były niewielkie. Sala gimnastyczna powstała zapewne z salonu właścicieli willi. Atmosfera była znakomita. Jakby świat komunizmu i strachu tam nie sięgał. Poziom nauczania był wysoki. Wielu uczniów dojeżdżało kolejką EKD z pobliskiej Podkowy Leśnej. W klasie Joanny była ich większość. Przeważały zdecydowanie dzieci inteligencji. Tak się dziwnie składało, że klasy angielskie skupiały ich znacznie więcej niż równoległe klasy łacińskie. Oczywiście Joanna i Anisia były nadal razem. Na początku zbierały dwóje, dopóki nie zrozumiały, że to nie jest już szkoła podstawowa, w której tak łatwo uzyskiwały niezłe wyniki bez większego przykładania się do nauki. Czasy stały się politycznie nieco lżejsze odkąd na „tronie” KC PZPR zasiadł Gomułka, który wydawał się wielu remedium na panujące zło. Niestety nie sprawdziły się oczekiwania. Gomułka był autokratą. Otaczał się pochlebcami. Odgradzał się od prawdy. I bał się, jak wszyscy przywódcy reżimowi. Jednak chwilowy oddech, którym naród zachłystnął się na chwilę, ożywił narodowe płuca i zasilił świeżym powietrzem krwioobieg i umysły ludzkie. Chwila nadziei może czynić cuda. Już nigdy potem zniewolenie nie dosięgało najgłębszych warstw, gdzie wciąż tliło się gorące pragnienie wolności.

Joanna uczyła się kiedy miała czas i ochotę. Wtedy wszystko wchodziło jej lekko do głowy i miała dobre oceny. Kiedy jednak dopadało ją lenistwo lub marzenia, było znacznie gorzej. Mama wróciła któregoś dnia z wywiadówki skonsternowana. Dowiedziała się od nauczycielki polskiego, że jej córce może stawiać wyłącznie oceny najlepsze i najgorsze. Albo nie ma o przedmiocie pojęcia, albo odpowiada znakomicie. Mama nie wiedziała czy powinna Joannę pochwalić, czy zganić. Ta sama nauczycielka powiedziała w klasie – Oj Joanno, Joanno! Zobaczysz, że Basia zajdzie daleko. Posuwa się wolno lecz systematycznie jak żółw, ale dojdzie do mety. Ty jesteś szybka jak zając, ale zbyt często lubisz ułożyć się pod drzewem i puścić wodze myślom i marzeniom. Uważaj żebyś nie prześniła życia! – Po kilku latach Joanna spotkała Basię. To ona skończyła studia, miała praktyczny zawód i stabilną rodzinę, a Joanna nadal najbardziej ceniła sobie drzewo wolnej myśli.

Historii klasę Joanny uczył sam dyrektor szkoły. Nie było to zbyt fortunne. Nie wiadomo czy z braku wiedzy, czy z lęku przed dowolnością myślenia, które było piętnowane przez reżim, pan dyrektor miał wszystkie lekcje na cały rok spisane odręcznie w zeszytach. System był prosty. Trzeba było tylko zapisać słowo w słowo, zwykle bardzo kiepski tekst, dyktowany przez jego twórcę, a na następnej lekcji powtórzyć go dokładnie tak samo. Było to bezpieczne i nieskomplikowane. Joanna nie bardzo lubiła uczyć się na pamięć nudnych opracowań. Po jej odpowiedzi dyrektor oznajmiał, chrząkając swoim zwyczajem: „nie najlepiej, trója”. Na to odzywali się chłopcy: „Panie dyrektorze, ale WARUNKI to ona ma!” Na co dyrektor patrząc na Joannę „warunki” łagodził werdykt i stawiał jej czwórki. Ta sytuacja powtarzała się systematycznie przez dwa lata. To przez te „warunki” spotkało Joannę wielkie rozczarowanie

podczas karnawałowej szkolnej zabawy. Przyszła na zabawę w obligatoryjnej białej bluzce i granatowej taftowej spódnicy na sutej halce. Na nogach miała pomalowane farbą do kaloryferów skórzane, szkolne kapcie, udające znakomicie srebrne czółenka. Amerykańska bluzeczka była bardzo skromna, z delikatnym, koronkowym żabocikiem, perłowymi guziczkami, nie prześwitująca, ale bez rękawów. Do tańca prosił ją co chwilę piękny chłopak o francuskim nazwisku, z wyższej klasy. Joanna przyłoczona zwykle przez Anisę na wszelkich zabawach, nie miała swobodnej lekkości w kontaktach z chłopcami. Owszem, miała kolegów, kumpi, ale ani ona, ani jej, nikt jakoś specjalnie nie pociągał. Tylko piękny sąsiad od sennych marzeń. Martwiła się tym jednak i któregoś dnia rozejrzała się bacznie, czy nikt jej nie widzi i napisała kredą na płocie wielkimi literami „JACEK KOCHA JOANNĘ”. Niech wszyscy wiedzą, że ją też ktoś kocha. Nie tylko Anisę. Jacków było w szkole najwięcej.

Ale tym razem poczuła bliskość i ciepło ślicznego chłopca. Tańczyli, rozmawiali. Coś ważnego nadchodziło. I wtedy podeszła do nich wychowawczyni Joanny i kazała jej natychmiast opuścić szkołę. Stali osłupiali. Nie rozumieli co się stało. Okazało się, że chodziło o to, że bluzka była bez rękawów. Joanna rozejrzała się po sali. Było tam kilka dziewczynek w bluzkach bez rękawów. Wskazała na jedną, potem drugą... – one też mają gołe ręce –. – To co innego! – parsknęła ze złością wychowawczyni. Joanna zrozumiała. Miała spory, ładny biust i seksowne ramiona. To tak rozdrażniło nauczycielkę. A może w tym chłopcu o francuskim nazwisku kochała się jej córka?

Joanna poszła do szatni łykając łzy. Była ciemna zimowa noc, a droga do domu daleka. Chłopiec chciał ją odprowadzić. Nie pozwoliła. Może wstydziła się swoich łez. A może był to pierwszy raz, gdy nie wiadomo dlaczego odgoniła szczęście. Robiła to później wielokrotnie. W momencie, gdy spotkanie z mężczyzną stawało się magiczne uciekała. Żegnała się spokojnie i odchodziła sztywno z głową wysoko podniesioną. Dopiero po fakcie zastanawiała się dlaczego to zrobiła. Nie umiała sobie na to pytanie odpowiedzieć. Nie знаła przyczyny. Czyżby lękała się szczęścia? A może bała się, że szczęście nie trwa wiecznie. Kiedyś, wbrew jej woli, ulotni się i sprawi Joannie ogromny ból. Może wcześniej, w innym życiu czegoś takiego doświadczyła?

Zaraz na początku liceum, klasa pojechała na wycieczkę szkolną do Białowieży. Zabawa była wspaniała. Zaczynały się drobne flirty i wspólne kąpiele w pobliskim stawie. Wieczorem chłopcy kupili gdzieś patykiem pisane wino marki „Tur”. Rozlano je do szklanek wszystkim obecnym, a opiekujący się uczniami osobiście dyrektor dostał zamiast wina herbaty. Był już zmierzch i kolory napojów nie różniły się wielce. Chłopcy podnieśli szklanki w górę i zawołali – Zdrowie Pana Dyrektora! – Dyrektor był zachwycony. Podniósł swoją szklankę w górę i wypił swoje zdrowie. Humory były znakomite, aż... do momentu kiedy któreś z dzieci opowiedziało tę historię w domu, a rozsierdzeni rodzice zwymyślali dyrektora za picie wina z podopiecznymi. Klasa została zawieszona i każdy osobno wzywany był do dyrektora na śledztwo. Joanna czekała na swoją kolej. Była nieco przestraszona, gdyż wszystkie dziewczynki wychodziły z przesłuchania z płaczem, a chłopcy z bardzo ponurymi minami. Kiedy

weszła, dyrektor spytał czy piła wino. Odpowiedziała zgodnie z prawdą, że spróbowała, ale wylała zawartość szklanki pod krzak, bo ten napój był ohydny. W domu spróbowała lepszego. Potem padło pytanie kto pił i kto był prowodyrem. Odpowiedziała na to, że nie jest skarżypytą i na te pytania nie odpowie. Dyrektor oburzony bezczelną odmową zaczął Joannę straszyć – Co Twoja matka na to powie, że nie chcesz współpracować? –. Odpowiedz padła natychmiast. – Nic, bo zawsze uczyła mnie i moją siostrę, żeby nie skarżyć. Kiedy jedna z nas biegła do niej ze skargą na drugą – obie dostawałyśmy klapa – jedna za donosicielstwo, druga za to co złego zrobiła. W ten sposób uczyła nas solidarności –. Biedny Dyrektor, który chciał za wszelką cenę obronić swój nadszarpnięty autorytet, nie znalazł u Joanny pomocy. Wyszła z dumnie podniesioną głową. Nie płakała. Wkrótce o sprawie zapomniano.

W ósmej klasie była na pierwszych i jedynych wagarach. Przygotowały z Anisią przemyślny plan. Postanowiły uśmiercić wspólnego dziadka, który już od wojny nie żył. Włożyły czarne opaski na ramiona i udawały, że jadą na pogrzeb. Tymczasem pod kinem „Moskwa” w Warszawie czekało na nie trzech chłopców z klasy. Obejrzeliby słynny angielski film „*Kochanek Lady Chatterlay*”. Potem wędrowali po Warszawie. Była to wspiana, niezapomniana wyprawa. Usprawiedliwienie Joanna napisała sobie sama podpisując je inicjałami własnymi, takimi samymi jak babci. Babcia miała na imię Janina, a ona Joanna, czyli ten podpis każdy mógł odczytać jak chciał.

Na zimowe wakacje udało jej się pojechać z tatą w góry. Jeździli na nartach, spali w schronisku na Gąsienicowej Hali. Kiedy pierwszy raz w życiu zjeżdżała do Zakopanego nartostradą, tata jechał przodem i wołał ostrzegawczo: „Uwaga!! Tramwaj!!”. Rozpędzona, zachłyśnięta wiatrem pędziła w dół na złamanie karku. Potem szli z nartami i plecakami z powrotem na Halę, przez Zawrat. Było bardzo zimno. W którymś momencie zatrzymała się na skraju przepaści i chłonęła bajeczny rozbielony śniegiem i ścielącą się mgłą widok. Ogarnął ją niezwykle wewnętrzny spokój i jedność z czymś duchowym, nieuchwytnym. Nie pamiętała, jak długo tam stała napawając się tym wszechogarniającym ją uczuciem. Zrozumiała, że tak powinna wyglądać śmierć. Powolne wtapianie się w duchowy, czarodziejski świat.

Po dwóch latach gimnazjum Anisia podjęła niezwykle odważną decyzję. Postanowiła kontynuować naukę w klasztornej szkole Sióstr Zmartwychwstank, na Żoliborzu. Uważała, że tam w internacie, pod ścisłą kontrolą sióstr będzie jej łatwiej skupić się na nauce. Była śliczną dziewczyną. Podobała się chłopcom i mężczyznom. Pokus było wiele. A ona uwielbiała przeglądać się w zakochanych oczach mężczyzn. Któregoś dnia siostra dyrektorka wezwała ciocię na rozmowę. Stwierdziła, że ma poważny kłopot, którego nie może rozwiązać. Anisia ubierała się prawidłowo, wedle wszelkich szkolnych nakazów, a wyglądała nieprawidłowo. Siostra nie rozumiała jak to się dzieje. A po prostu Anisia była tak piękna, że im skromniej się ubierała, tym bardziej jej uroda stawała się widoczna. Problemu nie udało się rozwiązać!

Wkrótce w Anisi zakochał się bez pamięci syn szkolnej koleżanki cioci. Miał urodę Gregory Pecka i studiował historię na UW. Miłość trwała ze dwa lata. Dopóki Anisia

nie pojechała, jak co roku, na wakacje do Jastarni. To tam zrozumiała, że jest jeszcze tylu wspaniałych mężczyzn, którzy oczu od niej oderwać nie mogą i zrobiło jej się żal. Żal, by nie stracić tych innych nie poznanych miłości. Nie mogła na zawsze pozostać z tym pierwszym, który ja pokochał. Czyż wtedy jej życie nie straciłoby sensu? Odeszła, ku ucieście zakochanej w pięknym Gregory Pecku dziewczyny, która z wielką cierpliwością na niego czekała. Wkrótce utuliła jego smutki i odbył się ich huczny ślub, na którym Anisia, z wrodzonym taktem, stanęła w pełnej krasie na tyłach ołtarza, na wprost państwa młodych, a oni spuszczała oczy, starając się jej nie dostrzegać.

Słowa „Gregor’ego” zaważyły na Joanny życiu. Napomknął na Zacisznej, że z Anisią tak lekko toczy się rozmowę, a z Joanną nie wie o czym rozmawiać. Ta wiadomość doszła do babci dosłownie przez kuchnię. Gospościa powtórzyła niani, a niania babci. Babcia postanowiła, jak potem mówiła, wstrząsnąć wnuczką i powtórzyła Joannie opinię chłopca Anisi. Wiedziała, że jej wnuczka stoi intelektualnie wyżej od Anisi. Myślała, że ją to zmobilizuje, a tymczasem Joanna zapadła się w siebie, straciła kompletnie poczucie własnej wartości na bardzo długi czas. Niby zdawała sobie sprawę, że jej inteligencja jest głębsza niż Anisi, ale bała się odzywać w towarzystwie, szczególnie w jej obecności. Natomiast Anisia miała wyrobioną zdolność ślizgania się po powierzchni konwersacji, Umiała wymknąć się zręcznie, gdy rozmowa schodziła na trudne dla niej tematy. Jej inteligencja była „użytkowa”. Joanna czuła się lepiej, kiedy rozmawiano się na tematy egzystencjalne. Kiedy spotykano się w większym gronie, wiele razy miała na końcu języka jakąś celną uwagę, czy żart, ale nie mogła się zdecydować. Moment mijał. Rozmowa toczyła się dalej. Czuła, że Anisia przygląda jej się bacznie. Bała się jej reakcji – krytyki lub wyśmiewania wypowiedzi kuzynki. Dopiero po latach Marek, mąż Anisi, zauważył ten syndrom i powiedział: – Joanno, musisz się przebić w towarzystwie. Mów od razu, co ci przyjdzie na myśl. I to głośno... Nie pozwól, żeby ci przerwali. Nie przejmuj się! – Pomogło.

W tym samym roku, kiedy Anisia przeniosła się do klasztoru, Anulka wyszła za mąż i zamieszkała się razem z mężem na drugim końcu Polski. Zabrała swojego wspaniałego wilczura Mamba. Przez wiele dni Joanna nie mogła przełknąć ostatniego kęsa, bo zawsze dawała go Mambusiowi. Obydwoje młodzi małżonkowie byli zamiłowanymi rolnikami. Jeździli razem konno na Służewcu. Studiowali zootechnikę na SGGW. Wkrótce urodził im się synek Pol. Urodził się w klinice wuja Edwarda w Aninie. Oczywiście klinika nie była wuja własnością, ale to on panował tam niepodzielnie. Był wspaniałym położnikiem i chirurgiem. Oddział miał pełne obłożenie. Warszawskie panie tylko tam chciały rodzić. Pod okiem wuja wszystko chodziło jak w zegarku. Idealna czystość, idealna opieka, znakomicie wyszkoleni lekarze i pielęgniarki. Wuj był bezpartyjny i potrafił celnie krytykować głupotę i niedbalstwo panujące w służbie zdrowia. Oddział ten był solą w oku jego partyjnych kolegów i urzędników ministerstwa zdrowia. Na zarzuty, że za dużo wydaje na sprzęt i leki zagraniczne odparł – Może za wiele, ale... ani jednego trupa!... –. Rzeczywiście, przez wszystkie lata istnienia kliniki nie było nawet jednego zgonu matki.

Joanna została matką chrześną Polą i – już na zawsze – jego zaufaną przyjaciółką, której zwierzał się ze swoich najskrytszych problemów. Anulka z mężem Wojtkiem studiowali po ślubie zaocznie na SGGW. Mieszkali w państwowym gospodarstwie na Śląsku i przyjeżdżali regularnie zostawiając małego Polę pod opieką rodziny. Najbardziej szczęśliwa była niania. Jak za dawnych lat mogła opiekować się małym dzieckiem. Znowu była prawdziwą nianią. Mały Pol wyciągał zaciśnięte piąstki i szedł przed siebie z okrzykiem „Psiuć”... Jego wizyty sprawiały wszystkim domownikom radość. Anulka i Wojtek wyglądali na szczęśliwych.

Joanna zrobiła sobie osobne pomieszczenie, odgródzone szafą. Była to namiastka własnego pokoju. Tylko jej. Tył szafy ozdobiła licznymi zdjęciami gwiazd filmowych, wycinanymi z kiepskiej jakości filmowych magazynów. Było łóżko, antyczny stół do odrabiania lekcji i południowe okno z widokiem na jabłonkę i czereśnie. Zaczęła pisać pamiętnik. Zapisywała swoje myśli i marzenia, a także najważniejsze bieżące wydarzenia. Rozpoczęła nawet powieść słowami „Gertruda przejrzała się w szybie...” Ani pamiętnik, ani powieść nie zostały się, gdyż Joanna spaliła zapisany zeszyt na śmietniku w Milanówku, kiedy jako 22 letnia dziewczyna szła na operację migdałków. Zawsze później żałowała, że nie mogła przeczytać po latach o swoich młodzieńczych doznaniach i przemyśleniach.

Podobał jej się tajemniczy, szalenie przystojny, ciemny chłopak, który zamieszkał w nowo wybudowanej willi na tej samej ulicy. Nic o nim nie wiedziała. Grubo od niej starszy, chyba studiował. Rzadko bywał w domu, jednak Joanna na wszelki wypadek starannie sprawdzała w lustrze swój wygląd, zanim miała przejść pod jego oknami. Co dziwne, nigdy się nie poznali. Nie zamienili ze sobą jednego słowa, choć Joanna dobrze wiedziała, że i on na nią uważnie patrzy. Kiedy zamykała przed snem oczy – był w jej marzeniach.

W szkole bez Anisi poczuła się znacznie lepiej. Chłopcy żartowali, że Joanna musi im ją zastąpić. Swobodnie dobierała sobie przyjaciół. Wolne chwile spędzała z kim tylko chciała. W Milanówku było kino „Orzeł”. Oglądało się wtedy wszystkie filmy. Na każdym seansie było niemal pół szkoły. Grali też wspólnie w szczypiorniaka i siatkówkę. W lecie jeździli się na rowerach na gliniarki. Joanna starała się nie zapraszać nikogo do domu. Wstydziła się najbardziej ubicacji na dworze i... starego sztychu przedstawiającego bitwę o Gdańsk. Wydawało jej się, że wszyscy mają ładne kolorowe obrazy, a u nich na wprost wejścia były szare armaty ziejące ogniem i dymem. Tylko czasem, razem z rodzicami, przychodził Krzys. Ten sam, który to w podstawowej szkole postanowił udowodnić kolegom, że Joanna nie jest jego narzeczoną, kopiąc ją publicznie w wypięty zadek. Było to tak lekkie muśnięcie, że Joanna nie zauważyła incydentu. Natomiast Krzys miał pecha, bo w tym momencie w drzwiach klasy stanął bardzo dobrze wychowany dyrektor szkoły. Oburzony wezwał rodziców Krzysia. Po rozmowie jego rodzice przeprosili za występki syna, a Krzys odtąd unikał Joanny.

Dopiero kiedy podrośli Krzys zwrócił na nią uwagę. Tańczył z nią rock and rolla na szkolnych zabawach, odprowadzał do domu. Któregoś dnia, kiedy był już po maturze podjechał po nią samochodem. Stanął przed furtką i donośnie zatrząbił. Joanna

była szczęśliwa. Wszyscy usłyszą i zobaczą jak po Joannę zajeżdża piękny chłopak prawdziwym, lśniącym, czarnym, przedwojennym samochodem. Niestety tata popsuł całą przyjemność i zrugał Krzysia za trąbienie na kobietę. Nic nie rozumiał. Której dziewczynie zdarzało się wtedy, w głębokiej komunie, żeby jej chłopak zajechał, jak w amerykańskim filmie, pod dom prawdziwym autem. Brakowało tylko amerykańskiego letniego samochodowego kina. Czuli się jak gwiazdy filmowe. Cały efekt przepadł. Krzys znowu musiał przeproszać. Nie zrażony tym przykrym wydarzeniem zaprosił ją na rowerową wyprawę na gliniarki. Atmosfera była wspaniała, prażące słońce, woda, rozmowy. Czuli się ze sobą dobrze. Krzys spojrzął na nią przeciągle i powiedział: „Nie wiem jak mogłem cię wtedy kopnąć. Teraz tego nie rozumiem”. Joanna zbagatelizowała sprawę, a Krzys wskoczył do wody. Kiedy wypłynął z jego nosa zwisały dwa długie glutu. Spojrzała na niego z obrzydzeniem i nigdy już nie chciała się z nim spotkać. Dowiedziała się po latach, że Krzys wyjechał po studiach do Stanów, gdzie został managerem w jednym z najbardziej znanych koncernów komputerowych.

Wakacje spędzała z klasą na obozach wędrownych. Były wspaniałe. Zwiedzili przez dwa lata całą północną Polskę wzdłuż Wybrzeża. Chodzili po kilkanaście kilometrów dziennie, czasem podjeżdżając jakąś napotkaną na drodze ciężarówką. Zatrzymali się na parę dni w małej wsi Osłonino nad Zatoką Gdańską. Karmili ich tam znakomicie. Rano wielkie plastry domowego chleba z pachnącym słońcem pomidorem i świeżutkimi jajkami, a na obiad świeżo złowione ryby. Węgorz w sosie koperkowym, smażone dorsze i flądry. Były też różnorodne desery. W Szczecinie wszystkie dziewczynki ubrane były jak zwykle w szare szerokie spódnice z harcerskiego płótna i czarne trykotowe gimnastyczne bluzki z wyciętymi po pas dekolcami. Były młodziutkie, ale już bardzo atrakcyjne. Kiedy wsiadły do autobusu, siedzący z tyłu facet westchnął z zachwytem i wyszeptał – Ale mewki! – Mewkami nazywano w Szczecinie miejscowe panienki.

Zbliżała się matura. Skupiła się mocno na nauce maturalnych przedmiotów na co najmniej trzy tygodnie przed egzaminem. Matematykę przerabiała z pomocą Ani, córki profesora Anulki z SGGW. Ania była niewiele starsza od Joanny. Spełniła swoje zadanie na tyle dobrze, że Joanna samodzielnie rozwiązała wszystkie zadania i zdążyła jeszcze dać ściągawkę koleżance. Niestety koleżanka dostała dwóję za ściąganie, bo pomyliła się w przepisywaniu. Nikt nie wierzył zresztą, że mogła to sama rozwiązać. Młoda korepetytorka Ania na pożegnanie przytuliła ją z czułością. Pierwszy raz w swoim życiu Joanna poczuła, że może bezpiecznie i ufnie wtulić się w czyjeś, takie opiekuńcze i serdeczne ramiona. Pojęła, że jej rodzinę krępowała czułość dotyku i nie potrafili jej tego dać, ani nauczyć. Czuli, że jest to coś bardzo ważnego, ale wiele lat musiało upłynąć by odważyła się kogoś z głęboką czułością przytulić. A może, tak naprawdę, jeszcze tego nigdy nie zrobiła? Dlaczego prawdziwą czułość umiała okazać tylko zwierzętom? Czyż tylko im mogła ufać, że jej nigdy nie odrzucą. Z ludźmi nigdy nie wiadomo. Ileż to lęku przed zranieniem uczuć kryło się w umyśle Joanny? Skąd się to brało?

Anulka przysłała do szkoły, kiedy siostra zadawała ustne egzaminy. Dyrektor wyszedł na chwilę na korytarz i ze zdziwieniem powiedział: – Jak ta Joanna zdaje! – Anulka była dumna. Wracały razem do domu. Właśnie na stację przyjechał pociąg, z którego wysypali się ludzie wracający z pracy. Stanowili dość ponury, zmęczony tłumek. Joanna do głębi radosna, patrzyła na ich szare, znużone twarze i wyszeptowała: – Dlaczego oni nie cieszą się moim szczęściem. Zdałam maturę i już NIGDY nie będę musiała iść do szkoły – Chciała głośno krzyknąć, jak bardzo była szczęśliwa. Oznajmić to całemu światu, żeby połączył się z nią w tej radości.

Była dorosła, a tak właściwie nic się nie zmieniło. Wsiadła więc w pociąg i pojechała do Warszawy, do fryzjera Bronisława. Kazała sobie ufarbować włosy na rudo. Wyszła marchewka. Kiedy pojawiła się w domu, rodzina siedziała przy kolacji. Podnieśli oczy. Zaległa długa cisza, a po tym gromki śmiech. Joanna nie przejęła się tym wielce. Najważniejsze, że była dorosła i mogła robić co chciała. Po chwili śmiała się razem z nimi, a tata serdecznie targał Joannę marchewkową czuprynę.

W ostatniej klasie zaprzyjaźniła się z nową dziewczynką. Asia była wyjątkowo bystra, czytana. Miała poważne problemy z rozchodzącymi się rodzicami. Fascynowała ją psychologia. Pod jej wpływem złożyła papiery na wydział psychologii. A tuż przed maturą po przeczytaniu Herodota, grubej książki „Bogowie, groby i uczeni” i paru innych rozpraw o świecie starożytnym, przerzuciła papiery na archeologię. Tata popierał wybór córki. Nikt w rodzinie nie był zachwycony wizją studiowania przez Joannę psychologii. Ta dziedzina nie była w ich domu zbyt popularna. Po co grzebać się w zakamarkach ludzkiego umysłu i uczuć, jeżeli można – dużo bezpieczniej – skrywać je głęboko, nie raniąc siebie i innych. Tak myśleli. Zmiana decyzji była wielkim błędem. Całe życie Joanna tego kroku żałowała...

Było tylko sześć miejsc, a kandydatów wielu. Joanna zdała egzamin, ale zabrakło miejsc.. Nie dostała się. Zaproponowano jej „wolnego słuchacza”. Nie skorzystała. Nęcił ją nieznany, wolny świat. Wydawało się, że ma przed sobą mnóstwo czasu. Za rok i dostanie się na architekturę. Zapisła się na roczny kurs kreślarski.

Codziennie jeździła pociągiem do Warszawy. Tak naprawdę to dopiero poznała to miasto. W dzieciństwie jeździła czasem do brata mamy na Bielany. Widziała Warszawę lat pięćdziesiątych, taką okaleczoną i nędzną. Śródmieście, zionące jeszcze ranami wojny, odbudowywano powoli, niszcząc przedwojenne uroki koszmarnymi budynkami realnego socjalizmu. Powstawał Pałac Kultury, MDM i mnóstwo szarych, ponurych bloków. Były wszędzie. Jakimś cudem, wbrew wszystkiemu, dużą część miasta – Stare Miasto i Krakowskie Przedmieście – odtworzono z pietyzmem na podstawie archiwalnych zdjęć, dokumentów i pamięci ludzkiej.

Warszawa stawała się wielką sypialną w najgorszym stylu. Prasa pełna była peanów na temat wspaniałych osiedli budowanych w szybkim tempie z wielkich betonowych płyt, z każdym rokiem paskudniejszych. Mieszkania były na miarę ustroju – małe i niewygodne. Nie o tym marzyli architekci. Po wojnie mieli jedyną okazję zaplanowania miasta nowoczesnego i przestronnego. Na powierzchni były gruz, ale

zachowała się dobra sieć infrastruktury podziemnej. Nie dane było polskim architektom zbudować miasta marzeń. Wygodnego i pięknego. To nie było wtedy w cenie. Naród miał być zniewolony, a wszechobecna brzydota i chamstwo sprzyjało zamiarom sowieckich okupantów i ich polskich sługusów.

Komunizm kładł swoje piętno na wszystkim. Miało być bezbarwnie i smutno. Było tak jak przepowiadał generał Okulicki, kiedy przyjechał tuż przed końcem wojny do Oleszna. Pozostało to wspomnienie w zapiskach mamy:

„Zaraz po świętach Kropka, jako komendantka pod obwođu W.S.K. wyruszyła na kilkudniowy objazd terenu.(...) Wróciła dopiero w przeddzień Sylwestra. Przyjechało z nią dwóch nieznanym mi mężczyznm. (...) Nie byli to jednak zwykli goście. Jednym z nich był ostatni dowódca armii A.K., generał Okulicki „Niedźwiadek”. Towarzyszył mu zrzucony z Londynu szef sztabu – lotnik – pułkownik „Rudy” (Rudnicki). Przyglądałam się im. Generał – dość niski, o nieco zaokrąglonych kształtach. Twarz, ze znakami po ospie, pogodna i uśmiechnięta. Sposób bycia bezpośredni, trochę rubaszny. Płk. „Rudy”, nieco wyższy, o gęstych czarnych włosach, swobodny i z poczuciem humoru (...)

Tak więc w Nowy Rok 1945 spotkaliśmy się w tak niespodziewanie zwiększonym składzie. Przed północą goście i Kropka zasiedli do bridge’a. O północy była tradycyjna lampka wina, a potem jeszcze długo w noc ciągnące się rozmowy. Urywek jednej z nich utkwił mi w pamięci. Rozmowa toczyła się na temat tego co jest, było i tego – co będzie. W pewnym momencie generał Okulicki powiedział: „Nie łudźcie się, że bolszewicy nie przyjdą. Przyjdą i to prędzej niż myślicie. I tylko ten przeżyje, kto się schowa do darni, do korzeni, komu głowa nad ich poziom wystawać nie będzie”. Potem zwracając się do Kundzia dodał: „Gdyby pan był rzeźnikiem z Wąbrzeźna, czy kimś podobnym, mógłby pan przetrwać. Jako dziedzic na Olesznie – nie!” Zapadły mi te słowa w pamięci głęboko (...) Jak – w kontekście z tym co przyszło – proroctwa były jego słowa... Orientował się w tym co będzie, a jednak, w niedalekiej przyszłości, nie umiał „schować się w korzeniach”, za co własnym życiem zapłacił.

W dzień Nowego Roku obaj panowie mieli wyjechać. Chodziło o bezpieczne przetrzenie ich do Czarnicy, gdzie ich oczekiwano przed wieczorem. Droga do Czarnicy prowadziła przez Włoszczowę, pełną żandarmerii, nie cieszącej się bynajmniej opinią łagodnych baranków. Nie darmo jednego z nich obdarzono nazwą „krwawego Julka”. Należało nadać tej podróży koźmi pozór beztroskiego spaceru świątecznego. Odwieźć miał ich w charakterze furmana komendant podobwođu „Wybój”, czyli pełniący de nomine stanowisko rządcy w Olesznie – Skowron. Widok jednak trzech mężczyzn mógł wzbudzić podejrzenie Niemców. Wobec tego zdecydowaliśmy, że ja pojedę z nimi, aby wyglądało to bardziej niewinnie. Kiedy ruszaliśmy sprzed domu, pobiegła za saniami czarna spanielka Kropki, Fifi. Nie chcąc już wracać (jakoby było to złą wróżbą!) wzięłam ją na kolana pod baranicę. Powoził Skowron, obok niego siedział płk. „Rudy”, na tylnym siedzeniu generał Okulicki i ja. Konie szły dobrym klusem, śnieg skrzypiał pod płozami sań. Był ostry mróz. Przez uliczki Włoszczowy przejechaliśmy bezpiecznie, nie zwracając niczyjej uwagi. Przy

wyjeździe z miasta z niemałym przerażeniem zobaczyłam na szosie grupę żandarmerów niemieckich. Serce mi się podejrzenie zatrzymało, ale wywołałam na twarz bez troski uśmiech, gadając coś z moimi towarzyszami. Kiedy zbliżyliśmy się do idących Niemców, znudzona widocznie długa jazda Fifi, wyrwała mi się z rąk i wyskoczyła z sań. Podbiegła do idących. Słyszałam ich głośny śmiech na widok koziołka który czarna jak smoła suka wywinęła na białym śniegu. Schylili się, żeby pięknego psiaka pogłaskać, nie zwracając na nas w ogóle uwagi. Widocznie – nie wzbudził ich nieufności widok jadących dobrymi końmi trzech panów w towarzystwie młodej, uśmiechniętej promiennie kobiety, wiozącej ze sobą rasowego psa. Kiedy równym klusem oddalaliśmy się od nich z biegnącym radośnie za saniami psem o długich uszach – milczeliśmy. Tylko Skowron stłumionym głosem powiedział: „Był tam sam Krwawy Julek...”. Do Czarnicy dojechaliśmy już bez przygód.(...)

Joanna uczyła się rano na swoich kursach, a popołudnia i wieczory często spędzała spotykając się ze znajomymi w kawiarniach, spacerując po Nowym Świecie i Krakowskim Przedmieściu, gdzie toczyło się bujne życie towarzyskie stolicy. Jakby nie miał tam wstępu szary tłum. Nie czuło się na plecach cuchnącego oddechu komunizmu. Było kolorowo i zabawnie. Dziewczyny były piękne. Potrafiły ubierać się znakomicie przy pomocy domorosłych krawcowych. Nosiły zaprojektowaną z niezwykle prostą i w znakomitym stylu kolekcję Hoff z domu handlowego „Junior”. Najlepsze, bo inne od wszystkich, zachodnie ubrania kupowało się na „ciuchach”. W strojach rej wodziły dziewczyny z ASP. Zarząły swoimi pomysłami studentki z Uniwersytetu. Panował nastrój kokieterijno – intelektualny. W kawiarniach toczyły się intelektualne rozmowy, na karnawałowych balach poznawało się coraz to nowych ludzi. Specjalny klimat miały, zasnuwane papierosowym dymem, kluby jazzowe. Wielu znakomych muzyków grało dla wiernych bywalców.

Mężczyźni oglądali się na ulicach za dziewczynami. Niektórzy spoglądali z okien wolno posuwających się – tak wtedy nielicznych – samochodów. Pełne zachwyty i pożądania spojrzenia sprawiały, że dziewczyny prostowały się, unosiły wysoko głowy udając, że tego nie zauważają, ale tak naprawdę skrzętnie notowały w pamięci te spojrzenia, by za chwilę pochwalić się przyjaciółkom sukcesem zdobywczyni męskich serc. Zdarzało się, że panowie nie zrażeni odgrywaną dumą i niedostępnością zagadywali dziewczyny, na różne wymyślne sposoby. Czasem bywał to początek wspianego romansu.

Mimo zakazów sączyła się do Polski muzyka jazzowa i filozofia hipisowska. Widać było długie włosy, czarne golfy, typowe dla tego ruchu stroje i... nastroje. Miłość była najważniejsza. Młodzi zakochani i kolorowi nie pasowali do szaroburego socjalizmu, z jego idiotycznymi sloganami i tak zwaną ideologią. Były to czasy ogromnych kontrastów. Jakby tuż za ponurym gmaszyskiem KC PZPR, gdzie grupy kacyków w skupieniu wykonywały nakazy Wielkiego Brata, zaczynał się azyl Nowego Świata – nomen omen – kolorowy i radosny, nie poddający się zarazie. Swingujący.

Na Sylwestra zaprosił Joannę syn znajomych rodziców. Przyjęcie odbywało się w willi na Saskiej Kępie należącej do znanego z towarzyskich skandali arystokraty. Joanna miała dość odważną sukienkę. Czarna, ze złotą nitką. Skąpy staniczek i spódniczkę łączyła przezroczysta kratka spleciona z pasków materiału. Uszyła ją wzięta krawcowa z ulicy Wilczej. Joanna w dzień Sylwestra przyszła odebrać sukienkę. Zastała krawcową w łóżku. Kompletnie ubraną. Udawała chorą. Sukienka nie była gotowa. Joanna nie dała za wygraną. Krawcowa, chcąc nie chcąc, wyskoczyła w pełnym rynsztunku z łóżka i w ostatniej chwili wykończyła swoje dzieło. Efekt był znakomity. Joanna miała dobre entre. Czuła, że się podoba. Wkrótce zapomniała o swoim sylwestrowym towarzyszku. Tańczyła cały czas, a najwięcej z Jasiem. Nad ranem siedzieli razem na tapczanie w którymś pokoju i rozmawiali. Nagle w otwartych drzwiach stanął gospodarz i ryknął: – „Proszę mi z mojego domu nie robić burdelu i natychmiast wyjść” –. Joanna zamarła. Schodzili wolno ze schodów, a na dole stała grupka gości przyglądając się, kogo to tym razem wypędza po chamsku hrabia. Tylko przyjaciel Jasia zachował się wspaniale. Wziął zmartwiłą ze wstydu i oburzenia Joannę za rękę, podał jej płaszcz, rzucił parę przykrych słów gospodarzowi i zamknął za sobą drzwi z trzaskiem. Przypomniała sobie radę mamy, żeby nigdy nie wychodzić z przyjęcia rano. I jeszcze kołatała się, często przez nią wypowiedzaną mantra – Co sobie o tobie pomyślą – i dodawane dla potwierdzenia tych słów: – Miałam czterech braci i słyszałam co opowiadali o dziewczynach!

Następnego dnia spotkali się wszyscy troje w kawiarni „Nowy Świat” i od tej pory spędzali wspólnie wiele wieczorów w lokalu NOT’u na Czackiego. Jaś i Andrzej byli studentami politechniki. Jaś odprowadzał Joannę na dworzec. W cieniu kolumn Pałacu Kultury całowali się, mocno przytuleni. Trzeba było uważać, gdyż kręcili się tam milicjanci, którzy – jako domorośli stróże moralności – potrafili karać mandatem tulące się pary. Mieli za zadanie stać na straży moralności socjalistycznej i komunistycznego ustroju. Miało to być najwyższym dobrem, wraz z oczywistą wiernością sojusznikom ze Związkiem Radzieckim na czele. Powtarzano to na co dzień w radio, a później w telewizji. Nikt tego nie słuchał. Wiadomości polityczne wylawiało się wśród gwizdów i świstów zagłuszaczek z Radia Wolnej Europy i BBC. A polskie radio nadawało w przerwie pomiędzy propagandą setki popularnych piosenek o miłości, pięknie pól i miast barwionych komunizmem. Nierzadko ich treścią była też niesłychanie namiętna miłość w egzotycznych krajach. Szczególnie często wykorzystywano gorący latynoski temperament. Była Kuba wyspa jak wulkan gorąca, był zdradliwy kochanek Portugalczyk i zakochany Włoch. Jedyne podróże. Podróże w wyobraźnię. Inne kraje zachodnie miały pozostać imperialistycznym wrogiem ludu i socjalizmu. Ciągłe czyhać na szczęśliwą egzystencję komunistycznych krajów i ich wielkie osiągnięcia. Nasyłały stonkę na PGR-owskie pola i tabuny mitycznych szpiegów szerzących wrogą, kłamliwą propagandę wśród nadwiślańskiego ludu.

Powroty do domu ostatnim pociągami nie były bezpieczne. Trzeba było wracać pustymi, ciemnymi ulicami. Którejś nocy Joanna, jak zwykle, przechodziła skrótem przez tory. Na szynach leżał człowiek. Chciała do niego podejść i ściągnąć go na bok,

kiedy rozległ się z ciemności rozkazujący męski głos: – „Milicja! Proszę nie podchodzić! Cofnąć się!” – Zawróciła, jak kazali. Szła peronem w stronę schodów, ale coś ją tknęło i skierowała się w stronę kolejowej kasy. Kiedy poinformowała kasjerkę o leżącym na torach człowieku, dowiedziała się, że przed momentem motorniczy pociągu poinformował, że potracił człowieka. Okazało się później, że został on zamordowany przed milanowską knajpą i podrzucony na tory, żeby upozorować wypadek. To mordercy udali przed Joanną milicjantów. Na pomoc było już i tak za późno, a powrót do domu nieprzyjemny. Po tej przygodzie znajoma taty młoda, ładna plastyczka opowiedziała zabawną historię. Wracała późno do domu. Ktoś szedł za nią krok w krok. Kiedy zbliżył się, w wielkim strachu postanowiła zaatakować pierwsza. Siłukła podejrzanego mężczyznę parasolką. Na drugi dzień spotkała sąsiada. Był cały pokiereszowany. Spytała co się stało. – Wczoraj wieczorem napadła mnie kobieta – odpowiedział sąsiad.

W lecie Joanna oblała egzamin na architekturę. Testy, rysunek bryły i głowy poszły jej dobrze, ale padła na prostym – dla kogoś kto znał się na perspektywie – zadaniu. Trzeba było narysować pokój Gałczyńskiego, opisany przez niego w jednym z wierszy. Oddała zamazaną kartkę. Czas topniał. Były wakacje. Postanowiła pojechać z Anisią do jej dziecinniej opiekunki na wieś. Chata była piękna z białą, szorowaną ryżową szczotką podłogą, drewnianymi, prostymi meblami. Jedna izba z kuchnią węglową i sypialnia gospodarzy, która została oddana gościom. Ogromne poduchy, prawdziwe pierzyny, małe okienko całe w kwiatkach patrzące na sad. Anisia nie dostała się do Szkoły Teatralnej, ale na egzaminie poznała Marka. Obie zaważyły sprawę, więc razem było im to łatwiej znieść. Chodziły po lesie, po polach, pomagały w żniwach, woziły siano na drabiniastym wozie. Często przemykały się nad groblę, gdzie opalały się nago. Lato było gorące, łąki kwitły i pachniały. Obie były całe brązowe, jak czekoladki. Cieszyły się każdą chwilą, aż któregoś dnia obudziły się i zobaczyły tuż obok zgorszone i czerwone w wściekłości twarze. Dwie baby i chłop stali oparci o widły i przyglądali się bezecnym dziewuchom. Kary boskiej na takie nie ma. Miały dziwne wrażenie, że chłopci mają zamiar sprawiedliwość boską zastąpić, szpikując ich nagie tyłki widłami. Zachowały jednak stoicki spokój i patrząc przybyszom prosto w oczy ubrały się, spakowały torbę i wolnym krokiem odeszły. Gdyby zachowały się histerycznie pewnie nie uniknęłyby ataku.

Przyjechał Marek z kolegą z roku. Tulili się z Anisią w pokoju, a Joannę i Grzesia wysłali spać do stodoły. Przeszła, jedna, druga noc. Siano pachniało krew burzyła się, młodość miała swoje wymagania. Trzeciej nocy byli już tuż, tuż. Pierwszy raz w życiu Joanna poczuła jak wspaniałą może być dotyk mężczyzny, jak bardzo ludzie mogą się pragnąć. Potyczki miłosne trwały całą noc, ale Joanna przecież miała w Warszawie chłopca, z którym spotykała się tak długo. To jemu mogła oddać się kiedyś do końca, a nie temu szalonemu, dopiero co poznanemu urzekającemu dryblasowi. Rano Grześ, zdruzgotany niepowodzeniem żalił się Markowi. – „Przecież ona chciała... Dlaczego???” – Kiedy Joanna obudziła się, już go nie było. Wsiadł na swój motor i odjechał. Marek pytał: – „Coś ty mu zrobiła?”

Wróciła do Warszawy. Rodzice Jasia wyjechali na wakacje. Była zdecydowana... Stało się... Nie tak powinno być. Wracała przez park nucąc słowa piosenki „do ciebie szłam...???... od ciebie szłam przez lzy nic nie widząc...”. Jaś nie uwierzył, że to Joanny pierwszy raz. Twierdził, że pierwszy raz to się dziewczynom nie podoba. A Joanna była radosna. Miłość ją zachwycała.. Oczekiwała ciepła i wdzięczności za utrzymanie swego „skarbu” dla niego. Spotkała się z pretensjami i kompleksami. Wiedziała już jedno. To nie Jaś był tym Panem Wspaniałym, na którego czekała. Na drugi dzień poszła do fryzjera, ubrała się w najlepsze ciuchy i płaszcz ortalionowy prosto z Londynu. Umówiła się z Jasiem na Świętokrzyskiej. Oznajmiła mu chłodno, że odchodzi. Odwróciła się na pięcie. Odchodziła z głową wysoko podniesioną. Liczyła że Jaś będzie cierpiał. Nigdy więcej go już nie spotkała. Żałowała tylko ... że tam na wsi nie uległa pokusom rozgrzanego siana... Patrząc z perspektywy następnych w tym względzie doświadczeń, mogła się omylić. Była urocza sceneria, był tak mocno pragnący jej chłopak i było wielkie zmysłowe uniesienie. Na pewno lepiej tak zacząć... by uwierzyć w swoją wielką moc na resztę życia??

Po doświadczeniu miłosnym nie stała się mądrzejsza. Anisia miała Marka, a ona czuła, że znowu pozostaje w tyle. Pojawił się na chwilę dojrzały adorator, redaktor jedyne, nadającego się w tych czasach do czytania pisma „Przekrój”. Redaktor podrywał wszystkie piękne warszawskie dziewczyny. Joanna była jeszcze zupełnie nieznaną w wielkim świecie milanowską gąską. Redaktor poznał gdzieś Anisję, przyjechał do niej do Milanówka i... zobaczył zdjęcie Joanny. Musiało na nim zrobić ogromne wrażenie, bo w bardzo krótkim czasie zdołał nakłonić Anisję, żeby z jego muzy przekształciła się w swatkę swojej kuzynki. I tak zaczęły się randki z redaktorem. Wkrótce stała się bohaterką cyklicznego serialu przekrojowego, czyli Jolantą Jaśmin – młodą cyklistką, która wędrowała po kraju na rowerze, śniąc o panu który, nie przez przypadek, nosił imię Redaktora. Następny, nie do końca skonsumowany romans zakończył się z dwóch powodów. Pierwszy – to wygłoszenie przez Joannę krytycznej oceny literackich wartości seryjnej opowieści Redaktora. Drugi to nowy chłopak...

Po roku pracy w biurze projektowym dostała się na historię. Napisała dobrze egzaminacyjną pracę z jej ulubionej filozofii starożytnej. Była studentką i mieszkała nareszcie w Warszawie. Mama dostała mieszkanie bankowe na ul. Lwowskiej. Radość była ogromna. Z wielkim entuzjazmem zabrały się z mamą do przeprowadzki. Wszystkich wyeksmitowały z domu i całą robotę wykonały same. W lipcu 1963 roku po latach Joanna wróciła do miejsca swojego urodzenia. Stała się prawdziwą warszawianką. Nowe mieszkanie było we wspomniałym punkcie, metrażowo duże, ale były to tylko dwa pokoje, na dodatek w amfiladzie. A osób było pięć. Babcia i Joanna zamieszkałyśmy w mniejszym pokoju, do którego wchodziło się przez duży salon, który był jednocześnie sypialnią rodziców. Niania została umieszczona w kuchni. Był jeszcze spory korytarz, łazienka i osobna ubikacja. Za drzwiami wejściowymi mieściła się dodatkowa szafa – spiżarnia. Najważniejsze, że byli w pępku miasta, a z kranów lała się woda. Radość była ogromna. Mieszkanie to stało się miłością mamy. Mieszkańców miało wkrótce ubywać.

Skończył się koszmar dojazdów. I był nowy chłopak. Z ostatniego roku. Syn profesora. Niezwykle inteligentny, zabawny. Miał tylko dwie wady. Zbyt po pijaku i był szalenie chudy. Jeździli razem na wakacje do stadniny, w której pracował mąż Anulki. Miejsce było niedaleko Warszawy. Spotykało się tam wielu ciekawych ludzi, których przyciągała sympatia do koni, ale nie tylko. Piękne stajnie, w których stały najwyższej klasy ogiery. Była też stajnia sportowa. Najczęściej jeździło się na ogierach. Były wspaniałe, pełne werwy i pomysłów. Coraz to ktoś cwałował w dal, nie mogąc w żaden sposób powstrzymać rozszalałego konia. Miała na to swój sposób. Była gimnastyczką i potrafiła w biegu bezpiecznie zeskoczyć z konia. Woląta tę ryzykowną akcję niż rozbitcie głowy o wrota stajni. Któregoś dnia przyjechał nowy turnus studentów, którzy podczas wakacji uczyli się w stadninie konnej jazdy. Joanna skakała przez przeszkodę. Nie była mistrzem. Znalazła się na szyi ogiera i już się zsuwała, kiedy usłyszała radosne głosy: – „Będzie pół litra wieczorem!” – „Niedoczekanie wasze” – pomyślała i nie wiadomo jakim cudem znalazła się z powrotem w siodle. Na przekór. Ogier miał dosyć, wyciągnął pysk i poniósł Joannę w kierunku stajni. Joanna wykonała skok na miękką murawę ujeżdżalni. Studenci byli zachwyceni. Uważali Joannę za wspaniałego jeźdźcę. Nie mieli jeszcze pojęcia, że popełniła ona mnóstwo błędów, co w przypadku jazdy na ogierach mogło narazić marnego jeźdźcę na niebezpieczne konsekwencje.

Najwspanialsze były wyjazdy w teren dużymi grupami. Trzeba było galopować przez pola, zsuwać się ostrożnie z wysokiej piaskowej skarpy. A potem już tylko skok do pobliskiej rzeczki i jazda jej korytem wśród bryzgającej wody. Do stajni zbliżali się stępem. Jeszcze tylko rozsiodłać i wyrzucić słomą spienione konie i już biegło się w stronę rzeki, by zmyć w chłodnej wodzie trudy jazdy. Nad rzeką spotykali się wszyscy. Rozmowy, zabawy, gry i flirty. Jurek był zachwycony. Stadniną i Joanną. Nowy chłopak Joanny nie podobał się Anulce i jej mężowi. Mieszkała u nich, a Jurek w pokojach gościnnych. Na obiady chodzili do pobliskiej knajpki. Wieczorem wokół baru zbierało się mnóstwo amatorów miejscowych trunków. Masztalerze, dyrektorzy, goście i studenci. Piło się sporo, a prym w tym względzie wodził oczywiście Jurek. Choć inni też nie wylewali za kołnierz. Atmosfera była zabawowa i gorąca. Miłość do koni często idzie w parze z miłością do wódki.

Chyba nikt tam nie stronił od kieliszka, a już najmniej nowy adorator Joanny, który wraz ze swoim przyjacielem podążył za nią na kolejne bogusławickie wakacje. To dzięki Jurkowi pierwszy i chyba jedyny raz w życiu Joanna posmakowała wódki przed śniadaniem. Kiedy przyszła na poranny posiłek, Jurek siedział przy barze. Siadła obok, a Jurek, puszczając oko do barmanki, poprosił o dwie wody. Płyn podano w szklaneczkach „setkach”. Kiedy Jurek odwrócił się na chwilę, Joanna zamieniła szklanki. Była w lepszej sytuacji, bo przewidziała zawartość jego szklanki. Była to czysta wódka. Z kamienną twarzą, powolutku sączyła płyn. Jurek nabrał powietrza i łyknął potężny haust. Skrzywił się niemiłosiernie, spojrzał karcącym wzrokiem na barmankę, a ona na migi potwierdziła mu prawidłowość wykonania zamówienia.

Wtedy Jurek zaczął przyglądać się Joannie z niedowierzaniem. Najmniejszym nawet grymasem nie dała po sobie poznać co pije. Czy spadła tego dnia z konia, czy jeździła z animuszem – nie pamiętała.

Do Bogusławic przyjeżdżali aktorzy, reżyserzy, lekarze, artyści, studenci. Bawili się wszyscy znakomicie. Jurek patrzył na Joannę coraz cieplej. Kiedy wrócili do Warszawy byli praktycznie parą. Chodzili na prywatki i do knajp. Jurek stał się częstym gościem na Lwowskiej. Wielka i wzajemna sympatia łączyła go z babcią. Był bardzo inteligentny. Rozmowa z nim dostarczała przyjemności. Niestety był alkoholikiem chudym jak hak. Twierdził, że do alkoholu wciągnął go przyjaciel ojca, Konstanty Idefons Gałczyński, który chodził z nim po knajpach, kiedy Jurek miał lat szesnaście. Pili bez umiaru. Gałczyńskiego już nie było na świecie, a Jurkowi pozostał ostry pociąg do kieliszka. Joanna chodziła z nim do znanych warszawskich knajp, ale piła mało. On wlewał w siebie coraz większe ilości i coraz częściej. W końcu zapowiedziała Jurkowi, że po jego trzecim upiciu się nie spotka się z nim więcej. Za drugim razem przyleciał na Lwowską i przyznał się, chociaż go nie złapała. Wzruszona jego uczciwością, darowała ten raz. Oczywiście następne trzy zdarzyły się wkrótce. Chociaż chłopak naprawdę się starał – nie wyszło, gdyż był zaawansowanym alkoholikiem. W końcu usłyszał, że to już koniec. Przyszedł do babci, kiedy Joanny nie było i płakał. Babcia pocieszała go i mówiła: „*Panie Jurku, niechże Pan będzie mężczyzną*”. Z kobietami trzeba twardo, a nie cackać się z pularką... I tak skończył się kolejny romans Joanny. Jurka spotkała tylko raz, po bardzo wielu latach w restauracji w hotelu Europejskim. Ożenił się i twierdził, że nie pije, odkąd prowadzi samochód. Niedługo po tym spotkaniu dowiedziała się, że Jurek umarł. Szkoda. Był jednym z inteligentniejszych ludzi, jakich dobrze знаła. Zostało jej miłe wspomnienie ze spędzanego z nim życia towarzyskiego i... ogromna niechęć do bliższych kontaktów z bardzo chudymi mężczyznami.

Studia Joanny miały się wkrótce zakończyć. Zdawała egzamin z historii Dalekiego Wschodu u profesor Bieżunskiej. Kiedy odpowiadała na zadany temat pani profesor w ogóle nie słuchała, gdyż zajęta była jakąś bardzo zabawną i atrakcyjną rozmową ze swoim młodym i przystojnym asystentem. Było to bardzo deprymujące. Nie wiedziała czy ma mówić dalej, czy poczekać aż przerwą swoje pogawędki. Kiedy zawieszała na dłużej głos, pani profesor odwracała się niechętnie, prosząc by kontynuowała. Po jakimś czasie pani profesor stwierdziła, że studentka nie jest przygotowana z wiadomości czerpanych z zaleconego przez nią podręcznika rosyjskiego specja Afdiejewa „*Historia Starożytnego Wschodu*”. Po chwili dodała od niechcenia: „*My tu nie lubimy takich „inteligentów”, którzy wiedzę nabywają z różnych źródeł w inteligenckim domu*”. Czekał ją egzamin komisyjny. Jednak, jak to często bywało z Joanną, wołała od razu zrezygnować. Była przerażona perspektywą drugiego roku i koniecznością grzebania się w historycznych źródłach średniowiecznych. To okres historii, którego zdecydowanie nie lubiła. Na egzamin nie poszła. Nie wiedziała, że mamy przyjaciółka Teresa postanowiła pomóc. Jej bliski kuzyn był w tym okresie

dziekanem Wydziału Historii. Zwróciła się do niego z prośbą, by na tym egzaminie pomógł córce przyjaciółki. Oczywiście uprzednio opowiedziała mu o przebiegu egzaminu u Bieżunskiej. Profesor nie był zdziwiony. Zapamiętał imię – Joanna. Po egzaminach komisyjnych powiedział Teresie, że zdała. Dodał, że zrobił to niechętnie, bo dziewczyna zdawała okropnie, była prostacka i głupia. Wtedy Teresa jękając się poinformowała go, że jej Joanna nie zgłosiła się w ogóle na ten egzamin i zrezygnowała ze studiów. Jasne było, kogo Profesor przeciągnął za uszy. Była to druga na ich roku Joanna. Opinia profesora była bezbłędna. Cóż, dziewczyna miała szczęście!

Po wakacjach zapisała się do dwuletniej szkoły pomaturalnej, architektoniczno-budowlanej. Jednocześnie pracowała w biurze projektów na Królewskiej, jako praktykantka u bardzo znanego i zdolnego architekta. Jego asystentem był późniejszy naczelny architekt Warszawy. Życie toczyło się lekko. Miała dwie najbliższe koleżanki ze szkoły – małą Lidkę i dużą, przebojową Danekę. Często uczyły się razem na Lwowskiej. U Lidki na ulicy Miłej zajadały ze smakiem pyszny rosół z domowymi kluskami, który był specjalnością jej mamy. Spędzały ze sobą bardzo dużo czasu.

W tym czasie na Lwowskiej zawrzało... Tata miał kochankę... Mama wyjechała na wakacje, a Joanna była chora. Zajmować miał się nią tata. Starał się, ale Joanna czuła, że myślami jest gdzie indziej. Ubierał się starannie, kąpał się dłużej, często stawał w oknie i wpatrywał się w przestrzeń, całkowicie nieobecny myślą i duchem. Któregoś dnia odwiedziła go, niezapowiedzianie, w jego pracowni na Saskiej Kępie, którą wynajmował od matki Karola Strasburgera, później znanego aktora. Pracownia była miłym strychem w willi na ul. Obrońców. Lubiła nastrój pracowni i lubiła rozmowy z Tatą. Kiedy weszła był jakiś inny. Przywitał Joannę serdecznie, ale wyraźnie skrępowany. Po chwili powiedział, że jest umówiony na obiad ze swoją znajomą z wydawnictwa Polonia, która daje mu zlecenia. Joanna beztrąsko zaproponowała, że zje razem z nimi. Nie miał wyjścia. Poszli do Jacht Klubu, gdzie czekała pani, mniej więcej w wieku mamy, typowa urzędniczka, nie wyróżniająca się niczym. Gdyby była bardziej atrakcyjna, to może pojawiłyby się jakieś podejrzenia. Joanna znała swojego tatę. Zawsze lubił ładne i zabawne kobiety, a ta była zwyczajna, przeciętna.

Mama wróciła. Objawy u taty zaczęły się nasilać, Mało bywał w domu, często wyjeżdżał, nocował w pracowni i... wyraźnie coś kręcił. Mama, mieszkając w Milanówku, zwykła mawiać – „Zamienię męża plastyka na mieszkanie w Warszawie”. Nie podejrzewała, że ten żart przerodzi się w prawdziwą historię. Tata nie interesował się domem, nie podzielał mamy szczęścia z nowego mieszkania, o którym tak przecież marzyli. Był coraz bardziej nieobecny i obcy. Babcia patrzyła na swojego jedynaka z niepokojem. Zaczynała się domyślać. Mama obawiała się, że tata ma jakieś kłopoty, lub ukrywa jakąś straszną chorobę. Jej katastroficzna wyobraźnia zaczęła podsuwać najczarniejsze scenariusze. Oprócz jednego. Joanna martwiła się patrząc na jej narastający niepokój. Któregoś dnia stwierdziła, że lepszym wyjściem będzie powiedzenie jej prawdy – jakkolwiek bolesna by ona była. Nie miała wątpliwości. Rozmawiała z tatą. Wiedziała, że jest zakochany.

Powiedziała mamie otwarcie: – Czy nie bierzesz pod uwagę, że tata ma babę? Może było to brutalne, ale nie widziała już sensu ukrywania tego smutnego faktu. Dostając mieszkanie na Lwowskiej, mama wyobrażała sobie, że teraz, nareszcie będą mogli zacząć nowe życie, zapominając o gehennie milanowskiej. Nie brała jednak pod uwagę faktu, że te milanowskie lata tak bardzo oddaliły ich od siebie. Nigdy nie byli bardzo dobrze dobraną parą, ale bieda, szatański ustrój wdzierający się do każdego domu, powodujący destrukcję uczuć i kontaktów między ludźmi, ciasne mieszkanie, codzienne borykanie się z szarą rzeczywistością – przepełniło szalę. Nie umieli już rozmawiać, nie było między nimi fizycznej czułości. To co pozostało to obowiązek dostarczania sobie nawzajem praktycznej minimalnej wygody, starania w czasie choroby i okazywanie wzajemnej lojalności. Po śmierci taty Joanna znalazła listy, które pisał z jezior mazurskich. Były one wołaniem o miłość. Błagał, żeby mama do niego przyjechała, żeby spędzili choć krótki czas z dala od rodziny – tylko sami ze sobą. Jeszcze liczył, że potrafią się odnaleźć. Z drugiego listu wynikało, że mama, zasłaniając się obowiązkami, zdecydowanie odmawiała tej szansy. Nie wiem, czy go wystarczająco nie kochała, czy w ogóle jej doświadczenia dzieciństwa i młodości dawały jej jakąkolwiek szansę nauczenia się prawdziwej miłości. Okazywała swoją miłość spełnianiem obowiązków i wielkim niepokojem, prawie wołając – „Widzicie jak ja was kocham, przecież tak bardzo się o was martwię, a wy tego nie doceniacie”. Był to klasyczny szantaż emocjonalny wobec swoich najbliższych. Tak wiele razy Joanna rezygnowała z prawdziwych przyjemności, bo mama szalała z niepokojem. Były to rzeczywiste emocje. Przeżywała katusze wyobrażając sobie na tysiące sposobów straszliwe wypadki, w wyniku których jej bliscy ponosili zawsze tragiczną śmierć, jeśli tylko znikali na dłużej z jej zasięgu. Nie było to łatwe ani dla niej, ani dla rodziny. Joanna doświadczała tego, aż do ostatnich dni mamy i dobrze rozumiała, że tata mógł mieć dość. Miał ogromną potrzebę miłości, a przestał już wierzyć, że znajdzie ją w domu. Kiedy tylko zobaczył swoje odbicie w zakochanych oczach kobiety, poszedł za głosem serca.

Od tej pory co noc, zamiast ochryplego głosu Radia Wolna Europa, słyszała rozmowy rodziców. Ciągnęły się głęboko w noc. Nie spali oni, nie spała babcia, niania i Joanna. W końcu, na jej wyraźne życzenie rozmowy przeniosły się do łazienki. Wkrótce dowiedziała się kim była wybranka taty. Była to Izabella – niczym nie wyróżniająca się pani z wydawnictwa Polonia, z którą kiedyś jadła obiad w Jacht Klubie. Nie mogła uwierzyć. Postanowiła jednak wziąć sprawę w swoje energiczne ręce i porozmawiać z kobietą w cztery oczy. Poszła na Koszykową do wydawnictwa i poprosiła, żeby ze kobietą z nią wyszła na zewnątrz. Odmówiła. Tłumacząc później tacie, że jego córka przyszła z parasolką by ją publicznie pobić. Może byłby to nawet niezły pomysł, ale Joannie nie przeszło to przez myśl. Po prostu parasolka miała ją chronić przed siąpiącym na dworze deszczem.

Koszmar na sytuacja trwała chyba z pół roku. Rodzice wyglądali strasznie. Obydwoje stali się kłębkami nerwów. Babcia, patrząc na ukochanego syna, mówiła ci-

chutko, ze zwykłą u niej lojalnością: – Niedobry on, ale mój. Jak pięknie te słowa wyrażały miłość ponad wszystko i wbrew wszystkiemu. W końcu musiało dojść do wielkiego wybuchu. Nadszedł dzień kiedy Joanna usłyszała jakąś tragiczną wymianę bardzo gorzkich słów. Weszła do pokoju i zobaczyła mrozącą w żyłach krew scenę. Mama stała naprzeciwko taty trzymając za lufę, tuż nad jego głową, stary pistolet z ciężkim żelaznym okuciem. Joanna wykonała błyskawiczny skok. Chwyciła mamę za ramiona i mocno przytrzymała. Pistolet spadł na ziemię. Stali tak przez chwilę. Tata powiedział ze spokojną rezygnacją. – To już koniec. Odwrócił się i wyszedł. Kiedy trzasnęły za nim drzwi od mieszkania, mama nieprzytomna runęła na ziemię. Była bezwładna i straszliwie ciężka. Joanna wlokła ją po podłodze i układała na tapczanie. Zadzwoniła po pogotowie. Kiedy otwierała drzwi lekarzowi, zobaczyła, że tata stoi wciąż pod drzwiami. Błady jak papier. Powiedziała: – Może wejdiesz?. Przechybiała głową. Czekał przerażony na zewnątrz. Lekarz zbadał mamę, która już odyskiwała przytomność. Spojrzał na Joannę karcącym wzrokiem pytając: – Co wyście tej kobiecie zrobili, że doprowadzona jest do takiego stanu? Joanna nie próbowała się bronić. Nie obchodziło jej zupełnie co lekarz sobie myśli. Zapisał środki uspokajające. Wysłała do apteki tatę. Wrócił. Wszedł na chwilę, niezauważony przez śpiącą mamę. Spakował swoje rzeczy i zniknął z rodzinnego życia.

Był to luty 1964 roku. W domu zostały cztery kobiety. Mama powoli wracała do siebie, przerzucając nienawiść z taty na Izabellę. Ukradła jej męża. Ta dziwka Izabella. W marcu, w dzień mamy urodzin tata przesłał jej przez posłańca wielki bukiet pięknych, czerwonych róż, na bardzo długich łądogach. Zostały one natychmiast połamane, zapakowane i odesłane przez tego samego posłańca na ul. Stalingradzką, gdzie mieszkała Izabella z tatą i swoim synem. Joanna nie miała już ochoty na rozmowy z tatą, natomiast przyjaciółka mamy i ciocia Marychna próbowały ratować sytuację. Nic nie wskórały. Żadne z rodziców nie chciało już wspólnego życia. Po jakimś czasie mama zaczęła cieszyć się wolnością. Pastowała i froterowała starą, piękną dębową klepkę. Antyczne meble nigdy tak jeszcze nie błyszcząły. Kochała swoje mieszkanie. Miała ukochaną Teresę i sporo innych znajomych i krewnych. Wszyscy chętnie wpadali na herbatę na Lwowską. Często przy jej ukochanym gdańskim stole spotykało się po kilka osób. Niania komentowała odejście taty zwięźle: – Na każdego chłopca małpi rozum przychodzi –. Coraz smutniejsza była babcia. Została u synowej, którą jej jedynak skrzywdził. Była bardzo lojalna w stosunku do mamy, ale tęskniła za tatą. Czuła się kulą u nogi. Joanna miała swoje życie. Pracowała, uczyła się i bawiła.

30 listopada tego roku została przez przyjaciółkę Dankę podarowana w prezencie imieninowym pewnemu, nieznanemu jej Andrzejowi. Przyjęcie odbywało się w kawalerce znajomego Danki, Heńka, gdzie aktualnie Andrzej mieszkał. Joanna dała solenizantowi w prezencie metalową plakietkę ulicy Elektoralnej, którą znalazła na chodniku. Danką złożyła Andrzejowi życzenia i oznajmiła, że przyprowadziła mu w prezencie dziewczynę. Nie odmówił. Zabawa potoczyła się miło. Trochę tań-

ca, dużo rozmów, alkohol i dobre jedzenie. Andrzej był wyraźnie zadowolony z prezentu. Umówili się na randkę. Długo siedzieli w kawiarni „Pod Kurantem”. Rozmowa toczyła się gładko. Szybko dogadali się, że mają oboje ziemiańskie korzenie. On pochodził z Lublina. Skończył wydział mechaniczny na Politechnice Warszawskiej. Był świetnym tyczkarzem. Niedługo zaczął przychodzić na Lwowską. Czuł się w Joanny domu i rodzinie znakomicie. Wkrótce pojechali razem do Bogusławic. Andrzeja ojciec był kawalerzystą i instruktorem konnej jazdy, więc i tam w typowo końskim środowisku poczuła się świetnie. Poznała jego rodziców. Odwiedzili rodzinny dom na lubelskim Sławinku. Dom był podobny do znanych jej milanowskich willi. Nastroje i zwyczaje rodzinne podobne. Czuli się ze sobą dobrze i bezpiecznie. On znalazł w obcej mu Warszawie przyjazny dom, Joanna miała poczucie, które nazywała „pewność i zaufanie”. Wszystko stało się naturalne, bezpieczne..

W lecie dostała zaproszenie od wuja z Anglii. Miała jechać do Londynu. Nie wahała się ani chwili. Wuj odwiedził ich jeszcze w Milanówku. Jechała z nim pociągiem do Warszawy. Patrzył na Joannę z wyraźnym zadowoleniem. Lubił kobiety, szczególnie ładne. W którymś momencie spojrzał na nią uważnie i spytał: – *A chciałabyś pojechać do Anglii?* – Nie wierzyła własnym uszom, ale od razu odpowiedziałam krótko: – *No pewnie!!* – Wuj obiecał przysłać zaproszenie, bez którego wtedy nie było mowy o wyjeździe do „wrogiego imperialistycznego świata”. Była to niesłychana gratka. Tak niewiele osób mogło wtedy wyjechać na zachód. Z niepokojem czekała na paszport. Przecież tylu ludziom go odmawiano. Kiedy paszport leżał już bezpiecznie w szufladzie na Lwowskiej, wybrali się jeszcze z Andrzejem na wspólne wakacje i to nie były jakie. Jechali na skuterze. Najpierw w Bieszczady, a na drugą część wakacji do Mielna nad morze. Wakacje były bardzo udane, ale jednego nie przewidziała. Mama była oburzona i śmiertelnie obrażona. Ich wyjazd uznała jako poważne naruszenie moralnych zasad. Co sobie pomyślą ludzie. Jak to wygląda, żeby młoda panienka jechała sama z mężczyzną. Domyślała się i słusznie, że na pewno nie mieszkali w osobnych pokojach. Po powrocie, w domu były awantury, na przemian z okresami martwej ciszy. Nie mogła się doczekać kiedy wreszcie wyrwie się w świat. Tymczasem jeździła do Świdra, gdzie leżała w szpitalu babcia z gruźlicą kości. Choroba umiejscowiła się w kości biodrowej. Jak zwykle dzielna babcia robiła dobrą minę do złej gry. Żartowała z lekarzami i pielęgniarkami. Podtrzymywała na duchu innych chorych. Joanna spotykała w Świdrze tatę. Zdecydowała się przedstawić mu przed wyjazdem Andrzeja. Chyba w tym okresie podświadomie wyparła uczucie do Taty. Nie czuła nic. Dopiero po pół roku pobytu w Anglii odczuła nagłą potrzebę napisania do niego. Tak jakby otwarła się nagle uśpiona czakra miłości. List był serdeczny i prawdziwy. Natychmiast dostała równie ciepłą odpowiedź.

W przeddzień wyjazdu do Anglii jechała z Saskiej Kępy na Lwowską autobusem 117. Kiedy wysiadła na Placu Konstytucji zorientowała się, że zostawiła w autobusie torebkę z całymi pięcioma dolarami, które można było ze sobą wziąć i co najważniejsze z najbardziej upragnioną zdobyczą, PASZPORTEM!! ... i biletem kolejowym.

Popędziła jak strzała na Lwowską skąd zatelefonowała do Anisii. Kazała jej wybiec z mieszkania na ulicy Komarowa, którą jechało 117, wpaść do autobusu i na bocznej ławce za kierowcą znaleźć torebkę. Anisia wykonała zadanie perfekcyjnie. Wyleciała z domu w szlafroku, wskoczyła w ostatniej chwili do autobusu, po czym z odzyskaną torbą w rękę zdążyła wyskoczyć, zanim zdumiony kierowca autobusu ruszył. Joanna miała wielkie szczęście, że nikt wcześniej jej zguby nie znalazł.

ANGLIA

W listopadzie wsiadła w paryski pociąg na Dworcu Gdańskim. Otworzył się świat. Odjeżdżała setki mil od mamy, domowych problemów i – co było najwspanialsze – od znieawidzonego systemu, zniewolonego kraju i ludzi duszących się od kłamstw, nędzy. Pociąg opuszczał wschodnią strefę berlińską. Widziała mur, zasieki, ciemne, martwe okna, które nie mogły patrzeć na zachód. Po drugiej stronie tysiące świateł. Rozświetlona, radosna noc wielkiego wolnego miasta. Kiedy pociąg stanął na dworcu w Berlinie Zachodnim stała w oknie i patrzyła urzeczona na barwny, pogodny i energiczny tłum. Otworzyła okno. Stała wsłuchana w gwar swobodnych rozmów na peronie. Ludzie byli inni. Inaczej ubrani, inaczej poruszający się. Wciągnęła głęboko powietrze, poczuła ogromną ulgę, a jednocześnie jakąś naturalną wspólnotę z tym nowym dla niej światem, który знаła tylko z literatury, skrawków dostępnych filmów, z zachodnich rozgłośni ... i z własnej wyobraźni. Czuła, że w tym momencie zaczyna się życie prawdziwe. Mogła zapomnieć o fałszu wśród którego przyszło jej dotąd żyć. Mimo, że przez całe swoje ówczesne życie obracała się w środowisku, które opierało się uparcie i nieustępliwie narzuconemu siłą systemowi, jednakże czuła stale tę ciężką sowiecką łapę duszącą naród. Ohydą napełniali słudzy reżimu, którzy dla kariery lub ze strachu współdziałali z tą znieawidzoną przez większość machiną zła.

Była wolna! Oderwała się wreszcie od okna pociągu i zmęczona bujną radością i ogromnym entuzjazmem legła na swojej kuszetce. Spała do rana. Nie zauważyła, kiedy oddzielono wagon od paryskiego pociągu, kierując go na północ. Obudzili ją celnicy na holenderskiej granicy. Mili i uśmiechnięci w przeciwieństwie do ponuraków z komunistycznych granic. Kiedy dojechali do docelowej stacji – portowego miasteczka Hook van Holland, miała trochę czasu. Chodziła po uliczkach, zaglądając do odsłoniętych okien małych domków i przyglądała się wystawom. Wszystko wydawało jej się czyste i zasobne. Wróciła do portu i weszła na prom. Płynęła już prosto do Anglii. Długo stała na pokładzie, patrząc z góry na oddalający się ląd, nie mogąc doczekać się, kiedy wreszcie dopłyną do Harrwich. Stamtąd pociąg miał zawieźć ją do Londynu.

Na Victoria Station czekał wuj. Był wieczór. Jechali przez City. Miała nos przylepiony do szyby. Nie pamiętała o czym rozmawiali. Chłoneła to miasto, tak inne od tych, które dotąd znała. Zwróciła uwagę na ogromną ilość sklepów z antykami. Po godzinie granatowy Mercedes wuja wjechał do ogrodu „Anna House”. Żwir chrzęścił pod kołami samochodu. W proggu czekała ciocia Anna. Powitała Joannę bardzo

serdecznie i zaprowadziła do gościnnego pokoju. Rano, zeszła na śniadanie. Poznała dziewczynki – śliczną szesnastoletnią Karolinę i małą Ewcię, a także ich opiekunkę panią Cieńską, żonę adiutanta londyńskiego prezydenta. Na weekendy przywożone były obie babcie. Blisko stuletnia matka wuja, ciocia Janka i pani Anna, matka cici.

Wuj był właścicielem firmy TAZAB, która wysyłała na zlecenia paczki do Polski i innych krajów bloku zza muru. Miał też dwa domy w dzielnicy South Kensington. TAZAB mieścił się w dużym białym domu na Rolland Gardens. Biura zajmowały parter, na górze były „flaty” wynajmowane głównie bogatym Arabom. W suterynie magazyny i centrala telefoniczna, przy której wkrótce zajęła stanowisko. Pomagała też w pakowaniu paczek i krojeniu materiałów. Stała się tazabową modelką, pozującą głównie w promowanych przez firmę płaszczach ortalionowych. W TAZABIE pracowało około dwudziestu osób. Kulturalna, wojenna emigracja. Mówili piękną polszczyzną. Szybko została zaakceptowana przez zasiedziałyh pracowników. Osobą do specjalnych poruczeń i transportu był pan Władysław. Jego żona Maria królowała w dziale medycznym, skąd wysyłano mnóstwo niezbędnych, brakujących w Polsce lekarstw. Wuj był szanowany. Dawał pracownikom poczucie bezpieczeństwa. Mieli tylko jedno zastrzeżenie. Kiedy ktoś popełniał pomyłkę, wuj wiedziony jakimś dziwnym instynktem natychmiast ją zauważał. Nie robił z tego afery, ale już sama świadomość mobilizowała ludzi do starannej pracy. Joanna, jako telefonistka wiedziała wszystko, co się działo w firmie. Łączyła rozmowy, przekazywała wiadomości, załatwiała niektóre sprawy.

Niedługo po rozpoczęciu pracy w TAZABIE wuj wynajął dla Joanny mansardowy pokój w wiktoriańskim domku pani Marii i Władysława na ulicy Drayton Green. Zamieszkała na Ealingu, najbardziej polskiej dzielnicy Londynu. W pokoiku gościła już jedna lokatorka – Hanka. Była ona córką przyjaciół państwa domu. Pani Maria, ze swoją córką Krysią, spędziła u nich w Łodzi, w pięknym, dużym i niezwykle gościnnym mieszkaniu na ulicy Piotrkowskiej kilka wojennych lat. Teraz Hania, jedna z sióstr bliźniaczek, uczyła się angielskiego w Londynie. Mieszkało im się razem znakomicie. Ponieważ obie nie były za porządne, położyły wzdłuż pokoju sznurek, który oddzielał dwa bałagany. Na parterze mieszkali gospodarze. Tam toczyło się domowe życie. Sercem domu była kuchnia i pokój jadalny, gdzie na okrągłym stole, na kolorowej fajansowej zastawie, pani Maria ustawiała wspaniałe, wymyślne potrawy, które ku uciesze domowników gotowała. Pan Władysław polewał drinki, a na stole siedziała puchata popielata perska kotka o imieniu Azuri. Była ona najukochańszym domownikiem i dostawała najlepsze kąski. Prawie codziennie przychodził przyjaciel domu Edzio, a czasem też jego siostra Janeczka, która wspominała rzewnie swojego ukochanego męża, znanego aktora przedwojennych warszawskich scen kabaretowych – Węgra... Jarosego.

Andrzej siał do Joanny pisane drobnym, równym pismem listy. Zamieszkał w Falenicy w swoim segmencie, który remontował. Często nocował na Lwowskiej. Pracował w Pruszkowie w fabryce obrabiarek. Był już kierownikiem działu. Do mamy

zaczął mówić „Mamo”. A ona przedstawiała go znajomym „Mój zięć”. Ktoś zapytał – Kiedy Joanna wyszła za mąż? – odpowiedziała: – „ona nie ma jeszcze męża, ale ja mam już zięcia” –. Kiedy po wielu latach od ich rozvodu Joanna wróciła do lektury tych listów, zrozumiała jak bardzo ją wtedy kochał. Interesowało go wszystko co jej dotyczyło. Chciał znać każdy szczegół jej angielskiego życia. Tęsknił do wspólnych rozmów, do dotyku ...

„Dzisiaj mija 2 miesiące od dnia, kiedy mnie „osierociłaś”. Łza się w oku kręci, kiedy pomyślę, że zostało jeszcze 11 miesięcy. Co ja będę tyle czasu robił sam, bez mojego kochanego Kota... Moja malutka, kochana. Dlaczego do listu nie można się przytulić?...

„Jeżeli coś Ci się przydarzy, to nigdy z Ciebie nie zrezygnuję. Najgorzej boję się tego, żebyś nie przestała mnie kochać, bo to jest najważniejsze... postanowiłem Ci być (mimo chętek) wierny nie tylko duchowo. To będzie bardzo ciężkie, ale tym przyjemniejsza będzie nagroda i tym większa pewność, że będę Cię jednakowo kochał aż do przyjazdu...”

Opisywał swoje kłopoty w pracy. Oprócz normalnych problemów z partyjnymi dyrektorami wydarzyła się u niego na oddziale tragiczna historia. Rozległ się rozdzierający krzyk. Okazało się że prymitywna brać robotnicza „zabawiła” się ze swoim kolegą. Był chudziutki, więc postanowili go napompować. Włożyli mu w odbył końcówkę od sprężarki i puścili powietrze. Chłopak wył z bólu i pęczniał. Towarzyszył temu szaleńczy śmiech tych bydlaków. Śmiech zamarł im na ustach kiedy chłopaka rozerwało... Andrzej dobiegł za późno. Miał dosyć pracy w fabryce. Dostał wkrótce propozycję z centrali handlu zagranicznego „METALEXPORT”. Biuro było na rogu Kruczej, Pięknej i Mokotowskiej. Łatwy dojazd z Falenicy i bardzo blisko do przyjaznej „teściowej” na Lwowską. Mama dokarmiła go, rozmawiali o córeczce i coraz bardziej byli do siebie przywiązani.

Kiedy Joanna osiadła na Ealingu, zapisała się do szkoły języka angielskiego – West London College na full time, czyli 4 godziny dziennie. Szkoła była dobra. Kilku profesjonalnych nauczycieli różnych przedmiotów. Jediną wadą była aż siedmioosobowa grupa Polaków, co powodowało zmniejszoną koncentrację na języku angielskim. Pierwszy podstawowy kurs trwał trzy miesiące. Nauka szła jej łatwo. Opiekunka kursu zaproponowała Joannie i bardzo miłej drugiej Polce, jej imienniczce, żeby nie traciły czasu na kurs drugiego stopnia, tylko od razu przeskoczyły na trzeci. Czuły się dumne i docenione. Pewnie dlatego skorzystały z oferty. Nie było to najlepsze posunięcie, gdyż całą podstawą gramatykę przerabiano bardzo dokładnie właśnie na tym ominiętym przez nie semestrze. Ta luka pozostała widoczna w składni. Mówiła swobodnie, ale nie zawsze gramatycznie. Do tego kontakt z angielskim – poza szkołą – miała minimalny. Państwo P, jak większość ówczesnej emigracji nie opanowali angielskiego. Pani Maria знала podstawowe słowa i zwroty potrzebne do zakupów i załatwiania prostych spraw. Lepiej dawał sobie radę pan Władek. Codziennie jeździł po Londynie „Żabką”, czyli służbowym vanem. Był odpowiedzialny za wiele spraw, miał więcej kontaktów i radził sobie znakomicie. Joanna

wracała z nimi z pracy. Kochał prowadzenie samochodu i często złościł się na flegmatycznych angielskich kierowców. Przez pierwszy miesiąc tłumaczył jej telewizyjne filmy, do momentu, kiedy zorientowała się, że jego tłumaczenia były często dalekie od rzeczywistości. Pan Władek znalazł się w Anglii z polskim wojskiem. Wylądował w Szkocji, gdzie jakiś czas stacjonowali. Zajmowali się łowieniem w rwących potokach pstrągów... w mundurowe spodnie. Zawiązywali nogawki, podtrzymywali taką specyficzną rybią pułapkę pod ostry prąd i po chwili portki były pełne pstrągów. Nie muszę dodawać, że takie połowy były czystym kłusownictwem.

Pan Władysław służył w czasie wojny w 14. Pułku Ułanów Jazłowieckich. Żołnierze z tego pułku mieli w Londynie swój klub. Joanna została zaproszona na ważną uroczystość. Jednym z celów spotkania było zebranie pieniędzy na pomoc dla kolegów, którzy mieli trudną finansową sytuację. Przeznaczono na to utarg z baru. Wszystkim, wobec tego, zależało na jak największej konsumpcji alkoholu. Za barem stanął Edzio, ale sprzedaż szła marnie. Po kilku drinkach postanowiła wesprzeć biednych ułanów i ... stanęła za barem. Ułańska krew zawrzała. Panowie wychylali coraz więcej szklanek złotej whisky. Każdy z nich, zwyczajem angielskim dawał Joannie napiwek w formie drinka. Doświadczony londyński barman nalewał sobie na początku jeden kieliszek, moczył tylko usta, udając że pije wspólny z darczyńcą toast. Porcja alkoholu wystarczała na cały wieczór, klient był zadowolony, a barman pobierał do kieszeni równowartość postawionego drinka. Wszyscy, włącznie z właścicielem baru byli zadowoleni. Nie znała tej prostej metody, więc wypijała, stukając się coraz to nowym kieliszkiem z ułanami, morze alkoholu. Utarg był znakomity. Wszystkie pieniądze poszły na dobroczynność, a ona po wyjściu na powietrze osunęła się na krawężnik. Siedziałyby tam do rana, gdyby dzielni ułani, wspólnymi siłami, nie wtaszczyli jej do „Żabki”. Jak dojechała do domu. Co dalej się działo – nie pamiętała.

Pani Maria z córką Krysią zdołały uciec z Polski drugim i ostatnim udanym transportem organizowanym przez „Białego Kapitana”. Był to dawny oficer Marynarki. Chodził zawsze ubrany w nieskazitelny biały mundur. Zajął się wysyłką nielegalnych pociągów na zachód. Udało mu się pomóc wielu ludziom. Pociągi były pełne. Trzecia wyprawa została przez reżimowe władze udaremniona. Czy wspaniały kapitan przeżył, czy został od razu zlikwidowany nie wiedziały. Mała Krysia przeżyła w czasie wojny gehennę. Została, razem ze swoją przyszywaną ciotką schwyтана w warszawskiej łapance. Przeszła przez obóz w Pruszkowie, a stamtąd Niemcy przewieźli ją do Rzeszy. W końcu wylądowała w obozie Belsen Bergen. Jakimś cudem rodzina dostała kontakt do Niemca, który za pieniądze wydobył ją z obozu. Krysia została pomyłkowo wysłana do Katowic. Na szczęście bystra ośmiolatka zapamiętała numer telefonu mieszkania na Piotrkowskiej i tak skontaktowała się z matką, która nadal tam mieszkała. Po wojnie pani P. otrzymała informację, że jej mąż jest w Rzymie i tam skierowały swoje pierwsze kroki. Dopiero na miejscu dowiedziała się, że przebywał już w Szkocji. Nie wiadomo, jak długo trwała ich podróż, ale udało im się do Szkocji dojechać.

W Szkocji był też Joanny wuj, który szybko zauważył, że polscy żołnierze zaczęli wysyłać paczki do swoich polskich rodzin. Nie było to łatwe. Wuj zaproponował, żeby składali u niego zamówienia, a on zajmie się resztą. Żołnierze skwapliwie na to przystali. Płacili wujowi niewielką sumę, dawali adres rodziny i mieli problem z głową. Kiedy znalazł się w Londynie otworzył już oficjalne biuro wysyłkowe. Emigracja była liczna. Rodziny w Polsce głodne, żyjące na granicy nędzy. Obrotny wuj stworzył magazyny najbardziej potrzebnych towarów. Leki, materiały, żywność... Bussines kwitł przez cały okres komunizmu w Polsce. Każde życzenie klienta było sprawnie spełniane. Wuj stał się bardzo zamożnym człowiekiem. Ożenił się z młodszą od siebie Anną, która też wydoszła się z Polski, korzystając z transportu „Białego Kapitana”.

Ciocia Anna opowiadała swoją historię. Pochodziła z bardzo zamożnej kresowej rodziny. Matka, arystokratka wychowywała ją w nadmiernej skromności. Ubranka miała biedne, a na ulicy kazano jej spuszczać oczy, kiedy tylko pojawił się naprzeciwnik mężczyzna. W czasie wojny dostała się do kobiecego obozu koncentracyjnego, Ravensbruck. Udało jej się przeżyć. Kiedy wracała statkiem do Polski zobaczyła w porcie transparent z napisem „Więźniarki witają Ludową Ojczyznę”. Nie mogła uwierzyć własnym oczom. Przecież więźniarki oczekiwały, że to ojczyzna winna witać te kobiety, cudem uratowane od zagłady niemieckiej. Zrozumiała, że w takiej ojczyźnie nie chce żyć. Zatrzymała się w Gdańsku. Żeby przetrwać zdecydowała się na pracę na stacji benzynowej. Była młodą, niedoświadczoną dziewczyną. Któregoś dnia zatkała się pompa. Ktoś musiał odblokować zawór w studzience. Otwór był mały, więc poprosiła o to chudego chłopczyka. Nie przewidziała, że w studzience ulatniały się trujące opary. Chłopiec nie wychodził. Zebrał się wokół wrogi tłum. Ludzie krzyczeli, że zamordowała chłopca. Postanowiła go ratować. Jedyńm rozwiązaniem było spuszczenie na linie do studzienki drugiego chłopca. Tłum zawył, ale ciocia była nieugięta. Chłopiec uratował chłopca. Ciocia zniechęciła ludową ojczyznę i wrogi, ponury motłoch. Skorzystała z okazji i znalazła się w Paryżu. Kiedy pracowała jako kelnerka poznała wuja. Nie był jeszcze wtedy bogaty. Pobrali się. Mieli skromne mieszkanie w Londynie. Urodziły im się dwie córki.

Kiedy Joanna przyjechała do Anglii wujostwo mieszkali w jednej z najlepszych miejscowości – Kingston Hill w Hrabstwie Surrey. Do pierwszej londyńskiej stacji metra Wimbledon jechało się samochodem parę minut. Domy wokół były wspinał się. Naprzeciwko czerwony mur otaczał ogród willi „Soames House” kojarzonej z Sagą Rodu Forsythów. Jakies trzysta metrów dalej były ogromne pola golfowe, gdzie Joanna chodziła na długie spacerzy z mamą cioci i spanielem Pipem. Całe wzgórze było zielone. Ogromne ogrody pełne krzewów kolorowych rododendronów, obsypanych kwiatami hortensji, rozległe, zadbane trawniki. Cała okolica emanowała spokojem i obfitością. To był świat, który dopiero poznawała, a już z nim się utożsamiała. Spędzała u wujostwa wszystkie weekendy. Jadła niezapomniane ciocine „lunche”, podawane na pięknej niebieskiej porcelanie Wegwood’a. Na jadalnym stole, stojącym przy rozsuwanych, przeszkłonych drzwiach do ogrodu, były

podawane wspaniałe zakąski, przepyszne gorące dania i najwspanialsze desery. Przy stole zasiadała cała rodzina. Wuj i ciocia siedzieli na szczytach stołu. Stałymi bywalcami były dwie mamy, obie urocze starsze panie, Wojtek, siostrzeniec cioci z Gdańska, Joanna i mnóstwo różnorodnych gości. Bywała druga żona, pierwszego męża cioci z synem, członek angielskiego parlamentu i wielu londyńskich przyjaciół wujostwa. Przewijało się też mnóstwo młodych ludzi z Polski. Wuj cały czas pomagał, a szczególnie dorastającym dzieciom swoich znajomych z Polski. Dawał im pracę, przyjmował w swoim domu, często płacił za ich naukę. Tak też było z Joanną i Wojtkiem. Babcia Janka, matka Wuja, bardzo starała się wyswatać ją z Wojtkiem. Kazała im tańczyć i zachwycała się jakąś piękną parą stanowią. Joanna bardzo lubiła Wojtkę, lecz mimo jego wyraźnej akceptacji babcinych planów, nie miała ochoty na żadne z nim amory, a tym bardziej małżeńskie plany. Rozmowy toczyły się na wiele tematów. Pamiętna była zabawna scena, kiedy to przyjechała jakaś dziewczyna z Polskich lasów i zaczęła po angielsku opowiadać przy stole historię myśliwską. A było to polowanie z nagonką na dziką. Opowieść była barwna, dzik osaczony walczył dzielnie i długo. Na przyjęciu było sporo Anglików, którzy konali ze śmiechu, nie tak bardzo z samej opowieści, ale... z drobnej pomyłki. Zamiast mówić na dzika „boar”, dziewczyna cały czas używała słowa „whore”... czyli łagodnie mówiąc... „dziwka”. Przyjeżdżał też z Paryża przyjaciel wuja, Totuś, opisany później jako imperialistyczny szpieg w książce Czechowicza.

Wuj często zabierał ją ze sobą na lunch do „Ogniska Polskiego”. Któregoś dnia siedzieli z kilkoma znajomymi wuja. Szczególnie sympatycznie rozmawiał z Joanną jeden z panów. Po wyjściu spytała, kim był ten miły łysy pan. Wuj stanął jak wryty. – Dziecko! – powiedział. – To był Generał Anders!!! – Więcej już Generała nie spotkała.

Kiedy Joanna przyjechała do Anglii, była dalej nieśmiała, a jej poczucie własnej wartości kiepskie. I to dlatego nie udało jej się wyprawa z niesłychanie przystojnym, miłym, pochodzącym z bardzo dobrej rodziny Andrzejem, który służył w Gwardii Królewskiej. Po pierwszym spotkaniu u wujostwa zaproponował jej samochodową wycieczkę do Oxfordu.. Podobał się Joannie ogromnie. Nie mogła doczekać się wspólnego wyjazdu. Podróż okazała się całkowitym fiaskiem. Z wrażenia nie mogła wydusić z siebie słowa. No może czasem lekko odpowiadała na jego pytania, ale tak naprawdę milczała całą drogę, nienawidząc się za to. Im bardziej o tym myślała, tym bardziej przypominały jej się słowa „Gregory Pecka”, powtórzone przez babcię. Była jak sparaliżowana i miała kompletną pustkę w głowie. Ciężko tę porażkę przeżyła. Z Andrzejem nie spotkali się więcej. Przekonała się dobitnie, że jej polski Andrzej jest bezpieczny „pewność i zaufanie”. Nigdy nie miała z nim takich problemów.

Spotykała się przez chwilę z innym Polakiem mieszkającym w Anglii, Jackiem. Biegali po modnych hipisowskich knajpach. Mieszkał na Fulham Road, gdzie wtedy toczyło się barwne życie. Którejś soboty zaprowadził Joannę na party do Anglika mieszkającego na Paddington Rd. W tym okresie narkotyki były na porządku dziennym. Joanna nigdy ich nie spróbowała. Zawsze tłumaczyła, że lubi być świadoma,

tego co się ze nią dzieje. Weszli do ładnego mieszkania pełnego ludzi. Od razu, nie wiadomo dlaczego, przeszło jej przez myśl, że coś jest nie tak. Nie chciała nic jeść ani pić. Co chwilę ktoś proponował jej kawę. Widziała, że przygotowaniem kawy ogromnie się zajmowano. W kuchni przy jej przyrządzaniu panowała jakaś szczególnie atmosfera. Nic było to oczywiste, ale intuicja nakazała stamtąd uciekać. Wyciągnęła spod góry płaszczy swój kożuszek. Planowała wymknąć się po angielsku. Spostrzegł to właściciel mieszkania. Podeszedł i powiedział – Masz rację. Chodź, coś ci pokażę. Wziął ją za rękę i poprowadził do seating roomu. Stanęli przed półką z bibelotami i książkami. Lekko popchnięta półka otworzyła się jak drzwi. Za nią ukazała się szyba, przez którą widać było łóżko w sypialni. Klasyczne weneckie lustro. Zrozumiała. Gdyby wypijała tę kawę, to odurzona narkotykami, brałaby zapewne udział w spektaklu – i to jako aktorka, a nie widz. Gospodarz odprowadził ją do drzwi i pożegnał serdecznie. Powiedział : – Idź. Jesteś inna.

Zbliżały się wakacje. Po roku studiów zdała egzamin „Lower Cambridge”. Zaczęła zastanawiać się nad sposobem przeniknięcia do angielskiego środowiska. Okazja nadarzyła się wkrótce. Znajomy państwa P., przedwojenny kawalerzysta, uczył dziewczyny z bogatych angielskich domów jazdy konnej. Kiedy usłyszał o jej zamiarach, wpadł na pomysł, żeby ją wysłać do jednej z uczennic z hrabstwa Sommerset. Była ona córką lorda właściciela majątku i starego zamku.. Mieszkała w małym folwarku razem ze swoją przyjaciółką, córką miejscowego pastora. Prowadziły tam mały ośrodek treningowy dla koni. Joanna odniosła się do tej propozycji entuzjastycznie. Zaakceptowała pomysł bez chwili wahania. Ciocia Anna postanowiła płacić za jej pobyt. Twierdziła, że takie dziewczyny są bardzo pracowite. Joanna mieszkając z nimi za darmo czułaby się zobligowana do ciężkiej pracy. Umowa opiewała na miesiąc, a spędziła tam ponad trzy miesiące..

Dworek, w którym mieszkały dziewczyny był przepięknie położony. Wokół zielone wzgórza i kwieciste łąki. Wielkie stare rozłożyste drzewa. Na podwórzu stajnie, dla kilkunastu koni. Folwark znajdował się niedaleko zamku Farley Hungerfort, rodzinnego domu Polly. Równie blisko było do obrośniętej pnącą winoroślą plebani, gdzie mieszkali rodzice Susan. Jak niosła okoliczna wieść mama Susan była autentyczną lady, a żona lorda nią z urodzenia nie była. Rzeczywiście pastorkowa była uroczą, pełną wrodzonej dystynkcji damą. Mama Polly była nieco usztywniona, ale Joannę przyjmowała zawsze miło. Polly miała jeszcze cztery siostry. Biedny lord nie dorobił się dziedzica. Dziewczyny razem z Joanną jadały często obiady w zamku. Zamek ten można zobaczyć w wielu angielskich filmach. Był pięknie położony zbudowany w bardzo typowym tudorowskim stylu. Miał ogromny, żwirowy podjazd z klombem kwiatnym po środku. Z frontowych okien rozpościerał się cudowny widok na łąny złotego, dojrzałego zboża. Ogromny stół w pięknym pokoju jadalnym był zawsze elegancko nakrywany rodowymi srebrami i porcelaną. Do stołu podawał autentyczny butler (kamerdyner) w typowej kamizelce w paski. Lord był niewysokiego wzrostu i raczej korpulentny. Ubierał się w tweedy, kochał

polować. Miał liczną sforę psów. Zawsze ostrzegał Susy, żeby pilnowała swojej suki, bo nie ręczy za swoich gajowych. Zastrzela ją, jeśli zapędzi się do zamkowych lasów. Susan miała uroczą, płową charcicę Petrę, którą rzeczywiście ciągnęło do polowania na okoliczną zwierzynę.

W stajniach dziewczyn było kilka koni. Najwspanialszy był ogromny kasztan – hunter o imieniu Tom Jones. Miał on przyjaciółkę klaczkę, która stała w pobliżu. Na wybiegu paśli się zawsze razem. Któregoś dnia trzeba było odseparować Toma Jonesa od ukochanej klaczy, aby nie spłodzili razem potomstwa. Tom został zamknięty w osobnej stajence z wysoko położonym, niewielkim oknem. Koń szalał z tęsknoty, walił w ściany kopytami. W nocy jakimś cudem udało mu się wyskoczyć przez okno. Rano stał z futryną na grzbiecie, obok ukochanej klaczki. Od tego wyczynu ucierpiała nieco jego noga, więc Joanna codziennie jeździła na nim stępa na długi, spokojny spacer po wzgórzach. Sprawiało jej to ogromną przyjemność. Przez całe wakacje kwitło w Farley życie towarzyskie. Wyprawy do sąsiadów, żeglowanie z portu Porthsmouth ogromnym jachtem, wyjazd na wystawę rolniczą do Yorksire. Szykował się też bal, który miał się odbyć w udekorowanej rybackimi sieciami ogromnej stodole. Był poważny problem. Joanna nie miała odpowiedniego balowego stroju. Kiedy powiedziała o tym Polly, została natychmiast poprowadzona do sypialnych komnat lordowskich córek, gdzie powyciągane zostały z szaf stosy balowych sukien należących do pięciu córek lorda. Przeważały kolory różowe, lila i turkusy. Fasony przypominały modę elżbietąńskiego dworu. Była wdzięczna dziewczynom, ale mimo najlepszych chęci nie mogła sobie wyobrazić siebie w żadnej z oferowanych sukien. Po chwili dotarła Susan ze swoimi strojami, wśród których udało się znaleźć uszytą z białej jedwabnej surówki prostą długą spódnicę i czarną rozpinaną bluzkę z długimi rękawami z pięknej starej koronki. Strój był bardzo skromny, ale rozpięta góra bluzki, ładny naszyjnik i klipsy, dobry makijaż sprawiły, że wyglądała jednocześnie elegancko i seksownie. I była tak inna od Angielek obleczonych w suknie o nieco ptasich kolorach i mało atrakcyjnych fasonach. Miała wtedy rzeczywiście duże powodzenie. Bardzo spodobał się jej przystojny i uroczy Chris, ale okazało się, że ma już dziewczynę. Zainteresował się Joanną bardzo męski i atrakcyjny Patryk. Kiedy tańczyli podeszła Polly i zapytała co słychać u narzeczonego Joanny. W Anglii dziewczyna mająca narzeczonego była wtedy nietykalna. Pewnie Polly podobał się Patryk i dlatego brutalnie przerwała ten flirt w zarodku.

Kiedy wróciła do Londynu została zaproszona do domu dziewczyny Chrisa. Gdy tylko weszła spytali czy zna rosyjski. Uczyla się tego języka w szkole, jak wszyscy w tych czasach, ale ponieważ był on obowiązkowy i wtedy wrogi, nie był traktowany z należyтым szacunkiem. Nie podejrzewając, jak poważna sprawa kryje się za tym pytaniem – skłamała. Wtedy zaprowadzili ją na górę, gdzie w wielkim łożu leżała babcia, bardzo leciwa dama pochodząca z białej emigracji rosyjskiej. Kompromitacja była ogromna. Joanna sporo rozumiała, ale jej odpowiedzi były na wiejskim poziomie. Babcia była bardzo rozczarowana, a ona okazała się kłamczuchą.

Po pobycie w Sommerset angielski bardzo się poprawił. Poczucie wartości też. Joanna postanowiła sama o sobie decydować. Poszła do agencji „Universal Aunts” gdzie zgłosiła chęć zostania au pair. Warunki postawiła ostre. Dobry dom. Dobra dzielnica. Dobry angielski. Codziennie cztery godziny wolne na szkołę i do tego wolny weekend, aby spędzać go miło w Surrey. Agentki zwątpiły, czy uda im się znaleźć coś odpowiedniego. Po chwili wyciągnęły jednak z bogatej kartoteki fiszkę z nazwiskiem Crudson.

Natychmiast wybrała się pod wskazany adres. Piękny, biały wiktoriański dom stał w szeregu sobie podobnych na niewielkiej uliczce na tyłach Kensington High Street. Pan Crudson, znakomicie wyglądający, wysoki, przystojny, siwy pan był adwokatem i generałem. Pani Crudson – muzykiem. Grała na wiolonczeli. Była wykładowcą tego instrumentu w konserwatorium muzycznym w Reading, gdzie dojeżdżała w każdy czwartek. Joanna została zaakceptowana. Obowiązki miała niewielkie. Najwyższe piętro z dwoma pokojami i łazienką były jej wyłącznym terytorium. Rano miała przygotować śniadanie, co nie było wcale tak prostym zadaniem, bo każdy dzień szykowała inną potrawę. W poniedziałek smoked haddock, czyli dorsz gotowany w mleku, wtorek jajecznica, środa kippers, czyli wędzone śledzie smażone na patelni, innego dnia jajka na bekonie itd. itd. Po śniadaniu jedzonym jak wszystkie posiłki wspólnie, ślały razem z panią Crudson ich wielkie małżeńskie łóżce. Potem odkurzała jeden pokój. Była to tylko formalność, gdyż cały dom był codziennie sprzątnany przez angielską dochodzącą służącą. Później szła na górę, aby sprzątać swoje pokoje, co robiła rzeczywiście tylko raz w tygodniu. O godzinie 12.00 wybiegała do szkoły. Wracała na godzinę przed kolacją. Pani Crudson gotowała w ogromnej rustykalnej kuchni w basemencie. Joanna pełniła rolę podkuchennej. Obierała kartofle, szykowała produkty, nakrywała pięknie do stołu. W tym czasie pan Crudson, na specjalnym podeście czyścił wszystkie domowe buty – Joanny też. Nigdy w życiu nie miała tak lśniącego obuwia. Po wspólnym obiedzie, często w towarzystwie gości, zbierała ze stołu i zmywała naczynia. A pan Crudson starannie wycierał porcelanę, zabawiając ją ciekawą rozmową. Często po kolacji ciągnęły się długie rozmowy. Co piątek pani Crudson z przyjaciółmi grała w salonie pięknie klasyczne melodie. Państwo Crudson mieli przed Joanną około trzydziestu dziewczyn. Dla ułatwienia nazywali je wszystkie Ducky. Ją oczywiście też.

W sobotę po wczesnym lunchu jechała metrem na Putney Hill, do babci, skąd zabierał je do Surrey wuj. Wracała w niedzielę wieczorem. Niespodziewanie przyjechała do Londynu Andrzej. Przedstawiła narzeczonego swoim pryncypałom. Podczas podwieczorku Andrzej opowiadając o swoim dzieciństwie w majątku, wspomniął, że o świcie budził go krzyk parkowych pawów. Zaimponowało to pani Crudson. Od tej pory zawsze dbała, żeby Joanna przypadkiem nie pobrudziła sukienki i własnoręcznie wiązała troczki jej fartuszek. Po wyjeździe Andrzeja Joanna umówiła się z chłopcem ze szkoły na wyprawę do kina. Pani Crudson przyjrzała mu się uważnie. Kiedy Joanna wróciła, ostrzegła – „He is not from your class – Przytaknęła. Nie był z jej szkoły. Dopiero po chwili dotarło do niej, że nie o taką „klasę” chodziło.

Któregoś dnia pani Crudson kupiła Joannie i Andrzejowi w prezencie ślubnym elektryczny czajnik u Harrodsa. Opowiadała, że sprzedawca wyraził wątpliwość, czy w dzikim polskim kraju jest elektryczność. Czajnik był piękny, ale Joanna miała na widoku wspaniałe zamszowe, długie buty pasujące idealnie do ślicznej zamszowej mini spódniczki. Postanowiła oddać czajnik do Harrodsa. Powiedziała sprzedawcy, że ma już w domu czajnik elektryczny. Nie ukrywała, na co chce przeznaczyć odzyskane pieniądze. Bez dłuższego ociągania subiekt przyjął czajnik, odliczył upragnioną sumę. Po chwili stała się posiadaczką wymarzonych butów. Podejrzewała tylko, że sprzedawca utwierdził się w przekonaniu, że w Polsce nie ma do czego elektrycznego czajnika podłączyć. Prezentem dla Andrzeja miała pozostać przyjemność patrzenia na długie nogi Joanny ubranej w wyjątkowo kuszą mini spódniczkę i szykowne buty. Była to chyba pierwsza w Warszawie taka spódniczka. Reakcje ludzi były czasem przykre, a częściej zabawne. Przekupka na Polnej krzyknęła za nią – To się myje, a nie wietrzy!

Na miesiąc przed powrotem do Polski zamieszkała ponownie na Ealingu. Jeździła codziennie do pracy w Wimpy Barze na ulicę Strand. Została kelnerką. Pamiętny był pierwszy dzień pracy. Przed południem było prawie pusto. Tylko czasem ktoś wstępował na kawę lub herbatę. Trzeba było pytać klientów czy wolą indyjską, czy angielską herbatę. Nie było istotne jaka padała odpowiedź, gdyż zalewana była wrzątkiem na zapleczu torebka zawsze jednej marki herbaty. W czasie lunchu zajęły się błyskawicznie wszystkie miejsca. Joanna dzielnie wyszła na salę i przyjęła zamówienia ze wszystkich należących do jej rewiru stolików. Kuchni przekazała prawidłowo wszystkie dania, jednak nie była w stanie zapamiętać co komu podać. Było tego mnóstwo. Podnosiła więc w górę talerz i wesoło pytała kto zamówił danie. Po chwili każdy miał to o co prosił a Joanna dostała mnóstwo sowitych napiwków. Najprzyjemniejsze były wieczory. Strand jest ulicą teatrów. Knajpa była otwarta do późna. Co wieczór oblegana przez miłośników teatru i aktorów. Prawie nikt, oprócz właściciela i managera, nie pracował legalnie. Przy zmywaku stał, a właściwie głównie siedział w kałuży na podłodze leniwy Pakistańczyk. Niemiec Patryk – piękny student, z poświęceniem sprzątał cały bar, a odpowiedzialny za to Pakistańczyk zanosił do Allacha śpiewne modły. Był też Afgańczyk – zagorzały komunista, który toczył z Joanną nieustające burzliwe dyskusje polityczne. Któregoś dnia, pełna emocji dowodziła jak wielką obłudą, ohydą i krzywdą dla ludzi jest komunistyczny system, w którym była zmuszona żyć przez prawie całe swoje życie. Afgańczyk nie wytrzymał obelg rzucanych na umiłowaną ideę. Rzucił w Joannę metalową tacą i wściekle wysyczał – Powiem o tobie w Polskiej Ambasadzie. Jestem tam zapraszany na przyjęcia –. Odchodząc odwrócił się i wysapał: Zapamiętaj mnie! Jeszcze o mnie usłyszysz!!!”. Może warto było jego imię zapamiętać. Myślała też o nim kiedy zaczął się terroryzm na wielką skalę. Kim był? Nie dowiedziała się, czy to dzięki jego donosom nie otrzymała już przedłużenia wiza u polskiego konsula Bojenki. Konsula widywała co trzy miesiące, kiedy przychodziła przedłużyć wizę. Za każdym razem odbywała się jednakowa rozmowa. Toczyli dyskusję na temat wuja – TAZABA:

Bojenko: – My nie lubimy pani wujka...

Joanna udając naiwną: – Dlaczego, to bardzo miły i dobry człowiek i ja go lubię?

Bojenko marszcząc brwi: – Bo ogłasza się w tej szmacie. Prawda, że to szmata?

Joanna, robiąc zdziwiona minę: – Jaka szmata?

Bojenko zirytowany jej głupotą: – No, nie wie Pani? Ta... ta... „Dziennik Polski”...!

Joanna, niewinnie: – A myśli Pan, że gdyby wuj zamieszczał ogłoszenia swojej firmy w „Trybunie Ludu”, albo w angielskim „Times” to miał by klientów?

Bojenko zrezygnowany machał ręką i wbiął do paszportu kolejną wizę...

Po skończeniu pracy w Wimpy Barze ledwo łapała ostatnie metro z Leaster Square. Przeżyła tam chwilę grozy. Biegła spóźniona do pociągu, kiedy nagle złapał ją za rękę ogromny Murzyn. Nie wiele myśląc walnęła go pięścią po pysku. Puścił. Biegła bardzo długimi ruchomymi schodami w dół. Tuż za sobą słyszała tętent pędzącego, wściekłego olbrzyma. Kiedy wpadła na peron, drzwi pociągu były jeszcze otwarte. Wskoczyła. Odwróciła się. Zobaczyła w szybie jego opętaną złością twarz. Ręce oparte o zamknięte już drzwi. Pociąg ruszył. Była uratowana. To był jedyny mężczyzna, którego uderzyła w twarz. Joanna nigdy nie była rasistką. Mężczyzna ten był po prostu bardzo silny, miał złe oczy i na pewno nie miał dobrych zamiarów.

Ciekawe było – wcześniejsze i chyba warte zanotowania – zdarzenie. Był biały dzień. Stała w kolejce do autobusu przed stacją Ealing Broadway. Ludzi było sporo. Nieopodal zatrzymały się dwie grupy podrostków. Jedni – agresywni, ubrani w czarne, nabite metalowymi ćwiekami, skórzane kombinezony – przyjechali na motorach. Drudzy w swetrach z golfem – na skuterach. Byli wyraźnie skonfliktowani. Po chwili ostrej wymianie słów czarni chwycili skuterowca – szczupłego ciemnoskórego chłopaka. Unieśli go w górę i zaczęli z impetem uderzać jego krocem w metalowy słup znaku drogowego. Anglicy z kolejki odwrócili wzrok. Nikt nie reagował. Chłopak był z bólu. Nie wytrzymała. Podbiegła do oprawców i zaczęła na nich wrzeszczeć z furii. Wyraźnie nie spodziewali się takiej reakcji. Miała wrażenie, że oprócz załatwiania rozgrywek, osobistych, ich celem było też sprowokowanie ludzi obserwujących tę scenę. Znali naturę swoich ziomeków. Zachowanie cudzoziemki wyraźnie odbiegało od normy. Spojrzeli z pewnym podziwem na wrzeszczącą na nich dziewczynę i natychmiast zostawili chłopaka. Stał skulony z bólu. Motory odjechały. Wróciła do kolejki, bardzo z siebie zadowolona. Nikt się nie odezwał. Jakby nic się nie stało.

Zbliżała się chwila pożegnania z Anglią. W noc przed wyjazdem Joanna miała sen: *Przylatuje na polskie lotnisko. Jest zdruzgotana. Ktoś wskazuje na rozpadający się mały samolot i proponuje jej powrót do Anglii. Zgadza się bez wahania. Pragnie wydostać się z Polski za wszelką cenę. Wsiada do zdezelowanego samolociku. Start. Udało się. Czuje ogromną ulgę...*

A na jawie? Pociąg. Prom. Kontrola paszportowa na holenderskim promie. Przychodzi jej kolej. Podaje paszport. Oficerowie patrzą z niepokojem i oznajmiają, że nie ma w nim tranzytowych wiz. Holenderskiej i niemieckiej. Niemożliwe. Przecież dała paszport do biura podróży TAZAB należącego do wuja, żeby załatwili

wszystkie niezbędne formalności. Tak była pewna, że nawet do paszportu nie zająrała. Niefrasobliwie odpowiedziała, że w takim razie wysiądzie i popłyynie następnym promem. Jeden z oficerów stwierdził, że to już nie jest możliwe. Obejrzała się i zobaczyła w oknie oddalający się port. Stała się aresztantem. Dali jej do stałej opieki młodego, przystojnego oficera, Alana. Spędzali razem czas. Jedli, rozmawiali. Nastrój był coraz miłszy. Alan patrzył na Joannę coraz cieplej. Kiedy wchodziła do swojej kabiny, próbował ją przytulić. Rano prom przybił do portu Hook van Holland. Alan poradził, żeby płynęła, po załatwieniu wiz, tym samym promem, a on załatwi jej wejście bez biletu. Przekazał aresztantkę, patrząc tęsknym wzrokiem, załodze angielskiego promu płynącego do Anglii. Kapitan był niezmiernie zdziwiony. Spytał, czy to na pewno ona jest tą osobą bez wiz. Kiedy potwierdzili, kapitan stwierdził: – Zdarzały nam się już takie osoby, ale były to zawsze staruszki. Rozbawiło to Joannę. Uśmieła się. Była w znakomitym humorze, bo wracała do Londynu! Prawie jak we śnie. Walizki zostały w portowej przechowalni bagażu. Pierwsze kroki skierowała do TAZABA. Na ulicy spotkała pana P. Zbladł, spojrzął na nią z przerażeniem i wystękał – Wszelki duch Pana Boga chwali!! –. Pojechali „Żabką” na grzyby. Paszport został w TAZABIE. Cieszyła się jak dziecko z tych kilku darowanych dni. Mimo, że w Polsce czekał Andrzej i ślub.

Alan tak jak obiecał wpuścił ją na gapę. Tym razem nie była aresztantką, ale opieka Alana była jeszcze czulsza. Miał lzy w oczach, kiedy schodziła na ląd. Pisał do niej miłosne listy. Do chwili kiedy poinformowała go, że wzięła ślub.

Całą powrotną drogę wydawało się, że film jej życia kręci się w odwrotną stronę. Z zasobnej wolności do nędzy i zniewolenia komuny. Kiedy pociąg minął berlińskie zasieki, nie miała już odwrotu. Nie spała. Czy naprawdę nie mogła nic zrobić, żeby zostać. Nie wracać do świata, który był jej już obcy, przerażający. Jechał z nią w przedziale młody Anglik, zafascynowany komunizmem. Jego wyjazd do Moskwy związany był z wymianą studencką. Całą drogę tłumaczyła mu bezskutecznie, jak bardzo się myli. Miał w drodze powrotnej zatrzymać się w Warszawie. Joanna dała mu swój telefon i obiecała spotkać się z nim, żeby omówić wrażenia. Spotkali się w barku hotelu „Bristol”. Pierwsza rzecz, o którą chłopak zapytał było to czy Joanna, jako Polka naprawdę może przebywać w hotelu dla cudzoziemców. W Moskwie na to nie pozwalali. Cała wyprawa zniszczyła szczęśliwie jego entuzjazm do opisywanego mu przez towarzyszy komunistów świetlanego systemu „równości i wolności”. Nie spotkał ani jednego studenta rosyjskiego. Zwiedzał tylko mauzoleum Lenina i budowle komunizmu. Wracał przerażony zakłamaniami, biedą i chamstwem. Warszawa wydała mu się oazą w tym komunistycznym świecie, tak daleko odbiegającym od zafałszowanych bzdurnymi informacjami wyobrażeń z którymi z Anglii wyjeżdżał. Dziękował Bogu, że wracał do wolnej Anglii. Jak bardzo mu zazdrościła!

Na dworcu Głównym w Warszawie czekał Andrzej, rodzice, Teresa i Anisia. Joanna przywiozła ciężkie walizy, pełne prezentów. Gorliwy bagażowy chwycił papierową torbę, którą trzymała w ręku. Torba pękła, a na dworcowym bruku pojawiły się

dwie złote kałuże – z koniaku i whisky. Ludzie zatrzymywali się wdychając z lubością zapach bezpowrotnie utraconego luksusu.

Sierpień 1967 roku. Powitanie z bliskimi. Rozmowy. Opowieści. Planowanie ślubu. Po kilku dniach nastąpiła akceptacja sytuacji, ale Joanna jakby kurczyła się w sobie – daleka od entuzjazmu. Najgorsze były wyjścia do miasta. Szarość i brud. Ponure twarze. Warszawa wydawała się martwa. Któregoś dnia pojechała na ciuchy, na Pragę i dopiero tam po raz pierwszy poczuła, że miasto żyje. Tak, jakby tylko na starej Pradze zachował się temperament i barwa.

Pojechali z Andrzejem do Lublina. W kurniku zagościł już wielki, groźny indyk przeznaczony na ich weselny stół. Rodzina Andrzeja przyjmowała ją bardzo serdecznie. Byli otwarci, naturalni. Przy wielkim stole zasiadła liczna rodzina i przyjaciele. Dobrze się tam czuła. Rozmowy toczyły się wartko.

Mieszkała z mamą na Lwowskiej. Nie było to łatwe. Poznała już smak samodzielnego życia i nie wyobrażała sobie powrotu pod kuratelę mamy. Czuła się jak w potrzasku. Poznała normalny świat. Tęskniła do niego. Polem nieznanym było życie małżeńskie. Kryła się w tym ciekawość i na pewno uczucie do Andrzeja. Nie „strzała Amora”, ale „Pewność i bezpieczeństwo”. Własny dom. Dzieci. Świat dorosłych ludzi.

Poszła oddać paszport na Kruczą. Poproszono ją do pokoju. Za wielkim biurkiem siedział człowiek zagłębiany w czytaniu dokumentów znajdujących się w wielkim segregatorze. Po chwili milczenia spytała, udając, tak jak w londyńskim konsulacie, naiwną: – Czy to wszystko o mnie –. Urzędnik kiwnął głową twierdząco. – To ciekawe. Chciałabym to przeczytać – powiedziała – Sama o sobie tyle bym nie napisała –. Przypomniał jej się generał Anders, „szpieg” Totuś, Afgańczyk, konsul Bojenko. Poznała w Anglii tak wiele osób, a oni mieli wszędzie wtyki i robili te swoje idiotyczne notatki... Dziwiła się, że nie było żadnych pytań. Oddała paszport i wróciła do domu.

Przeżywała rozterki duchowe. Czy znała Andrzeja? Czy go po tak długiej rozłące naprawdę kochała? Wyparła z pamięci te uczucia. Na jakiś czas przed ślubem zachorowała. Choroba polegała na tym, że prawie przestała siusiać. Podejrzewano sclerosis multiplex. Mama zwołała konsylium lekarskie internisty, neurologa i psychiatry. Przyjechali na Lwowską. Badali Joannę i dyskutowali. Kazali jej chodzić po pokoju nago i zastanawiali się czy ma jeden pośladek wyżej od drugiego. Wyszli. Nie postawili diagnozy. Psychiatra zapisał lek. Andrzej poszedł do apteki. Kiedy podał receptę, farmaceutka przeraziła się. Spytała dla kogo jest to lekarstwo i jakie są zalecenia. Lekarstwo miało trupać czaszkę na etykietce. Można było zażywać jedną kroplę na szklanek wody, a lekarz kazał brać 30 kropli na kieliszek. Andrzej lekarstwo wykupił, ale Joanna nie skorzystała z tego podejrzanego specyfiku. Anisia była przerażona. Właśnie przyjechała z Rosji, gdzie towarzyszyła, jako konferansjerka piosenkarce Annie German. Przyniosła ogromną puszkę kawioru i karmiła nim Joannę dużą łyżką. Było pyszne, ale nie pomogło.

Po rozpaczliwych telefonach mamy wuj Edward przerwał wakacje i zjawił się na Lwowskiej. Zbadał Joannę dokładnie. Po chwili milczenia wziął ją za rękę i spokojnie zadał tylko jedno pytanie: – Czy Ty na pewno chcesz wyjść za mąż? Odpowiedź nie

była jasna. Wuj użył nieznanego wtedy Joannie medycznego terminu – *Ucieczka w chorobę*. Zapisał środki rozkurczające. Objawy choroby znikły.

Mama rozesała pięknie wydrukowane zaproszenia. Po jednej stronie o ślubie syna zawiadamiali rodzice Andrzeja. Po drugiej – zawiadamiała mama. Jak to się stało, że Joanna zgodziła się na pominięcie taty? Nie był już mężem mamy, ale był nadal jej ojcem. Ślub odbył się 23 września, po południu, w kościele Św. Aleksandra, na Placu Trzech Krzyży. Miała na sobie sukienkę i płaszczyk z koronki w kolorze ecru kupioną w Windsorze. Na zdjęciach wyglądali na szczęśliwych i chyba tak było. Podobno ksiądz, zgorszony nieco krótką suknią, kazał jej przysięgać posłuszeństwo mężowi. Nie zwróciła na to uwagi, ale wszyscy obecni tak twierdzili. Przyjęcie weselne udało się. Indyk, upieczony w piecu chlebowym, przyjechał z Lublina. Stoły uginaty się pod zdobnymi półmiskami. Zabrakło tylko barszczu, który gospościa wylała przez pomyłkę do klozetu. Goście bawili się znakomicie. Byli tata i babcia. Niania była szczęśliwa wydając swoją pupilkę za mąż. Zabawa przeciągnęła się prawie do rana.

Noc poślubną spędzili w swoim, świeżo wynajętym mieszkaniu na Brazylijskiej. Kiedy następnego dnia jechali tramwajem na uroczysty rodzinny obiad na Lwowską, rozglądała się wokół z zadowoleniem. Była mężatką! Po kilku dniach pojechali do Zakopanego. Cieszyli się sobą. Jednak prawdziwą podróż poślubną zgotowali sobie dopiero po blisko roku. W Złoty Piaskach w Bułgarii.

Tymczasem zaczęło się normalne życie. Andrzej pracował w Metalexporcie. Joanna łapała prace dorywcze. Wkrótce nastąpiła ponowna fala protestów w ujarzmionych krajach. Przeciwko ludowej władzy buntował się lud. Nastąpiła tragiczna inwazja wojsk Paktu Warszawskiego na Czechosłowację. W dzień po inwazji czekała w Grand Hotelu na Anglika, który montował urządzenia w Fabryce Proszków Spiekanych w Łomiankach. Musiała mu długo tłumaczyć, że to nie Polacy z własnej woli zaatakowali podstępnie sąsiada, tylko zmuszone do tego płynącym z Moskwy rozkazem zniewolone polskie wojsko.

Tego roku w Teatrze Narodowym Dejmek wystawił „Dziady”. Był to początek lawiny, która skończyła się exodusem rodzin żydowskich z Polski. Odjeżdżały pociągi wypełnione uchodźcami. Polskę opuściło wtedy wielu intelektualistów z całymi rodzinami. Dopiero wtedy, tak naprawdę Joanna uświadomiła sobie problem Żydów w Polsce. W domu nigdy nie słyszała na ich temat niczego złego. Tata opowiadał wspaniałe dowcipy żydowskie, miał przyjaciół Żydów, a w jego krwi płynęła szlachetna krew Wieniawskich. Joanny prababka była córką pisarza, brata słynnego kompozytora Henryka Wieniawskiego, który pisał pod pseudonimem Jordan. Traktowała to tylko jako powód do dumy.

Wkrótce po tych wydarzeniach leciała samolotem do Gdańska. Obok usiadł Szwed. Wysoki, przystojny blondyn. Rozmawiali całą drogę. W którymś momencie spytał, co myśli o wypędzaniu z Polski Żydów. Oczywiście odpowiedziała, że budzi to grozę, ale dodała, że ma pewne przemyślenia na ten temat. Uświadomiła sobie, że przez całe dzieciństwo i młodość problem nie istniał. Miała kolegów i koleżanki,

którzy byli na pewno Żydami, ale ani oni, ani polska młodzież w ogóle nie myśleli o tym. Byli wtopieni w środowisko i tracili narodową tożsamość. Ich rodziny mogły nie być tym zachwycone. Dopiero rok 1968 uświadomił młodym kim naprawdę są. Dzięki tej koszarnej nagonce Żydzi odzyskali swoje dzieci. A one tożsamość. Narodową przynależność. Powiedziała Szwedowi, że może o swoich przypuszczeniach szczerze mówić, bo sama ma kroplę krwi żydowskiej. Kiedy żegnali się na lotnisku w Gdańsku, Szwed dał jej swoją wizytówkę mówiąc: *„Jeśli będziesz miała jakieś kłopoty to przyjeźdź do Szwecji, a my Ci pomożemy”*. Zrozumiała, kiedy zniknął już z oczu. Na wizytówce widniało typowo żydowskie imię i nazwisko. Obawiała się, że szwedzka gmina żydowska nie uznałaby jej za żydówkę. Korzenie były odległe i od strony ojca.

Biegała pod Politechnikę i Riwierę i razem z innymi skandowała: „Gestapo, Gestapo”. Studenci stali w oknach i machali przyjaźnie. Grześ, brat Andrzeja poprosił Joannę, żeby przyszła do ich akademika na Księcia Janusza i opowiedziała o filmie „Doktor Żiwago”. Wzięła ze sobą przywiezioną z Anglii płytę z melodiami z filmu i snuła zakazaną historię przez akademicki radiowęzeł, ubarwiając ją piękną muzyką z filmu. Nie było żadnych reperkusji.

W lecie pojechali z Andrzejem pociągami do Bułgarii i Budapesztu. Plaże bułgarskie były riwierą demoludów. Mieszkali w domku w winnicach, a obiady jadalni w słynnym hotelu „Jurnalist”. Było im dobrze. Pływali, chodzili na długie spacery wzdłuż plaży. Joanna ratowała piękne niebieskie meduzy, które morze wyrzucało na piasek. Były nieco jadowite i jej uda pokryły się wysypką. Nie przeszkadzało to kochać się w upalne noce i dni w przytulnej, drewnianej chatce. Na kilka dni zatrzymali się w Budapeszcie. Miasto podobało się jej ogromnie. Było jak większość europejskich miast pochylone nad rzeką. Tylko w Warszawie szeroko rozlana Wisła przemykała się niezauważalnie, zupełnie nie związana z miastem. Słuchała kiedyś wspomnień architekta. Opowiadał, jak to zaraz po wojnie polscy architekci zaczęli planować odbudowę Warszawy. Sytuacja była z punktu widzenia projektantów niezwykle sprzyjająca. Istniała infrastruktura, a nie było miasta. Planowano nowoczesne miasto zwrócone do rzeki – z bulwarami, mostami. Szerokie ulice. Przelotowe arterie miejskie. Nic z tego. Komunizm nie przewidywał ani piękna, ani użyteczności. Powstała beładna, ohydna, szara zabudowa. Ciężkie bloki robotnicze, socrealistyczny MDM i Pałac Kultury. Jako tako wyglądał jeszcze Muranów opiewany w filmach i piosenkach. Sytuację uratowała rekonstrukcja Starego Miasta i Krakowskiego Przedmieścia. Ostały się hotele „Bristol” i „Europejski”, Trakt Królewski – Aleje Ujazdowskie, Szucha, Pałac Wilanowski. Zostały też stare rogatki na Puławskiej i sporo starych domów w Alejach Jerozolimskich z cieszącym się wówczas złą sławą hotelem „Polonia”. To tam pięknemu „Gregoremu” stara, chora prostytutka oferowała swoje usługi. Był nieśmiały, bardzo dobrze wychowanym chłopcem, więc grzecznie podziękował. Kobieta nie ustępowała. Ponownie odmówił, tłumacząc, że nie ma pieniędzy. Kobieta chwyciła jego rękę i powiedziała: – To za marne 5 złotych pokażę ci w bramie. Jestem głodna. – Zgodził się, bo zrobiło mu się żal tej nędznej emerytowanej prostytutki.

Po powrocie z Bułgarii Joanna zaczęła pracować w Interpressie. Zajmowała się towarzyszeniem i tłumaczeniem zagranicznym dziennikarzom. Praca była jak dla niej stworzona. Wspólnie z szefem przygotowywali plan wizyty, miejsca do obejrzenia i spotkania z ciekawymi ludźmi. Posiłki w kilku lepszych warszawskich restauracjach. Oprawdzała Holendrów, Japończyków. Upamiętniła jej się wizyta dziennikarki, pani Kanga. Hinduska po studiach dziennikarskich w Oxfordzie. Interesowała się filmem. Szef umówił spotkanie z reżyserem i profesorem szkoły filmowej Stanisławem Wohlem. Rozmowa była interesująca. Gość zadowolony. Po wyjeździe dziennikarki szef wezwał Joannę do swojego gabinetu. Rozpoczął od próby uwiedzenia. Skończyło się na gonitwie wokół jego wielkiego biurka. Nie dała się dogonić. Wtedy stwierdził, że dotąd nie napisała jeszcze sprawozdania z żadnej z wizyt. Na drugi dzień przyniosła mu kartkę, na której napisała jaki był program wizyt, z kim były spotkania, jakie miejsca zwiedzali goście. Szef zerknął, skrzywił się z niesmakiem i warknął: – Co to za sprawozdanie? Nie ma w nim treści przeprowadzonych rozmów. Szczególnie interesuje nas co mówił zagranicznej dziennikarce reżyser. – W lot pojęła o co chodzi. Miała donosić na ludzi kultury. Już wiedziała, dla kogo pracuje szef. Zdecydowanie odmówiła takiej współpracy i zrezygnowała z ciekawego zajęcia.

Była już w ciąży, ale jeszcze o tym nie wiedziała. Po jakiejś imprezie wylądowali z Andrzejem na Starym Mieście w mieszkaniu Wowo Bielickiego. Poczęstował gości domową pieprzówką. Wypiła i była kompletnie chora. Rzygała jak kot. Nie miała pojęcia, że to jej dwutygodniowa embrionalna córeczka protestowała ostro, przeciw mocnym trunkom. Zdała sobie z tego dopiero z tego sprawę, kiedy wuj oznajmił wspólną wiadomość: – Jesteś w ciąży. Masz termin 26 czerwca. – Może to po wchłonięciu sporej dawki pieprzówki jej córeczka opóźniła swoje przyście na świat o całe 22 dni.

Obydwoje z Andrzejem byli bardzo szczęśliwi i nie mogli doczekać się urodzin. Czuli się dobrze, oprócz nieustannego oddawania naturze wszelkich posiłków. Kiedyś Anisia przyniosła jej rarytas, pyszną, pachnącą szynkę. Zjadła z wielkim smakiem, ale już po kilku minutach popędziła do łazienki. Anisia była oburzona – To ja pierwszy raz w życiu, stałam w kolejce po tę szynkę dla Ciebie, a Ty ją po pięciu minutach wyrzygałaś! –. Wszyscy ją karmili. Mama szykowała sowne obiady na Lwowskiej. Andrzej nauczył się robić pyszne pierogi. Niewiele z tego zostawało.

W piątym miesiącu ciąży pojechała ponownie do Anglii. Tym razem mieszkała u wujostwa w Surrey. Pracowała w TAZAB TRAVEL na Old Brompton Road. Jeździła do firmy z wujem. Ciąża nie była jeszcze bardzo widoczna. Panie z TAZABA posyłały ją ciągle do basementu po kawę i herbatę. Któregoś dnia po zsunięciu się z kilku schodów u wujostwa, wyraziła zdecydowaną odmowę dalszych usług. Panie patrzyły na nią z oburzeniem. Zrozumiała, że one nie miały pojęcia o jej stanie. Oznajmiła, że jest w szóstym miesiącu ciąży i obawia się chodzić po stromych schodach. Od tej pory troszczyły się o nią z ogromną serdecznością. Najtrudniejsze były powroty do domu wygodnym Mercedesem wuja. Luksus i wyśmienita amortyzacja działały na jej samopoczucie okropnie. Szczególnie przy częstych

hamowaniach w korkach. Przeważnie udawało się jej dojechać do domu bez wyskakiwania po drodze, ale nie czekając na otwarcie bramy, pędziła do łazienki. Po chwili wracał znakomity apetyt.

Ciocia zaproponowała, żeby Joanna urodziła w Anglii. Chyba nie do końca zdawała sobie sprawę jak ważne byłoby to dla jej dziecka. Dzieci urodzone w Anglii otrzymywały wtedy automatycznie obywatelstwo brytyjskie. A ona głupia odmówiła, nie chcąc sprawiać cioci kłopotu. Wiedziała, że wujostwo zapewniliby jej poród w prywatnej klinice, co nie było tanie. Nie chciała wujostwa narażać na koszty. Na pewno był to błąd, bo ciocia miała dla niej wiele ciepłych uczuć i chyba chciała mieć choć przez chwilę Joannę kruszynkę u siebie. Dwunastoletnia Ewcia od razu zaproponowała siebie jako najlepszą matkę chrzestną. Obiecała jej to. Ewcia była niezmiernie dumna. Przedstawiała Joannę swoim koleżankom jako swoją siostrzenicę – co było prawdą. Kiedyś, gdy razem pałaszowały spaghetti, zauważyła wbity w nią przerażony wzrok Ewci. – Nie jedz tego – wyszeptwała mała. – Dlaczego – spytała. – Bo dziecko się udusi kluskami –. Uspokoiła się dopiero, kiedy Joanna wyjaśniła, że makaron i dziecko mają w brzuchu odrębne przedziaty.

Wróciła do Warszawy. Ciocia wyposażyła ją w dwie śliczne ciężowe sukienki od Harrodsa i w luksusową wyprawkę dla dziecka. Była w domu. Późną wiosną zdecydowali z Andrzejem, że sprzedadzą mieszkanie na Krochmalnej, w bloku „Za Żelazną Bramą”, a zamieszkają w segmentowym domku w Falenicy. Joanna nie wyobrażała sobie życia z małą istotką na 15 piętrze. Spacerów po miejskich parkach. Istniała jednak poważna przeszkoda w tych zamierzeniach. Andrzej wynajął domek parze staruszków. Okazali się staruszkami koszmarnymi. Nie dość, że nie chcieli się wyprowadzić, to donosili na milicję, że Andrzej wynajmuje mieszkanie na czarno. Były nawet sprawy sądowe. Staruszkowie wszędzie pokazywali bezradną twarz i wygrywali.

Termin się zbliżał, robiło się coraz cieplej, a oni mieszkali wciąż w Warszawie w wynajętym mieszkaniu na Saskiej Kępie. Wreszcie zdesperowana Joanna postanowiła wziąć sprawę w swoje ręce. Wsiadła do autobusu C i pojechała do Falenicy. Kiedy weszła do domu dziadek z babcią leżeli w swoim wielkim małżeńskim łóżu pod ogromnymi pierzynami udając chorych. Widać jednak było wystające z pod koldry fragmenty ubrania i bynajmniej nie były to stroje nocne. Po prostu kiedy zobaczyli, że nadchodzi Joanna ze swoim wielkim brzuchem, wskoczyli tak jak stali do łóżek, pozostawiając na widoku tylko swoje fałszywie bezradne twarze. Znała ich paskudne charaktery i postanowiła zadziałać perfidnie. Oznajmiła, że nie jest tak dobra i spolegliwa jak jej mąż. Daje im ostatnią szansę załatwienia sprawy polubownie. Natomiast, jeśli dobrowolnie nie wyprowadzą się w ciągu tygodnia, to przyjedzie ciężarówka z mocnymi facetami, którzy zapakują ich wszystkie rzeczy i wywiozą pod adres zameldowania do Pruszkowa. Patrzyli na jej zdecydowaną twarz, to na ogromny brzuch i uwierzyli w ten na poczekaniu wymyślony bluff. Za tydzień mieszkanie było puste. Wyglądało koszmarnie. Pomalowane w pstre kolory, olejną farbą. Brudne i zaniedbane.

Andrzej zabrał się do remontu, a Joanna czekała na upragniony dzień. Czuła się znakomicie. Wyglądała bardzo ładnie. Jediną oznaką ciąży był wielki brzuch. Szła kiedyś Krakowskim Przedmieściem, kiedy zaczął ją zupełnie interesujący pan. Była w rozpiętym trenczu i brzuch nie rzucał się w oczy. Pan nagabywał, zapraszał na kawę, a ona śmiała się w duchu do rozpuku. W którymś momencie powiedziała: – Jeśli Panu nie przeszkadza, że jestem w 9 miesiącu ciąży, to proszę bardzo –. Wtedy padła odpowiedź, której się zupełnie nie spodziewała: – Ja nadal zapraszam, a ciąża... mija. – Roześmiała się, ale na kawę nie poszła. Pan był równie rozbawiony sytuacją. Nie miała wtedy samochodu, jeździła autobusami. Kiedyś weszła do środka i stała trzymając się pałąka. Autobus był pełen ludzi. Wszystkie miejsca zajęte. Kierowca nie ruszał. Pasażerowie zaczęli go gniewnie poganiać. Wtedy on odwrócił się i powiedział spokojnie: – Dopóki ktoś nie ustąpi miejsca tej pani, to nie ma mowy o jeździe –. Natychmiast miała do wyboru kilka miejsc. 24 maja urządziła „imieniny u ciężarnej”. Miało przyjść około 20 osób. Kupiła tysię, wypełniła je pastą grzybową. Kupiła alkohol. Jeden z zaproszonych zapytał czy może przyprzeprzeć przyjaciel. Zgodziła się beztrudno. Nie przewidziała ilości tych przyjaciół. Kiedy otworzyła drzwi... oniemiała. Duża klatka schodowa była pełna ludzi. Weszli do środka. Jakimś cudem całe towarzystwo zmieściło się w dwupokojowym mieszkaniu. Byli wszędzie. Tysię pochłonęli w sekundę. Alkohol zniknął. Nie było wtedy nocnych sklepów. Zapanował głód. Nikomu to nie przeszkadzało. Bawili się znakomicie do rana.

Minęło 9 miesięcy ciąży. Malutkie kopało, rozpychało się, raz nawet zrzuciło salaterkę z sałatą, którą położyła sobie na brzuchu. I nic. Po kolejnych dwóch tygodniach wuj zaczął się denerwować. Położyli ją w szpitalu na Solcu na oddziale patologii ciąży. Pracowała tam, wyszkolona przez wujka w Aninie, położna, pani Cichocka. Lekarze podczas obchodu zatrzymywali się na moment przy Joannie, twierdząc beztrudno, że na pewno pomyliła się o miesiąc w przewidywanej dacie porodu. 21-go dnia po przewidywanym terminie wuj zadzwonił do ordynatora i zagroził, że weźmie Joannę do innego szpitala w szlafroku, jeśli natychmiast nie wywołają porodu. Trzeba pamiętać, że był bardzo znanym ginekologiem.

Przestraszyli się konsekwencji i rano zrobili co trzeba. Prawie natychmiast zaczęły się bóle – od razu parte. Na sali porodowej rodziła jeszcze inna kobieta. Cała świta lekarzy i pielęgniarek stała przy Joannie. Zdawali sobie sprawę, że popełnili błąd. Zobaczyła kątem oka, że jej porodowa sąsiadka jest zupełnie sama. Zwija się i ryczy z bólu. Powiedziała: – Może ktoś pójdzie do niej –. Jedna z położnych leniwie podeszła do kobiety i za chwilę krzyknęła: – Jezu, ona rodzi!!! –. Wtedy cała biała wataha odbiegła pozostawiając Joannę została samą. Kiedy sadzali ją na „samolocie” zauważyła wiadro. Po raz pierwszy spanikowała. Czuła, że zaraz urodzi. Przeraziła się, że dziecko wpadnie do wiadra. Przedtem nie wydała z siebie głosu. Teraz zawyła. Podlecieli. Bóle parte nasiliły się. Już nie krzyczała, tylko do końca ścisnęła, mocno przytulając do policzka rękę lekarza stażysty. Kazali przeć. Lekarz krzyknął: – Teraz! Musi Pani natychmiast urodzić –. Wykonała co kazał. Uczucie wielkiej ulgi. Po chwili usłysza-

ła płacz dziecka. – Dlaczego dopiero teraz?! – pomyślała. Zdała sobie sprawę, że krzyk nastąpił z opóźnieniem. Okazało się, że córeczka o mało się nie udusiła. Miała pępowinę owiniętą wokół szyi. Dlatego lekarz tak popędzał. Była bardzo zmęczona intensywnym porodem. Dzieci w tych czasach nie kładziono na matczynej piersi. Zabierano je do sali noworodków. Przywożono tylko ciasno zawinięte tobołki na czas karmienia. Długo leżała na wózku. Na salę porodową zabrano ją tuż przed obiadem, na który serwowano rosół. Po porodzie była bardzo głodna. Spytała lekarza czy nie zostało trochę rosółu z obiadu. – Takiej dzielnej pacjentce należy się gorąca zupa – odpowiedział lekarz i zarządził, aby podano na tym wózku talerz, pełny złotego rosółu.

Pat przyszła na świat w ważnej chwili. Właśnie startował z Przylądka Canaverrall prom kosmiczny Appollo. Z załogą. Szkoda, że mała nie dostała na imię Apollonia. Kiedy przynieśli do pokoju pierwszy raz jej małą dziewczynkę i położyli obok na łóżku, Joanna rozwinęła tobołek i przyglądała się z zachwytem małym stópkom i rączkom. Łepki miała czarne. Drobny żółciutki buzię. Na buzi miała czerwone plamki. Były to naczyńki, zapewne spowodowane tak pospiesznym i późnym porodem. Przez chwilę nie potrafiła ssać, ale z pomocą salowej udało się. Joanna mogła ją już karmić. Wszyscy nazywali malutką „Lejek”, bo płacząc wołała inaczej niż inne dzieci: „Lej, lej, lej...”. Któregoś dnia położyli jak zwykle na łóżku tobołek. Spojrzała na buzię i ucieszyła się. Nie było naczynek. Ale doświadczyła dziwnego uczucia – nie miała ochoty dziecka nakarmić. Było jakieś obce. Po chwili przybiegła pielęgniarka z krzykiem, że zamienili dzieci. To niemowlę nie było Joanny. Po chwili tuliła już swojego Lejka. Patrzyła wzruszona, jak łakomie ssie. Do sali noworodków nie można było wchodzić. Matki stawały w drzwiach z dala od swoich maluchów i marzyły o powrocie z nimi do domów. Andrzej przynosił pierogi z wiśniami własnoręcznie wykonanymi. Wszystkie kobiety zazdrościły Joannie takiego gospodarnego męża.

Po porodzie pojechała na Lwowską, do mamy. Tam dopiero mogła się córeczką nacieszyć. Andrzej kapał małą codziennie. Joanna była trochę osłabiona. Miała zapalenie piersi, ale zalewała się mlekiem. Męczący upał. Dziecko sporo płakało. Sąsiadka z dołu przybiegła i poradziła, żeby zawinąć dziecko ciasno w kołdrę, to rozgrzeje się i przestanie płakać. Gdyby zastosowano się do tej rady, to pewnie mała przestałaby w tym skwarze płakać na wieki.

Miała być Nataszka. Rodzina oniemiała. Co! Rosyjskie imię w tych czasach! Myśleli z Andrzejem, żeby ich oszukać, dać na imię Natalia, a nazywać Nataszka. Po długich bataliach poddali się. Została Patrycja, Pat, Patunią, Patuszką. Kiedy zaczęła mówić przedstawiała się jako Tunia Czeska. Szkoda, że nie podchwycili wybranego przez nią zdrobnienia.

Po dwóch tygodniach wrócili na Brazylijską. Byli już zdrowe i silne. Joanna prawie nie przytyła. Pasowały na nią wszystkie ubrania z przed ciąży. Pogoda była wspaniała. Andrzej zrobił ze sznurków konstrukcję typu włoskiego do wieszania pieluch – pomiędzy balkonem i oknem. Na rolkach. Pralek nie było. Tym bardziej pampersów. Pieluchy gotowało się w wielkim kotle. Patek był świetnym, pogodnym

dzieckiem. Jadła i spała znakomicie. Chodziły na długie spacery nad Wisłę lub uliczkami ukochanej starej Saskiej Kępy. Życie nabrało nowej cudownej barwy. Byli wszyscy bardzo szczęśliwi. Po paru tygodniach przeżyli chwilę grozy. Pat nie podnosiła głowy, leżąc po kąpieli na brzuszku. Pojechali do dr Marczewskiej. Lekarka długo przyglądała się małej główce leżącej nieruchomo na kocyku. W końcu zatroskana powiedziała, że bardzo ją ten objaw martwi. Podniosła główkę małej i przez chwilę podtrzymała palcem jej brodę w górę, pytając zatroskana: – Co my z Tobą zrobimy? – Kiedy odjęła rękę, główka nie opadła. Bardzo zadowolona malutka rozglądała się wokół. Okazało się, że po prostu zapomniała jak to robić. Odetchnęła z ulgą. Nigdy więcej taki problem nie powtórzył się.

Ciągle pojawiali się jacyś goście. Wszyscy zachwycali się córeczką. Anisia postanowiła spróbować jakie to uczucie karmić dziecko. Kiedy Pat chwyciła jej urodziwą, lecz pustą pierś, nie była zachwycona i z wielką ochotą przeniosła się na maminą obfitą spiżarnię. Anisia spróbowała też jak smakuje kobiece mleko. Nie smakowało. Był to bardzo miły i szczęśliwy okres jej życia.

Uwielbiała Saską Kępę. Takie swoiste miasto w mieście. Enklawa starych cudownych willi na pełnych zieleni uliczkach. Ulica Francuska z małymi sklepami, knajpkami. Inni ludzie – wyglądający jak z normalnego świata. Nie czuło się tam ciężkiej atmosfery komunistycznego miasta.

Na jakiś czas zamieszkała z nimi babcia. Andrzej był dla niej bardzo dobry. Wreszcie znowu, jak za dziecinnych lat, mogła z nią rozmawiać o wszystkim. Starauszka była bardzo biedna. Przeżyła wiele naprawdę ciężkich chwil w swoim życiu, ale nic jej nie zdołało złamać. Dopiero rozpad małżeństwa rodziców, mieszkanie z Tatą z dala od najbliższych wyrzeźbiło głęboki smutek na jej tak zawsze radosnej twarzy. Cieszyła się malutką. Często leżały obok siebie na tapczanie. Było im chyba obu dobrze razem. Kiedy wyprowadzili się do Falenicy, babcia i tata zamieszkali w mieszkaniu na Brazylijskiej.

Remont Falenicy dobiegał końca. Na początku 1970 roku zadomowili się tam na dobre. Radość była wielka. Mieli miłych sąsiadów. Z czasem pojawili się przyjaciele. Zima była sroga. Palili w piecu koksem. Nie szło to Joannie najlepiej. Piec gasł. Kiedyś ze złości przyłożyła mu z całej siły pogrzebaczem i oporny piec od razu zaskoczył. Śniegi tej zimy były ogromne. Z domu do furtki przekopali korytarz. Nie było widać z za śniegu dziecinnego wózka. W końcu przyszła wiosna. Ogródek był zadbane. Duży strzyżony trawnik. Na środku sosna. Wokół maleńki, świeżo posadzony żywopłot z grabów.

To w tym ogrodzie, w pełni lata Joanna doznała jednej z tych rzadkich chwil, kiedy wszystko wokół zatrzymuje się. Człowieka wypełnia nieprzebrany spokój i uczucie namacalnego szczęścia. Zdrzemnęły się z Pat na trawie. Gdy otworzyły oczy, spojrzały na siebie. Uśmiech. Joanna leży na plecach. Podnosi dziecko na wyciągniętych rękach i nagle są tylko one. Tu i teraz. Czuje absolutne zespolenie z tym fikającym nóżkami w powietrzu stworzonkiem. Nic wokół nie istnieje. Wypełnia ją radość, miłość, wewnętrzny spokój...

Pat rosła. Całe dni spędzały na powietrzu – w ogrodzie, na spacerach, z wizytami u znajomych. W lipcu skończyła rok. Chodziła już, trzymana za rączkę, ale nie miała odwagi ruszyć na własnych nogach samodzielnie. Biegała natomiast na czterech jak mały propelerek. Któregoś dnia kierowca samochodu śmieciarzy zobaczył bezowocne próby nauczania Pat samodzielnego chodzenia. Poradził, żeby zrobić to przy pomocy ręcznika. Owinięty wokół piersi dziecka ręcznik trzyma się z tyłu za końce. Kiedy dziecko bezpiecznie ruszy, ręcznik trzeba puścić. Udało się! Nie zauważyła nawet, że nikt jej nie trzyma i od tej pory biegała bez niczyjej pomocy.

Zbliżał się chrzest. Przyjechała ciocia Zabłocka z Ewcią, która zgodnie z obietnicą daną jej w Anglii miała zostać chrzestną mamą. Na ojca chrzestnego wybrali Marka, męża Anisi. Uroczystość odbyła się w Falenickim kościele. Wszyscy byli bardzo przejęci. Na chrzcie mała dostała dwa imiona Patrycja Anna. Oczywiście nie zabrakło tym razem babci i taty. Pozostały czarno białe zdjęcia, na których siedzą wszyscy w falenickim ogrodzie. Pat na kolanach prababci ubranej w odziedziczoną po Joannie śliczną sukienkę ciążową od Harrodsa – jedwabną w brązowe drobne kwiatki z białym kołnierzykiem.

To ostatnie zdjęcie ukochanej Babci. 12 maja 1971 zmarła na wylew. Joanna odwiedziła ją w szpitalu na dzień przed odejściem. Powiedziano, że Babcia straciła świadomość. Siedziała zrozpaczona koło łóżka powtarzając w rozpacz: – Babciu, Babciu, Babciu.. – Myślała, że jej nie słyszy. Po chwili wkroczyła pielęgniarka z urzędzeniem do odflegmiania. Babcia spojrzała na Joannę całkiem przytomnie. Oczami wskazywała drzwi. Dawała wyraźnie znać Joannie żeby wyszła. Babcia była zawsze estetką. Nie chciała, żeby przyglądała się tej okropnej czynności. Joanna nie mogła sobie nigdy darować, że nie mówiła do niej normalnie, że nie pokazała jej swojej wielkiej do niej miłości i wdzięczności, za to kim dla niej była i za to, jak wiele ze swojej filozofii życiowej wnuczce przekazała. Może wtedy jeszcze nie zdawała sobie z sprawy, jak wiele babci zawdzięczała. To od niej nauczyła się tolerancji, łatwości przebaczenia i rozumienia, otwartości i jakiejś cudownej lekkości życia. Dziś ma lat 65 i z każdym dniem to bardziej czuje. Jej ukochana. W każdej ciężkiej chwili swojego życia, myślała o babci. Wydawało się, że słyszy jej głos sprawiający, że lęki i cierpienia ulatywały. Dawała siły do wystartowania z życiowych dołków, do dalszego, swobodnego lotu. Pocięszała się, że Babcia wie to wszystko i z tamtej strony przygląda się Joannie z miłością i wyrozumiałością. I wie, jak jest kochana. Na pogrzebie było mnóstwo osób – syn, synowa, wnuczki – Pol i Patunia, niania, rodzina i znajomi. Pogoda na Powązkach była piękna. Joanna miała pełne oczy łez, kiedy tata czule pogłaskał dębową trumnę, żegnając się z ukochaną mamą na zawsze.

Czuła się dobrze w Falenicy. Miała dziecko, męża, dom i coraz większe grono przyjaciół. Wkrótce po przeprowadzce zobaczyła przez okno wysokiego mężczyznę, ubranego w granatowy waciacz. Szedł ścieżką w kierunku domu. Twierdził, że interesuje go obraz, który ponoć starzy lokatorzy mieli do sprzedania. Nie wyglądał na robotnika. Zdziwiła się, że interesują go kicze, które widziała na ścianach pod-

czas wizyty u staruchów. Był to rzeźbiarz, Alek, który zainteresowany nową sąsiadką wymyślił historię z obrazem, żeby ją poznać. Od tej pory zaczęła się przyjaźń, która przetrwała. Alek miał córkę Jutę i żonę Kasię. Kasia, a właściwie Kasylda była inżynierem od wysokich napięć. Tak jak Andrzej jeździła codziennie do pracy, a oni z Alekiem, Jutą i Pat spędzali bardzo dużo czasu razem. Wyprawy rowerowe, w zimie sanieki i narty, wspólne wyjazdy z dziećmi na Bukowinę. W ciepłe dni jeździli do Świdra, lub nad starą łachę wiślaną. Zapijali się mocną herbatą w chińskich niebieskich czarkach. Rozmawiali bez końca na tysiące tematów. Juta, kilka lat starsza od Pat, organizowała dla maluchów rozmaite zabawy. Alek był bardzo zdolnym rzeźbiarzem. Na któreś imieniny podarował Joannie przepiękną stylizowaną rzeźbę z drzewa lipowego – jej portret. Mieli w sobie wiele ciepła i radości, które dawali dzieciom i sobie nawzajem. Kiedy niezauważalnie przychodziła czwarta godzina pędzili do domu, żeby nakarmić i zadowolić powracających z pracy małżonków, inżynierów.

Anisia i Marek przyprowadzili Stefana i Zosię mieszkających tuż za rogiem. Stefan był na tym samym roku Szkoły Teatralnej co Marek. Mówiono, że jest najlepszym malarzem wśród aktorów i najlepszym aktorem wśród malarzy. Był mańkutomem i malował obiema rękami naraz.. Zosia – scenografka delikatna, szczupłutka, lekko wycofana. Stanowili piękną parę. Ubierali się w tweedy i zamsze. Polubiła ich towarzystwo. W następnych latach doszła Dorota z synem Herakliuszem – rówieśnikiem Pat. Później Heniowie. Henio był muzykiem. Grał na wiolonczeli w orkiestrze Warszawskiej Filharmonii. Malinka była lekarzem. Pracowała naukowo w medycznej pracowni doświadczalnej. Opowiedziała kiedyś zabawną historię, która wydarzyła się w laboratorium. Nie wiadomo dlaczego doświadczalne szczury przestały się rozmnażać. Zwołano naradę. Najtęższe profesorskie głowy rozważały co mogło spowodować bezpłodność samiczek. Który z podawanych leków. Nie mogli dojść do żadnych wniosków. Do stołu obrad nieśmiało podszedł chłopak, który obsługiwał zwierzęta. Stwierdził, że zna przyczynę zahamowania rozrodu. Naukowcy spojrzeli na niego z politowaniem, ale pozwolili mu mówić. – Bo to ja co dzień robię przy tych zwierzątkach i zauważyłem, że odkąd zmieniono w klatkach podłogi na szklane, one nie mogą się zaprzeć –. Nastąpiła cisza. Diagnoza chłopaka okazała się słuszna.

Faleniccy przyjaciele byli ze sobą coraz bliżej. Spotykali się coraz to w innym domu na przysłowiowych herbatkach. Przy większych okazjach składali się na posiłek i płynny do zakrapiania. Spędzali wieczory na ciekawych, zabawnych rozmowach i... drobnych flirtach. Inżynierowie w wolnych chwilach od pracy bawili się razem z nimi.

W dzień towarzyszyły im zawsze dzieci. Pat oprócz starszej Juty miała sporo przyjaciół w swoim wieku. Bardzo dobrze bawili się z sąsiadem z naprzeciwka, Pawełkiem. To dzięki niemu na pikniku urodzinowym córeczka zmoczyła spodnie. Przyszła płacząc. Wołała – to wszystko przez... Paaawia...!!! –. Okazało się, że kucnęła pod drzewem, żeby zrobić siusiu. Zobaczył to Paweł i powiedział rezolutnie – Nie musisz kucać, wystarczy stanąć pod drzewem –. Kiedy Pat wykonała jego zalecenie, przelała spodnie na wylot. Joanna pocieszała córeczkę tłumacząc, że stosować tę

metodę mogą tylko chłopcy, którzy zostali wyposażeni w specjalny instrument, który daleko i wysoko siusia. Paweł miał brata i mógł nie być dokładnie uświadomiony na temat dziewczynskiej konstrukcji. Po zmianie stroju piknik trwał nadal i wkrótce sprawa została w ferworze zabaw zapomniana. Pat była samodzielna, pełna inwencji i bardzo towarzyska. Sprowadzała do domu mnóstwo dzieci i bawiła się z nimi znakomicie. Kiedyś pojawiła się w domu z nową, nieznaną dziewczynką. Joanna spytała, czy jej mamusia wie, gdzie teraz jest. Mała z powagą odpowiedziała – Nie mam mamusi. Zjadła ząb i umarła –. Dowiedziała się gdzie dziewczynka mieszka. Odprowadziła małą do domu. Czekał na nią ojciec. Okazało się, że mama miała na zębach koronkę z metalowym haczykiem. Udusiła się, kiedy obluźowana koronka wraz z kęsem jedzenia wpadła jej do gardła.

Pat odwiedzała swoich małych przyjaciół. Któregoś dnia wróciła z osmalonymi rzęsami i wypiekami na buzi. Okazało się, że tak mocno dmuchnęła, aby rozpalic ognisko, że ogień o mała nie przypiekł jej buzi. Kiedy bawiła się, wracała umorusana i wszystkie ubrania nadawały się do prania, a ona do wanny. Jednak miała na pewno wesołe i swobodne dzieciństwo. Pewnego dnia mała zniknęła z ogrodu. Zaniepokojona Joanna zaczęła głośno wołać i szukać dziecka. Zataczała na rowerze coraz większe kręgi po osiedlowych uliczkach. Trwało to dość długo. Była przerażona. Jej wołanie usłyszała pani, do której Pat przyszła z niespodziewaną wizytą. Mała przyszła do nich, stwierdzając rezolutnie, że mama pojechała do Warszawy, jest głodna i chętnie zje u nich obiad. Dzieci tej Pani bawiły się nieraz w pobliżu. Joanna odetchnęła z ulgą, a Pat dostała lekką reprimendę za kłamstwo, mimo że bardzo Joannę jej fantazja rozbawiła.

W falenickim domu pojawił się jeszcze jeden mieszkaniec. Płowe, wielkie psisko. Spotkała go w pobliskim lesie. Przez chwilę patrzyła na niego podejrzliwie. Wyglądał jak wilk lub dziki pies. Po chwili rozmowy pies zdecydował się podążyć za Joanną. Weszli do domu. Zapytała Andrzeja: – A takiego psa chciałbyś mieć? – Andrzej był nim zachwycony. Dali mu na imię Burląj po psie z Andrzejewego dzieciństwa. Był wspaniały. Miał wyraźnie uderzony zad i chodził na lekko ugiętych nogach. Jak wilk. Panicznie bał się pociągów. Zapewne ktoś go wyrzucił z wagonu. Na falenickim dworcu trząsł się jak osika z przerażenia. Nie bał się samochodów, innych psów czy ludzi. Zatrzymywał własnym ciałem samochody i zaglądał przez okno, żeby sprawdzić czy w środku nie siedzi ktoś znajomy. Przywiązali się do siebie ogromnie. Wyjechali z Pat na wakacje. Po powrocie nie zastały psa. Nie było go od kilku dni. Zrozpaczona Joanna stanęła w ogrodzie i wołała najgłośniej jak mogła: „Burląj! Burląj!”. Po chwili przyleciał ziajany z urwanym sznurkiem na szyi. Widocznie ktoś go ukradł i przywiązał. Kiedy pies usłyszał głos swojej pani, tak mocno szarpał, że udało mu się uwolnić. Po latach wielu ludzi z Falenicy wspominało panią, która jeździła na rowerze z dziewczynką w koszyku, a tuż za nimi biegł wielki płowy wilczur. Historia Burląja zakończyła się tragicznie. Kiedy Joanna odeszła, pies został z Andrzejem w Falenicy. Na czas wyjazdu zostawił go u swojego brata w Warszawie, na Gro-

tach. Nie było wokół domu ogrodzenia. Pies zaginął. Poszedł pewnie szukać swoich ukochanych pań. Dowiedziały się o tym dopiero po dwóch tygodniach. Szukały go. Obeszły całe schronisko „Na Paluchu”. Wiele smutnych oczu patrzyło na nie tęsknie, ale nie Burląja. Joanna była zrozpaczona. Wierzyła, że będzie mu lepiej w znanej Falenicy niż w na 10 piętrze w centrum Warszawy. W domu z ogrodem, tuż przy lesie. ...

Dom był wyraźnie za mały. Wpadli na pomysł, żeby podbić całość palami i zrobić pod spodem pokój, kuchnię i ubikację z przejściem do garażu. Było to możliwe, gdyż teren był wybitnie suchy. Nowe pomieszczenia rozrosły się. Były nie tylko pod domem, ale pod nowo wybudowanym tarasem. Zyskiwali sporą przestrzeń. Przed ogromnym oknem salonu usypali skarpe, na której rosły kolorowe kwiaty. Do wejścia prowadziły schody, których obramowanie Joanna własnoręcznie wymurowała. Na górze powstały trzy sypialnie. Każdy z domowników miał swoje niezależne królestwo, a dół był wspólny. Dość długo na piętro prowadziły prowizoryczne, bardzo strome, przypominające drabinę schody. Pat nie wolno było po nich chodzić bez pomocy dorosłych. Któregoś dnia Joanna z przerażeniem zobaczyła, że mała próbuje swoich sił samodzielnie. Stała na dole, żeby w razie czego złapać dziecko. Postanowiła przez chwilę obserwować jak sobie radzi. Pat spróbowała postawić stopę na niższym schodku, ale przestraszyła się wyraźnie wysokości. Wtedy odwróciła się ostrożnie i powolutku schodziła rakiem, trzymając się mocno łapkami. Od tej pory pozwolono jej swobodnie używać schodów. Nie trwało to długo. Wkrótce drabinę zastąpiły piękne dębowe, ciemnobrązowe, kręcone schody.

Budowa trwała długo. Praktycznie Joanna nadzorowała ją przez cały czas. Kiedy podziemie nie było jeszcze otynkowane urządziła tam Alkowi pierwszy wernisaz jego obrazów i rzeźb. Udało się. Było sporo liczących się gości. Kilka swoich dzieł od razu sprzedała.

Były też mniej przyjemne zdarzenia. Aby odprowadzić ścieki z dolnej kondygnacji, trzeba było obniżyć szambo i rurociąg. Wezwali człowieka z koparką. Nie wiedzieli, że przez środek wszystkich ogrodów w szeregu poprowadzono główny wodociąg. Usłyszała krzyk, wyjrzała przez okno i zobaczyła gejzer wody wysoki na kilka metrów. Cała ta woda zaczęła w zawrotnym tempie spływać do nowiutkich pomieszczeń. Zadzwoiła przerażona do Andrzeja, a on spokojnie powiedział: – Mam ważne rozmowy, musisz sobie sama poradzić –. Pobieгла do głównego hydroforu, który był na szczęście nieopodal domu. Drzwi były otwarte, w środku w ogromnej studni siedział facet. Krzyknęła, aby natychmiast zamknął dopływ wody. Facet spojrział w górę i flegmatycznie stwierdził – A pytał ktoś czy można sprowadzić koparkę? – Zawołała z całych sił; – A kto mógł się spodziewać, że wodociąg idzie przez prywatne ogrody? Zamykaj Pan!!!! –. Facet jeszcze coś próbował mówić. Nachyliła się i ryknęła: – Zamykaj chuju natychmiast i nie dyskutuj!! –. Jej głos w głębi studni zabrzmiał tubalnie i odbił się echem. Podziałało. Chamstwo, na chamstwo... Ciśnienie wody zaczęło spadać. Straż pożarna odpompowała wodę, ale widok był tragiczny. Nowiutkie dolne pomieszczenia były wypełnione gęstym mułem po framugi okien.

Skarpa obsunęła się. W sypialniach świeżo ułożona piękna nowa klepka wyrzuciła się. Wszystko było mokre. Na szczęście zdarzyło się to w lecie. Po południu Andrzej z hydraulikami i sąsiadami – którzy też byli żywo zainteresowani, gdyż całe osiedle nie miało wody – naprawiali wodociąg i usuwali pokłady błota. I w takim to momencie przed furtką zatrzymał się wojskowy samochód. Wskoczył z niego oficer, który wręczył Andrzejowi natychmiastowe powołanie na ćwiczenia wojskowe. Na nic się zdały tłumaczenia. – Jedzie pan, albo sąd wojskowy i więzienie –. Andrzej tylko odwarknął – Przynajmniej w pierdłu odpocznę –. Oficer wręczył wezwanie i odjechał.

Stefan miał kuzyna w jednostce wojskowej, z której przyszło powołanie. Nie wiele myśląc, Joanna chwyciła wezwanie. Tak jak stała, w umorusanej spódnicy, pojechała „Zastawą” do Warszawy. Weszła do jednostki i zażądała spotkania z kuzynem Stefanem. Okazał się ważną osobą. Jakimś cudem wpuścili ją przed oblicze pana oficera. Opisała sytuację i poprosiła grzecznie o pomoc. Usłyszała, że akcja na którą wzywają Andrzeja jest prawie tak ważna jak mobilizacja i on z przykrością musi odmówić. Zastanowiła się chwilę i wymyśliła, jedyne rozwiązanie. Postanowiła zadziałać na wyższe, męskie uczucia wojaka. Wydusiła z siebie parę łez, i udając rozpaczliwe łkanie, powiedziała – To ja nie wrócę do domu, bo mnie sąsiedzi zabiją, a ja biedna, słaba kobietka na pewno sobie z tym kramem bez męskiego oparcia nie poradzę –. Metoda okazała się znakomita. Oficer spojrział na nią łagodnie i czule, wziął wezwanie, po czym odwrócił się i zawołał – Bierzcie następnego –. Nie wiadomo kto został tym biednym „następnym”. Wracała do domu niesłychanie dumna ze swojej bezbłędnej kobiecej strategii. Powoli wszystko wróciło do normy. Dostali z PZU odszkodowanie, które pokryło część strat.

Cykl budowlanych przygód jednak się nie skończył. Joanna była w Warszawie. Kiedy wróciła, robotnicy, którzy układali rury kanalizacyjne, powitali ją histerycznymi krzykami. Opowiadali bezładnie, jeden przez drugiego, że ziemia osunęła się do wykopu i omal nie pogrzebała jednego z nich. Zażądali 300 zł jako rekompensaty, za stracone buty, których nie zdołali wyjąć. Przerazona, dała im natychmiast żądaną sumę. Kilka dni po uruchomieniu kanalizacji szambo zaczęło wydobywać się z sedesu w dolnej łazience. Nie dało nic przepychanie rur. Trzeba było sprawdzić cały rurociąg. Zaczęto kopać od strony szamba. Znalazły się buty, a pod butami koniec rurociągu. Okazało się, że po zawaleniu wykopu robotnicy zadowoleni z zapłaty za buty nie dokończyli instalacji podłączenia rury do szamba. Między rurą i komorą szamba było pół metra piachu. W ponownym układaniu śmierzdzących rur pomagali przyjaciele. Joanna wyciosem czyściła przewody. Andrzej dyrygował całym towarzystwem, wymyślając im od nieporadnych idiotów. Skończyli jednak robotę. Joanna poiła i karmiła sąsiadów. Było jej wstyd za Andrzeja. Babrali się w ich gównie, a on jeszcze na nich wrzeszczał. Kiedy się sumitowała, powiedzieli, że zrobili to tylko dla niej. Gdyby nie ona, zostawiliby Andrzeja z tymi zafajdanymi rurami samego.

Mieszkanie nabierało urody. Powstał piękny kominek, którego powałę – na życzenie Joannie – otynkowano na biało i wygładzono gołymi rękami. Uzyskano w ten sposób piękną naturalną fakturę. Kominek był zbudowany z polnych kamieni. Ca-

łość okalała gruba, stara, popękana belka dębowa. Kupili rustykalne meble – stół, krzesła, kredens i pomocnik. Wokół kominka zamocowane były ławy z poduchami. W kuchni piękne, grube, okorowane blaty z dech dębowych przywiezionych od Wojtków ze Świelina. Ciemna drewniana podłoga i ogromne okno wychodzące na kwiecistą skarpe. Na piętrze spory, słoneczny taras.

Byli zadłużeni. Widzieli jedno wyjście. Joanna pojedzie dorobić do Anglii. Pat skończyła dwa lata. Miała zostać na miesiąc z tatą i chodzić do „dziewczynek”, a drugi miesiąc zaplanowany był u babci w Lublinie. Wszystkie miejsca i osoby były oswojone. Powiedziano jej, że mama wyjeżdża po buty dla niej. Wydawało się, że będzie bezpieczna i zadbana. Nie była dzieckiem, które trzymało się wciąż maminiego fartucha. Wręcz przeciwnie. Uwielbiała biegać po kominkach lub ściągając na ogrodowe harce hordy okolicznych maluchów. Nie przyszło im wtedy do głowy, że po latach Pat potraktuje jej wyjazd jako „opuszczenie małego dziecka”. Oczywiście tęskniła do córeczki, a i ona na pewno w przerwach między zabawami przypominała sobie o nieobecnej mamie. Rzeczywiście były bardzo ze sobą związane, ale nie „uwiązane” do siebie. Wydawało się, że dwa miesiące miną szybko i znów będą razem. Byłoby kłamstwem twierdzenie, że Joanna nie miała ochoty na ten wyjazd. Była zmęczona budową, potrzebowała odmiany i pożywki dla własnych myśli. Kochała swoją Anglię, gdzie zachłystywała się swobodą i wolnością. Andrzej był niezwykle zasadniczy. Najważniejsze dla niego były praca, pieniądze, obowiązek. Nienawidził jak Joanna pocieszała go, mówiąc – Nie martw się kotku, jakoś to będzie –. Nie potrafił ani na chwilę płynąć z prądem życia, nie walcząc z żywiołem. Potrafił być zabawny i dowcipny, ale coraz rzadziej sobie na to pozwalał. Mówił – Kobiety i zwierzęta można lubić, a mężczyznę należy szanować –. Nie było trudno go szanować, ale Joanna chciała właśnie „lubić” męża. Nawet miłość odkładał na sobotnie wieczory i niedzielne ranki. W dni powszednie była praca. Mimo pełnej gotowości i wyraźnej chęci, całował Joannę na dobranoc, odwracał się, by po niezakłóconym emocjami śnie stanąć wypoczęty do czekających na niego obowiązków. Joannie musiały wystarczać łakome spojrzenia i komplementy innych mężczyzn.

Pojechały razem z Anisią. Anisia jeszcze nie była na zachodzie. W porcie Hook van Holland podziwiała lady sklepów mięsnych wypełnione mnóstwem apetycznych kawałków świeżutkiego mięsiwa. Gdy dojechały na londyński dworzec, wyrzały przez okno. Kolejowy robotnik stukał metalowym młotkiem w koła pociągu. Coś mu się nie spodobało, bo siarczyście zaklął. Anisia zadumała się. – Popatrz – powiedziała z wyraźną zazdrością – Taki prosty robot, a tak wspaniale mówi po angielsku. A ja? – Zatrzymały się obie u niezawodnych państwa P. i zaczęły szukać pracy. Cały dzień wędrowały po Londynie zaglądając do hoteli i barów. Były strasznie głodne. Nie miały pieniędzy. Weszły do chińskiej restauracji i zamówiły to, na co było je stać. Ryż i gorącą wodę. Polały obficie ryż stojącym na stole sosem sojowym. Ah, jak im to smakowało. Pierwszą pracę znalazły w hotelu na Kensingtonie. Dostały własny pokój w basemencie. Rano podawały śniadania, sprzątały pokoje, a Joanna dodat-

kowo serwowała śniadania w hotelowej restauracji. Portierem był sekretarz redakcji „Życia Warszawy”, a jego dziewczyna, Bogna była – jak one – pokojówką w niebieskim fartuszk. Wieczorem wychodziły do miasta albo oglądały telewizję razem z gośćmi ubrane w cywilne stroje. Nieraz ktoś mówił – Już panią gdzieś widziałem... – Tak, podawałam panu rano śniadanie, tylko w niebieskim fartuszk – odpowiadały uczciwie. Na tym zwykle rozmowa się urywała. Choć któregoś dnia Joanna, zamiast sprzątać pokój stoczyła długą rozmowę na tematy polityczne z Australijskim gościem, ciekawym co też się tak naprawdę dzieje z żelazną kurtyną.

Innym razem zdarzyła się komiczna sytuacja. Wychodziły do miasta ubrane w długie spódnice i hipisowskie bluzki. Proste, rozpuszczone włosy. Na schodach zatrzymała je housekeeperka wrzeszcząc, że zapomniały posprzątać jeden z pokoi. Niewiele myśląc, tak jak stały, wkroczyły do pokoju i zabrały się do ślania łóżka. Nagle spostrzegły, że przy toaletce siedzi pani w ślicznym negligiu i patrzy w lustro z przerażeniem. Co dwie hipiski robią w jej pokoju? Housekeeperka zrozumiała, że nie był to najlepszy pomysł. Wygoniła dziewczyny i sama ubrana w przepisowy fartuszek wzięła się do sprzątania. Dziewczyny wyleciały na dwór chichocząc radośnie.

Anisia nie wytrzymała długo hotelowej pracy. Zebrała sakiewkę skrętnie zarobionych pieniędzy. Nie wydała prawie centa. Codziennie niezbyt oszczędna Joanna przyglądała się, jak jej kuzynka otwiera sakiewkę i liczy ukochane pieniądze. Było ich coraz więcej. Mogła przenieść się do mieszkania ciotki Marka. Była to bardzo specyficzna osoba. Ogromna z ciasno zwiniętym koczkim na czubku głowy. Miała swoje niepodważalne teorie, które wygłaszała apodyktycznym głosem. Anisia usłyszała, że mądra i ładna panna powinna wyjść za mąż kilka razy. Ze swojego grona wybiera najlepszego. Dzięki niemu wchodzi w lepsze i bogatsze środowisko. Tam znajduje następnego, takiego, który uniesie ją do lepszego świata i ... znowu to samo. Cztery razy powinno wystarczyć. Znajdzie się na szczytach zamożności.

Joanna została w hotelu. Dali jej miły pokój na mansardzie. Wieczorem, dodatkowo, obejmowała stanowisko szatniarki i recepcjonistki w restauracji „Carewicz”, która znajdowała się w basemencie hotelu. Hotel należał do pana Posta – polskiego Żyda. Był niewielkiego wzrostu, dość okrągły, zawsze starannie ubrany z przyznanymi włosami i nieodłącznym cygarem w zębach. Właścicielem restauracji był mąż przedwojennej piosenkarki Zosi Terne. Zosia często przychodziła na pogawędkę z Joanną. Była maleńka i zawsze prosiła, żeby Joanna siedziała na krześle. Ona stała i w ten sposób ich twarze pozostawały na tym samym poziomie. Dziwiła się skąd taka młoda dziewczyna zna jej przedwojenne piosenki. Joanna wyjaśniła, że śpiewała je często mama. Kucharzem był stary Rosjanin. Wszyscy mówili na niego „Miedwied”. Był humorzasty, nie miał kilku palców, wszyscy w kuchni czuli przed nim respekt, ale gotował rewelacyjnie. Poznała starą carską kuchnię. Co dzień dostawała ogromny talerz różnych genialnych potraw, które zostawały na półmiskach. Niezależnie od godziny, a była to czasem i trzecia rano, siadała w swoim pokoju i delectowała się przystawkami o niezapomnianym smaku.

Do „Carewicza” przychodziło wiele znanych osób. Roman Polański w długim złotym futrze mocno pachnącym piżmem. Przychodzili też znajomi pana Posta z pięknymi młodymi dziewczynami z Polski. Jedna z nich, rzeczywiście prześliczna, wpadła w oko greckiemu armatorowi. Nie mógł od niej oderwać wzroku. Któregoś dnia poprosił Joannę o jej telefon oferując zań 500 funtów. Nie dała. Gdy dowiedziała się o tym dziewczyna, spjrzała dziwnie i powiedziała; – przecież dałabym Ci mój telefon, Ty zarobiłabyś, a ja mogłam też na tym dobrze wyjść –. Ot, niewiarygodna naiwności! Taka wtedy Joanna była.

A na nią zagiął parol pan Post. Był bardzo bogaty. Oprócz dwóch hoteli miał ogromną sieć samoobsługowych pralni – tzw. loudrette. Mówił – nie musisz sprzątać, możesz mieć wspaniałą garsonierę i nic nie robić. – Nie skorzystała. Proponował niezliczoną ilość razy wspólną kolację. Za któryś razem zgodziła się. Zabrał ją swoim Rolls Roysem do luksusowej restauracji na Mayfair. Najdroższy szampan lał się potokami. Tego dnia miała jednak bardzo mocną głowę. Padały kolejne oferty. Tydzień w Paryżu... Nie, dziękuję. Dwa tygodnie w Hiszpanii... Nie, dziękuję. Odmawiała, ale była ciekawa do czego dojdzie. ... 1000 funtów plus futro nurkowe!... I z tego nie skorzystała. Nie mógł uwierzyć. Zabrał ją jeszcze do Playboya. Poszła chętnie, bardzo ciekawa jak to słynne miejsce wygląda. Był już świt. Króliczki miały na sobie króliczkowe stroje, ale jakieś zmięte i przykurzone. Ogonki przyszarzałe. Post zrobił propozycję, na którą przystała. On postawi 50 funtów, ona wybierze numer, a ewentualną wygraną podzielią się równo. Obudził się w Joannie duch hazardzisty. Niestety przegrali sromotnie. Namówiła pana Posta, żeby schował do kieszeni firmową popielniczkę Playboya. Zrobił to i po wyjściu dał Joannie. Po powrocie do hotelu zapaliła papierosa, i wystawiła popielniczkę z niedopałkiem na parapet okna. Rano już jej nie było. Po powrocie do Polski opowiedziała o propozycjach Posta swojemu mężowi. Spjrzał na nią z niedowierzaniem, pokiwał głową i westchnął rozmarzony: – Boże, dlaczego nie jestem kobietą?! –. Andrzej cenił pieniądze ponad wszystko. Za tysiąc funtów można było kupić niezły samochód. Za futro drugi i może coś jeszcze by zostało.

Któregoś dnia została zaproszona przez swoich angielskich znajomych na kolację do baru na trybunach stadionu. Odbываły się tam wyścigi psów. Wszyscy stawiali. Joanna dla zabawy głośno wymieniała kolejno numery psów. Wszystkie wymienione przez nią psy wygrywały. Ktoś w końcu zwrócił na to uwagę. Joanna wybierała psa zwycięzcę, oni płacili. Wygrana miała pójść do podziąłu. I tak się stało. Suma była okrągła. Ku rozpaczy Joanny zadecydowano, że wydadzą wszystko na przyjęcie w bardzo drogim lokalu. Nie umiała się sprzeciwić. Jej część była równoważnością dwóch miesięcy pracy w hotelu.

Przez ostatnie dni biegała po londyńskich sklepach uzupełniając swoją biedniutką garderobę. Kupowała mnóstwo dziecięcych ciuszków dla Pat. Buty były bardzo drogie, więc kupiła śliczne błękitne kapciuszki. Natychmiast po powrocie wsiadła w Zastawę i pojechała do Lublina. Nie mogła się doczekać spotkania z có-

reczką. Wyciągnęła z torby prezenty, a co najważniejsze – kaptcie. Mała spojrzała z niezadowolaniem i całkiem wyraźnie powiedziała: – To nie buty, to ciapy –. Udobruchała się wkrótce, oglądając się w lustrze ubraną w piękne angielskie stroje. Potem długo siedziała na kolanach odzyskanej mamy. Mocno do niej przytulona.

Następnego dnia wrócili do falenickiego domu. Życie toczyło się dalej. Coraz częściej zauważała, że nie stanowią z Andrzejem najlepiej dobranej pary. Ona miała w sobie lekkość, on ugiął się pod ciężarem obowiązków, które na siebie nakładał. Traktował wszystko ogromnie poważnie. Ona potrafiła zrobić to samo bez przywiązywania tak wielkiej wagi do szczegółów, a rezultat był lepszy. Andrzej miał ogromne poczucie obowiązku, był chłodny, krytykujący wszystko i wszystkich. Przemądrzały. Malkontent życiowy. Zauważał tylko strony negatywne. Zrażał tym do siebie coraz więcej ludzi. Jej nastawienie do życia było generalnie pozytywne. Andrzej był okropnie skąpy. Każdy wydatek roztrząsany był w nieskończoność. Musiała rozliczać się z benzyny. Zapisywać wydatki. Nie była rozrzutna, choć lubiła wydawać pieniądze. Zdawała sobie sprawę, że nie mieli ich wiele. Ubrania praktycznie nie kupowała. Jechała ciągle na ciuchach kupowanych w Anglii.

W roku 1970 znowu burzył się lud. Władza nomen omen ludowa broniła się, strzelając do bezbronnego ludu z karabinów. Gomułka zmienił się w Gierka i znowu niektórzy nabrali nadziei. Wydawało im się, że przyszedł gospodarz i chociaż ekonomicznie postawi kraj na nogi. Jak dotąd jedynym objawem dobrobytu miały być czerwone samochody z napisem Coca Cola, symbolem zgniłego kapitalizmu. Choć to. Miło było popatrzeć. Agnieszka Osiecka wymyśliła pamiętne hasło „COCA COLA – TO JEST TO”. Zaciągano ogromne pożyczki z Zachodu, których Polska nie zdoła spłacić zapewne do końca życia Joanny albo i dłużej.

W gwiazdę Gierka uwierzył też Andrzej. Wyraził nawet chęć zapisania się do partii. Twierdził, że im więcej tam będzie przyzwoitych ludzi, tym więcej można będzie zrobić. Joanna przeraziła się. Jej mąż, ojciec Pat – partyjny. To zupełnie niemożliwe. Tłumaczyła, że to tylko gra pozorów i towarzysze nie dadzą nikomu z innej opcji współrzędzić. Nigdy nie będzie miał na nic wpływu. W końcu zagroziła. – Jeśli zapiszesz się do partii, to się z tobą rozwiodę. Nie zapisalesz się do partii, kiedy proponowali ci wyjazd do Australii na placówkę, żeby się nie ześwinić. A teraz taka zmiana!! – Nie było o tym więcej mowy.

Tymczasem trzeba było myśleć o prozie życia. Co tydzień przychodził „Pan Cielęciniarz” ze wspaniałym, świeżutkim mięsem. Joanna piekła udźce, szynki, dusiła kleiste kawałki. Podawała z pieczonymi kartoflami i warzywami przywożonymi na rowerze z targu. Potrawy były smaczne, choć nie poświęcała gotowaniu wiele czasu. Teściowa nie mogła się nadziwić. Od rana pytała co będzie na obiad. – Jeszcze nie wiem – Odpowiadała Joanna. Pytanie powtarzało się co jakiś czas. Odpowiedz była podobna. Gotowanie trwało nie więcej niż godzinę. Rzut okiem na dostępne ingrediencje, pomysł, pitraszenie, nakrycie do stołu i można było zasiadać do obiadu. – Jak ty to robisz? To jest nawet bardzo smaczne. A ja codziennie zabieram się do gotowania

obiadu zaraz po śniadaniu. I po co? – dumiała najedzona teściowa. – Bo nikt nie gotuje tak pysznie jak mama – pocieszała synowa. Bardzo się lubiły. Joanna i Patrycja odwiedzały ją w Falenicy, kiedy była już stara i schorowana. Witaała je zawsze radośnie.

Była coraz bardziej pewna, że ich małżeństwo zamiera. Żyła z poczuciem ograniczenia. Andrzej uznawał tylko obowiązki, ciężką pracę zarabianie, a przede wszystkim – oszczędzanie. Nie był zbyt uczuciowy, choć na pewno kochał Joannę jak umiał. Ze względu na budowę nie chciał jeszcze drugiego dziecka. Joannę ciągnęło do życia. Miała w sobie mnóstwo ciekawości. Była żądna zmian.

Wigilia 1971... nie była to miła wigilia. Andrzej Joanny urządzał tego dnia jakieś niesamowite brewerie, okazywał humory, bo był akurat „obrażony” na Joannę, która, wracając z Warszawy, spóźniła się pół godziny, a on nie miał kluczy i czekał na nią... całe 30 minut! Joanna czuła się tego dnia źle. Czymś się zatrula. Zdobyłam lekarstwa i taksówką pędziłam „na sygnale” do Falenicy. „Obrażony” mąż nie spytał jak się żona czuje, mimo że wiedział, że przechorowała całą noc, ostentacyjnie nie przywitał się – nie licząc się z naszą, dość skomplikowaną, obecnością w ich domu – kontynuował przez cały wieczór swe obrazy. Przykre było to bardzo dla Joanny, która swoją serdecznością starała się ratować sytuację.

Nie umiem go rozgryźć – tyle ma zalet, przyzwoity przeciw chłopak, z kulturalnego zdawałoby się środowiska – a tu taka nieumiejętność przyzwoitego zachowania.

Przecież normalne są scysje i konflikty w małżeństwie. Ale to jakoś pogrzi i burza przejdzie i potem bywa jeszcze lepiej. Zdrowa awantura jest lepsza niż takie obrażalstwo i wielodniowe, demonstracyjne „ciche dni”. Wtedy zapieka się żal i gorycz. Najzabawniejsze, że on obraża się także, gdy on zawini... (...) Joanna na pewno nie jest ideałem. Mało zdyscyplinowana, lekkomyślna – po ojcu, leniwa – nie wiem po kim (...) ze skłonnością do rozrzutności (...) przy tym miękka i bierna. Andrzej... tępi rozrzutność (o ile o niej może być mowa przy tak znikomych, jak u Joanny możliwościach), wymaga dużo. I to dobrze. Ona potrzebuje kogoś z kim musi się liczyć – musi jeszcze wiele nad sobą popracować (...) Wszystko to mógł Andrzej w Joannie wyrobić, tylko potrzeba tu było czegoś innego. Więcej dobrego zrobiłoby trochę ciepła i koleżeństwa, niż ponura zasadniczość, a także ta straszliwa zrzędnosc. Tak się boję, żeby nie zabił w niej uczucia, które i tak – według moich obserwacji – nie było tak silne, żeby wytrzymało to zimno i chłód. (...)

Andrzej jest za zimny, Wojtek – za gorący! Z Wojtkiem jest jak w burzliwy dzień – raz słońce, raz burza z piorunami. U Andrzejów to chmurny, mglisty dzień, wśród którego rzadko słońce się pokazuje. Wojtek ma dobre serce i „gest”. Obaj mają dużo zalet, każdy inne. Andrzejowi trzeba ich przyznać bardzo dużo...może zbyt wiele... i... nie zawsze sympatycznych pewnością bardzo pracowity, solidny, punktualny, oszczędny (może do przesady!). Nie żałuje swego trudu i prac, dba o konieczne sprawy domowe. Zapobiegliwy. Dąży, żeby coś w życiu osiągnąć. I chyba osiągnie, o ile drobiazgami nie będzie sobie zrażał ludzi, nie jest z nimi zbyt muzyczny, tak w stosunkach prywatnych, jak i służbowych. Jest obowiązkowy. Miał dobre

podejście, kiedy Babcia była na Brazylijskiej, dla Pawła, gdy był u nich w Falenicy. W sumie, na pewno człowiek pozytywny i dla dość lekkomyślnej i mało zorganizowanej Joanny taki mąż jest potrzebny, bo trochę jej fantazje przykróć...(...) Patrzy trochę z dezaprobatą na moje wydawanie pieniędzy, np. na pojechanie taksówką. Tłumaczył mi kiedyś, że rozumie, iż jeździ się taksówką, jeśli można w ten sposób zyskać czas na dodatkowy zarobek... Odpowiedziałam mu, że nie po to pracuję, aby odmawiać sobie ułatwiania życia czy oszczędzenie zdrowia...¹⁷

Tymczasem rodzice powolutku zaczęli się schodzić. Mama wracała do życia po operacji usunięcia oka. Kiedy Joanna była w Anglii rozpoznano czerniaka. Nie było wyboru.

Cała rodzina przyjechała po nią na lotnisko. Joanna, przerażona chorobą mamy, patrzyła na nią z niepokojem. W taksówce mama pochwaliła proteżę – Patrz, rusza się! –. Joanna była tak spięta, pocieszała mamę – Nie martw się przestanie się ruszać –. Mama parsknęła śmiechem. Głupia uwaga Joanny rozładowała sytuację.

Tata odwiedzał mamę na Lwowskiej. Opiekował się nią wspaniale. Rozmawiali, jeśli, grali razem w szachy. Tata nie mieszkał już dawno u Izabelli. Mama obiecała chorej babci, że się tatą po jej śmierci zaopiekuje. Nawet pies bokser, zwany przez mamę „Pomiotem” (kurwy – był synkiem suki Izabelli) został zaakceptowany i zostawał u mamy, kiedy tata gdzieś wyjeżdżał. Nie mieszkali jednak razem. Tata miał pracownię na strychu kamienicy w Alejach Niepodległości, koło Rakowieckiej i czuł się tam znakomicie. Mama miała swoją ukochaną Lwowską dla siebie i mogła swobodnie przyjmować licznych gości, którzy wpadali do jej „herbaciarni przy gościńcu”. Oprócz zarobkowego pisania na maszynie zajęła się pamiętnikami. Pisała swoje wspomnienia i dzienniki, a także przepisywała różne rodzinne sztambuchy z rękopisów. Nieustanne siedzenie nad maszyną nadwerężyło jej serce. Zaczęło się wtedy migotanie przedsionków.

Joanna coraz częściej wpadała na Lwowską. Gadala z Mamą i jej licznymi gośćmi. Jeździły z Pat do Warszawy samochodem lub autobusem C. Widywały się dość często z Anisią. Były spotkania w kawiarniach, prywatki, teatralne premiery. Marek zaczął jeździć coraz więcej na chałtury. Występowali w domach kultury w całej Polsce. Daniel grał coraz więcej w filmach i w teatrze. Marek rozmiękał się na drobne. Joanna wiedziała jak jest zdolny. Marzył o reżyserowaniu. Nie bardzo umiał podporządkować się reżyserom. Szczególnie tym miernym. Któregoś dnia Joanna wyraziła otwarcie swoje zdanie. Powiedziała, że powinien iść na wydział reżyserski do łódzkiej Filmówki. W tym momencie Anisia spojrzała na nią z niesmakiem. – Najważniejsze, żeby zarabiał pieniądze! – warknęła. Marek smutno pokiwał głową i ... chałturzył dalej. Cóż kupili samochód – dużego Fiata i żyli wygodnie. Szkoda...

Rok 1972. Wojtkowie przeprowadzali się. Pol wylądował w Falenicy. Miał dwa-ście lat. Chodził do szkoły, zaprzyjaźnił się prędko z kolegami.. Uczył się świetnie. Był miły i otwarty. Bawił się też z małym sąsiadem zwanym Rampampałkiem, który nie był całkiem normalny. Niewiele dzieci chciało się z nim bawić. Ganiłi razem po okolicy i przynosząc do domu ptaki. Pol zdobył młodą srokę. Mama Rampampałka

dostała kawkę. Ptaki zadomowiły się świetnie. Sroka siadała na ramiona, całowała w dzióbki i uczyła się latać. Kawka kradła papierosy. Miała przygodę z kotem Bartkiem, któremu jakoś wytłumaczono, że domowa kawka jest niejadalna. Kot leżał na rozgrzanych kamieniach i spał. Kawka podeszła do niego i z całej siły dziobnęła w wystający biały ząb Bartka. Kot rzucił na kawkę mordercze spojrzenie, ale w ostatniej chwili zauważył, że Joanna obserwuje rozgrywającą się scenę. Z wysiłkiem odwrócił głowę. Po czym wstał i odszedł, merdając ogonem. Był wściekły. Sroka latała coraz dalej. Kiedyś umoczyła dziób w farbie, którą malowano płot. Gdy dorosła rozpoczęła niezależne życie. Czasem przylatywała i skrzeczała przyjaźnie nad głową. Poznawali ją po kolorowym dziobie.

Któregoś dnia Pol zobaczył w kiosku pudełeczka prezerwatyw. Popatrzył z błyskiem w oku i spytał: – Joanna, co to są prezerwatywy?-. Odpowiedziała wykrętnie, że to wymaga dłuższych wyjaśnień, a teraz nie ma na to czasu. Opuścił. Kiedy wróciła do domu poprosiła Andrzeja, żeby go po męsku porządnie uświadomił. Zwyczajnie ptaszków i zwierząt znał dokładnie, bo mieszkał w stadninie. Na drugi dzień Andrzej opowiedział Joannie jak odbyło się uświadamianie. Jedli razem śniadanie w kuchni. Andrzej dokładnie wyjaśnił mu wszystko. Pawełek wysłuchał bardzo uważnie i skomentował: – No to teraz już wszystko wiem i mogę robić dzieci –. Miał wtedy 12 lat. Nie trzeba było długo czekać. Zrealizował swój plan kiedy miał lat 16. Jego pierwsza córeczka Dagmara urodziła się kiedy Pol miał lat 17.

Na wakacje jeździła z Pat zwykle do Wojtków – Walewice, Świelino, Biały Bór, potem Liski. Przyjmowani zawsze bardzo serdecznie. Anka i Wojtek byli niesłychanie gościnni. Pat bardzo lubiła Ankę i przebywała tam z przyjemnością. Czuła się świetnie na wsi wśród zwierząt, pól i łąk. Poznawały mnóstwo ludzi.

Joanna zaczęła pracować w falenickim Domu Dziecka jako wychowawczyni. Wciągała się w tę pracę coraz mocniej. Miała pod opieką grupę dziewcząt w różnym wieku. Nie miała z nimi żadnych problemów. Dyrektorka i niektóre wychowawczynie były okropne. Traktowały te biedne, opuszczone dzieci jak potencjalnych przestępców. Najstraszniejszym momentem, jaki Joanna tam przeżyła, było rozdzielanie siłą ośmioletnich bliźniaczek. Choć wydaje się to nieprawdopodobne – tak było. Jedną z dziewczynek adoptowała rodzina ze Śląska. Druga miała pozostać w Domu Dziecka. Kiedy nadszedł moment rozłąki dziewczynki trzymały się siebie kurczowo. Bezдушna dyrektorka kazała je siłą rozdzielić. Obie szlochwały i wyrywały się. Joanna nie mogła nic zrobić. Wróciła do domu chora. Na szczęście po jakimś czasie ktoś spokrewniony i mieszkający na tej samej ulicy adoptował drugą dziewczynkę. Mogły żyć w pobliżu.

Jedna z wychowanek, osiemnastolatka, której rodzice zginęli w wypadku samochodowym siadła koło Joanny i poważnie powiedziała: – Żal mi Pani –. – Dlaczego – zapytała. – Bo jeśli Pani zostanie tu i będzie się przejmowała nami, to poświęci się Pani nam bez reszty i ucierpi na tym pani córka. Jeśli potraktuje pani tę pracę obojętnie, to stanie się pani taka sama jak te suki, które mianują się opiekunkami – Pra-

cowala tam przez kilka miesięcy. Andrzej był niezadowolony, ona martwiła się, że za mało ma czasu dla Pat. A może... to co usłyszała od tej dziewczyny, miało też wpływ na jej decyzję? Została im po tej pracy Grażynka. Była to dziesięcioletnia dziewczynka z Domu Dziecka, którą zabierali na weekendy i święta. Była miłą blondyneczką, która miała matkę i brata. Matka była bufetową w Teatrze Wielkim. Po śmierci babki, która się opiekowała Grażynką i jej braćmi, oddała wszystkie dzieci do domów dziecka. Każde gdzie indziej. Mała cieszyła się z tych wizyt i przywiązała się coraz mocniej. Jeździła do Lublina. Pomagali jej w nauce. Joanna pilnowała, aby jej nikt w domu dziecka nie krzywdził. Kiedy matka usłyszała, że „pani wychowawczyni” zajęła się Grażynką, zaczęła się córką interesować. Joanna zdołała ją jeszcze uchronić przed szkołą specjalną, do której ją za karę chcieli „suki” oddać. Mała nagle obudzona zaklęła ostro. Myślała, że budzi ją koleżanka. Była to wychowawczyni. „Suka” poczuła się obrażona. Postanowiła się zemścić na dziecku, kierując ją do szkoły specjalnej. Joanna wściekła się. Zagroziła, że pójdzie na skargę do samego ministra oświaty, który nota bene był kolegą Andrzeja. Skakali razem o tycze. Dyrektorka przestraszyła się. Grażynka wylądowała w warszawskim liceum gastronomicznym, które bez problemów skończyła. Po jakimś czasie zamieszkała ze swoją własną matką.

Sytuacja polityczna wciąż nie ciekawa. W sklepach nadal nie było tego, co chciałoby się kupić. Otaczająca ze wszech stron głupota i propaganda. Życie na pół gwizdka w zniewolonym kraju..

... „Wściec się można. Tylko w słowach – w radio i telewizji – wszystko jest. Umieemy się tylko chwalić i to kłamliwie.

To są wszystko niby drobne ukąszenia komara, ale składa się na tak okropną rzeczywistość. I chyba nawet nie zawsze są to istotne braki, tylko wszędzie jest jakaś indolencja ludzi, którzy byliby na miejscu i byliby przyteczni, gdyby robili to co umieją, a nie brali się do tego, do czego nie dorośli. Samymi sloganami żyć nie można. Już prezydent Lincoln powiedział, że nie da się ogłupić wszystkich i ogłupić na długo!

Łatwiej znieść braki niż tę wszędzie panującą głupotę i obojętność. Byle był stółek – byle była forsa, a reszta... nieważne. Głośno się krzyczy – to wystarczy. Robotę trzeba zwalić na szary tłum, na szarego człowieka, który – choć często mądrzejszy od tych na Olimpie – nie ma dostępu do władzy, a nawet do głosu.”¹⁸

Wbrew temu co ich otaczało na poziomie kraju, żyli dość spokojnie. Pat rosła. Dom i ogród coraz ładniejsze. Joanna miała wreszcie swój pokój. Alek uczył ją trochę rzeźbić – w plastelinie. Zrobiła płaskorzeźbę – buzię Pat z profilu – i amorka, ładniutkiego, który został w Falenicy. Nigdy więcej go nie zobaczyła. Przyjemność to rzeźbienie sprawiało jej ogromną. Kiedy Pat i Andrzej zasypiali, brała się z wielkim entuzjazmem za swoją plastelinę. Wytrwałość nie była jej mocną stroną. Szkoda...

Miała trochę więcej czasu na wyjazdy do Warszawy. Pat przez trzy dni w tygodniu chodziła do tzw. Dalmatyńczyków, czyli do Kai i Tomka, którzy mieli trzy córki i syna Maksia, Joanny chrześniaka. Za to brała całą czwórkę do siebie raz w tygo-

dniu, żeby i Kaja mogła odpocząć. Pomagała tacie robić ceramiczne, ściennie mozaiki i szykować wystawy. Miała z tego nareszcie trochę własnych pieniędzy, które zresztą też pakowała w dom.

Któregoś dnia pojechali z Andrzejem na przyjęcie. Wracali ostatnim pociągiem. Andrzej poszedł po bilety. Podjechał pociąg. Joanna zdecydowała się wsiąść. W Fałenicy z Patrycją została mama. Cóż by się działo, gdyby nie dojechali o czasie! Okazało się, że Andrzej również wskoczył do pociągu, ponoć szukał żony bezskutecznie i zdecydował wsiąść na następnej stacji. Wrócił na Śródmieście. I tam Joanny nie było. Pojechał więc do Anisi. Dowiedział się, że Joanna dotarła bezpiecznie do domu. Został do rana. Wrócił wściekły i nadąsany. Joanna nie rozumiała co tak straszego się stało. Anisia stwierdziła, że muszą porozmawiać poważnie. Joanna domyślała się, że coś się święci. O dziwo, kiedy szła przez lasek do pociągu poczuła dziwne podniecenie. Radosne. – „Coś się dzieje... Coś się dzieje” – mamrotała pod nosem entuzjastycznie. Dowiedziała się, że Andrzej robił Anisi niedwuznaczne propozycje. Potem tłumaczył się, że ona chodziła przy nim z gołymi piersiami... I to miał być Andrzej „pewność i zaufanie”? Kto, jak kto, ale on znał Joanny przeszłość. Uzależnienie i kompleksy wobec kuzynki. I to do niej zebrało mu się na amory. Już wcześniej miał miejsce incydent tego pokroju. Spodobała mu się sąsiadka. Joanna szybciotko sobie z tym poradziła. Na wydawanym przez nią przyjęciu, po wysłuchaniu paru impertynenckich uwag, niby niechcący, potrąciła stolik z kryształowymi szklankami i butelką whisky. Drobnie kryształowe igiełki pływały w złotej kałuży. Była bardzo z siebie zadowolona i radośnie chichotała, dopóki Zosia nie przywołała jej do porządku. Wszyscy wiedzieli o co chodzi, ale nikt nie powiedział słowa. Romans zmarł w zarodku. Tym razem było inaczej. Nie czuła bólu, ani złości. Wręcz przeciwnie. Czuła dziwną radość, Pozytywne rozczarowanie, które uwalniało. Dawalo nadzieję. Świat uchylił wrota. Tak bardzo chciała się wymknąć. Na zawsze. Co chwilę nastawiała płytę z piosenką – „Byle było tak” – Byle było tak, że człowiek bardzo chce... by się głośno śmiać... Jak by to było o niej... Otwierała się do nowego życia...

Na wiosnę 1976 roku pojechała z Pat do Białego Boru, do Wojtków. Miejsce było wspaniałe. Wojtek był dyrektorem. Okolica przepiękna. Tuż przy szosie stał niewielki pensjonat. Obok małe, gościnne pawilony. W dole widać było czworobok białych stajni z czerwonymi dachami, jeszcze niżej – jezioro. Miasteczko Biały Bór zamieszkałe głównie przez Ukraińców z barwnymi domkami i... jak to zwykle przy stadninowych gościach, dość uczęszczana knajpa. Przy stadzie ustawione na trawie kolorowe przeszkody i wokół tor WKKW.

Przyjeżdżała do Białego Boru polska bohema i sporo zachodnich gości, głównie ze Szwecji, Niemiec i Austrii. Kręcono tam również filmy. Poznała całą ekipę „Wolodyjowskiego” – Hoffmana, Daniela, Marka, Magdę Zawadzka i Tadzia Łomnickiego. Jeździli konno, pławili się w jeziorze i ...pili gdzie się dało. Któregoś dnia Marek i Daniel próbowali swoich sił na nartach wodnych. Łódka, która ich ciągnęła była jednak słaba i żaden z nich nie wystartował. Wtedy wstała i postanowiła spróbować.

Żeby było źlej, posadzono ją z przypiętymi nartami na kajaku. Łódka ruszyła, trzymała mocno linę. W ostatniej chwili spojrzała w dół. Na dziobie kajaka spostrzegła bardzo ostre metalowe okucie. Nie miałam wyboru. Musiała wstać albo rozerwać się na sztuki. O dziwo wyszło wspaniale. Narty sunęły po wodzie. Czują jakąś siłę i radość. Łódka okrążyła całe jezioro. Kiedy zbliżała się do brzegu wszyscy stali i patrzyli na jej wyczyn. Była dumna jak paw i czuła, że wyglądała pięknie. Opalona, w białe – czarnym, jednoczęściowym kostiumie, wyciągnięta jak struna. Daniel nie znośił przegrywać. Już nie ponowił próby.

Pensjonat był pełen miłych i ciekawych gości, ale wystrój miał koszmarny. Typowo socjalistyczny. Lniane, pogniecione firanki, porysowane, plastikowe meble na metalowych nogach, blaty stołów i bar z szarego ohydneho laminatu. Stado nie miało pieniędzy na porządny remont pensjonatu. Wpadła wtedy na pomysł, żeby z Zosią zrobiły projekt, a wykonanie powierzyły miejscowym rzemieślnikom. Wojtek zaryzykował. Zosia zapaliła się do dzieła. Zajęły się tylko hallem z recepcją, barem oraz jadalnią. Pokoje miały poczekać.

Wkrótce przyjechały z gotowym projektem. Obskurne fotele, pozbawione nóg wstawione w drewniane, proste obudowy, pokryte brązowym sztruksem zamieniły się w wygodne kanapy i fotele. Bar i recepcja z grubymi drewnianymi blatami, szafki z profilowanymi drzwiczkami, półki na klucze, butelki. Wszystko w ciemnobrązowej bejcy. Podłogę pokryła nieco jaśniejsza wykładzina dywanowa. Przy barze stały wykonane według projektu wysokie stołki barowe. Oświetlenie wyczelował w całości miejscowy kowal. Wyginał secesyjne kształty. Obie z Zośką jeździły po okolicy w poszukiwaniu materiałów. Firanki i tkaniny obiciowe zamówiły w łódzkich fabrykach. W oknach zawisły ciężkie sztruksowe zasłony i koronkowe beżowe firanki. Jadalnia miała być wyłożona jasnym drzewem z zielono białymi kraciatymi obrusami i ławami z przytroczonymi poduszkami obitymi jasnozielonym materiałem. Były tam wielkie okna i drzwi wychodzące na kamienny taras. Fruwały na wietrze śnieżnobiałe muślinowe firanki. Wszyscy pracowali. Kobiety szyły, masztalerze malowali i bejcowali, tylko stolarze przyjechali z człuchowskiej firmy. I to oni, chcąc im zrobić miłą niespodziankę pomalowali przez noc boazerię w jadalni. Niespodzianka nie udała się. Kiedy weszły do jadalni, wydały jęk rozpaczny. Boazeria była ciemnobrązowa. Biedni chłopcy pomylili się. Miała być jaśniuteńka. Całość wyglądała jednak naprawdę ładnie.

Któregoś wieczoru, wszystkie kobiety szyły w hallu pokrycia na jadalniane poduchy. W drzwiach hotelowych stanęli niezapowiedziani, zagraniczni goście. Rozejrzeli się wokół i chcieli się wycofać, tłumacząc, że pomylili miejsce. Nie uwierzyli, że to ten sam pensjonat, który dobrze z poprzedniego pobytu znali. Jednak weszli i ostro tego wieczoru popili. Byli mocno rozochoceni. Joanna otworzyła drzwi do łazienki. Zobaczyła wielkiego, grubego siusiącego Szweda. Odwrócił się i nie przerywając swojego zajęcia machnął zapraszająco wolną ręką i zawołał „come, come...”. Nie skorzystała. Bardzo zadowolone ze swojego dzieła wróciły z Zośką

i Pat do Falenicy. Zarobiły trochę pieniędzy, a ich mężowie, nie wiadomo dlaczego, twierdzili, że dołożyli do tego interesu!

Niedługo przyjechał z Anglii wuj z Ewcią. Pojechali wszyscy do Białego Boru. Anka zorganizowała jazdę w teren. Była sporo chętnych. Przed wyjazdem skonstruowali po szklaneczce whisky i w świetnych humorach ruszyli rączo przez lasy i pola. Na jednym z pól stało samotne drzewo. Wszyscy jeźdźcy ominęli drzewo z prawej strony. Joanna zdecydowała minąć je z lewej. Niestety jej koń miał inne zdanie. Każde z nich zrobiło jak chciało. Koniowi się udało, a ona leżała po prawej stronie drzewa ze złamaną nogą. Byli w szczerym polu. Jedynym środkiem lokomocji był jej brykający radośnie w pobliżu koń. Podsadzono ją na siodło. Piszcząc nieco z bólu, dojechała dzielnie do pensjonatu. Niedługo przyjechała karetka pogotowia. Po chwili mknęła do szpitala w Miastku. Po raz pierwszy jechała karetką, więc poprosiła kierowcę, żeby włączył sygnał. Wyjąc na cały regulator podjechali pod izbę przyjęć. Tam wsadzili złamaną nogę w gips po kolano i trzymali dzień lub dwa w szpitalu. Odebrała ją Anka z warszawskim dziennikarzem Jasiem. Joanna miała śliczną koszulę nocną i w tejże koszuli została przez Jasia wniesiona do samochodu, a po przyjeździe na pierwsze piętro do mieszkania Wojtków. Jaś się wcale nie zadyssał, wręcz przeciwnie miał maślane oczy i przemawiał do niej czule.

Była w siódmym niebie. Przyjechały z Pat na trzy dni, a tu musiały zostać na kilka tygodni. Lato, dobre towarzystwo – artystyczno, zagraniczne. Pławiły się w jeziorze. Joanna zaczepiała się nogami o pomostową drabinkę lub była wodzona na gumowym materacu. Leżała na brzuchu i majtała gipsową nogą w górze. Pat miała nową przyjaciółkę Niemkę, z którą dogadywały się wyśmienicie jakimś dziwnym konglomeratem obu języków. Wieczorem były ogniska nad jeziorem i doskonale zabawy. Jaś był coraz częściej przy Joannie. Patrzył ciepłutko, był szalenie troskliwy. Tego jej w życiu właśnie ogromnie brakowało.

Przywiózł je do domu swoim granatowym Fiatem. Odtąd był częstym gościem w Falenicy. Dzwonił. Joanna wychodziła o umówionej porze do sklepu. Spotykali się na drodze. Imponowało jej niesłychanie, że facet przyjeżdżał z Warszawy dwadzieścia kilometrów tylko po to, by ją zobaczyć i porozmawiać przez chwilę. Wkrótce porzucił swoją dziewczynę „pannę Ludkę”.

Małżeństwo Joanny praktycznie nie istniało. Było kompletnie zamrożone. Jedyne, co w nim naprawdę ceniła to była „pewność i zaufanie”, ale i to prysło jak bańka mydlana. „Byłe było tak, że człowiek bardzo chce...” Zrozumiała, że musi zacząć od nowa licząc tylko na siebie. Coraz częściej mówiła o rozwodzie. Andrzej nie bardzo w to wierzył, ale czasem mówił zrezygnowany: – wiem, że jak będziesz tego naprawdę chciała, to nic cię nie zatrzyma –. Chyba nie mógł uwierzyć, że ona naprawdę zdecyduje się na zostawienie pewnego źródła utrzymania. Wygodnego domu. Przyjaciół. Jak można wybrać się w nieznaną? Praca, dom, rodzina. Rutyna i obowiązki. Cóż więcej trzeba. Myślał, że tak będzie zawsze. Zapomniał o pielęgnowaniu uczuć. Podlewał pieczołowicie roślinki w ogrodzie, dbał o doczesne dobra, a Joanna?... Już jest i będzie zawsze...

Jaś zjawiał się w jej życiu, jak to zwykle bywa w momencie, kiedy miała już całkiem dość. Nie dawał za wygraną. Jeździli na tajemne randki, nawet do Wrocławia, gdzie Jaś miał jakieś dziennikarskie spotkanie. Siedziała tam obok niego przy dużym stole restauracyjnym. Był zajęty służbowymi rozmowami, ale pod stołem trzymał Joannę rękę głaszcząc ją czule. Andrzej nie znosił kiedy dzwoniła do jego biura. – Ja tu pracuję – mówił i szybko odkładał słuchawkę. Tu była co najmniej równie ważna jak praca. W ogóle czuła się dla kogoś najważniejsza! Tak bardzo brakowało jej przez lata czulej miłości.

Miała jednak dylemat. Czy może rozbić rodzinę. Skrzywdzić Andrzeja. Wyrwać Pat z rodzinnego domu. Nawet pisała wiersze, pierwszy raz w życiu. Do Pat. Jednak pragnienie wydobycia się na świat było w niej przemożne. Wszyscy znajomi siali we niej ziarno zwątpienia, czy da sobie radę – sama z dzieckiem. Postanowiła wszystko przemyśleć z oddalenia. Wyjechała do Anglii. Było lato roku 1976.

Zamieszkała u niezawodnych w przyjaźni państwa P. Znalazła pracę w „Wine Bar” na North Audley Street, tuż koło Oxford Street. Miejsce było doskonałe. Panowała tam wyjątkowa atmosfera. Menedżerkami były Szkotka Tricia i Irlandka Suzy. Był dolny i górny bar. W dolnym popijali chłopcy z American Navy. Mieli niedaleko z Headquarters. Był tuż obok na Grosvenor Square. Na górze przesiadywała wyśmienita klientela. Ludzie, którzy mieszkali na Mayfair, lub ci, którzy tam pracowali. W barze było oczywiście wino, ale też kanapki z rostbefem lub łososiem. Goście byli stali. Kiedy pojawiał się ktoś nowy, barmanki przedstawiały go regularnym bywalcom. Tamara, ogrywała wszystkich w Back Gammon. Wyglądała dość niepozornie i nikt nie podejrzewał roztrzepanej hippiski o wielki talent w tej grze. Zarabiała bardzo dobrze, bo wielu gości Wine Baru było nieprzytomnie bogatych. Codziennie, w porze lunchu przychodził Bobby B. Jego ojciec zrobił fortunę na biurze podróży oferującym na całym świecie Anglikom, to co angielskie. Poranną herbatę z mlekiem, angielskie śniadania, lunche, trunki, łóżka ślano na typowy dla Anglii sposób i anglojęzyczną obsługę. Nie wiadomo po co wyjeżdżali. Może bardziej w interesach i celach towarzyskich, a nie poznawczych. Pomysł jednak chwycił i Bobby kontynuował z wielkim zyskiem pomysł ojca. Kiedy Joanna nie wydała mu jednego pena reszty, zwrócił jej uwagę. Stwierdziła, że przesadził, bo cóż dla niego znaczy ten mały grosz przy takim bogactwie. Wyjaśnił spokojnie, że bardzo dużo, bo po opłaceniu podatków, z jednego funta zostaje mu tylko jeden penny.

Któregoś dnia Bobby zaprosił Joannę w przerwie na lunch do swojego penthouse’u. Wjeżdżało się windą bezpośrednio do obszernego hallu wyłożonego miękkim brązowym dywanem. Tego samego koloru szlafrok frotte miał na sobie Bobby. W szklano-białej kuchni nalał drinki. Przez obszerny, nowoczesny salon weszli na typowy dla penthouse’ów taras na dachu budynku. Był upał, a ona siedziała w jeansach i Tshircie na wygodnym leżaku, sączyła drinka i za skarby świata nie chciała nic z tego – służbowego zresztą stroju – zdjąć. Bobby był przystojny, bogaty, wolny, trochę starszy od niej i wyraźnie zainteresowany dziewczyną, a ona siedziała sztywna jak kij. Po wypiciu drinka opuściła tego – wydawałoby się – wymarzonego dla każdej dziewczyny mężczyznę. Kiedy wróciła do Wine Baru, jej przyjaciel, amerykański

adwokat, David spytał z niedowierzaniem – Dlaczego nie? – spytał. – Coś z nim jest nie tak. Nie wiem co, ale coś jest – odpowiedziała. Po kilku dniach David przyszedł do baru, pytając – Skąd wiedziałas? Powiedziano mi, że jest masochistą. Lubi być bity przez kobiety –. Była dumna ze swojej intuicji. Później nieraz żartowała, że przegapiła znakomitą okazję. Trzeba było popracować szpicrutą, rozkochać go w sobie, wyjść za mąż, a potem wystąpić o rozwód z jego winy i już nigdy nie martwić się o pieniądze. Ale jakoś jej to nie bawiło. Pracowała dalej, a Bobby wypijał codziennie przy barze tradycyjną lampkę Macon de Village. Wydawała mu resztę co do pena.

Tymczasem zbliżał się wyjazd do Paryża, na tajemną randkę z Jasiem. W noc przed wyjazdem przysniło się Joannie niebieskie niebo i idealnie czysta, instrumentalna muzyka z piosenki Alana Price Jinnn????, którą ciągle puszczała w barze Susan. To był wspaniały sen! Po wielu latach długo szukała w Londyńskich muzycznych sklepach tej płyty. Udało się. Włączyła i czekała na tę instrumentalną frazę. Była piękna, ale ta ze snu dużo piękniejsza, duchowa.

Pociąg, prom, znowu pociąg i Gard de Nord. Spostrzegła z okna wagonu czekającego na nią Jasia. Spędzili upojne trzy dni. Kiedy szli nad Sekwaną mówił: – Popatrz! Jesteśmy w Paryżu i jesteśmy najszczęśliwsi i najpiękniejsi! – Też tak się czuła. Mieszkali u jego znajomych, którzy wyjechali na wakacje. Mieszkanie było bardzo nowoczesne. Wielkie małżeńskie łóże przykryte kapą z prawdziwego futra. Wieczorami siadali w paryskich knajpkach. Jaś wyjechał pierwszy. Pożegnali się czule. Spędzili razem urokliwe chwile. Została w Paryżu jeszcze kilka dni. Mieszkała w cudownej mansardzie z widokiem na dachy Paryża. Z podwórza dochodziły typowe paryskie odgłosy, które znała z filmów – piosenki, dźwięki fortepianu, kłótnie... prawdziwa paryska atmosfera. Właścicielką mansardy była Szwajcarka. Na Joanny pytanie, dlaczego nie chce mieszkać w Szwajcarii odpowiedziała – Bo tam strasznie nudno. – Joanna zadumała się. Wyobrażała sobie uporządkowaną, spokojną, zasobną i piękną ziemię... Westchnęła – Boże, jak ja bym chciała się tak ponudzić.

Wróciła do Londynu. Wkrótce dostała list od Anisi. Sugerowała, że Jaś „ma babę”. On z kolei napisał, że Anisia zadzwoniła do jego matki. Rozkazującym głosem kazała starszej pani wyperswadować Joannę synowi. Krzyczała, że rozbija jej małżeństwo, a jest i pozostanie nieodpowiedzialnym babiarzem. Wiedziała dobrze, że nie to było przyczyną rozkładu małżeństwa. Miała też w tym swój udział, prowokując Andrzeja gołymi cyckami. Po prostu nie znosiła Jasia z jakichś osobistych powodów. Po tych listach Joanna schowała się w skorupę. Była już ostrożna. Nieufna. Postanowiła cieszyć się życiem, dopóki była w Londynie. Pomyśli o wszystkim później...

Pod Wine Bar zajechał granatowy Triumph, kabriolet. Wyskoczył z niego, nie otwierając drzwi samochodu, młody zwinny chłopak. Spodobało jej się. Stało się to akurat wtedy, kiedy z Warszawy doszły ją wieści, że Jaś, który był znanym babiarzem pokazuje się często z lekarką. Na przekór wszystkiemu – rozpadającemu się małżeństwu, niewiernemu kochankowi – zaczął się flirt z Kenem. Flirt dla niej, miłość dla niego. Była kompletnie zakręcona. Do tego musiała zmienić pracę.

A było to tak. Do baru przyszło dwóch nieznanymi mężczyzn. Zastępowała kucharza, który na chwilę musiał wyjść. Mężczyźni poprosili o wino i łososia. Wzięła nóż i ukroiła im porcje „od serca”. Spojrzeli na swoje talerze i spytali Joannę jakiej jest narodowości. Poczuli lęk, bo pracowała oczywiście na czarno, a oni byli tak różni od znanych jej klientów baru. Odpowiedziała jednak lekko, że jest Polką. A jak długo jesteś w Anglii? Sytuacja wydała się groźna. – Mam tu męża – skłamała. – A od jak dawna twój mąż jest w Anglii? – Nie zawahała się: – Przyjechał do Anglii w czasie wojny. Z polskim wojskiem – brnęła. Uwierzyli. Odetchnęła z ulgą. Okazało się, że byli to policjanci. Ich podejrzenie wzbudziły zbyt grubo ukrojone plastry łososia. Nie była jednak pewna, czy nie wrócą, więc powiedziała o tym zdarzeniu lojalnie Suzan. Gdyby poznali prawdę, Joannie groziłaby natychmiastowa deportacja z długoletnim zakazem wjazdu do Anglii, a Suzan musiałaby zapłacić 1000 funtów kary za nielegalne zatrudnianie cudzoziemca. Wuj Tadeusz, jako sponsor, mógłby mieć też kłopoty z zapraszaniem innych ludzi. A tak wielu młodych ludzi z Polski ścigał do Londynu i otwierał przed nimi drzwi do wolnego świata.

Postanowiła odejść z kochanego Wine Baru. Na szczęście do sprawy włączył się David. Załatwił jej doskonałą pracę w luksusowym klubie „Debenham Health Club”, do którego sam należał. Czuli się tam bezpiecznie, ale nie przewidziała, że i w tym miejscu natknie się na policjanta. Któregoś dnia sympatyczny pan poprosił o Coca colę. Kiedy otwierała puszkę, cała jej zawartość wytrysnęła na jego elegancjki, jasno – beżowy garnitur. Przepraszyła gorąco za swoje gapiostwo, a on jeszcze ją pocieszał. Twierdził, że nie ma sprawy, bo są przecież w Londynie dobre pralnie. Kiedy powiedziała o tym Davidowi, dowiedziała się, że – o zgrozo! – był to wysokiej rangi policjant. Zamarła. Wtedy David wyjaśnił, że gdyby ten policjant doniósł na nią, to nie miałby już czego szukać w bardzo elitarnym klubie, do którego nie było łatwo się dostać. Klub miał basen i saunę, z których mogła korzystać po pracy. Była też sala fitness. Obsługiwała bar. Przyjmował też telefoniczne zamówienia. Bardzo zasmakował jej gin z sokiem grapefruitowym, Campari, tonikiem i lodem. Często takiego drinka pili goście wychodzący z części sportowej.

Ken wpatrywał się w nią czule swoimi błękitnymi oczami. Był ładnym, wysokim blondynem. Sympatycznym i naturalnym. Nie było się czego bać. To nie ona kochała. Owszem, podobał jej się. Spędzali razem wolne chwile i upojne noce. David nie był zadowolony z romansu Joanny. Miał własną wizję. Mężatka uciekająca od nudnego życia, do romantycznego kochanka do Paryża. Popierał to i rozumiał. Rozmawiali o tym wiele. W czasie przerwy barowej Joanna przysnęła na trawie w pobliskim parku. Obudził ją leciutki pocałunek w usta. Był to David. Miło. Tego dnia spytał z pod jakiego jest znaku. – Panna – odpowiedziała. – Miło było cię poznać... miałem dwie żony Panny. Odtąd zachowywał się tylko jak przyjaciel i dalej szanował wybory Joanny. Kiedy zauważył co się święci z Kenem, warknął – lunatic rascal – Nie bardzo to pochlebne określenie.

Wróciła do Falenicy, z Rysiem, synkiem Krysi i Bohdana. Zdecydowała, że spróbuje utrzymać ich związek. Kiedy jednak weszła do domu, jej decyzja załamała się.

Powiedziała Andrzejowi, żeby poszedł po polowe łóżko do Zośki. Był to dla niego jasny przekaz, że ma zostać w swoim pokoju i nie odstępować swojego łóżka Rysiowi. Zrozumieli się bez słów. Było już oczywiste, że przeprowadzą sprawę rozwodową. Małżeństwo przestało istnieć, mimo że nadal żyli razem i to może bardziej zgodnie. Gotowała wspólne posiłki, przyjmowali gości, odwiedzali przyjaciół.

Przyjechał Ken z ogromnym czarnobiałym futrzanym psem. Dla Pat.. Bardzo chciał ożenić się z Joanną i zabrać je obie do Anglii. Któregoś dnia powiedział, że nie wie, którą bardziej kocha – Pat, czy Joannę. Nie przejął się, że mała właśnie zła-pała w szkole wszy. Tulił ją i pocieszał. Był to miły, odpowiedzialny i ładny chłopak. Joanna zastanawiała się przez chwilę nad wyjściem za Kena. Pojechali razem do Krakowa. Tam zobaczyła samochód podobny do auta Jasia. Przemknęło jej przez myśl, że Kena nie kocha. Nie może wyjść za niego, nie mając pewności. Uważała, że krzywdzi Andrzeja odchodząc od niego. Nie chciała w przyszłości zrobić tego samego Kenowi. Powiedziała mu więc, od razu w Krakowie, że z nim nie będzie. Nie było to przyjemne. Ken był bardzo rozżalony i powiedział: – Moja mama miała rację, żeby nie wiązać się a Polką – Gdyby była taką Polką, to na pewno wykorzystałaby okazję, żeby wyjechać z córką z Polski, tym bardziej, że Ken właśnie dostał bardzo intratną propozycję pracy w Paryżu w znakomitej firmie koncernu naftowego. Nie chciała na jego plecach ustawić sobie życia. Obiecała sobie, że nigdy więcej nie wyjdzie za mąż bez miłości. Gdyby były to normalne czasy, to mogliby spróbować wspólnego życia bez ślubu, ale w okresie głębokiej komuny nie było to możliwe. Nie mogła narażać ani Pat, ani Kena, a także siebie, na wątpli uczuciowo związek. Bała się, że Pat i Ken przywiążą się do siebie i stworzy się w rezultacie dla wszystkich traumatyczna sytuacja.

Jedno było pewne. Musiała szukać pracy. Próbowała w hotelu „Victoria”. Poszła na rozmowę z dyrektorem. Wymyśliła sobie, że znakomicie nadawałaby się na osobę która pełni rolę opiekuna gości. Załatwianie spraw trudnych rozwiązywanie konfliktów z załogą hotelową, organizowanie im wolnego czasu, konferencji firmowych, transportu itd. Życie gości zagranicznych nie było wtedy proste. Dyrektor zainteresował się ofertą i obiecał stworzyć stanowisko, które obecnie byłoby pewnie po prostu PR-em. Miała tylko zgłosić się jeszcze do „kadrowego”, przez którego sito każdy pracownik musiał przejść. Kadrowi w instytucjach usługowych dla cudzoziemców byli bogami, opartymi mocno o kolegów z UB. Niestety nie zaakceptował Joanny, tłumacząc pokrętnie, że ma skończoną szkołę techniczną, a ludowej ojczyzny nie stać na to, żeby marnować wykształcenie obywatela – zdobyte na koszt państwa – w innym zawodzie. Oczywiście nie zaakceptowały jej służby ubeckie. Widocznie zdawali sobie sprawę, że nie zmuszą jej do współpracy. Cóż, musiała szukać dalej.

Otrzymała propozycję od znanego scenografa. Chciał zatrudnić ją jako swoją asystentkę. Zgodziła się chętnie. Coś zupełnie nowego. Ciekawa praca ciekawi ludzie. Miała wkrótce rozpocząć. Anisia urządziła przyjęcie imieninowe w restauracji „Dorotka”. Było mnóstwo osób. Był też scenograf ze swoją żoną, znaną pisarką. Kie-

dy zaprosił Joannę do tańca, aktorka Ewa Pokaz przyjrzała im się uważnie. Po chwili odwróciła się do pisarki i ostrzegła – uważaj Basiu. Niedługo Józkowi przestaną fiołki pachnieć –. Wszyscy znali skłonność Basi do fioletowego koloru. Takie były jej stroje, długopisy, okulary, a także koszule i krawaty jej męża. Następnego dnia scenograf zrezygnował nie, podając powodu. Joanna dowiedziała się o wszystkim od znajomej, która była świadkiem rozmowy. Była rozgoryczona. Nie mieli wobec siebie żadnych zamiarów. I tak to Ewa Pokaz nieświadomie zmieniła kierunek życia Joanny.

Zbliżał się koniec roku 1976. Sylwester miał wzbogacić kasę Joanny o trzy tysiące złotych. Anisia powiedziała, że potrzebują kogoś do poprowadzenia konferansjerki na balu sylwestrowego w teatrze „Na Targówku” – witanie gości, złożenie życzeń noworocznych i... prowadzenie tańców. Wizja sylwestra spędzanego z Andrzejem dała Joannie siły i odwagę do podjęcia się tego karkołomnego przedsięwzięcia. Nie wiedziała jeszcze, że wystąpienia przed dużą publicznością dodawały jej adrenaliny, dawały przyjemność i satysfakcję. Nie wiedziała też, że ma naturalną zdolność skupiania uwagi i przyciągania sympatii dużej ilości słuchaczy. W małym, towarzyskim gronie te cechy nie istniały. Przy jednej osobie już się to zdarzało, jeśli czuła z nią psychiczny i duchowy kontakt. Włożyła hinduską sukienkę przywiezioną z Anglii, o pięknym niebieskim kolorze. Była długa, prosta z przylegającym staniczkiem na cieniutkich ramiączkach, z rzędem małych niebieskich guziczków na froncie. Na mamy prośbę odwiózł ją kuzyn Tomek – było już późno i szalała śnieżycą, a droga była niesamowicie śliska. Tomek nie miał wyjścia. Mama, jeśli chodziło o dobro jej dzieci, była nieubłagana i walczyła jak lwica. Oczywiście o żadnej taksówce nie było wtedy mowy. W swojej naiwności Joanna nie przewidziała, że na balu będzie mnóstwo aktorów, wyobrażała sobie, że będą to skromni mieszkańcy Targówka. I już stała na scenie, prowadząc coś w rodzaju konferansjerki. O północy przez mikrofon składała życzenia, a na dodatek... musiała być wodzirejem sylwestrowego „kotylicy”. Kiedy na chwilę pary się rozpierzchny, straciła kontrolę – miły pan wskoczył na scenę i zawołał: „ a teraz kółeczko i tańczymy z partnerką z lewej strony. Taniec wrócił do normy. Była uratowana. Kiedy spytała, odbierając swoją jedyną w życiu gażę, „jak było” pan organizujący imprezę spojrzał na Joannę ciepło i odpowiedział „zupełnie dobrze... tak świeżo”. Wracała do Falenicy taksówką. W małej torebce miała aż trzy ciężko zarobione tysiące. Czuła się wspaniale. Poradziła sobie świetnie z całkiem nowym wyzwaniem i... weszła w nowy rok, który miał przynieść ogromne zmiany. Chyba wtedy pierwszy raz w życiu uwierzyła, że coś sama znaczy, że jest odrębną osobą, a nie czyjąś siostrą, córką, żoną czy znajomą. Dotąd, kiedy przedstawiała się, zawsze dodawała z kim jest powiązana. Wiedziała już też, że może być kochana i pożądana przez mężczyzn. Bez upokorzeń, ranienia i podległości. Zostawiała za sobą te wszystkie lata dzieciństwa i młodości w których nie była świadoma swojej odrębności i tylko jej przynależnej osobowości. Czuła siłę, pewność, zadowolenie z życia. Jechała do domu przepęnliona wielką nadzieją...

Praca przyszła sama. Zupełnie przypadkiem. Diametralnie inna. Zadzwoiła znajoma, która pracowała w ambasadzie Finlandii. Chciała szybko zmienić pracę

i szukała kogoś, kto zastąpiłby ją od zaraz. Joanna od razu pojechała na spotkanie z jej bezpośrednim szefem – radcą handlowym ambasady. Biuro handlowe znajdowało się w uroczej willi na ulicy Humańskiej. Pan radca przyjął Joannę w swoim gabinecie. Podano kawę i zaczęła się rozmowa. Przyznała uczciwie, że nie pracowała w żadnym biurze, oprócz projektowych i nie ma o pracy sekretarskiej pojęcia. Miała zostać sekretarką zastępcy radcy. Dodała jednak, że chyba jest wystarczająco inteligentna i pojętna, żeby nauczyć się nowych obowiązków, jeśli tylko znajdzie się ktoś, kto nią życzliwie pokieruje. Zaproponowała trzymiesięczny okres próbny. Po chwili zastanowienia radca zapytał: – To zaczniesz od poniedziałku? – Zdębiała i lekko jękając się odpowiedziała – „może od śróoody?”. Miała znakomitą pracę, uroczego szefa i wiele odwagi, by zacząć nowe, samodzielne życie. Szef opowiedział jej po latach, że tego dnia wrócił do domu i oznajmił żonie – Chyba oszalałem. Przyjąłem dziś do pracy dziewczynę, która sama twierdziła, że nic jeszcze nie umie... Ale dobrze wygląda i mówi po angielsku –

Odtąd pięć dni w tygodniu dojeżdżała z Falenicy autobusem C, a potem tramwajem. Był listopad 1976 roku. Atmosfera w firmie panowała znakomita. Ludzie zaprzyjaźnieni i życzliwi. Oprócz radcy było dwóch attache handlowych, którzy reprezentowali firmy, a właściwie wolny związek firm. Converta – firm celulozowo – papierniczych i Metex – producentów urządzeń i wyrobów metalowych. Był też Joanny bezpośredni szef – zastępca radcy, Pekka. Sekretarka radcy, zwanego Pontusem miała wyraźne obawy przed ewentualną konkurencją. Skrętnie ukrywała przed Joanną wszelkie tajniki pracy biurowej. Chciała panować niepodzielnie. Na szczęście wkrótce jechała na urlop i, chcąc nie chcąc, musiała zostawić wszystkie dokumenty w otwartych szafkach. Były to dla Joanny bardzo pracowite dwa tygodnie. Studiowała oficjalne pisma, korespondencję z firmami fińskimi. Udało jej się poznać wiele starannie ukrywanych przed nią spraw. Nabyła z pomocą szefów wiele nowych umiejętności. Zdziwiło ją, że w ambasadzie podawano herbatę i kawę w szklankach. Spytała, czy taki zwyczaj panuje w Finlandii. – Ale skąd – odpowiedział Pontus. – Tak jest w Polsce. Powiedziała mi tak moja sekretarka –. Natychmiast zakupili porcelanowe filiżanki do herbaty i elegancki serwis do kawy.

Wkrótce zdała sobie sprawę, że najbardziej interesuje ją badanie rynku polskiego dla eksporterów fińskich. Szukała możliwości sprzedaży przeróżnych urządzeń i potencjalnych nabywców. Kontaktowała się z przedsiębiorstwami i z centralami handlu zagranicznego, bez których pośrednictwa żadna firma nie mogła importować lub eksportować. Przedstawiciele firm zaczęli przyjeżdżać do Polski, życząc sobie, aby ich pilotowała na miejscu. Ustalała programy wizyt. Samochodem z kierowcą woziła Finów na spotkania. Na szczęście nie pracowali w weekendy.

Rok 1977 nie zaczął się dobrze. Zaraz na początku stycznia Patrycja, dostała wysokiej gorączki. Miejscowy lekarz dał jakieś przeciwgrypowe środki. Mimo to gorączka utrzymywała się. Joanna przywoziła małą, otuloną w kożuch, na Lwowską... Rano czuła się dobrze, bawiła się trochę, ale narzekała na ból głowy. Popołudniu wróciła gorącz-

ka.. Przyszła bardzo niesympatyczna młoda lekarka. Mama zwróciła jej uwagę na niepokojący ją ból głowy dziecka. Tylko parsknęła gniewnie. Stwierdziła, że to normalne. Jest lekarzem i wie co robić. Joanna zaraz po biurze wróciła została z małą na noc. Było to opatrnościowe! W nocy gorączka skoczyła bardzo wysoko. Mała bredziła. Ból głowy był bardzo silny. Joannie przeszło przez głowę, czy przypadkiem to nie jest zapalenie opon mózgowych. O świcie telefon do cioci Marychny, która podejrzewała Joannę potraktowała poważnie. Poleciała sprawdzić, czy nie występuje sztywność karku. Niestety. Ciotka była – jak zawsze w takich przypadkach – niezawodna i zaradna. Załatwiła natychmiast miejsce w szpitalu zakaźnym na Siennej. Nie było ani chwili do stracenia.

Mama pobiegła po taksówkę. Joanna, z zawiniętą w wielki toboń zrobiony z mamy kozucha Pat, pędem zbiegła na dół i, popędzając taksówkarza, dojechała do szpitala pod izbę przyjęć. Wysiadła niosąc na rękach grubo owiniętą ośmioletnią Pat. Kiedy dobiegła do drzwi, okazały się zamknięte. Stała uginając się pod ciężarem i rozpaczliwie kopotała w drzwi. Ktoś wreszcie usłyszał. Oddała dziecko w ręce lekarzy. Zlecieli natychmiastową punkcję kręgosłupa, aby wyciągnąć płyn rdzeniowy, co zmniejsza ciśnienie śródczaszkowe przy zapaleniu opon. Ordynator oddziału powiedziała, że mała została przywieziona w ostatniej chwili. Jeszcze trochę i mogły nastąpić zmiany w mózgu.

„Czekałam w domu na wiadomość, nie mogąc poruszyć się z miejsca. Muszę powiedzieć, że byłam dla Joanny pełna podziwu – mimo obłędnego lęku o dziecko, była zewnętrźnie spokojna, zorganizowana. Ruchy jej były bezbłędne. Zgorączkowanemu dziecku wytłumaczyła krótko i łagodnie, że musi pojechać do szpitala.

Koło jedenastej wróciła Joanna – blada, z wpadniętymi oczami, ale opanowana. Mała została na oddziale. Joanna sama zgnębiona opowiedziała mi jak odbyło się przyjęcie Patrycji do szpitala i rozstanie z małą. Dla ośmioletniego dziecka, jest to przecież wielkie przeżycie! Zwłaszcza, że do matki jest bezgranicznie przywiązana. Okazuje się, że malutka okazała się nadzwyczaj rozsądna i spokojna. Zrozumiała konieczność pozostania w szpitalu i pogodziła się z tym. Uściskała matkę, potem jeszcze z ramion niosącej ją pielęgniarki pomachała do niej rączką. Nie protestowała i nie płakała..

Wyniki były nazajutrz. Mała miała wirusowe zapalenie opon mózgowych, szczególnie o stosunkowo lekkim przebiegu. Do chorych dzieci w szpitalu zakaźnym nie było wstępu. W drodze wyjątku pozwolono Joannie pomachać przez szybę. Stan był dobry, ale co najmniej 3 tygodnie Joanny mała córeczka musiała zostać w szpitalu, bez możliwości odwiedzania jej. Nie było wtedy jeszcze telefonów komórkowych.

„31 stycznia zjechało do mnie nasze dziecko. Wypuścili ją z atestem całkowitego powrotu do zdrowia, bez żadnych następstw. Miała się tylko zgłosić za pół roku na badania kontrolne. Przez dwa tygodnie Patrycja była u mnie. Była dla mnie domownikiem „number one” – głównym celem starań, aby doprowadzić ją po ciężkiej chorobie do jak najlepszego stanu. Wychodziłam ze skóry, żeby miała dosłownie wszystko. Po szpitalu każda potrawa smakowała, miała zupełnie dobry apetyt. Dbałam i cieszyłam się, widząc powracające na bladą buzię rumieńce. Joanna przychodziła po biurze. Andrzej nie pojawiał się.

11 lutego Joanna zabrała matę do Falenicy. Kończyło się zwolnienie ze szkoły"

Pat była pierwszej klasie. Po szkole szła do Kai. Praca kończyła się punktualnie o czwartej. Do domu wracała około piątej. W soboty gospodarzyła w domu, kiedy Pat była w szkole, a potem spędzały czas razem. Falenickie życie towarzyskie trwało, a pozory rodzinne ich stadła były zachowane.

Pierwsza sprawa rozwodowa zakończyła się fiaskiem. Sędzina patrzyła na Andrzeja ze współczuciem, mimo że Joanny adwokat w jakiś sobie tylko znany sposób namówił Andrzeja, żeby to on składał pozew. Jako przyczynę nieuzyskania rozwodu sędzina podała „prowadzenie wspólnego gospodarstwa. Drugą sprawę prowadził mężczyzna. Jako przyczynę rozwodu Andrzej podał częste wyjazdy Joanny do Anglii. Zapytana przez sędziego ile razy, kiedy i w jakim celu wyjeżdżała, odparła, że pierwszy raz przed ślubem, drugi kiedy była w ciąży, a trzeci wyjazdy był krótki. Stwierdziła, że głównym powodem wyjazdu była nauka angielskiego. Na to sędzia spytał gdzie Joanna pracuje – W Ambasadzie Finlandii – A jakim językiem tam się posługuje – ciągnął sędzia. – Angielskim. Usłyszawszy to sędzia spojrzał na Andrzeja i stwierdził sarkastycznie – A co, nie przydało się?” Joanny adwokatka nie stawiała się na tej najważniejszej rozprawie. Przysłała kolegę, który nie miał o niczym pojęcia. Zdecydowała, że będzie swoim adwokatem i oznajmiła szczerze, że nawet jeśli miałyby tu przychodzić kilkanaście razy to i tak rozwiedzie się. Nie będzie również udawać, że nie prowadzą tak zwanego wspólnego gospodarstwa z mężem, bo mają dziecko i dopóki mieszkają razem będą prowadzić normalny dom i życie towarzyskie. Sędzia wysłuchał uważnie jej słów i rozwód stał się faktem. 12 maja 1977 roku była wolna. Schodziła razem z mamy przyjaciółką, Teresą – szerokimi schodami szarego, ponurego gmachu sądu. Pogoda była wspaniała. Prażyło słońce. Przystanęła, wyprostowała się, spojrzała w słońce, i powiedziała „Teresa – jestem wolna, rozumiesz wolna!” Był to jeden z tych momentów, kiedy czujemy się idealnie wpasowani w „tu i teraz”, połączeni nierozzerwalną nicią ze źródłem istnienia. Jakby czas się zatrzymał, gubiąc gdzieś całą przeszłość i pozostawiał tylko realny ten następny, jakby pierwszy krok w przyszłość.

Do wakacji szkolnych mieszkali nadal razem. Potem Pat pojechała do Anglii do Bohdanów, a Joanna wyjechała na zawsze z falenickiego domu, mieszcząc wszystko w furgonetce „Nysie”. Zamieszkała chwilowo w wynajętym mieszkaniu na Kasprowicza obok AWF-u, załatwionym przez Jasia. Codziennie raniutko biegała w Lasku Bielańskim, a potem jechała do ambasady. Tuż przed powrotem Pat udało się wynająć mieszkanie we wspaniałym punkcie. 10 piętro w domu na Dworkowej z widokiem na mokotowskie „Morskie Oko”, a co najważniejsze tylko kilkaset metrów od ambasady.

Pat była zadowolona z pobytu w Comberton. Podobno z uporem uczyła angielskie dzieci polskiego, ale angielskiego z wyśmienitym akcentem trochę złapała. Krysia odwiozła ją na lotnisko i zostawiła pod opieką jakiejś Polki. Okazało się jednak, że ta kobieta poleciała gdzie indziej i dziecko zostało samo na wielkim Heathrow. Poradziła sobie jed-

nak znakomicie. Kiedy usłyszała, do którego wyjścia „gate” mają iść pasażerowie, lecący do Warszawy, wstała i dzielnie pomaszerowała sama. Na lotnisku w Warszawie czekali razem z mamą i tatą. Joanna weszła do strefy przylotów. Odbyła się kontrola celna. Pat trzymała w ręku paczuszkę obwiązaną kolorową wstążeczką. Celnik spojrzał na nią i z udaną powagą spytał co przywiozła. – Lalkę z biustem – odparła bez wahania. – A co jest w tej paczce? – Nie wiem, bo to niespodzianka. – A od kogo? – Od mojej chrzestnej mamy, Ewci. – Celnik uśmiechnął się życzliwie i nie kazał otwierać paczki. Okazało się, że dostała żółtego, szmacianego pieska, który został ukochaną maskotką na całe życie.

Mieszkanie na Dworkowej spodobało się dziecku. Szkoła była w pobliżu. Tylko parę kroków przez park. Do ambasady przylatywała często. Stała się trochę ambasadowym dzieckiem. Wszyscy ją hołubili i rozpieszczali.

W tym samym domu na wyższym piętrze mieszkała nowa szefowa Joanny – Finka Eila. Życie towarzyskie toczyło się stale. Chodziły na wytworne przyjęcia dyplomatyczne, a z Pat do sauny na Chopina i na mniej oficjalne spotkania. W tym czasie jeszcze nie dużo jeździła. Wracała przeważnie o czwartej do domu. Soboty i niedziele były wolne. Było to bardzo wygodne, bo w Polsce nie było jeszcze wolnych sobót, więc czuła się uprzywilejowana, a poza tym mogła być z Pat, a także załatwić w tym czasie mnóstwo spraw, bez nieodzownych, w tym czasie kolejek.

Pat przygotowywała się do Pierwszej Komunii w pobliskiej parafii św. Michała. Kiedy nadszedł uroczysty dzień Joanna zaprosiła Andrzeja i jego młodszego brata Grzesia. Oczywiście byli dziadkowie i babcie, a także Eila. Nastrój był miły. Pat wyglądała ślicznie w białej sukience do kolan i wianku z kwiatków. Po wyjściu z kościoła była obowiązkowa wizyta u fotografa, a później uroczysty obiad na Dworkowej. Co prawda dzień zakończył się niezbyt świętobliwie dla niektórych, bo Eila uwiodła Grzesia. Miała w tych sprawach ogromne doświadczenie. Niejeden pan uległ jej gorącemu pożądaniu. Podobno nie sposób było takiego zakończenia uniknąć. Jeden z panów żalił się Joannie. Czuję się jak bufor, na który zaraz najedzie z impetem pociąg. Oczekiwał jej pomocy. Nic z tego... Niech sobie radzi... Ileż to razy tak czuły się kobiety, kiedy mężczyźni bezwzględnie napierali...

Sukienka Pat została pożyczona koleżance, której mama pracowała w bezpiece na Rakowieckiej i szykowała córkę do tajnej komunii u rodziców na wsi. Któregoś dnia Pat oznajmiła na jakimś wspaniałym obiedzie była w stołówce u mamy Beaty na Rakowieckiej. Powiało zgrozą. Joanny dziecko pałaszowało smakołyki w siedzibie bezpieki!!!!?

Problem często polegał na tym, że sąsiadka Eila zatrzymywała u siebie jednego przyjeźdnego Finca, a do Joanny wysyłała resztę. Musiały ich gościć w swoim mieszkaniu. Byli przeważnie mili, więc nie miały z Pat nic przeciwko temu. Tylko jeden Lasse, będący na placówce w ambasadzie nie uległ Eili wdziękom – za to Joanna uległa jego urokowi. Spędzali mnóstwo czasu razem, także z Eilą i jego przyjaciółmi.

Pierwszy raz pojechała do Finlandii w lecie. Mieszkała w mieszkaniu Eili w Helsinkach, a tydzień spędziła u Pontusa na wsi. Miał tam letni domek przy rodzinnym majątku Sysma. Były to bardzo miłe wakacje.

Kiedy była w Helsinkach, przyjechała jej koleżanka z ambasady, Grażyna. Wieczorem pojechały na piwo do modnej knajpy na wyspie Klippan. W Polsce nie było jeszcze przyjęte, że dziewczyny chodziły same. Finlandia była inna. Ludzie byli swobodni. Często poznawali się w knajpach. We środy był nawet zwyczaj, że to panie prosiły do tańca panów.

Siadły przy stoliku, zamówiły piwo. Po drugiej stronie auli odbywało się przyjęcie biznesowe. Wielce honorowanymi gośćmi byli Rosjanie. W którymś momencie od stołu wstał niezwykle przystojny mężczyzna i podszedł prosto do nich. Skłonił się przed Joanną i zaprosił ją do tańca. Nawiązała się rozmowa. Kiedy dowiedział się, że Joanna przyjechała z Warszawy powiedział, że przez dwa lata pracował na Humańska Street. Joanna odpowiedziała, że tam właśnie pracuje. Od tej chwili piękny pan porzucił swoich gości. Postawił dziewczynom drinki i zasiadł przy ich stoliku. Już po chwili szeptał do ucha Joannie, żeby pozbyła się koleżanki. Ani jej to w głowie nie było. Wyszedł razem z nimi. Na łódce dowożącej gości do Klippan wskazał na drugą wyspę mówiąc, że jest tam jego żeglarski klub. Joanna wiedziała, że był to klub najbardziej ekskluzywny. Kiedy wysiedli na Helsińskiej, nadmorskiej promenadzie wskazał, tym razem najpiękniejszy dom na skarpie. To mój dom, a w tej wieży czeka na mnie moja młoda żona. Wiadomo już było, że nie jest to byle kto. Do domu swojego jednak nie skręcił tylko maszerował dalej, znowu sycząc „Zrób z nią coś”. Kiedy doszli pod dom Eili, miał wielką ochotę iść na górę. Ponieważ nie otrzymał zaproszenia dał Joannie swój telefon do klubu i chciał zaprosić ją na wielką galę z Rosjanami, którą organizował na jakiejś wyspie pod Helsinkami. Joanna odpowiedziała, że miałby kłopot, gdyby powiedziała prosto w oczy Rosjanom co o nich myśli. Wtedy on stwierdził, że już tak długo w Europie był spokojny i nie wiadomo dlaczego Polacy rozrabiają i próbują tę równowagę zakłócić. Joanna, oburzona pożegnała się chłodno i zamknęła za sobą drzwi. Został na ulicy z niezbyt tęgą miną.

Następnego dnia pojechała do Sysma. Zadzwoniła Eila. Jakiś facet ciągle dzwoni do mnie i pyta o ciebie. Pogoniłam go. Kto to jest? Joanna wyciągnęła wizytówkę, która od niego dostała i przeczytała: TANKMAR HORN, President of Wartsila. W tym momencie Ela wykrzyknęła: Tankmar Horn! Nie wiesz kto to jest!? – Nie. – odpowiedziała Joanna, ale jest niezwykle przystojny i bardzo sympatyczny i inteligentny, tylko ma głupie poglądy polityczne. Na to Eila „Wiesz jaki on może być ważny dla mojej kariery. Ja tu kombinuję jak poznać kogoś naprawdę ważnego, a ty idziesz sobie do knajpy i zaraz spotykasz Tankmara Horna. – Powiedz mi wreszcie kto to jest – spytała Joanna, zaciekawiona. Okazało się, że był to wieloletni minister spraw zagranicznych Finlandii, który był prawą ręką prezydenta Kekkonena. Miał wspaniałą żonę, ale porzucił ją dla młodej fryzjerki. Obecnie był prezesem największej fińskiej stoczni, która budowała mnóstwo statków dla Rosji. – Ale nie spieszył się zbytnio do swojej młodej żony i krytykował nasze próby uwolnienia się od reżimu komunistycznego... – zrobiła kostyczną uwagę Joanna. Tak to skończyła się krótka znajomość, choć obydwójce podobałi się sobie ogromnie. Pewnie nie byłoby trudno pozbyć się młodej fryzjerki, którą Tankmar był wyraźnie śmiertelnie znudzony. I tak to Joanna, jak zwykle z nią bywało, nie wykorzystała nadarzającej się okazji.

Minął rok. Wkrótce mijał ostateczny termin wynajmu mieszkania. Postanowiła kupić własne mieszkanie. Nie miała pieniędzy na kupno na wolnym rynku. Zaczęła starać się o tak zwane mieszkanie lokatorskie lub „z odzysku”. Trafiła się znakomita okazja. Poszli z Pontusem na oficjalne spotkanie z prezesem związku spółdzielni mieszkaniowych. Kiedy skończyli rozmowy, spytała otwarcie prezesa w jaki sposób można najszybciej i niedrogo dostać mieszkanie. Pan prezes był nieoceniony. Natychmiast zadzwonił gdzie trzeba i zaoferowano jej mieszkanie na Ursynowie w nowo zbudowanym bloku. Musiały trochę czekać, bo było w stanie surowym.

Któregoś dnia wybrała się na rowerze z Dworkowej na Etiudy Rewolucyjnej, gdzie mieszkała ciocia. Było lato i osiedle zrobiło na niej świetne wrażenie. Było zielono i przestronnie. Mieszkała tam głównie inteligencja. Następnego dnia poszła do prezesa i spytała, czy nie dałoby się załatwić w tym miejscu mieszkania. Reakcja była znów pozytywna. Na kartce papieru napisał do prezesa spółdzielni: „*Stasiu wysłuchaj pani i pomóż*”. Staś przyjął ją w gabinecie i tylko spytał dlaczego chce dla dwóch osób M4. Odpowiedziała, że to bardzo proste – jest „rozwojowa”, co wtedy znaczyło wolna do zamążpójścia i rodzenia dzieci. Dodała też, że jej córka szybko dorośnie i też „rozwojowa” wkrótce będzie. Prezes uznał Joanny argumenty. Na odwrocie kartki napisał „*Laryso, wysłuchaj pani i załatw*”. Larysa podniosła nieco brew, dziwiąc się, że na mieszkanie M4 czeka kolejka, a tej osobie ma go natychmiast przydzielić. Były to tak zwane „mieszkania z odzysku”, które spółdzielnia sprzedawała po zaniżonej cenie. I tak po chwili Joanna trzymała w reku upragnione klucze do mieszkania na I piętrze w domu na Malawskiego. Na czas przeprowadzki miały bardzo piękne mieszkanie Pontusa. Za opiekę nad ich jamniczką Verą. Mieszkanie było tuż obok, na ulicy Olimpijskiej. Z ogrodem, tarasem i sauną. Codziennie przychodziła gosposia Pontusa, która sprzątała i podkarmiła Patrycję.

Mieszkanie było odmalowane na biało, farbą emulsyjną ... włącznie z drewnianą podłogą. Całą klepkę trzeba było cyklinować i lakierować od nowa. Wkrótce wszystko było gotowe. Radość ogromna. Jedyne Andrzeju, uważający, że powinna ponieść karę za porzucenie męża stwierdził: – Powinnaś mieszkać w kawalerce na Brudnie –. – Na Brudnie nawet po śmierci nie będę leżeć, bo mam groby rodzinne na starych Powązkach – odpowiedziała Joanna.

Mniejsze rzeczy transportowała do nowego domu „maluchem” taty. Własne mieszkanie. Pokój Pat miał drzwi, jak Pan Bóg przykazał, natomiast sypialnia Joanny znajdowała się we wnęce od pokoju, w którym znajdowało się główne posiedzisko. Urządziły się sympatycznie. Dom był gościnny i otwarty. Dla kolegów Pat, rodziny, znajomych. Często gościli w nim też Finowie, którzy przyjeżdżali w interesach, a z czasem stawali się dobrymi znajomymi, przyjaciółmi, a zdarzało się, że i kochankami.

Pat czuła się dobrze w nowej szkole. Miała tam znacznie ciekawsze towarzystwo. Wkrótce stworzyła się nierozłączna „paczka”, która spędzała razem czas – w domach, na imprezach. Chodzili razem do kina, na koncerty, wyjeżdżali na wspólne wakacje.

W tym czasie Joanna zaprzyjaźniła się z Elą. Nie wiedziała jeszcze wtedy, jakie – po latach wielkie – znaczenie miała wyrzec na jej duchowy rozwój. Była też w znakomitych stosunkach z resztą ludzi pracujących w ambasadzie. Panowała na Humańskiej niespotykana więź między ludźmi, wzajemna lojalność i życzliwość. Spędzali razem mnóstwo również prywatnego czasu. Przytulna willa, w której znajdowało się biuro radcy handlowego emanowała ciepłem i radosną atmosferą. Wyjeżdżali razem na Targi Poznańskie. Organizowali liczne seminaria i sympozja, chodzili z Finami i klientami na wytworne obiady i kolacje do restauracji w najlepszych hotelach. Byli też bywalcami „night clubów” Warszawy, Poznania i innych większych miast. Zaczęły się też służbowe wyjazdy zagraniczne – najczęściej do Finlandii.

Komuna trwała, ale w tym czasie Joanna nie odczuwała jej bardzo boleśnie. Miała Pat, własne mieszkanie, pracę w enklawie, która na co dzień była oddzielona niewidocznym murem od kiepskiej rzeczywistości PRL. Często latała też samolotami. Cieszyła się życiem. Pat uczestniczyła w Joanny życiu, a ona w jej. Wiedziały chyba o sobie wszystko. Jeździły na wakacje, do Eli, do Złotokłosu, czasem do Falenicy. Kontakty z Andrzejem były mierne, szczególnie od czasu, kiedy odszedł od drugiej żony Basi i ożenił się z Ulą. Dość regularne były jedynie ich wyprawy na narty. Jednak, niestety, nie mieli ze sobą dobrego i ciepłego kontaktu. Tak to często bywa, że mężczyzna po odejściu żony utożsamia swoje dziecko z matką i nie umie już nawiązać swobodnych uczuciowych relacji z dzieckiem. Joanna kilka razy usiłowała z nim o tym szczerze porozmawiać, ale napotykała barierę nie do przebicia.

Sytuacja w kraju stawała się coraz trudniejsza, a jednocześnie budziła się nadzieja. Nastąpiła Solidarność. Wałęsa z pomocą mądrych doradców rozgrywał na korzyść narodu i parł jak czołg do przodu. Jednak partia nie odpuszczała. Cały świat z sympatią obserwował wydarzenia w Polsce. Komunizm chwiał się wyraźnie na swoich kolosalnych, ale mocno zużytych nogach. Jak długo można siać idiotyczną propagandę, w którą nikt – włącznie z jej kiepskimi twórcami nie wierzył. Ruch wyzwolenczy był coraz mocniejszy. Do tego Polska zyskała niezwykłego sprzymierzeńca. Miała swojego wspaniałego papieża. Dawał Polakom ogromną siłę i konkretne wsparcie.

W czerwcu 79 roku odbyła się znamienna wizyta Jana Pawła II w Polsce. Naród oniemiał ze szczęścia. Poszły z Pat witać Papieża na trasie wiodącej z lotniska. Czekwały w hotelu „Novotel” i oglądały transmisję z powitania na lotnisku. Dyrektor hotelu wręczył wszystkim gościom po jednej różę. Kiedy powitanie się skończyło, wyszły na ulicę. Patrycja wybiegła na jezdnię i ułożyła tam wiele róż w kształt serca. Cudzoziemcy byli równie przejęci i wzruszeni jak Polacy. Kiedy Jan Paweł II przejeżdżał całą ukwieconą ulicą, błogosławiąc tłumy, nie było końca entuzjastycznym okrzykom powitalnym. Były wzruszone i radosne. Na pewno na zawsze obie zachowały to wspomnienie w pamięci. W tych czasach było to wrażenie ozdrowieńcze. Nie wiedziały jeszcze, że ta wizyta stanie się zacznym wolności, na którą trzeba jeszcze było długo czekać, ale już z otuchą i nową siłą i wiarą w sercach.

Joanna poszła innego dnia na Szucha. Kiedy zobaczyła Papa Mobile wskoczyła na parapet zamkniętego okna. Machała do papieża obiema rękami. Nigdy potem nie mogła zrozumieć, jakim cudem tam zdołała wskoczyć i nie spaść z wąskiego parapetu.

Jako pracownica ambasady nie należała do Solidarności, choć całą duszą była z nią. Tylko raz do ambasady przyszedł Kubańczyk, który chciał założyć Solidarność pracowników ambasad. Nikt nie wątpił, że była to reżimowa próba wyłapania ludzi, sprzyjających ruchowi. Oczywiście nic z tego nie wyszło, bo nie byli głupcami.

W marcu 80. roku odbyły się wybory. Wielu ludzi zbojkotowało je tym razem. Joanna oczywiście też. Wkrótce wylatywała z klientami do Finlandii. Na lotnisku okazało się, że zamiast Joanny i Duńczyka mają lecieć nowi posłowie. Wściekła powiedziała głośno i wyraźnie – „to niech im ustąpią miejsca Ci, którzy na nich głosowali – ja nie głosowałam!” Zaległa cisza. Oczywiście zostali jednak zatrzymani i skierowani do samolotu do Kopenhagi. Joanna zawołała kierownika i powiedziała, że wobec tego, nie leci bezpośrednio do Helsinek, gdzie miała być odebrana razem z gośćmi przez Finów, musi mieć przy sobie pieniądze. O dziwo kierownik zgodził się, aby przywieziono jej na lotnisko 100 dolarów.

Nastroje w kraju coraz gorsze. Ludzie buntują się, a władza każe naród, wprowadzając kartki na żywność, wódkę, benzynę. Solidarność rozrasta się. Komuniści przestają kontrolować sytuację. Mama spisuje wydarzenia każdego dnia. W jej dzienniku mieszają się sprawy polityczne z życiem prywatnym. Staje się niezwykle precyzyjnym kronikarzem Solidarności. Słucha BBC, Wolnej Europy, Radio France, a także coraz bardziej rozszczekanych i ziejących strachem i nienawiścią rozgłośni polskich. Lwowską odwiedza mnóstwo ludzi powiązanych ściśle z Solidarnością. Najbliższym informatorem kronikarki staje się jej przyjaciółka Teresa, głęboko zaangażowana w działalność wyzwolenczą. Joanna i Pat przesiadują coraz częściej u mamy, gdzie towarzyskie spotkania przeradzają się w gorące dysputy polityczne. Chodzą też razem na demonstracje solidarnościowe. Widzą czerwone, rozognione twarze zomowców wyraźnie po „dopalaczach”, które miały im dodać odwagi i agresji w zetknięciu z coraz większymi tłumami ludzi, którzy już bezapelacyjnie mają dość reżimu. Wieloletnich upokorzeń, kłamstw, represji i zniewolenia. Są obydwie całym sercem z tym rozedrganym i upojonym swoim buntem tłumem. Joanna mówi do Pat – Patrz i zapamiętaj!. – Nieraz zastanawiała się czy dobrze robiła, uświadamiając dwunastoletniemu dziecku ekscytującą polityczną sytuację. Któregoś dnia spotkała w kolejce przy osiedlowej studni artezyjskiej syna swojej kuzynki. Szybko zorientowała się, że nieco starszy od Pat chłopiec jest utrzymywany w całkowitej nieświadomości. Ludzie stojący w kolejce omawiali wydarzenia, a on spojrzał na Joannę smutnymi oczami i powiedział – Patrz ciociu, tyle wspaniałych rzeczy się dzieje, a moi rodzice nic mi nie mówią. – W tym momencie nabrała pewności, że dzieci też mają prawo wiedzieć i czuć z całym narodem. Zrozumieć, jak ważna dla każdego człowieka jest wolność.

Ponieważ nie brała bezpośredniego udziału w solidarnościowym ruchu, postanowiła, że ma też swoje zadanie. Spotykała wielu cudzoziemców i mówiła im całą prawdę. Słuchali uważnie, będąc często absolutnie nieświadomi ogromu krzywd popełnianych na narodach podległych sowieckiemu reżimowi. Oczy im się otwierały i przekazywali tę nową dla nich wiedzę w swoich krajach. To stało się jej prywatną walką.

A tymczasem, w tym burzliwym czasie, w życiu Joanny pojawiła się miłość. Na imię miała Rene. Na sympozjum do Warszawy przyjechała liczna grupa Finów i Szwedów oferujących urzędzenia do budowy dróg. Po oficjalnym spotkaniu odbyła się kolacja w Bazyliisku. Była jedyną kobietą w tym gronie. Naprzeciwko niej siedział dyrektor fińskiego koncernu handlowego. Zaproszono też potencjalnych klientów polskich. Joanna dwoiła się i troiła, żeby tłumaczyć rozmowy. Atmosfera była miła i swobodna. Po kolacji trzeba było odwieźć kilku lekko już zamoczonych alkoholem cudzoziemców do hotelu. Sympatyczny polski inżynier zaproponował pomoc. Mam Fiata – powiedział. Wtedy Joanna, chcąc się zorientować ile osób inżynier może zabrać, spytała – Czy ma pan małego, czy dużego – Zobaczyła wesołe iskierki w oczach mężczyzny i usłyszała odpowiedź: – Zawsze myślałem, że mam ŚREDNIEGO –. Rozległ się gromki śmiech. Kiedy wszyscy odjechali, okazało się, że zostało dwóch Finów. Rene i Charle. Wracali piechotą. Stare miasto, Krakowskie Przedmieście. Rene zaproponował, żeby poszli do nocnego klubu. Znajomi Finowie polecali mu jakąś mordownię pełną prostytutek. Był nieświadomy renomy lokalu. Joanna odmówiła, twierdząc, że tam nie pójdzie. Pożegnała się i pojechała taksówką do domu. Okazało się, że jak to z nią bywało, kiedy ktoś bardzo jej się podobał, to uciekała pod byle jakim pretekstem. Przecież mogła zaproponować, by poszli do „Czarnego kota „ w Victorii, w którym często z Finami bywała. Trochę żałowała. Szczególnie kiedy wywołała zdjęcia. Ten mężczyzna siedzący naprzeciwko niej miał w sobie coś niezwykle pociągającego.

Minęło kilka miesięcy. Nadeszło lato. Joanna miała jechać znowu do Finlandii. Często myślała o Rene. Była na siebie zła za tę ucieczkę. Postanowiła to naprawić. Wymyśliła, że zadzwoni do niego, kiedy będzie w Helsinkach i spróbuje się z nim spotkać pod pretekstem dostarczenia jakiegoś, niby ważnego służbowego dokumentu. Często wykorzystywała biznesowe podróże, aby spędzić trochę więcej czasu sama w Helsinkach. Polubiła to piękne miejsce ogromnie. Morze wdzierające się do centrum. Port z wielkimi promami wpływającymi bezpośrednio do miasta. Obok wazrywny i rybny targ na tle rzędu urzędowych gmachów zbudowanych na wzór starego Petersburga. Często kupowała od rybaków świeżutką wędzoną rybę i pomidory. Zasiadała na schodkach schodzących do morza i pałaszowała te pyszności, rozkoszując się ich smakiem i widokiem na zielono skaliste wyspy. Na Jacht Club, Klippan. Na pływające wokół liczne żagłówki z łopoczącymi na wietrze rozpiętymi żaglami.

I tym razem, gdy odwiozła na lotnisko polskich gości, wróciła do miasta rozkoszując się samotnością. Zadzwoniła do Rene. Zaproponował, żeby przyszła do firmy i oddała mu dokumenty. Odpowiedziała, że jest nieodpowiednio ubrana. Jest

w jeansach i wołałaby się spotkać w knajpce na Esplanadi, skąd właśnie dzwoniła. Rene westchnął i obiecał za chwilę przyjść, ale zaznaczył, że ma tylko 15 minut i wiele ważnych spraw tego dnia. Joanna była nieco rozczarowana, ale cóż – pozostało jej tylko siąść przy stoliku w restauracyjnym ogródku i czekać. Zamówiła piwo i siedziała patrząc na ludzi, którzy właśnie tłumnie wyszli z biur w porze lunchu. Przywitała Rene bardzo oficjalnie. Przeprosiła, że zabiera mu cenny czas i wręczyła dokumenty. Rene siadł naprzeciwko, zamówił piwo i rozpoczęła się rozmowa. Po 15 minutach Joanna spojrzała na zegarek i oznajmiła mu, że powinien już iść bo kwadrans właśnie minął. Ani mu się śniło. Siedzieli tam ponad godzinę. Wyrażnie coś między nimi zaiskrzyło. zaproponował Joannie, żeby poszła z nim na biznesowy lunch do jednej z bardziej luksusowych restauracji. Żadnemu z nich nie przeszkadzał już jej nieodpowiedni strój. Było sporo gości. Przeważnie dyrektorzy dużych fińskich firm. Wielu z nich Joanna знаła. Toczyły się przyjazne pogawędki. Zajadali pyszne potrawy podane na ogromnym szwedzkim stole stojącym na ogromnym tarasie restauracji, z którego roztaczał się widok na miasto. Czuła na sobie wzrok Rene. Obserwował ją z coraz większym zainteresowaniem.

Wyszli razem. Wędrowali wzdłuż wybrzeża. Żał było się rozstawać. Kiedy doszli do hotelu, Rene zaproponował wycieczkę jego jachtem przez Archipelag. Ten przepiękny Archipelag, który znała tak dobrze z plakatu wiszącego naprzeciw jej warszawskiego biurka. Tak bardzo pragnęła tam się znaleźć, ale następnego dnia miała wracać do Polski. Niemożliwe stało się możliwe. Rene zaprowadził ją do biura Lotu i bez żadnego problemu zmienił rezerwację.

Tego samego wieczoru pojechali samochodem do Turku, gdzie zacumowany był jacht. Mieli płynąć ze znajomym żeglarzem i jego dziewczyną. Kiedy panie mościły się na łodzi, panowie zrobili zakupy. Przyniesli wiadro raków i kilka świeżutkich poledwic. – Na cztery osoby! Tyle jedzenia! Kto to zje? – zapytała Joanna. – Ty. Widziałem polskie sklepy. Tam nic nie ma oprócz octu i dżemów. – To była prawda. Polskie sklepy świeciły pustkami. Władza chciała przemówić do rozsądku narodowi przez ich głodne brzuchy.

Noc latem w Finlandii przychodzi późno. Płynęli wśród wysp, jeszcze piękniejszych w zachodzącym słońcu, niż na plakacie. Żagle łopotały. Załoga była profesjonalna, gdyż Rene i Tom brali udział w wielu liczących się regatach. Przycumowali przy jednej z wysp o wysokim, mieniącym się fioletem, skalistym brzegu. Wskoczyli wszyscy do nieskazitelnie czystej, przezroczystej wody. Długo pływała rozkoszując się chłodem i całą tą niespodziewaną przygodą. Próbowała wyjść na brzeg, który nie był bardzo wysoki, ale kamienie, zmywane falami okazały się śliskie. Kilka razy zsuwała się, drapiąc dosłownie pazurami mokre skały. Zobaczył to Rene, zaśmiał się i zapytał: – Nie byłoby prościej wejść na jacht po schodkach?. – To jej nie przyszło do głowy, ale szybkoitko skorzystała z rady Rene i wdrapała się na pokład.

Kolację jedli przy ognisku na brzegu wyspy. Smażone krwiste befsztyki i raki z koperkiem. Rene poinstruował Joannę. – Jak jesz raki to zapomnij czego cię mama uczyła. Rwij rękami, wysysaj mlaskaj i ciesz się smakiem. – Oczywiście jedzenie

podlewane było sporą ilością trunków. Spali na jachcie. Dziewczyna Toma miała wielką ochotę wsunąć się do koi Rene, co wcale się Joannie nie podobało. Tom nie miał chyba nic przeciwko temu. Widać było, że chętnie urozmaiciłby sobie noc z inną dziewczyną. Ale ani Rene, ani Joanna nie mieli wcale na te igraszki ochoty. Każdy spał u siebie. Rano Joanna wstała pierwsza trzeźwiutka i przygotowała dla wszystkich sude śniadanie. Jedli na jachcie. Dziewczyna Toma, niedługo po wypłynięciu zaczęła rzygać jak kot. Ku satysfakcji Joanny. Fala była krótka, sztormowa, ale łódź płynęła gładko posłuszna wytrawnym żeglarzom. Tego dnia oboje coraz dłużej spoglądali na siebie. Jakieś niezwykle ciepło wędrowało pomiędzy nimi, gdy na dłużej zatrzymywali na sobie wzrok. Mijała ich inna łódź. Rene spojrzał na Joannę, oddał jej ster mówiąc: – Prześcignij ją. – Nie wiele myśląc chwyciła ster i liny. Czowała jakąś niezwykłą moc. Trzymała wiatr w dłoni. Łódź pokonywała lekko opór fal. Patrzyła prosto przed siebie i stał się cud. Wyprzedzali jacht, którego załoga wyraźnie podchwyciła wyzwanie. Obie łodzie płynęły jakiś czas równo, aż tamta została wyraźnie w tyle. To było jedno z tych niepowtarzalnych doznań. Niezapomniane przeżycie. To ona sama, bez żadnego doświadczenia zapanowała nad łodzią i żywiołem. Wy tłumaczenie było jedno. Była już zakochana. Miłość dawała jej niezwykłą moc. Chłopcy nie wierzyli własnym oczom. Czy to prawda, że dziewczyna żeglowała pierwszy raz w życiu? Rene patrzył na nią zachwyconym wzrokiem.

Dopłynęli do wyspy, gdzie Rene miał swój letni dom. Przycumowali łódź do drewnianego pomostu w maleńkiej zatoczce. Zjedli w chacie obiad i odpłynęli małą łódeczką w stronę łądu, gdzie czekał na nich samochód Toma. Mieli wszyscy wracać do Helsinek. Łódka była przeciążona i do tego przeciekała. Wybierali z dna wodę i jakimś cudem dopłynęli. Tom z dziewczyną wysiedli. Pakowali swoje rzeczy. Kiedy odwrócili się zobaczyli, że łódka odpływa z powrotem na wyspę. Joanna i Rene machali im na pożegnanie. Wrócili do chaty. Tak musiało być.

Kiedy następnego dnia szli ulicą do postoju taksówek – ogorzali słońcem, w szortach i kolorowych koszulkach, stało się coś czego Joanna nigdy nie zapomniała. Ktośkolwiek na nich spojrzał – uśmiechał się serdecznie. Było w nich tak wiele szczęścia, że musieli emanować na zewnątrz tą wielką radością. Stali się piękni tą miłością i tak odbierali ich ludzie.

Rene odwiózł ją do hotelu. Umówili się na lunch w restauracji Konig. Poszła na daleki spacer. Szła przez nadmorski park, przysiadła na chwilę przed pomnikiem Sibeliusa, zbudowanym z mnóstwa metalowych, błyszczących rur – jak organy. Była spokojna. Czowała, że świat znów stoi przed nią otworem. Nie myślała jak długo ma to trwać. Ważne było to co działo się w jej wnętrzu. To wszechogarniające ciepło i radość życia. Wracała skrajem parku, który schodził stromo do wijącej się nadmorskiej promenady. Usłyszała dźwięki muzyki. Tuż obok stał chłopak, który puszczał latawca, którego skrzydła falowały w takt piosenki dochodzącej z przenośnego radia. Barbara Straisand śpiewała „Woman in love”. Stała zasłuchana i myślała w cudownym uniesieniu – to o mnie! Jestem zakochana... Jestem zakochana!!!! Wracała nucąc tę melodię. Za chwilę miała się z nim spotkać.

Kiedy dotarła do restauracji Rene już czekał. Siedli przy stoliku. Podszedł do nich właściciel restauracji. Spytał na co mają ochotę. Polecił Joannie zupę, której na pewno nigdy nie jadła. Na wszelki wypadek dodał, że gdyby jej nie smakowała, to ta zupa ma nogi i tak, jak samo przyszła tak może odmaszerować do kuchni. Okazało się, że była to zupa ogórkowa, tylko ze świeżych ogórków. Była pyszna. Podobno, jeszcze długo po tym, ile razy Rene przychodził do tej restauracji, właściciel pytał: – A gdzie jest ta pani? – On też poczuł tę magię. Siedzieli długo. Naprzeciwko siebie. Joanna nie zapytała o przyszłość. To on mówił. Zakochałem się w tobie. Przyjadę i będę codziennie telefonował.

I tak było. Każdego ranka, zanim wychodziła do pracy dzwonił telefon. Witał ją słowami „kocham cię”. Po polsku. Mówili o wszystkim co ich dotyczyło. Jak spędzili poprzedni dzień. Co się wydarzyło. To on mówił, że tak trzeba, żeby miłość na odległość nie zagubiła się w przestrzeni. Nie rozmyła się. Wkrótce Rene przyjechał. Chciał poznać Pat. Miał dwie córki w podobnym wieku. Twierdził, że jego żona już jakiś czas temu zażądała separacji. Spędzili razem kilka dni. Zabierali Pat do restauracji. Bawili się razem z małą świnką morską, o imieniu „Choć”, którą Pat uwolniła z doświadczalnego laboratorium. Był wyjątkowo miłym człowiekiem. Podobał się wszystkim. Ciocia oniemiała z zachwytu. Pytali „Skąd ty wzięłaś takiego wspaniałego Fina?” Tak naprawdę to był fińskim Szwedem francuskiego pochodzenia.

Następne spotkanie odbyło się w Sztokholmie. Znów kilka cudownych dni. W listopadzie wyjechali na dwa tygodnie na Wyspy Kanaryjskie. Spotkali się w Madrycie i po obejrzeniu miasta polecili dalej razem. Mieszkali w apartamencie przyjaciela Rene. Tuż nad samym morzem. Jeździli po wyspie małym, czerwonym Fiatem Pandą. Wędrowali po rozległych plażach, pływali wynajętą żaglówką. Jedli w małych restauracyjkach albo gotowali w domu. Co rano, przed śniadaniem, wypijali po kieliszku polskiej Starki, dla dezynfekcji żołądków. Noce były gorące, pełne radosnej miłości. Mieszkańcy apartamentowca spoglądali ciekawie z balkonów, kiedy po wieczornych wyprawach pływali w basenie, ciesząc się sobą nieustannie. Byli w większości starzy. Pewnie patrząc na nich wspominali swoje spełnione i niespełnione miłości. Było idealnie. Tak radośnie. Chcieli być razem. Pożegnali się w Madrycie.

Miał przyjechać do Polski w niedzielę 13 grudnia. Miesiąc wcześniej kupił od Anisi pomarańczowego malucha, żeby mieli czym jeździć po Polsce. Anisia pofrunęła do Australii do brata. Na lotnisko odprowadzało ją wiele osób. Patrzyli z górnego tarasu jak czekała na autobus wiozący pasażerów do samolotu. Anita Dymśzówna wychyliła się i krzyknęła do Anisi „Zapamiętaj tę chwilę. Ostatni raz stoisz w kolejce!”. Patrzyliśmy na odlatujący samolot. Pozostałych czekały kolejki i dużo, dużo złego.

Sytuacja w kraju była coraz gorsza. Władza postanowiła walczyć z narodem bez pardonu. Ze strachu przed nabrzmiałym pragnieniem wolności ludem i przed Wielkim Bratem, który nie miał najmniejszego zamiaru odpuścić. Na ulicach pojawiały się coraz częściej, jadące wolno w szeregu kordony policyjne. Sprzęt był coraz większy i groźniejszy. Ale naród coraz mocniej kochał swoją Solidarność i Wałęsę. Na granicy

sowieckiej gromadzono wojska. Obywały się manewry. Cały świat był z Polską. Pewno i Tankmar Horn zrozumiał, że zniewolone narody mają prawo do wolności. Regan, papież i angielska premier wspierali dążenie Polaków do dokonania radykalnych zmian na mapie Europy. Wyzwoliła się w ludziach niezwykła energia. Nie do pokonania.

Joanna wozila nadal Finów po całej Polsce. Jeden z nich, Markku, siedząc w śmierzdzącej tytoniem, brudnej warszawskiej taksówce spojrział na Joannę i powiedział: – Tak bardzo pokochałem tę twoją Polskę. – Rozmawiała z ludźmi z różnych zakątków kraju. Mówili otwarcie. Już nie bali się prawdy. Otrzeptywali się z kłamstw i nabierali odwagi.

Mama pisała swoje kroniki, zarywając noce. Siedziała przy swojej maszynie zaśluchana w wiadomości, które płynęły z całego świata. Solidarność była na ustach wszystkich. Chyba nigdy jeszcze Polska nie miała tylu sprzymierzeńców zarówno w zachodnich rządach, jak i wśród zwykłych ludzi.

Grzmiało od plotek. Spodziewano się radykalnych ruchów Rosji w obronie systemu i terytorium zawładniętego po wojnie w rezultacie zdradliwego, Jałtańskiego traktatu. Kolos chwiał się, ale nie dawał za wygraną. Spodziewano się wtargnięcia rosyjskich wojsk lub ogłoszenia w Polsce stanu wyjątkowego.

12 grudnia 1981 roku Joanna poszła z Elą i Danką na kolację do hotelu Victoria, Dziwnym trafem nazwały to swoje spotkanie „Pożegnanie Europy”. Po zjedzeniu żubrowiny Joanna wracała późno do domu. Postanowiła nabrać benzyny do malucha, bo następnego dnia miał przyjechać Rene. Stała w bardzo długiej kolejce cut do stacji benzynowej na ulicy Dolnej. Jakiś pan liczył samochody. Spytała, która jest w kolejce. – Trzydziesta czwarta – odparł i poszedł liczyć dalej. Słuchała radia. Wybiła północ. Rozpoczęła się pogadanka profesora Michałowskiego, archeologa. Po chwili zaległa cisza. Kręciła gałkami. Bez rezultatu. Podejrzewała, że popsuło się stare radio. Siedziała dalej cierpliwie, do momentu kiedy oznajmiono, że benzyna na stacji się skończyła. Wtedy samochody ruszyły do najbliższej stacji. Na Emilii Plater. Jechali przez Plac Konstytucji. Marszałkowską ciągnęły uzbrojone kordony policji. „Kolejna demonstracja siły” – pomyślała. Byli już do tych parad strachu tak przyzwyczajeni, że nie robiło to na ludziach większego wrażenia. Najważniejszym zadaniem było zdobycie benzyny. Planowała zawieść Rene do Żelazowej Woli. Niech zobaczy parę ładnych miejsc i przejedzie się swoim samochodem. Udało się. Wróciła do domu zmęczona, ale szczęśliwa ze swojej zdobyczy. W nocy przyśnił jej się dziwny sen:

Była znowu na Wyspach Kanaryjskich. Na ich białym balkonie. Siedziała przy stoliku z fińską sekretarką Leeną Majją i swoim byłym mężem. Andrzej czytał gazetę. Joanna spytała go czy wraca. Odpowiedział – Nie. Stan wojenny mamy. Francuzi weszli – Pokazał jej gazetę wydrukowaną kolorem sepii. Spojrzała na niewyraźne zdjęcie. Przedstawiało wojsko francuskie w mundurach z epoki napoleońskiej z charakterystycznymi dla tych czasów nakryciami głowy. Wstała, podeszła do balkonowych drzwi. Były zamknięte. Zobaczyła przez szybę wąskie łóżko, na którym leżał Rene. W rękach trzymał Joanny stopę i przytulał ją do policzka. Stopa była osobną, jak odcięta, ale bez kropli krwi. Nagle spostrzegła, że ta stopa jest pod spodem bar-

dzo brudna. Przestraszyła się, że Rene to zobaczy. Rene miał w jej śnie dość długie włosy z rozjaśnionymi od słońca pasemkami. Ubrany był w mocno niebieski T-Shirt z kolorowym wzorem.

Obudziła się. Miała rano odwieść Pat do Andrzeja, a potem pojechać na lotnisko po Rene. Były jeszcze w szlafrokach, kiedy usłyszały charakterystyczne pukanie do drzwi. W drzwiach stanęła ciocia. – Co wy na to? – Spytała jakimś drżącym głosem. – Na co? – Jak to nie wiecie! Stan wojenny mamy. – Joanna już to słyszała. W swoim śnie. Powiedziała – O Boże, Andrzej mi to w nocy powiedział! – To Andrzej tu był? Zdziwiła się ciocia. – Nie, to mi się śniło –. Nigdy przedtem nie słyszała tego określenia. Stan wyjątkowy tak, ale nie stan wojenny. Okazało się, że miała prawdziwie proroczy sen, tylko była to trochę lepsza, francuska wersja. Pat знаła już ten sen, ale tak jak Joanna, nie miała pojęcia co się wydarzyło. Szykowały się do wyjazdu i nie włączały telewizji. Teraz to zrobiły. Na ekranie, co chwilę pojawiał się generał Jaruzelski, który grobowym głosem ogłaszał stan wojenny. Tego nikt się nie spodziewał. Nikt nie znał takiego terminu. Przedstawiano też długą listę zakazów. Grożono nawet karą śmierci.

Zasłużyły na nią już po chwili. Nie wolno było fotografować. Nie mogły się jednak oprzeć, kiedy zobaczyły wojskowy samochód podjeżdżający po mieszkającego na tej samej ulicy generała. Zdjęcie robione z okna, przez gałęzie drzew przedstawiało samochód i wojskowego kierowcę, który trzymał w ręku wieszak z generalskim płaszczem. Nagle spostrzegły, że w oknie na wysokim piętrze stojącego naprzeciw budynku, ktoś fotografuje. Nie wiedziały, czy mężczyzna chciał uwiecznić generała, czy też zatrzymuje w kadrze ich, zasługujące na karę śmierci działanie. Wycofały się szybko.

O jeźdźeniu samochodem nie było mowy. Żaden samolot oprócz wojskowych nie lądował już na lotnisku. Zakazane dla ruchu pasażerskiego. Stan wojenny ugodził też w miłość Joanny. Nie wiadomo kiedy znowu zobaczy Rene. Nawet go nie usłyszy, bo linie telefoniczne odcięto.

Cóż miały robić. Postanowiły pomaszzerować na Lwowską. Ubrały się ciepło, bo mróz był tego pamiętnego dnia siarczysty i wyruszyły. Na rogu Wołoskiej i Racławickiej stały samochody pancerne i wojskowe ciężarówki. Żołnierze grzali sobie ręce przy ogniu. Mijały ciężarówkę pełną młodych żołnierzy. Usłyszały gwizdy i niewybredne uwagi. Pat odwróciła się, cofnęła i dobitnie wypowiedziała słowa: Nie dość, że najechaliście Polskę, to jeszcze śmiecie zaczepiać po chamsku kobiety! – Chłopcy mieli bardzo głupie miny. Nawet usłyszały nieśmiało „przepraszam”. Joanna była dumna ze swojego dziecka. Miała dopiero 12 lat i taką odwagę.

Na Lwowskiej nie zamykały się drzwi. Wszyscy mieli tam po drodze. Czuli się bezpieczni. Nie płakali. Nie spuszczały głów. Dochodziły coraz to nowe wieści o ogromnej ilości nocnych aresztowań. Tylu najwspanialszych ludzi w więzieniach. Nazwali to internowaniem. Potocznie „interną”. Ogrom nienawiści. Ostatnia próba zabicia nadziei na wolność. Zwycięstwo musiało poczekać. Jeszcze prawie dzie-

się lat. Była też śmierć. Śmierć bohaterów i tych, do których nie dojechały karetki pogotowia. Reszta żyła dalej. Przyduszana do ziemi. Nadzieja na chwilę przygasła. Pozostała jednak ukryta w głębi ludzkich serc, czekając na ponowne odrodzenie.

Telefony odezwały się wkrótce, ale po wykręceniu numeru odzywał się głos z automatu – „Rozmowa kontrolowana, rozmowa kontrolowana”...Połączenia z zagranicą pozostały zablokowane. Któregoś dnia wróciła z pracy. Pat, nieco zdenerwowana oznajmiła, że do drzwi zapukało dwóch panów w czarnych, skórzanych płaszczach. Widziała ich przez judasza, ale nie wpuściła. Joanna, zdając sobie sprawę, że jej rozmowa będzie podsłuchiwana wykonała szereg telefonów do swoich znajomych. Pytała – Czy twój mąż ma czarny, skórzany płaszcz? – A dlaczego pytasz? – Bo do naszych drzwi zapukało dwóch facetów w takim stroju – Wszyscy parskali śmiechem, bo wiedzieli dokładnie, że to musieli być ubecy. Już więcej nie pojawili się, bo ich wizyta stała się tajemnicą poliszynela.

Godzina policyjna została zawieszona w dzień Wigilii. Można było o północy iść na pasterkę. Skorzystali z tego chyba wszyscy. Kościoły pękały w szwach. Na ulicach ruch. Ludzie przyjaźnie na siebie patrzący. Wigilia była u nich w domu. Do stołu zasiedli – mama, tata, ciocia, wuj i Rena. Jak zwykle puste nakrycie czekało na niespodziewanego gościa. Nagle dźwięk dzwonka. W drzwiach stał nieznajomy mężczyzna. Chciałbym wejść – powiedział. „Jest Wigilia” odparła – i zamknęła drzwi. Podejrzewała, że to znów jakiś ubek stara się wtargnąć do jej domu. Dopiero kiedy odszedł, przeraziła się, że był to może samotny człowiek, który szukał bratniej duszy w wigilijny wieczór. A ona go nie wpuściła. Była zdruzgotana, ale nic już poradzić nie mogła. Nakrycie zionęło pustką. Nieraz, po latach myślała o tym człowieku. Kto to był? Dlaczego nie była bardziej dociekliwa? Nie zaufała?...

Na pasterkę poszły do pobliskiej kaplicy. O wejściu do kościoła nie było mowy. Zostały w ogrodzie. Nastrój był podniosły. Do czasu kiedy dobrze mający w czubie mężczyzna nie rozbawił wszystkich. Drzymał na stojąco, kiwając się rytmicznie. Od czasu do czasu następował moment ożywienia. Pijaczek otwierał oczy, prostował się i chwalił Boga intonując na cały głos „Bóg się rooooo...”. W pół słowa zapadał w pijacki sen... Do następnego razu...

Po kilku miesiącach stanu wojennego Ambasada Finlandii postanowiła zredukować personel. Padło na Joannę, bo była najmłodszym stażem pracownikiem. Ta wiadomość spadła na nią jak grom z jasnego nieba. Wszyscy byli oburzeni. Attache kulturalny, przemiły Fin, Kim poinformował ją, że fińskie prawo nie zezwala na zwalnianie pracowników instytucji państwowych bez powodu. Walcz! Działając bezprawnie. Joanna postanowiła pójść prosto do ambasadora. Prawo polskie chroniło „jedynych żywicieli rodziny” przed zwolnieniami. Miała szansę. Mogła udowodnić, że działając bezprawnie z pozycji obu krajów. Ambasador, syn prezydenta Kekkonena był alkoholikiem. Kiedy weszła do gabinetu był, jak zwykle pijany. Joanna wyłuszczyła mu swoje racje, a on spojrzał na nią nieco błędnym wzrokiem i wybełkotał „Will you go to bed with me?” – What?!!!! – krzyknęła oniemiała – Czy mam rozumieć, że

moja praca zależy od tego, czy zgodzę się pójść z panem do łóżka?!!!! – Zmieszał się nieco, ale zaraz wytłumaczył, – When I see you, I feel like, a tiger!!” Joanna wstała i na cały głos wrzasnęła „Czy znajduję się ambasadzie, czy w burdelu?!!!!” Trzasnęła z rozmachem drzwiami gabinetu i wyszła. Kupiła butelkę whisky, zaprosiła Elę i postanowiła się upić. Siedziały długo w noc rozważając sytuację. Uradziły, że rano Joanna przedstawi ambasadorowi rachunek za whisky żeby za nią zapłacili. To przez niego Joannie pozostało tylko utopić swoje żale w alkoholu. Miał to być swojego rodzaju prztyczek w nos i sposób na zagajenie rozmowy. Rano była pierwsza w ambasadzie. Ambasador, kompletnie zalany chodził w eleganckiej piżamie i niebieskim szlafroczku, boso po biurowym korytarzu. Nie było sensu z nim gadać. Po chwili zeszła sekretarka ambasadora – „Pan ambasador prosił, żeby cię przeprosić za wczorajsze nieporozumienie” ... Już nikt nie mówi o zwolnieniu, oprócz nowego radcy handlowego. Kiedy Rene usłyszał o jej sytuacji, zadzwonił do radcy i powiedział, że jeśli przeniesie Joannę do Metexu, to on da im przedstawicielstwo swojego koncernu. Było to bardzo korzystne dla firmy, ale radca spytał Rene dlaczego pomaga Joannie „Bo wstyd mi, że jestem Finem!!!!” odparł natychmiast.

Po jakimś czasie ambasador miał osobiście stać się chwilowo ofiarą stanu wojennego. Tego dnia lud Warszawy demonstrował. Trzy fińskie pracownice poszły na Plac Zwycięstwa obejrzeć wydarzenia. Wróciły do ambasady i kiedy były już pod bramą pojawiła się czarna Wołga, z której wyskoczyło kilku ubeków i chcieli je zapakować do samochodu. Lisu przeżyła już swoją przygodę, kiedy to w pierwszych dniach stanu wojennego zeszła po godzinie policyjnej na schody budynku, w którym mieszkała. Została natychmiast zawieziona do policyjnego aresztu na ulicy Malczewskiego. Mówiła świetnie po polsku. Nie uwierzono jej, że jest Finką i pracownicą ambasady. Zrobiono jej pełną kontrolę osobistą, po czym zaprowadzono na przesłuchanie. Lisu wciąż domagała się, aby skontaktowano się z fińskim konsulem. Jej żądania spotykały się z niewybrednymi żartami. W końcu dziewczyna zaczęła płakać. „No i czego becysz? – zapytał milicjant. „Bo ja jeszcze nigdy...”. „Te, konsul” zarechotał drugi – „Ona jeszcze nigdy w pierdlu nie siedziała” Rozległ się gromki śmiech i Lisu powędrowała na resztę nocy do brudnej celi. Dopiero rano pojawił się wyższy rangą milicjant, który skontaktował się z ministerstwem spraw zagranicznych i musieli Lisu natychmiast zwolnić.

Kiedy jeden z ubeków z Wołgi zaczął ją szarpać, Lisu nie wytrzymała i z całej siły uderzyła go po pysku. Rozgrywająca się przed bramą scenę zobaczył z okna ambasador. Zszedł natychmiast, pokazał papiery, uchylił bramę i zaczął po jednej wciągać dziewczyny do środka. Przy ostatniej, zrobił krok do przodu i w tym momencie jego żona zobaczyła jak ładują go na tylne siedzenie Wołgi. Powiadomiła natychmiast MSZ i ambasadora odwieziono migiem do domu.

Całą scenę filmowali fotoreporterzy norwescy z za bramy swojej ambasady, sąsiadującej z fińską. W ambasadzie zawrzało. Wszyscy polscy pracownicy liczyli na opublikowanie zdjęć i komentarzy w gazetach na całym świecie. Niestety, nie uka-

zały się nigdzie. W jednej z fińskich gazet zamieszczono tylko wzmiankę z krótkim komentarzem „Finki popełniły błąd, ale milicja popełniła błąd większy. Zapanowało ogromne rozczarowanie. Taka dyplomatyczna wpadka nie zdarzała się co dzień. A jednak bali się o niej napisać.

Joanna wróciła szczęśliwa do ukochanego biura na Humańskiej, jako samodzielny handlowiec. Przeniosło się za nią do Metexu kilka innych firm. Początki nie były łatwe. Wprowadzenie na rynek nowych firm w warunkach stanu wojennego nie było proste. Po pół roku oznajmiła trzem kolegom handlowcom, tzw. chłopcom. „Jeśli nie podpiszę żadnego kontraktu przez dwa miesiące, to odejdę. Po chwili wszyscy chłopcy weszli do jej pokoju. Usłyszała tak miło brzmiące zdanie – „Jest nas trzech i potrafimy zarobić na jedną kobietę! Nigdzie nie pozwolimy ci odejść!” – Joanna była wzruszona i nabrała animuszu. Wkrótce pojawiły się kontrakty.

Pat miała wspaniałą wychowawczynię, nauczycielkę historii. Za solidarnościowe sympatie i uczenie historii prawdziwej zabrano jej klasę i przeniesiono do biblioteki. Wszyscy przysli ją pożegnać. Dzieci i rodzice. Oburzenie i smutek. Na koniec dzieci wstały i zaśpiewały znamienne w tym momencie słowa piosenki „Chcemy być sobą...” Tego ich nauczyła i tacy pozostaną. Wszyscy mieli łzy w oczach. Nasze dzieci takie odważne i świadome. Czuli wtedy, że to oni stworzą nowy wkrótce wolny, wspaniały kraj.

Zbliżała się Wielkanoc. Joanna postanowiła pojechać na rekolekcje dla artystów. Na skrzyżowaniu Racławickiej z Komarowa miała wypadek. Była w świetnym humorze. Słuchała piosenek hiszpańskich z kasyty, którą kupili na wyspach z Rene. Przejechała przez tory, jak świadkowie twierdzili, rozglądając się uważnie, a potem wjechała pod ciężarówkę, która miała pierwszeństwo przejazdu. Chwila nieuwagi i pokiereszowany samochód sunął, pchany przez ciężarówkę na drugą stronę skrzyżowania. Była nieprzytomna. Leżała na boku, a krew z jej głowy kapłała do schowka w drzwiach samochodu. Kiedy otworzyła oczy, zobaczyła mnóstwo przerażonych twarzy w pustym otworze po wybitej przedniej szybie. Z ust pochyłonych ludzi dobiegło westchnienie ulgi. „Żyje, ona żyje...” powtarzali. Chyba wyszła samodzielnie. Przyjechała duża karetka. Zabrała torebkę, wsiadła do ambulansu i stanęła, trzymając się uchwytu. Lekarz kazał jej usiąść. Niechętnie wykonała jego polecenie. Dojechali do szpitala na ulicy Goszczyńskiego. Zanim przyjął ją lekarz, zjawił się milicjant, by zapłaciła mandat. Była w nadzwyczajnym humorze. Żartowała i zaśmiewała się. Podczas rozmowy z lekarzem zadzwonił wuj. Spytał o dokładny przebieg wypadku. Nie wierzył, że karetka zjawiła się natychmiast po wypadku. Ktoś musiał pogotowie zawiadomić, a telefonów komórkowych wtedy nie było. Twierdził, że nie dotarło wcześniej niż po 10 minutach. To znaczyło, że Joanna straciła przytomność na długo. Wiedział co to mogło znaczyć. Powtarzał jak nakręcony „Powiedz lekarzowi, że byłaś co najmniej 10 minut nieprzytomna. To ważne!”. „Dobrze wujku, powiem” zapewniała. Lekarz słyszał ich rozmowę. Wysłał na prześwietlenie. Czaszka była cała. Dwa żebra złamane. Na głowie urósł ogromny guz, a po drugiej stronie zaszyto krwawiące obficie pęknięcie skóry.

Humor i rezon nie opuszczał Joanny. Kiedy pielęgniarka wiozła ją na wózku szpitalnym korytarzem, zobaczyła otwarte drzwi pokoju lekarskiego. Lekarz w białym fartuchu nalewał sobie z dzbanka herbatę. Joanna kazała się pielęgniarce zatrzymać, spytała ją o numer pokoju, do którego jada. Pielęgniarka nieco zdziwiona podała numer sali. Wtedy donośnym głosem zwróciła się do lekarza. Ja też proszę herbatę. Do czwórki! Wkrótce zapomniła, że miała pić herbatę, bo zajęła się telefonowaniem. Do wszystkich znajomych. Tekst był podobny. „Ale przydzwoniłam!!!”, oznajmiała dumnie, zaśmiewając się donośnie. Zachowywała się jak kompletnie zaćpana. Do ambasady zadzwonił Rene. Ela opowiedziała mu całą historię włącznie z opisaniem kretyńskiego zachowania przyjaciółki. Wszyscy podejrzewali uszkodzenie mózgu, tylko lekarz prowadzący nie przejmował się wcale. Całą noc po wypadku zajmowała się panią leżącą obok. Umierała na raka. Nikogo to nie obchodziło. Salowa za każdą drobną przysługę brała pieniądze. Pielęgniarka nie poprawiła chorej nawet poduszek. Lekarz dyżurny, którego zawołała Joanna, kiedy kobieta krztusiła się skrzepami krwi, wszedł tylko na chwilę i skwitował „No cóż umiera, nocy nie przeżyje.” A wieczorem nie pozwolono nikomu z rodziny zostać na noc. Joanna musiała zastąpić wszystkich. Nie zmrużyła oczu tej nocy. Jej nienaturalne szaleńcze rozbawienie znikło. Zostało uczucie niesmaku i ból z powodowany odejściem człowieka. Dobrze, że była...

Po dwóch dniach wypisano ją ze szpitala. W opisie choroby były złamane żebra i uszkodzenie skóry głowy. Kiedy wuj zobaczył wypis, trafił go szlag. Nie mógł uwierzyć, że nie uwzględniono okresu utraty świadomości, nienormalnego zachowania. Bał się konsekwencji tak poważnego urazu. Lekarz, po interwencji wuja, nieco poprawił wypis. Po jakimś czasie okazało się, że był on dobrym znajomym Lidki. Przyjaciółka Joanny spytała go, dlaczego tak się wzbraniał przed napisaniem czystej prawdy. Odpowiedź zaskoczyła wszystkich: „Bo na pewno była ubezpieczona w Finlandii i chciała, przy pomocy lekarza z rodziny, uzyskać jak największe odszkodowanie”. A ona była ubezpieczona w polskim ZUS-ie i oczekiwała jedynie prawdziwej diagnozy. Był to ze strony lekarza przejaw czystej złośliwości i zawiści. Przerażający brak etyki lekarskiej.

A tymczasem uświadomiła sobie, że pamięć jej zanotowała tuż po wypadku więcej obrazów. Jeden, ten najbardziej oczywisty, to opisany powyżej. W drugim widzi siebie w zupełnie innym miejscu, siedzącą w samochodzie prościutko, ubraną w tweedową marynarkę (którą rzeczywiście miała na sobie). Przeczesuje prawą ręką włosy i przygląda się swojej zakrwawionej ręce. Wie, że jest ranna w głowę. Tak jak było naprawdę – po prawej stronie. Trzeci obraz. Jej samochód stoi przed miejscem, w którym uderzyła ją ciężarówka. Widzi przed sobą, na jezdni kierowcę w różowym swetrze. Za nim różowa buda samochodu. Czyżby już oglądała siebie z góry?

Samochód trzeba było zgłosić do oględzin i wyceny szkody. Zadzwoniła do Jasia. Pomógł jej. Razem z wezwanym ekspertem wciskali kolanem blachę na drzwiach samochodu, by zasłużyć na wymianę karoserii. Udało się. Wkrótce samochód był jak nowy. Do Joanny zgłosiły się osiedlowe dzieci. Powiedziały, że ma ona teraz dwa

samochody. Czyż nie mogłaby zostawić im tego gorszego. Do zabaw. Zgłosił się wynaleziony przez Jasia kupiec. Trzeba było tylko załadować karoserię na lawetę i zawieźć na miejsce. Próbowali razem podnieść ciężkie żelastwo. Nie udało się. Obok przechodził mężczyzna. Poprosili go o pomoc. Po chwili laweta była gotowa do drogi. Mężczyzna nie odchodził. Patrzył to na pomarańczową karoserię, to na Joannę. W końcu zapytał. Czy pani miała wypadek na skrzyżowaniu Raclawickiej i Komarowa?. Gdy potwierdziła, oznajmił, że był w ciężarówce, pod którą wjechała. „Pani sobie nie wyobraża co kierowca wyprawiał, żeby pani nie zabić. Siedziałem obok niego. Nazywa się Szatan. „Niech go pan najserdeczniej pozdrowi, powie, że nic poważnego mi się nie stało i podziękuje, że się tak starał.” I dodała. Pamiętam go dokładnie, jak tuż po wypadku stał ubrany w różowy sweter, obok swojej różowej ciężarówki. Mężczyzna spojrzał na Joannę z przerażeniem. „Co pani opowiada. On był w szarym swetrze i takiego samego koloru był samochód. A pani wtedy leżała nieprzytomna w samochodzie, po drugiej stronie skrzyżowania.” Tak to Szatan przeskodził Joannie skutecznie w odbyciu wielkanocnych rekolekcji, ale utwierdził ją w wierze w istnienie niewytlumaczalnego.

W lecie zachorowała Niania. Mama nie miała już siły zajmować się nią sama. Była też schorowana, nie mogła dźwigać i zapewnić niani profesjonalnej opieki. Joanna była zrozpaczona. Nie mogła wziąć niani do siebie, bo pracowała, wyjeżdżała nieustannie. Nie mogła zostawić jej pod opieką małego dziecka. Nie było wyjścia. Długo szukała odpowiedniego domu. Umieściła nianię ostatecznie u sióstr na Solcu. Miejsce to wyglądało najlepiej ze wszystkich domów opieki, które oglądała. Było blisko. Niani powiedziała, że będzie tam tylko przez czas choroby. Niania spojrzała na nią boleśnie i powiedziała – Co ty mówisz, przecież jestem u starców –.

Odwiedzała nianię prawie codziennie. Jednego popołudnia zastała ją rozpaloną i półprzytomną. Kobieta leżąca naprzeciwko powiedziała – Dobrze, że pani przyszła, bo niania od rana woła bez ustanku pani imię –. Siedziała przy chorej do późnego wieczora. Obawiała się że niania umrze tej nocy, ale siostra przełożona zapewniła ją, że się to tak szybko nie stanie. Radziła iść do domu, do dziecka przespać się i wrócić następnego dnia. O szóstej rano zadzwonił telefon. Niania umarła tej nocy. Dlaczego uwierzyła siostrze. Sąsiadka niani zapewniała zrozpaczoną Joannę, że nianusia całą noc spała i umarła spokojnie, we śnie. Było to jedyne pocieszenie. Joanna rozpaczała, że nie była z nią tej ostatniej nocy. Gdyby tylko mogła przewieźć, że niani choroba potrwa tak krótko, wzięłaby ją do swojego mieszkania.

Pojechali z tatą i ciocią do zakładu pogrzebowego. Tata chciał pochować nianię w jednym z jego rodzinnych grobów na Powązkach. Ciocia uważała, że to są mrzonki. Nie wiadomo dlaczego. Zaczęli się strasznie kłócić. Niania została pochowana na Wólce Węglowej, a ciała cioci i wuja leżą w starym grobie Wieniawskich. Smutek był wielki. Niania powinna była leżeć z rodziną. Zaslugiwała na to jak nikt inny. To przecież ona zastąpiła małej Teresce matkę, kiedy ta odeszła z młodocianym kochankiem od sześciorga swoich dzieci. Zajmowała się też do końca ojcem mamy.

Umierał na raka samotnie w Bobrownikach, które komunistyczna władza zabrała, zakazując zbliżać się do majątku najbliższej rodzinie. Niania sprzedała swoją krowę, by zadbać o niego i wyprawić mu pogrzeb „jak się należy”.

Pat pojechała z klasą na wakacje do Zaborowa. Joanna dowiedziała się od matki jednej z koleżanek Pat, że na obozie palono konopie. Zapytała Pat i dowiedziała się od niej, że chłopcy rzeczywiście palili i strasznie po tym rzygali. Joanna podjęła trudną decyzję. Zadzwoiła do wszystkich rodziców. Prosiła, aby uważnie przyglądali się dzieciom, ale by nie mówili nic o jej telefonie. Ktoś z rodziców wygadał się przed dzieckiem i cała grupa dowiedziała się o Joanny telefonach. Pat oczywiście nie była zadowolona. Po co matka się wtrąca. Po latach nadal miała do Joanny pretensję. Nie przekonało jej nawet stwierdzenie młodego narkomana, uzależnionego od dziecinnych lat: „Ciociu, zrobiłaś dokładnie to, co każdy rodzic powinien w takiej sytuacji zrobić. Nie zamykać oczu, nie oszukiwać się, tylko zdusić w zarodku. Kiedy jeszcze nie jest za późno.” Chłopak już nie żyje. Nie może już przekonać Pat. A któż lepiej od niego wiedział, jak często uzależnione już dziecko pragnie pomocy rodziców i jej nie dostaje? Bo rodzice nie przyjmują trudnej prawdy do świadomości. Odrzucają ją i mocno zamykają oczy. Kiedy otwierają je po latach, jest zwykle za późno...

Któregoś dnia pojechały z Pat na Miodową, do Akademii Medycznej, gdzie pracowała znajoma dentystka, Basia. Był ciepły dzień – wszystkie okna otwarte. O tej samej porze odbywał się kolejny protest. Milicja puściła gaz łzawiący. Płakali wszyscy. Kiedy z zapuchniętymi oczami wyszły razem z Basią na ulicę, zatrzymało je ZOMO. Kazali pokazać dokumenty. Jeden z zomowców długo oglądał dowód Joanny. Spojrzał na nią surowo i zapytał – „*Pani nie pracuje ?*” – „*Pracuję*” – odpowiedziała. „*Ale miejsce pracy nie jest wpisane w dowodzie.*” – „*A pan ma wpisane?*” odpowiedziała patrząc na niego ponuro. Zareagował dokładnie tak jak się spodziewała. Zasalutował, oddał dokumenty i natychmiast wszystkie trzy przepuścił. Kulały się ze śmiechu. Na pewno ubekom i kacykom nie wpisywano miejsca pracy. Pracownicy ambasad też nie mieli stemplowanego zatrudnienia w dowodach. Mieli tylko legitymacje wydawane przez MSZ. Ten młody idiota nie śmiał już zapytać, gdzie Joanna pracuje.

Z Basią dentystką zasłużyły na „wojenną” karę śmierci. Postanowiły, wbrew wciąż powtarzanym zakazom, zaopatrzyć swoje rodziny w mięso. Pojechały Joanny maluchem na wieś po świnie. Miała już wtedy paszport na wyjazd służbowy do Finlandii. Bała się, że jeśli je zatrzymają, to straci go na zawsze. Umówiły się, że w razie wpadki powiedzą, że Basia stała z ogromnym pakunkiem przy szosie, a Joanna zlitowała się nad drobiną i zabrała ją z litości do Warszawy. Nikt ich nie złapał. Dotaszczyły krwawiącą półtuszę do domu, gdzie przez ponad godzinę Joanna dzieliła mięso jak rasowy rzeźnik. Ogromnym kuchennym nożem. Kiedy rękami oddzielała słoninę od mięsa zrobiło się jej niedobrze. Jaś, mąż Basi dokończył krwawą robotę. Wędliny były wspaniałe. Śmierci uniknęły.

Mimo całej grozy i beznadziejności tego okresu, spotykało ludzi mnóstwo groteskowych sytuacji, takich jak ta, która zdarzyła się Joannie, kiedy jechała na Targi Po-

znańskie samochodem wyładowanym katalogami. Ułożyła je na tylnym siedzeniu. Na wierzchu położyła świeżo uprasowane ubrania na wieszakach. Kiedy zatrzymali ją na rogatkach usłyszała „*a co tam Pani wiezie na tylnym siedzeniu ?*”. Nie chciała mówić o katalogach, bo każdy papier i to jeszcze w obcym języku był dla głupków podejrzany, więc odpowiedziała „*Ubrania?!!*”. Chłopak spytał „*a na jak długo Pani jedzie ?*”. „*Na tydzień*”. Długo wpatrywał się z niedowierzaniem, aż wreszcie zawołał do kolegi „*Te, Józek, ona jedzie na tydzień, a zobacz ile ciuchów zabiera*”.

Po powrocie z Targów miała wypłynąć promem do Finlandii. Czekaly ją dni wolności i spotkanie z Rene. Przedłużyła sobie pobyt. Rene obiecał, że zatrzyma się w jego drugim mieszkaniu W piątek zawołała ją Ela. Była blada i przerażona. Okazało się, że dzwonił z biura paszportowego i kazali Joannie stawić się na rozmowę w sobotę. Rzeczywiście. Nie była to najlepsza wiadomość. Ubecja miała do niej jakiś interes. Niczego dobrego to nie wróżyło.

Stawiła się na Kruczej o oznaczonej godzinie. Wprowadzono ją do pokoju, gdzie siedział chudy blondyn z lisimi oczkami. Pani Joanno, rozpoczął – chyba zdaje sobie pani sprawę, że wszyscy dyplomaci z zachodnich krajów to imperialistyczni szpiegdy. – Tu zaczął po imieniu wymieniać jej szefów. – Oczekujemy od pani pomocy. – A i polscy klienci, którzy wyjeżdżają za granicę też nie są lojalni. Trzeba słuchać co mówią.

Włosy jej się zjeżyły z wściekłości. Wiedziała, że nie może dać mu cienia nadziei, mówiąc, że się zastanowi. Słyszała, że wiele osób przyjmowało taka taktykę, a potem nie mogli się od nagabujących ich ubeków odczepić. Nie mogło się to za nią ciągnąć. Albo rybka, albo pipka!

– Wszyscy płacimy podatki na wasze służby i to wy macie za zadanie śledzić i wykrywać szpiegów. Nie ja! Poza tym chyba przygotował się pan do tego spotkania. Kiedy wracałam po pierwszym pobycie z Anglii, to tu na Kruczej oddawałam paszport. Na stole urzędnika leżał gruby segregator. Urzędnik nic nie mówił tylko przewracał kartki. Spytałam wtedy, czy to wszystko o mnie. – Tak – odburknął. Powiedziałam głośno – Sama bym o sobie tyle napisała –. To było wiele lat temu, ale ta teczka na pewno istnieje i pan ją musiał widzieć. Wie pan z jakiej rodziny pochodzę i że nikt z tej rodziny nigdy nie donosił. I ja też nie będę. Nawet za skarżenie w dzieciństwie dostawałam od mamy w tyłek.

Ubek miał coraz głupszą minę.

– No, to nie będziemy mogli dać pani paszportu.

– To nie pojadę. Bardzo dobrze. Zostanę z córką.

– Jak pani nie będzie wyjeżdżać to straci pani pracę, a jest pani sama z córką.

– To znajdę sobie inną.

– Gdzie. To nie będzie łatwe.

– Mogę pracować u badylarza. Jestem silna i zdrowa i nie boję się fizycznej pracy. Nawet lepiej, bo będę więcej czasu spędzała z córką – Zresztą nie nadają się do tajemnych spisków, bo im większa tajemnica, to tym bardziej muszę komuś o tym powiedzieć. Oczywiście w wielkiej tajemnicy. Tylko proszę o jedno. Jeśli mnie

tu wezwiecie, to muszę przyjść, ale niech to będzie powszedni dzień. W sobotę mam dużo domowych zajęć i chcę ten dzień spędzać z córką.

– Sprzątać może pani w niedzielę.

– W niedzielę jest kościół.

– A co pani powie swoim szefom, żeby się zwolnić z pracy?

– To samo co teraz – Otworzyła torebkę, wyciągnęła szczoteczkę do zębów. – Powiedziałam radcy, że mnie wezwaliście i jeśli nie wrócę to znaczy, żeście mnie zamknęli.

Ubek załamał się. Nie wiedział, czy ma do czynienia z idiotką, czy ta kobieta sobie z niego żartuje.

Wyszedł na chwilę z pokoju. Wrócił z kartką papieru.

– To chociaż może mi pani to podpisze.

– Nie będę nic podpisywała. Nie chcę waszego paszportu. Nie chcę jechać do Finlandii.

– Ale to nic takiego. Tylko jedno zdanie, że zachowa pani w tajemnicy treść rozmowy. – Spojrzała na niego. Stał zdruzgotany z małeńką iskierką nadziei w oczach. Stało się coś przedziwnego. Było jej go w jakiś sposób żal... kompletny idiotyzm!

– Ok. Niech mi pan to pokaże.

Na kartce formatu A4 po lewej stronie na górze było jej nazwisko i chyba adres. Tuż pod tym rzeczywiście tylko jedno zdanie. Takie jak mówił. Pod zdaniem pusta przestrzeń, a na samiućkim dole wykropkowane miejsce do podpisu. Położyła kartkę na stole. Postawiła nieczytelny zygzak tuż za ostatnim słowem. W tej samej linii. Pustą przestrzeń zakreśliła długopisem. Do samego dołu.

Zadowolony ubek wziął papier do ręki. Spojrzał i oniemiał.

– Gdzie pani to podpisała????!!!

Chyba nie myśli pan, że jestem taką idiotką, żeby podpisać pod pustą kartką, żeby pan tam mógł wszystko dopisać. – powiedziała i wstała.

– Podpisałam. Mogę już wyjść?

Zgodził się. Przy drzwiach wręczył jej paszport. Udawała, że nie chce go wziąć, że jej w ogóle nie zależy. Niczego bardziej nie pragnęła niż wypłynąć z tego bagna i nigdy tu nie wrócić. W końcu wzięła paszport, jak z łaski.

Dopiero w samochodzie poczuła grozę i obrzydzenie. Odjechała kawałek, zatrzymała samochód i zalekniona zadawała sobie pytanie – Gdzie pojechać? Do kogo? Żeby nikogo nie narazić. Wydawało jej się, że będzie śledzona, że zagrozi każdemu z kim się teraz spotka. Nagle odetchnęła z ulgą. „Do mamy”. Lwowska wydała jej się najbezpieczniejszym miejscem. Mama nic nie wiedziała. Kiedy usłyszała opowieść, trzęsła się jak liść. Mama – Kasandra wyobrażała sobie córkę w najstraszniejszych opałach. Zygzak postawiony na dokumencie nic nie znaczył. Nie dotrzymała obietnicy. Wkrótce mnóstwo osób wiedziało o jej traumatycznym przeżyciu. Z detalami. Już się nie lękała. Była dumna, że udało jej się wymknąć nie tracąc twarzy. Pewnie znacznie gorzej czuł się ubek.

Tymczasem w poniedziałek dowiedziała się od dziewczyn z Impexmetal, że chłopak, który z nią jedzie, jako opiekun delegacji, to narzeczony córki generała Kiszczaka. Znienawidzonego szefa MSW. Podziękowała za ostrzeżenie i zrozumiała. To nie tylko o fińskich „szpiegów” im chodziło, ale o raport z zachowania za granicą przyszłego zięcia szefa. Krzysio był nawet miły. Tańczyli Rock and Rolla na szklanej podłodze w helsińskim hotelu Hesperia. Opowiadał, o lęku jaki czuł, stojąc w polskim mundurze naprzeciw praskiego tłumu w czasie haniebnego najazdu na Czechosłowację wojsk Paktu Warszawskiego. Bał się panicznie tysiąca oczu wściekłego upokorzeniem tłumu.

Tylko raz, kiedy mijali na drodze fińskiego żołnierza pedałującego na rowerze, spytał Joannę jakie ich wojsko ma karabiny. Poprosiła kierowcę, żeby się zatrzymał. Niech pan go spyta sam kiedy podjedzie bliżej. Nie spytał. Pojechali dalej. Po kilku latach, w Sopocie, na trybunie toru wyścigowego, ktoś pokazał jej córkę Kiszczaka. Obok dziewczyny stał Krzys.

Prom wpływał do helsińskiego portu. Na brzegu stał Rene. Był w niebieskiej koszulce i miał dłuższe, rozjaśnione pasemkami od słońca włosy. Wyglądał dokładnie jak w jej śnie w noc stanu wojennego. Tylko stał, a nie leżał i nie trzymał też przy twarzy jej brudnej stopy. Spędzał z rodziną wakacje na żaglach. Mieli się spotkać, gdy odjadą polscy goście. Nikt nie wiedział, że uknuty został misterny plan. Rene chciał zapłacić jakiemś mężczyźnie, by wziął z Joanną fikcyjny ślub. Mogłaby wtedy oficjalnie zostać w Finlandii, pracować i co najważniejsze ściągnąć Pat. Pomysł wydawał się dobry. W stanie wojennym w żaden inny sposób nie mogłaby wyjechać razem z córką.

Tymczasem zajęła się swoimi gośćmi. Jeździli po Finlandii. Odwiedzali wiele firm, w których zamontowane były elektroniczne wagi PIVOTEX. Właścicielem firmy był Markku, który z czasem stał się wielkim przyjacielem Joanny. Do samej śmierci. Pływali ogromnym, drewnianym jachtem Markku, pomiędzy wyspami. Jedli i pili w najlepszych restauracjach. Zatrzymywali się w najdroższych hotelach. Stan wojenny był daleko. Wszyscy czuli się swobodnie i bawili się znakomicie.

Po kilku dniach odwieźli gości na prom, a sami poszli na znakomitą kolację do chińskiej restauracji. Markku był niezwykle hojny i zamówił dla nich dwójga trzydzieści sześć wyśmienitych, aromatycznych dań.

Wieczorem przyjechał Rene. Zawiózł ją do mieszkania, ale tego w którym mieszkał z żoną i dwiema córkami. Został na noc. Powiedział, że wraca do wakacyjnego domu, bo Francesca prosiła go, aby jeszcze raz spróbowali być razem. A to podobno ona zrezygnowała z ich małżeństwa, zanim Rene zakochał się w Joannie. Miłość skurczyła się w sercu Joanny. Jaka była prawda? Mieszkanie sprawiało wrażenie miłego azylu zgodnego stadła. Rano zostawił jej klucze i wyjechał. Miał wrócić za kilka dni, żeby zorganizować spotkanie z potencjalnym mężem.

Została sama. Wyszła na balkon. Widok był piękny. Błękitne, falujące morze. Długo myślała. Wiedziała, że to koniec. Jeszcze obeszła wszystkie pokoje. Obejrzała rodzinne zdjęcia. Wzięła po jednym. Jego i jej. Były z Franceską do siebie podobne.

W tym samym stylu. Czy to prawda, że chciała od niego odejść. Czy sam wierzył, kiedy mówił, że chce resztę życia spędzić z Joanną. Nigdy nie ukrywał, że kocha swoje dwie małe dziewczynki i boleje nad rozpadem rodziny. Nie przeszło jej przez myśl, żeby o niego walczyć.

Zastanawiała się, gdzie pójść. Zadzwoiła do Pontusa, który wrócił już do Finlandii. Powiedziała: – Jestem w ostatnim miejscu, w jakim powinnam być. – O nic nie pytał: – Jestem w domu. Przyjeżdżaj. Zatrzasnęła za sobą drzwi mieszkania.

Pontus przyjął ją serdecznie. Spędziła u niego cały weekend. Jak zawsze okazał się niezawodnym przyjacielem. W niedzielę Rene przysłał po nią swojego przyjaciela, Rolfa. Nie skorzystał z zaproszenia Pontusa, tylko zabrał jej walizkę i pomaszerali do windy. Nie wyglądał na zadowolonego z powierzonej mu przez Rene misji. Miał ją zabrać do własnego domu, żeby mieszkała tam przez całe dziesięć dni, które pozostały do jej wyjazdu.

Ona też nie była nastawiona przyjaźnie do tego olbrzyma. Przypomniała sobie, że Rene opowiadał, jak to jego fińscy przyjaciele ostrzegali go przed wzięciem się z „jakąś Polką”. Wsiadli do ogromnego, terenowego samochodu, nie zamieniając słowa. Po jakimś czasie Rolf przyjrzał się jej uważnie i powiedział – Ale ty jesteś ubrana tak samo jak ja – Mieli obydwójce na sobie jeansy, białe tenisówki i granatowe żeglarskie swetry włożone na białe koszule. – A spodziewałaś się, że będę miała falbaniastą spódnicę w kwiaty i chustę na głowie, jak ruska baba. Wiadomo, że nie widzicie różnicy. – Uśmiechnął się krzywo, pokiwał głową i ciągnął dalej – Ale ty mówisz dobrze po angielsku... – A dlaczego mam nie mówić. Dalsza konwersacja nie kleiła się. Joanna siedziała z wysoko podniesioną głową i nawet na Rolf'a nie spojrzała. Dojechali na miejsce. Dom był piękny, położony nad samym morzem. W znakomitej dzielnicy. Kiedy weszli do środka, spytała chłodno, który pokój ma zająć. Po czym weszła tam i nie zamierzała wychodzić.

Po jakimś czasie Rolf spytał, czy się czegoś napije, czy nie jest głodna. Za każdym razem padała sucha, lecz uprzejma odpowiedź. Nie, dziękuję. Wszystko jest ok. ... Nie było. Miała mieszkać z obcym facetem, który pewnie dokładnie znał historię romansu swojego przyjaciela i był wściekły, że ten obarczył go „jakąś Polką”. Minęło całe popołudnie. Musiała wyjść do łazienki. Rolf siedział na kanapie w salonie i popijał drinka. Popatrzył na nią z uśmiechem i powiedział serdecznie – A może chociaż sobie pogadamy? Dlaczego każde z nas ma być samo. Obejrzała się. Był miły. Miał inteligentną, szczerą twarz i ciepłe, przyjazne oczy. – Ok., ale muszę najpierw wypić drinka, żeby sobie poprawić nastrój. – Rozmowa przeciągnęła się do późnej nocy. Toczyła się wartko. Tematów poruszyli mnóstwo. Atmosfera stawała się lekka i przyjazna.

Następnego dnia pojechali do firmy. Ich wspólnej. Pojawił się kandydat na fikcyjnego męża. Był prymitywny, brzydki i niesympatyczny. Ale zgadzał się na ślub za sowitą zapłatę, którą mu Rene obiecał. Joannie było wszystko jedno. Chciała tylko zabrać Pat i znaleźć się jak najprędzej daleko od Jaruzelskich, Kiszczaków, ubecji,

kłamstwa, zniewalania i upokarzania ludzi. Nagle uświadomiła sobie, że nie będzie mogła nikomu z jej licznych fińskich znajomych zdradzić, że ten mąż jest fikcyjny. Jak będzie się czuła przedstawiając go jako swojego wybranka? Co najmniej przez rok.

Decyzję ułatwił jej „narzeczony”. Spytał – A jakie są gwarancje, że będziesz chciała za rok się ze mną rozwieść? ... Słowa popłynęły same – Spójrz w lustro, to będziesz miał gwarancje”. Rolf parsknął niepohamowanym śmiechem. Rene wznosił oczy w górę, a niedosłego męża zatkało. Joanna wstała i wyszła. Chodziła po słonecznych Helsinkach i starała się nie myśleć o swojej dość kiepskiej sytuacji. Wróciła późnym popołudniem. Rolf czekał na nią. Był wyraźnie rozbawiony. – Jestem z ciebie dumny – powiedział i uściskał ją serdecznie. Poszli na kolację i na długi spacer wśród skalistych brzegów. Obejrzeni jego długi biały jacht przycumowany w pobliskiej przystani. Opowiadał o swoim życiu, synach i o tym jak opuściła go żona. Czuli się ze sobą coraz lepiej i swobodniej. Po powrocie wtulili się w siebie, kojąc wzajemnie swoje smutki i rozczarowania. Było dobrze. A więc można dalej żyć. Chwilą.

Następnego dnia miała zamieszkać u Eili. Zabrała walizkę i pojechali razem do firmy. Na lunch poszli we troje do hotelu Torn, gdzie był wyśmienity szwedzki stół. Były śledzie w kilku zalewach, kolorowe ikry z gęstą, kwaśną śmietaną i drobno pokrojona cebulka. Na gorąco pachnące świeżością ryby i pieczeń z renifera. Po lunchu wyszli na ulicę. Joanna zobaczyła nadjeżdżającą taksówkę. Podniosła rękę by ją zatrzymać i zniknąć jak najprędzej z ich oczu. Wykonali błyskawiczny gest. Obaj złapali jej rękę. Podniosła drugą. Taksówka zatrzymała się. Gdy odjeżdżała obaj patrzyli jakoś tak intensywnie. Co czuli... nie wiedziała.

Po dwóch dniach, zastała siedzącego na schodach Rolfa. – Mieszkaj do wyjazdu u mnie. Proszę. Wróć. – Nie chciała, choć spotkali się jeszcze kilkakrotnie. Poznała jego znajomych. Kiedyś na ulicy, niedaleko mieszkania Rolfa zobaczyła kobietę w białych szortach, która jej się bacznie przyglądała. Skąd zna tę twarz? Gdzieś ją już widziała. Tak... Na kolorowej fotografii, którą wzięła z domu Rene. Była to niewątpliwie Franceska, jego żona. Ciekawe, czy też zauważyła to ich podobieństwo?...

Rene spotkała tylko raz. Po kilku latach. Była w Turku na sympozjum. Miała wolne popołudnie. Postanowiła pojechać do Nantali, uroczego portowego miasteczka. Okazało się, że właśnie zakończyły się regaty. Mnóstwo łodzi stało już w porcie, a żeglarze szykowali się do odejścia. Szła wzdłuż pomostu przyglądając się pięknym łodziom i żeglarzom. Jeden z nich zajęty był zwijaniem żagla. Stał tyłem, ale Joanna poznała go od razu. Hi! Powiedziała. Odwrócił się. Patrzył z niedowierzaniem. Joanna... Ty... Tutaj... Skąd? Wyskoczył. Przywitani się serdecznie. – Zapraszam cię na kolację. Dał jej samochód, żeby pojechała się przebrać. Długo rozmawiali. Kiedy żegnali się, szepnęli – Jak ja cię kochałem... nigdy nikogo tak nie kochałem... – I ja cię kochałam...

Nie było obwiniania, nie było usprawiedliwień i tłumaczeń. Patrzyli na siebie, widząc, jak w lustrze, w swoich oczach te minione chwile, które spędzili razem. Nie często się zdarza, żeby miłość była tak pogodna, żeby kochankowie byli tak

czuli i jednocześnie radośni. Nie było powrotu, ale na zawsze została w nich pamięć i jakaś wielka wzajemna wdzięczność za to uczucie, które między nimi zaiskrzyło. Za to, że dane im było to niezwykle ciepło i radość wspólnego istnienia przeżyć... poznać.

Wróciła znowu do tego tygła, w którym mieszało się bohaterstwo, zdrada, lęk, upokorzenie, gniew, poczucie wspólnoty, psychiczne i fizyczne zniewolenie, lecz także nadzieja...

„Nosisz Boga w sobie, nieszczęśniku, i nawet o tym nie wiesz”

Epiktet

70 milionów minut życia... ile w tym momentów „satori”?

Czyż Bóg nie zasługuje na to, żeby być zadowolonym tu i teraz. Żeby mieszkać w radosnej powłoce. Żeby spostrzegać naszymi oczami piękno i zachwycać się nim. By cieszyć się odkryciami naszego umysłu i serca. Tu i teraz. Poprzez nas...

Joanna Kiełczewska (linia bobrownicka)

6. PUBLIKACJE ZWIĄZANE Z HISTORIĄ BĄDŹ OSOBAMI Z RODZINY JANOTÓW BZOWSKICH

(wybór niekompletny)

1. ABRAHAM BZOVIVS – STANISŁAW BZOWSKI – *PONTIFEX ROMANUS 1619 Pontifex Romanus seu de praestantia, officio, auctoritate, virtutibus, felicitate rebusque praeclare gestis Summorum Pontificum a D. Petro usque ad Paulum Quintum. Commentarius. R.P. Fr. Abrahami Bzouij, Poloni, S.T. Magistri. Ord. Praed. Ad Sereniss. Invictissimumque Sigismund. III Poloniae, Sveciae, Gothorum et Vandalorum Regem. Wydanie: KOLONIA, COLONIAE AGRIPPINAE 1619. Apud Antonium Boelzerum.* Rozprawa teologiczno-historyczna, ukazująca prawne podstawy władzy papieskiej. Na miedziorycie tytułowym i we wstępie dedykacja dla króla Zygmunta III.
2. Brociek W. R. 1998. *Konspiracyjna działalność wydawnicza na terenie Ostrowca Św. w okresie II wojny światowej.* Rocznik Muzeum Historyczno-Archeologicznego w Ostrowcu Świętokrzyskim. Nr 1. s. 74-103 (Andrzej Janota Bzowskiego s. 90.)
3. Bzowski K. 2003. *Rodzina Janotów Bzowskich.* Verbum Nobile. Wydawca Związek Szlachty Polskiej Gdańsk. Nr 15. s. 60-62.
4. Bzowska-Bakalarz M. 2007. *Związek Rodowy Janotów Bzowskich h. Nowina .* Wiadomości Ziemiańskie nr 29. s. 60-65.
5. Bzowska-Bakalarz M. 2007. *I potem gdy kwiaty będą rósć w ogrodzie... o historii Marii, ochrzczonej przez księdza Adama Mickiewicza.* Kwartalnik Rota. Nr 4. s. 40-42
6. Bzowska-Bakalarz M. *Wspomnienie o mojej Babci Marii Bzowskiej z d. Zagórskiej. 95lat Gimnazjum Liceumim. Joachima Chreptowicza w Ostrowcu Świętokrzyskim – Księga wspomnień.* Wyd. U.P.Z.P. „Dorand” Starachowice – s. 199-204.
7. Głomb Jacek. 1993. *Hrabia. „POGOŃ”* Tarnowski Miesięcznik Społeczno-kulturalny. Nr 4 – kwiecień. s. 6 (Wspomnienie o Tadeuszu Janocie Bzowskim).
8. Janota Bzowski Józef. 1930. *Szkoła i rodzina.* Książnica-Atlas. Lwów-Warszawa.
9. Janota Bzowski Józef. 1935. *O zgodę rzeczypospolitej.* Rozważania na dobie. Drukarnia Archidiecejalna. Warszawa. Krakowskie Przedmieście 71.
10. Janota-Bzowski T. *Gniazdo.* Karta (Wyd. Fundacja Karta). 1996. Nr 19. s. 24-39.
11. Janota Bzowski T. 1993. *Czas Borussowej. „POGOŃ”* Tarnowski Miesięcznik Społeczno-kulturalny. Nr 4-kwiecień. s. 7,11. Wybrane przez Tomasz Antoniego Źaka fragmenty wspomnień.
12. Janota-Bzowski Z. 1981. *Notatnik konnego strzelca.* Instytut Wydawniczy PAX.
13. Janota-Bzowski Z, *Kronika Rodziny Bzowskich 1376-1976.* Na podstawie opracowania z 1976 – luty 1977 za zgodą autora wydanie poprawione

i uzupełnione w 1980 roku przez Kazimierę Janota Bzowską z Londynu – Maszynopis. Wyd. własne – 20 egzemplarzy przekazane do:

- 1) Zakład Narodowy im Ossolińskich we Wrocławiu
 - 2) Biblioteka Jagiellońska w Krakowie
 - 3) British Museum Library w Londynie
 - 4) Polska Biblioteka w Londynie
 - 5) Biblioteka Apostolica Vaticana
 - 6) Aruid Berghamans Heraldiska Stiftelse Kungl. Bibliotekat Stockholm
 - 7) Bibliotekaw Nowym Yorku
 - 8) Tytus JB Londyn
 - 9) Zdzisław Warszawa
 - 10) Teresa Konarska Warszawa
 - 11) Marek JB Londyn
 - 12) Jerzy JB Kanada
 - 13) Anna JB Hamn Niemcy
 - 14) Jozef Miara Elbląg
 - 15) Dariusz JB Katowice
 - 16) Franciszek JB Wrocław
 - 17) Barbara JB Zych Warszawa
 - 18) Małgorzata Bzowska Lublin
 - 19) Józef JB Londyn (przekazany do zbiorów Biblioteki Jagiellońskiej w Krakowie)
 - 20) Kazimiera JB – Londyn
14. Jaśkiewicz K. 1995. *Lista strat ziemiaństwa polskiego 1939-1956*. Archiwum Wschodnie, Instytut Historii PAN; Instytut Studiów Politycznych PAN; Wyd. Pomost, Alfa Warszawa (Jerzy Janota Bzowski (Lotnik) 1906-1941 (s. 138), Włodzimierz Janota Bzowski 1881-1942 (s. 138, 139), Jan Janota Bzowski (1868-1936) (Borussowa) (mąż Marii z Brzezińskich) – przy notce biograficznej Jana Stanisława Brzezińskiego (s. 123-124)
 15. Konarska J. *Wojna nad dworem*. Karta (Wyd. Fundacja Karta). 1996. Nr 19. s. 40-61.
 16. Kossak W. (oprac. Kazimierz Olszański) *Listy do żony i przyjaciół*. Wydawnictwo Literackie ISBN 83-08-00863-1 (Władysław Roman Bzowski – na stronach; 149, 150, 156, 160-162, 174, 175, 186, 187, 198, 201, 205, 210, 213, 323, 325).
 17. Kozierowska B. *Kozierowscy herbu Jelita*, tom II, Czernsk 2004 – 2005 oraz Suplementy do t. 1, 2, 3 Czernsk 2007-2008.
 18. Leskiewiczowa J. (pod red.). *Ziemiańscy XX wieku*. Wydawnictwo DIG. Warszawa. Wyd. I. 2002: wyd. II uzupełn. 1999.
 19. Lipko-Lipczyński H. *Brzozy (1941-1943 Grenoble, Francja) – ksero – oryginał w Bibliotece Narodowej w Warszawie*. Wyd. Oficyna Tyszkiewiczów. Nicea 1943.
 20. Madoń-Mitzner K. 1996. *Kronika utraconego świata*. Karta (Wyd. Fundacja Karta). 1996. s. 22-23.
 21. Perepeczko A. 2006. *Śniadanie w łóżku i inne rozkosze kulinarne*. Wyd. Nowy Świat. Warszawa.

22. Sanocka B. 2006. *Był dwór. Jest dwór – historia dworu w Drogimi i jego przeniesienia do Wygiełzowa*. Wyd. Małopolski Instytut Kultury.
23. Sławikowska L. 2011. *W czasach C. K. Monarchii i później*. Poznań. Wydawnictwo Kontekst (wydanie do kupienia – adres e-mail: eslawikowska@interia.pl)
24. Turlínska B. E. *Krew Merowingów. Polscy potomkowie Jezusa*. Wyd. Focus. Bytom 2009 – (m. in. rodowód Agnieszki Perweczko).
25. Wcisło St. 2008. *Dzieje tymbarskiego dworu*. Druk i oprawa. Sowa. ul. Hrubieszowska. Warszawa.

Wydawnictwa zbiorowe:

1. Papiery Rodziny Bzowskich złożone jesienią 1968 roku w Bibliotece Jagiellońskiej – sygnatura: Przyb. 349/68 - Przyb. 385/68.
2. Archiwum Józefa Janoty Bzowskiego i Zdzisława Janoty Bzowskiego (częściowo przekazane do Biblioteki Jagiellońskiej i częściowo w posiadaniu syna Zdzisława – Jacka Janoty Bzowskiego – email: bzowski@yahoo.com)
3. *Łącznik Rodzinny* – organ związku rodowego Janotów Bzowskich. h. Nowina. Warszawa. Styczeń 1937 r. (Zeszyt nr 1 – pod red. Józefa Janoty Bzowskiego).
4. *Łącznik Rodzinny* – organ związku rodowego Janotów Bzowskich. h. Nowina. Warszawa. Kwiecień 1938r. (Zeszyt nr 2 – pod red. Józefa Janoty Bzowskiego).
5. *Łącznik Rodzinny* – organ związku rodowego Janotów Bzowskich. h. Nowina. Warszawa. Styczeń 1939 r. (Zeszyt nr 3 – pod red. Józefa Janoty Bzowskiego).
6. *Łącznik Rodzinny* – organ związku rodowego Janotów Bzowskich. h. Nowina. Londyn. Styczeń 1978 r. (Zeszyt nr 4, autorzy: Jan i Kazimiera Janotowie Bzowscy).
7. *Łącznik Rodzinny* – organ związku rodowego Janotów Bzowskich. h. Nowina. Warszawa. Autorzy: Kazimierz Janota-Bzowski, Janusz Janota Bzowski (Zeszyt nr 5).
8. *Siostry Benedyktynki i Sakramentki*. 1950. Benedyktynka od nieustającej adoracji. Z oryginału w posiadaniu Tytusa JB, przekazanego przez Bronisławę JB – Matkę Przełożoną Sióstr Wizytek w Krakowie (Anna Maria Bzowska – Siostra Scholastyka (1904-).
9. *Słownik Biograficzny wychowanków Zakładu Naukowo-Wychowawczego OO. Jezuitów w Chyrowie*. 1886-1939. Wyd. WAM WSP-P „Ignatium”.

Uwaga: Zeszyty Łącznika Rodzinnego są w posiadaniu członków Rodziny.

Wśród członków Rodziny jest wielu kronikarzy, których prace nie zawsze były oddawane do druku, a są w posiadaniu najbliższej Rodziny:

- Kazimiera Janota Bzowska z Londynu (Linia Jana z Przemęczan)
- Teresa Konarska z d. Janota Bzowska (Linia Bobrownicka)
- Tadeusz Janota Bzowski (Linia Bobrownicka)
- Ryszard Janota Bzowski (Linia Bobrownicka)
- Joanna Kiełczewska z d. Konarska (Linia Bobrownicka)

7. PODZIĘKOWANIA

Kochani,

Nasze rodzinne spotkanie w Wygiełzowie 19 września 2009 roku wspominamy jako największy sukces, który zaowocował nie tylko we wzajemne poznanie się, ale przyczynił się do powzięcia decyzji, że „Łącznik” powinien być nadal kontynuowany, by historia rodu Janotów Bzowskich nie przeszła w zapomnienie. By nie powstała ponownie luka czterdziestu lat odszukiwania rodziny rozsianej po Europie i po świecie, którą z wielkimi trudnościami dało się wypełnić „Łącznikiem” numer 4 w 1978 roku. Dzięki właśnie temu mozolnemu poszukiwaniu i spisywaniu odnalezionych, choć z wieloma błędami 4 „Łącznik” stał się nie tylko spoidłem rodzinnym, źródłem wiadomości, z którego korzystali członkowie rodziny, ale nade wszystko dzięki niemu odnalazła się perła naszej rodziny, Małgorzata, której mylnie podając imię Anna, dodaliśmy nieświadomi jej istnienia, *„losy córki (Andrzeja i Marii z Zagórskich) są jak dotąd nieznanne”*. Jak długo ten „Łącznik” czekał, by się sprawdził do końca, by wreszcie „Anna” okazała się najwspanialszą kontynuatorką rodzinnej sagi – Małgosią! Mając to na myśli, jesteśmy przeświadczeni, że tego, co dotychczas zostało zrobione, nie powinno się zaprzepaścić.

Dotychczasowe Zeszyty ukazywały się dość skromnie objętościowo, niemniej były one źródłem wielkiej wiedzy o historii i pochodzeniu rodziny. Obecny Zeszyt 6. jest znacznie pokazny, ale jest to, Kochani, Wasza zasługa, gdyż wszyscy złożyliście się na jego powstanie. Nasz apel o nanoszenie danych, poprawek, przysyłanie listów, opowiadań, biogramów i wspomnień stał się niezwykle cennym materiałem, składającym się na ten oto 6. Zeszyt *Łącznika Rodzinnego*, który z pewnością będzie czytany z wielkim zainteresowaniem. Z jego zapisanych stron dowiemy się tak wiele o naszych bliskich, choć nigdy nie spotkanych na drodze naszego życia. W tym miejscu pragniemy podziękować wszystkim, którzy tak chętnie przekazywali nam informacje o sobie i innych członkach rodziny. Wszystkie one stały się archiwalną dokumentacją. Kierujemy nasze podziękowania do wszystkich członków naszej rodziny bliskiej i dalekiej za włączenie się w to rodzinne dzieło z prośbą, by nadal, w miarę swoich możliwości nadsyłać wiadomości o rodzinie, o sobie, o bliskich, które to pozwolą na dalsze rejestrowanie danych w następnym wydaniu *Łącznika*”.

Cykl wydawniczy przedłużył się do dwóch lat, ale chcieliśmy w tym Zeszycie zawrzeć jak najwięcej informacji – nie tylko po mieczu, ale i po kądzieli. Zamierzenie było więc ogromne a mnogość losów ludzkich oszałamiająca.

Janusz Bzowski z Krakowa (Linia Jana z Przemęczan) sekundował nam także w tym dziele – odkrywał mnóstwo rodzinnych faktów, wydarzeń, zbiorów bibliograficznych, a nawet kuzynów. Serdecznie dziękujemy Andrzejowi JB z Gdyni (Linia Kielecka) za opracowanie nowego drzewa genealogicznego – już w formie elektronicznej i dokonanie wielu uzupełnień w zestawieniach genealogicznych!

Oddając wręce Rodziny ten szósty z kolei numer „Łącznika”, prosimy, aby wszyscy jego czytelnicy podeszli do niego z takim samym sercem, z jakim pracowaliśmy nad nim przez kilka lat. Prosimy o wyrozumiałość z powodu ewentualnych braków czy niedociągnięć. Praca nasza był pracą zespołową. Wszyscy, którzy przykładaliśmy się do jego wykonania, staraliśmy się by sprostać temu zadaniu. Wasza serdeczność i życzliwość przyczyniła się do wzmożonej pracy z myślą, że to, co robimy jest niezbędnym przyczynkiem do spisywania historii rodu, rozpoczętego blisko sto lat temu przez naszych przodków. Za to wszystko, za Waszą pomoc, i Wasze chęci składamy bardzo gorące „Bóg zapłać”.

Redakcja

Kazimiera Janota Bzowska
z Małgorzatą Bzowską-Bakalarz

Podziękowanie specjalne

Pozwólcie, że na łamach tego Zeszytu podziękuję szczególnie – w swoim imieniu (zupełnie początkującej) – a także w imieniu nas wszystkich – **Kazimierze z Londynu**, której doświadczenie i kronikarski talent tak owocnie służy całej Rodzinie od tylu lat! Praca z Kazimierą była dla mnie wspaniałym doświadczeniem i radością! Tak wiele mnie nauczyła! – Metodycznej pracy, dociekliwości historycznej i staranności w biograficznych dociekaniach. Inspiracja i masa zgromadzonych przez Kazimierę materiałów związanych z historią Rodziny pozwoliły na opracowanie Zeszytu, który oddajemy w Wasze ręce!

Kaziu – to była wspaniała przygoda, która przerodziła się w pasję twórczą!
Dziękuję z serca!

Małgorzata Bzowska-Bakalarz